

# Żar

## Brown Sandra



calibre 0.9.43

**Sandra Brown**

*Žar*

# PROLOG

Niektórzy powiadają, że nie mógł wybrać lepszego dnia na samobójstwo.

W tamto niedzielne popołudnie odechciewało się żyć i większość żywych stworzeń ledwo dyszała. Powietrze było gęste, lepkie i gorące jak poranna zupa mleczna, wysysało energię życiową z każdej istoty, rośliny czy zwierzęcia.

Chmury wyparowały w nieznośnym żarze. Wychodząc na dwór, miało się wrażenie, iż wstępuje się do brzucha wielkiego pieca hutniczego, jak te w odlewni Hoyle'ów. Wielki najedzony aligator wylegiwał się na słońcu w pobliżu zarośli na prywatnym terenie wędkarskim rodziny Hoyle'ów, z powodu kępy cyprysów rosnących pośrodku zalewiska zwanego Bayou Bosquet. W szklistych oczach zwierzęcia odbijał się rozżarzony błękit nieba. Z masztu stojącego opodal domku smętnie zwisała flaga stanu Luizjana.

Cykady były zbyt leniwe, aby odgrywać swe zgrzytliwe serenady, chociaż od czasu do czasu któryś z owadów zakłócał rozespaną ciszę dnia kilkoma wydanymi bez przekonania dźwiękami.

Ryby schowały się głęboko przy dnie, szukając cienia pod gęstym zielonym dywanem rzęsy.

Tkwiły bez ruchu w cienistych, mętnych głębinach, od czasu do czasu wachlując skrzelami.

Mokasyn błotny leżał bezwładnie na brzegu rozlewiska, groźny choć nieruchomy.

Rozlewisko było siedliskiem ptaków, ale dzisiaj nawet one podsypiały w gniazdach, z wyjątkiem samotnego jastrzębia, który przycupnął na szczycie drzewa, dawno temu spalonego przez piorun.

Szczałki giganta były tak ogołoczone i zbieleły w słońcu, że wyglądały jak kości.

Skrzydlaty myśliwy spojrzał na stojący na brzegu rzeki domek. Może dostrzegł mysz

przemykającą pomiędzy palami zabezpieczającymi pomost wędkarski, ale najprawdopodobniej odezwał się w nim zwierzęcy instynkt, ostrzegający przed nadchodzącym niebezpieczeństwem.

Huk wystrzału nie był tak głośny, jak można się było spodziewać. Powietrze gęste jak puchowa poduszka chyba zatrzymało i wyciszyło falę dźwiękową. Strzał nie wywołał wrażenia na

mieszkańcach rozlewiska. Flaga nadal zwisała smętnie z masztu, spasiony aligator nie mrugnął nawet okiem. Wąż wślizgnął się do wody z cichym pluskiem, bynajmniej nie zaniepokojony, raczej urażony, że ktoś zakłócił jego niedzielną drzemkę. Jastrząb wzbił się w powietrze, bez wysiłku zataczając szerokie kręgi, unoszony gorącymi prądami powietrza. Obserwował teren w poszukiwaniu zdobyczy nieco atrakcyjniejszej niż mała myszka przyczajona pomiędzy drewnianymi żerdziami pomostu. Ani przez chwilę nie pomyślał o martwym człowieku w domku nad brzegiem rzeki.

- Pamiętasz Klapsa Watkinsa?
  - Kogo?
  - Tego gościa, który awanturował się w barze.
  - Czy mógłbyś mówić jaśniej? W jakim barze i kiedy?
  - Wtedy, kiedy pojawiłeś się w naszym mieście.
  - To było trzy lata temu.
  - Owszem, ale powinieneś to pamiętać. - Chris Hoyle pochylił się do przodu na krześle, jakby chciał w ten sposób wspomóc zawodną pamięć przyjaciela. - Przypominasz sobie tego krzykacza, który wywołał bójkę? Twarz, na której widok przestają tykać zegary? Ogromne uszy.
  - Ach, tego gościa. Tak. Tego z... - Beck przyłożył dłonie do skroni, parodiując gigantyczne małżowiny.
  - Stąd jego przydomek, Klaps - powiedział Chris. Beck uniósł jedną brew. - Gdy tylko zawiął wiatr, jego uszy...
  - Klapały o głowę - dokończył Beck.
  - Jak okiennice podczas wichury. - Chris wyszczerzył zęby w uśmiechu i uniósł butelkę piwa w milczącym toąście.
- Żaluzje w prywatnej bibliotece Hoyle'ów były szczelnie zamknięte w ochronie przed palącymi promieniami popołudniowego słońca. Półmrok ułatwiał też oglądanie telewizji. Akurat nadawano relację z meczu Bravesów. Rozgrywano końcówkę dziewiątego inningu i wiadomo już było, że do wygranej Atlancie potrzebny jest cud. Mimo niekorzystnego wyniku były gorsze sposoby na przeżycie dusznego niedzielnego popołudnia niż w przyciemnionym pokoju chłodzonym klimatyzacją, przy butelce zimnego piwa.
- Chris Hoyle i Beck Merchant spędzali w tym pokoju dużo czasu. Była to idealna bawialnia dla

mężczyzn. Wyposażona w pięćdziesięciocalowy ekran telewizyjny i system głośników surround, zawsze pełny barek z wbudowaną maszyną do robienia lodu, chłodziarkę wypełnioną napojami bezalkoholowymi i piwem, stół do bilarda, tarczę do gry w rzutki i okrągły stół do gry w karty, otoczony sześcioma skórzanymi fotelami, miękkimi i nęcącymi jak piersi dziewczyny z okładki najnowszego „Maxima”. Pokój był wyłożony boazerią w kolorze ciemnego orzecha i wyposażony w solidne meble, które nie wymagały nadmiernej troski. Powietrze tu było przesiąknięte dymem papierosowym i zapachem testosteronu.

Beck otworzył kolejną butelkę piwa.

- I co z tym Klapsem? — spytał.

- Wrócił.

- Nie wiedziałem, że gdzieś wyjeżdżał. Właściwie to chyba nie spotkałem go od tamtego wieczoru, a i wtedy widziałem go jak przez mgłę, tak mi spuchły oczy.

Chris uśmiechnął się na wspomnienie owego zdarzenia.

- Jak na burdy barowe, tamta była naprawdę niezła. Zarobiłeś od Klapsa kilka dobrze wymierzonych ciosów. Zawsze umiał się posługiwać pięściami. Musiał, bo przez cały czas bił kogoś po gębie.

- Pewnie bił się w obronie przed okrutnymi kawałami na temat jego uszu.

- Niewątpliwie. W każdym razie ta jego niewyparzona gęba zawsze wpędza go w kłopoty.

Niedługo po kłótni z nami poważnił się z byłym mężem swej siostry. Poszło chyba o kosiarkę do trawy. Któregoś wieczoru krew zbyt mocno uderzyła mu do głowy i rzucił się na byłego szwagra z nożem.

- Zabił go?

- Tylko zranił, ale cięcie poszło przez brzuch i polało się wystarczająco dużo krwi, żeby oskarżyć Klapsa o napad z bronią w ręku i usiłowanie zabójstwa. Nawet jego własna siostra zeznawała

przeciwko niemu. Ostatnie trzy lata spędził w Angoli, a teraz jest na zwolnieniu warunkowym.

- No i dobrze.

- Nie za bardzo - skrzywił się Chris. - Klaps poszedł siedzieć przez nas. Przynajmniej tak powiedział trzy lata temu, kiedy wprowadzano go do furgonetki więziennej. Uważa za niesprawiedliwe, że trafił za kratki, a my nie. Wykrzykiwał inwektywy i groźby, od których mnie zmroziło.

- Nie przypominam sobie tego.

- Może byłeś wtedy w toalecie, liżąc rany. Tak czy owak, Klaps jest niezrównoważonym emocjonalnie i nieobliczalnym zabijaką, białym śmieciem z marginesu, którego jedyny talent polega na żywieniu uraz do ludzi. W tym akurat przoduje. Tamtej nocy go upokorzyliśmy i nawet jeśli był pijany, wątpię, aby nam wybaczył i zapomniał. Lepiej miej na niego oko.

- Ostrzeżenie przyjęte. - Beck zerknął przez ramię w stronę kuchni. - Czy jestem zaproszony na obiad?

- Zawsze.

- Znakomicie. - Umościł się wygodniej na sofie. - Cokolwiek tam dziś pichcą, od zapachu leci mi ślinka.

- Ciasto z kremem kokosowym. Nikt nie robi lepszych wypieków niż Selma.

- Zgadzam się z tobą w zupełności, Chris. - Do pokoju wszedł jego ojciec, Huff Hoyle, wachlując się słomkowym kapeluszem. - Podaj mi jedno piwko. Cholernie mnie suszy. Nie dałbym rady splunąć, nawet gdyby mój kutas stanął w ogniu.

Powiesił nakrycie głowy na wieszaku i opadł ciężko na rozkładany fotel. Otarł czoło rękawem.

- Diabli nadali, co za upał. - Z westchnieniem oparł się na powleczonej chłodną skórą poduszkach. - Dzięki, synu. - Chwycił zimną butelkę, którą otworzył dla niego Chris i wskazał nią w kierunku telewizora. - Kto wygrywa?

- Na pewno nie Bravesi. Właściwie to już koniec. - Beck wyłączył dźwięk, gdy komentatorzy zaczęli analizować przyczyny ich niepowodzenia w meczu. - Nie muszą tłumaczyć, dlaczego przegrali. Wystarczy nam wynik.

Huff zamruczał potakująco.

- Ich sezon skończył się dokładnie wtedy, gdy pozwolili tym pazernym cudzoziemskim primadonnom uczyć właścicieli klubu, co mają robić. Ogromny błąd. Przewidziałem to. -

Pociągnął długi łyk piwa, niemal osuszając butelkę.

- Grałeś w golfa dziś po południu? - spytał Chris.

- Było zbyt gorąco - odparł Huff, zapalając papierosa. - Zrobiliśmy tylko trzy dołki, a potem wróciliśmy do klubu na partyjkę remika.

- Na ile ich dzisiaj ograłeś?

Nie było sensu pytać, czy Huff wygrał, czy też przegrał. Zawsze był zwycięzcą.

- Kilka setek.

- Nieźle.

- Nie warto grać, kiedy się przegrywa - stary mrugnął do syna, a potem do Becka. Opróżnił butelkę jednym łykiem. - Widzieliście dziś Danny'ego?

- Powinien się tu za chwilę zjawić — odparł Chris. - Pod warunkiem, że zdoła wcisnąć spotkanie z nami pomiędzy niedzielną mszą poranną a wieczorny Anioł Pański.

- Nie psuj mi humoru - jęknął Huff. - Stracę jeszcze apetyt na obiad.

Huff uważał, że kaznodziejstwo, modlitwa i śpiewanie hymnów to rzecz dla kobiet i zniewieściałych mężczyzn. Porównywał organizację kościelną do organizacji przestępczej, z tym że Kościół był bezkarny i miał ulgi podatkowe. Huff wykazywał jednaką nietolerancję zarówno dla różnego rodzaju świętoszków, jak dla homoseksualistów i związkowców.

- Właśnie opowiadałem Beckowi o tym, że Klaps Watkins wyszedł na warunkowe - Chris



taktownie odwrócił uwagę ojca od młodszego brata i jego niedawnego zainteresowania sprawami duchowymi.

- Biały śmieć - wymruczał Huff, stukając o ziemię czubkiem buta. - Jak cała rodzina, począwszy od pradziadka Klapsa, który był najbardziej zatwardziałym rozpustnikiem, jakiego nosiła ziemia. Znaleźli go nieżywego z potłuczoną butelką whisky wepchniętą w gardło. Pewnie naraził się komuś o jeden raz za dużo. Muszą się tam u nich krzyżować wsobnie, bo każde z nich jest brzydkie jak samo piekło i głupsze niż but.

- Może i tak - roześmiał się Beck. - Jestem jednak winien Klapsowi odrobinę wdzięczności. Gdyby nie on, nie czekałbym tu dziś na niedzielny obiad.

Huff spojrział na niego z ojcowską czułością.

- Nie, Beck. To było ci pisane, tak czy owak. Sprawileś, że całe to zamieszanie z Gene'em Iversonem nabrało jakiegoś sensu. Twoje pojawienie się jest jedyną dobrą rzeczą, która z tego wynikła.

- To oraz impas ławy przysięgłych - dodał Chris. - Nie zapominajmy o tej dwunastce. Gdyby nie oni, nie siedziałbym dzisiaj tutaj, lecz w celi, z indywiduami pokroju Klapsa Watkinsa.

Chris często wspominał proces o zamordowanie Gene'a Iversona. Jego żartobliwe lekceważenie sprawiało, że Beck czuł się nieswojo, tak jak w tej chwili. Zmienił więc temat.

- Nie cierpię rozmów o sprawach zawodowych w dni wolne, ale jest coś, o czym powinniście się dowiedzieć.

- Dla mnie nie ma dni wolnych - powiedział Huff.

- A dla mnie są - mruknął z niechęcią Chris. - Złe wieści, Beck?

- Być może.

- Nie możemy pogadać o tym po obiedzie?

- Jeśli wolicie, oczywiście.

- Nie - zdecydował Huff. - Znasz moje podejście do złych nowin. Wolę je usłyszeć jak najszybciej, a już na pewno nie zamierzam z tym czekać do skończenia posiłku. Co się dzieje, Beck? Nie mów mi, że Agencja Ochrony Środowiska przywaliła mi kolejną karę pieniężną za te stawy...

- Nie, nie to. Niezupełnie.

- Więc co?

- Poczekaj. Najpierw naleję sobie drinka - powiedział Chris do Huffa. - Ty lubisz dowiadywać się o złych nowinach jak najwcześniej, a ja wolę ich wysłuchiwać ze szklanką burbona w dłoni.

Chcesz?

- Bez wody, ale nie żałuj lodu.

- Beck?

- Nie, dziękuję.

Chris podszedł do barku i sięgnął po karafkę oraz dwie szklanki. Wyjrzał przez okno, uchylając listewki żaluzji, a potem otworzył je szerzej.

- Co my tu mamy! - powiedział.

- Co się dzieje? - spytał Huff.

- Właśnie podjechał samochód szeryfa.

- A co myślałeś? Dziś dzień wypłaty.

- Nie sędzę, Huff - odparł Chris, wciąż wyglądając przez okno. - Przywiózł kogoś ze sobą.

- Kogo?

- Nie wiem. Nigdy wcześniej go nie widziałem. - Dokończył nalewanie drinków i podał ojcu.

Cała trójka w milczeniu słuchała, jak Selma wychodzi z kuchni i człapie w kierunku drzwi wejściowych, przy których rozległ się dzwonek. Gospodyni przywitała przybyszów, ale odgłosy rozmowy były zbyt wytłumione, aby można zrozumieć, o co chodzi. Usłyszeli zbliżające się

kroki i po chwili w drzwiach do biblioteki pojawiła się Selma.

- Panie Hoyle, szeryf Harper do pana. Huff gestem nakazał wprowadzić gości.

Rudy Harper został mianowany na stanowisko szeryfa przed trzydziestu laty, dzięki hojnemu wsparciu ze strony Huffa. Pieniądze zapewniły Rudemu pewną wygraną i wygodne życie na posadzie, aż do dnia dzisiejszego.

Włosy Rudego, w młodości ognistoczerwone, teraz wyblakły i pociemniały, jakby jego głowę pokryła rdza. Był mężczyzną niemal dwumetrowego wzrostu, tak przy tym chudym, że solidny skórzany pas z kaburą i policyjnym ekwipunkiem wyglądał jak dętka przewieszona przez sztachetę w płocie. Szeryf robił wrażenie wypranego z wszelkich sił, i to nie tylko z powodu panującego na zewnątrz upału. Miał długą, wymizerowaną twarz, jakby ciążyły na niej wyrzuty sumienia wywołane trzema dekadami korupcji. Zachowywał się jak człowiek, który zbyt tanio sprzedał duszę diabłu. Zawsze był ponury, ale teraz, gdy wsunął się do pokoju i zdjął kapelusz, wydał się wszystkim szczególnie przygnębiony.

Towarzyszący mu młodszy oficer, którego nigdy wcześniej nie widzieli, wyglądał z kolei, jakby ktoś zanurzył go w kadzi pełnej krochmalu. Ogolony tak gładko, że jego policzki poróżowiały od pociągnięć żyłki, był czujny i spięty niczym sprinter czekający w blokach na wystrzał sygnalizujący rozpoczęcie biegu.

Rudy Harper skinął lekko w kierunku Becka, a potem spojrzał na Chrisa stojącego za oparciem fotela ojca. Wreszcie jego wzrok spoczął na Huffie, który nie ruszył się z miejsca.

- Witaj, Rudy - powiedział.

- Dzień dobry. - Szeryf unikał jego wzroku, wpatrując się usilnie w rondo kapelusza, które miętosił chudymi palcami.

- Drinka?

- Nie, dziękuję.

Huff nigdy nie wstawał, żeby okazać ludziom szacunek. Wszyscy w miasteczku wiedzieli, że jego zdaniem nikt, poza nim samym, nie zasługuje na taki gest. Teraz jednak, powodowany niecierpliwością, opuścił podnózek fotela i zerwał się na nogi.

- Co się dzieje? Co jest? - obrzucił spojrzeniem wypucowanego towarzysza szeryfa.

Rudy odchrząknął, opuścił kapelusz i nerwowo postukał nim o udo. Minęła dłuższa chwila, zanim wreszcie spojrział Huffowi prosto w oczy. Wszystko to podpowiedziało Beckowi, że sprawa, z którą przybył tu dziś szeryf, jest znacznie poważniejsza niż odebranie comiesięcznej łapówki,

- Chodzi o Danny'ego... - zaczął Rudy.

Autostrada zmieniła się nie do poznania. Sayre Lynch pokonywała drogę między międzynarodowym portem lotniczym w Nowym Orleanie a Destiny wiele razy, dziś jednak wydawało się jej, że podróżuje tędy po raz pierwszy.

Charakterystyczne dla miejscowego krajobrazu obiekty zostały w imię postępu zrównane z ziemią lub przesłonięte. Urok rolniczej Luizjany został zduszony przez krzykliwy komercjalizm. Niewiele oryginalnych i malowniczych miejsc przetrwało szturm. Sayre mogła się teraz równie dobrze znajdować w jakimkolwiek innym miejscu w Stanach.

Małe, rodzinne kawiarenki zostały zastąpione przez fast foody. Zamiast domowych pasztecików i muffaletta[rodzaj kanapki z pastą oliwkowo-czosnkową] sprzedawano tu teraz kubeczki z pieczonymi skrzydełkami i zestawy promocyjne. Ręcznie wymalowane szyldy ustąpiły miejsca neonom. Karty dań wypisywane codziennie na czarnych tablicach zostały wyparte przez bezosobowe głosy w okienkach dla zmotoryzowanych.

Podczas jej wieloletniej tu nieobecności buldożery wyrwały z korzeniami porośnięte mchem drzewa, aby poszerzyć autostradę. Rozbudowa pomniejszyła niegdyś rozległe i tajemnicze bagna. Gęste rozlewiska były teraz owinięte wstęgami zjazdów i wjazdów na autostradę, wiecznie zakorkowanych minifurgonetkami i pikapami.

Aż do tej chwili Sayre nie zdawała sobie sprawy z ogromu swej nostalgii, ale te drastyczne przekształcenia krajobrazu wzbudziły w niej tęsknotę za dawnym porządkiem rzeczy. Pragnęła jeszcze raz poczuć zapachy cayenne i filé[utarte liście sasafrzanu], usłyszeć żargon ludzi, którzy serwowali dania cajun, przygotowane w niespełna trzy minuty.

Nowoczesne autostrady czyniły podróż znacznie krótszą, ale Sayre wolałaby teraz jechać drogą, którą znała, ze szpalerem drzew rosnących tak blisko siebie, że ich gałęzie przeplatały się, tworząc sklepienie rzucające kratkowany cień na asfalt. Tęskniła za czasami, kiedy mogła

podróżować z opuszczonymi oknami i zamiast duszących spalin wdychać świeże powietrze przesycone zapachem kapryfolium magnolii, z nutką wilgoci z rozległych mokradeł.

Zmiany, które nastąpiły tu w ciągu ostatnich dziesięciu lat, drażniły jej zmysły i znieważały wspomnienia miejsca, w którym dorastała. Mimo to wiedziała, że jej wewnętrzne przeobrażenie było prawdopodobnie równie drastyczne, choć może mniej widoczne. Ostatnim razem, gdy znalazła się na tej drodze, jechała w przeciwnym kierunku, uciekając z Destiny. Tamtego dnia im bardziej oddalała się od domu, tym lepiej się czuła, zupełnie jakby warstwa po warstwie opadały z niej wszystkie negatywne wspomnienia. Dzisiaj wracała i strach ciążył jej niczym średniowieczna zbroja.

Nostalgia, nieważne jak dręcząca i silna, nigdy nie skłoniłaby jej do powrotu. Tylko śmierć brata, Danny'ego, mogła ją do tego zmusić. Najwyraźniej wytrzymał z Huffem i Chrisem tak długo, jak potrafił, po czym uwolnił się od nich w jedyny dostępny dla niego sposób.

Gdy zbliżyła się do rogatek Destiny, jakby na zawołanie zobaczyła najpierw kominy. Sterczały wojowniczo nad miastem, wielkie, czarne i szpetne, wypuszczając jak co dzień kłęby dymu. Zamknięcie pieców, nawet w dniu pogrzebu Danny'ego byłoby zbyt kosztowne i niewydajne. Znając Huffa, wiedziała, że prawdopodobnie nawet nie przeszło mu przez myśl, żeby w ten sposób uszanować pamięć najmłodszego dziecka.

Na wielkim transparencie na granicy miasta widniał napis: „Witamy w Destiny, domu Hoyle Enterprises”. Tak jakby był to jakiś powód do dumy, pomyślała. Odlewanie żelaznych rur uczyniło Huffa bogaczem, ale jego pieniądze były znaczone krwią.

Sayre jechała ulicami miasta, które kiedyś przemierzała na rowerze. Później nauczyła się prowadzić i rozbijała się po nich samochodem z przyjaciółmi, szukając rozrywki, chłopców i każdej szalonej uciechy, jaką potrafili wymyślić.

Od kościoła metodystów dzieliło ją jeszcze jedno skrzyżowanie, gdy usłyszała dźwięk organów.

Były podarunkiem dla parafii od jej matki, Laurel Lynch Hoyle. Przytwierdzono na nich tabliczkę z brązu z jej imieniem. Jako jedyne w całym Destiny, organy były dumą i radością małej kongregacji. Nie mógł się nimi pochwalić żaden z kościołów katolickich, chociaż Destiny było głównie katolickim miastem. Podarunek jej matki był szczery i hojny, ale stał się kolejnym symbolem bezwzględnej dominacji Hoyle'ów nad miastem i jego mieszkańcami.

Jakie to smutne, że dziś organy wygrywały pieśń pogrzebową dla jednego z dzieci Laurel Hoyle, syna, który umarł pięćdziesiąt lat za wcześnie, odbierając sobie życie.

Sayre dowiedziała się o tym w niedzielę po południu, gdy wróciła do swojego biura ze spotkania z klientem. Zazwyczaj nie pracowała w niedzielę, ale był to jedyny dzień, który ów klient mógł poświęcić na rozmowę. Julia Miller, niedawno świętująca pięciolecie asystowania Sayre, nie pozwoliłaby pracować swojej szefowej samotnie. Podczas gdy Sayre rozmawiała z klientem, sekretarka nadrabiała zaległości w robocie papierkowej. Gdy Sayre wróciła do biura, Julia wręczyła jej kartkę z wiadomością.

- Ten pan dzwonił trzy razy, pani Lynch. Nie chciałam podawać mu pani numeru telefonu, chociaż nalegał.

Sayre zerknęła na numer międzymiastowy, po czym zmięła kartkę i wrzuciła ją do kosza.

- Nie życzę sobie rozmawiać z moją rodziną.

- On nie jest pani krewnym. Powiedział, że pracuje dla rodziny i że to bardzo ważne, chce skontaktować się z panią jak najprędzej.

- Nie mam ochoty rozmawiać z nikim, kto pracuje dla mojej rodziny. Są jakieś inne wiadomości? Czy nie dzwonił przypadkiem pan Taylor? Obiecał mi na jutro te lambrekiny.

- Chodzi o pani brata. Nie żyje.

Sayre zatrzymała się tuż przed drzwiami gabinetu. Przez długą chwilę wpatrywała się przez rząd okien w most Golden Gate. Tylko sam szczyt rdzawoczerwonych filarów wystawał ponad gęsty

dywan mgły. Woda w zatoce była szara, zimna i wzburzona, jakby targana złymi przeczuciami.

- Który? - spytała, nie odwracając się.

- Który co?

- Brat.

- Danny.

Danny, który dzwonił do niej dwa razy w ciągu ostatnich kilku dni. Danny, z którym nie chciała rozmawiać. Sayre odwróciła się do swojej asystentki. Julia spoglądała na nią ze współczuciem.

- Twój brat Danny umarł dziś rano, Sayre. Pomyślałam, że powinnaś się o tym dowiedzieć bezpośrednio, nie przez telefon.

Sayre westchnęła ciężko.

- Jak?

- Wydaje mi się, że powinnaś o tym porozmawiać z tym całym Merchantem.

- Julia, proszę cię. Jak umarł Danny?

- Podobno popełnił samobójstwo - powiedziała łagodnie Julia. - Przykro mi. To wszystko, co powiedział pan Merchant - dodała po chwili.

Sayre powędrowała do gabinetu i zamknęła za sobą drzwi. Słyszała, jak w sekretariacie kilkakrotnie rozlega się dzwonek telefonu, jednak Julia nie przełączyła żadnych rozmów, zakładając, że Sayre potrzebuje nieco czasu, by zebrać myśli i oswoić się z nowiną.

Czy Danny dzwonił do niej, żeby się pożegnać? Jeżeli tak, to czy potrafi żyć z poczuciem winy, że odmówiła rozmowy z nim?

Po godzinie Julia zapukała cicho do gabinetu.

- Wejdz, proszę - zawołała Sayre. - Nie ma sensu, żebyś zostawała tu dłużej - powiedziała, gdy Julia otworzyła drzwi. - Idź do domu. Poradzę sobie.

Asystentka położyła na biurku kartkę papieru.



- Mam jeszcze dużo roboty. Jeśli będziesz mnie potrzebować, wezwij przez interkom. Czy mogę ci jakoś pomóc?

Sayre pokręciła głową. Julia wycofała się z gabinetu, zamykając drzwi. Na pozostawionej przez nią kartce widniała data i miejsce pogrzebu. Wtorek, jedenasta rano. Sayre nie była zaskoczona, że uroczystość zorganizowano tak szybko. Huff nie lubił tracić czasu. Wraz z Chrisem nie mogli się pewnie doczekać, żeby mieć to za sobą. Pochować Danny'ego i jak najszybciej wrócić do normalnego życia.

Sayre również odpowiadał dzień pogrzebu. Zapobiegał zbyt długim rozważaniom na temat wzięcia udziału w ceremonii. Nie mogła w nieskończoność odwlekać podjęcia decyzji.

Wczoraj rano złapała samolot do Nowego Orleanu, z przesiadką w Dallas-Fort Worth.

Przyleciała na miejsce późnym popołudniem. Przespacerowała się do Dzielnicy Francuskiej, zjadła obiad w barze gumbo i zatrzymała się w hotelu Windsor Court, gdzie mimo komfortu spędziła bezsenną noc. Nie chciała wracać do Destiny. Nie chciała. To głupie, ale obawiała się wpaść w sidła, które ją tam uwiążą, na zawsze pozostawiając w łapach Huffa.

Nadejście świtu nie przyniosło ulgi. Wstała, ubrała się w czarną pogrzebową garsonkę i wyruszyła do Destiny, planując przybycie tuż przed rozpoczęciem ceremonii i wyjazd zaraz po jej zakończeniu.

Parking przed kościołem z białą strzelistą wieżą i witrażowymi drzwiami był już zastawiony, podobnie jak okoliczne ulice. Musiała zaparkować kilka przecznic dalej. Gdy przekraczała próg świątyni, dzwon ogłosił właśnie godzinę jedenastą.

W porównaniu z upałem panującym na zewnątrz, w środku było chłodno, ale, jak zauważyła, wszyscy i tak używali papierowych wachlarzy, nadrabiając w ten sposób brak klimatyzacji.

Wślizgnęła się na miejsce w ostatnim rzędzie dokładnie w chwili, gdy chór odśpiewał do końca pieśń na wejście i pastor stanął przy pulpicie.

Ludzie pochylili głowy do modlitwy, Sayre zaś spojrzała w stronę trumny ustawionej na nosidlach przed prezbiterium. Była prosta, srebrna i zamknięta. Ucieszyła się z tego powodu. Nie zniosłaby chyba widoku Danny'ego, leżącego niczym woskowa lala w trumnie wyłożonej aksamitem. Powstrzymała dalsze myśli i skoncentrowała się na eleganckiej prostocie wiązanek białych lili na wieku trumny.

Nie dostrzegła nigdzie Huffa ani Chrisa, ale zapewne obaj siedzieli w pierwszym rzędzie, z odpowiednio żałobnymi minami. Hipokryzja rodziny budziła w niej mdłości.

Wymieniono ją jako jedną z najbliższych krewnych zmarłego:

- Siostra, Sayre Hoyle, zamieszkała w San Francisco - zaintonował duchowny.

Chciała wstać i krzyknąć, że Hoyle już dawno przestało być jej nazwiskiem. Po drugim z kolei rozwodzie zaczęła używać panińskiego nazwiska matki i tak firmowała dyplom ze studiów, firmową papeterię, kalifornijskie prawo jazdy i paszport. Nie nazywała się już Hoyle, ale wiedziała, że ktokolwiek podawał listę krewnych pastorowi, specjalnie umieścił na niej to właśnie nazwisko.

Homilia była żywcem wyjęta z kaznodziejskiego podręcznika. Wygłosił ją duchowny o błyszczącej od potu twarzy, wyglądający na nieletniego. Jego uwagi były skierowane ogólnie ku ludzkości. Niewiele wspominał o Danny'm jako człowieku. Nie powiedział o nim niczego wzruszającego czy osobistego. Było to tym bardziej smutne, że nawet własna siostra zmarłego kilka dni przed jego śmiercią odmówiła rozmowy z nim.

Nabożeństwo zakończyło się odśpiewaniem *Amazing Grace*. W kościele rozległo się tu i ówdzie pochlipywanie. Trumnę niosło czterech dyrektorów Hoyle Enterprises, jakiś blondyn, którego nie znała, i Chris. Powoli prowadzili Danny'ego główną nawą kościoła, dając Sayre aż nadto czasu, by przyjrzała się swemu starszemu bratu. Był jak zwykle elegancki i przystojny, w stylu filmowego idola z lat trzydziestych. Brakowało mu jedynie cienkiego wąsika. Włosy, wciąż

kruczoczarne, przystrzygł nieco krócej niż zazwyczaj i postawił z przodu na żel. Dość młodzieżowy wygląd jak na prawie czterdziestolatka, ale trzeba przyznać, że ani trochę nie raził. Jego oczy, z tęczęwkami niemal tak czarnymi, jak źrenice, wywoływały niepokój. Huff szedł tuż za trumną. Nawet przy tej okazji roztaczał wokół siebie aurę wyższości. Trzymał się prosto, dumnie unosząc głowę. Każdy krok stawiał pewnie, jak zdobywca, który ma niezaprzeczone prawo do posiadania ziemi, po której stąpa. Jego usta były jak zwykle zaciśnięte w cienką, stanowczą linię, którą Sayre tak dobrze pamiętała. Oczy błyszczały niczym czarne paciorki wypchanej lalki. Były suche i czyste - ojciec nie płakał po Dannym. Włosy, zupełnie już zbielałe, nadal układał gładko, z iście wojskową precyzją. Przybyło mu kilka kilogramów w talii, ale nadal był tak żywotny, jakim go zapamiętała. Na szczęście ani on, ani Chris jej nie zauważyli. Pragnąc uniknąć tłumu i rozpoznania, wyslizgnęła się na dwór bocznymi drzwiami. W procesji na cmentarz jechała jako ostatnia. Zaparkowała w dość dużej odległości od namiotu, który rozstawiono nad świeżo wykopanym grobem.

W ponurych grupkach i pojedynczo ludzie wspinali się po łagodnym wzniesieniu ku miejscu pochówku. Prawie wszyscy odziani byli w najlepsze odświętne ubrania, teraz przeopcone od upału. Większość z nich włożyła zbyt ciasne, rzadko używane buty.

Wielu z tych ludzi Sayre znała z imienia. Byli to mieszkańcy miasteczka, którzy całe swoje życie spędzili w Destiny. Niektórzy prowadzili małe firmy, lecz większość z nich w ten czy w inny sposób pracowała dla Hoyle'ów.

Dostrzegła kilkoro wykładowców ze szkoły publicznej. Największym marzeniem jej matki było posłanie dzieci do najbardziej ekskluzywnych prywatnych szkół na Południu, ale Huff pozostał nieugięty. Chciał, by uczyli się prawdziwego życia, pozostając pod jego kuratelą. Każdą dyskusję na ten temat ucinał, mówiąc: „Prywatna szkoła dla mazgajów nie nauczy ich życia i tego, jak się przez nie przebijać łokciami”. Matka, jak zwykle w przypadku kłótni, ustępowała z pełnym

rezygnacji westchnięciem.

Sayre została w samochodzie, czekając z silnikiem pracującym na jałowym biegu. Na szczęście pogrzeb był litościwie krótki. Gdy tylko się zakończył, tłum żałobników powrócił do wozów, starając się ukryć pośpiech.

Huff i Chris wyszli spod namiotu ostatni, wprzód uściskawszy dłoń duszpasterzowi. Sayre obserwowała, jak wsiadają do limuzyny podstawionej dla nich przez dom pogrzebowy Weirów. Stary Weir wciąż prowadził firmę, chociaż już dawno minęły lata jego świetności. Otworzył teraz drzwi limuzyny i odsunął się na dyskretną odległość. Huff i Chris przeprowadzili krótką rozmowę z blondynem, który wcześniej niósł trumnę Danny'ego. Potem obaj wsiedli do wozu, blondyn pomachał im na pożegnanie, pan Weir zasiadł za kierownicą i limuzyna odjechała z cmentarza. Sayre była zadowolona, widząc, jak znikają za zakrętem. Odczekała jeszcze dziesięć minut, aż ostatni uczestnik ceremonii opuścił cmentarz, po czym wyłączyła silnik i wysiadła z samochodu.

- Pani rodzina prosiła mnie o przywiezienie pani do domu, na stypę.

Zaskoczona, obróciła się w miejscu tak gwałtownie, że wzbudziła małą fontannę żwiru na parkingu.

Opierał się o bagażnik jej samochodu. Przez ramię trzymał przewieszoną marynarkę. Miał rozluźniony krawat, rozpiętą pod szyją koszulę i podwinięte do łokci rękawy. Nosił okulary przeciwsłoneczne.

- Nazywam się Beck Merchant.

- Domyśliłam się tego.

Widziała jego nazwisko wcześniej, w gazetach, i zastanawiała się, czy wymawiał je z francuska. Nie robił tego. Jego wygląd też był typowo amerykański, począwszy od blond włosów, poprzez szeroki uśmiech i proste zęby, po spodnie od Ralpho Laarena.

- Miło mi panią poznać, pani Hoyle - powiedział, nie zwracając uwagi na jej niemiły ton.

- Lynch.

- Poprawka przyjęta - odparł uprzejmie, jednocześnie uśmiechając się z kpina.

- Czyżby przekazywanie wiadomości też należało do pana obowiązków? Myślałam, że jest pan ich prawnikiem.

- Prawnikiem, chłopcem na posyłki...

- Poplecznikiem.

Przyłożył dłoń do serca i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Zbyt mi pani pochlebia.

- Wątpię. - Zatrzęsła drzwi samochodu. - Przekazał mi pan zaproszenie, proszę im odpowiedzieć, że nie skorzystam. A teraz chciałabym zostać sama, aby pożegnać się z Dannym - odwróciła się i zaczęła wspinać w stronę grobu.

- Proszę się nie spieszyć. Zaczekam na panią.

Ponownie się odwróciła.

- Ani myślę pojawić się na ich cholernej stypie. Gdy tylko zrobię to, co zamierzałam, wracam do Nowego Orleanu, a stamtąd odlatuję do San Francisco.

- Może to pani zrobić, albo zachować się przyzwoicie i wziąć udział w pożegnaniu brata. Po zakończeniu przyjęcia prywatny odrzutowiec Hoyle Enterprises odwiezie panią do San Francisco, przez co zaoszczędzi sobie pani kłopotów podróży liniowcami.

- Stać mnie na wyczarterowanie własnego odrzutowca.

- Tym lepiej.

Sama wpadła w jego sidła i nienawidziła się za to. Była w Destiny dopiero od godziny i już zaczęła wracać do starych nawyków. Nauczyła się jednak, jak rozpoznawać niebezpieczeństwo i unikać go.

- Dziękuję, ale nie, panie Merchant. Żegnam.

Ruszyła z boczem wzgórza ku grobowi.

- Czy wierzy pani w samobójstwo Danny'ego?

Nie spodziewała się, że mógłby powiedzieć coś takiego. Znów odwróciła się i spojrzała na niego.

Nie opierał się już leniwie o bagażnik, lecz postąpił kilka kroków w jej kierunku, jakby nie tylko chciał usłyszeć odpowiedź, ale ocenić reakcję na to zaskakujące pytanie.

- A pan? - spytała.

- Nieważne, w co ja wierzę - odparł, - Biuro szeryfa kwestionuje sposób śmierci pani brata.

- Dobrze to panu zrobi, paniczku - powiedziała Selma, wręczając Chrisowi talerz pełen jedzenia.

- Dziękuję.

- Czy mogę coś panu podać, panie Hoyle? - Gospodyni, choć miała dzisiaj wolne, na żałobne ubranie wdziała fartuch. Wyglądała dość osobliwie, zwłaszcza że wciąż była w kapeluszu, który włożyła na nabożeństwo.

- Poczekam z tym trochę, Selmo.

- Nie jest pan głodny?

- Jest za gorąco, żeby jeść.

Dach nad gankiem frontowym zapewniał wprawdzie cień, ale nawet i to nie było wystarczającą ochroną przed wszędobylskim upałem. Wiatraki pod sufitem pracowały pełną parą, lecz międkliły jedynie rozgrzane powietrze. Huff często ocierał spoconą twarz chusteczką. W domu klimatyzacja utrzymywała wnętrza w przyjemnym chłodzie, ale uznał za właściwe, aby wraz z Chrisem witać przybywających gości w progu i tam też przyjmować ich kondolencje.

- Jeżeli będzie pan czegoś potrzebował, proszę tylko zawołać, zaraz podam. - Selma, ocierając załzawione oczy, weszła do domu przez szerokie drzwi wejściowe, które ustroiła żałobnymi chorągiewkami. Kręciła nosem na pomysł wynajęcia aprowizatora, który miał się zająć zorganizowaniem stypy. Nie lubiła, gdy obcy pchali się jej do kuchni. Huff jednak nalegał. Selma nie powinna urządzać tego przyjęcia. Od kiedy dowiedziała się o Dannym, co chwila dostawała napadów głośnego płaczu, padała na kolana i składając ręce, wołała o miłosierdzie Boże.

Selma pracowała dla Hoyle'ów od chwili, kiedy prawie czterdzieści lat temu Huff przeniósł Laurel przez próg tego domu. Jego świeżo poślubiona żona wychowywała się w domu pełnym służby, więc naturalną kolejną rzeczą zrzekła się prowadzenia gospodarstwa na rzecz Selmy, opiekuńczej kobiety w średnim wieku, jak wówczas sądzili. Teraz jej wiek stał się dla wszystkich

zagadką. Nie mogła ważyć więcej niż pięćdziesiąt kiło, ale była silna i wytrzymała niczym młoda wierzba.

Kiedy pojawiły się dzieci, Selma stała się ich nianią. Po śmierci Laurel, Danny, jako najmłodsza pociecha, potrzebował najwięcej czułości. Selma matkowała mu i od tego czasu łączyło ich coś szczególnego. Dlatego tak bardzo przeżywała jego śmierć.

- Widziałem bufet w jadalni - rzekł Chris, odstawiając na wiklinowy stolik talerz z nietkniętym jedzeniem. - Nie sądzisz, że ten nadmiar jedzenia i alkoholu jest nieco wulgarny?

- Nigdy nie zaznałeś dnia głodu w swoim życiu, nie masz więc prawa osądzać, czy na stole jest za dużo jedzenia.

W głębi duszy Huff również uważał, że może nieco przesadził z hojnością, ale przez całe życie pracował jak szaleniec, żeby zapewnić dzieciom to, co najlepsze, i teraz też nie zamierzał niczego skąpić.

- Zamierzasz mi teraz przypominać, jaki jestem niewdzięczny za to wszystko, co posiadam, i że nie mam pojęcia, co to znaczy żyć bez podstawowych rzeczy, jak wy za młodu?

- Cieszę się, że tego doświadczyłem. Dzięki temu postanowiłem nigdy więcej nie cierpieć z powodu ubóstwa i osiągnąłem obecną pozycję. Ty zaś dzięki mnie jesteś tym, kim jesteś.

- Spokojnie, Huff. - Chris przysiadł na jednym z foteli bujanych. - Znam to wszystko na pamięć.

Wysłałem tę wiedzę z mlekiem matki. Nie musimy dziś przerabiać wszystkiego od początku.

Huff poczuł, że ciśnienie wraca mu do normy.

- To prawda, nie musimy. A teraz wstań. Mamy kolejnych gości.

Chris stanął u jego boku, obserwując kolejną parę, wspinającą się ku nim po schodach.

- Jak leci, George? Witaj, Lila. Dziękuję, że przyszliście - powiedział Huff.

George Robson ścisnął Huffa swoimi obiema dłońmi. Były wilgotne, miękkie i blade. Jak cały

George, pomyślał Huff z obrzydzeniem.



- Danny był wspinałym młodym człowiekiem, Huff. Najlepszym, jakiego znałem.
- Masz absolutną rację, George. - Huff cofnął rękę, z trudem powstrzymując się od wytarcia jej o nogawkę spodni. - Dziękuję za te słowa.
- To bardzo tragiczne wydarzenie.
- Święta prawda.

Dużo młodsza od George'a jego żona nie mówiła nic, ale Huff zauważył sprytne spojrzenie, jakie posłała Chrisowi, który uśmiechnął się do niej i rzucił:

- Lepiej zabierz swoją ślicznotkę z tego upału do środka, George. Wygląda tak słodko, że zaraz się roztopi. Poczęstujcie się jedzeniem.
- W domu jest mnóstwo ginu, George - dodał Huff. - Każ jednemu z barmanów przyrządzić drinka w wysokiej szklance i niech nie dolewają za dużo toniku.

Mężczyzna wydawał się zadowolony z tego, iż Huff pamiętał o jego ulubionym napoju.

Pospiesznie wprowadził żonę do środka. Kiedy już nie mogli ich usłyszeć, Huff zwrócił się do Chrisa:

- Od kiedy sypiasz z Lilą?
- Od zeszłej soboty po południu, kiedy George był na rybach z synem z pierwszego małżeństwa. Na tym polega przewaga drugich żon - dodał Chris z uśmiechem. - Zazwyczaj w pobliżu pałeta się jakieś potomstwo, które dostarcza ich mężom zajęcia przynajmniej przez dwa weekendy w miesiącu.

Huff skrzywił się na te słowa.

- Skoro już mowa o żonach, czy w przerwach pomiędzy obracaniem Lili Robson udało ci się porozmawiać z Mary Beth?
- Przez jakieś pięć sekund.
- Powiedziałaś jej o Dannym?

- Zaraz po przywitaniu oświadczyłem: „Mary Beth, Danny się zabił”, na co ona: „Zatem mój udział w waszej fortunie właśnie się powiększył”.

Huff poczuł uderzenie krwi do głowy.

- Ja jej pokażę udział! Ta dziewczucha nie zobaczy ani centa z moich pieniędzy! Chyba że zrobi to, co powinna, i da ci rozwód. I to nie wtedy kiedy zechce, ale teraz. Pytałeś u te papiery rozwodowe, które do niej wysłaliśmy?

- Nieszczególnie, ale Mary Beth i tak ich nie podpisze.

- Więc wracaj do niej i zrób jej dzieciaka.

- Nie mogę.

- Nie chcesz.

- Nie mogę.

Zaalarmowany ponurym tonem syna, Huff przymrużył oczy.

- Co to znaczy? Czy jest coś, czego mi nie mówisz? Coś, o czym nie wiem?

- Porozmawiamy później.

- Porozmawiamy teraz.

- To nie jest odpowiedni moment - odparł Chris, akcentując każde słowo. - Poza tym robisz się czerwony na twarzy, a obaj wiemy, co to oznacza przy twoim wysokim ciśnieniu. - Ruszył w kierunku drzwi. - Idę po drinka.

- Zaczekaj. Spójrz tylko na to.

Skinieniem głowy Huff wskazał na podjazd, na którym właśnie zatrzymał się Beck. Tuż za nim pojawił się drugi samochód. Beck podszedł do niego, otworzył drzwi od strony kierowcy i wyciągnął rękę. Ze środka wynurzyła się Sayre, ignorując gest Becka. Wyglądała na gotową zabić go, gdyby choć raz jej dotknął.

- Niech mnie diabli - powiedział Chris. Przyglądali się dwójce przybyłych, przemierzających

dzieliniec ku gankowi. W połowie drogi Sayre uniosła głowę i spojrzała przed siebie spod szerokiego ronda czarnego słomkowego kapelusza. Widząc stojących na szczycie schodów Huffa i Chrisa, zmieniła kierunek i skręciła w bok, na ścieżkę wiodącą na tyły domu. Huff obserwował ją, dopóki nie zniknęła za rogiem. Nie wiedział, czego ma oczekiwać po córce po tak długiej nieobecności, ale był dumny z tego, co zobaczył. Sayre Hoyle - bo ta cała zmiana nazwisk to oczywista bzdura - wyrosła na piękną kobietę. Bardzo piękną. Nie mogło być lepiej.

Beck wspiął się po schodach i stanął obok nich.

- Jestem pod wrażeniem - rzekł Chris. - Wydawało mi się, że odeśle cię do wszystkich diabłów,

- Prawie zgadłeś.

- Co się stało?

- Tak jak się spodziewałeś, Huff, planowała odjechać bez spotkania się z tobą.

- Jakim cudem udało ci się ją tutaj ściągnąć?

- Zaapelowałem do jej poczucia lojalności wobec rodziny oraz do sumienia.

Chris zarechotał.

- Czy zawsze była taka zarozumiała? - spytał Beck. Chris potaknął, a Huff rzucił:

- Od dziecka była trochę wyniosła.

- Bardzo mile określenie kogoś, kto jest po prostu upierdliwy. - Chris ogarnął wzrokiem

dzieliniec. - Wygląda na to, że wszyscy goście już przybyli. Wejdzmy do środka i spełnijmy naszą powinność wobec Danny'ego.

Dom był pełen ludzi, co wcale nie zaskoczyło Becka. Każdy, kogo cokolwiek łączyło z

Hoyle'ami, przybył tu dziś, aby oddać cześć zmarłemu.

Pojawili się wszyscy dyrektorzy i kierownicy fabryki, wraz z małżonkami. Robotników przybyło tylko kilku. Byli to ludzie, którzy pracowali u Huffa niemal od samego początku. Stali z dala od wszystkich, w krawatach i koszulach z krótkimi rękawami, wyraźnie spięci faktem, że

przebywają w domu Huffa Hoyle'a. Niezgrabnie trzymali talerze z jedzeniem, starając się nie upuścić niczego na podłogę.

Przybyli też klakierzy, zawsze chętni do przyklaskiwania Hoyle'om, ponieważ od tego zależały ich przychody. Miejscowi politycy, bankierzy, nauczyciele, detaliści i lekarze - wszyscy czerpali zysk ze szczodrości Huffa. Gdyby któryś z nich zadarł z potentatem, w okamgnieniu wypadłby z interesów. Było to niepisane prawo

i wszyscy w miasteczku o tym wiedzieli. Każdy z gości wpisał się do księgi pamiątkowej, żeby Huff wiedział o ich przybyciu, nawet jeśli nie zamieni z nimi ani słowa na przyjęciu.

Najmniej liczną grupę stanowili ludzie, którzy przybyli tu dla Danny'ego. Na tle tłumu wyróżniali się tym, że ich twarze wyrażały szczery smutek. Przez większą część stypy stali stłoczeni w jednym kącie, rozmawiając przygaszonymi głosami. Nie mieli zbyt wiele do powiedzenia gospodarzom, z obojętności lub z onieśmienia. Opuścili przyjęcie, gdy tylko pozwoliła im na to przyzwoitość.

Beck wmieszał się w tłum, przyjmując po drodze kondolencje, jako *bona fide* członek rodziny.

Sayre również spacerowała po domu, rozmawiając wyłącznie z gośćmi.

Unikała Becka, Chrisa i Huffa, ignorując ich tak, jakby ich tu w ogóle nie było. Beck zauważył, że ludzie trzymali się od niej na dystans, dopóki sama do nich nie podeszła. Byli to prości mieszkańcy małego miasteczka. Sayre w niczym ich nie przypominała. Chociaż zachowywała się bardzo otwarcie, onieśmiała gości swoją klasą i elegancją.

Beckowi udało się napotkać jej spojrzenie tylko raz. Szła wtedy przez główny hol domu, obejmując wypłakującą się na jej piersi Selmę. Spozrzegła, że się jej przygląda i spojrzała nań, jakby był powietrzem.

Minęły dwie godziny, zanim tłum zaczął się przerzedzać. Beck dołączył do Chrisa, który buszował przy bufecie.

- Gdzie jest Huff?

- Pali papierosa w bibliotece. Dobra szynka. Próbowales?

- Jeszcze nie. Z Huffem wszystko w porządku?

- Sądzę, że jest po prostu zmęczony. Ostatnie dni nie należały do najlżejszych.

- A jak ty się czujesz?

Chris wzruszył ramionami.

- Różniliśmy się z Dannym, sam wiesz najlepiej, ale mimo to był moim bratem.

- Sprawdzę, co z Huffem. Zostawię cię w roli gospodarza.

- Wielkie dzięki - wymruczał Chris.

- Nie może być aż tak źle. Widzę Lilę Robson. - Chris szczyił się niepomrotnie swoim najnowszym podbojem, potwierdzając jedynie to, co Beck od dawna podejrzewał - że mąż Lili był idiotą. - Wygląda na smutną. Przydałoby się jej nieco towarzystwa.

- Nie jest smutna. Po prostu się dąsa.

- Z jakiego powodu?

- Uważa, że jestem z nią wyłącznie dla seksu.

- Dlaczego miałyby tak myśleć? - spytał Beck sarkastycznie.

- Nie mam pojęcia. Zaczęła narzekać zaraz po tym, jak obciągnęła mi fiuta w łazience na górze. -

Chris zerknął na zegarek. - Jakies dziesięć minut temu - dodał.

- Nie mówisz poważnie? - Beck spojrzał na przyjaciela.

Chris wzruszył ramionami, ani nie potwierdzając, ani nie zaprzeczając.

- Idź do Huffa, zobacz, co z nim - powiedział. - Ja tymczasem postaram się, żeby te prostytutki nie wyniosły nam z domu sreber rodzinnych.

Beck znalazł Huffa w bibliotece, siedzącego w ulubionym fotelu, z papierosem w dłoni. Zamknął drzwi za sobą.

- Czy będzie ci przeszkadzało, jeśli zostaną z tobą przez chwilę?

- Kto cię przysłał? Chris czy Selma? Na pewno nie Sayre. Ta nie traciłaby czasu na zamartwianie się mną.

- Nie wiem jak ona, ale ja się o ciebie martwię. - Beck przysiadł na sofie.

- Wszystko w porządku. - Huff wypuścił chmurę dymu w kierunku sufitu.

- Dzielnie się trzymasz, ale właśnie straciłeś syna, a to musi być ciężkie przeżycie.

Stary człowiek palił przez chwilę w milczeniu.

- Wiesz, wydaje mi się, że Danny był ulubieńcem Laurel - powiedział wreszcie.

Beck pochylił się do przodu i oparł przedramiona na kolanach.

- Dlaczego... ?

- Dlatego, że był do niej podobny, - Rzucił Beckowi spojrzenie. - Opowiadałem ci kiedyś o Laurel?

- Słyszałem co nieco.

- Była dokładnie taka, jak chciałem, Beck. Niezbyt inteligentna, ale komu, u diabła, to potrzebne?

Laurel była słodka, łagodna i piękna.

Beck pokiwał głową. Olejny portret, wiszący na ścianie w holu przedstawiał taką właśnie kobietę. Mężczyzna nie mógł się jednak powstrzymać przed myślą, że atrakcyjność Laurel w części zależna była również od fabryki odlewów stalowych, której właścicielem był jej ojciec, a w której pracował Huff.

- Byłem nieokrzesanym prostakiem, wysławiałem się jak gbur. Laurel była wytworną damą.

Wiedziała, jakich sztucców używać do jedzenia,

- Jak udało ci się ją przekonać do małżeństwa?

- Rzuciłem ją na kolana, - Huff parsknął śmiechem na wspomnienie tamtej chwili. -

Powiedziałem jej: „Laurel, zostaniesz moją żoną”, a ona się zgodziła. Otaczali ją mężczyźni,

k którzy obchodzili się z nią jak z jajkiem. Chyba spodobała jej się moja śmiałość. - Przyglądał się przez chwilę tłącemu się papierosowi. - Wierz albo nie wierz, Beck, ale byłem jej wierny. Nigdy jej nie zdradziłem, ani razu. Nie poszedłem z inną kobietą do łóżka, dopóki nie ukończyła się żałoba po jej śmierci. Uznałem, że jestem jej to winien. - Umilkł na chwilę, po czym ciągnął dalej: - Kiedy zaszła w ciążę, z dumy ledwo mieściłem się w garniturze. Wiedziałem, że urodzi się chłopak. To musiał być chłopak. Chris był mój od pierwszej chwili, gdy wyciągnęli go z jej łona i wręczyli mnie. W tamtych czasach porodówka była niedostępna dla ojców, ale ja przekupiłem personel. Za niezłą sumkę zgodzili się, bym tam wszedł. Chciałem, żeby moją twarz jako pierwszą zobaczył po przyjściu na świat mój syn. W każdym razie zaanektowałem Chrisa od samego początku, i tak już pozostało. W ramach rekompensaty Laurel dostała Sayre. Była jej małą laleczką, którą mogła ubierać w krynolinowe sukienki, z którą urządziła herbatki, którą uczyła jazdy w angielskim siodle i tym podobne bzdury. Gdyby jednak Laurel żyła, zapewne do końca życia walczyłyby ze sobą i kłóciły się na śmierć i życie. Moja córka nie jest z rodzaju mdłych laleczek, prawda?

Beck musiał się zgodzić z Huffem.

- Sayre nie obchodziło to, co było ważne dla Laurel - ciągnął Huff. - Za to Danny, och, jego matka nie widziała poza nim świata. Jest... był prawdziwym dżentelmenem. Urodził się o stulecie za późno, zupełnie jak Laurel. Powinien był przyjść na świat w czasach, gdy wszyscy chodzili w białych marynarkach, grali w krokieta, codziennie czyścili paznokcie i sączyli szampana w galeriach sztuki. W epoce, gdy czas wolny był rodzajem arcyzmu - spojrzął na Becka, z jego twarzy zniknęła łagodność wywołana wspomnieniami. - Danny nie był stworzony do prowadzenia interesów, zwłaszcza takich, jak nasz. To zbyt brudna robota, nie dla ludzi jego pokroju.

- Mimo to wypełniał dobrze swoje obowiązki, Huff. Wszyscy go kochali.

- Ludzie nie powinni nas kochać, tylko się nas bać. Robić ze strachu w portki na sam nasz widok.

- Tak, ale Danny służył jako bufor. Był dla nich dowodem, że jesteśmy ludźmi, przynajmniej w pewnym sensie.

Huff potrząsnął głową.

- Nie, Danny miał zbyt dobre serce, żeby być biznesmenem. Zbyt nijaki, zawsze zgadzał się z ostatnim mówcą, łatwo go było przekabacić.

- I nieraz to wykorzystywałeś - przypomniał staremu Beck.

- Do diabła, to prawda - sapnął Huff. - Chciał, żeby wszyscy byli zadowoleni. Wiedziałem o tym i wykorzystywałem dla własnych celów. Danny jednak nigdy nie zrozumiał jednego, że nie można uszczęśliwić wszystkich ludzi. Jeśli spróbujesz, zedrą z ciebie skórę, zanim na dobre zaczniesz. Niestety, nie byłem jedyną osobą, której słucał. Nie chcę mówić źle o synu, ale zawsze nazywałem rzeczy po imieniu. Potrafię być szczery, jeśli chodzi o moje własne dzieci.

Danny był słaby.

Beck nie spierał się z Huffem, chociaż osobiście nie używałby tego przymiotnika do określenia charakteru Danny'ego. To prawda, że nigdy nie uderzał w najczulszy punkt człowieka, jak jego brat i ojciec, a także sam Beck. Jego łagodność miała jednak pewne zalety i niekoniecznie czyniła z Danny'ego słabeusza. Przeciwnie, był niewzruszony w swoich przekonaniach na temat tego, co jest złe, a co dobre, Beck zastanawiał się, czy przypadkiem to niezachwiane morale Danny'ego nie stało się przyczyną jego śmierci.

Huff zaciągnął się ostatni raz papierosem i zgasił go w popielniczce.

- Powinienem wracać na przyjęcie - powiedział.

- Wczoraj w nocy położyłem na twoim biurku teczkę z pewnym dokumentem. Rozumiem, że nie miałeś czasu, by rzucić na niego okiem? - Beck wstał z kanapy.

- Nie. Co w nim jest?



- Chciałem po prostu, żebyś się temu przyjrzał. Możemy porozmawiać o sprawie później.

- Powiedz, o co chodzi.

Beck wiedział, że umysł Huffa nigdy nie błądzi z dala od interesów, nawet w dniu pogrzebu syna.

- Słyszałeś o facecie imieniem Charles Nielson?

- Nie przypominam sobie. Kto to?

- Adwokat związkowy.

- Skurwysyn.

- Ewidentny synonim - rzucił Beck z drwiącym uśmiechem. - Napisał do nas list. Kopia znajduje się w teczce. Chciałbym wiedzieć, jak mam odpisać. To nic pilnego, ale nie możemy go zignorować, więc nie czekaj zbyt długo z lekturą.

Razem podeszli do drzwi.

- Dobry jest ten Nielson?

Beck się zawahał. Wyczuwając jego niezdecydowanie, Huff ponaglił go gestem.

- Mów.

- Wyrabia sobie niezłą reputację w innych stanach, ale poradzimy sobie z nim.

Huff klepnął go po ramieniu.

- Mam do ciebie pełne zaufanie. Kimkolwiek ten skurwiel jest, albo mu się wydaje, że jest, kiedy z nim skończysz, będzie tylko kupką muszowego gówna.

Otworzył drzwi. Po drugiej stronie przestronnego holu był mały salon, który Laurel przekształciła w oranżerię, ze względu na znajdujące się tam ogromne okna. Wypełniła pokój paprociami, fiołkami, storczykami i innymi egzotycznymi kwiatami. Oranżeria była jej dumą i radością, tak samo jak Klub Ogrodniczy Destiny, któremu przewodniczyła przez kilka lat.

Po jej śmierci Huff najął firmę ogrodniczą z Nowego Orleanu, żeby raz na tydzień ich specjalista

od roślin doniczkowych zajmował się oranżerią. Płacił im sowicie, ale z drugiej strony zagroził, że pozwie ich do sądu, jeśli choć jedna roślina uschnie. Pokój ów pozostał najpiękniejszym miejscem w całym domu, a jednocześnie najmniej używanym. Mieszkający tu mężczyźni rzadko go odwiedzali. Teraz jednak ktoś w nim był. Przy małym pianinie, zwrócona do nich plecami, siedziała Sayre, pochylając głowę nad klawiaturą.

- Możesz ją nakłonić do rozmowy ze mną, Beck?

- Ledwie zdołałem ją przekonać do rozmowy ze mną.

Huff wypchnął go z pokoju.

- Użyj swojej siły perswazji.

- Umiesz grać na pianinie?

Sayre się odwróciła. Do pokoju wszedł Beck Merchant, z rękami w kieszeniach. Podeszedł do pianina i zatrzymał się, jakby oczekując, że Sayre przesunie się i zrobi mu miejsce na ławeczce obok siebie. Nie zareagowała i się nie ruszyła.

- Zastanawiałam się nad czymś, panie Merchant.

- Ja też. Dlaczego nie nazywasz mnie po imieniu?

- Skąd Huff wiedział, że przyjechałam na pogrzeb? Ktoś go uprzedził o tym, że przyjeżdżam?

- Miał nadzieję, że się pojawisz, ale żadnej gwarancji. Wszyscy się za tobą rozglądaliśmy.

- W kościele żaden z nich nie dał po sobie poznać, że mnie zobaczył.

- Ale cię spostrzegli.

- Wyczuli mnie?

- Coś w tym stylu. Rodzinne wibracje - przerwał, jakby chciał, żeby się roześmiała. - Naprawdę sądziłaś, że okulary przeciwsłoneczne i kapelusz pomogą ci ukryć tożsamość? - dodał, gdy tego nie zrobiła.

- Wiedziałam, że na pogrzebie będzie tłum. Miałam nadzieję się w nim ukryć.

Beck milczał przez chwilę, zanim odpowiedział cicho:

- Nie sądzę, żebyś mogła przepaść w jakimkolwiek tłumie, Sayre.

Komplement był subtelny, nasycony podtekstami i aluzjami. Sayre nie lubiła pochlebstw ani nie prosiła o nie, więc jeśli Beck spodziewał się po niej głupawego uśmiešku i podziękowań, miał się srogo przeliczyć.

- Gdyby nie nakrycie głowy, Huff i Chris dostrzegliby cię od razu - ciągnął. - Ja też, chociaż w ogóle cię nie znam.

Kapelusz uciskał ją w skronie, wywołując ból głowy, więc Sayre zdjęła go już wcześniej.

Rozpuściła również włosy, pozwalając im spłynąć na plecy. Wilgoć w powietrzu sprawiła, że skręciły się w naturalne loki, które zawsze prostowała szczotką i żelazkiem do włosów. Przed chwilą pochwyciła swoje odbicie w lustrze na korytarzu i zauważyła, że znów były w nieposkromionym nieładzie, tak jak w młodości. Promienie słońca wpadające przez wysokie okna oranżerii błąkały się po jej lokach, rozpalając je żywą czerwienią. Beck przyglądał się grze światła na włosach w taki sposób, że Sayre nagle zatęskniła za cieniem.

Drażniło ją również to, że musiała odchyłać głowę, aby na niego spojrzeć. Alternatywą było przemawianie do sprzączki jego paska. Tak czy owak, była na przegranej pozycji. Postanowiła wyjść i z tą intencją przesunęła się ku brzegowi ławki.

- Przepraszam - rzuciła, wstając.

- Interesujące imię.

Zatrzymała się w pół ruchu i spojrzała na niego przez ramię.

- Słucham?

- Sayre. Kto ci dał to imię?

- Matka.

- Rodzinna tradycja?

- To po jej prababce ze strony ojca.

- Podoba mi się.

- Dziękuję. Mnie też.

- Przez cały ten czas, od kiedy zacząłem pracować dla waszej rodziny, nie wiedziałem, jak się je wymawia.

- Tak, jak się pisze.

- Wygląda mi na to, że powinno brzmieć S-a-y-e-r, a nie S-a-y-r-e.

- Czy to ma znaczenie?

- Najwyraźniej nie.

Znów zamierzała wstać, ale zatrzymał ją:

- Wciąż nie odpowiedziałaś na moje pytanie, Sayre przez r-e.

Tym razem odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy.

- Próbuje pan być miły?

- Nie, po prostu podtrzymuję konwersację. Wygląda jednak na to, że cokolwiek bym powiedział, choćby zupełnie błahą rzeczą, i tak cię zirytuję. Dlaczego?

Westchnęła głośno i skrzyżowała ręce.

- Nie przypominam sobie pana pytania.

Skinął głową w kierunku pianina.

- Potrafisz na tym grać?

- Niestety, nie. Gdy miałam osiem lat, matka zapisała mnie na lekcje gry na pianinie i kazała mi ćwiczyć godzinę dziennie, „ponieważ każda młoda dama powinna grać na instrumencie”, jak powiedziała. - Sayre uśmiechnęła się na wspomnienie reprimend za to, że nie chciała się uczyć, - Próbowała poskromić moją dzikość serca, ale koniec końców poddała się i uznała, że jestem przypadkiem beznadziejnym. Gra na pianinie wymaga talentu muzycznego i samodyscypliny, których ja nie posiadałam.

- Naprawdę? - Przycupnął tuż obok niej, plecami do instrumentu. Siedzieli udo w udo i twarz w twarz. - Brakuje ci samodyscypliny?

- Nie miałam jej jako ośmiolatka - odparła oschle. - Od tamtego czasu nieco nadrobiłam zaległości.

- Mam nadzieję, że nie kosztem dzikości serca. Powstrzymywanie ludzi o ognistych włosach jest niewybaczalnym marnotrawieniem ich naturalnych instynktów.

Nie dała mu satysfakcji, reagując w jakikolwiek inny sposób, poza burknięciem:

- Widzę, że jest pan dokładnie taki, jak myślałam. Spodziewałabym się po panu obrażania ludzi.
- Obrażania? Próbowałem powiedzieć komplement.
- To może powinien pan sięgnąć do słownika.
- Po co?
- Żeby znaleźć definicję komplementu.

Wstała z ławki i ruszyła przez oranżerię. Dotarła jednak tylko do portiery oddzielającej pokój od przestronnego korytarza, teraz wypełnionego tłumem wychodzących właśnie gości. Kilkoro z nich przystanęło, wymrukując w jej kierunku wyrazy współczucia.

W środku grupki stał Rudy Harper. Przez te wszystkie lata jego twarz wyciągnęła się i wychudła, ale Sayre i tak by go poznała. Zanim wyszedł, zobaczyła, jak ściska dłonie Huffa i Chrisa.

Rozmawiali o czymś przyciszonymi głosami. Ten widok przypomniał jej, dlaczego wróciła do tego domu, którego progów poprzysięgła nigdy więcej nie przekroczyć.

Beck Merchant podszedł do niej z tyłu. Poczowała, że stanął tuż za nią. Przyciszonym głosem, ale na tyle wyraźnie, by mógł ją dobrze usłyszeć, spytała:

- Czy Rudy Harper uważa, że śmierć Danny'ego nie była samobójstwem?
- Wyjdźmy na zewnątrz. - Beck chwycił ją pod łokieć, ale Sayre odtrąciła jego dłoń.
- Zostańmy tutaj - powiedziała, odwracając się do niego.

Wyglądał na zirytowanego jej gestem, ale nie podniósł głosu:

- Jesteś pewna, że chcesz o tym rozmawiać w miejscu, w którym ktoś może nas podsłuchać?

Przez długą chwilę wpatrywali się w siebie, jakby prowadząc niemy pojedynek charakterów.

Wreszcie Sayre wyszła z oranżerii, kierując się na tyły domu, z nadzieją, że Beck podąży za nią.

Gdy przechodzili przez kuchnię, Selma, która akurat wkładała naczynia do zmywarki, zapytała, czy już jedli.

- Wezmę sobie coś później — powiedziała Sayre.

- Ja też - dodał Beck.

Kiedy wychodzili przez tylne drzwi, zawołała za nimi: - Musicie jeść, żeby mieć siłę.

Nie myśląc, dokąd idzie, Sayre automatycznie przecięła wypielegnowany trawnik, kierując się w stronę rozlewiska. Bagnisty brzeg rzeki na tyłach domu był jej schronieniem, gdy mieszkała tu jako mała dziewczynka. Przychodziła nad rozlewisko, żeby się wyłóścić, gdy coś nie układało się po jej myśli, uciekała tu przed naładowaną atmosferą w domu, kiedy Huff był z czegoś niezadowolony, i chowała się przed Chrisem, którego ulubioną zabawą z dzieciństwa było dokuczanie oraz drażnienie Sayre.

Leżała wtedy godzinami pod rozłożystymi gałęziami cyprysów i dębów, podsycając w sobie emocje, które akurat nią targały. Snęła wielkie, odważne plany na przyszłość, czasem obmyślała zemstę za wyrządzony afront. Często też marzyła o domu, w którym jej rodzina śmiałaby się znacznie częściej, kłóciła dużo rzadziej, więcej było przytulania niż wrogości, a rodzice i dzieci szczerze się kochali.

Teraz, gdy zbliżyła się do znajomego miejsca, z rozczarowaniem spostrzegła, że gęste krzewy, w których zwykła się ukrywać, zastąpiono rabatką begonii. Kwiaty wyglądały pięknie, ale nie zapewniłyby kryjówki małej dziewczynce, szukającej pociechy.

Natomiast z grubej, rosnącej poziomo gałęzi wiecznie zielonego dębu nadal zwisała stara drewniana huśtawka. Liny, na których ją zawieszono, miały grubość nadgarstków Sayre. Była już mocno zniszczona, ale Sayre ucieszyła się, że nikt jej nie usunął.

- Nie mogę uwierzyć, że wciąż tu jest - przesunęła dłonią po szorstkim sznurze,

- To twoja huśtawka? - Beck stanął po drugiej stronie.

- Stary Mitchell... nigdy nie znałam jego prawdziwego nazwiska... był naszym ogrodnikiem.

Zrobił ją dla mnie. Powiedział, że liny pochodzą ze statku widma, który zatonął u wybrzeży parafii Terrebonne. Należał do piratów i pokonał go najgorszy z huraganów w historii. Nikt nie

przeżył sztormu, ale duchy piratów tak bardzo lubiły starą dobrą Luizjanę, że wolały zostać w okolicach, zamiast pójść do nieba. Zresztą nie dochrapałyby się zapewne tam zbyt dobrej pozycji ze względu na złe uczynki za życia. Tak mówił stary Mitchell. Dlatego piraci głosowali za pozostaniem tutaj i raz w miesiącu, podczas pełni księżyca pojawiają się, aby handlować z każdym śmiałkiem, który nie boi się ich widoku.

- A stary Mitchell był jednym z tych śmiałków?

- Jasne. Za pintę rumu dostał złotą bransoletę, którą przetopił na koronki - roześmiała się. -

Zazdrościłam mu złotych zębów i sama chciałam takie mieć. Dostałam ataku wściekłości, ponieważ Huff i Chris wyśmiali mnie, kiedy ich zażądałam. A matka się wręcz zaniepokoiła.

- Na szczęście nie pozwolili ci dopiąć swego.

- Na szczęście. W każdym razie stary Mitchell w zamian za rum dostał bransoletę i zwój liny.

Opowiadał mi, że gdy kapitan, najgroźniejszy ze wszystkich piratów, dowiedział się, iż lina jest przeznaczona na huśtawkę dla panienci Sayre, dorzucił jeszcze kawałek deski z pokładu, na siedzisko. - Lekko popchnęła huśtawkę.

- Piękna historyjka.

- Wierzyłam w każde słowo Mitchella, podobnie jak w jego magiczne zdolności. Powiedział, że nauczył się czarów od jednookiej szamanki wudu, która mieszkała na bagnach w towarzystwie pantery. Na szyi nosił skórzany worek z amuletem gris-gris. Nigdy nie chciał mi go pokazać, a Selma groziła, że jeśli kiedykolwiek to zrobi, zbije go do nieprzytomności. Złościł się na mnie, kiedy nachodziłam go podczas połowu. Mówił, żebym była cicho, bo wystraszę ryby. Raz przyłapał mnie na tym drzewie - kiwnęła w stronę jednego z dębów. - Kazał mi zejść na dół, zanim spadnę, złamię kark i resztę moich dni spędzę na wózku inwalidzkim. Pomimo tego, że na mnie krzyczał, uważałam go za mojego najlepszego przyjaciela. Przerazał mamę i denerwował Selmę. Czasem po skończeniu pracy pozwalał mi przejechać się na taczce, którą pchał do szopy.



To dziwne - rzuciła z nagłym zastanowieniem. - Nie widziałam starego Mitchella na pogrzebie.

Myślałam, że się tam pojawi.

- Siadaj, popchnę cię.

Propozycja Becka Merchanta wybiła ją z nostalgii. Poczula się głupio, że pozwoliła sobie na tę chwilę słabości.

- Nie, dziękuję.

- W porządku, zatem ty popchnij mnie. - Usiadł na huśtawce i chwycił za liny. Uśmiechnął się do niej, mrużąc oczy w słońcu. Sayre zauważyła, że miał jasnozielone tęczówki. Jego oczy były nie tylko ładne, skrzyły się też inteligencją i intuicją. Nie wiedziała, która z tych cech denerwuje ją najbardziej.

Ignorując jego propozycję, przeszła obok huśtawki, kierując się ku rzece, która z wolna, acz nieustępliwie płynęła w kierunku Zatoki Meksykańskiej. Kapryśny strumień pachniał słonawą wodą. Z przeciwnego brzegu wzbił się pelikan, odlatując z niezgrabnym łopotem skrzydeł. Lekki wiatr poruszał gałęziami cyprysów i targał od czasu do czasu brodami hiszpańskiego mchu. Nie był jednak na tyle silny, aby poruszyć listowiem dębów.

Obcasy zapadały się w podsiąkniętej wodą ziemi, więc Sayre zdjęła buty. Wilgotna ziemia przyjemnie chłodziła jej bose stopy. Gdyby nie towarzystwo, niechybnie by się położyła.

- Czy powiedziałem coś niewłaściwego? - spytał Beck. Odwróciła się do niego.

- Niech pan przestanie mnie czarować, dobrze? To strata czasu. Dorastałam w otoczeniu czarujących mężczyzn i wiem najlepiej, jak fałszywy może być taki powab. Mnie, panie Merchant, przestał on pociągać już dawno temu.

- Mów mi Beck. Czego tak właściwie nie lubisz? Wdzięku czy mężczyzn?

Huśtał się, niezbyt wysoko, ale jednak. Strasznie ją to zirytowało.

- Nie lubię pana.

- Nie znasz mnie.
- Znam. - Roześmiała się gorzko. - Znam pana, bo jest pan taki sam, jak oni. - Wskazała ręką w kierunku domu.
- Naprawdę?
- Pozbawiony skrupułów i moralności, chciwy i zadowolony z siebie. Mam opowiadać dalej?
- Nie sądzę, aby moje ego mogło znieść więcej - odparł oschle. - Chciałbym się natomiast dowiedzieć, co sprawiło, że tak szybko wyrobiłaś sobie na mój temat taką opinię. Dopiero się poznaliśmy.
- Wyrabiałam ją sobie stopniowo, czytając raporty o stanie firmy, które otrzymuję, choć wielokrotnie prosiłam, aby usunąć mnie z listy adresatów.
- Po co więc je czytasz?
- Ponieważ nie mogę wyjść ze zdumienia, do czego potrafi posunąć się dla pieniędzy firma Hoyle Enterprises.
- Jesteś współnikiem firmy Hoyle Enterprises.
- Nie chcę nim być - odparowała, podnosząc głos. - Strawiłam cały rok tysiące dolarów na opłacenie prawników, usiłując się wyswobodzić z tego jarzma. Wasze sprytne machinacje zablokowały mnie zupełnie.
- Legalne posunięcia.
- Ledwie legalne.
- „Ledwie” się liczy. - Zeskoczył z huśtawki, zostawiając ją rozbujaną na linach i podszedł do Sayre. - Pracuję dla Huffa, który chciał, abyś pozostała współnikiem rodzinnej firmy. Powiedział mi, żebym zrobił wszystko, aby zapewnić ci ten status. Wykonałem jedynie robotę, za którą mi płacą.
- Przynajmniej wiemy, o co panu chodzi, nieprawdaż?

- Sugerujesz, że jestem zawodową dziwką? - spytał bardzo niskim głosem. - Nie sądzę, żebyś chciała rozmawiać o tych sprawach, prawda, Sayre?

Sugestia zabolęła, ale Sayre była bardziej zła niż urażona. Nikt już nie był w stanie jej zranić.

- Widzę, że i pan stosuje nieczyste zagrywki, tak jak oni.

- Walczę, żeby wygrać.

- Oczywiście.

- A ty, o co walczysz?

- O przetrwanie - odparowała.

Oddechnęła głęboko, próbując powstrzymać narastający gniew, Zdała sobie sprawę, że zaciska dłonie w pięści. Rozluźniła się, potrząsnęła głową i zwilżyła wargi językiem.

- Walczyłam, żeby przetrzymać moją rodzinę i udało mi się. Jedynym powodem, który mógł spowodować mój przyjazd tutaj, była śmierć Danny'ego. Boleję nad jego odejściem i zawsze... - powstrzymała się od wyznania, że zawsze będą ją nawiedzały wspomnienia dwóch telefonów od Danny'ego, których nie chciała odebrać. - Cieszę się, że przynajmniej jemu udało się uciec. Mam nadzieję, że odnalazł spokój. Chciałabym jednak wiedzieć...

Przerwała gwałtownie. Beck wyciągnął ramię i koniuszkami palców musnął jej policzek.

Popatrzyła na niego zdumiona.

- Komar - wyjaśnił.

- Ach. - Dotknęła dłonią twarzy w miejscu, gdzie czuła jego palce. - Dziękuję.

- Nie ma za co.

- Chciałabym się dowiedzieć, jak umarł Danny - powiedziała po kilku sekundach milczenia. -

Niech mi pan opisz szczegóły.

- Opowiedziałbym ci wszystko już wcześniej. Dzwoniłem do twojego biura kilkakrotnie, ale nie chciałaś ze mną rozmawiać.

- Nie byłam przygotowana na wysłuchanie tej historii.

Nie z tego powodu odmówiła rozmowy z Beckiem i on dobrze o tym wiedział, niemniej nie próbował z nią dyskutować. Zamiast tego powiedział cicho:

- Nic nie poczuł. Śmierć była natychmiastowa.

Nie chciała słuchać więcej. To, co usłyszała, było wystarczająco przerażające.

- Kto go znalazł?

- Rybacy z rozlewiska. Zatarł się silnik ich łodzi, przybili więc do pomostu przy waszym domku rybackim. Zobaczyli zaparkowany samochód Darnny'ego, pomyśleli więc, że ktoś jest w środku.

Weszli do domku i znaleźli twojego brata.

Próbowała nie myśleć o scenie, jaką zastali nieświadomi niczego rybacy.

- Stwierdzono samobójstwo.

- Początkowo.

- Rudy Harper zmienił zdanie?

- Nie Rudy. W biurze szeryfa pracuje teraz nowy detektyw, młody chłopak, Wayne Scott. Rudy przydzielił go do zbadania zajścia. Myślał, że będzie to rutyna, formularz do wypełnienia, przybicie pieczątki i skatalogowanie, koniec sprawy i Danny stanie się tylko numerem. Ale Scott wrócił z obozu rybackiego z większą liczbą pytań niż odpowiedzi.

- Na przykład jakich? Czy sądzi, że to mógł być wypadek?

- Nie jest tego pewien. Jak mówiłem, ma więcej pytań niż...

- Proszę sobie darować mówienie ogródkami, panie Merchant - przerwała niecierpliwie. - Jestem dorosła. Niech pan przestanie rozmawiać ze mną jak z dzieckiem.

- Detektyw Scott nie wyjaśnił mi żadnych szczegółów swoich podejrzeń. Daję słowo - dodał, kiedy Sayre spojrzała na niego powątpiewająco. - Mam po prostu przecucie, że nie jest stuprocentowo przekonany o właściwej opinii koronera.

Oparł się plecami o drzewo, zginając jedno kolano i stawiając stopę na pniu. Spojrzał w bok, w stronę wody i w zamyśleniu otarł kroplę potu ze skroni.

- Zanim zrozumiałem, że prawo kryminalne nie jest moją najmocniejszą stroną, przez krótki czas pracowałem w prokuraturze - powiedział. - Stąd wiem, jak rozumują gliniarze. Na początku zawsze podejrzewają przestępstwo i właśnie to próbują najpierw wyeliminować. Nie znam Wayne'a Scotta i nie wiem, co mu chodzi po głowie. Nie mam pojęcia, jak dobry jest w badaniu miejsc zbrodni, jakie ma doświadczenie i jaki przeszedł trening. Spotkałem go dopiero w niedzielę wieczorem. Towarzyszył Rudemu, gdy ten przybył, aby przekazać nam smutne wieści. Wygląda mi na młodziaka, ale jest gorliwy i przebojowy. Może po prostu próbuje się w ten sposób wybić albo zaimponować swojemu nowemu szefowi. Może szuka informacji, które potwierdzą jego teorię wyłącznie po to, by uatrakcyjnić całe śledztwo.

Sayre słuchała uważnie, odczytując pozawerbalny przekaz. Zrozumiała, o czym myśli Beck i dlatego ociąga się z powiedzeniem tego prosto z mostu. Przypuszczenie że to coś innego niż samobójstwo lub przypadkowa śmierć było wręcz niewyobrażalne.

- Sugeruje pan, że ten detektyw uważa, iż Danny został zamordowany?

Beck spojrzał na nią.

- Scott nie powiedział tego tak dosłownie.

- To po co szukałby informacji i rozpytywał wkoło?

- Jest nowy w mieście. - Beck wzruszył ramionami, - Pracuje tu dopiero od kilku tygodni. Nie wie...

- Nie wie, że jego szef bierze łapówki od mojej rodziny i przymyka oko za każdym razem, gdy ona łamie prawo?

- Huff dopłaca do zbyt niskiej pensji Rudego.

- Przekupuje go.

- Huff dotuje wiele przedsięwzięć w naszej parafii - uciał Beck. - Zapobiega to wzrostowi podatków.

- Ach, tak. Więc Huff przekupuje przedstawicieli prawa wyłącznie przez wzgląd na podatników.

- Wszyscy zyskują na jego szczodrości, Sayre.

- Łącznie z panem.

- I z tobą - odepchnął się od drzewa i podszedł do niej. - Powiedz mi, wolałabyś spędzić w więzieniu te wszystkie noce, w które Rudy przyłapał cię na jeździe po pijaku? Albo na kąpeli nago? Pieprzeniu się na ławce w parku? Wyścigach samochodowych na Evangeline Street? Czy za każdym razem, a wiem, że to zaledwie wierzchołek góry lodowej, przypadkiem nie byłaś zadowolona z tego, że co miesiąc Huff wsuwa szeryfowi do łapy zwitek banknotów, dzięki czemu twoje wyskoki idą w niepamięć, bez żadnych legalnych konsekwencji? Nie fatyguj się z odpowiedzią, jest oczywista. Spróbuj dla odmiany spojrzeć nieco szerzej, a zobaczysz...

- Widzę, panie Merchant, że bardzo ładnie wytłumaczył pan sobie własne skorumpowanie. Jak pan sypia w nocy?

Podszedł do niej tak blisko, że jego spodnie ocierały się o jej łydki. Jego obecność znów ją przytłaczała, zupełnie jak wtedy, na ławce przy pianinie. Musiała odchylić głowę, żeby spojrzeć mu w twarz albo cofnąć się o krok, czego nie zamierzała zrobić. Ani myślała mu ustępować.

- Po raz ostatni cię proszę, Sayre - przemówił chrapliwym szeptem - mów mi Beck. Jeżeli chcesz się dowiedzieć, jak sypiam, zapraszam cię do mojej sypialni. W każdej chwili.

Nie chcąc go spoliczkować, choć czuła nieprzemogłą pokusę, odwróciła się i powędrowała w kierunku domu. - Nie żyje.

Zatrzymała się i spojrzała za siebie.

- Stary Mitchell - powiedział Beck. - Umarł kilka lat temu. Znaleźli go w domku rybackim. Nie żył od kilku dni.

Po wyjściu ostatniego gościa, Huff poszedł na górę do swojej sypialni, gdzie przebrał się z ciemnego garnituru w wygodniejsze ubranie. Zatrzymał się na chwilę, mijając drzwi do pokoju Danny'ego. Selma zamknęła go na klucz, zostawiając wszystko tak, jak to wyglądało, gdy w niedzielny poranek Danny udawał się do kościoła. Będzie czekać na znak ze strony Huffa, żeby otworzyć pokój, uporządkować rzeczy zmarłego, zdecydować, co pozostawić, a co oddać na cele dobroczynne. Cała praca przypadnie Selmie. Huff nie czuł się na siłach obcować z rzeczami Danny'ego. Nigdy więcej.

Bolał nad śmiercią syna, ale co się stało, to się nie odstanie. Rozpamiętywanie byłoby stratą czasu i energii, a Huff nie zwykł trwonić ani jednego, ani drugiego.

Schodząc na dół, zerknął przez szklane drzwi prowadzące na podest na piętrze, gdzie wisiał portret Laurel. Przez szybę dostrzegł Sayre i Becka, stojących na brzegu rozlewiska w cieniu rzucanym przez kępę drzew. Rozbawiony, włożył papierosa między wargi, oparł dłonie na biodrach i zaczął się przyglądać rozgrywającej się na jego oczach scenie. Beck realizował najnowsze zadanie i, jak zwykle, spisywał się świetnie.

Trafiła kosa na kamień. Sayre była aż nadto ognista, zapalczywa i pyskata, ale Beck miał w sobie nieustępliwość pitbulla. Jeszcze się nie poddał, chociaż większość mężczyzn już, po pierwszym złośliwym, poniżającym komentarzu Sayre wywiesiłaby białą flagę. Ta dziewczyna nie potrafiła porozmawiać o czymkolwiek bez wywołania kłótni i zamieszania. Nawet jej narodziny były prawdziwą bitwą. Laurel leżała w połogu dwanaście godzin, dwa razy dłużej niż z chłopcami. Sayre od początku miała temperament pasujący do koloru jej włosów. Wynurzyła się z łona matki czerwona na twarzy z gniewu, wrzeszcząc w proteście przeciwko traumatycznej zwłoce narodzin, a może przeciwko samemu przyjsciu na świat. Od tamtej pory przysparzała bliskim samych kłopotów.

W tej chwili bez wątpienia dawała wycisk Beckowi, choć Huff zachodził w głowę, co takiego

chłopak powiedział, że wytrzymała tam aż tak długo. Sayre nie należała do osób, które słuchają, co się do nich mówi, zwłaszcza gdy nie jest to coś, co chcą usłyszeć. Stali bardzo blisko siebie, najwyraźniej zagłębieni w rozmowie albo...

Pochłonięci sobą.

Ta myśl zdumiała Huffa. Spojrzał na Becka i Sayre z namysłem. Do diabła, stanowiliby niezłą parę. Sayre była wygadana i do wszystkiego podchodziła z niezwykłą pasją. Huff zakładał, że dotyczyło to również tych sfer życia, w których jej zaangażowanie czyniło mężczyzn niezwykle szczęśliwymi, przynajmniej na tyle, aby znosić jej mniej pożądane wady. A Beck, cóż... jeśli się było młodą kobietą, czego można w nim nie polubić?

Huff obserwował przez drzwi balkonowe, jak Beck zbliża się do Sayre. Była wyższa niż przeciętna kobieta, ale Merchant i tak górował nad nią wzrostem. Oboje wyraźnie bardzo spięci, atmosfera między nimi groziła wybuchem. Huff miał wrażenie, że lada chwila Beck chwyci Sayre i pocałuje ją. Nagle Sayre odwróciła się i ruszyła w stronę domu. Nie zaszła jednak daleko. Beck powiedział coś, co zatrzymało ją w miejscu. Cokolwiek to było, musiało ją zdenerwować, bo kiedy znów skierowała się do domu, stawiała wielkie, gniewne kroki.

- Szykuje się niezła zabawa - zachichotał do siebie Huff, schodząc na parter. Spotkał się z Sayre w chwili, kiedy rozzłoszczona pchnęła drzwi prowadzące do kuchni. Tuż za nią dreptała Selma, namawiając dziewczynę do zjedzenia czegokolwiek. Sayre ignorowała starą służącą. Zatrzymała się, widząc Huffa. Selma, która nadto dobrze знаła stosunki panujące w domu Hoyle'ów, wycofała się do kuchni.

Mierząc córkę wzrokiem od stóp do głów, Huff zagwizdał. Po kroju dopasowanej czarnej sukni widać było, że przez te wszystkie lata rozłąki figura Sayre nie ucierpiała ani trochę. Dojrzałość przydała nieco pełni jej twarzy. Była teraz kobietą, nie dziewczynką. Na pogrzebie, w kapeluszu z szerokim rondem i ciemnych okularach wyglądała jak gwiazda filmowa w żałobie albo



pogrążona w smutku wdowa po prezydencie. Zyskała klasę, której zawsze chciała dla niej Laurel, ale jednocześnie zachowała iskrę butności, z którą przysłała na świat. Denerwowało to Huffa i jednocześnie bawiło. - Witaj, Sayre.

- Dzień dobry, Huff.

- Zawsze nazywałaś mnie Huff, prawda?

- Czasami nazywałam cię dużo gorzej.

Wyjął papierosa z ust i roześmiał się. - Pamiętam, że miałaś pod tym względem niezłą wy-obrażnię. Zamierzałaś wyjechać bez rozmowy ze mną?

- To, co miałam ci do powiedzenia, usłyszałeś dawno temu. Dziesięć lat rozłąki nie zmieniło mojej opinii.

- Z szacunku dla Danny'ego powinnaś chociaż zapytać, jak się czuję i jak sobie radzę z moim smutkiem.

- Niczego nie powinnam. Nie szanuję cię, a co do twojego smutku, to widzę, że nawet nie wyłączyłaś dzisiaj pieców. Śmierć Danny'ego była tragedią, ale nie zmieniła charakteru tej rodziny.

- Twojej rodziny.

- Nie. Nie chcę mieć nic wspólnego z tobą, Chrisem i twoją odlewnią. Przyjechałam, żeby osobiście i prywatnie pożegnać się z Dannym przy jego grobie. Niestety, przeszkodził mi w tym twój sługus.

- Nie zauważyłem, żeby Beck przerzucił cię przez ramię i zaciągnął tutaj wbrew twojej woli.

- Nie, ale sprytnie zasugerował, że wie o czymś, czego nie mogłam zignorować. Podstęp się udał, jestem tu. Teraz jednak spełniłam obowiązek. Jadę na cmentarz, a potem wracam do domu.

- Jesteś w domu, Sayre.

Roześmiała się gorzko.

- Nigdy się nie poddajesz, prawda, Huff?

- Nie. Nigdy.

- Zrób sobie przysługę i zrozum, że nie masz już na mnie żadnego wpływu. - Za pomocą kciuka i palca wskazującego uformowała kółko. - Zero. Nie obchodzi mnie nic, co mówisz. Nawet nie próbuj mnie straszyć. Nie mógłbyś wymyślić niczego gorszego ponad to, co już zrobiłeś. Prze-  
stałam się ciebie bać.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

Podszedł do drzwi biblioteki i otworzył je na oścież.

- Udowodnij to.

Było to wyzwanie, którego nie mogła odrzucić, podobnie jak konfrontacji z Beckiem Merchantem. Wycofywanie się nie leżało w jej charakterze. Chciała czy nie, odziedziczyła pewne cechy po swoim ojcu.

Wiedząc, że prawdopodobnie dobrowolnie wpada w jego sidła, podążyła za Huffem do biblioteki. Powiedziała, że już się go nie boi. Zapewne w to nie wierzył, ale nie to było teraz ważne. Liczyło się jej przekonanie. Nie musiała udowadniać swojej odwagi jemu, tylko sobie. Łatwo było rozprawiać o uleczeniu i obojętności, mieszkając prawie cztery tysiące kilometrów od domu. Jedynym sposobem, by się o tym przekonać, było bezpośrednie zmierzenie się z wrogiem, który kiedyś zadał jej śmiertelną ranę. Tylko w ten sposób mogła się upewnić, że jej strach przed Huffem należy do przeszłości i że ojciec nie ma już na nią żadnego wpływu. Dlatego weszła za nim do biblioteki. Poza ogromnym telewizorem, w pokoju przez te dziesięć lat nic się nie zmieniło. Rozglądając się, próbowała przywołać chociaż jedno przyjemne wspomnienie związane z tym miejscem, ale nie potrafiła go odnaleźć w pamięci. Jaskinia Huffa wiązała się wyłącznie z przykrymi zdarzeniami w jej życiu.

Kiedy była małą dziewczynką, wiecznie walczącą o zainteresowanie ojca, obowiązywał ją zakaz wstępu do biblioteki. Chris i Danny mogli wchodzić do sanktuarium Huffa, byli tam wręcz mile widziani, ale nie ona. Wiedziała, że wynika to wyłącznie z tego, iż jest dziewczyną. W tym właśnie pokoju Huff wyjaśnił Sayre i jej braciom, jak bardzo chora jest ich matka. Przemawiając w imieniu wszystkich dzieci, spytała wtedy, czy Laurel umrze. Kiedy odparł twierdząco, zaczęła płakać wraz z Dannym. Huff nie miał cierpliwości do ludzkich łez. Powiedział, żeby się pozbierali i zachowywali jak dorośli, jak Hoyle'owie. Holye'owie nigdy nie płakali, powiedział, stawiając Chrisa za przykład. „Widzieliście kiedykolwiek, żeby się mazał?”.

Sayre histeryzowała w tym samym pokoju także przy innej okazji. Wylała wtedy morze łez,

blągając Huffa, aby odstąpił od tego, co ostatecznie, i tak zrobił. Była to noc, której nie potrafiła mu wybaczyć, chwila, gdy znieawidziła własnego ojca.

Kroki Huffa rozbrzmiały ciężko na drewnianej podłodze. Podszedł do baru i zaoferował jej drinka.

- Nie, dziękuję.

Nalał sobie whisky.

- Chcesz, żeby Selma przyniosła coś do jedzenia? Marzy o tym, żeby cię nakarmić.

- Nie jestem głodna.

- Ale nawet gdybyś umierała z głodu, nie tknęłabyś niczego, co opłaciły pieniądze Hoyle Enterprises, tak? - Usadowił się w fotelu i spojrzał na nią znad szklanki, pociągając łyk burbona.

- To twoje zagajenie, Huff? Otwierający wolej? Chcesz się przekonać, które z nas zdobędzie więcej punktów, miotając słowa, zanim drugie się podda? Bo jeśli o to ci chodzi, ja nie mam ochoty na tę zabawę. Nigdy więcej nie dam się wciągnąć w żadną z twoich cholernych gier.

- Twojej matce nie spodobałyby się te słowa.

- Mojej matce nie spodobałoby się wiele rzeczy - odparła, spoglądając na niego potępiająco. - Chcesz o tym porozmawiać?

- Widzę, że wciąż próbujesz pyskować. Cóż, nie powiem, że bym był zaskoczony. W rzeczywistości rozczarowałabyś mnie, tracąc tupet. - Podniósł się z fotela, sięgnął po leżące na stoliku pudełko zapalek i przypalił papierosa. - Siadaj. Opowiedz mi o swoim interesie.

Przycupnęła na jednej z dwóch jednakowych sof, ustawionych naprzeciwko siebie i rozdzielonych stolikiem do kawy.

- Idzie dobrze.

- Jedno, czego naprawdę nie cierpię, Sayre, to fałszywa skromność. Osiągnęłaś coś w życiu i masz prawo się tym chwalić. Czytałem artykuł o tobie w „Chronice”. Robił wrażenie, zdjęcia i

wszystko. Napisano, że jesteś dekoratorką wewnątrz dla śmietanki towarzyskiej i najbogatszych ludzi w San Francisco.

Nie spytała, skąd usłyszał o tym artykule. Huff był zdolny do wszystkiego, nawet do szpiegowania. Prawdopodobnie wiedział o jej kalifornijskim życiu więcej, niż przypuszczała. Zapewne to Beck Merchant gromadził dla niego te informacje.

- Ile zdarła z ciebie ta stara ciota za swoją firmę? - spytał. - Założę się, że za dużo.

- Ta „stara ciota” był moim mentorem i drogim przyjacielem.

Jeszcze na studiach, próbując zdobyć tytuł, zaczęła pracować u znanego dekoratora. Po skończeniu uczelni zatrudnił ją na pełny etat. Sayre była jednak kimś więcej niż, tylko kolejną osobą, która zarabiała procent na każdym firmowym projekcie, jaki udało się jej sprzedać. Od samego początku jej przełożony przyuczał ją na swoją następczynię. Wysyłał ją na „zakupy”; do Hongkongu po materiały, do Francji po antyki. Ufał jej instynktom, żyłce do interesów i dobremu smakowi. Miał czterdzieści lat doświadczenia w zawodzie i kilka bardzo znaczących kontraktów.

Sayre wniosła do firmy świeże i innowacyjne pomysły. Razem stanowili świetny zespół.

- Gdy zdecydował się przejść na emeryturę - ciągnęła - sprzedał mi firmę na bardzo dobrych warunkach.

Pod jej okiem interesy kwitły. Sayre spłaciła dług w ciągu trzech lat, o połowę wcześniej, niż przewidywała. Tego jednak nie powiedziała Huffowi, uznając, że jej sprawy finansowe nie powinny go interesować.

- Zatem zajmujesz się teraz wieszaniem zasłon w czyichś oknach. Co za zmiana. - Celowo umniejszał znaczenie jej zawodu, ale nie zareagowała na zaczepkę.

- Kocham swoją pracę. Mogłabym to robić za darmo. Na szczęście okazała się zajęciem równie lukratywnym, co przyjemnym.

- Zarobiłaś już na tym interesie kilkakrotnie więcej, niż był wart. - Potrząsnął kostkami lodu w

szklance. - Widzę, że te twoje małżeństwa nie były aż tak okropne, jak się zdawało, czyż nie?

Gdybym nie nalegał na umowy przedmałżeńskie, nie byłabyś w stanie zapłacić temu fagasowi i pracować w zawodzie, który tak kochasz.

Nim przemówiła, musiała rozluźnić zaciśnięte szczęki.

- Zasłużyłam sobie na te pieniądze, Huff.

- Jasne, są gorsze sposoby zarabiania - wtrącił się Chris, wchodząc do pokoju. - Robienie kariery na rozwodach z bogatymi facetami ma swoje zalety. - Usiadł na kanapie naprzeciw Sayre i uśmiechnął się do niej. - Całkiem niezły sposób na życie.

Chciała natychmiast wstać i wybiec z pokoju, ale wiedziała, że to by jedynie rozbawiło Chrisa.

Sprawienie mu tej satysfakcji byłoby gorsze niż znoszenie jego złośliwego uśmiešku.

- Jesteś jak zwykle nieznośny, Chris, ale masz rację co do zalet rozwodu z bogatymi mężczyznami. Twoja była żona zapewne również się z tym zgadza.

Przestał się uśmiechać, ale odparł gładko:

- Jesteś źle poinformowana, Sayre. Mary Beth nie chce rozwodu.

Sayre wyszła z założenia, że nieobecność żony Chrisa na rodzinnej uroczystości oznacza, iż burzliwe małżeństwo jej brata wreszcie dobiegło końca.

- Dlaczego jej tu nie ma?

- Mieszka teraz w Meksyku, w domu z widokiem na błękitny Pacyfik. Pojechaliśmy tam kiedyś na wakacje i pewnego popołudnia wypiliśmy o jedną margaritę za dużo. Mary Beth ma niezwykły talent do wykorzystywania sytuacji. Następnego poranka obudziłem się jako skacowany właściciel domu. Wszystko zgodnie z jej planem. Najpierw zdobyła rezydencję ze służbą, a potem oświadczyła, że żąda separacji. Na zawsze - dodał, zerkając na Huffa.

Sayre nie знаła swojej szwagierki, ponieważ Chris ożenił się po jej wyjeździe. Uznała jednak, że żona starszego brata prawdopodobnie tysiącrotnie zasłużyła sobie na ten dom ze służbą na

wybrzeżu Pacyfiku po tym, jak była zmuszona znosić Chrisa. Wątpiła, aby wstąpienie w związek małżeński ukróciło jego liczne romanse.

Podczas gdy Chris wyjaśniał status swojego małżeństwa, Huff siedział w fotelu, paląc papierosa. Nie był spokojny, raczej rozdrażniony. Sayre zauważyła, że ścisnął szklanę tak mocno, aż pobielały mu kłykcie. Wyraźnie był niezadowolony ze stanu cywilnego Chrisa. Nagłe Sayre zrozumiała powód tej irytacji.

- Nie macie dzieci, prawda?

Huff szarpnął głową niczym sowa, przenosząc wzrok z Chrisa na nią.

- Jeszcze nie, ale to nie koniec - powiedział. Napięty wyraz twarzy Chrisa zmienił się w uśmiech, gdy spojrzał nad jej ramieniem.

- Wejź, Beck.

- Nie chciałbym przeszkadzać - odezwał się od progu Merchant.

Sayre nawet nie spojrzała w stronę drzwi.

- Ależ proszę. Z radością powitam taką przeszkodę - rzekł Chris. - Jak dotąd nie udało się nam jeszcze odbyć spotkania rodzinnego, po którym wszyscy czuliby przyjemne ciepło w sercu.

Sayre usłyszała, jak Beck podchodzi do kanapy.

- Przyjechał Rudy - zwrócił się do Huffa.

- Przecież wyszedł pół godziny temu.

- Ale wrócił, tym razem służbowo. Jest z nim Wayne Scott. Chcą z nami porozmawiać.

- O czym?

Beck spojrzał na Huffa z uniesionymi brwiami, jakby pytał: „A jak myślisz?”.

- Jak długo to potrwa? - pytał Chris. - Jestem już zmęczony tą pogrzebową atmosferą. Chciałem wyjść na miasto, odprężyć się.

Sayre zdumiała się egocentryzmem brata, chociaż nie powinna. Chris zawsze myślał najpierw o

sobie. Interesował się różnymi sprawami tylko w takim stopniu, w jakim dotyczyły jego osoby, planów i pragnień. Jego egoizm, umacniany przez uwielbienie Huffa, nie znał granic, nawet w dniu pogrzebu własnego brata.

Uznała, że nie może dłużej znieść towarzystwa Chrisa. Wstała z sofy.

- Pójdę już. Zostawię was samych z Rudym. Danny był bez wątpienia najlepszym człowiekiem z nas wszystkich - dodała, spoglądając na Huffa. - Żałuję, że odszedł. - Popatrzyła na brata. -

Chris... - nie potrafiła znaleźć żadnych słów, które nie zabrzmiałyby jak hipokryzja - żegnaj.

Odwróciła się w kierunku Becka Merchanta i skinęła krótko głową. Kiedy jednak próbowała go ominąć, dotknął jej ramienia.

- Rudy chciał, żebyś została.

Zanim Sayre otrząsnęła się z zaskoczenia i zdołała przemówić, Chris zapytał:

- Po co?

- Nie wiem.

- Musiał przecież coś powiedzieć - upierała się Sayre. Beck spojrzał na nią twardo.

- Usłyszałaś wszystko, co wiem. Rudy chce, żebyś tu została. Mam ich przyprowadzić, Huff?

- To jakieś cholerne zawracanie głowy. Podobnie jak Chris, mam już dosyć myślenia i gadania o śmierci. Rzygać mi się chce od tego wszystkiego. Lepiej skończmy tę szopkę. Wprowadź ich, Beck.

Sayre nie planowała zostać tu ani chwili dłużej i zamierzała powiedzieć to Rudemu. Beck zniknął za drzwiami, by za chwilę wprowadzić do biblioteki szeryfa i młodego detektywa. Natychmiast przystąpiła do ataku.

- Szeryfie Harper. Chciałabym jeszcze dzisiaj złapać samolot do Nowego Orleanu. Nie mam zbyt wiele czasu.

Rudy Harper nadal miał na sobie odświętny czarny uniform, który włożył z okazji pogrzebu.



Detektyw nosił zwyczajny mundur, chociaż zdjął kapelusz. Przyglądał się uważnie wnętrzu biblioteki niczym czujny koń wyścigowy maszynie startowej. Wyglądał na tak gorliwego, jak opisał go Beck Merchant.

- Przepraszam, że cię zatrzymuję, Sayre - powiedział szeryf - ale mój zastępca chciałby zadać wam wszystkim kilka pytań.

- Doceniam pana poczucie obowiązku i dokładność - zwróciła się Sayre bezpośrednio do młodego oficera. - Niemniej, nie mam dla pana żadnych informacji. Nie mieszkam tu i od ponad dziesięciu lat nie utrzymywałam kontaktu z Dannym.

- Rozumiem, proszę pani, ale może pani wiedzieć więcej, niżby się wydawało, - Sądząc po akcencie, młody detektyw pochodził z Teksasu, nie z Luizjany. - Czy mogłaby pani zostać jeszcze chwilę? Obiecuję, że nie zajmę dużo czasu.

Ociągając się, powróciła na swoje miejsce na kanapie.

- Beck, przystaw fotele dla naszych przedstawicieli prawa - zakomenderował Huff, rozparty w swoim fotelu. - Sam możesz usiąść obok mojej córki.

Szeryf i detektyw Scott usiedli na fotelach podstawionych im przez Becka, On sam usadowił się obok Sayre. Spojrzała na ojca i zobaczyła znajomy diabelski błysk w jego oczach, gdy zdmuchnął płomień z kolejnej zapałki i wrzucił ją do popielniczki.

- No dobrze, Rudy. Chciałeś tego spotkania, jesteśmy gotowi cię wysłuchać. Co ci chodzi po głowie? - spytał.

Szeryf odchrząknął.

- Jak wiesz, zatrudniłem Wayne'a jako detektywa w naszym wydziale policji - zaczął niemal przepaszająco.

- I?

- Wayne przeprowadził małe śledztwo w obozie rybackim, i doszedł do wniosku, że pewne fakty

związane ze śmiercią Danny'ego się nie zgadzają.

- Na przykład jakie? - Huff przeniósł wzrok na młodego zastępcę szeryfa.

Wayne Scott siedział na samym brzeżku fotela, jak gdyby z niecierpliwością czekał, by wreszcie zabrać głos.

- Strzelba, z której rzekomo zabił się denat...

- Strzelba? - zdziwiła się Sayre.

Kiedy Beck powiedział jej, że Danny zginął od strzału w głowę, założyła, że w grę wchodził pistolet. Nie miała encyklopedycznej wiedzy o broni palnej, ale zdecydowanie potrafiła rozróżnić pistolet od strzelby, podobnie jak rozmiary uszkodzeń, jakie powodowała każda z tych broni. W zależności od kalibru i trajektorii, kula wystrzelona z pistoletu przyłożonego do głowy człowieka spowodowałaby śmierć i rozległe obrażenia głowy. Nie mogłoby się to jednak równać z uszkodzeniami czaszki spowodowanymi przez strzał ze śrutówki.

- Tak, proszę pani - odparł poważnie detektyw. - Nie miał żadnej szansy przeżycia.

- Może powinien pan przejść do sedna sprawy - wtrącił Beck.

- Problem w tym, panie Merchant, że ofiara wciąż miała na sobie buty.

Przez kilka chwil wszyscy wpatrywali się w detektywa z osłupieniem. Pierwszy zareagował Huff:

- Nie wiem, o co ci, do cholery, chodzi, ale...

- Zaczekaj - Beck uniósł dłoń, uciszając Huffa. Patrzył na Scotta. - Myślę, że rozumiem zakłopotanie detektywa Scotta.

Chris pokiwał głową, skubiąc dolną wargę.

- Chodzi o to, w jaki sposób Danny pociągnął za spust - powiedział.

- Tak jest - Scott gorliwie pokiwał głową. - Swego czasu badałem sprawę samobójstwa w

Carthage, we wschodnim Teksasie. Ofiara zabiła się za pomocą strzelby, pociągając za spust

dużym palcem u nogi. - Spojrzał na Sayre skruszony. - Proszę mi wybaczyć moją

bezpośredniość, pani Hoyle.

- Nie zamierzam zemdleć. A tak przy okazji, nazywam się Lynch.

- Och, przepraszam. Myślałem...

- W porządku. Proszę mówić dalej.

Scott powiódł wzrokiem po twarzach zgromadzonych w pokoju osób.

- Chciałem powiedzieć, że wszystkie inne fakty związane ze śmiercią pana Hoyle'a są podobne do tamtego przypadku, poza tą jedną rzeczą. W jaki sposób pociągnął za spust? Byłoby to dość skomplikowane, biorąc pod uwagę długość lufy i... jest jeszcze jedna rzecz, która mnie zastanawia. To była dubeltówka. Obie komory były pełne. Jeżeli ktoś planuje zastrzelić się z dubeltówki, po co miałby zawracać sobie głowę załadowaniem obu luf? Przecież druga kula i tak na nic by się nie przydała.

Nikt nie skomentował ani nie odpowiedział na pytanie. Rudy Harper znowu odchrząknął.

- Czy przypominasz sobie, kiedy ostatnim razem widziałeś tę strzelbę, Huff? - zapytał. - Nie zauważyłem pustego miejsca po niej w szafie na broń.

Skinął głową w kierunku narożnej oszklonej szafy. Huff miał w domu całą kolekcję broni, między innymi kilka śrutówek, strzelb na jelenie i dubeltówek do polowania na ptaki. Wszystkie stały w dobrze widocznym miejscu.

- To była stara strzelba. Nikt z nas jej nie lubił, więc zwolniliśmy ją z obowiązków, że się tak wyrażę. Trzymaliśmy ją w domku rybackim, na wszelki wypadek. Nie wiem, kiedy ostatnio ktoś z niej strzelał.

- Ja wiem.

Wszyscy spojrzeli na Chrisa. Sądząc z malującej się na jego twarzy beztroski, mógł równie dobrze mówić o czymkolwiek innym, na przykład o zgubionej rękawiczce lub o pogodzie; w

każdym razie nie o czymś tak ważnym, jak broń, z której zginął jego brat.

- Jakieś trzy miesiące temu, podczas weekendu, prawda, Beck? - Prawnik pokiwał głową potwierdzająco. - Zatrzymaliśmy się tam na noc. Późnym wieczorem Frito zaczął szaleć, wyszliśmy więc na zewnątrz, żeby zobaczyć, co go tak podkręciło, i spostrzegliśmy rysia. Beck wypalił ze strzelby dwa razy, w powietrze, żeby go odstraszyć. Kot zawinął się i przepadł w lesie.

- Następnego dnia wyczyściłem i naoliwiłem strzelbę, po czym odłożyłem ją na miejsce, nad drzwiami - dokończył opowieść Beck.

- Naładowałeś ją? - spytał szeryf Harper.

- Nie.

- Ktoś musiał - rzucił Scott.

- Sprawdziliście odciski palców? - spytała Sayre.

- Tak, proszę pani - odparł uprzejmie Scott. - Znaleźliśmy ślady pani brata, Danny'ego, a także wiele innych. Jedne z najświeższych prawdopodobnie należą do pana - zwrócił się do Becka.

- Zatem wie pan, że Danny trzymał w ręku strzelbę - powiedziała Sayre.

- Tak, proszę pani. Nie wiem tylko kiedy.

- Czy znaleźliście odciski palców na spuście?

- Nie udało nam się zebrać żadnych wyraźnych śladów z powierzchni spustu - powiedział Rudy Harper - co również jest nieco dziwne. Skoro Danny dotykał tej broni jako ostatni... -zawiesił głos.

Huff wydawał się tracić cierpliwość. Wstał z fotela, obszedł go dookoła i wbił wzrok w Wayne'a Scotta, zwracając się jednak do Rudego Harpera:

- Dlaczego pozwalasz swojemu człowiekowi nas zamęczać? Żeby mógł dochrapać się nowego, odprasowanego munduru? O to chodzi? Jeśli tak, może ja dam mu lepsze zajęcie, na przykład

patrowanie terenu odlewni i doprowadzanie do porządku wszystkich pracowników, którym zaczynają się marzyć związki zawodowe. Wtedy dopiero uznaję, że nie trwoni czasu na głupoty. Jak na razie bowiem marnuje tylko mój czas i sprawia, że myślę o rzeczach, o których chciałbym zapomnieć. Danny nie żyje. Pogrzebaliśmy go. To koniec. - Wytrząsnął z paczki nowego papierosa.

- Proszę o wybaczenie, panie Hoyle, ale to jeszcze nie koniec.

Huff spojrział na Scotta, zapalając papierosa.

- Nie chodzi wyłącznie o niezrozumiałe położenie strzelby na ciele pana Hoyle'a czy trudności, jakie miałyby z pociągnięciem za spust, trzymając w ustach koniec lufy - ciągnął odważnie młodzieniec. - Jest w tej sprawie więcej niejasności.

Twarz detektywa poczerwieniała. Sayre nie wiedziała czy z zażenowania, czy z ferworu. Potrafił stawić czoło wszechmocnemu Huffowi Hoyle'owi i za to go podziwiała, chociaż domyślała się, że po dzisiejszym wieczorze dni Scotta w biurze szeryfa były policzone.

- Słucham, co takiego nie daje ci spokoju, młodzieńcze? - rzucił Huff.

- Nowo odkryta religia pańskiego syna.

Niespodziankom nie było końca. Sayre spojrziała na Chrisa, a potem na Huffa, sprawdzając, czy nie roześmieją się na tę przedziwną wzmiankę o wierzącym Hoyle'u. Obaj jednak siedzieli z kamiennymi twarzami. Huff jeszcze bardziej zmarszczył brwi. Sayre spojrziała na Becka.

- Ostatnimi czasy Danny dołączył do wspólnoty... - powiedział Beck, wyczuwając jej zaskoczenie.

- ... Wyznawców Biblii - warknął Huff.

- Danny przyjął ich wiarę za swoją i stał się bardzo pobożny - ciągnął Beck.

- Co to znaczy ostatnio?

- Mniej więcej rok temu. Nigdy nie opuszczał niedzielnej mszy ani środowych wieczornych

spotkań modlitewnych.

- Zrobił się z niego straszliwy nudziarz - dodał Chris. - Przestał pić, denerwował się, gdy wzywaliśmy imię Boga nadaremno. Zmienił się w prawdziwego dewota.

- Co go do tego skłoniło?

Chris wzruszył ramionami.

- Nigdy go nie zapytałeś?

- Owszem, Sayre, pytaliśmy go - odparł ironicznie. - Danny nie chciał o tym rozmawiać.

- Nie mogliśmy powiązać jego nagłego zainteresowania wiarą z żadnym konkretnym wydarzeniem, otarciem się o śmierć, niczym podobnym - wtrącił Beck. - W ciągu ostatniego roku stał się zupełnie inną osobą. Zmienił się nie do poznania.

- Na lepsze czy na gorsze?

- Kwestia gustu - wtrącił się Huff.

Jego ton świadczył doskonale o tym, co myśli na temat nawrócenia Danny'ego.

- W jaki sposób wiąże się to z samobójstwem mojego brata? - spytała Sayre młodego detektywa.

- Rozmawiałem z pastorem i członkami wspólnoty, którzy widzieli Danny'ego w niedzielę rano.

Wszyscy bez wyjątku twierdzą, że tego dnia pani brat był szczęśliwy i pełen pozytywnej energii.

Z nabożeństwa wyszedł przepelniony wiarą i miłością do Boga, zapowiadając, że pojawi się

jeszcze na modlitwie wieczornej. - Scott spojrział w oczy każdemu z rozmówców. - To dość

dziwne, że człowiek będący w takim nastroju, przepelniony religijną gorliwością, tak po prostu się zastrzelił.

- Chce pan powiedzieć, że ktoś upozorował samobójstwo? - spytała Sayre.

- Nie sugeruj Wayne'owi odpowiedzi - wtrącił się Rudy Harper, rzucając niepewne spojrzenie w kierunku Huffa. - Wszystko, co chciał powiedzieć...

- Chcę powiedzieć, że okoliczności towarzyszące śmierci Danny'ego Hoyle'a wymagają dalszego

śledztwa.

- Okręgowy koroner wyraził się dość jednoznacznie, stwierdzając samobójstwo.

- Tak, panie Merchant, ponieważ przyczyna śmierci była oczywista. - Detektyw spojrzał na Sayre. - Oszczędzę pani opisowej terminologii, zawartej w raporcie koronera. Moim zdaniem to metoda zadania śmierci pozostaje nieokreślona.

- Metoda zadania śmierci - powtórzył Beck, wpatrując się zwięzonymi oczami w Scotta. - Lufa dubeltówki była nadal w ustach Danny'ego, co sugeruje, że nie on pociągnął za spust.

- Otóż to. - Detektyw pokiwał głową posepnie. - W innym bowiem wypadku broń została by odsunięta od ciała przez odrzut. To raczej oczywiste, że ktoś włożył Danny'emu wylot lufy do ust, a zatem mamy do czynienia z zabójstwem.

Rudy Harper wzdrygnął się, jakby go coś zabolalo.

- Dlatego muszę zapytać wszystkich, czy wiadomo wam, by ktokolwiek pragnął śmierci Danny'ego?

Popołudniowy upał odcisnął piętno na wiązankach ułożonych na grobie. Kwiaty przywiedły, ich płatki zbrązowiały i zwinęły się do wewnątrz w odruchu ostatecznej klęski.

Przy bezwietrznej pogodzie nad cmentarzem zawisł szary, obrzydliwy obłok dymu wyplukanego przez kominy odlewni. Sayre kojarzył się z całunem dla Danny'ego. Przybyła na cmentarz z nadzieją, że się trochę wyciszy, ale po spotkaniu z zastępcą szeryfa wiedziała, że nie potrafi pogodzić się szybko ze śmiercią brata.

Ze wszystkich dzieci Huffa Danny przypominał ojca najmniej. Był łagodny z natury, uprzejmy, miły i, o ile wiedziała, nigdy nikogo nie skrzywdził. Kiedy byli mali, zawsze poddawał się jej i Chrisowi. Potrafił się zbuntować, gdy ktoś wyrządził mu krzywdę, ale koniec końców ustępował, zwłaszcza Chrisowi, który bezdyskusyjnie dzierżył pałeczkę pierwszeństwa w rozrabianiu i znęcaniu się nad innymi. Najstarszy z rodzeństwa był przebiegły i wiedział, jak manipulować młodszym bratem. Danny zawsze dawał się nabrać Chrisowi, którego gierki były często okrutne. Sayre z kolei miała gorącą głowę. Za każdym razem, gdy wyżywała się na Dannym z powodu rzeczywistej lub wymyślonej zniewagi, ten znosił jej wybuchy gniewu z godnością i nigdy nie żywił urazy za wszystkie okropności i przezwiska, jakimi go wcześniej obsypywała.

Pewnego razu, podczas jednego z jej najgorszych napadów złości, cisnęła ulubioną ciężarówkę Danny'ego do rzeki. Dzieciak płakał i obrzucał ją wyzwiskami, domagał się, by zanurkowała i wyciągnęła zabawkę z wody. Oczywiście Sayre odmówiła i zamiast tego zaczęła opowiadać Danny'emu z okrutnymi szczegółami, jak jego lśniący samochodek zardzewieje i rozpadnie się na kawałki, zanim prąd doniesie go do Zatoki Meksykańskiej. Danny płakał godzinami, po czym popadł w kilkudniowe przygnębienie. Kiedy Laurel zapytała, dlaczego jest taki smutny, nie poskarżył się na Sayre, nie powiedział ani słowa o tym, co zrobiła. Gdyby tak postąpił, łatwiej byłoby jej usprawiedliwić swój czyn. On jednak pozwolił, aby uszło jej to na sucho, przez co



drepczyły ją potworne wyrzuty sumienia, że była tak okrutna dla brata.

Ich matka nie widziała świata poza Dannym, ponieważ był najmłodszym dzieckiem. Sayre pamiętała, jak Huff często powtarzał, że jeśli Laurel nie przestanie tak rozpieszczać jej brata, zrobi z niego mdlawą ciotę. Mimo jednak oczywistego faworyzowania przez matkę, Danny najbardziej na świecie pragnął aprobaty ojca.

Chris otrzymał ją niejako automatycznie jako pierworodny. Jego temperament i zainteresowania odzwierciedlały charakter Huffa. Ojciec podbudowywał własne ego, wychowując Chrisa, który był jego miniwersją.

Sayre w oczach Huffa uchodziła za księżniczkę, nieużyteczną ozdobę klanu i tak właśnie była traktowana. Wyrosła na nieznośnego bachora, który zawsze musiał dostać to, czego chciał, a jeśli się tak nie stało, wpadał w nieokiełznany gniew. Matka uważała jej ataki złości za nieodpowiednie zachowanie dla młodej damy, ojcu jednak wydawały się niezmiernie zabawne.

W im większą furię wpadała Sayre, tym bardziej się śmiał. Ponieważ Danny zawsze usuwał się w cień i zawsze był grzeczny, nie wzbudzał w Huffie zainteresowania. Jako dziecko Sayre wyczuwała układy panujące w jej domu, ale brakowało jej wiedzy i dystansu, by je zrozumieć.

Gdy dorosła, zdała sobie sprawę, jak krzywdzące były owe domowe stosunki dla Danny'ego, jak źle musiał się czuć, będąc nieważnym drugim synem, kimś, kogo ojciec wyraźnie lekceważył.

Po śmierci Danny'ego nic się nie zmieniło. Chris był rozpieszczanym faworytem i przyszłym dziedzicem, który w oczach ojca nie mógłby zrobić nic złego. Sayre była cierniem, kimś, kto odrzucił Huffa, Danny zaś pozostał w pamięci jako posłuszne dziecko, które bez słowa sprzeciwu robiło to, co mu kazano. Ktoś, na kim można polegać, lecz kogo się nie poważa.

Czy to świadomość, że jest „niewidzialny” skłoniła Danny'ego do samobójstwa?

Jeżeli to było samobójstwo.

Oderwała od jednej z gałązek wędną różę i przytknęła do warg. Po jej policzku spłynęła łza.

To niesprawiedliwe, że najśladzszy i najlepszy człowiek z całej rodziny umarł tak młodo i tak gwałtowną śmiercią. W dodatku, jeżeli Wayne Scott ma rację, nie odszedł z tego świata na własne życzenie.

- Pani Lynch?

Sayre odwróciła się gwałtownie. Nieopodal stała młoda kobieta.

- Nie chciałam pani przestraszyć - powiedziała przeprasząco. - Myślałam, że słyszała pani, jak nadchodzę.

Sayre potrząsnęła głową.

- Zamyśliłam się - odezwała się wreszcie, odzyskując mowę.

- Nie będę przeszkadzać. Może wrócę nieco później. Chciałam tylko... chciałam się z nim pożegnać.

Nieznajoma była w jej wieku, może parę lat młodsza. Ledwo powstrzymywała się od płaczu.

Sayre przypomniała sobie, że widziała kobietę na nabożeństwie, ale nie miała okazji, aby ją poznać osobiście.

- Jestem Sayre Lynch - wyciągnęła rękę w stronę młodej kobiety.

- Wiem - odparła nieznajoma, ściskając jej dłoń. - Widziałam panią na stypie. Ktoś wskazał mi panią, ale już wcześniej oglądałam panią na zdjęciach.

- Rodzinne fotografie w domu są stare. Zmieniłam się.

- Tak, ale ma pani takie same włosy. Poza tym, Danny pokazał mi artykuł o pani, który ukazał się niedawno w gazecie. Był bardzo dumny z pani osiągnięć. - Roześmiała się dźwięcznie. Sayre była pod wrażeniem melodyjności jej głosu. - Kiedy powiedziałam, że jest pani niezwykle elegancka i olśniewająca, Danny odrzekł, że wygląd jest często zwodniczy, bo w rzeczywistości jest pani straszną psotnicą. Powiedział to z miłością.

- Jak się pani nazywa?

- Przepraszam. Jessica DeBlance. Jestem... byłam przyjaciółką Danny'ego.

- Proszę. - Sayre wskazała ręką w kierunku betonowej ławeczki pod drzewem, tuż obok grobu.

Podeszły do niej. Jessica miała na sobie płócienną sukienkę o ładnym kroju. Włosy opadały jasnymi falami na ramiona. Była drobna i bardzo ładna.

Usiadły na ławce i przez chwilę, w niemym porozumieniu, obie wpatrywały się w nagrobek.

Jessica otarła oczy chusteczką. Sayre instynktownie otoczyła ją ramieniem, wtedy Jessica rozplakała się na dobre.

Sayre chciała jej zadać tysiące pytań, ale powstrzymała się do czasu, aż Jessica przestała chlipać i wymamrotała niezgrabne przeprosiny.

- Nie przepraszaj. Cieszę się, że mój młodszy brat miał kogoś, kto troszczył się o niego tak bardzo, aby rozpaczać po nim przy obcej osobie. Najwyraźniej byliście dobrymi przyjaciółmi.

- Właściwie to mieliśmy się pobrać. - Jessica wyciągnęła lewą dłoń.

Sayre zobaczyła diamencik osadzony na platynowej obrączce.

- Jest śliczny.

Ponieważ ów niedoceniany w dzisiejszych czasach pierścionek był cichą, prostą deklaracją miłości, bardzo w stylu Danny'ego, Sayre poczuła przyływ współczucia dla młodej kobiety i jednocześnie wściekłość na Chrisa i Huffa za to, że wyłączyli narzeczoną zmarłego brata z listy najbliższych, odczytanej na pogrzebie. Był to jawny afront.

- Przepraszam, że nie porozmawiałam z tobą w domu, Jessico - powiedziała, - Nie wiedziałam, że Danny był zaręczony. Nikt nic mi nie mówił. - Może zresztą Danny próbował. Czy dlatego do niej dzwonił?

- Nikt nie wiedział o naszych zaręczynach - odparła Jessica. - Nikt z rodziny. Danny nie chciał, aby pani ojciec i brat dowiedzieli się o tym przed zawarciem małżeństwa.

- Dlaczego? - spytała Sayre, chociaż znała już odpowiedź na to pytanie.

- Nie chciał, żeby się wtręcali. Uznał, że najprawdopodobniej by mnie nie zaakceptowali.

- To idiotyczne. Z jakiego powodu?

Dziewczyna roześmiała się ze smutkiem.

- Nie pochodzę z bogatej rodziny, pani Lynch.

- Proszę, mów mi po imieniu.

- Mój tata pracuje na plantacji tytoniu w Nowej Iberii, a mama jest sprzątaczką. Zaoszczędzili na tyle pieniędzy, żeby wysłać mnie i siostrę do college'u. Jesteśmy ich dumą i radością, ponieważ obie zostałyśmy nauczycielkami w szkole podstawowej.

- Mają wszelkie prawa do dumy i nie mówię tego protekcjonalnie. Jak poznałaś Danny'ego?

- Uczę w trzeciej klasie, ale pracuję również ochotniczo w bibliotece miejskiej. Danny przyszedł tam pewnego wieczoru i trochę się zaczytał. Musiałam zamknąć bibliotekę, więc przerwałam mu i poprosiłam, aby wyszedł. Popatrzył na mnie bardzo, bardzo długo, a potem powiedział: „Wyjdę grzecznie, ale tylko wtedy, jeżeli pójdziesz ze mną na kawę”. - Dotknęła dłonią policzka, jakby wspomnienie ich pierwszego spotkania wywołało na jej twarzy rumieniec.

- Zgodziłaś się?

- Na kawę? Tak - roześmiała się miękko. - Nie powinnam. Nie należę do kobiet, które umawiają się z ledwo poznanymi mężczyznami, ale zrobiłam to. - Spojrzała na pokryty kwiatami grób. -

Rozmawialiśmy długo, a zanim się pożegnaliśmy, zaprosił mnie na randkę w następny weekend.

Wkrótce się dowiedziałam, że jest synem Huffa Hoyle'a. To mnie przeraziło i chciałam się

wycofać ze spotkania, ale tak polubiłam Danny'ego, że dotrzymałam słowa. Pojechaliśmy na

obiad do jakiejś restauracji poza miastem, w drodze do Nowego Orleanu. Danny powiedział, że

zabiera mnie tam, bo podają w niej doskonałe jedzenie, i rzeczywiście tak było. Ale już wtedy

wiedziałam, że chciał zachować dyskrecję i nie przeszkadzało mi to. Nie chciałam wiązać się z

waszą rodziną. - Gwałtownie odwróciła głowę. - Mam nadzieję, że cię nie uraziłam.

- Absolutnie. Ja również nie chcę się czuć z nią związana. Sama wiem najlepiej, jacy jesteśmy zdeprawowani.

- Danny nie był zdeprawowany - uśmiechnęła się smutno Jessica.

- Nie. On nie.

- Pracował w odlewni i dobrze się spisywał, chociaż nie miał do tego serca. Nie podobała mu się filozofia zarządzania wyznawana przez pani ojca i starszego brata. Nie zgadzał się z nimi pod wieloma względami, ale też trudno mu było się im przeciwstawić. Niełatwo jest zmienić wieloletnie przyzwyczajenia, chociaż ostatnio Danny nabrał nieco więcej odwagi.

Sayre postanowiła, że przemyśli tę ostatnią uwagę nieco później. Zastanawiała się, w jaki sposób Danny uwidaczniał nowo nabytą śmiałość.

- Jak długo byliście zaręczeni?

- Dwa tygodnie.

- Dwa tygodnie?

- Tak. Powiadają, że Danny się zabił, ale to nieprawda. Snuliśmy plany na przyszłość, gdzie zamieszkamy i co będziemy robić. Wybieraliśmy imiona dla naszych dzieci. Danny nie popełnił samobójstwa. Uznawał to za grzech.

Ostatnie słowa Jessiki skłoniły Sayre do zadania kolejnego pytania:

- Należysz do tej samej wspólnoty kościelnej, co Danny?

- Tak. Po naszej drugiej randce zaprosiłam go na nabożeństwo. Tej niedzieli śpiewałam na mszy.

Sayre zrozumiała, skąd brała się melodyjność głosu Jessiki i jej dźwięczny śmiech.

- Danny nie miał ochoty iść. Twierdził, że Huff, jak zawsze nazywał ojca, potępia religię.

Powiedziałam mu jednak, że jeśli nie uwierzy w Boga jak ja, nie będę się mogła z nim spotykać.

Mówiłam poważnie - uśmiechnęła się nieśmiało. - Zależało mu na mnie na tyle, że poszedł na mszę. Po tym pierwszym razie uświadomił sobie, że brakowało mu w życiu Bożej miłości.

Zrozumiał to i stał się innym człowiekiem.

W tym względzie Huff, Chris i Beck Merchant w zupełności zgadzali się z Jessicą, chociaż przypisywali zmianę osobowości Danny'ego jakiemuś zdarzeniu, nie zaś odnowie w duchu religijnym. Postrzegali to jako coś złego, a nie pozytywnego.

- Myślę, że byłeś bardzo dobra dla mojego brata, Jessico. Cieszę się, że cię spotkał, i dziękuję za to, że go pokochałaś.

- Nie musisz mi dziękować - powiedziała Jessica załamującym się głosem. Z jej oczu popłynęły łzy, które zaczęła ocierać chusteczką. - Kochałam go z całego serca. Co ja teraz zrobię?

Sayre przytuliła zapłakaną dziewczynę. Jej oczy również wypełniły się łzami, ze współczucia dla Jessiki i żalu po zmarłym. Danny nie poczuje już nic, gdy tymczasem ta młoda kobieta ma złamane serce, które może wyleczyć jedynie czas.

W życiu człowieka zdarzają się rzeczy, których teoretycznie nie potrafiłby przeżyć, wydarzenia tak bolesne, że wolałby raczej umrzeć, niż trwać w agonii życia. Sayre doskonale wiedziała, jak to jest. Doświadczyła już bólu tak ogromnego, że chciała umrzeć. Zdawało się, że nic poza śmiercią nie uwolni ją od cierpienia. Instykt przeżycia jest jednak zdumiewającym zjawiskiem. Serce bije, nawet gdy w człowieku umiera wola życia, płuca wypełniają się powietrzem, chociaż straciło się chęć do oddychania. I żyje się dalej.

Sayre rozumiała żal narzeczonej Danny'ego. Nie próbowała jej pocieszać okrągłymi zdaniem. Po prostu trzymała ją w objęciach tak długo, jak było to potrzebne. Sama przeszła przez własne piekło, a wtedy nie miała przy sobie nikogo, kto by ją przytulił.

Wreszcie Jessica przestała płakać.

- Danny nie chciałby, żebym rozpaczała. - Otarła oczy, wydmuchała nos i uspokoiła się trochę. -

Nie przyjmuję do wiadomości werdyktu coronera.

- Jeśli cię to pocieszy, nie jesteś sama. Pewne niełatwe pytania zostały już zadane.

Opowiedziała Jessice o spotkaniu z szeryfem Harperem i Wayne'em Scottem, dzieląc się wszystkimi szczegółami, które zapamiętała. Kiedy skończyła, dziewczyna zastygła w milczeniu, próbując ogarnąć nowe informacje, nim spytała:

- Ten detektyw pracuje dla Rudego Harpera?

- Wiem, o czym myślisz: Rudy Harper jest opłacany przez Huffa. Niemniej ten Scott wydaje się zdeterminowany, aby przeprowadzić dochodzenie.

Dziewczyna w zamyśleniu skubała dolną wargę.

- Danny ostatnio czymś się martwił. Kiedy go o to pytałam, zbywał mnie żartami. Mówił, że martwi się, jak mnie będzie utrzymywał albo co pocnie, kiedy po ślubie zrobię się gruba i niechlujna, albo czy będę go kochała, jeśli całkiem wyłysieje. Tego typu rzeczy. Zaczęłam się nawet zastanawiać, czy sobie tego nie wymyśliłam, ale znałam go na tyle dobrze, że jestem przekonana, iż miałam rację.

- Nigdy ci nie mówił, co to za zmartwienie?

- Nie, ale na pewno coś go gryzło.

- Coś na tyle poważnego, żeby w końcu odebrać sobie życie? - spytała łagodnie Sayre.

- Nie zraniłby mnie w taki sposób - odparła Jessica z uporem. - Nie zostawiłby mnie, żebym przez resztę życia zastanawiała się, dlaczego to zrobił i jak mogłam go od tego powstrzymać. Nie obciążałby mnie taką odpowiedzialnością i zwątpieniem w siebie samą. Nie, Sayre. Nigdy nie uwierzę, że się zastrzelił. Przyznaję jednak, że inna możliwość jest przerażająca - dodała po chwili przerwy. - Danny był taki prostoduszny. Lubili go nawet pracownicy huty, którzy nie myślą o rodzinie Hoyle'ów w superlatywach.

- Niekoniecznie, Jessico. Był dyrektorem działu zatrudnienia. Zajmował się zwalnianiem i przyjmowaniem ludzi do pracy, ubezpieczeniami i wynagrodzeniem. Tego typu rzeczy mogły przysporzyć mu wrogów.

- Danny musiał się stosować do ustalonych zasad Huffa i wydaje mi się, że wszyscy pracownicy fabryki byli tego świadomi.

Możliwe, ale ktoś powodowany zbyt silnym uczuciem zemsty mógł nie dostrzec różnicy.

- Kiedy detektyw Scott zapytał nas, czy ktoś mógł pragnąć śmierci Danny'ego, Beck Merchant... jestem pewna, że Danny ci o nim wspominał...

- Wiem, kim on jest - odparła Jessica. - Wszyscy wiedzą. To szycha w fabryce. On i Chris rozumieją się jak para łotrów.

- Są aż tak dobrymi przyjaciółmi?

- Niemal nierozłącznymi.

Sayre postanowiła przemyśleć później również i tę sprawę. Wszystko, co usłyszał Beck, trafiło zapewne bezpośrednio do uszu Chrisa.

- Kiedy szeryf Harper zapytał, czy wiemy o kimś, kto mógłby nastawać na życie Danny'ego, pan Merchant odpowiedział w naszym imieniu to, co w tamtej chwili chyba wszystkim przyszło do głowy. Hoyle'owie przez lata narobili sobie wielu wrogów i jeżeli ktoś chciał się zemścić, Danny był łatwym celem, jako najcichszy i najbardziej bezbronny z nas wszystkich.

Po dłuższym milczeniu Jessica odrzekła:

- Zapewne tak, chociaż boli mnie myśl, że Danny stracił życie przez kogoś, kto żywił urazę do rodziny za to, czego on nie zrobił.

- Zgadzasz się - Sayre zawahała się przez chwilę. - Zamierzasz powiedzieć Huffowi i Chrisowi o waszych sekretnych zaręczynach?

- Pod żadnym pozorem. Moi rodzice wiedzieli o tym, ponieważ Danny poprosił tatę o moją rękę.

Oni i moja siostra to jedyne osoby, które znają naszą tajemnicę. Nie powiedziałam o tym w szkole. Spotykaliśmy się zawsze poza miastem. Nawet w kościele byliśmy ostrożni, nigdy nie zostawialiśmy sami, pilnowaliśmy, by przebywać w grupie. Nie widzę powodu, żeby rozgłaszać o



tym teraz. Wywoła to jedynie niepotrzebne kłopoty z twoim ojcem i bratem, a szczerze mówiąc, nie mam siły ani ochoty wdawać się z nimi w jakiegokolwiek awantury. Chcę myśleć o Dannym, zachować o nim cudowne wspomnienia. Nie chciałabym usłyszeć czegoś, co zbruka ich piękno.

- Niestety, muszę ci przyznać rację - powiedziała Sayre. - Myślę, że to rozsądna decyzja. Nie dawaj im okazji, aby sprawili ci dodatkowy ból. Chociaż dużo tracą, nie znając cię - uściśnęła rękę Jessiki. - Cieszę się z naszego spotkania. Świadomość, że przez ostatni rok swojego życia Danny był szczęśliwy, bardzo mi pomogła.

Z tymi słowy postanowiła odejść, zostawiając Jessicę samą przy grobie narzeczonego. Przed pożegnaniem wymieniły numery telefonów i Sayre obiecała informować Jessicę o rozwoju śledztwa.

- Niezależnie od wniosków, jakie wyciągnie zastępca szeryfa, wiem, że Danny nie popełnił samobójstwa - powiedziała na pożegnanie Jessica, z uporem, który kontrastował z jej delikatnym wyglądem. - Nie zostawiłby mnie tak po prostu. Ktoś go zabił.

Bar Przeznaczenie zmienił się od czasu, kiedy Sayre była tu po raz ostatni. Chromowane stołki przy barze miały teraz turkusowe winylowe siedziska, zamiast czerwonych. W otwartych kubikach zamontowano nowe małe stoły z formiki, również turkusowe, które w założeniu miały uzupełniać się kolorystycznie z jaskraworóżową tapicerką krzeseł. Właściciele restauracji zapewne uznali, że ten zestaw barw rodem z Miami Beach będzie imitacją klasycznego wystroju barów z lat pięćdziesiątych. Niestety, udało im się jedynie przekształcić autentyk w żalną parodię.

Zamiast płyt winylowych, były tu teraz płyty kompaktowe, ale przynajmniej zachowano jeszcze tradycję szafy grającej. Poza tym, mimo zmiany wystroju, nadal serwowano te same wysokokaloryczne, otłuszczające naczynia krwionośne potrawy.

Sayre złożyła zamówienie i opadła na wyłożone różowym pluszem plastikowe krzeselko przy stoliku. Sączyła powoli waniliową coca-colę, zastanawiając się po raz setny, co tutaj robi i dlaczego nie pojechała do Nowego Orleanu, by złapać nad ranem pierwszy samolot do San Francisco. Zamiast tego po opuszczeniu cmentarza pojechała do lepszego (choć i tak wątpliwej jakości) z dwóch moteli w Destiny i wynajęła pokój. Następnie uznała, że jest głodna, a może po prostu nie potrafiła znaleźć sobie miejsca, więc postanowiła coś przekąsić.

Był środek tygodnia i dawno już minęła godzina wieczornego posiłku. Sayre miała całą salę dla siebie, co bardzo jej odpowiadało. Potrzebowała chwili spokoju, żeby zastanowić się nad wydarzeniami dzisiejszego dnia.

Czas spędzony na cmentarzu okazał się bardzo owocny. Gdyby przybyła tam pół godziny wcześniej lub później, nigdy by się nie dowiedziała o istnieniu Jessiki DeBlance ani o szczęściu Danny'ego. Rozmowa z kobietą, która kochała jej brata, była niczym przynoszący radość podarunek. Co ważniejsze, niedawne zaręczyny Danny'ego były niemal niezaprzeczalnym

argumentem przeciwko samobójstwu. Zastanawiała się, co powinna zrobić z tą świeżo nabytą wiedzą, która sprawiła, że telefony Danny'ego po niemal dziesięcioletnim milczeniu stały się dla niej jeszcze większą zagadką. Czy chciał jej przekazać nowinę o zaręczynach, czy też pożegnać się przed odebraniem sobie życia, a może omówić to, co go męczyło? Brak odpowiedzi będzie ją dręczył do końca życia.

- Kogo ja widzę, rudy rydz.

Wyrwana z zamyślenia, rozejrzała się, w pierwszej chwili oczekując kogoś, kto zwracał się do szeryfa Harpera, jednak mężczyzna stojący obok jej stolika uśmiechał się do niej. Nazwał ją „rudym rydzem” z powodu koloru włosów. Naprawdę sądził, że jest uwodzicielski?

Najwyraźniej tak, ponieważ uśmiechał się z samozadowoleniem. Skinął w kierunku jej szklanki z coca-colą.

- Pijesz sama?

- I wolę, żeby tak zostało. - Z tymi słowami spojrzała znów w dół. Miała nadzieję, że to pojmie, ale tamten nie rezygnował.

- Skąd wiesz? Nie próbowałaś jeszcze ze mną.

- I nie spróbuję.

- I nie spróbuję - powtórzył, naśladowując jej ton. - Podłapałaś napuszoną mowę w tym swoim San Fran-cis-co.

Spojrzała na niego ostro.

- Ha! Zastanawiasz się, skąd o tym wiem? Znam cię, panno Sayre Hoyle. Nie mógłbym zapomnieć koloru twoich włosów ani... - objął wzrokiem jej sylwetkę, prawdopodobnie uznając, że jest kusicielski -... ani twoich kształtów. Nabawiłaś się kilku złych nawyków w tej swojej Kalifornii, ale wszystkie tamtejsze cioty gadają tak śmiesznie jak ty, więc chyba nie mogę cię za to winić. - Pochylił się ku niej i dodał szeptem: - Założę się, że nadal masz taki słodki tyłeczek,

jak wtedy, gdy byłaś szesnastoletnią cheerleaderką. Skakałaś po całym boisku, robiłaś gwiazdy i tym podobne. Te twoje wymachy zawsze dodawały mi wigoru. Z niecierpliwością wyczekiwałem każdego piątku.

- Urocze - odparła, obdarzając go zimnym spojrzeniem. - A teraz spadaj, jeśli łaska.

Jednak nieznajomy wsunął się już na ławkę naprzeciwko niej. Sayre sięgnęła po torebkę, lecz zanim zdołała wydostać się z kubika, zacisnął dłoń na jej nadgarstku.

- Puść mnie - powiedziała, usiłując się wyrwać.

- Staram się po prostu prowadzić przyjacielską pogawędkę - odparł przymilnym tonem. -

Przecież się znamy. Nie pamiętasz mnie?

Sayre nie miała ochoty na żadną konwersację, przyjacielską czy nie, z tym łązęgą o długich, żółtych szczurzych zębach, przeredzonej żółtawej koziej bródce i ogromnych uszach. Nie chciała jednak wdawać się z nim w niepotrzebną szarpaninę, przyciągając uwagę innych klientów baru. Nie zamierzała robić z siebie widowiska, co niechybnie dotarłoby do Huffa i Chrisa, którzy myśleli, że wyjechała do Nowego Orleanu, zgodnie z wcześniejszymi zamierzeniami, i ubawiliby się jej przygodą.

Spojrzała na intruza najzimniej, jak potrafiła.

- Nie wiem, kim pan jest, i nie obchodzi mnie to. Jeżeli nie puści pan natychmiast mojej ręki...

- To co? - spytał drwiąco, zaciskając tylko mocniej dłoń na jej nadgarstku i wbijając boleśnie palce w miękką poduszkę pod kciukiem. - Niby co zrobisz, jeśli cię nie puszcze?

- Złamię ci twój cholerny kark. A jeśli nie, ja to zrobię.

Szczęka natręta opadła nieco, gdy spojrział ponad ramieniem Sayre. Odwróciła się i dostrzegła Becka Merchanta, opartego swobodnie o niską ściankę działową za jej plecami, zupełnie tak, jak na cmentarzu, gdy wspierał się o bagażnik jej samochodu. Uśmiechał się również w ten sam sposób, leniwie, niezobowiązująco, tym razem jednak wyłącznie ustami. Jego oczy

odzwierciedlały groźbę, którą właśnie zadeklarował słownie.

Podkopało to nieco pewność siebie intruza.

- Kim ty niby jesteś, żeby się wtrącać? - wyraźnie nadrabiał miną.

- Jestem facetem, który zaraz złamie ci kark.

- Już raz spuściłem ci manto. Widzę, że o tym zapomniałeś, ale z przyjemnością odświeżę ci pamięć - odgryzł się.

Blefował. Nawet Sayre, która nie była specjalistką od walk na pięści, widziała to wyraźnie.

- Zostaw ją w spokoju. Na-tych-miast. - Beck zaakcentował ostatnie słowo.

Nieznajomy zawahał się przez chwilę, a potem puścił jej rękę i wstał od stolika. Uśmiechając się szyderczo do Sayre, rzucił na odchodne:

- Zawsze uważałaś, że jesteś lepsza od innych, jak wszyscy Hoyle'owie.

Sayre nie fatygowała się z odpowiedzią. Obserwowała, jak nieznajomy usadawia się w kabinie na drugim końcu baru, gdzie jego towarzysze zaczęli pokpiwać z powodu nieudanego podrywu.

Przeniosła wzrok na Becka.

- Poradziłabym sobie sama.

- Zapamiętam to.

Zanim mogła powiedzieć coś więcej, podszedł do drzwi restauracji, otworzył je na oścież i gwizdnął cicho. Z tyłu pikapu poderwał się duży pies i podbiegł do niego.

- Idź na zaplecze, niech cię nakarmią.

Złoty retriever podszedł do podwójnych drzwi prowadzących do kuchni i otworzył je nosem.

Sayre usłyszała głośne okrzyki powitania dochodzące ze środka. Beck wślizgnął się na ławkę naprzeciwko niej.

- Frito? - spytała.

- Skąd wiesz?

- Chris o nim wspominał.

- Ach, prawda. Noc w domku rybackim. Ryś.

- Domyśliłam się, że Chris mówił o psie - zerknęła w kierunku kuchni. - Widzę, że Frito jest tutaj stałym bywalcem.

- Ja też. Za to ciebie nigdy tu nie widziałem i szczerze mówiąc, jestem zaskoczony. W domu bez przerwy mówiłaś coś o powrocie do Kalifornii.

- Pojechałam na cmentarz i zrobiło się zbyt późno. Postanowiłam więc zostać na noc i wyjechać jutro rano.

Nie skomentował jej słów.

- Zamówiłaś już coś? - spytał.

- Cheeseburgera.

- Grady, dla mnie to samo, co dla damy, proszę - zawołał Beck w stronę niskiego kucharza, widocznego zza okienka do podawania potraw.

- Robi się - odkrzyknął tamten.

Beck usadowił się wygodniej w kabinie.

- A teraz, co mówiłaś o poradzeniu sobie z Klappsem Watkinsem?

- Watkins - powtórzyła z nagłym zrozumieniem. - Teraz pamiętam. Był rozrabiaką, trochę starszy ode mnie, ale chyba powtarzał kilka klas. Raz został zawieszony za podglądanie dziewczyn w szatni.

- Nadal jest rozrabiaką. Dowiedziałem się od Chrisa, że niedawno wyszedł z więzienia. Kiedy parkowałem, zobaczyłem cię przez okno i odniosłem wrażenie, że potrzebujesz pomocy.

- Powinnam w tym momencie wtrącić: „Dziękuję za uratowanie mi życia”?

Uśmiechnął się szeroko, spojrzał na zbliżającą się kelnerkę i mrugnął do niej, kiedy stawiała przed nim szklankę z colą.

- Pamiętałaś o cytrynie, chociaż ci tego nie przypomniałem. Dzięki.

- Jasne, że pamiętałam - odwzajemniła jego flirciarski uśmiech.

- Znasz Sayre Lynch?

Obie kobiety wymieniły chłodne uśmiechy.

- Ten Klaps Watkins zasmrodził całe miejsce - rzekła kelnerka, zniżając głos. - Chcesz, żebym wytarła dla was stolik, Beck?

- Myślę, że nie trzeba, ale mimo wszystko dzięki.

- Nie powinni go wypuszczać z więzienia.

- Daj mu trochę czasu. Na pewno tam wróci.

- Ale nim to się stanie, wolałabym, żeby on i jego kolesie znaleźli sobie inne miejsce do przesiadywania. Burgery zaraz będą gotowe. Miło było panią poznać - rzuciła w stronę Sayre, odchodząc - chociaż z wątpliwą szczerością. Zdawała się niechętnie zostawiać Becka sam na sam z inną kobietą.

Kelnerka prawdopodobnie nie była jedyną dziewczyną w Destiny, której mocniej biło serce na widok Merchanta i Sayre rozumiała dlaczego. Miał w sobie niezaprzeczalny seksapil; zielone oczy, jasne włosy i uśmiech wart grzechu. Wyglądał równie przystojnie i elegancko w starych dżinsach i białej kratkowanej koszuli, które miał na sobie teraz, jak w garniturze, na pogrzebie. Bardzo atrakcyjny zestaw. Ale o Chrisie można było powiedzieć to samo. Nosił się równie elegancko, był przystojny niczym gwiazdor. Tyle że wiele niebezpiecznych, śmiercionośnych gadów także wygląda równie ujmująco. Chris był wężem, który uderzał, jednocześnie omamiając ofiarę swym pięknem. Sayre nie ufała Beckowi, podobnie jak starszemu bratu. Może nawet bardziej. Chris urodził się złym człowiekiem, Merchantowi płacono za jego podłość.

- Selmie pękłoby serce, gdyby się dowiedziała, że przyszedł tu na obiad, chociaż przez cały dzień próbowała nas nakarmić - zauważył Beck.

- Kocha nas. Zawsze kochała i to bardziej, niż sobie na to zasłużyliśmy.
- Dlaczego uważasz, że nie zasługujesz na miłość? - spytał, pochylając się ku niej.
- Jest pan prawnikiem, panie Merchant, a nie psychoanalitykiem.
- Próbuję po prostu podtrzymać konwersację.
- Klaps Watkins też tak mówił.

Roześmiał się głośno.

- Zatem muszę popracować nad swoją techniką. Przez chwilę mieszał słomką w swojej szklance coli. - Sayre, przepraszam cię - powiedział powoli, spoglądając jej w oczy. - Za to, że w ten sposób mówiłem o starym Mitchellu. To była tania zagrywka. Zazwyczaj postępuję nieco bardziej uczciwie, nawet gdy jestem zły.

Nienawidząc się za wiarę w szczerść jego przeprosin, nie odpowiedziała. Wzruszyła tylko ramionami.

Kelnerka przyniosła ich zamówienia. Burgery były takie, jakie powinny być; tłuste, gorące i smakowite. Przez kilka chwil jedli w milczeniu, ale Sayre wiedziała, że Beck jej się przygląda.

- O co chodzi, panie Merchant? - spytała wreszcie.
- Słucham?
- Ciągle pan na mnie patrzy.
- Hmm, przepraszam. Zastanawiałem się po prostu, czy podziękowanie rzeczywiście jest dla ciebie tak trudne.
- Za co?
- Za odstraszenie Watkinsa.

Skinął głową w kierunku okna. Odwróciła się i spojrzała, jak natręt wsiada na motocykl. Kopnął zapłon i wyjechał z miejsca na parkingu przed barem. Zanim z rykiem silnika oddalił się na autostradę, pokazał im środkowy palec.



- To najlepiej świadczy o jego opinii o nas - mruknęła Sayre i dodała: - Poradziłabym sobie z nim, ale prawdopodobnie nie bez wszczynania awantury i zrobienia z siebie głównego tematu miejscowych plotek. Dlatego dziękuję.

- Cieszę się, że mogłem pomóc.

- Powiedział, że już kiedyś spuścił ci manto. Naprawdę?

- To jego wersja. - Skończył jeść burgera i wyciągnął dwie serwetki z podajnika, żeby wytrzeć ręce. - To dzięki Watkinsowi ponownie zaprzyjaźniliśmy się z Chrisem. Dwie kawy - rzucił do kelnerki, która podeszła, aby zabrać talerze. - Jeżeli Frito za bardzo wam przeszkadza, przyślij go tutaj - dodał.

Kelnerka powiedziała, że Frito uciął sobie drzemkę i poszła przygotować napoje. Sayre się cieszyła, że Beck zamówił kawę. Po ciężkostrawnym obiedzie bardzo się przyda.

- Poznaliśmy się z Chrisem na Uniwersytecie Stanowym Luizjany kiedy wstąpiłem do tego samego bractwa. Był na roku wyżej. Przyjaźniliśmy się przelotnie, zanim ukończył studia. Nie widzieliśmy się całe wieki, aż do zdarzenia trzy lata temu. - Podziękował kolejnym uśmiechem za kawę, którą przyniosła kelnerka. - To prawdziwa kawa z cykorią - ostrzegł, kiedy Sayre uniosła dymiący kubek do ust.

- Wyssałam ją z mlekiem matki i nadal sprowadzam specjalnie dla siebie do San Francisco. - Upiła łyk. - Co takiego zdarzyło się trzy lata temu, że znów się zaprzyjaźniliście?

- Sprawa Gene'a Iversona. Co wiesz na ten temat?

- Tylko to, co wyczytałam w firmowych biuletynach.

- Biuletynach, których nie chcesz, aby ci przysyłano, ale mimo to czytasz?

Przyłapał ją, chociaż nigdy by się do tego nie przyznała. Czytała je od deski do deski nie dlatego, że obchodziły ją dobra Chrisa i Huffa, ale dlatego, że przejmowała się ludźmi pracującymi dla jej rodziny i przyszłością miasta. Bez Hoyle Enterprises zawaliłaby się lokalna gospodarka. Setki

rodzin zostałyby bez stałych dochodów. Chociaż nie interesował jej zysk z odlewni, czuła moralną odpowiedzialność za mieszkańców miasta i chciała się orientować w sprawach firmy.

- Informacje publikowane w biuletynach przechodzą przez cenzurę Huffa i Chrisa, zwłaszcza jeśli prawda mogłaby postawić ich w złym świetle. Innymi słowy, moje źródła informacji o sprawie Iversona były stronnicze i niesolidne. Co możesz mi powiedzieć na jego temat?

Pochylił się do przodu i przez chwilę patrzył na nią uważnie.

- Twojego brata oskarżono o morderstwo, a mimo to przez cały ten czas nie zadałaś sobie trudu, aby się dowiedzieć o sprawie czegoś więcej. Czy trochę nie za późno na troskę?

- Nie jestem zmartwiona, tylko ciekawa. Nie obchodzi mnie Chris ani to, co robi. To samo dotyczy Huffa. Wymazałam ich z mojego życia dziesięć lat temu i jeśli brzmi to zbyt okrutnie i bezwzględnie, to trudno.

- A co z Dannym?

- Danny - odpowiedziała, czując nagły przypływ smutku na wspomnienie brata. - Przyjmował z pokorą wszystko, co fundowali mu Huff i Chris. Jestem pewna, że był pan świadkiem jego codziennej subordynacji. Danny nigdy się im nie sprzeciwił.

- Ale ty owszem.

Dopiero dziesięć lat temu, pomyślała. Kiedy sięgnęła dna i zrozumiała, że aby przetrwać, musi na zawsze opuścić dom i rodzinne miasto.

- Miałam szczęście. Zdołałam znaleźć sposób na przeciwstawienie się Huffowi i na odejście.

Danny tego nie zrobił.

Beck się zawahał, a potem mruknął:

- Może udało mu się uciec w inny sposób,

- Możliwe.

- Ale kiedy wyjeżdżałaś stąd dziesięć lat temu, nie miałaś o nim najlepszej opinii. Uważałaś, że

jest beznadziejnym popychadłem.

- To prawda.

W rzeczywistości wyjeżdżała stąd przepełniona nienawiścią do nich wszystkich. Po kilku latach terapii jej negatywne uczucia w stosunku do Danny'ego nieco złagodniały, niewystarczająco jednak, by porozmawiać z nim przez telefon, gdy jakiś czas temu nagle się do niej odezwał.

W zamyśleniu sączyła kawę. Kiedy odstawiła kubek na spodeczek, spostrzegła, że Beck Merchant przygląda się jej z niepokojącym zainteresowaniem. Zwymyślała się w duchu za to, że zaczęła rozmawiać z nim o rzeczach, o których do tej pory zwierzała się wyłącznie terapeutce.

- Mówiliśmy o sprawie Gene'a Iversona.

- Prawda - wyprostował się i odchrząknął. - Co byś chciała wiedzieć?

- Czy Chris go zabił?

- Nie przebierasz w słowach. - Beck uniósł lewą brew.

- A więc?

- Dowody przeciwko Chrisowi były czysto poszlakowe.

- To nie jest odpowiedź. Przepraszam, przeformułuję: to jest odpowiedź prawnika.

- Linia oskarżenia była na tyle słaba, żeby proces zakończył się impasem.

- I nigdy nie został wznowiony?

- Przede wszystkim w ogóle nie powinien się rozpocząć.

- Nie ma trupa, nie ma morderstwa, tak?

O tym właśnie rozprawiwały wszystkie artykuły, które na ten temat czytała. Nigdy nie odnaleziono ciała Gene'a Iversona. Przepadł bez śladu.

- Gdybym to ja był prokuratorem, z pewnością nie podjąłbym się oskarżenia, nie odnalazłszy denata - powiedział Beck. - Nieważne, jak bardzo przekonujące byłyby poszlaki.

- Jak to się stało, że zaangażował się pan w sprawę?

- Przeczytałem o procesie. Z powodu, który przed chwilą wyłuszczyłem, pomyślałem, że to jakaś bzdura. Przybyłem tutaj, aby wesprzeć kolegę z bractwa i pomóc mu w miarę możliwości. Zanim jednak tu dotarłem, sprawa dobiegła końca. Spotkałem Chrisa i Danny'ego świętujących zwycięstwo w tandetnej spelunie przy zjeździe z autostrady. Znasz to miejsce?

- Chodzi o Razorbacka?

- Tak jest. Chris postawił wszystkim drinka, żeby uczcić wynik procesu. Klaps Watkins też tam był i zaczął nawijać, jak to sądy są skorumpowane, bogaci ludzie nigdy nie odsiadują kar i tym podobne. Nie spodobało się to ani Chrisowi, ani Danny'emu, który pierwszy zadał cios, stając w obronie starszego brata. Rozpętało się istne piekło. Ja również się dołączyłem i, pomimo przechwałek Watkina, przechyliłem szalę zwycięstwa na stronę twojego brata. Wytarliśmy Watkinsa podłogę.

- A zatem ocalił pan całą naszą trójkę przed brudnymi paluchami Klapsa Watkina.

- Na to wygląda - odparł z uśmiechem. - Dobrze jest mieć mnie pod ręką.

- Huff i Chris zdają się tak właśnie myśleć.

Oparł ręce na stole i pochylił się w jej kierunku.

- W tej chwili interesuje mnie to, co ty myślisz.

Było to proste stwierdzenie, Sayre wyczuła w nim jednak znacznie bardziej skomplikowany podtekst.

- Myślę, że już czas się pożegnać. - Otworzyła torebkę.

- Zapłacę za twój obiad. Mam tu otwarty rachunek.

- Dziękuję, ale nie.

- Obawiasz się zostać moją dłużniczką?

Wsunęła dwudziestodolarowy banknot pod cukierniczkę i spojrzała prosto w jego kpiące oczy.

- Nie boję się niczego, panie Merchant.

Wstał od stolika równocześnie z nią i powędrował za nią w kierunku wyjścia.

- Psy?

- Słucham?

- Boisz się psów? - Gwizdnął ostro.

Ledwie dokończył pytanie, kiedy przez drzwi kuchenne wypadł Frito. Był pięknym zwierzęciem.

Miał złociste futro, bielejące ku brzuchowi. Machał ogonem tak zawzięcie, że Sayre musiała się odsunąć, aby uniknąć uderzenia.

Frito przywitał swego pana z takim entuzjazmem, jakby nie widzieli się od miesiący, a nie zaledwie od kilku minut. Potem przeniósł niepohamowaną radość na Sayre. Zaczął tańczyć wokół jej stóp i lizać radośnie dłonie. Przestał dopiero na polecenie: „Spokój!”. Posłuchał natychmiast, grzecznie przysiadając na zadku. Nadal jednak buchał niekontrolowaną energią i wpatrywał się błagalnie w Sayre, dopraszając się pieszczot. Uległa mu.

- Jest śliczny. Jak długo pan go ma?

- Kilka lat. Jeden z pracowników odlewni przyniósł go kiedyś do pracy, wraz z rodzeństwem. Szczeniaki miały wtedy siedem tygodni. Zajrzałem do pudełka i po prostu musiałem zabrać go do domu. - Poskrobał psa po głowie. - Mieliśmy kilka nieporozumień co do niszczenia mebli, ale teraz nie wiem, co bym bez niego zrobił.

Obserwując jego czułe zachowanie wobec psa, pomyślała, że Beck Merchant ma bardzo seksowne oczy, piękny uśmiech i uroczonego zwierzaka. Łatwo się było na to nabrać. Ale to nie oznaczało bynajmniej, że jest miłym człowiekiem. W końcu był głównym doradcą prawnym Huffa Hoyle'a, zdolnym do oszustw na dużą skalę i Bóg jeden wie, do czego jeszcze. Nie zamierzała się nabrać na jego urok osobisty ani na udawaną miłość do zwierzaka, którą prezentował teraz w daremnej próbie przekonania jej do siebie.

Wyszli z klimatyzowanego wnętrza baru na rozgrzany parking i Sayre poczuła się jak w łaźni.

Ciężkie, parne powietrze przytłoczyło ją, na moment pozbawiając tchu. Poczowała zawroty głowy i brzęczenie w uszach.

- Wszystko w porządku? - spytał Beck, dotykając jej łokcia.

Przyłożyła dłoń do piersi i odetchnęła głęboko przez nos, wypuszczając powietrze ustami.

Zawroty głowy minęły, a źródłem brzęczenia w uszach okazała się jedna z neonowych żarówek w nazwie baru.

- Chyba nie jestem jeszcze zaaklimatyzowana.

- Na to trzeba czasu. - Spojrzał na nią z góry. - Ale nie zostaniesz tu aż tak długo, prawda?

- Nie. Nie aż tak długo.

Pokiwał głową, ale się nie odsunął. Nadal wpatrywał się w jej twarz.

- Zanim odejdę, chciałam zapytać... Ojej!

- Co się stało?

- Frito nadepnął mi na nogę.

Pies próbował się wcisnąć między nich i stąpnął ciężko jedną z łap na jej śródstopie.

- Przepraszam. - Beck otworzył szoferkę pikapu i gestem nakazał psu wejść do środka. Retriever wskoczył na siedzenie, jakby robił to już tysiące razy, i wystawił łeb przez otwarte okno od strony pasażera. Wywiesił język, a wyglądał przy tym uroczo prostodusznie. Sayre oparła się o karoserię i obejrzała stopę.

- Coś poważnego?

- Nie, wszystko w porządku.

- Bardzo mi przykro. Frito myśli, że jest małym pieskiem salonowym.

Mimo pulsującego bólu powiedziała:

- Bardziej mnie to przestraszyło, niż zabolalo.

- Chciałaś o coś zapytać.

Przez chwilę usiłowała sobie przypomnieć, co to było.

- Jak to się stało, że z współuczestnika bójki między Watkinsem a moim starszym bratem stałeś się głównym prawnikiem firmy Hoyle Enterprises? Ile czasu minęło od tamtego wieczora w Razorbacku, zanim Huff cię zatrudnił?

- Zrobił to, jak tylko wyleczyłem się z kaca - zaśmiał się. - Chris zaprosił mnie na kilka dni, na ryby i tym podobne. I najwyraźniej domyślił się, że nie byłem zbyt szczęśliwy w firmie prawniczej, w której wtedy pracowałem. Gdy moja wizyta dobiegała końca, Huff złożył mi propozycję, której nie mogłem odrzucić. Przeprowadzka nie była dla mnie problemem. Nie pojawiłem się w Destiny z zamiarem pozostania tutaj, ale nie była to zbyt trudna decyzja. Mówiąc to, zanurzył palce w gęstej sierści Frita i bezmyślnie głaskał go po szyi. Pies zamknął oczy. Wydawał się pijany ze szczęścia.

Zapytała, co stało się z Calvinem McGrawem, który był prawnikiem Huffa, od kiedy pamiętała. Beck Merchant zajął jego miejsce.

- Pan McGraw odszedł na emeryturę.

- Raczej Huff go na nią odesłał - odparowała.

- Nie znam szczegółów układu, ale jestem pewien, że Huff zaoferował mu atrakcyjny pakiet emerytalny.

- Och, oczywiście. Cena milczenia pana McGrawa musiała być wysoka.

- Milczenia?

- O tym, że przekupił ławę przysięgłych podczas procesu Chrisa.

Palce Becka przerwały bezmyślny taniec. Powoli odsunął rękę od szyi Frita. Pies zapiszczał w proteście, ale jego właściciel zdawał się tego nie zauważać. Całą uwagę skupił na Sayre.

Podszedł do niej powoli i stanął tak, że uwięził ją pomiędzy sobą i samochodem.

- Proszę się odsunąć - wzdrygnęła się Sayre.

- Za chwilę.

- Co to ma oznaczać?

- Wyznanie. Okłamałem cię.

- Tego akurat mogłam się spodziewać. Kiedy dokładnie i w jakiej sprawie?

- W sprawie komara.

Wpatrywała się w niego, nic nie rozumiejąc.

- Dziś po południu, nad rozlewiskiem, kiedy strąciłem dłonią komara z twojego policzka, pamiętasz? Nie było żadnego komara, Sayre. Po prostu chciałem dotknąć twojej twarzy.

Nie dotykał jej teraz, ale wpatrywał się w nią tak intensywnie, że jego wzrok na swojej twarzy odczuwała niczym muśnięcie palców. Nie powinien stawać tak blisko.

Nie zachował dystansu, jak przystało między dwojgiem nieznajomych. Wywołało to w Sayre niemal fizyczny dyskomfort. Było zbyt duszno i parno, by dwoje ludzi mogło stać tak blisko, czując ciepło promieniujące z ich ciał i niemal odbierając sobie powietrze.

- Nie przypominam sobie - skłamała.

Odepchnęła go i ruszyła w kierunku swojego samochodu, zaparkowanego niedaleko. Zanim doszła do auta, Beck zrównał się z nią. Chwycił ją za ramię i odwrócił tak, aby spojrzała na niego.

- Po pierwsze, pamiętasz i to jeszcze jak. Po drugie, rzuciłaś dziś wieczorem kilka poważnych oskarżeń. Zasugerowałaś, że Chrisowi udało się wywinąć od kary za morderstwo, a potem oskarżyłaś swojego ojca o to, że przekupił ławę przysięgłych. To poważne przestępstwa.

- Podobnie jak manipulowanie dowodami.

Beck uniósł ręce.

- Zgubiłem się.

- Żółte błoto - wskazała na opony pikapu. - Koła twojego wozu są nim oblepione, podobnie jak



twoje buty. - Jednocześnie spojrzeli na zabłocone kowbojki Becka, wystające spod postrzępionych brzegów dzinsów. - Jest tylko jedno miejsce w całej okolicy, gdzie ziemia ma taki kolor. Bayou Bosquet. - Sayre patrzyła mu prosto w twarz. - Tam, gdzie stoi nasz domek rybacki.

- I co w związku z tym? - zacisnął szczęki.

- Byłeś tam dziś wieczór, prawda? Nie próbuj kłamać, wiem, że tak. Zastanawiam się tylko, co tam robiłeś.

- Wiesz co? - odparł. - Jeżeli twoja firma dekoratorska kiedyś upadnie, powinnaś zatrudnić się w FBI.

- Scott powiedział, że do czasu zakończenia śledztwa domek rybacki jest miejscem przestępstwa. Miał go otoczyć taśmą.

- Owszem, jasnożółtą.

- Którą zignorowałeś.

- Czy wiesz, że psy nie widzą kolorów? Frito nie zdawał sobie sprawy, że taśma oznaczała miejsce zabójstwa. Przebiegł pod nią i musiałem tam wejść, żeby go zabrać.

- Mimo że tak doskonale reaguje na gesty, komendy i gwizd?

Zapadło ciężkie milczenie. Beck Merchant wiedział, że go przyłapała.

Był niski, gruby i różowy.

To nie ulega wątpliwości, pomyślał George Robson.

Trójdzielne, dobrze podświetlone lustro łazienkowe, zajmujące fragment ściany od podłogi do sufitu bezlitośnie odsłaniało wszystkie jego niedoskonałości. Nie podobało mu się to, co widział.

Codziennie coraz mniej włosów na jego głowie, za to więcej na plecach. Obwisłe piersi i sflaczały bamboch, pod którym widniał penis nie większy od kciuka. Mniej czasu spędzanego na golfie, a więcej na siłowni podreperowałyby stan jego klatki piersiowej i brzucha, ale nie mógł zrobić nic z tym drugim problemem, i to właśnie go martwiło. Miał piękną młodą żonę, którą musiał zadowolić, ale, niestety, kiepski sprzęt.

Zawstydzony, włożył majtki, zanim dołączył do Lili w sypialni. Siedziała już w łóżku, wsparta na poduszkach, przeglądając jeden z ukochanych magazynów mody. George wsunął się pod kołdrę obok niej,

- Jesteś piękniejsza niż wszystkie modelki w tej twojej gazecie. - Nie był to czczy komplement.

Mówił najszczerzą prawdę. Jego zdaniem Lila była najpiękniejszą kobietą, jaką spotkał w życiu.

- Hm.

- Naprawdę tak uważam.

Miała na sobie jedną z tych śliskich koszulek nocnych, które tak lubił. Krótka, z cienkimi ramiączkami. Jedno z nich właśnie się zsunęło. George sięgnął ku niemu i ściągnął je jeszcze niżej, a potem pogładził pierś Lili,

- Jest za gorąco - odtrąciła jego rękę.

- Nie tutaj, kochanie. Ustawiłem klimatyzację na dwadzieścia stopni, czyli tak jak lubisz.

- Wydaje się, jakby było cieplej.

Leżał bez ruchu, pozwalając jej w spokoju przeglądać magazyn. Przyglądał się jej twarzy,

ślicznym włosom i niesamowitemu ciału, próbując odegnać strach. Czy powinien się niepokoić?

Nie chciał wiedzieć, ale musiał, ponieważ niewiedza przyprawiała go o szaleństwo.

- Ładny pogrzeb wyprawili - zauważył tak niezobowiązująco, jak potrafił.

Wyraz twarzy Lili nie zmienił się ani na jotę.

- Omal nie zasnęłam w kościele. Nudy na pudy

- Huff urządził niezgorszą stypę.

- Była w porządku.

- Gdzie zniknęłaś?

- Zniknęłam? - Przewróciła kolejną kartkę. - Kiedy?

- Wtedy, na chwilę, w ich domu. Nie mogłem cię znaleźć.

Spojrzała na niego z góry.

- Poszłam się wysuszać.

- Sprawdziłem w toalecie.

- Była kolejka, więc poszłam na górę. Czy coś ci nie odpowiada? A może powinnam się wstrzymać do powrotu do domu?

- Nie złość się, kochanie. Ja po prostu...

- Och, daj spokój! - Rzuciła czasopismo na podłogę. - Jest zbyt gorąco na kłótnie o taki idiotyzm, jak moja wizyta w toalecie.

Zaczęła poprawiać poduszki pod głową. Poszewki były uszyte z haftowanego jedwabiu. Lila kupiła je w specjalistycznym sklepie w Nowym Orleanie. Kosztowały fortunę. George podskoczył pod sufit, kiedy zobaczył, jaką sumą obciążono jego kredyt.

- Wydałaś tyle na poszewki do poduszek? - zapytał z niedowierzaniem.

Lila powiedziała, że wobec tego je zwróci, ale przez kilka następnych dni była tak nieszczęśliwa, że w końcu się poddał i pozwolił je zatrzymać. Podziękowała mu ze łzami w oczach, mówiąc, że

jest najlepszym mężem na świecie. Pławił się w jej pochwałach.

- Dziękuję, że poszłaś ze mną dzisiaj na pogrzeb - powiedział, kładąc rękę na jej krągłym biodrze. - To bardzo ważne, żeby się tam pokazać.

- Oczywiście. Przecież dla nich pracujesz.

- Kierownik działu bezpieczeństwa pracy to bardzo ważna funkcja, wiesz? Cięży na mnie ogromna odpowiedzialność, Lila. Beze mnie Hoyle'owie...

- Nakarmiłeś kota?

- Wymieszałem chrupki z mięsem z puszki, tak jak kazałaś. W każdym razie moja funkcja w fabryce jest tak ważna jak Chrisa. Może nawet ważniejsza.

Przestała układać jedwabne poduszki i spojrzała na niego.

- Nikt nie wątpi, że jesteś jednym z najważniejszych ludzi w odlewni, George. Ja najlepiej wiem, jak dużo czasu spędzasz w pracy - wydeła usta. - Wiem to, ponieważ nie ma cię wtedy ze mną.

Uśmiechając się, ściągnęła koszulkę przez głowę, a potem zalotnie przeciągnęła nią po jego piersi. Mały penis George'a wyprężył się z podniecenia.

- Masz coś dzisiaj dla swojej Lili, George? Hm? - zamruczała.

Wsunęła dłoń w jego bokserki i zaczęła go pieścić. Dobrze wiedziała, jak go zadowolić. Gdy George odwzajemniał pieszczoty, pojękiwała, jakby sprawiał jej równie dużo rozkoszy, co ona jemu.

Może się mylił? Może wpadł w paranoję i zaczął sobie wyobrażać nieistniejące rzeczy, widział gesty i wyczuwał wibracje, które nie istniały? Był niski, gruby i różowy, za to Chris Hoyle wysoki, ciemny i przystojny. Podobno brał sobie kobiety wedle woli. George znał kilku pracowników huty, których małżeństwa rozpadły się z powodu romansu ich żon z Chrisem. To chyba naturalne, że się niepokoił, gdy jego żona przebywała w pobliżu takiego uwodziciela.

Pracował dla Hoyle'ów od ponad dwudziestu lat. Poświęcił dla nich wiele czasu, dumy i

prawości. Im więcej jednak im dawał, tym więcej od niego żądali. Żerowali na ludziach i na ich życiu, wysysając duszę i siły. George zaakceptował to dawno temu. Zadowalała go funkcja klakiera, ale na Boga, istniały jakieś granice. Dla George'a granicą była jego żona.

Ubrany wyłącznie w bokserki i niemodny prążkowany podkoszulek, Huff schodził po szerokich schodach. Chociaż starał się stąpać lekko, niektóre ze stopni skrzypiały, więc gdy znalazł się na parterze, czekała już tam na niego Selma, okutana w szlafrok zbyt gruby i ciepły jak na tę porę roku.

- Potrzebuje pan czegoś, panie Hoyle?

- Przydałoby mi się trochę cholernej prywatności w moim własnym domu. Nasłuchiwałaś z uchem przy ziemi?

- Bardzo przepraszam za to, że się o pana troszczę.

- Powiedziałem ci już dzisiaj tysiąc razy, że wszystko jest w porządku.

- Nie jest w porządku, po prostu nie dopuszcza pan do siebie tej myśli.

- Możemy o tym porozmawiać innym razem? Jestem w bieliźnie.

- Przypominam, że to ja piorę tę pana bieliznę. Uważa pan, że widok pana odzianego w bokserki mnie osłabi? Poza tym, to wcale nie taki znów piękny obrazek.

- Wracaj do łóżka, zanim wyrzucę cię z pracy.

Z miną obrażonej primabaleriny Selma obróciła się na pięcie, aż zafurczały poły szlafroka, i zniknęła w ciemności na tyłach domu.

Huff próbował wcześniej zasnąć, ale na próżno, leżał w łóżku czujny i rozbudzony. Nawet w czasie snu jego umysł nigdy nie wypoczywał, zupełnie jak piece hutnicze w fabryce. Pracował tak samo intensywnie w nocy, jak za dnia. W ten sposób rozwiązał już kilka wielkich problemów. Kładł się do łóżka z dylematem i następnego poranka budził się z odpowiedzią wymyśloną przez jego aktywną podświadomość. Dzisiejszej nocy dręczące go kłopoty były

jednak szczególnie niepokojące i sen opuścił go zupełnie. Zamykając oczy, za każdym razem widział świeży grób Danny'ego. Choć ustrojony najpiękniejszymi wiązkami, był po prostu dziurą w ziemi i nie reprezentował sobą niczego dostojnego.

Ściany sypialni zdawały się zamykać wokół Huffa niczym ubita ziemia wewnątrz grobu Danny'ego lub satynowe wyłogi jego trumny. Huff nigdy wcześniej nie doświadczył ataku klaustrofobii, zwłaszcza we własnym domu. Chociaż dysze klimatyzatora były skierowane na jego łóżko, pościel zwilgotniała od potu tak bardzo, że nie mógł zrzucić z siebie prześcieradeł, choć wierzgał i kopał nogami.

Poczuł, że ma zgagę, zamiast więc leżeć tu i znosić cierpienia aż do rana, zdecydował się wstać i przespacerować. Może nocny spokój wiejskiego krajobrazu uspokoi go na tyle, że zaśnie.

Otworzył drzwi wejściowe. W domu nie było systemu alarmowego. Nigdy też nie zamykano drzwi. Kto odważyłby się okraść Huffa Hoyle'a? Złodziej musiałby być niesamowicie odważny lub całkowicie szalony.

Huff gardził Arabami, podobnie jak Żydami, Latynosami, czarnuchami i Azjatami. Podobał się mu jednak islamski kodeks sprawiedliwości. Gdyby złapał kogoś na kradzieży, obciąłby sprawcy rękę, a dopiero potem wydał go ospałemu systemowi sądowiczemu, który w dzisiejszych czasach mniej przejmuje się karaniem złooczyńcy niż ochroną jego cholernych praw obywatelskich. Sama myśl o tym smutnym stanie rzeczy pogorszyła zgagę Huffa. Odbiło mu się. Poczul w ustach kwaśny posmak.

Usiadł na werandzie w swoim ulubionym fotelu bujanym i zapalił papierosa. Z zadowoleniem wydmuchnął dym, wpatrując się w horyzont rozjaśniony światłami odlewni. Buchający z kominów dym utworzył cieką warstwę chmur nad miastem. Nawet gdy Huff pozwalał sobie na krótką przerwę w pracy, jego fabryka nigdy nie odpoczywała.

Przez całe lato wiatraki na werandzie domu pracowały na pełny regulator, ponieważ często, tak

jak dziś, stanowiły jedyne źródło wiatru. Huff odchylił się do tyłu i z zadowoleniem chłoniął delikatny powiew chłodzący wilgotną skórę. Zamknąwszy oczy, pomyślał o pierwszym razie, gdy ujrzał wiatrak na suficie. Pamiętał to, jakby wszystko zdarzyło się zaledwie wczoraj. Poszedł do sklepu ze swoim tatą, który szukał pracy. Właściciel nosił muszkę i szerokie szelki. Z kapeluszem w dłoni i pochyloną głową tata Huffa nieśmiało zaoferował, że wymyje i wyfroteruje drewnianą podłogę w sklepie, spali śmieci na zapleczu i wykona każdą robotę, do której właściciel mógłby zatrudnić kogoś, kto nie boi się ciężkiej pracy. Ojciec Huffa zauważył na przykład kilka brzydkich grud tynku pod okapem. Czy sklepikarz chciałby, żeby zostały usunięte?

Podczas gdy dwaj mężczyźni negocjowali warunki tymczasowego zatrudnienia, mały Huff wpatrywał się w wirujące stalowe łopaty wentylatora pod sufitem, zachwycając się wspaniałą maszyną, która wicherzyła mu włosy chłodnym powiewem powietrza i osuszała pot na opalonej twarzy.

Przez cały dzień tata układał towar na półkach, zamiatał podłogi i mył okna. Spalił śmieci, stojąc pod upalnym słońcem. Poprosił Huffa, aby mu pomógł i obserwował strzelające iskry. Malca zahipnotyzowały płomienie i fale żaru buchające z beczek.

Ojciec nosił, podawał i dźwigał dla sklepikarza, aż jego plecy się zgarbiły, a twarz wykrzywiła z wyczerpania. Dzięki temu jednak tej nocy Huff miał co jeść. Dostał kanapkę z serem i pimento oraz reszkę oranżady z saturatora sklepikarza. Nic nie smakowało mu lepiej, chociaż czuł się nieswojo, jedząc na oczach ojca, który oznajmił, że nie jest głodny. Huff pragnął, by sklepikarz zaoferował mu porcję lodów taką, jakie przygotowywał przez cały dzień dla klientów, wypełniając stożkowate wafle taką ilością smakołyku, że z trudem utrzymywały się na rożku. Sklepikarz jednak nie zaoferował mu deseru i jak tylko Huff przeżuł kanapkę, co starał się robić jak najdłużej, orzekł, że czas już na nich. Często słyszeli te słowa.

Trawnik przed domem przecięły światła samochodu, wyrывая Huffa z zamyślenia. Potarł twarz dłońmi, jakby chciał zmyć z niej wspomnienia i wstyd, jaki poczułby, gdyby ktoś dowiedział się o jego przeszłości.

Na podjeździe zatrzymał się lśniący porsche Carrera, należący do Chrisa. Pierworodny syn Huffa wyskoczył z wozu i truchcikiem przemierzył alejkę prowadzącą na werandę. Dopiero wtedy zauważył Huffa.

- Co tu robisz o tej porze? - spytał.

- A jak myślisz?

- Ładne ubranko - zauważył Chris z rozbawieniem, rozsiadając się na drugim fortelu i zakładając ręce za głowę. - Jestem tak wykończony, że prześpię pewnie cały jutrzejszy poranek.

- Masz pracę od rana.

- Zrobię sobie wolne, z powodu choroby. Kto mnie za to wyrzuci z pracy?

Huff chrząknął z niezadowoleniem.

- Gdzie byłeś o tej porze?

- Mama George'a złapała gripę żołądkową. Zadzwoiła do niego w najmniej odpowiednim momencie. Biednemu George'owi właśnie stanął, ale musiał jechać do mamusi, zostawiając Lilę samą i niedopieczoną.

- Ta dziewczyna oznacza kłopoty.

- Owszem. Właśnie dlatego tak mnie to podnieca.

Huff wypuścił z ust kłęb dymu.

- Zamierzasz tracić swoje najlepsze lata na obrabianie cudzych żon? Może zamiast tego zaciągnąłbyś do łóżka swoją własną i zrobił jej dzieciaka?

Chris potarł pięściami oczy, jakby go nagle zabolęły.

- Nie chcę o tym teraz rozmawiać.



- Będziemy o tym rozmawiać wtedy, kiedy ja zechcę - odparł Huff. - Całymi tygodniami unikałeś rozmowy na temat Mary Beth. Chcę wiedzieć, o co chodzi.

- W porządku. - Chris oparł głowę na fotelu i nabrał powietrza w płuca. - Mary Beth nie chce podpisać dokumentów rozwodowych. Beck konsultował się z najlepszym adwokatem od tych spraw w Nowym Orleanie. Gość faworyzuje mężczyzn, a nie ich chciwe, marudne ekspozycje.

Jest twardy jak gład. Przygotował dla mnie papiery. Beck wczytał się w każde słowo i jego zdaniem to najlepsza opcja dla mnie, jednocześnie wciąż bardzo korzystna dla Mary Beth. -

Przestał bujać się na fotelu, pochylił się do przodu i przysunął twarz do twarzy Huffa. - Ale ona nie chce podpisać papierów.

- W takim razie może jest nadzieja, że się pogodzicie.

Chris roześmiał się krótko.

- Mary Beth nie odmawia rozwodu dlatego, że chce zostać ze mną, tylko z pogardy. Nienawidzi mnie, ciebie, tego miasta i fabryki. Gardzi wszystkim, co jest z nami związane.

- Diabła tam, chłopcze, to tylko kobieta. Kobieta. Przestań pieprzyć Lilę i pojedź do Meksyku. Uwiedź swoją żonę. Zrób, co trzeba. Kup jej kwiaty, biżuterię, nowy samochód, nawet nowe cycki, jeśli sobie ich zażyczy. Przekup ją podarunkami i romantyzmem. Upokórz się, jeśli będziesz musiał. Nie umrzesz od tego. Przeleć ją tyle razy, żeby zaszła w ciążę, a potem zamknij w domu aż do czasu, kiedy dzieciak się urodzi. Gdy go dostaniemy w swoje ręce, ogłosimy ją patologiczną matką i odeślemy bez grosza gdzie pieprz rośnie.

- To się nie stanie, Huff - Chris potrząsnął głową. Podniósł rękę, powstrzymując Huffa przed protestem. - Nawet gdybym zdecydował się wciągnąć tę sukę z powrotem do łóżka, czego nie zamierzam zrobić, nawet jeśli ją przeleczę, jak to romantycznie ująłeś, tysiąc razy, nic z tego nie będzie.

- Nic z tego nie będzie? O czym ty, do cholery, mówisz?

- Podwiązała sobie jajowody.

Huff poczuł, jak jego ciśnienie skacze pod sufit. W ciągu kilku sekund zgaga rozpałała mu żołądek żywym ogniem, od przepony do przełyku.

- Ostatnim razem, kiedy próbowałem się z nią pogodzić, roześmiała mi się w twarz - ciągnął Chris. - Powiedziała, że wie, dlaczego to robię. Chcę załatać nasze małżeństwo tylko po to, by zapewnić tobie i sobie dziedzica. Spytała, czy uważam, że jest taka głupia? - Spojrzał na Huffa. - Powiedziała, że można ją posądzać o wiele rzeczy, ale na pewno nie o głupotę. Potem ostatecznie pogrzebała wszelkie moje nadzieje, oświadczając, że podwiązała sobie jajowody. Bo rzekomo tyła od pigulek antykoncepcyjnych. Faktycznie, jej tyłek zrobił się szeroki jak stodoła. Teraz nosi skąpe bikini, więc nie może sobie pozwolić na dodatkowe kilogramy i opuchliznę. To jej własne słowa. Dlatego poddała się zabiegowi i może do woli pieprzyć się ze swoim meksykańskim czyścicielem basenu, wrócić do mnie i stać się na powrót kochającą, oddaną żoną albo wstąpić do zakonu. Jednego jednak nie robi. Nie pocznie dziecka - westchnął. - To właśnie bałem się ci powiedzieć i szczerze mówiąc, cieszę się, że w końcu zrzuciłem z siebie ten ciężar. Rozważając niepomysłne wieści, Huff wypalił papierosa aż do filtra. Jego głupia i powierzchowna synowa, co było mianem zbyt szlachetnym dla tej kłamliwej dziwki, uczyniła się bezpłodną. W porządku. W takim razie Chrisowi zostało już tylko jedno: uzyskać rozwód i ożenić się z kobietą, która urodzi mu dzieci.

Znowu się odprężył. Przynajmniej nie będą musieli się dłużej zastanawiać, co zrobić z Mary Beth. Sama o tym zdecydowała, eliminując siebie z gry w zgadywanki, i Huff był jej za to niemal wdzięczny. Mając przed sobą nowy cel, obaj z Chrisem będą teraz mogli z całym zapalem zmierzać do jego osiągnięcia.

- Beck o tym wie?

- Nie, nikt nie wie - odparł Chris. - Powiedziałem mu tylko, że poddałem się, nie próbuję już

ocalić swojego małżeństwa i chcę skończyć ze sprawą jak najszybciej.

- Jego zdaniem ten prawnik z Nowego Orleanu jest najlepszy?

- Sporo sobie życzy za usługi, ale jego klienci nie wychodzą z sądu oskubani do cna, niosąc jaja w torebce papierowej.

Huff roześmiał się i poklepał syna po kolanie.

- Twoje lepiej niech zostaną na swoim miejscu. Będiesz ich potrzebował.

Chris uśmiechnął się, chociaż wciąż z widocznym przygnębieniem.

- Powinienem cię posłuchać i zrobić dzieciaka Mary Beth zaraz po złożeniu przysięgi małżeńskiej. Zamiast tego uległem i zgodziłem się odłożyć to na później, do czasu aż „oswoi się z rodziną”, jak to ujęła.

Chris nie wiedział o tym, że Huff nie pozostawił decyzji o dziecku nowo poślubionym. Udał się do doktora Caroe'a i poprosił, aby ten zastąpił środki antykoncepcyjne Mary Beth placebo z sacharozy. Lekarz zrobił to, oczywiście za sówitą opłatą. Jak się jednak okazało, inwestycja nie wypaliła. Mijały miesiące, ale ku konsternacji Huffa Mary Beth nadal nie zachodziła w ciążę. Chociaż od ślubu nie minęło dużo czasu, ona i Chris częściej się kłócili, niż uprawiali seks.

- Było, minęło, synu - powiedział. - Nie ma sensu trwonić energii na żale. Musimy się skoncentrować na przyspieszeniu rozvodu. Jeśli Mary Beth rozkłada nogi przed basenowym, możemy ją oskarżyć o cudzołóstwo.

- Odpowie na to, wyliczając moje rozliczne romanse, w większości z jej przyjaciółkami. Musimy wymyślić coś innego.

Huff ponownie poklepał syna po udzie i wstał z fotela.

- Ten prawnik z Nowego Orleanu wygląda mi na odpowiedniego sprzymierzeńca. Poza tym, nawet jeśli nie możemy polegać na tym, że załatwi sprawę, mamy przecież Becka. Chodźmy spać.

- To był długi dzień - zauważył Chris, gdy wchodzili do cichego domu. - Wydaje się, jakby od pogrzebu minęły całe wieki, nieprawdaż?

- Hm. - Huff w zamyśleniu pomasaował żołądek, wciąż płonący żywym ogniem od zgagi.

- Co sądzisz o Sayre? Nie mieliśmy jeszcze okazji o niej porozmawiać.

- Nadal jest afektowana.

- Afektowana? - parsknął śmiechem Chris, gdy wspinali się po schodach. - To zupełnie jakby nazwać Osamę Bin Ladena rozrabiaką.

- Nie wyjechała z miasta, tak jak zamierzała. Zadzwoił do mnie kierownik hotelu w Destiny. Zarezerwowała sobie u niego pokój.

- Dlaczego?

- Może była zmęczona, tak jak my, albo nie chciała wracać do Nowego Orleanu po nocy.

Chris spojrział na niego sceptycznie.

- Gdyby jej zależało, wyniosłaby się stąd, choćby miała się czołgać. Nie myśli o nas i o Destiny ani trochę lepiej niż Mary Beth. Prawdopodobnie nawet gorzej.

- Cholerne kobiety. Kto wie, co nimi kieruje? - zamruczał z niechęcią Huff. - Tyle dobrego, że Beck spędził z nią część wieczoru.

- Wciąż wypełnia zadanie?

- Właściwie to nie. Uratował ją przed Klapsem Watkinsem.

Chris zatrzymał się na półpiętrze.

- Co proszę?

Huff odwrócił się z uśmiechem, potrząsając głową.

- To, co powiedziałem. Beck pojechał do miasta na burgera i zobaczył Sayre w restauracji, co samo w sobie go zdumiało. Był tam również Klaps, ze swoimi wielkimi uszami i całą resztą, i próbował ją poderwać.

Huff przekazał Chrisowi to, co powiedział mu Beck. Kiedy skończył, Chris potrząsnął głową z mieszaniną rozbawienia i konsternacji.

- Co do diabła Klaps Watkins miałby do zaoferowania Sayre?

- Ostatnią rzeczą była zniewaga wobec naszej rodziny. - Huff zmarszczył brwi. - Cieszę się, że Beck tam był. Wiadomo, czego chciał ten biały śmieć. Beck zadzwonił do mnie, jak tylko rozstał się z Sayre. Pojechał za nią do motelu i został, póki nie weszła do pokoju. Sayre wiedziała o towarzystwie i pewnie się domyśliła, że Beck opowiedział mi o wszystkim przez telefon. I ujął to tak - że gdyby wzrok mógł zabijać, byłby już trupem.

- Nie zdziwiłbym się.

- Sayre twierdzi, że zdecydowała się zostać na noc, żeby odpocząć i wyruszyć z samego rana, ale nie jestem przekonany, że to jedyny powód jej decyzji. Chyba żałuje, że była nieobecna, kiedy rodzina jej potrzebowała.

- Przeceniasz ją - odparł Chris. - Osobiście nie sędzę, żebyśmy ją obchodzili.

- Nie bądź taki pewny. Beck twierdzi, że chciała czegoś się dowiedzieć o sprawie Iversona.

- Jak to miło z jej strony, że wreszcie się tym zainteresowała.

Huff uśmiechnął się, słysząc sarkazm w głosie Chrisa.

- Wydaje mi się, że twoja siostra ma wyrzuty sumienia, iż nie było jej przy tobie, kiedy potrzebowałaś pomocy. Zapewne dręczy ją również to, że nie było jej tutaj dla Danny'ego.

- Co nasza droga Sayre mogłaby zrobić dla niego, czego myśmy nie zrobili?

Stanęli w ocienionym przedpokoju. Huff zerknął w stronę zamkniętych drzwi do pokoju Danny'ego.

- Prawdopodobnie nic. Do diabła, nigdy nie potrafiłem zrozumieć tego chłopaka. Myślę, że strata matki w tak młodym wieku spowodowała, że nigdy się nie pozbierał.

Chris położył dłoń na ramieniu ojca.

- Mam nadzieję, że teraz ma wszystko, czego potrzebuje. I że odnalazł spokój.

Z tymi słowami pożegnali się i ruszyli każdy do swojej sypialni, Huff, nieczęsto zmęczony, tym razem był wyczerpany. Usiadł w fotelu naprzeciwko okien, które wychodziły na trawnik na tyłach domu i rozciągające się poza nim rozlewisko. Zmartwienia, które miał nadzieję zostawić na ganku, teraz powróciły. Chris dołożył się jeszcze do nich najnowszymi wiadomościami o Mary Beth. Poza tym była Sayre, tryskająca nienawiścią do niego. Do niego. Własnego ojca. Nie miał żalu do Laurel za to, że umarła i zostawiła go z trójką dzieci do odchowania. Zrobił, co uważał za najlepsze dla nich wszystkich, ale jedynie Chris wykazywał się odpowiednimi cechami charakteru.

Życie było skomplikowane, chociaż oczywiście znacznie lepsze od jego alternatywy. Huff nie wierzył w życie po śmierci. Kaznodzieje mogli sobie mówić co chcieli o skarbach czekających na ludzi w niebie, ale jego zdaniem, kiedy nadchodził koniec, był definitywny. To wszystko, co przynosiła pani Śmierć. Była tylko i wyłącznie tym - śmiercią. Huff nie oponował przeciw sentymentalnemu przekonaniu Chrisa, że Danny odnalazł spokój po śmierci, ale też nie zgadzał się z jego opinią. Danny nie znalazł żadnego spokoju, podobnie jak nie czekały na niego chóry anielskie, by zaprowadzić go do perłowych dwuskrzydłowych wrót zwieńczonych gwiazdzistą koroną. Został pochłonięty przez nicość, wiekuistą czarną pustkę. To właśnie oznaczała śmierć. Dlatego Huff uważał, że trzeba korzystać z życia, ile wlezie. Jediną nagrodą, jaką człowiek mógł odebrać, było to wszystko, co zdobył tu, na ziemi. I on właśnie chwycił życie pazurami i zębami, robiąc wszystko, co konieczne, aby zdobyć to, co najlepsze, największe, najbardziej pożądane. Chronić każdego, kto potępiał owe metody. Huff Hoyle nie tłumaczył się przed nikim. Jeżeli zaś ten sposób na życie nie gwarantował spokoju ducha, to trudno. Były gorsze rzeczy, bez których człowiek czasem musi się obejść.

Sayre weszła do biura szeryfa i podeszła do recepcji. Opryskliwy policjant siedzący za biurkiem wymruczał coś niezrozumiale na przywitanie. Nie zdjął nóg z biurka i kontynuował dłubanie pod paznokciami składanym nożykiem.

- Chciałabym się widzieć z detektywem Wayne'em Scottem.

Twarz urzędnika nie zmieniła wyrazu. Jeżeli jego publiczna funkcja, za którą mu płacono wymagała, aby w tym momencie zdjął nogi z biurka, poprawił krzesło i zostawił troskę o higienę osobistą na bardziej odpowiedni moment, policjant najwyraźniej nie był ani zainteresowany, ani zmotywowany do jej wypełnienia.

- Scotta nie ma - rzucił.

- W takim razie chcę się widzieć z szeryfem Harperem.

- Będzie dziś zajęty przez cały dzień.

- Jest u siebie czy nie?

- Jest, ale...

Sayre przeszła obok jego biurka i pomaszerowała wzdłuż krótkiego korytarza. Recepcjonista rzucił się w ślad za nią, z okrzykiem: „Hej!”. Zignorowała go i bez pukania otworzyła drzwi prowadzące do gabinetu Rudego Harpera. Szeryf siedział za biurkiem, przedzierając się przez plik papierów.

- Przepraszam, Rudy - rzucił policjant zza jej ramienia. - Weszła tutaj, jakby była kimś ważnym.

- Bo jest kimś ważnym, Pat. Wszystko w porządku. Zawołam cię, jeśli będę potrzebował pomocy.

- Mam zamknąć drzwi?

- Tak - poleciła Sayre, chociaż pytanie recepcjonisty skierowane było do Rudego.

Policjant rzucił jej nienawistne spojrzenie, po czym wycofał się, zamykając za sobą drzwi.

- Czy to wszystko, na co cię stać? - spytała Sayre, spoglądając ponownie na szeryfa.

- Czasami Pata trochę ponosi.

- Co nie usprawiedliwia jego niegrzeczności.

- Masz rację, nie usprawiedliwia. - Rudy Harper gestem zaprosił ją, by usiadła na krześle stojącym naprzeciw biurka. - Podać ci kawy, a może coś innego?

- Nie, dziękuję.

Spojrzał na nią uważnie.

- Kalifornia ci służy, Sayre. Wyglądasz naprawdę dobrze.

- Dziękuję.

Niestety, nie mogła się odwdzięczyć podobnym komplementem. Tego poranka szeryf wyglądał na jeszcze bardziej wymizerowanego niż wczoraj, zupełnie jakby ostatniej nocy nie zmrużył oka.

Odchylił się na krześle.

- Cieszę się, że cię widzę, ale przykro mi z powodu, który cię tutaj sprowadził. Zawsze lubiłem Danny'ego.

- Tak jak wielu ludzi.

- Taki już był. - Rudy Harper przerwał na chwilę, jakby oddając cześć niedawno zmarłemu. - Co mogę dla ciebie zrobić? - spytał w końcu.

- Szczerze mówiąc, myślę, że jest coś, co ja mogę zrobić dla ciebie. Mam informację związaną ze śledztwem prowadzonym przez detektywa Scotta.

Zaskoczony, gestem poprosił, by mówiła dalej.

- Tak się składa, że wczoraj wieczorem około dziesiątej zjadłam obiad w towarzystwie Becka Merchanta.

- Uhm? - mruknął Rudy, najwyraźniej nie mając pojęcia, do czego Sayre zmierza.

- Kiedy wychodziliśmy z baru, zauważyłam, że opony jego pikapu, a także jego buty były



zabrudzone żółtym błotem, które można znaleźć na terenie naszego obozu wędkarskiego.

Zarzuciłam mu pobyt tam i celowe zacieranie śladów na miejscu przestępstwa. Przyznał się do obecności w obozie. Podobno udał się tam już po spotkaniu z wami, kiedy to poinformowaliście nas, że cały teren otaczający domek rybacki został uznany za miejsce przestępstwa i nikt nie powinien przebywać w tym miejscu.

- Rozumiem.

- Rozumiem?

- Beck pojechał tam na moją prośbę.

Poczuła się tak, jakby nagle straciła grunt pod nogami.

- Twoją prośbę?

- Poprosiłem go, żeby spotkał się w obozie z detektywem Scottem i ze mną.

Sayre poczuła, że traci grunt pod nogami.

- Chciałem, żeby ktoś z rodziny...

- Beck Merchant nie należy do rodziny.

- Dlatego właśnie poprosiłem go o pomoc, Sayre. Scott i ja chcieliśmy, żeby ktoś z rodziny poszedł z nami do domku, by sprawdzić, czy jest tam coś, co nie należało do was, a co mógł pozostawić zabójca, albo czy ktoś coś zabrał. Nie miałem sumienia prosić o pomoc Chrisa albo Huffa. Wciąż jeszcze... szczerze mówiąc, nadal wygląda to okropnie. Są firmy, które specjalizują się w sprzątaniu takiego bałaganu, ale dopóki będziemy gromadzić dowody...

- Chyba rozumiem - powiedziała sztywno.

- Nie chciałem, żeby Huff albo Chris przechodzili przez coś takiego, ale potrzebowaliśmy, by ktoś kto dobrze znał ten domek, rozejrzał się i sprawdził, czy nie ma tam czegoś dziwnego.

- Całkiem logiczne - wymruczała Sayre, czując się jak idiotka.

Nie zmrużyła oka przez całą noc, pragnąc jak najszybciej donieść Rudemu Harperowi o nocnej

wycieczce Becka Merchanta, która wydała jej się co najmniej podejrzana, jeśli nie ocierająca się o przestępstwo. Tymczasem okazało się, że Beck ocalił jej rodzinę przed przykrym obowiązkiem, za co, jak przypuszczała, powinna być mu wdzięczna.

To, że ją oszukał, było inną sprawą. Kiedy zarzuciła mu spacer po zakazanym terenie, mógł się łatwo wytłumaczyć z obecności żółtego biota na butach i oponach wozu, powiedzieć jej, że wyświadczył szeryfowi przysługę, która nie była dla niego przyjemna. Tymczasem celowo ją zwiódł, by wyszła na idiotkę.

- Udało się?

- Słucham?

- Czy pan Merchant znalazł coś niezwykłego albo zauważył, że czegoś w domku brakuje?

- Nie mogę rozmawiać o szczegółach prowadzonego śledztwa, Sayre. Jestem pewien, że to zrozumiesz.

Sayre rozumiała doskonale. Szeryf się usztywnił.

- Nazywasz to sprawą kryminalną. Czy to oznacza, że zmieniłeś zdanie co do rzekomego samobójstwa Danny'ego?

- Samobójstwo to również przestępstwo i powinno zostać poddane śledztwu. - Rudy pochylił się do przodu i dodał łagodnie: - Po prostu staramy się być dokładni, to wszystko. Chcemy mieć stuprocentową pewność, że podczas połowu ryb w Bayou Bosquet Danny z jakiegoś powodu postanowił nagle odebrać sobie życie. Prawdopodobnie nigdy nie dowiemy się wszystkiego.

- Zostawił list?

- Niczego takiego nie znaleźliśmy.

Może Danny uznał, że skoro nie jest wystarczająco ważny, aby jego siostra porozmawiała z nim przez telefon, nie musi się fatygować pisaniem listu pożegnalnego. Niemniej Sayre powiedziała:

- Nie sądzisz, że to trochę dziwne?

- Przynajmniej w połowie samobójstw, jakie znam, denaci nie zostawiali żadnej wiadomości. -

Szeryf spojrział na nią łagodnie i dodał: - Prawda jest taka, że ludzie w takim stanie umysłowym nie potrafiliby wytłumaczyć samym sobie, dlaczego to robią. W takich przypadkach ci, których samobójcy pozostawiają na tym padole łez, muszą zaakceptować nieodwracalne.

Była to piękna przemowa, ale nawet gdyby Rudy Harper poklepał ją teraz po głowie jak pieska, nie mógłby być bardziej protekcyjny. Hołdował starym dobrym zasadom męskiego świata, i choć Sayre należała wprawdzie do rodziny Hoyle'ów, to i tak była tylko kobietą.

- Co z wędkarzami, którzy odkryli ciało?

- Jeśli ich o coś posądzasz, to powiem ci, że zostali oczyszczeni z wszelkich podejrzeń. Były z nimi ich żony i uwierz, to, co zobaczyły, wstrząsnęło nimi do głębi. Nie mamy żadnych powodów, by przypuszczać, że ci ludzie byli kimś więcej niż tylko niefortunnymi przypadkowymi świadkami.

- Opowiedz mi o Genie Iversonie - poprosiła Sayre.

- He?

Celowo tak gwałtownie zmieniła temat. Chciała zobaczyć, jaką reakcję wywoła wzmianka o tym nazwisku. Doczekała się. Szeryf pobladł.

- Dziś rano, zaraz po otwarciu biblioteki, znalazłam mikrofiszę. Sprawozdania lokalnych gazet na ten temat były absurdalnie subiektywne i niepełne, przeczytałam więc artykuł z

„Times-Picayune”, opowiadający o zniknięciu Iversona, aresztowaniu Chrisa i procesie.

Sayre miała teraz lepsze rozeznanie w faktach dotyczących rozprawy brata. Eugene Iverson pracował dla Hoyle Enterprises. Niemal od pierwszego dnia zaczął organizować oddział

związków zawodowych hutników. Chociaż wykonywał swoją pracę bezbłędnie, narażał się

dyrekcji, podjudzając innych rozczarowanych robotników. Wreszcie zagroził zorganizowaniem

strajku, jeżeli warunki pracy się nie polepszą, a przepisy BHP opracowane przez OSHA[z ang. -

Agencja Bezpieczeństwa Pracy i Zdrowia] nie zostaną w pełni wprowadzone w życie i surowo przestrzegane.

Groźba strajku poruszyła pracowników lojalnych wobec Hoyle'ów - lub przez nich zastraszonych. Wielu z nich nie podobała się interwencja związków zawodowych i odmówili wstąpienia w ich szeregi. Rozłam spowodował tarcia między hutnikami i oczywiście spadek produkcji. Huff, pragnąc uniknąć nadmiernego rozgłosu, interwencji OSHA i utworzenia oddziału unii, zwołał spotkanie dyrekcji odlewni z Gene'em Iversonem, z nadzieją osiągnięcia kompromisu. Podczas spotkania jednak Gene odrzucił minimalne ustępstwa zaproponowane przez Huffa. Oświadczył, że nie kupią go nic nieznaczące podwyżki pensji i puste obietnice poprawy warunków pracy. Oznajmił, że nie ustanie w wysiłkach, dopóki Hoyle Enterprises całkowicie nie przejdzie pod władanie związków zawodowych.

Iverson opuścił zebranie i nikt go już więcej nie zobaczył.

- Po wyjściu Iversona mój brat wspomniał coś o zamknięciu na dobre gęby temu agitatorowi - podsunęła Sayre.

- Tak zeznali na rozprawie świadkowie. Podczas przesłuchania przez pana McGrawa dodali również, że Chris nie mówił tego poważnie - uśmiechnął się drwiąco Rudy. - Na procesie wspomniano o tym, że jeśli ktoś planuje morderstwo, nie mówi o tym w pokoju pełnym ludzi.

- Może mówi, jeżeli jest Hoyle'em.

Szeryf spojrział na nią z wyrzutem.

- Iverson próbował uczynić moją rodzinę odpowiedzialną za wszystkie wypadki przy pracy w odlewni - powiedziała.

- Firma poniosła za nie odpowiedzialność.

Teraz to Sayre spojrziała na szeryfa z wyrzutem.

- Ta kara to żart. Kiedy Hoyle Enterprises zostaje przyłapane na łamaniu przepisów

bezpieczeństwa, co w rezultacie doprowadza do śmierci dwóch, o ile pamiętam, pracowników i poważnego okaleczenia kolejnego z nich, płaci grzywnę, co jest wliczone w koszty firmy.

Dostają prztyczek w nos i to wszystko, aż do następnego wypadku. Przed każdą wizytą inspektorów z OSHA czyszczą akta na tyle, by pomyślnie przejść kontrolę, a potem wszystko wraca do normy. Ta odlewnia to zagrożenie dla życia i dobrze o tym wiesz, Rudy. Iverson był agitorem - ciągnęła - i możliwe, że najohydniejszym stworzeniem na całej planecie. Nie znałam go i prawdopodobnie wcale bym go nie lubiła, ale imponuje mi to, czego próbował dokonać.

Huff i Chris na pewno myślą inaczej.

- Setkom pracowników nie podobało się to, co robił. Zagroził ich egzystencji. Bez pracy nie mieliby czym wykarmić swoich rodzin. Może Iverson mógł sobie pozwolić na strajk, ale nie oni. Wielu z nich pragnęłoby ujrzeć go martwym.

- Niemniej, jak rozumiem, nikt go takim nie zobaczył. W ten sposób Chrisowi się upiekło, prawda?

- Chris został uniewinniony, ponieważ ława przysięgłych uznała, że jest niewinny.

- Tylko połowa z nich.

Celny cios, ale niewystarczająco silny. Sayre nie spodziewała się, że szeryf opuści gardę.

Mogłaby tu siedzieć przez cały dzień, bombardując go pytaniami i oskarżeniami, ale strata czasu.

Rudy Harper do ostatniego tchnienia będzie bronił Hoyle'ów, ponieważ sprzedał im duszę i ciało.

Sayre wątpiła, by niesłabnąca wierność szeryfa wobec jej rodziny była powodowana uczuciem, lojalnością czy łapówkami, które dostawał. Podejrzewała, że robił to z nawyku. Był niczym człowiek, który pali jednego papierosa za drugim, nawet sobie tego nie uświadamiając. Rudy kłamał dla jej rodziny tak długo, że wyrobił sobie odruch warunkowy, a naginanie faktów przestało być kwestią sumienia i wyboru.

Poza tym, całkiem możliwe, że tym razem wcale ich nie próbował bronić. Chris został

niesłusznie posądzony przez ambitnego prokuratora, który usiłował wyrobić sobie markę i nazwisko, wsadzając za kratki znaną osobę z okazałym majątkiem. Tak właśnie przedstawił to artykuł redakcyjny, który przeczytała dziś rano. Jej brat mógł posłużyć jako wygodny kozioł ofiarny w tajemniczej sprawie, która nigdy nie zostanie rozwiązana.

Jeśli Chris nie popełnił zbrodni, za którą stanął przed sądem, jej uporczywe podejrzenia wobec niego były niesłuszne. Jeżeli jednak udało mu się wywinąć przed karą za morderstwo, Rudy Harper nie zamierzał powiedzieć jej prawdy.

Chwyciła torebkę i wstała.

- Dziękuję, że przyjąłeś mnie bez zapowiedzi.

- Zawsze jesteś tu mile widziana, Sayre. - Szeryf okrążył biurko i odprowadził ją do drzwi gabinetu. - Zamierzasz zostać na jakiś czas w mieście?

- Wyjeżdżam dziś po południu.

- W takim razie powodzenia i dbaj o siebie. Z tego, co słyszałem, w San Francisco jest wielu dziwaków. - Jego usta rozciągnęły się w grymasie, który przy odrobinie chęci można by uznać za uśmiech. - Detektyw Scott ma wszystkie twoje numery telefonów. Myślę, że najpóźniej jutro zamkniemy śledztwo. Dopilnuję, żeby do ciebie zadzwonił, kiedy tylko skompletujemy oficjalne wyniki dochodzenia.

- Będę bardzo wdzięczna.

Wychodząc, przypomniała sobie o Jessice DeBlance i zawahała się. Sekretne zaręczyny Danny'ego mogły być ważną wskazówką, ale Rudy Harper był na liście płac Huffa. Cokolwiek usłyszy, trafi to natychmiast do uszu jej ojca, a Jessica powiedziała, że nie chce, aby Huff dowiedział się o ich planach małżeńskich. Sayre nie była pewna, czy może powierzyć tę informację Wayne'owi Scottowi, ponieważ podejrzewała, że młody detektyw będzie się czuł w obowiązku, aby przekazać tę informację swojemu szefowi. Dopóki nie przedyskutuje tego z

Jessicą, nie powie niczego.

Dręczyło ją coś jeszcze, ale nie mogła sobie uzmysławić, co to takiego. Kiedy była już niemal na końcu korytarza, rozjaśniło jej się w głowie.

- Szeryfie Harper? - zawołała.

Rudy wycofał się już do biura, ale wystawił głowę przez drzwi i spojrzał na nią pytająco.

- Powiedział pan, że zapewne podczas łowienia ryb Danny postanowił odebrać sobie życie.

- Tak zgaduję.

- Nie mogę się z tym zgodzić.

- Rozmawialiśmy już o tym, Sayre.

- Nie mówię o samobójstwie, tylko o rybach, Danny nienawidził wędkować.

Gdy tylko Beck wszedł do biura Huffa, od razu się zorientował, że stary jest zdenerwowany.

Zanim zdążył się przywitać, Huff chwycił list ze sterty podobnie wyglądających druków i pomachał nim w kierunku Becka.

- To mnie wkurzyło - powiedział.

Niektórym wydałoby się niestosowne, że on lub Chris pojawili się w pracy następnego dnia po pogrzebie Danny'ego. Zgodnie z tradycją powinni zrobić sobie wolne do końca tygodnia, ale Huff nigdy nie przykładał wagi do ceremonii, a jego credo głosiło, że każdy dzień jest dniem pracy. W świecie Huffa Hoyle'a nie istniało coś takiego, jak wakacje.

- Co to jest? - spytał Beck.

Huff wręczył mu list. Beck usiadł na krótkiej kanapie stojącej obok biurka Huffa. Przeciwległą ścianę tworzył szereg okien wychodzących na halę. Był to sceniczny widok, jeżeli lubiło się brudną szpetotę odlewni stalowych rur. W pomieszczeniu panował wilgotny, upalny półmrok. Beck miał biuro na drugim końcu korytarza, podobnie jak Chris i Danny. Pierworodny Huffa przed chwilą przywłókł się do pracy. Drzwi do gabinetu Danny'ego były zamknięte.

Beck spojrział na list, który wręczył mu Huff.

- „Z wyrazami głębokiego współczucia, Charles Nielson” - przeczytał. Spojrzął na Huffa i zaśmiał się krótko. - Przysłał kwiaty na grób Danny'ego?

- Uwierzysz w tupet tego drania? Sally wysłała mu podziękowania w moim imieniu - warknął Huff. Sally była jego asystentką. - Chciałem przejrzeć kondolencje, zanim jej przekażę, dlatego wpadł mi w ręce list od Nielsona. Nie mogę uwierzyć, że wykorzystał śmierć mojego syna, żeby mi dokuczyć.

- Ten człowiek ma odwagę. Udało ci się może przejrzeć papiery, które ci zostawiłem?

- Przeczytałem wystarczająco dużo, by zrozumieć, że Nielson chce się dorobić nazwiska. Te artykuły w gazetach brzmią tak samo, jak jego oświadczenia prasowe.

- Zgadza się - odparł Beck. - Niemniej zostały opublikowane. To człowiek, który szuka rozgłosu. Stoi na mównicy, waląc się w piersi, ale ludzie go słuchają i biorą sobie do serca to, co mówi. Jak do tej pory, obierał sobie za cel jedynie małe przedsiębiorstwa, ale zawsze udawało mu się założyć w nich związki zawodowe albo uzyskać od dyrekcji tych przedsiębiorstw ogromne ustępstwa na rzecz pracowników. Obawiam się, że niesiony na fali sukcesu ma apetyt na coś większego, co umieści go w samym centrum uwagi mediów.

- I że jego celem może być Hoyle Enterprises.

- To oczywisty wybór, Huff. Hoyle Enterprises to doskonały cel. Jesteśmy samowystarczalnym przedsiębiorstwem. Nie wykonujemy zleceń dla innych przemysłowców. Jeżeli zawiedzie chociaż jeden z etapów wytapiania lub odlewania...

- ... ucierpi cała produkcja, nie dotrzemy zobowiązań i firma splajtuje.

- Jestem pewien, że Nielson zdaje sobie z tego sprawę, a tak się niefortunnie składa, że mieliśmy tu kilka poważnych wypadków przy pracy, również śmiertelnych.

Huff zerwał się z fotela z okrzykiem „Cholera!” i stanął przy oknie. Spoglądając w dół, rzucił



gniewnie:

- Czy wiesz, ilu naszych pracowników nigdy nie miało wypadku przy pracy? Hę? - Odwrócił się i spojrzał na Becka. - Setki. Czy gazety o tym piszą? Czy ci wszyscy unijni agitatorzy pikietują z takimi statystykami wypisanymi na transparentach? Oczywiście, że nie. Ale wystarczy tylko, że któryś z pracowników się lekko skaleczy i od razu robi się z tego sensacja.

„Lekkie skaleczenie” było zdecydowanym eufemizmem w przypadku wykrwawienia się spowodowanego zmiżdżeniem nogi przez rury, które zsunęły się z niezabezpieczonego i niekontrolowanego wibrującego przenośnika, utraty palca podczas pracy przy maszynie bez awaryjnego wyłącznika czy też poparzenia, które dosłownie stopiło ciało aż do kości. Beck powstrzymał się jednak od komentarza. Huff był zbyt nakręcony, żeby przywozić go teraz do rozsądku.

- Też mi wiadomości w „Network” - złościł się dalej Huff. - Zupełnie jakby ktoś w Nowym Jorku albo Waszyngtonie wiedział coś na temat naszego życia. Banda ciotowatych liberałów, szukających sensacji komunistów. Napiszą o jakimś wypadku przy pracy i następnego dnia mam na głowie inspektorów rządowych, paradujących z tymi swoimi notatnikami, usłużnie nasłuchujących i zapisujących najmniejsze biadolenie tych jęczybuł. - Machnął ręką z papierosem w kierunku pracujących na dole mężczyzn. - Czy wiesz, jak bardzo byłbym wdzięczny za ich posadę w czasach, kiedy byłem jeszcze dzieckiem? Czy zdajesz sobie sprawę z tego, jak mój ojciec cieszyłby się z comiesięcznego czeku?

- Tłumaczysz to wszystkim niewłaściwej osobie, Huff - odparł łagodnie Beck. - Uspokój się, zanim dostaniesz ataku serca.

- To wszystko kupa gówna - wymruczał Huff, wracając za biurko. Opadł na fotel, dysząc ciężko, czerwony ze złości.

- Bierzesz leki na nadciśnienie?

- Nie. Nie staje mi, kiedy je łykam.

Nie było dla nikogo tajemnicą, że raz w tygodniu Huff odwiedzał kobietę, która mieszkała na obrzeżach miasta. O ile Beck wiedział, stary był jej jedynym klientem i zapewne opłacał ją sownie za to, aby tak zostało.

- Jeżeli mam wybierać między nadciśnieniem i impotencją, wolę to pierwsze, dziękuję bardzo.

- Jasne, jasne - rzucił Chris, wchodząc do biura ojca. Jak zwykle był nienagannie ubrany i uczesany. Każdy włoszek na swoim miejscu, garnitur bez najmniejszego zagniecenia. Beck często się zastanawiał, jak to się udawało Chrisowi, kiedy temperatura przed południem przekraczała trzydzieści stopni Celsjusza.

- Widzę, że umknęła mi interesująca rozmowa. Na czym stoimy? Podtekst zamierzony.

Huff nalał sobie wody z karafki stojącej na biurku, a Beck w tym czasie opowiedział w skrócie Chrisowi o Charlesie Nielsonie.

- Znam ten typ - powiedział Chris lekceważąco. - Tacy prowokatorzy pojawiają się i znikają jak sen złoty. Musimy go po prostu przeczekać.

- Nielson wyróżnia się z tłumu. Nie sądzę, żeby miał wkrótce odejść w niepamięć.

- Zawsze kraczesz, Beck.

- Za to mu płacimy - uciął Huff. - Beck zajmuje się naszymi małymi kłopotami, dzięki czemu nie urastają one do niewyobrażalnych rozmiarów.

- Dziękuję za to wotum zaufania - powiedział Beck. - Co mam zrobić w sprawie Nielsona?

- Co sugerujesz?

- Zignorujmy go.

Obaj Hoyle'owie zdumieni się tą odpowiedzią. Beck zostawił im czas na komentarz, ale gdy żaden z nich się nie odezwał, zaczął wyłuszczać swoje argumenty:

- Przesłanie kwiatów na pogrzeb było testem. Nielson wie, że to gest w bardzo złym guście i

wykonał go wyłącznie po to, by zobaczyć, jak zareagujecie. Mógłbym napisać do niego list potępiający takie zachowanie, ale Nielson odebrałby to jako objaw gniewu lub strachu i wykorzystałby przeciwko nam. Ignorując go, pokażemy, że nie jest wart naszej reakcji, że się nie liczy. To najmocniejsza wiadomość, jaką mógłby od nas otrzymać.

Huff w zamyśleniu pocierał wargi.

- Chris?

- Chciałem zasugerować, żebyśmy podpalili mu dom, ale podejście Becka jest znacznie subtelniejsze. - Wszyscy się roześmieli. - A tak w ogóle, skąd on jest?

- Ma kilka filii rozsianych po całym kraju. Jedna z nich jest w Nowym Orleanie i prawdopodobnie z racji owego „sąsiedztwa” nasza firma przyciągnęła jego uwagę.

Milczeli w zamyśleniu przez kilka chwil. W końcu Beck zaproponował:

- Mógłbym napisać krótki list, dać mu jakoś do zrozumienia...

- Nie. Twój pierwszy pomysł jest najlepszy - zdecydował Huff. Wyciągnął zapalnik z pudełka i wstając, przypalił papierosa. - Zaczekajmy na jego kolejny ruch. Niech to ten skurczybyk się zastanawia, co myślimy, a nie na odwrót.

- W porządku - odparł Beck. Zadzwoił telefon na biurku Huffa.

- Odbierz, Chris, dobrze? Muszę odcedzić kartofelki - rzekł Huff i ruszył w kierunku prywatnej toalety.

Chris podszedł do biurka i wcisnął mrugający klawisz.

- Sally, mówi Chris. Potrzebujesz Huffa?

Z głośnika dobiegł ich nosowy głos anielsko cierplivej sekretarki Huffa:

- Zdaję sobie sprawę, że macie spotkanie, panie Hoyle, ale pomyślałam... że może powinniście panowie o tym wiedzieć.

- O czym?

- Pańska siostra jest na dole i robi awanturę.

- Sayre tu jest? - spytał oszołomiony Chris.

Zmierzający do łazienki Huff zrobił w tył zwrot. Beck zerwał się z sofy i podszedł do okien. Nie dostrzegł niczego niezwykłego w hali. Wszyscy zajmowali się swoją robotą.

- Zamierzała wejść bramą dla pracowników, nie dla gości - wyjaśniła Sally. - Mamy nowego strażnika, który jej nie rozpoznał i zatrzymał przy wejściu. Pani Sayre domaga się wpuszczenia do fabryki.

- Powiedziała po co? - spytał Huff. Sally się zawahała, zanim odrzekła:

- Mówi, że jest właścicielką tego miejsca. Mimo to strażnik obawiał się wpuścić ją do środka bez zezwolenia.

- Powiedz, żeby ją zatrzymał - powiedział Chris. - Skontaktujemy się z nim.

- Urządza tam piekło, jak to sam określił.

- Powiedz, że jeśli nie wykona swojej cholernej pracy, ja mu dopiero urządzę piekło - rzucił Chris i przerwał połączenie.

Huff się roześmiał, wydmuchując chmurę dymu.

- Cóż, chłopcy, wygląda na to, że nasz nieobecny wspólnik nagle zainteresował się firmą.

Nagłe pojawienie się Sayre chyba nie wydało się Chrisowi aż tak zabawne.

- Zastanawiam się dlaczego - zauważył.

- Zgodnie z tym, co twierdzi, jest właścicielką tego miejsca - powiedział dobitnie Huff. - Ma prawo tutaj być.

- To prawda - wtrącił Beck. - Pod każdym legalnym względem jest wspólnikiem firmy, ale czy jesteś pewien, że chcesz ją wpuścić do fabryki?

- Absolutnie nie - odparł Chris.

- Dlaczego nie? - spytał Huff.

- Choćby dlatego, że to niebezpieczne.

Huff uśmiechnął się przebiegle do Becka.

- Całymi latami zaprzeczaliśmy wobec inspektorów OSHA, że praca w fabryce niesie z sobą potencjalne niebezpieczeństwo. Jeżeli wpuszczę do środka własną córkę, dam wyraźny znak, że jestem przekonany o bezpieczeństwie tego miejsca, nieprawdaż?

Jak zwykle Huff potrafił wykorzystać nawet najbardziej niekorzystną sytuację do swoich celów. Beck musiał przyznać, że jego punkt widzenia w tej sprawie mógł przynieść korzyści. Mimo to, wciąż miał obawy. Najwyraźniej Chris również.

- To zły pomysł i zamierzam jej o tym powiedzieć. W końcu jestem tu dyrektorem. Jeżeli zabronię jej tam wchodzić, nie będzie miała nic do gadania - rzekł, podchodząc do drzwi.

- Zaczekaj chwilę, Chris. - Huff podniósł rękę. - Jeżeli postąpisz w ten sposób, Sayre zacznie podejrzewać, że coś przed nią ukrywamy.

Beck niemal widział obracające się trybiki w głowie starego, gdy ten przesuwiał językiem papieros z jednego kącika ust do drugiego. Wreszcie spojrzał na Becka.

- Ty do niej pójdziesz. Wycuj ją, wysłuchaj, co ma do powiedzenia. Jeśli dojdiesz do wniosku, że najlepiej będzie ją stąd wyprowadzić, zrób to i zarygluj drzwi. Jeżeli uznasz, że dobrze wyjdziemy na wpuszczeniu jej do środka, zabierz ją na wycieczkę.

Beck spojrzał na Chrisa. Nie wyglądał na zadowolonego, ale nie zaprotestował. Zapewne nie było mu w smak użeranie się z Sayre. Beck ze swej strony cieszył się z nieoczekiwanego spotkania.

Hoyle Enterprises zatrudniało niemal sześciuset pracowników, lecz zaledwie kilkadziesiąt kobiet. Pracowały w przylegających do fabryki budynkach administracyjnych. Wyłączając sekretarkę Huffa, Sally, hala produkcyjna była domeną mężczyzn.

Przychodząc do pracy, robotnicy odbijali karty w miejscu, które nazywali Centralą. Był to

szpetny pokój o rozmiarach auli, z betonową podłogą i sufitem pokrytym siecią przewodów wentylacyjnych, okablowania i rur dostarczających wodę. Połowę całego pomieszczenia zajmowały rzędy zielonych metalowych, zamkniętych na kłódki szafek. Robotnicy trzymali w nich swoje kaski, okulary ochronne, rękawice, pudełka z drugim śniadaniem i rzeczy osobiste. Znaki umieszczone na ścianach ostrzegały, że Hoyle Enterprises nie ponosi odpowiedzialności za kradzież albo utratę własności pracowników. Były to nader częste przypadki, zwłaszcza że firma zatrudniała przestępców lub skazańców na zwolnieniu warunkowym, pragnących znaleźć zajęcie, które zadowoliłoby ich kuratorów.

Za rzędami szafek znajdowały się łazienki, z wyposażeniem, które pamiętało początki tej fabryki i takóŜ wyglądało. W pozostałej części sali, stanowiącej coś w rodzaju stołówki, stały rozmaite stoły i krzesła z chromowanymi nogami. Pod jedną ze ścian ustawiono automaty do sprzedaży napojów, jedzenia i papierosów oraz mikrofalówki upstrzone zastarzałymi okruchami z dziesięciu tysięcy odgrzewanych posiłków. Za przenośnymi ściankami działowymi znajdował się punkt pierwszej pomocy. Nie było tam żadnego personelu medycznego, tak więc człowiek, który uległ wypadkowi, musiał sam się opatryć, mając do dyspozycji limitowany zestaw bandaży i leków.

To właśnie w Centrali utrudzeni robotnicy odpoczywali, wymieniając się żartami, rozmawiając o sporcie i kobietach. W tej chwili około pięćdziesięciu ludzi miało tam poranną przerwę. Niewielu z nich znalazło się kiedykolwiek przedtem w pobliżu kobiety pokroju Sayre Lynch i nawet nagłe pojawienie się jednoroźca nie wprawiłoby ich w większe zdumienie niż jej widok.

Gdy Beck wkroczył do pomieszczenia, Sayre próbowała właśnie nawiązać rozmowę z pięcioosobową grupką pracowników siedzących przy jednym ze stołów, najwyraźniej z niewielkim sukcesem. Pomimo że miała na sobie dzinsy i zwykły bawełniany podkoszulek, zupełnie nie pasowała do otoczenia.

Mężczyźni siedzieli z pochylonymi głowami i odpowiadali na jej pytania monosylabami rzucając od czasu do czasu ukradkowe spojrzenia to na nią, to na kolegów. Wyraźnie byli bardzo zaskoczeni obecnością Sayre w Centrali i jeszcze bardziej nieufni wobec jej nagłej chęci do rozmowy.

Beck podszedł bliżej, zmuszając się do serdecznego uśmiechu.

- Cóż za niespodziewana przyjemność - powiedział na użytek słuchaczy.

Jej uśmiech był równie fałszywy jak jego.

- Cieszę się, że pan tu jest, panie Merchant. Może wytłumaczy pan temu dżentelmenowi, że potrzebuję kasku do zwiedzania odlewni.

Dżentelmenem był strażnik, który pilnował wejścia dla pracowników. Stał w pewnej odległości, jakby bojąc się podejść do Sayre. Teraz zbliżył się pospiesznie. Twarz miał pokrytą nerwowym potem.

- Panie Merchant, nie wiedziałem, czy powinienem... - zaczął.

- Dziękuję. Zachowałeś się zgodnie z przepisami. Zaopiekuję się panią Lynch. - Beck chwycił Sayre pod łokieć tak, że nie mogła się opierać i skierował ją w stronę wyjścia. - Proszę za mną, pani Lynch. Kaski dla gości trzymamy tam.

- Miło było was poznać - rzuciła przez ramię do mężczyzn, z którymi wcześniej usiłowała nawiązać rozmowę.

Beck popchnął ją przez labirynt stołów i krzeseł w kierunku magazynu zaopatrzeniowego. Na szczęście chwilowo nie było tam nikogo. Gdy tylko zamknął drzwi, Sayre odwróciła się do niego.

- Nie chcieli, bym rozmawiała z robotnikami, prawda? Wysłali cię, żebyś się mnie stąd pozbył.

- Nic z tych rzeczy - odparł spokojnie. - Huff i Chris byli przyjemnie zaskoczeni twoim zainteresowaniem firmą. Jeżeli jednak chcesz się dowiedzieć czegoś o operacjach w hali



fabrycznej, powinnaś zapytać mnie, a nie tych ludzi. Nawet w swoim „podwórkowym” ubraniu wyglądasz na dziewczynę z wyższej klasy, a to ich onieśmiela.

- To nie wstyd, tylko strach i nieufność w stosunku do wszystkich ludzi noszących nazwisko Hoyle.

- Dlaczego więc próbujesz ich stawiać w tak niewygodnej sytuacji?

Po namyśle musiała przyznać mu rację.

- Rzeczywiście, to było głupie z mojej strony. Dowiem się znacznie więcej, oglądając halę. Gdzie jest kask, który mogę włożyć?

- Większość procesu produkcyjnego możesz zaobserwować z pomieszczeń na piętrze.

- Z tych ładnych, czystych, bezpiecznych klimatyzowanych biur? To niezbyt adekwatna reprezentacja warunków pracy w odlewni, prawda? Chcę doświadczyć tego, co znoszą na co dzień robotnicy.

- To nie jest dobry pomysł, Sayre. Chris zawiaduje pracą w hali i taka jest jego opinia.

- Nie miał jednak na tyle odwagi, żeby przyjść i powiedzieć mi to osobiście?

- Zdał się na moje umiejętności dyplomatyczne.

- Możesz trenować swoje umiejętności do końca życia, a ja i tak nie zmienię zdania.

- W takim razie porzućmy konwenanse. - Oparł ręce na biodrach i podszedł do niej blisko. - Co ty tu, do diabła, robisz?

- Jak sam mi przypominałeś nie dalej niż wczoraj, jestem udziałowcem Hoyle Enterprises.

- Skąd twoje dzisiejsze zainteresowanie, skoro wczoraj nie okazałaś go ani krzty?

Nie chcąc wyprowadzać go z błędu, rzuciła:

- Najwyższy czas, żebym się tym zajęła.

- Ponownie zapytam dlaczego? Czy dlatego, że jako mała dziewczynka nie byłaś tu mile widziana? Chris i Danny spędzali w fabryce dużo czasu, ale tobie zabroniono wstępu. Nie

podobało ci się to, że nie należysz do ich paczki?

Jej oczy rozbłyły niebezpiecznie.

- Nie próbuj ze mną tych szowinistycznych gadek o zazdrości o penisa. Nie muszę się przed tobą tłumaczyć.

Ruchem głowy wskazał drzwi za jej plecami.

- Owszem, musisz, jeżeli chcesz przejść przez te drzwi - powiedział.

- Jest pan pracownikiem tej firmy, panie Merchant, ergo, pracuje pan dla mnie, czy tak? Jestem pana przełożoną.

Jej poniżająca uwaga rozwścieczyła go, lecz jednocześnie podnieciła, równie nedorzecznie, co gwałtownie. Nade wszystko pragnął ją teraz pocałować, choćby po to, aby pokazać jej, że nie we wszystkich aspektach życia mogła mu rozkazywać.

- Co zamierzasz osiągnąć? - zapytał, powściągając impuls.

- Chcę zobaczyć, czy to miejsce jest aż tak niebezpieczne, jak o nim mówią. Przekonać się, czy zarzuty o niebezpiecznych warunkach pracy były przesadzone, czy też, jak przypuszczam, zbyt łagodne.

- Oczywiście, że jest tutaj groźnie, Sayre. Jesteśmy w odlewni. Wytapiamy metal. Ta praca roi się od niebezpieczeństw.

- Nie waż się traktować mnie protekcyjnie - rzekła gniewnie. - Wiem, że praca w hucie ze swej natury jest ryzykowna. Tym bardziej powinno się uczynić wszystko, żeby zapewnić bezpieczeństwo ludziom, którzy ją wykonują. Uważam, że pod tym względem Hoyle Enterprises wykazało się daleko idącym niedbalstwem.

- Nasze zasady...

- Zasady? Napisane przez Chrisa i Huffa, wprowadzone w życie przez George'a Robsona, największego lizusa pod słońcem? Oboje wiemy doskonale, że przepisy i praktyka często nie

mają ze sobą nic wspólnego. Jeżeli Huff nie zmienił swojego podejścia sprzed dziesięciu lat, w co szczerze wątpię, nadal obowiązuje tu motto: „Produkcja za wszelką cenę”. Nic nie może przerwać pracy odlewni. Dowodem na to był wczorajszy dzień, kiedy Huff nie zamknął pieców nawet na czas pogrzebu swojego własnego syna - przerwała dla zaczerpnięcia oddechu. - A teraz proszę o kask.

Gniew wypisany na jej twarzy powiedział mu, że nie zdoła przekonać Sayre do wyjścia. Im goręcej będzie próbował odwieść Sayre od wizyty w fabryce, tym bardziej będzie się upierała i, jak przewidział Huff, tym więcej nabierze podejrzeń co do tego, że próbują coś przed nią ukrywać. Beck miał nadzieję, że jeśli spełni jej kaprys, Sayre zaspokoi ciekawość i zajmie się swoimi sprawami, zanim wyrządzi jakieś poważne szkody. Mimo to spróbował jeszcze raz,

- Widziałaś tych mężczyzn na sali, Sayre? - spytał, wskazując na drzwi za swoimi plecami. - Przyjrzałaś się im dokładnie? Niemal wszyscy są poznaczeni bliznami. Maszyny, które obsługują, potrafią kaleczyć, parzyć, kłuć i miażdżyć.

- Nie zamierzam się zbliżyć do żadnej z nich.

- Niezależnie od tego, jak bardzo będziesz ostrożna, możesz ulec tysiącu wypadkom.

- Właśnie.

Złapała go za słowo. Kapitulując, sięgnął po dwa kaski ochronne, leżące na półce nad jego głową, i wręczył jeden z nich Sayre.

- Musisz także włożyć okulary ochronne - powiedział, podając jej jedną parę. - Niestety, nie mogę nic zrobić z twoim obuwiem. Nie masz odpowiedniego zabezpieczenia palców u stóp - dodał, przyglądając się jej butom.

Sayre włożyła okulary i kask.

- Nie tak - pouczył ją Beck.

Zanim zdołała go powstrzymać, zdjął jej kask, zebrał włosy na czubku głowy i nakrył je kaskiem.

Następnie zaczął wsuwać wszystkie pasemka, które wydostały się spod nakrycia. Nie spieszył się przy tym, delectując się jej bliskością.

- Nie fatyguj się. Myślę, że to już wystarczy - prychnęła.

- Włosy muszą być schowane pod kaskiem, Sayre. Nie chciałbym być świadkiem tego, jak jeden z tych kosmyków zapala się od unoszącej się w powietrzu iskry albo zostaje wyrwany z kawałkiem skóry przez którąś z maszyn. Poza tym, będziesz rozpraszała pracowników.

Podniosła gwałtownie głowę, spoglądając na niego. Wpatrzył się w jej oczy, przesłonięte okularami.

- Tak długo, jak tu pracuję, w fabryce nigdy jeszcze nie pojawiła się kobieta, a już na pewno tak piękna jak ty. Będą obmacywali wzrokiem twoje piersi i pośladki. Nie mogę zrobić nic, żeby ich przed tym powstrzymać. Nie chciałbym jednak, by któryś z chłopców miał wypadek tylko dlatego, że przyglądał się twoim włosom, wyobrażając sobie, jak łaskoczesz nimi jego brzuch. - Patrzył jej w oczy przez kilka sekund, a potem włożył okulary i kask.

- Chodźmy.

Z tymi słowy otworzył wrota do piekieł.

Takie było pierwsze wrażenie Sayre. Żar buchnął w nią z pełną mocą, niczym ogromna dłoń napierająca na pierś, aż do granicy wytrzymałości. Beck był kilka kroków przed nią, schodził po metalowych schodach prowadzących w dół, do hali. Wyczuwając jej wahanie, spojrzął za siebie.

- Zmieniłaś zdanie? - zawołał, przekrzykując hałas. Potrząsnęła przecząco głową i pokazała, aby ruszał dalej.

Beck poprowadził ją w dół. Metalowe stopnie wydawały się tak rozgrzane, że niemal parzyły przez podeszwy butów. Zaczęła się obawiać, że skóra, z jakiej zrobiono mokasyny, roztopi się pod wpływem gorąca.

Pod jej stopami rozciągało się królestwo hałasu. Przepastność hali zdumiała ją bezgranicznie.

Zdawało się, że pomieszczenie nie ma końca. Nie dostrzegała przeciwległej ściany, jedynie ciemność, gęstą czerń rozświetlaną snopami iskier i blaskiem bijącym z kadzi pełnych płynnego metalu. Wielkie chochle wlewały rozżarzony do białości stop do wagoników przesuających się pod sufitem na pojedynczej szynie. Słyszała brzęk metalu o metal, łomotanie przenośników taśmowych, jednostajne buczenie i stukot maszyn.

Panował tu wieczny hałas i przytłaczający mrok, jednak najgorszy był upał, przed którym nie można się było nigdzie schronić. Raz wciągnięty w płuca stawał się nieodłączną częścią tutejszej egzystencji.

Wulkanami tego podziemnego świata byli mężczyźni o spoconych twarzach przesłoniętych okularami ochronnymi. Wpatrywali się w Becka i Sayre z mieszaniną szacunku i nieufności. Byli w nieustannym ruchu, niektórzy z nich obsługiwali kilka maszyn. W tej pracy nie było czasu na siedzenie. Robotnicy musieli nieustannie obserwować, czy gdzieś nie pojawi się niekontrolowane iskrzenie, wyciek, wywrotka i inne wypadki. Od tego zależało ich życie.

- Nie musisz tego robić, Sayre - powiedział Beck prosto do ucha. - Nie musisz nikomu niczego udowadniać.

Jasne, że nie muszę, pomyślała. Spojrzała na rząd rozświetlonych okien wysoko ponad ich głowami. Tak jak się spodziewała, w jednym z nich stał Huff, tytaniczny władca piekielnych czeluści, w szerokim rozkroku, paląc papierosa, którego czubek żarzył się na czerwono. Widząc jego pełne samozadowolenia, wyzywające spojrzenie, Sayre poprosiła Becka:

- Oprowadź mnie.

Ruszyli w drogę.

- Produkujemy stop złożony głównie z żelaza, z małym dodatkiem węgla i krzemu - zaczął tłumaczyć Beck. Sayre kiwnęła tylko głową. - Hoyle Enterprises skupuje złom. Mamy swoje źródła dostaw w kilku stanach. Towar dociera tu koleją, całymi tonami.

Sayre podejrzewała, że wielkie złomowisko widoczne na tyłach odlewni było złem koniecznym, chociaż pamiętała, jak matka spytała kiedyś Huffa, czy nie mógłby zbudować płotu lub czegoś w tym rodzaju, co odgrodziłoby tę wielką hałdę od autostrady. Oczywiście Huff nie chciał o tym słyszeć, ze względu na koszty.

- Gdyby nie ta sterta śmieci, jak ją nazywasz, nie nosiłabyś futra z norek i nie jeździła cadillakiem - odparł tylko.

- Złom jest przetapiany w piecach zwanych kopułami - ciągnął Beck. - Płynny metal jest przelewany do wirówki, która robi odlewy, używając zmiennych sił odśrodkowych, albo do form piaskowych.

Sayre obserwowała, jak porcja płynnego metalu wylewa się z wielkiej chochli do jednej z form. Była pod wrażeniem technologii, lecz jednocześnie przerażało ją niebezpieczeństwo, na które wystawieni byli operatorzy maszyn, pracujący tak blisko płynnego ognia i żaru oraz szybko poruszającej się linii produkcyjnej.

- Co ten człowiek ma na rękach? - spytała, wskazując głową w kierunku jednego z pracowników.

Beck zawahał się, zanim odpowiedział:

- Taśmę przylepną. W ten sposób pogrubia rękawice, żeby nie poparzyć sobie rąk.

- Dlaczego nie dacie im lepszych rękawic?

- Bo są droższe - odparł szorstko i popchnął ją dalej, okrążając rozlaną na podłodze kałużę kipiącego metalu. Sayre spojrzała w górę i dostrzegła, że z jednej chochli wycieka stop.

Mężczyzna jej doglądający stał na platformie bez żadnego zabezpieczenia.

- Kiedy metal zastygnie wewnątrz form piaskowych, następuje coś, co nazywamy wytrząsaniem - kontynuował swą opowieść Beck. - Wibrująca taśma przesuwowa dosłownie otrząsa piasek z odlewu.

Skinął w kierunku drzwi wyjściowych. Przytrzymując je dla Sayre, zakończył, jakby przemawiał

do czwartoklasistki na wycieczce:

- Po usunięciu formy rury są czyszczone i dokładnie sprawdzane. Przeprowadzamy badania metalurgiczne, testując jakość metalu i skład chemiczny. Wszystkie uszkodzone produkty są zawracane i ponownie przetapiane. To, co jest na początku bezużytecznym odpadem, opuszcza naszą odlewnię w ciężarówce jako rura o rozlicznych zastosowaniach. Jakies pytania?

Sayre ściągnęła okulary ochronne i kask, rozpuszczając zebrane pod nim włosy.

- Ile tu jest stopni? - spytała,

- Latem temperatura sięga pięćdziesięciu stopni Celsjusza. Zimą nie jest aż tak źle.

Poprowadził ją w kierunku windy i nacisnął guzik. Już w środku oboje wpatrzyli się w wyświetlacz nad drzwiami.

- Jedna z tych maszyn... - zaczęła Sayre.

- Tak?

- Miała wymalowany biały krzyż.

Beck nadal wpatrywał się w pojawiające się na wyświetlaczu numery. Odpowiedź zajęła mu tyle czasu, że Sayre nieomal uznała, iż zamierza zignorować jej pytanie,

- Zginął tam człowiek.

Chciała zapytać o więcej, ale winda zatrzymała się na piętrze. Za drzwiami czekał już na nich Chris z rozbajającym uśmiechem.

- Witaj, Sayre. Wyglądasz zupełnie inaczej - powiedział, spoglądając na ubranie, które kupiła w sklepie na rynku, zanim tu przyszła. - Nie powiem, że korzystnie. Jak się udała wycieczka?

- Bardzo pouczająca.

- Cieszę się, że ci się podobało.

- Nie powiedziałam tego.

Zadzwoniła komórka Becka.

- Przepraszam. - Odsunął się na bok, żeby odebrać telefon,
  - Nie widziałam na dole nic, co zaprzeczyłoby zarzutom o nieprzestrzeganie przepisów BHP, za które zostaliście ukarani. Co to za zapach? - spytała Sayre.
  - Pochodzi z piasku, Sayre - odparł Chris z przesadną cierpliwością. - Zawiera w sobie różne chemikalia, które pod wpływem temperatury zaczynają wydzielać zapach, potencjalnie nieprzyjemny.
  - Jak również potencjalnie niebezpieczny?
  - Powiedz, który przemysł nie niesie ze sobą ryzyka?
  - Istnieją jednak nowoczesne systemy wentylacyjne, które...
  - Są przeraźliwie drogie. Niemniej, nie ustajemy w wysiłkach nad poprawą środowiska pracy.
  - Skoro już o tym mowa, pamiętam, że kilka lat temu firma musiała zapłacić wysoką grzywnę za zanieczyszczenie wody ściekami z basenów chłodzących.
  - Robimy wszystko, co w naszej mocy, żeby chronić środowisko naturalne - odparł z uśmiechem przylepionym do twarzy.
  - Powiedz to Agencji Ochrony środowiska - powiedziała Sayre z uprzejmą ironią.
- Beck skończył rozmowę i dołączył do nich.
- Bardzo przepraszam, ale stało się coś, co wymaga mojej natychmiastowej obecności. - Sięgnął po ubranie ochronne, które trzymała w ręku Sayre. - Wiesz, gdzie jest wyjście?
  - Nie sądzę, żeby odnalezienie go było zbyt trudne.
  - Jaka szkoda, że nie mogę cię zabrać na lunch, zanim wyjedziesz z miasta - powiedział Chris. - Mam jednak ważne sprawy do załatwienia. - Pochylił się i pocałował ją w policzek. Kiedy go odepchnęła, spojrzął na nią z kpinią. - Miłego lotu, Sayre.
- Chris i Beck obserwowali, jak Sayre oddala się korytarzem i znika za rogiem.
- I to by było tyle - skomentował Chris.



- Niezupełnie.

- Sądzisz, że zaczniesz nas nękać o sprawy bezpieczeństwa, ochrony środowiska i tak dalej?

- To się jeszcze okaże. Właśnie się dowiedziałem, że nasza panna była od rana niezwykle zajęta.

- Naprawdę? - Chris uniósł brew. - Czym dokładnie?

- Na przykład rozmową z Rudym Harperem. Przed chwilą do mnie zadzwonił. Pytał, czy nie mógłbyś wstąpić do jego biura i odpowiedzieć na kilka pytań.

Sayre nie wyjechała z miasta od razu. Zamiast tego poprowadziła samochód przez ulicę dzielnicy fabrycznej, niemal zupełnie ocienionej przez wysokie kominy Hoyle Enterprises. Kiedyś, gdy była młoda i naiwna, kiedy wszystko wydawało się możliwe i wierzyła, że ma przed sobą świetlaną przyszłość, samo pojawienie się na jednej z ulic owego dystryktu przepelniało ją radością. Pewien dom stojący w tym mieszczańskim kwartale stał się centrum jej wszechświata, symbolem nadziei, szczęścia, bezpieczeństwa i miłości.

Dzisiaj jego widok napełnił ją rozpaczą.

Cała dzielnica podupadła w ciągu ostatniej dekady, jednak ten jeden budynek wyglądał szczególnie źle. Widok ruiny sprawił, że Sayre przez moment pomyślała, iż popełniła błąd, skręciła w niewłaściwą ulicę, zapomniała adresu. Oczywiście to była nieprawda. Pomimo widocznego zaniedbania, rozpoznała dom natychmiast. Jeżeli zaś zwątpiła przez chwilę w swoją pamięć, napis na skrzynce pocztowej powiedział jej wyraźnie, że jest we właściwym miejscu. Podwórze przed domem usiane było dziecięcymi zabawkami, wiele było zepsutych i wyraźnie porzuconych.

Pod ścianami rosło kilka walczących o przeżycie krzewów, desperacko potrzebujących przycięcia. Resztki trawnika tworzyły na podwórzu kilka żalonych zielonych łat. Na ganku wisiała pordzewiała metalowa huśtawka, a ściany budynku pokrywała łuszcząca się farba. Chociaż Sayre tłumaczyła sobie, że pojawiła się tu pod wpływem nagłej zachcianki, tak

naprawdę rozważała przejechanie obok tego domu od chwili, gdy przybyła do Destiny. Teraz, kiedy znalazła się na miejscu, obezwładnił ją strach.

Zanim znalazła w sobie na tyle odwagi, aby wysiąść z samochodu, zadzwonił jej telefon. Na wyświetlaczu widniał numer telefonu Jessiki DeBlance. Po przywitaniu, narzeczona Danny'ego powiedziała:

- Nie chciałam przeszkadzać, ale zastanawiałam się, czy jest coś nowego w sprawie śledztwa.

- Dziś rano rozmawiałam z szeryfem Harperem. - Sayre opowiedziała jej, jak Rudy, detektyw Scott i Beck Merchant przeszukali poprzedniej nocy domek rybacki. - Domyślam się, że nie znaleźli niczego specjalnego, ponieważ szeryf poinformował mnie, iż najpóźniej jutro detektyw Scott powinien zakończyć dochodzenie.

- Tak, jak się spodziewałam - rzekła Jessica ze smutkiem.

- Czy chciałabyś, abym powiedziała im o twoich zaręczynach z Danny'm?

- Nie. Wiadomość na pewno dotarłaby do uszu Hoyle'ów. Oskarżyliby mnie o doprowadzenie Danny'ego do śmierci, zupełnie jakbym zmuszała go do małżeństwa i tym sprowokowała do popełnienia samobójstwa.

Niestety, Sayre musiała się z nią zgodzić.

- Czuję się, jakbym sprawiała ci zawód, Jessico. - I jakby rozczarowała Danny'ego, nie odbierając jego telefonu w zeszłym tygodniu. - Chciałabym zrobić dla ciebie coś więcej.

- Twoja dobra wola jest już dla mnie wystarczającą pomocą - odparła Jessica. - Może po prostu powinnam pogodzić się z tym, że Danny nie był aż tak szczęśliwy, jak sądziłam - dodała po krótkiej przerwie. - Że był jakiś nieznany mi powód, dla którego zdecydował się zakończyć życie. Na pewno czymś się bardzo martwił. Podejrzewam, że cokolwiek to było, nie mógł żyć z tą wiedzą. Teraz już nigdy się nie dowiem, co to było.

- Tak mi przykro.

Serce tej młodej dziewczyny pękło na dwoje, lecz jedyne, co Sayre mogła powiedzieć, to te trzy żałosne słowa. Wydawały się niemal nie na miejscu. Niemniej, obiecała Jessice, że powiadomi ją o najnowszych decyzjach szeryfa.

Rozłączyła się dokładnie w chwili, gdy drzwi prowadzące do domu otworzyły się i na ganek wyszedł bosy mężczyzna, odziany jedynie w brudne niebieskie dzinsy. Spojrzał w kierunku samochodu z nieufnością i lekką agresją.

- Mogę w czymś pomóc? - zawołał.

Sayre zdała sobie sprawę, że mężczyzna nie widzi kierowcy, ponieważ samochód miał przyciemniane szyby. Poczowała wstyd, jakby przyłapano ją na szpiegowaniu, i zapragnęła odjechać. Skoro jednak była już na miejscu, zdecydowała, że doprowadzi sprawę do końca.

Opuściła boczną szybę i zawołała:

- Witaj, Clark.

Rozpoznał ją natychmiast, jego usta wyszeptały jej imię, a potem na twarzy pojawił się uśmiech, który kiedyś topił serca wszystkich podlotków w liceum miejskim w Destiny. Wtedy, gdy jeszcze był gwiazdą drużyny futbolowej, przewodniczącym samorządu szkolnego, ulubieńcem całej klasy i chłopakiem, któremu wszyscy wróżyli ogromny sukces.

Clark Daly zbiegł ze schodów, a Sayre wyszła z auta. Spotkali się w połowie popękanej betonowej dróżki wiodącej do domu. Nie przytulili się na przywitanie, lecz on chwycił jej dłoń i ścisnął pomiędzy swoimi.

- Nie mogę uwierzyć - powiódł oczami po jej twarzy, sylwetce i znów spojrzał w oczy. -

Wyglądasz tak samo, tylko znacznie lepiej.

- Dziękuję.

On z kolei nie wyglądał tak, jak go zapamiętała. Nie zmienił się również na lepsze. Jego umięśnione ciało, zawsze smukłe i prężne, teraz wychudło tak, że można mu było policzyć wszystkie żebra. Clark miał kilkudniowy zarost, nie z powodu mody, lecz dlatego, że przestał się golić. Ciemna czupryna przerzedziła się nieco, czyniąc czoło i brwi bardziej wyrazistymi, niż pamiętała. Miał zaczerwienione oczy, a w jego oddechu wyczula chyba alkohol.

Puścił jej rękę i cofnął się, jakby nagle uświadomił sobie, jak złe mógł zrobić na niej wrażenie.

- Chyba nie powinienem być zaskoczony twoją wizytą - powiedział. - Przyjechałaś na pogrzeb

Danny'ego?

- Tak. Wczoraj rano. Zdążyłam na nabożeństwo. Właśnie wyjeżdżam.

- Przykro mi, że nie pojawiłem się na pogrzebie. Po prostu, wiesz... - machnął ręką w stronę domu, jakby to wyjaśniało niemożność uczestniczenia w uroczystości.

- W porządku, rozumiem.

Rozmowa się urwała. Sayre nie potrafiła spojrzeć Clarkowi w oczy. Onieśmielenie było typową reakcją przy spotkaniu z dawną miłością, po latach niewidzenia. Tym razem były jednak znacznie poważniejsze powody, które sprawiały, że oboje czuli się w swojej obecności bardzo niezręcznie.

- Co teraz porabiasz? - spytała wreszcie, nadając głosowi odcień sztucznej wesołości.

- Pracuję w odlewni.

Sayre sapnęła z niedowierzaniem.

- Odlewni Huffa?

Clark zaśmiał się krótko.

- To jedyna odlewnia, jaką tutaj mamy.

- Jako kto?

Wzruszył ramionami.

- Ładuję piece. Na nocną zmianę.

W pierwszej chwili pomyślała, że padła ofiarą głupiego żartu, ale gdy spojrzała w jego podkrążone, zapadnięte oczy, zobaczyła w nich czarny, niezgłębiony smutek i rezygnację. Jej ojcu udało się zniszczyć życie tego mężczyzny tak bardzo, że równie dobrze mógł go zastrzelić na samym początku, tak jak się kiedyś odgrażał.

- Przynajmniej jakoś zarabiam na życie - rzucił Clark, uśmiechając się z wysiłkiem. - Chcesz wstąpić na kawę?

Opuściła głowę, żeby nie zobaczył jej konsternacji.

- Nie, muszę zdążyć na samolot. Mimo wszystko dziękuję. - Była pewna, że nie spodziewał się, iż przyjmie zaproszenie. Powiedział to bez przekonania, wyłącznie z uprzejmości.

Po kolejnej przedłużającej się niezręcznej chwili milczenia, spytał łagodnie:

- Czy jesteś szczęśliwa w Kalifornii, Sayre?

- Skąd wiesz, gdzie mieszkam?

- Daj spokój. Wiesz przecież, jak tutaj jest. Poczta pantoflowa. Pracujesz jako architekt, prawda?

- Dekoratorka wnętrz.

- Pewnie jesteś dobra w tym, co robisz. Masz... masz rodzinę?

Potrząsnęła głową.

- Moje małżeństwa nie trwały zbyt długo.

- Ja jestem żonaty, już drugi raz.

- Nie wiedziałam.

- Czworo dzieci, trójka jej, jedno wspólne. Chłopak.

- To cudownie, Clark. Cieszę się z twojego powodu.

Pokiwał głową, wsunął dłonie do tylnych kieszeni spodni i spojrzał na swoje bose stopy.

- Tak. W końcu wszyscy robimy wszystko, co w naszej mocy. Rozgrywamy karty, które rozdało nam życie.

Sayre się zawahała, zanim zadała dręczące ją pytanie:

- Dlaczego nie zostałeś inżynierem elektrykiem, jak planowałeś?

- Nie mogłem.

- Dlaczego?

- Nie wiedziałas? Nigdy nie poszedłem do szkoły. Moje stypendium zostało unieważnione.

- Dlaczego? - zawołała. - Dlaczego?

- Nigdy mi nie powiedzieli. Po prostu któregoś dnia przyszedł list, w którym napisano, żebym się

nie fatygował i nie zapisywał na studia, chyba że stać mnie na zapłacenie czesnego, ponieważ moje stypendium zostało wycofane. Próbowałem składać podanie o stypendium sportowe, ale nawet mniejsze uczelnie nie chciały mi go przyznać ze względu na kontuzję kolana. Rodziców nie było stać na wysłanie mnie do szkoły, więc postanowiłem popracować parę lat, zaoszczędzić wystarczająco dużo pieniędzy, żeby pójść na studia, ale... cóż, zdarzyły się różne rzeczy. Mama dostała raka i ojciec potrzebował kogoś, kto pomógłby mu się nią opiekować. Wiesz, jak to jest. Oboje zdawali sobie sprawę, kto stał za wycofaniem stypendium Clarka. Huff. Pociągnął za sznurki, prawdopodobnie wkładając w to ogromną sumę pieniędzy. Przysiągł zniszczyć Clarka Daly'ego i udało mu się. Huff zawsze dotrzymywał obietnic. Teraz Clark był na jego liście płac i wykonywał niewolniczą pracę, co niewątpliwie sprawiało jej ojcu ogromną satysfakcję. Była pewna, że Huff śmiał się codziennie na samą myśl o tym układzie.

- Myślę, że jesteś mną rozczarowana - dodał Clark, śmiejąc się ponuro. - Do diabła, ja też jestem sobą bardzo rozczarowany.

- Przykro mi, że nie ułożyło ci się lepiej w życiu. Napotkałeś na drodze przeszkodę nie do pokonania. Huffa Hoyle'a.

- Tobie też nie było łatwo, prawda?

- Przeżyłam. Czuję się, jakbym przez wszystkie te lata walczyła wyłącznie o przetrwanie.

- Danny musiał dojść do wniosku, że przetrwanie to nie wszystko.

- Pewnie tak.

- Jak Huff i Chris zareagowali na wieść o jego samobójstwie?

Wskazała na kominy fabryki, dominujące nad miastem.

- Nic nie może przerwać produkcji. Dzisiaj wrócili do pracy. Beck Merchant... chyba wiesz, kto to jest?

- O tak, dobrze wiem, kto to jest. - Clark zacisnął usta w grymasie nienawiści. - Trzymaj się od

niego z daleka. On...

- Clark?

Na ganku pojawiła się kobieta pod trzydziestkę. Była ładną blondynką, a raczej mogłaby nią być, gdyby nie jej opryskliwa mina. Trzymała na rękach mniej więcej rocznego chłopczyka, odzianego wyłącznie w pieluchy.

- Hej, Luce, to jest Sayre Hoyle. Sayre, poznaj moją żonę, Luce.

- Jak się masz - powiedziała uprzejmie Sayre.

- Witam.

Jej nieprzyjazne zachowanie wyraźnie zmieszało Clarka, który dodał szybko:

- A to jest Clark junior.

- Wygląda na zdrowego chłopaka. - Sayre obdarzyła oboje rodziców uśmiechem.

- Pełno z nim roboty - odparł Clark. - Ominął etap chodzenia i z raczkowania przeszedł prosto do biegania.

- Spóźnię się do pracy - oznajmiła Luce naburmuszonym tonem. Weszła z powrotem do domu, zamykając za sobą z trzaskiem drzwi.

Clark odwrócił się i spojrzał na Sayre.

- Podczas wakacji letnich, kiedy Luce pracuje, ja muszę się opiekować dziećmi. Ma posadę w szpitalu, w rejestracji. Wypełnia podania o zwrot pieniędzy z ubezpieczeń i takie tam.

- Pracujesz w nocy, a za dnia robisz za niańkę? Czy ty w ogóle sypiasz?

- Jakoś sobie radzę. - Uśmiechnął się do niej, ale zaraz spoważniał.

- Nie gniewaj się na Luce za to, że jest taka opryskliwa. Nie złości się na ciebie. To moja wina.

Nie jestem najlepszym z mężów. Prawda jest taka, Sayre - dodał, zniżając głos - że jestem pijakiem. Zapytaj o mnie w mieście. To pierwsza rzecz, jaką wszyscy ci powiedzą.

- Nigdy nie przykładam wagi do plotek, zwłaszcza o tobie, Clark.



- Tym razem dowiedziałabyś się z nich prawdy. - Spojrzał w bok i przez chwilę wpatrywał się w dal. - Po tym... no wiesz...

Sayre wiedziała.

- Po tym wszystkim trochę się stoczyłem.

- Oboje nieco zboczyliśmy z pierwotnego kursu.

Przeniósł spojrzenie na Sayre.

- Tyle tylko, że tobie udało się wrócić. Popatrz na siebie. No, no, naprawdę ci się udało. -

Roześmiał się bez śladu wesołości. - Ja z kolei nigdy nie potrafiłem odnaleźć właściwej drogi.

Stoczyłem się i nigdy nie znalazłem wystarczająco dobrego powodu, dla którego miałbym próbować zrobić coś ze swoim życiem.

- Przykro mi. - Znów to samo. Dwa słowa, ze szczerego serca, lecz zupełnie nieadekwatne.

- Luce jest ze mną dłużej, niż powinna. Dała mi szansę więcej razy, niż zasługuję. Próbuję się pozbierać, czasami nawet mi się udaje, a potem... - jego głos ucichł. Spojrzał z desperacją w oczy

Sayre. - Muszę znaleźć sobie jakiś cel w życiu, Sayre. Muszę to zrobić dla dobra mojego syna.

- Jestem pewna, że ci się uda. Odzyskasz grunt pod nogami i zaczniesz znowu żyć. Tak jak ja.

Wyciągnęła rękę w jego kierunku i dotknęła ramienia w geście pokrzepienia. Clark spojrział tam, gdzie spoczęła jej dłoń, potem przeniósł wzrok na twarz i uśmiechnęli się do siebie niewesoło, myśląc o tym, co mogło się zdarzyć dawno temu.

- Nie będę cię zatrzymywać - powiedziała chrapliwie Sayre, opuszczając dłoń. - Powinnam wcześniej zadzwonić, zapowiedzieć wizytę. A może w ogóle nie powinnam zawracać ci głowy.

- Cieszę się z naszego spotkania, Sayre.

- Dbaj o siebie.

- Ty też.

Ze łzami w oczach odwróciła się i ruszyła szybkim krokiem w stronę samochodu. Odjeżdżając,

rzuciła ostatnie spojrzenie za siebie. Clark stał na ganku, obserwując ją. Uniosła dłoń w geście pożegnania.

Dwie ulice dalej wyłączyła silnik, zatrzymując wóz w cieniu mostu kolejowego. Odchyliła głowę na oparcie i rozplakała się. Nawet na pogrzebie własnego brata nie czuła takiego smutku. Clark Daly, którego znała, utalentowany, mądry, słodki, wrażliwy, obiecujący i ambitny chłopak, mężczyzna, którego kochała, był dzisiaj równie martwy, jak Danny.

Rudy Harper starał się nadać swojej prośbie swobodny ton, ale zdaniem Becka jej spełnienie nie było ani nieistotne, ani nieobowiązkowe. Chociaż szeryf starał się zachowywać niezobowiązująco, wezwanie Chrisa na komendę, aby „odpowiedział na kilka pytań” pachniało przesłuchaniem. Beck nie użył jednak tego terminu w rozmowie z Chrisem. Improvizując, dodał:

- Najwyraźniej jest jeszcze kilka niewyjaśnionych szczegółów.

- Dlaczego Rudy chce, żebym to ja je wyjaśniał?

- Dowiemy się na miejscu.

Beck nie zamierzał w ogóle wspominać o sprawie Huffowi, przynajmniej do czasu, gdy sam dowie się, o co chodzi. Na nieszczęście, kiedy wychodzili z biura, stary zastąpił im drogę. Tak jak poprzednio w rozmowie z Chrisem, Beck zbagatelizował prośbę szeryfa.

- Jestem pewien, że to tylko formalność. Nie powinno nam to zabrać więcej niż pół godziny.

- Co o tym myślisz? - spytał Huff.

- Myślę, że Rudy próbuje zadowolić swojego nowego ambitnego zastępcę.

Roześmieli się wszyscy trzej. Beck obiecał zaraz po powrocie wtajemniczyć Huffa w przebieg rozmowy z szeryfem.

Wprowadzono ich do biura Rudego Harpera, a sądząc po oficjalnym zachowaniu szeryfa, sytuacja była jednak poważna.

- Dziękuję za szybkie przybycie - przywitał ich oschle i zaprosił do zajęcia miejsc na krzesłach.

Wayne Scott przesunął się i stanął za siedzącym przy biurku Rudym. Teraz obaj oficerowie mogli spoglądać prosto na Chrisa i Becka. Zanim jednak mieli szansę przemówić, Beck przypuścił atak:

- Po pierwsze, chciałbym wiedzieć, w jakim charakterze tu jestem.

- Charakterze?

Zaskoczenie Scotta wydawało się nieszczerze i Beck natychmiast nabrał podejrzeń.

- Czy jestem tutaj po to, aby odpowiedzieć na kilka pytań, czy też występuję jako adwokat Chrisa, a może...

- Adwokat? - wtrącił Chris. - Dlaczego niby miałbym go potrzebować?

Spojrzeniem Beck kazał mu się zamknąć.

- Pytam jeszcze raz, dlaczego mnie tu wezwano? Jestem podejrzany o popełnienie przestępstwa?

W takim wypadku muszę zażądać obecności mojego własnego adwokata.

- Uspokój się, Beck - roześmiał się nerwowo Rudy, - Wyciągasz zbyt pochopne wnioski. Nie musimy z tego robić oficjalnej rozmowy.

- Obawiam się, że jednak musimy, szeryfie. Zanim zaczniemy na dobre, chciałbym poznać prawdziwy powód naszego spotkania oraz naturę pytań, jakie zamierzacie zadać Chrisowi.

Chodzi jedynie o uzupełnienie szczegółów związanych z samobójstwem Danny'ego, czy też macie jakiś powód, aby podejrzewać, że jego śmierć była zabójstwem?

- Po prostu kilka rzeczy się nam nie sumuje. - Scott unikał bezpośredniej odpowiedzi. - Sądzymy, że pan Hoyle pomoże nam wyjaśnić pewne nieścisłości.

Beck spojrzał na Chrisa, który z obojętnością wzruszył ramionami.

- Nie mam nic do ukrycia - powiedział.

- W porządku - rzucił Beck w stronę Scotta. - Zacznij zadawać pytania, ale uprzedzam, że w każdej chwili mogę poinstruować mojego klienta, aby nie odpowiadał.

- Zgoda. - Scott zajął do małego kołonotatnika. - Jak często odwiedzał pan domek rybacki w towarzystwie zmarłego, panie Hoyle?

- Nie wiem. Danny i ja żyliśmy własnym życiem. Ostatni użytkownik domku miał za zadanie sprzątać, zgasić światła i uzupełnić zapasy. Piwo, papier toaletowy i różne inne potrzebne drobiazgi. Taka była umowa. Trudno mi powiedzieć, kiedy przebywał tam ktoś inny niż ja. -

Spojrzał na Rudego. - Czy to ważne?

- Możliwe - odparł szeryf, wzruszając ramionami. - Czy Danny często wędkował?

- Nie mam pojęcia.

- Dziś rano twoja siostra powiedziała...

- Moja siostra? Sprowadziliście mnie tutaj, żeby potwierdzić albo zaprzeczyć czemuś, co powiedziała wam Sayre? Co to było?

Beck uniósł dłoń, uciszając Chrisa, a potem zapytał detektywa:

- Naprawdę chcecie oprzeć śledztwo na wskazówkach kogoś, kto nie mieszka w Destiny od ponad dziesięciu lat i przez cały ten czas nie zamienił słowa z żadnym członkiem swojej rodziny?

- Panna Lynch powiedziała dziś szeryfowi Harperowi, że Danny nienawidził wędkowania. Tak brzmiały dokładnie jej słowa, nie mylę się, szeryfie? Powiedziała „nienawidził”.

- Tak jest.

Chris spojrzał na Becka i wybuchnął śmiechem.

- Co oni sugerują? - zapytał. - Że ktoś rozwalił Danny'emu mózg dlatego, że ten nienawidził wędkować?

- To nie jest śmieszne - rzekł ostro Scott.

- Naprawdę? - Chris spojrzał na niego zimno. - Osobiście uważam, że jesteście niezłymi komediantami.

- Co robił Danny w domku rybackim, skoro nienawidził łowienia ryb? Czy to właśnie staracie się

ustalić? - Beck, usiłował nadać rozmowie nieco lepszą atmosferę.

- Tak jest. - Scott, który wciąż próbował się pozbierać po obeldze Chrisa, popatrzył na niego wyczekująco.

- Skąd mam to, do diabła, wiedzieć? - odparł Chris. - Może postanowił, że spróbuje jeszcze raz?

A może w ogóle nie myślał o rybach. Może poszedł się tam pomodlić. Albo przespać. Albo masturbować. Albo zrobić to, co dokładnie zrobił, czyli strzelić sobie w łeb. Domek rybacki oferował mu odosobnienie.

- Na pomoście znaleźliśmy sprzęt wędkarski.

- No i wszystko jasne, - Chris leniwie machnął ręką. - Danny spróbował po raz ostatni wędkowania, przetestował swoją niechęć do tej czynności.

- Bez przynęty? Wędka, kołowrotek były na pomoście, ale brakowało przynęty.

Chris spojrzał po kolei na każdego z obecnych i uniósł ramiona w geście poddania.

- Nie mogę wam pomóc.

- Wszystko wygląda, jakby zostało zaaranżowane - ciągnął Scott. - Tak jakby ktoś chciał, byśmy uwierzyli, że Danny poszedł łowić ryby, ale zmienił zdanie i zamiast tego odebrał sobie życie.

Chris pstryknął palcami.

- Myślę, że jest pan na tropie, detektywie Scott. Danny zapomniał kupić przynętę i z tej frustracji strzelił sobie w łeb.

- Chris!

Gdyby szeryf Harper nie zganił go za tę uwagę, zrobiłby to Beck. Sarkazm Chrisa był nie na miejscu, a już zdecydowanie nie pomagał w rozmowie z detektywem.

- Przepraszam - powiedział Chris, wydawało się, że szczerze. - Nie chciałem obrazić mojego brata, ale zadajecie mi idiotyczne pytania. To oczywiste, dlaczego Danny znalazł się w domku rybackim. Poszedł tam, żeby się zabić, i udało mu się osiągnąć ten cel. Coś jeszcze? - spytał,

utkwivszy spojrzenie czarnych oczu w Scotcie.

- Kiedy widział go pan po raz ostatni?

- W sobotę, w klubie. Rano zagraliśmy kilka setów tenisa. Przerwaliśmy około południa, z powodu upału. Ja zostałem na basenie, a Danny opuścił klub zaraz po zakończeniu meczu.

- Nie widział go pan w niedzielę?

- Chris już odpowiedział na pana pytanie - wtrącił Beck. - Po raz ostatni widział Danny'ego w sobotę rano i rozstał się z nim około południa.

- Gdzie był pan w niedzielę? - spytał Scott Chrisa.

- W domu. Cały dzień. Spałem do późna, a potem trochę się byczyłem. Czytałem „Times-Picayune”. Po południu pojawił się Beck i oglądaliśmy mecz Bravesów w telewizji.

Nasza gospodyni może poświadczyć moje słowa. Czy to wszystko konieczne? - spytał nagle szeryfa. - O co w tym wszystkim chodzi, Rudy?

- Ja też chciałbym to wiedzieć - dodał Beck.

- Zrób nam przyjemność i odpowiedz jeszcze na kilka pytań, dobrze? - poprosił Rudy. - Pospiesz się, Wayne.

Detektyw ponownie zerknął do swojego notatnika, ale Beck wiedział, że to tylko gra. Scott doskonale wiedział, o co chce zapytać.

- Gdzie był pan w sobotę wieczorem?

- A co to za różnica? - rzucił Chris niecierpliwie. - Danny'ego nie było ze mną.

- Gdzie pan był? - powtórzył Scott.

Chris mierzył się wzrokiem z detektywem, kiwając się lekko na krześle. Był wyraźnie wściekły, ponieważ musiał odpowiadać na pytania kogoś, kogo uważał za gorszego od siebie. W końcu odparł sucho:

- Odwiedziłem nowy klub w Breaux Bridge. Mają tam świetną kapelę i apetyczne kelnerki.

Powinien pan spróbować, detektywie. Ja stawiam.

Oferta nie zrobiła wrażenia na Scotcie.

- Czy pali pan papierosy, panie Hoyle?

- Nie nałogowo. Czasem, kiedy jestem na imprezie.

- Czy palił pan w sobotę wieczorem w nowym klubie w Breaux Bridge?

- Nie usłyszycie od niego ani słowa więcej, dopóki się nie dowiem, do czego to wszystko zmierza

- wtrącił się Beck, zanim Chris miał szansę odpowiedzieć na pytanie.

Scott spojrział na Rudego Harpera, którego obwisła psia twarz jakby się wydłużyła o dodatkowe

kilka centymetrów, odkąd rozpoczęło się przesłuchanie. Z widocznym ociąganiem otworzył

jedną z szuflad i wyjął brązową torebkę papierową, taką, jakich używa się do zbierania

materiałów dowodowych. Wręczył ją detektywowi, który otworzył ją ostrożnie i wytrząsnął

zawartość na biurko Rudego.

- Beck...
- Dopiero, kiedy stąd wyjdziemy.
- Ale to jest...
- Dopiero kiedy stąd wyjdziemy - powtórzył Beck z naciskiem. Ignorując zdumione spojrzenia urzędników, popchnął Chrisa korytarzem, przez poczekalnię i wyprowadził z posterunku.

Nie pozwolił mu się odezwać, dopóki nie znaleźli się wewnątrz jego pikapu, nagrzanego niczym piec. Uruchomił silnik, ustawił klimatyzację na maksimum i spojrzął na przyjaciela, który od kilku chwil stał się podejrzanym o zabójstwo.

- Mów.
- Nie mam nic do powiedzenia - odparł Chris z niezwykłym spokojem. - Tak jak zeznałem wcześniej Rudemu i temu... temu detektywowi - ostatnie słowa wymówił jak przekleństwo. - Bez względu na to, co znaleźli w domku rybackim, nie mogą tego ze mną powiązać. Nie było mnie tam w niedzielę. Selma wie, że przez cały dzień nie wychyliłem nosa z domu. Sam byłeś ze mną przez kilka godzin. Nie widziałem się z Dannym ani nie zamieniłem z nim słowa od soboty rano, kiedy byliśmy razem w klubie.

- Gdzie słyszano, jak kłóciliście się dosyć ostro.
- Sprzeczałyśmy się o aut. Powiedz mi, kto się nie kłóci o punkty w tenisie? Jezu!
- On też.
- Co? Ach. - Chris skierował podmuch z otworów wentylacyjnych prosto na siebie, delektując się chłodniejszym powietrzem. - No dobrze. Danny uważał, że popełniłem bluźnierstwo, bo powiedziałem kilka uwłaczających zdań o jego świątobliwym Kościele. Był moim bratem, a ja uznałem, że kroczy niewłaściwą ścieżką. Miałem prawo do własnej opinii.
- I do wyszydzania?



Chris westchnął.

Huff chciał, żebym wybadał Danny'ego, przywołał go do rozsądku, spróbował zawrócić z dotychczasowej drogi, Jeżeli byłem nieco sarkastyczny...

- Świadkowie, o których wspomniał Scott, mówią, że wsiadłeś na niego dosyć ostro. No więc, jak to było?

- Nie pamiętam dokładnie, co powiedziałem.

- „Nie pamiętam dokładnie, co powiedziałem” to niezbyt dobra linia obrony w sądzie, Chris.

Chris spojrzał na niego ostro.

- W sądzie?

- Jeszcze nie zrozumiałeś? Próbują wyjaśnić twoją rolę w tym zamieszaniu i to tylko kwestia czasu, kiedy umieszczą cię na obrazku jako osobę, która pociągnęła za spust, posyłając Danny'ego do piekła.

- To się nie stanie, ponieważ mnie tam nie było. Beck spojrzał na niego twardym wzrokiem.

- Nie radzę kłamać w rozmowie ze mną, Chris. Jeśli zrobi się z tego prawdziwa afera, nie chcę pojawiających się znienacka żadnych niespodzianek.

- To co mam zrobić? Przysięgnąć na wszystkie świętości, na „jak babcię kocham”?

- W porządku. Żartuj sobie, ile chcesz.

Chris przestał się uśmiechać z wyższością.

- Posłuchaj, zdaję sobie sprawę, że jesteś teraz w prawniczym nastroju. Tak jak powiedział Huff, płacimy ci za to, żebyś martwił się za nas. Nie wiem jednak, co takiego jeszcze mam zrobić, by przekonać cię o mojej nieobecności w domku rybackim w zeszły weekend. Ostatnim razem byłem tam z tobą, kilka miesięcy temu. Danny'ego widziałem ostatni raz, gdy zmierzał w kierunku przebieralni w klubie, w niedzielne przedpołudnie. Strasznie się wkurzył po naszej kłótni o te jego religijne nonsensy. Był niezwykle czuły na punkcie krytykowania religii, a ja

poczyliem kilka niewybrednych uwag na ten temat, więc owszem, wyszedł z klubu trochę najeżony.

- A co z tobą? W jakim byłeś nastroju po waszym rozstaniu? Danny, zawsze bardzo uległy, nagle się postawił. Jak się wtedy poczułeś?

- Przyznaję, zdenerwowało mnie to, że Danny zrobił z siebie idiotę na oczach tych wszystkich sekciarzy. Wielu z nich pracuje dla nas. Nie powinni sobie pomyśleć, że jesteśmy mięczakami, czy chodzi o Boga, czy o cokolwiek. Byłem zły. Żeby się uspokoić, przepłynąłem parę basenów, a potem odwiedziłem Lilę, gdy tylko zadzwoniła, że jest sama w domu. Resztę popołudnia spędziłem między jej mocnymi udami. To niesamowite, jak wiele frustracji mija, kiedy uprawia się seks z tak ostrą i gwałtowną partnerką, jak Lila. Jej wyobraźnia nie zna granic.

- Oszczędź mi szczegółów.

- Twoja strata, przyjacielu. W każdym razie, wyszedłem od niej około piątej, przebrałem się w domu i pojechałem do Breaux Bridge. To wszystko. Nie mam nic więcej do dodania. - Rozłożył ręce, unosząc dłonie i spojrzał na Becka błagalnie. - Poza tym, podaj mi chociaż jeden dobry powód, dla którego chciałbym zabić Danny'ego.

- To akurat będzie działało na naszą korzyść - odparł Beck. - Brak motywu. Mimo wszystko, próbują cię wmieszać w tę sprawę i ten młody gorliwy detektyw na pewno szuka sposobu. Jeżeli jest coś, o czym nie wiem.

- Nie ma.

- Lepiej powiedz mi teraz, Chris. Nie kłam. Muszę wiedzieć, czy mam zwerbować dobrego prawnika, przekupić jakiegoś obrońcę wyspecjalizowanego w sprawach kryminalnych?

- Nie.

Zadzwoniła komórka Becka. Sprawdził numer na wyświetlaczu.

- To Huff.

Chris zakrył oczy dłońmi.

- Cholera.

Beck odebrał: - Witaj, Huff. Już ruszamy z powrotem. Powinniśmy się pojawić za pięć minut.

Chcesz koktajl? Możemy wstąpić po drodze do Dairy Queen. Jesteś pewien? W porządku. Tak, opowiem ci wszystko zaraz po przyjeździe. - Rozłączył się i spojrzał na Chrisa. - Jedziemy prosto do pracy. Huff na nas czeka.

- Ile powinniśmy mu powiedzieć?

- Wszystko. Jeżeli tego nie zrobimy, wydobędzie resztę od Rudego. Oczywiście za plecami Wayne'a Scotta.

- To kolejna rzecz, która będzie działała na moją korzyść. Stary poczciwy Rudy Harper. Nie wpakuje mnie w to sfigowane morderstwo.

Sayre nie wróciła do Nowego Orleanu. Po wizycie w odlewni, rozmowie z Clarkiem i ataku płaczu była wyczerpana fizycznie i psychicznie. Dwugodzinna jazda samochodem, a potem niewygodna podróż samolotem rejsowym wzbudzały w niej teraz wyłącznie niechęć.

Jeden z jej klientów w San Francisco był prezesem firmy czarterowej. Był jej winien przysługę za ekspresowe udekorowanie domu na Russian Hill. Gdy zadzwoniła do niego, wysłuchał jej ze zrozumieniem i poprosił o pięć minut na poczynienie niezbędnych przygotowań. Oddzwonił po czterech.

- Na szczęście mamy w Houston wolny samolot. Już po ciebie leci.

- Czy miejscowe lotnisko będzie mogło przyjąć prywatny odrzutowiec?

- To pierwsza rzecz, jaką sprawdziłem. W Destinyn jest spora firma, zdaje się, że produkują metalowe rury. Mają firmowy odrzutowiec.

Sayre przypomniała sobie, że Beck o tym wspominał. Nie powiedziała swojemu rozmówcy, że jest udziałowcem tej „sporej firmy”.

- Zostaw kluczyki od samochodu obsłudze lotnika - ciągnął. - Ktoś odbierze go później i odprowadzi do Nowego Orleanu.

Sayre rzadko pozwalała sobie na takie królewskie traktowanie, ale było ją stać na luksus. Poza tym, warto było, jeżeli dzięki temu będzie mogła jak najszybciej wydostać się z Destiny.

Postawiła wóz na parkingu dla wypożyczonych samochodów przed lotniskiem i wyciągnęła z tylnego siedzenia torbę podróżną. Gdy znalazła się w hali odlotów, podeszła do niej kobieta w średnim wieku.

- Pani Lynch?

- Tak.

- Pani samolot właśnie ląduje, złociutka. Ma pani dla mnie kluczyki?

Betonowa płyta lądowiska wydawała się rozgrzana do niemożliwości. Sayre ruszyła po niej w kierunku dystyngowanego siwego pilota, który wyszedł z kabiny małego, eleganckiego odrzutowca stojącego niecałe dwadzieścia metrów od budynku.

- Pani Lynch?

- Witam.

- Będę miał przyjemność pilotować dla pani samolot podczas dzisiejszego rejsu. - Uścisnęli sobie dłonie.

Już na pokładzie kapitan zaprezentował drugiego pilota, który pomachał Sayre z kokpitu.

Następnie wskazał wyjścia awaryjne i barek z napojami i przekąskami.

- Proszę się rozgościć.

Sayre podziękowała mu i kapitan zniknął w kokpicie. Oparła głowę o chłodny skórzany zagłówek i zamknęła oczy.

Odczuwała ulgę, że wraca do domu. Kilka minut później samolot rozpoczął kołowanie. Zanim dotarł na pas startowy, Sayre zdążyła już zapaść w drzemkę. Zamiast jednak zwiększyć obroty,

silniki stopniowo wygasły. Sayre otworzyła oczy na widok kapitana wychodzącego z kokpitu.

- Proszę o spokój, panno Lynch. Mamy mały kłopot, ale zajmę się tym i za chwilę będziemy startować - powiedział uprzejmie i ze spokojem, ale Sayre widziała, że w środku gotuje się ze złości.

Podszedł do drzwi i odbezpieczywszy zamek, wypchnął je na zewnątrz i ruszył w dół po schodkach.

- Co, do diabła, pan sobie wyobraża? - zapytał kogoś na zewnątrz.

- Muszę się widzieć z pana pasażerką.

Sayre odpięła pas i podeszła do drzwi. Kapitan stał zwrócony do niej plecami, piekłąc się na Becka Merchanta, który najwyraźniej nic sobie z tego nie robił.

- Usiłowałem przekonać panią w terminalu, żeby skontaktowała się z panem przez radio i zatrzymała was, ale odmówiła - wyjaśnił. - Powiedziała, że nie ma upoważnień. Nie wiedziałem, jak inaczej mógłbym przerwać start.

Sayre zeszła w dół po schodkach. Widząc ją, Beck wskazał w kierunku swojego pikapu, stojącego na środku pasa startowego, dokładnie naprzeciwko odrzutowca.

- Wsiadaj - rzucił.

- Postradał pan rozum?

- Huff miał atak serca.

Beck spojrzał na swoją pasażerkę.

- Nie jesteś ani trochę ciekawa, co się zdarzyło?

Od kiedy zaciągnął ją do szoferki swojego wozu, nie odezwała się ani słowem. Teraz spojrzała na niego z beznamiętnym wyrazem twarzy. Przynajmniej jakoś zareagowała.

- Huff był w swoim gabinecie - zaczął opowiadać Beck. - Sally, jego sekretarka, usłyszała krzyk.

Pobiegła tam i zobaczyła, że leży na biurku, trzymając się za pierś. Jej błyskawiczna reakcja

prawdopodobnie uratowała Huffowi życie. Natychmiast wepchnęła mu do ust tabletkę aspiryny i zadzwoniła po pogotowie. Chris i ja przybyliśmy do szpitala tuż po przyjeździe ambulansu. Czekaliśmy ponad pół godziny, chociaż wydawało się, że dłużej. Dopiero wtedy pozwolono Chrisowi zobaczyć się z ojcem i to tylko na pięć minut. Huff jest na oddziale intensywnej opieki. Powiedzieli, że próbowali ustabilizować jego stan. Był niezwykle poruszony i ciągle pytał o ciebie. Wysłano mnie, żebym cię odnalazł i sprowadził z powrotem.

- Czy powiedzieli Chrisowi, jakie są rokowania?

- Jeszcze nie. Nadal próbują ocenić rozmiar uszkodzeń. Mogę ci jedynie powiedzieć, że kiedy opuszczałem szpital, Huff żył. Poprosiłem Chrisa, by zadzwonił do mnie na komórkę, jeżeli coś się zmieni. Na razie tego nie zrobił.

- Skąd wiedziałeś, gdzie mnie znaleźć?

- Zadzwoniłem do firmy wypożyczającej samochody, do oddziału w Nowym Orleanie.

Zapytałem, czy zwróciłaś już samochód. Powiedziano mi, że zamierzasz odlecieć z Destiny czarterem, samochód zostanie odstawiony na miejsce później. Przygnałem więc na lotnisko.

Proponowałem ci przecież skorzystanie z firmowego odrzutowca - dodał po chwili milczenia.

- A ja odmówiłam. Nie zamierzam korzystać z luksusów firmowego samolotu, gdy ta sama kompania nie może zapewnić odpowiednich rękawiczek swoim pracownikom, bo rzekomo są zbyt drogie. Ile mogą kosztować rękawiczki przemysłowe?

- To nie jest moja działka.

Spojrzała na niego potępiająco.

- Jasne. Jesteś tylko ich chłopcem na posyłki. Pojawiasz się tam, gdzie trzeba odwalić brudną robotę. Mogłeś spowodować wypadek, wjeżdżając na pas startowy.

- Kapitan już o tym wspomniał.

- Ale jego słowa spłynęły po tobie jak woda po kacze. Zrobiłeś to, bo wiedziałeś, że takie

zachowanie ujdzie ci na sucho. Nie dziwię się, że tak dobrze rozumiesz się z członkami mojej rodziny

Beck zacisnął dłonie na kierownicy.

- Nie aprobujesz moich metod? Doskonale. Nie potrzeba mi twojej akceptacji. Mój pracodawca poprosił, abym cię odnalazł i sprowadził do szpitala, i to właśnie robię.

- I zawsze będziesz robił to, co ci każą, Nieważne, czy to dobre, czy złe i czy może wyrządzić komuś krzywdę. - Spojrzała na niego z ukosa. - Zastanawiam się, jak daleko byś się dla nich posunął. Gdzie są twoje granice? Czy w ogóle istnieją?

- Widzę, że już wyrobiłaś sobie o mnie złą opinię.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś wczoraj po obiedzie, że poszedłeś do domku rybackiego na prośbę szeryfa Harpera?

- Miałem ci zepsuć zabawę? Przecież chciałaś o mnie myśleć wszystko, co najgorsze, dałem ci więc po temu sposobność.

Sayre odwróciła wzroki zaczęła wyglądać przez okno od strony pasażera. Gniew emanował z niej jak żar z rozgrzanego asfaltu. Włosy błyszcząły niczym płomień w blasku rozpalonego słońca, skóra wydawała się rozpalona gorączką. Zapewne była gorąca w dotyku.

Lepiej się nad tym nie zastanawiaj. Ta myśl wcale nie pomogła Beckowi. Od kiedy ujrzał Sayre, trudno mu było skoncentrować się na czymkolwiek innym.

Wczoraj na cmentarzu, kiedy stanął twarzą w twarz z córką Huffa, z trudem ukrył zaskoczenie.

Oczywiście widział jej zdjęcia, ale były zaledwie nikłym odzwierciedleniem rzeczywistości.

Sayre robiła takie wrażenie, jakiego nigdy nie wywołały jej dwuwymiarowe fotografie.

Pomyślał wtedy: To jest młodsza siostra Chrisa, o której słyszałem tyle szalonych opowieści? To jest ta *femme fatale* Destiny, Lolita, mała siostrzyczka z ciętym językiem i nieposkromionym temperamentem? Spodziewał się osoby wulgarnej i głośnej, ubierającej się wyzywająco,

obnoszącej się ze swoją zmysłową figurą, a nie kobiety z wyszukany gustem i nienagannym smakiem. Sayre sprawiała, że tak niedoceniana w dzisiejszych czasach elegancja stawała się czymś seksownym i uwodzicielskim.

Opisano mu ją jako rozpieszczoną awanturnicę, humorzastą, zepsutą do szpiku kości, prawdziwe utrapienie. Wszystko to w jej przypadku było zapewne prawdą, tyle że Chris zapomniał powiedzieć, iż jego siostra jest kobietą ponętnie tajemniczą, ponieważ pod skorupą jej eleganckiego ubioru i chłodnej wyższości gotowała się skrywana pasja i zabójczy ładunek zmysłowości.

Chris jako jej brat oczywiście tego nie spostrzegał, zwłaszcza seksualnych aspektów prawdziwej Sayre. Beck uważał, że ona liczyła na taką krótkowzroczność. Nie chciała, aby ktokolwiek przejrzał ją przez tę odpychającą manierę, której używała jak tarczy chroniącej przed całym światem.

Ale jemu udało się ją przeniknąć, zobaczył jedynie cień tego, czym naprawdę byłaby Sayre, gdyby jej temperament doszedł wreszcie do głosu. Na samą myśl czuł łaskotanie w żołądku i z trudem ukrywał podniecenie. Wtedy, w fabryce, gdy chował pod kask jej niesforne rude kosmyki, widział, jak usta Sayre rozchylają się w zdumieniu na jego śmiałą uwagę o jej włosach. Wyobrażał sobie, jak delikatnie chwyta zębami jej nabrzmiałą dolną wargę. To na początek, bo jego fantazje wybiegały znacznie dalej. Pragnął zagłębić się w ten strumień skrywanej zmysłowości. Gdyby nie to, jego życie byłoby w tej chwili znacznie prostsze.

Przyspieszył, zdążając w kierunku szpitala. Sayre nie zwracała na niego uwagi, co go niezwykle irytowało. Wolałby znieść najgorsze obelgi z jej strony niż tę obojętność, traktowała go jak powietrze.

- Wygodnie ci?

Spojrzała na niego z ukosa.



- Słucham?

- Klimatyzacja. Nie za gorąco?

- Nie, wszystko w porządku.

- Na siedzeniu jest pewnie trochę sierści Frita. Może przyczepić ci się do ubrania. Przepraszam.

On tak lubi jeździć...

- Skoro atak serca był tak poważny, że Huff zapragnął zobaczyć się przed śmiercią ze swoimi dziećmi, dlaczego nie przewieziono go helikopterem do Nowego Orleanu, na oddział kardiologii?

Beck nie przejął się tym, że mu przerwała. Przynajmniej zaczęła się do niego odzywać.

- Przypuszczam, że mogą to zrobić, kiedy tylko ocenią rozległość ataku.

- Czy wcześniej wykazywał objawy choroby serca?

- Ma wysokie ciśnienie. Powinien brać leki, ale nie chce ze względu na skutki uboczne. Poza tym dużo pali. Czasem wydaje mi się, że robi to z czystego buntu, ponieważ wszyscy go przed tym przestrzegają. Jedyne ćwiczenie, jakie wykonuje, to bujanie się na ulubionym fotelu. Kawę z mlekiem przyrządza sobie pół na pół. Zagroził Selmie, że ją wyrzuci z pracy, jeżeli jeszcze raz spróbuje mu podać boczek z indyka, zamiast prawdziwego wieprzowego. Zapewne sam się prosił o atak serca albo zawał.

- Sądzisz, że przyczyniła się do tego śmierć Danny'ego?

- Bez wątplenia. Strata syna, zwłaszcza w takich okolicznościach, i te wszystkie reperkusje to ogromny stres.

- Jakie reperkusje?

- Jesteśmy na miejscu.

Zaparkował przed szpitalem i wyskoczył z półciężarówki, zanim ponownie zdołała go zapytać o okoliczności towarzyszące śmierci Danny'ego. Czy musiał jej tłumaczyć, że tak naprawdę Huff

dostał ataku serca w niecałą godzinę po tym, jak Chris opowiedział mu w skrócie o brzemienym w skutki spotkaniu z Rudym Harperem i detektywem Scottem? Z typową dla siebie zawadiacką pewnością Chris zapewnił Huffa, że nie ma się o co martwić. Wayne Scott macha szabelką, żeby zrobić wrażenie, pokazać, jaki jest dzielny i wspaniały, podczas gdy zgromadzone dowody są tak liche, że aż śmieszne.

- Usprawiedliwia rację bytu samego siebie moim kosztem - rzekł. - To wszystko, o co mu chodzi. Beck nie zostawi na Scotcie i jego śledztwie suchej nitki. Zapamiętaj moje słowa. Za kilka dni będziemy się wszyscy z tego śmiali.

Beck powiedział coś równie nonszalanckiego, ale najwyraźniej myślał, że jeden z synów Huffa mógł zostać posądzony o skłonności bratobójcze, była ponad siły starego. Beck nie widział sensu, by rozmawiać o tym z Sayre. Zamiast tego pobiegł otworzyć jej drzwi, jednak zanim okrążył samochód, już wysiadała. Zignorowała wyciągniętą w jej kierunku dłoń. Gdy sięgnęła po torbę podróżną, rzucił:

- Zostaw to. Zamknę samochód.

Zawahała się, a potem skinęła krótko głową i powędrowali razem w stronę wejścia do szpitala. Beck puścił ją przodem przez drzwi obrotowe. Gdy po kolejnym obrocie znalazł się w przedsionku, wpadł na nią, bo stała jak wmurowana, nie odsunawszy się nawet na krok. Niemal ją przewrócił, sam tracąc równowagę. Chwycił ją delikatnie za ramiona i przyciągnął do siebie. Ich ciała przez chwilę się zetknęły, co w innej sytuacji odebrałoby mu oddech, ale teraz silniejsze było zdumienie tym, że Sayre zatrzymała się w progu tak gwałtownie.

Korytarzem zmierzał ku nim doktor Tom Caroe. Był to niski mężczyzna z wąskimi, zgarbionymi ramionami. Jego postura sprawiała, że wydawał się jeszcze mniejszy niż w rzeczywistości.

Ubrania Tima Caroea zawsze wydawały się o kilka numerów za duże, jakby skurczył się gwałtownie zaraz po ich włożeniu. Włosy były przeredzone i ufarbowane na nienaturalną czerń,

w nieudanej próbie ukrycia podeszłego wieku, który i tak zdradzały zmarszczki na twarzy.

Podszedł do nich i witając się, wyciągnął dłoń do Sayre. Kiedy nawet nie drgnęła, szybko pozwolił opaść ramieniu wzdłuż tułowia. Ukrywając zmieszanie, powiedział:

- Dziękuję, że przywiozłeś ją tak szybko, Beck.

- Nie ma sprawy. Jak on się czuje?

Sayre otrząsnęła się z oszołomienia lub czegośkolwiek, co spowodowało, że wcześniej tak skamieniała. Strząsnęła dłonie Becka ze swoich ramion i odsunęła się, stając z boku.

- Jego stan jest stabilny - powiedział doktor Caroe - i tak musi pozostać, jeżeli mam przeprowadzić wszystkie potrzebne testy.

- Czy ma pan wystarczające kwalifikacje do postawienia diagnozy? Chyba powinniście wezwać tu specjalistę kardiologa - odezwała się wreszcie Sayre, od razu podając w wątpliwość kompetencje lekarza rodzinnego.

- Ja też uważam, że powinniśmy - odparł Caroe spokojnie - ale Huff ma na ten temat odmienne zdanie. Jest pod tym względem dosyć stanowczy.

- Może ja zdołam go nakłonić do zmiany opinii. - Beck popchnął Sayre w kierunku windy. -  
Które piętro?

- Drugie. Jest na oddziale intensywnej terapii - odpowiedział doktor. - Wasze wizyty nie powinny trwać dłużej niż kilka minut. Huff potrzebuje wypoczynku. Bardzo nalegał na widzenie z tobą, co osobiście uważam za niewskazane - dodał, wpatrując się w Sayre. - W rozmowie z nim pamiętaj o jego stanie i nie mów niczego, co by go zdenerwowało. Kolejny atak mógłby go zabić.

Gdy drzwi od windy się otworzyły i Sayre wraz z Beckiem wyszli na korytarz, przywitał ich zaciekawiony wzrok Chrisa.

- No proszę, Sayre. Dzięki za fatygę.

Sayre zignorowała brata, co było najlepszą linią postępowania wobec niego.

- Na dole wpadliśmy na Tima Caroe - powiedział Beck.

- W takim razie wiecie już tyle, ile ja. - Chris spojrział na siostrę. - Huff o ciebie pytał.

- Wiesz może dlaczego?

- Nie mam bladego pojęcia. Myślałem, że ty mi powiesz.

- Nie.

- Może ma to coś wspólnego z twoim nagłym, zainteresowaniem fabryką.

- Powiedziałam przecież, że nie wiem.

Na tym zakończyli rozmowę. Zajęli miejsca w poczekalni, starannie omijając się wzrokiem. W końcu Beck wstał i oznajmił, że idzie poszukać automatu z przekąskami. Sayre odrzuciła ofertę, że przyniesie jej jakiś napój.

- Pójdę z tobą - rzekł Chris i wyszedł wraz z Beckiem, pozostawiając ją w poczekalni sam na sam z jej strachem przed wizytą u Huffa.

Nie mogła sobie wyobrazić skruszonego ojca, ale z drugiej strony, nigdy wcześniej nie zajrzał śmierci w oczy. Czyżby stojąc nad przepaścią i spoglądając w dół, przeraził się piekła, które na niego czekało? Czy w obliczu wiecznych mąk i potępienia, jakie były mu pisane, chciał prosić ją o wybaczenie i obiecać zadośćuczynienie za wszystkie krzywdy? Jeżeli tak, tracił jedynie czas.

Sayre nigdy mu nie wybaczy.

Siedziała samotnie w poczekalni, gdy pielęgniarka zaanonsowała, że może teraz odwiedzić ojca.

Poprowadziła Sayre w kierunku łóżka, na którym leżał Huff, podłączony do mrugającej i popiskującej w regularnych odstępach maszynerii. Do nosa biegly rurki doprowadzające tlen.

Leżał z zamkniętymi oczami. Pielęgniarka wycofała się dyskretnie.

Wpatrując się w twarz Huffa, Sayre nie mogła pojąć, jak ten człowiek, który dał jej życie, zdołał tak kompletnie zniszczyć miłość córki do siebie. Pamiętała czasy, gdy była małą dziewczynką i z utęsknieniem wyczekiwała jego powrotu po pracy. Oznajmiał swoje przybycie głosem, który

dudnił w przestronnych korytarzach domu, wypełniając go witalnością, której brakowało podczas jego nieobecności. Huff był sercem, które pompowało życie, dobre lub nie, w całą rodzinę.

Pamiętała, że najmniejszy znak, iż ojciec ją zauważył, był dla niej cenniejszy niż prezenty, jakie dostawała pod choinkę. Pielęgnowała jego nikłą aprobatę niczym najcenniejszy skarb. Choć czasami Huff ją przerażał, kochała go kiedyś z całego serca, z bezmiernym oddaniem. Wtedy jednak spoglądała na niego oczami dziecka, ślepymi na jego nieprawość. Chwila, w której wreszcie przejrzała, była najboleśniejszym, odzierającym z iluzji doświadczeniem w jej życiu.

Stała koło łóżka przez kilka chwil, zanim zorientował się, że tu jest. Otworzył oczy i uśmiechnął się, wymawiając jej imię.

- Dobrze się czujesz? - spytała.

- Po tym, jak nafaszerowali mnie prochami...

- Twój stan jest stabilny. Ciśnienie, puls i tak dalej.

Skinął głową w zamyśleniu, ledwie słuchając. Patrzył na nią uważnie.

- Walczyłem z matką o twoje imię, Sayre. Uważałem, że jest głupie. Dlaczego nie Jane, Mary albo Susan. Ona jednak nalegała i teraz cieszę się, że to zrobiła. Pasuje do ciebie.

Sayre nie chciała oddać się razem z Huffem wspomnieniom. Byłaby to obrzydliwa hipokryzja.

- To musiał być nieduży zawał, inaczej nie byłbyś teraz w takim dobrym stanie - przywołała Huffa do rzeczywistości.

- Widzę, że stałaś się specjalistką od chorób serca - rzucił uszczypliwie.

- Nie, ale mam duże doświadczenie ze złamanymi sercami.

Potrząsnął głową, jak gdyby chciał powiedzieć: „Celny strzał”.

- Jesteś twardą, bezduszną kreaturą, Sayre.

- Uczyłam się od najlepszych.

- Rozumiem, że to aluzja do mnie. Twoja matka...

- Nie przywołuj w tej rozmowie matki, zwłaszcza po to, by wywołać we mnie poczucie winy, że śmiałam się tobie sprzeciwić. Nie jestem słodką, uległą kobietą, jaką była ona. Nie sądzę, żeby spodobało jej się to, kim się staliśmy.

- Pewnie masz rację. Może z wyjątkiem Danny'ego. On by się jej podobał. Cieszę się, że nie było jej z nami, gdy go składaliśmy do grobu.

- Ja również. Żadna matka nie powinna być zmuszona grzebać swoje dziecko.

Spojrzał na nią zwężonymi oczami.

- Pewnie w to nie wierzysz, Sayre, ale ja też oplakuję Danny'ego. Naprawdę.

- Kogo próbujesz przekonać, Huff? Mnie czy siebie samego?

- W porządku, nie wierz mi. Mam jednak wiele powodów do zmartwień. Najpierw Danny, a teraz Chris i te wszystkie podejrzenia.

- Chris... ? O czym ty mówisz?

- Panno Hoyle.

Do pokoju weszła pielęgniarka, żeby przypomnieć o nieprzedłużaniu wizyty. Sayre skinęła głową, nie trudząc się korygowaniem własnego nazwiska.

- Nie przejmuj się nią - powiedział Huff, gdy salowa wyszła. - Nie odważy się wyrzucić cię stąd.

Problem w tym, że Sayre nie mogła się doczekać, żeby wyjść.

- Wyzdrowiejesz, Huff. Nie sądzę, żeby piekło było już gotowe na twoje przybycie.

Uśmiechnął się jednym kącikiem ust.

- Szatan zapewne doceniłby przeciwnika.

- Szatan nie jest dla ciebie żadnym przeciwnikiem.

- Ty chyba rzeczywiście tak uważasz.

- Wierz mi, że tak.

- To dość okrutne słowa wobec człowieka, który kilka godzin temu mógł umrzeć. Nosiałś w

sobie tę nienawiść od lat. Może wreszcie przestałabyś się na mnie wściekać?

- Nie jestem na ciebie wściekła, Huff. Gniew jest emocją, a ja nie czuję do ciebie nic. Absolutnie nic.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- Dlaczego więc wróciłaś tutaj, żeby zobaczyć swojego biednego starego ojca po raz ostatni, zanim kopnie w kalendarz?

- Dlaczego po mnie posłałeś?

Uśmiechnął się sprytnie, a zaraz potem parsknął śmiechem.

- Żeby udowodnić, że przybiegniesz tu czym prędzej, no i proszę. Oto jesteś, Sayre.

- Jak myślisz, o czym rozmawiają?

W odpowiedzi Beck spojrział na Chrisa, wzruszył ramionami i wrócił do wertowania starego magazynu „People”.

- Skąd się wziął konflikt między nimi? - spytał.

- To stara sprawa z czasów, gdy Sayre była jeszcze nastolatką. Chodziła w liceum z Clarkiem Dalym.

Beck spojrział na niego pytająco.

- Tak, to ten sam - odparł Chris.

Beck znał Clarka Daly'ego z fabryki. Kilka razy brygadzista odesłał go do domu za pojawienie się w pracy po alkoholu. Przyłapano go nawet na trzymaniu butelki whisky w pudełku na lunch.

To dziwne, że Sayre kiedykolwiek chciała na niego spojrzeć.

- Przez jakiś czas Huff tolerował jej mały romans - ciągnął Chris. - Wydawał się dość niewinny.

Kiedy jednak się okazało, że oni traktują to bardzo poważnie, postanowił zakończyć przygodę miłosną Sayre.

- Czy Clark miał wtedy kłopoty z piciem?

- Nic podobnego. Od czasu do czasu wypił jedno piwo. Był gwiazdą, sportowcem i prymusem.

- O co więc chodziło?

- Nie znam szczegółów. Studiowałem już wtedy. Nie interesowały mnie sprawy Sayre i nie przyglądałem się jej związkowi zbyt uważnie. Wiem tylko, że Huff niechętnie spoglądał na Clarka Daly'ego jako na przyszłego zięcia. Gdy tylko skończyli liceum, wtrącił się i zakończył ich romans.

- Jak zareagowała Sayre?

Chris uśmiechnął się krzywo.



- A jak myślisz? Wybuchem o skali Wezuwiusza, przynajmniej tak mi powiedziano. Kiedy się zorientowała, że jej awantury nie robią na Huffie żadnego wrażenia, popadła w głęboką depresję. Straciła sporo na wadze, snuła się po domu niczym duch. Która to powieściowa postać włóczyła się po domu w pokrytej pleśnią sukni ślubnej?

- Panna Havisham?

- Właśnie. Pamiętam, że pewnego weekendu wróciłem do domu i ledwo rozpoznałem Sayre. Wyglądała okropnie. Nie poszła na studia, przestała robić cokolwiek. W ogóle nie wychodziła z domu. Kiedy zapytałem Selmę, co się stało, zaczęła płakać i powiedziała, że Sayre zmieniła się „w biedną, umęczoną zjawę, ulituj się Panie nad jej duszą”. Danny rzekł, że nic nie wie, bo nie rozmawiał z Huffem od miesięcy i unikał przebywania z nim w tym samym pokoju.

Chris przerwał, żeby upić łyk napoju z puszki, Beck pragnął poznać resztę historii, ale nie ponaglał Chrisa. Nie chciał, żeby wyszło na jaw jego nadmierne zainteresowanie. Na szczęście Chris sam podjął opowieść:

- Trwało to wszystko miesiącami. Wreszcie Huff miał tego dość. Powiedział Sayre, że ma skończyć z żałobą i wziąć się w garść, albo wyśle ją do czubków.

- Taki był lek Huffa na nastoletnie złamane serce? Groźba wysłania do szpitala psychiatrycznego?

- Brzmi to dość okrutnie, prawda? Niemniej poskutkowało, ponieważ kiedy Huff wybrał dla niej kandydata na męża i zaczął nalegać na ślub, Sayre bez specjalnych oporów poszła do ołtarza. Pewnie doszła do wniosku, że małżeństwo jest lepsze od pokoju z drzwiami bez klamek. Beck patrzył w zamyśleniu na zamknięte dwuskrzydłowe drzwi wiodące na oddział intensywnej terapii.

- Dostyc długo Sayre ma za złe ojcu, że kiedyś wtrącił się w jej związek z czasów szkolnych - mruknął.

- To cała Sayre. Już jako dziecko musiała się wiecznie o coś boryać. Nadal jest taka. Wszystko bierze zbyt poważnie. - Chris wstał i rozprostował plecy, a potem podszedł do okna. Stał tam przez dłuższą chwilę, w milczeniu wpatrując się w niesprecyzowany punkt.

W końcu Beck zapytał:

- Coś cię dręczy, Chris?

Chris wzruszył obojętnie ramionami, ale Beck wiedział, że udaje.

- Chodzi o tę dzisiejszą sprawę.

- To był pracowity dzień. Którą konkretnie masz na myśli?

- Oczywiście spotkanie w biurze szeryfa. Jak sądzisz, aresztują mnie?

- Nie.

- Nie podobało mi się w więzieniu, Beck. Poprzednim razem Huff wpłacił za mnie kaucję i byłem wolny w ciągu kilku godzin, ale nie jest to miejsce, w którym chciałbym spędzić choćby pięć minut.

- Nie aresztują cię. Nie mają jeszcze wystarczających dowodów.

- Jeszcze? - Chris odwrócił się gwałtownie.

- To ty mi powiedz, czy znajdą coś więcej, Chris. Muszę to wiedzieć.

Czarne oczy Chrisa zabłyśły złowrogo.

- Jeżeli nawet mój własny prawnik mi nie ufa, to kto mi uwierzy?

- Ufam ci, ale musisz przyznać, że w tej chwili twoja sytuacja nie wygląda ciekawie.

Chris rozluźnił się nieco.

- To prawda. Myślałem o tym bardzo długo i doszedłem do wniosku... że ktoś próbuje mnie zrobić - dodał po chwili milczenia.

- Ktoś chce cię zrobić?

- Powiedziałeś to dość sceptycznym tonem.

- To dlatego, że wątpię w twoją teorię.

Chris usiadł na krześle i pochylił się ku Beckowi.

- Pomyśl tylko - powiedział. - Z powodu procesu Iversona, która wciąż jeszcze figuruje w spisie jako niezamknięta sprawa zaginięcia i możliwego zabójstwa, jestem idealnym kandydatem do wrobienia w morderstwo.

- Wrobienia przez kogo?

- Klapsa Watkina.

- Klapsa Watkina? - roześmiał się Beck.

- Posłuchaj mnie - rzucił niecierpliwie Chris. - Watkins nienawidzi Hoyle'ów. Ciebie też, swoją drogą. Wykopał topór wojenny.

- Z powodu bitki barowej, która miała miejsce trzy lata temu?

- Tyle że on nie zapomniał o sprawie. Powiedziałaś Huffowi, że wspominał o tym podczas waszego spotkania wczoraj wieczorem.

- W porządku, ale...

- To nie wszystko. Kierowany przecuciem, poprosiłem sekretarkę Danny'ego o sprawdzenie podań o pracę, które przysły do niego w ciągu ostatnich kilku tygodni, i zgadnij, co się okazało?

- Z kieszeni spodni wyciągnął złożoną kartkę papieru i pomachał nią w kierunku Becka. - Klaps Watkins ubiegał się o posadę u nas.

- Złożył podanie o przyjęcie do pracy w odlewni?

- Danny odrzucił jego prośbę. Kolejny powód, dla którego Klaps nienawidzi Hoyle'ów.

- Wystarczająco, żeby zamordować Danny'ego?

- Taki facet jak on nie potrzebuje specjalnej zachęty,

- Przypuszczam, że to możliwe - mruknął Beck z zamyśleniem.

- Na pewno warto się temu przyjrzeć.

- Wspominałeś o tym Rudemu?

- Jeszcze nie. To odrzucone podanie zobaczyłem tuż przed tym, jak Huff dostał zawału. Nie miałem okazji, by porozmawiać o tym z kimkolwiek.

Beck myślał przez chwilę, a potem potrząsnął głową.

- Jest z tym mały problem, Chris.

- Jaki?

- W jaki sposób Watkins sprowadził Danny'ego do domku rybackiego?

Chris zastanawiał się nad odpowiedzią przez kilka minut, zanim przyznał, że nie wie.

- Ale to podstępny gnój, poza tym przeszedł trzyletni „trening” w więzieniu. - Spojrzał w kierunku drzwi, widząc wychodzącą właśnie z oddziału Sayre. - Porozmawiamy o tym później.

Obaj wstali, gdy Sayre weszła do poczekalni.

- Wszystko z nim w porządku - rzekła. - Nie zamierza się wybrać na tamten świat.

- Dlaczego więc tak bardzo chciał cię zobaczyć?

- Nie ma powodów do obaw, Chris. Nie zmienił testamentu i nie zrobił ze mnie swojego nowego, jedyne spadkobiercy, jeżeli tym się martwisz. Przywołał mnie tutaj wyłącznie ku swej własnej uciechu. Beck, czy mógłbyś pójść do samochodu i otworzyć go, bo chcę zabrać swój bagaż?

- Zamierzasz odlecieć dziś wieczorem?

- Odesłałam odrzutowiec, ponieważ nie wiedziałam, kiedy będę mogła wyjechać. Mam jednak nadzieję, że samochód, który wypożyczyłam... O co chodzi? - spytała, gdy Beck zaczął kręcić głową.

- Ktoś go już odebrał. Pozwoliłem sobie zadzwonić w twoim imieniu, żeby to sprawdzić.

- Nie szkodzi. I tak zamierzałam spędzić tę noc w The Lodge. Jutro wynajmę nowy wóz.

Beck zaoferował, że podwiezie ją do hotelu, ale odmówiła.

- Wezmę taksówkę.

Chris poinformował ją, że jedyna firma taksówkarska, którą miało Destiny, już nie funkcjonuje.

- Splajtowała całe lata temu.

Beck widział wyraźnie, że Sayre chciała się jak najszybciej pozbyć ich towarzystwa i zirytowały ją przeszkody stojące na drodze.

- No dobrze - powiedziała z rezygnacją. - Jeśli to nie kłopot, będę wdzięczna za podwiezienie do motelu.

- Jasne. Chris, zostajesz tutaj?

- Zaczekam, aż doktor Caroe wróci z obchodu. Jeżeli uzna, że Huffowi nie grozi nic poważnego, pojedę do domu.

Ustalili, że będą trzymać w pogotowiu telefony komórkowe, na wypadek, gdyby Chris musiał powiadomić Becka o stanie zdrowia Huffa, po czym się pożegnali. W drodze na parter Beck zapytał Sayre o kondycję Huffa.

- Jeżeli złośliwość jest miarą długowieczności, Huff przeżyje nas wszystkich - odparła i pchnęła obrotowe drzwi wyjściowe.

Na zewnątrz Beck chciał podjąć konwersację, ale z jej gestów i postawy wywnioskował, że lepiej zostawić to na później.

- Wyglądasz na zmęczoną - rzekł, pomagając jej wsiąść do pikapu.

- Spotkania z Huffem zawsze mnie wykańczają.

Obszedł samochód i wsiadł do środka. Przekręcając kluczyk w stacyjce, przeprosił za upał w kabinie.

- Powiniennem zostawić uchylone okno.

- Nie szkodzi. - Sayre odchyliła głowę na oparcie i zamknęła oczy. - Kiedy w lipcu w San

Francisco robi się dziesięć stopni Celsjusza, tęsknię za prawdziwym latem. Właściwie to lubię żar.

- Tak mi się właśnie zdawało.

Otworzyła oczy i popatrzyła na niego. Ich spojrzenia skrzyżowały się, podnosząc temperaturę w sfoferce. Przynajmniej Beckowi tak się zdawało. Półożąc na siedzeniu, Sayre wydawała się bezbronna i bardzo kobieca. Cieniutkie pasemka włosów okalające twarz poskręcały się, nadając jej twarzy delikatność, której dziewczyna tak się starała wyprzeć. Policzki miała zaróżowione i Beck znów pomyślał, że jej skóra jest zapewne gorąca w dotyku. Bardzo pragnął się o tym przekonać, ale nie zaryzykował w obawie, że jeśli ją dotknie, zakłóci tę delikatną równowagę między nimi i to na swoją niekorzyść.

- Głodna? - spytał zamiast tego.

Uniosła głowę z oparcia i spojrzała na niego z niezrozumieniem.

- Słucham?

- Jesteś głodna?

- Och - delikatnie potrząsnęła głową. - Nie.

- Założę się, że tak

Wpatrywał się w nią przez kilka chwil, zanim wrzucił bieg. Opuszczając szpitalny parking, skierował się nie do motelu, lecz w przeciwną stronę.

- The Lodge jest po drugiej stronie miasta - zauważyła Sayre.

- Zaufaj mi.

- Nie ma mowy.

W odpowiedzi jedynie uśmiechnął się szeroko. Sayre nie powiedziała nic więcej, co Beck odebrał za zgodę na swój plan. Tuż za rogatkami miasta skręcił z głównej szosy na pełną kolein zwirowaną drogę prowadzącą przez gęsty las. Ścieżka kończyła się ślepo na sztucznie podwyższonym brzegu rozlewiska. Obok małego, jakby chylącego się ku ruinie domku stało zaparkowanych kilka samochodów.

- Znasz to miejsce? - Sayre spojrzała na Becka.

- Dlaczego jesteś taka zdziwiona?

- Myślałam, że to sekret miejscowych.

- Nie jestem tu obcy.

Mały zajazd, w którym teraz serwowano owoce morza, prowadziła od lat trzydziestych ta sama rodzina; wtedy sprzedawano tu głównie nielegalnie pędzony bimber. Zajazd został zbudowany z falistej blachy, która już dawno padła ofiarą rdzy. Przechylał się widocznie na jedną stronę i miał tylko trzydzieści metrów długości. Całość pomieszczenia zajmowała kuchnia.

Przez wąskie okno serwowano ostrygi w muszlach, zanurzone w czerwonym sosie tak ostrym, że od samego zapachu oczy zachodziły łzami, gęstą zupę gumbo zaprawianą file oraz etouffee z langusty, tak smakowite, że wszyscy wylizywali talerze do czysta. Można tu było dostać wszystko, od mięsa aligatora do peklowanego kopru, zazwyczaj obtaczane w panierce i smażone w głębokiej fryturze.

Beck zamówił dla nich dwa kubki zupy gumbo i kanapki po'boy ze smażonymi krewetkami.

Oczekując na zamówienie, podszedł do beczki z lodem stojącej z boku chałupy i zanurzwszy ręce w łupkach zmrożonej wody, wydobył dwie butelki piwa. Usunął kapsle otwieraczem przytwierdzonym brudnym sznurkiem do pobliskiego drzewa.

- Jest zimne - ostrzegł Sayre, podając oszronioną butelkę. - Chcesz szklankę?

- Obraziliby się za to. - Przytknęła butelkę do ust i pociągnęła łyk, jak specjalistka. Beck uśmiechnął się do niej.

- Zarobiłaś właśnie kilka dodatkowych punktów.

- Nie szukam twojej aprobaty.

- Szkoda - uśmiechnął się jeszcze szerzej. - To coś bardzo specjalnego.

Gdy zamówienie było gotowe, zanieśli papierowe łódki wypełnione jedzeniem na pobliski stolik

skrywający się pod koronami zielonych dębów. Z najniższych gałęzi, pomiędzy brodami mchu hiszpańskiego zwisały sznury lampek choinkowych. Któryś z klientów włączył radio, dostrajając je do stacji grającej muzykę zydeco, co potęgowało nastrój miejsca.

Najpierw zjedli gumbo. Potem Beck zaczął się przyglądać, jak Sayre odwija serwetkę, w którą była zawinięta kanapka. Bułka domowego wyrobu, gorąca, maślana, miękka wewnątrz, z chrupiącą skórką. Pomiędzy dwoma połówkami piętrzyły się tłuste, obtoczone w bułce tartej krewetki prosto z wrzącego oleju, liście sałaty i remulada. Wszystko to Sayre poląła jeszcze sownie sosem tabasco z butelki na stole. Odgryzła spory kęs.

- Pyszne - mruknęła, przełykając. - W San Francisco mają niesamowitą kuchnię, ale to smakuje jak...

- Jak co?

- Jak dom. - Uśmiechnęła się z widocznym smutkiem i tęsknotą.

Wpatrywał się w nią, jedząc. Wiedział, że Sayre to zauważyła. Czuła się niezręcznie, będąc w centrum jego uwagi, chociaż próbowała pokryć zmieszanie nonszalancją. Wreszcie zmarszczyła brwi i spytała:

- Mam na twarzy sos albo coś w tym stylu?

- Nie.

- Więc dlaczego tak na mnie patrzysz?

Spojrzeniem prowokował ją, by sama zgadła, ale nie podjęła wyzwania. Wrócili do jedzenia. Po jakimś czasie Beck zapytał:

- Czy ty się kiedykolwiek pocisz?

Spojrzała na niego i zamrugała, nie rozumiejąc:

- Słucham?

- Jest tu goręcej niż w samym piekle, nie ma wiatru, wilgotność powietrza sięga chyba



dziwięćdziesięciu dziewięciu procent, połykasz sos z ostrej papryki niemal łyżkami, a mimo to zupełnie się nie pocisz. Twoja skóra nie jest ani trochę wilgotna. Jak to możliwe?

- Ty też się nie pocisz.

Beck otarł czoło rękawem i zademonstrował wilgotną plamkę.

- Całe litry tego świństwa spływają mi po plecach i zbierają się wokół talii. - Była to oczywiście przesada, co wywołało szczery uśmiech Sayre.

- Pocę się, chociaż rzadko - przyznała. - Muszę się naprawdę wysilić.

- Ach, dobrze wiedzieć - odparł. - Zaczynałem już podejrzewać, że jesteś kosmitką i w ogóle nie masz gruczołów potowych.

Gdy skończyli posiłek, Beck zgarnął śmieci i wrzucił do jednej z beczek po oleju, przekształconych w śmietnik. Wrócił do stolika, usiadł na blacie i oparł stopy na ławce obok Sayre. Zaczepnął łyk piwa i spojrzał jej w oczy.

- Masz coś przeciwko doktorowi Caroe?

Ostrożnie odstawiła butelkę i serwetką pieczołowicie otarła jej powierzchnię z kropli wody.

- Czy moja niechęć była aż tak widoczna?

- Bardzo. Mając do wyboru, wymienić uścisk dłoni z doktorem albo pozostać w moich ramionach... - przerwał i zczekał, aż popatrzy na niego - wołałaś nie podać dłoni doktorowi Caroe. Wiedząc, jak bardzo mnie nie lubisz, przyjmuję, że musisz nienawidzić tego człowieka.

Sayre odwróciła głowę i spojrzała w kierunku grupki ludzi jedzących przy sąsiednim stoliku.

Właśnie wybuchnęli śmiechem, jakby któreś z nich powiedziało dobry dowcip. Ich dzieci próbowały łapać świetliki latające pomiędzy drzewami. Piszczwały z radości za każdym razem, gdy udało im się schwycić jednego. - Dobrze się bawią, prawda?

- Na to wygląda - odparł i lekko szturchnął jej udo czubkiem buta. - Dlaczego nie lubisz doktora Caroe?

- To bufon. Ta jego idiotyczna fryzura. Ma kompleks Napoleona. Stanowi zagrożenie dla swoich pacjentów, ponieważ jest niekompetentny, a jednocześnie zbyt głupi lub zbyt próżny, aby się pogodzić z brakiem umiejętności. Już dawno powinno mu się odebrać licencję.

- A poza tym, co jeszcze masz przeciwko niemu? Słyszac lekka zaczepkę w jego głosie, oprzytomniała nieco. Pochyliła głowę i roześmiała się cicho.

- Przepraszam. Trochę mnie poniosło.

- Nie przepraszaj. Lubię, kiedy cię ponosi, i uważam, że powinno się to zdarzać znacznie częściej.

- Lubisz mnie analizować, prawda?

- Co z doktorem Timem Caroe?

Powoli przestała się uśmiechać.

- Zajmował się moją matką, gdy zachorowała na raka żołądka.

- Chris opowiadał mi o tym. Musiało być wam bardzo ciężko.

- W chwili rozpoznania było już prawdopodobnie za późno na jakiegokolwiek leczenie. Nie wierzyłam jednak, że doktor Caroe zrobił wszystko, aby ją ocalić.

- Byłaś małą dziewczynką, Sayre. Chciałaś, żeby wszystko natychmiast wróciło do normy, a kiedy Laurel umarła, musiałaś kogoś obarczyć winą za jej śmierć.

- Tak, sądzę, że masz rację.

- Czuję się bardzo podobnie, kiedy umarł mój ojciec.

Patrzyła na niego w milczeniu.

- Byłem mniej więcej w tym samym wieku, co ty, gdy straciłaś matkę.

- To musiało być dla ciebie okropne. - Sayre na chwilę zapomniała o trzymaniu dystansu. Jej twarz i spojrzenie złagodniały, a w głosie zabrzmiało szczere współczucie.

- To było dawno temu, ale pamiętam, jaki ogarnął mnie wtedy gniew. Nie mogłem się uspokoić

przez bardzo długi czas, co na pewno nie pomagało mojej matce.

- Co zrobiłaś, kiedy się dowiedziałaś o śmierci taty? - spytała Sayre, opierając brodę na dłoni.

- Wziąłem swój kij baseballowy i zacząłem nim walić w ścianę garażu - odparł natychmiast, jakby wspomnienie tego zdarzenia pozostawało świeże w jego pamięci. - Tłukłem nim tak długo, aż połamałem w drzazgi. Nie pytaj dlaczego. Pewnie chciałem sprawić komuś taki sam ból, jaki odczuwałem.

Zsunął się na ławkę i usiadł obok Sayre, plecami do stolika, przyjmując taką samą pozycję jak w oranżerii przy pianinie. Chociaż ławka była dość długa, usiadł bardzo blisko niej, jak tamtego dnia.

- A co ty zrobiłaś, kiedy dowiedziałaś się o śmierci mamy?

- Poszłam do jej pokoju - powiedziała. - Pachniało tam tak cudownie, talkiem, którego używała co wieczór po kąpieli. Zawsze będę pamiętała jej zapach, gdy przychodziła do mnie, żeby mnie przytulić i ucałować na dobranoc. Chwytała wtedy moją twarz w swoje ręce, tak kojąco chłodne.

- Sayre ujęła swoją twarz w dłonie, jakby w nieświadomej demonstracji. Siedziała w milczeniu przez kilka chwil, zatopiona we wspomnieniach. Wreszcie powoli opuściła ręce. - Kiedy Huff wrócił ze szpitala i oznajmił nam, że mama umarła, poszłam do jej pokoju. Należał także do Huffa, ale był kobiecy, cały w falbankach, zupełnie w mamy stylu. Położyłam się po jej stronie łóżka, schowałam twarz w poduszkę i zaczęłam płakać jak nigdy przedtem. Wreszcie znalazła mnie tam Selma. Obmyła mi twarz chłodnym ręcznikiem i powiedziała, że teraz to ja jestem panią domu, a moja mama przygląda mi się z góry. Chyba nie chcę jej rozczarować, zachowując się w ten sposób? Przestałam płakać.

- I stałaś się panią domu.

Roześmiała się, potrząsając włosami.

- Tę kwestię już chyba przedyskutowaliśmy. Nigdy nie byłam prawdziwą damą, nie nadawałam

się do tej roli. Wtedy jednak zniechęciłam doktora Caroe za to, że nie potrafił uratować mamy i do dzisiejszego dnia nie zmieniłam swoich uczuć w stosunku do niego.

- To rozumiałe.

- Czy twoja matka żyje?

- Tak. Udało jej się przetrwać śmierć ojca i moje dojrzewanie.

- Założę się, że jako nastolatek byłeś prawdziwym potworem.

- I nadal jestem?

Przyglądała się mu przez moment, zanim powiedziała cicho:

- Niektórzy tak właśnie mówią.

- Na przykład kto?

Czując się niezręcznie, wymigała się od odpowiedzi, sięgając po piwo.

- Lepiej pojedę do hotelu. The Lodge może mieć dzisiaj pełno gości.

Beck chwycił ją pod ramię, prowadząc po nierównym gruncie w stronę samochodu. Po raz pierwszy nie sprzeciwiła się temu gestowi.

- To, czy w hotelu są wolne pokoje, zależy od ligi kręglarskiej - powiedział.

- Ligi kręglarskiej?

- Kiedy mężczyźni grają w kręgle, ich żony spotykają się ze swoimi kochankami. W żadnym lokalnym hotelu nie uświadczysz wtedy wolnego pokoju. - Otworzył dla niej drzwi do pikapu.

Sayre odwróciła się i spojrzała na niego.

- A co z nocami, gdy kobiety grają w kręgle?

- To samo. Wszystkie pokoje w hotelach są zarezerwowane, ponieważ mężczyźni zabawiają się w nich ze swoimi przyjaciółkami. Dziś jednak jesteś bezpieczna. Tej nocy nikt nie gra w kręgle z wyjątkiem Rycerzy Kolumba[Katolicka organizacja męska o profilu rodzinnym].

- Katolickie kobiety nie mają romansów?

- Po prostu robią to dyskretnie. Wyjeżdżają w tym celu z miasta.

Roześmiała się i wspięła się do szoferki, nieświadoma, jak bardzo sukienka opięła jej pośladki podczas tego ruchu. Pociągające kształty i ani śladu bielizny. W umyśle Becka zawrzało. Stringi. Zalała go fala pożądania. Obszedł półciężarówkę, ocierając rękawem nagle zwilgotniałe czoło. Wsiadł do szoferki i włączył silnik.

- W jaki sposób stałeś się posiadaczem tak cennych wiadomości o cudzołożnych obyczajach mieszkańców Destiny?

- To część mojej pracy. - Zawrócił szerokim łukiem i skierował samochód na wąską ścieżkę prowadzącą do autostrady. Otaczała ich nieprzenikniona czerń lasu.

- Rozumiem.

- Dowiadujesz się o ludziach różnych rzeczy, z kim sypiają, ile piją, jakie są ich słabe punkty, żeby potem Huff mógł to wykorzystać przeciwko nim.

- W twoich ustach brzmi to tak, jak gdyby to był szantaż.

- A nie jest?

Spojrzał na nią zawiedziony.

- Przed chwilą zaprosiłem cię na wspaniały poczęstunek, a mimo to nadal mnie atakujesz. Nie mogę się pogodzić, że jutro stąd wyjedziesz, myśląc o mnie tak źle.

- Nigdzie się jutro nie wybieram.

Beck zahamował tak gwałtownie, że samochód prześlizgnął się dobre kilka metrów po żwirowanej drodze, zanim się zatrzymał.

- Dlaczego? - spytał.

- Co za różnica?

- Dziś po południu byłaś gotowa wyjechać. Co sprawiło, że zmieniłaś zdanie?

- Chris jest podejrzanym w sprawie śmierci Danny'ego.

- Kto ci to powiedział?

- Huff.

Beck myślał przez chwilę nad tym, co usłyszał. Zdjął nogę z hamulca i wrzucił bieg.

- Czy to leki skłoniły go do wygadywania takich rzeczy?

- Nie. Miał całkiem jasny umysł.

- Czy możesz... czy opowiesz mi o tym?

Wzruszył ramionami z udawaną nonszalancją.

- Rudy Harper poprosił Chrisa o przybycie do biura, by odpowiedział na kilka pytań. - Spojrzał na nią. - Najwyraźniej twój komentarz na temat niechęci Danny'ego do wędkowania bardzo podekscytował detektywa Scotta.

- Pomyślałam, że to może być ważne. Danny nienawidził domku rybackiego. Nigdy tam nie jeździł.

- To prawda, że od kiedy tu zamieszkałam, nigdy się tam nie pojawił - przyznał Beck. - A przynajmniej nic o tym nie wiem.

- Czy to nie dziwne, że tam właśnie umarł?

- Nie wiem. Tak uważasz?

Dojechali już do granicy miasta i Beck zatrzymał się na światłach. Sayre nie odpowiedziała na

pytanie, więc spojrział na nią i powtórzył:

- Dlaczego to takie dziwne, że Danny umarł w domku rybackim? Z jakiego powodu tak go nie znosił?

Milczała jak zaklęta.

- Bał się węży? Miał uczulenie na trujący bluszcz? Dlaczego nienawidził domku rybackiego?

- Bolesne wspomnienia z dzieciństwa - rzuciła ostro. - Wystarczy?

- Wystarczy.

Natychmiast się wycofał. Światła zmieniły się na zielone i poprowadził samochód przez skrzyżowanie. Usłyszał, jak Sayre wzdycha, opierając głowę o boczną szybę.

- Chcesz poznać tę historię?

- Tylko jeśli masz ochotę ją opowiedzieć.

- I tak dowiedziałbyś się o tym od Chrisa. Moja wersja przynajmniej nie będzie osłodzona. Może dzięki temu lepiej zrozumiesz, jak wyglądało życie rodzinne Hoyle'ów w czasach naszego dzieciństwa i pojmiesz rzeczywistą naturę człowieka, dla którego pracujesz. Pewnego dnia, niedługo po śmierci naszej matki, Huff doszedł do wniosku, że rodzina powinna wybrać się na wycieczkę lub coś w tym rodzaju, by spędzić ze sobą czas. Było to ogromne ustępstwo z jego strony - jak wiesz, rzadko kiedy pozwala sobie na nieobecność w odlewni. Zabrał nas do domku rybackiego, wyposażył w wędkę oraz przynętę i zaczął uczyć mnie i Danny'ego łowić ryby. Oczywiście Chris był już wtedy wprawnym wędkarzem, bowiem Huff od lat zabierał go na ryby. Danny zaczął narzekać, że nie chce tego robić. Nie podobało mu się nakładanie przynęty na haczyk, ponieważ nie chciał skrzywdzić robaka. Powiedział, że ma nadzieję, iż nie złowi ryby, bo wtedy ona by umarła. Po odejściu matki Danny był przejęty ideą śmierci. Tydzień wcześniej płakał całymi godzinami nad martwym świerszczem, którego znalazł na werandzie. Zamiast jednak pocieszyć dzieciaka, spróbować jakoś mu to wszystko wytłumaczyć albo po prostu dać

mu spokój, bo w końcu, co za różnica, czy złapałby rybę tego dnia, czy nie, Huff potwornie się wściekł. Powiedział Danny'emu, że nie pójdzie do domu, dopóki czegoś nie złowi. Kazał mu tkwić w tym śmierdzącym żółtym mule przez całe popołudnie, nie szczędząc ojcowskiej pogardy i drwiny ze strony Chrisa. Mój starszy brat miał pod tym względem wolną rękę, był wręcz zachęcany do upokarzania Danny'ego. Zanim dziecku udało się złapać rybę, słońce już dawno zapadło za horyzont. Zdejmując ją z haczyka, Danny płakał przez cały czas, ale wreszcie mu się udało - skończyła Sayre miękko. - Zrobił to, a potem, w jedynym akcie buntu, jaki kiedykolwiek u niego widziałam, wrzucił nieszczęsną rybę z powrotem do wody i przysiągł, że nigdy więcej nie będzie wędkował.

Beck zaparkował tuż przed recepcją hotelu. Gdy Sayre kończyła opowieść, usiadł twarzą do niej, kładąc ramię na oparciu jej fotela. Kilka milimetrów dalej i palce dotknęłyby jej ramienia.

Wyraźnie widział, kiedy pogrążona we wspomnieniach Sayre zorientowała się, że przez cały ten czas była w centrum jego uwagi, wyprostowała się bowiem i odchrząknęła.

- Danny nienawidził tego miejsca. Wiązały się z nim zbyt bolesne wspomnienia. Dlaczego więc zdecydował się pójść tam owego niedzielnego popołudnia?

- Może właśnie dlatego, Sayre. Jeśli był wystarczająco przygnębiony, żeby popełnić samobójstwo, w masochistycznym odruchu wybrał miejsce związane z najboleśniejnymi wspomnieniami?

- Jeżeli to było samobójstwo. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Dlaczego szeryf przesłuchiwał Chrisa?

- Nie przesłuchiwał. Chris musiał tylko...

- Tak, tak, wiem. Musiał tylko odpowiedzieć na kilka pytań, które jednak okazały się na tyle poważne, żeby przyprawić Huffa o atak serca.

Beck odwrócił głowę i spojrzał na czerwoną neonową strzałkę wskazującą drzwi do recepcji.



Przez dużą szybę widział właściciela, siedzącego w fotelu, obracającego w ustach wykałaczkę i oglądającego telewizję. Nie wykazał najmniejszego zainteresowania potencjalnymi klientami. Najwyraźniej nie było to takie znów niezwykle, że mężczyzna i kobieta spędzali jakiś czas w wozie przed hotelem, dyskutując o tym, czy wynająć tu pokój.

- Znaleźli w domku coś, co czyni Chrisa podejrzanym. Powiedział, że nie odwiedzał tego miejsca od tamtej nocy, gdy Frito pogonił rysia - powiedział, znów patrząc na nią. - Myślę, że twój brat mówi prawdę.

- Co tam znaleźli?

- Pudełko zapalek z klubu w Breaux Bridge.

- To wszystko? Niezbyt solidny dowód rzeczowy. To pudełko mógł zostawić tam ktokolwiek, o każdej porze.

- Normalnie bym się zgodził. Sęk w tym, że to nowy klub. Jego otwarcie nastąpiło dopiero w sobotę, w noc przed śmiercią Danny'ego. Wcześniej nikt nie mógł wejść w posiadanie firmowych zapalek - wyjaśnił Beck. - Chris przyznał się, że był w klubie tej nocy i wrócił do domu późno. Powiedział też, że palił podczas imprezy, miał więc powód, by zatrzymać pudełko zapalek.

- Nie przypuszczam, aby Danny również odwiedził to miejsce.

Beck potrząsnął głową.

- Nie to miejsce, a już na pewno nie ostatnio. Poza tym nie palił, więc to mało prawdopodobne, że zgubiłby potem zapalki. Bo skąd miałby je wytrzasnąć między sobotnim wieczorem a niedzielnym popołudniem, skoro rano poszedł do kościoła?

- Tak więc detektyw Scott chciał się dowiedzieć, jakim sposobem pudełko zapalek, którego nie można było dostać przed sobotnią nocą, w niedzielę po południu znalazło się w domku rybackim. Chris był w klubie nocnym, co uczyniło z niego najbardziej oczywistego podejrzanego.

- To teoria Scotta.

- Kto inny mógłby to zrobić?

- Nie wiem, Sayre, ale jeżeli to wszystko, co Scott ma na Chrisa, sąd nie zechce o tym słyszeć, nawet jeżeli prokurator by się palił do postawienia twojego brata w stan oskarżenia.

Sayre zdawała się nieco zaskoczona tym sądowym żargonem.

- Naprawdę sądzisz, że dojdzie aż do tego?

- Nie. Bo co z motywem Chrisa?

Było to pytanie retoryczne, ale Sayre źle odebrała jego intencje.

- Nie sądzę, by Chris potrzebował motywu do robienia tego, co chce.

Beck nie mógł się z nią kłócić w tej sprawie, gdyż wiedział, że to prawda. Po chwili milczenia

Sayre powiedziała:

- Postanowiłam zostać w Destiny, dopóki sprawa się nie rozwiąże.

- Co z twoją firmą?

- Dziś rozmawiałam z moją asystentką. Nie mam w tym tygodniu żadnych pilnych zleceń, a wszystkie spotkania z klientami można przełożyć na później. Poza tym, ta sprawa jest ważniejsza. Nie kontaktowałam się z Dannyem od ponad dziesięciu lat - jej głos zadrżał, niemal się załamując. Beck odniósł wrażenie, że było jeszcze coś ważnego, co wpłynęło na tę decyzję.

Nie podzieliła się z nim jednak swoją tajemnicą. - Nie mogę pozwolić, aby jego śmierć pozostała nierozwiązaną zagadką -podjęła. - Bez względu na to, czy sam odebrał sobie życie, czy też nie, muszę wiedzieć, co się stało, choćby dla własnego spokoju. Poza tym jestem to winna naszej matce. Danny był jej ulubieńcem. Jeśli zostawię tę sprawę w rękach Huffa i Chrisa, śmierć mojego młodszego brata pójdzie w niepamięć. Nie potrafiłabym przejść nad tym do porządku dziennego, jakby było to kolejne nieistotne zdarzenie w moim życiu. To złamałoby mamie serce. Przynajmniej tyle mogę dla niej zrobić. I dla Danny'ego. - Sięgnęła w kierunku klamki.

- Sayre? - Beck dotknął jej ramienia.

Spojrzała na niego, ale nie potrafił znaleźć odpowiednich słów. Powód pozostania jej w mieście był całkowicie bezinteresowny. Jakże mógłby znaleźć kontrargumenty? Najlepiej dla niej byłoby, gdyby wyjechała, ale Beck nie potrafił znaleźć w sobie wystarczająco dużo chęci, aby ją do tego nakłonić.

Chwila milczenia się przedłużała. Wreszcie Sayre powiedziała:

- Nie musisz mnie odprowadzać. Dziękuję za kolację i dobranoc.

Beck pozwolił jej wysiąść z samochodu i wyciągnąć torbę podróżną zza siedzenia. Zatrzasnąwszy drzwi, nie spojrzała na niego ani razu. Usłyszał brzęknięcie dzwoneczka zawieszzonego nad drzwiami recepcji, gdy weszła do środka. Przyglądał się jej przez szybę. W myślach nakazał sobie natychmiast odjechać, skończyć z tym wszystkim. Sięgnął w stronę stacyjki. Im mniej będzie miał do czynienia z Sayre Lynch, tym lepiej dla wszystkich, zwłaszcza dla niego. I tak przecież go nie lubiła. Po co się za nią włóczy?

- Do diabła!

Gdy Sayre wyszła z biura, dzierżąc w ręku klucz do pokoju, Beck czekał na nią pod drzwiami.

Sięgając po jej torbę, spytał:

- Piętro czy parter?

- Nie musisz mnie odprowadzać.

- Huff nigdy by mi nie darował, gdyby przytrafiło ci się coś złego.

- Co takiego mogłoby mi się przydarzyć?

Wyjął torbę z jej dłoni.

- Nie ma o czym mówić, Sayre.

Z rezygnacją wskazała na długi, klimatyzowany korytarz.

- Ostatni pokój - powiedziała i roześmiała się gorzko. - Huff. Kogo próbujesz oszukać, że on troszczy się o moje zdrowie?

- Rozumiem, że dziś w szpitalu nie doszło do pojednania?
- Znowż zabawił się moim kosztem. Kolejna z jego brudnych, chorych gier.
- Myślał, że umiera. Może się mylisz.
- Nie.
- Żadnych wątpliwości?
- Absolutnie żadnych.
- Rozumiem, że kiedy przerwał twój romans z Clarkiem Dalym...
- Co takiego? - Sayre zatrzymała się gwałtownie i chwyciła Becka za ramię. - Co ty o tym wiesz?
- Tylko to, co powiedział mi Chris.
- Chris opowiedział ci o mnie i Clarku? Kiedy?
- Podczas twojej wizyty na oddziale.
- Dlaczego?

Jej palce zaciskały się kurczowo na jego łokciu, chociaż Beck przypuszczał, że wcale nie była tego świadoma. Oczy Sayre płonęły wściekłością.

- Spytałem Chrisa, dlaczego między tobą a Huffem panuje taka niezgoda - odparł spokojnie licząc na to, że nieco rozładuje sytuację.
- Cóż, mam nadzieję, że spodobała ci się jego opowieść.

Puściła jego ramię i ruszyła dalej korytarzem. Gdy doszła do ostatnich z rzędu identycznych drzwi, wsunęła klucz w zamek z taką furją, że Beck się zdziwił, iż go nie złamała. Wyszarpnęła mu torbę i wrzuciła ją do pokoju.

- Nie wspomniałbym o tym, gdybym wiedział, że tak cię to zdenerwuje.
- Denerwuje mnie to, że ty i Chris plotkujecie jak dwie stare baby na temat mojego prywatnego życia. Nie miał żadnego powodu, by rozmawiać o tym z tobą ani z kimkolwiek innym. Nie znaleźliście lepszego tematu?

- Nie plotkowaliśmy. Poza tym, to już stare dzieje... - spojrzał na nią pytająco, mrużąc oczy -  
prawda?

- Co cię to obchodzi?

- Obchodzi mnie to tak samo, jak twoje dwa małżeństwa.

- O tym też rozmawialiście?

- Są częścią historii waszej rodziny.

- Do której ty nie należysz.

- Zgadza się. Jestem jedynie obserwatorem. Po prostu byłem ciekaw.

- Czego?

- Dwóch mężów w ciągu trzech lat. Pierwszego wybrał Huff, co wyjaśniałoby, dlaczego  
małżeństwo nie przetrwało zbyt długo. Co spowodowało rozpad drugiego?

Sayre stała zeszywniała, nie odpowiadając.

- Brak wspólnej płaszczyzny porozumienia? Nieodwzajemnione uczucia? Pamięć o Dalym?

Założę się, że nadal coś do niego czułaś. Rozumiem, że wasz związek był bardzo poważny.

- Niczego nie rozumiesz.

- A zatem wyjaśnij mi to, Sayre. Wytlumacz, żebyś zrozumiał.

Zawrzała gniewem.

- Może myślałaś, że jeśli nie wolno ci być z mężczyzną, którego kochasz, to chciałaś chociaż  
mieć coś z życia.

- Tak - syknęła. - To właśnie zrobiłam. Chcesz spróbować, jak to jest?

Wyciągnęła rękę, objęła go za szyję, przyciągnęła twarz Becka do swojej i wycisnęła na jego  
ustach twardy, gniewny, buntowniczy pocałunek. Puściła go tak gwałtownie, że głowa  
odskoczyła mu do tyłu. Odwracając się, weszła do pokoju i już miała zatrzaskać drzwi, gdy Beck  
ją przytrzymał.

- Chcę więcej.

Obejmując ją w talii, przyciągnął do siebie brutalnie i wepchnął do pokoju. Kopniakiem zatrzaskał drzwi, jednocześnie całując ją namiętnie. Rozchylił jej wargi i wepchnął pomiędzy nie język. Sayre próbowała odwrócić głowę, lecz Beck chwycił jej twarz w dłoń i przytrzymał, całując głęboko.

Nagle objęła jego głowę, palcami wczepiając się we włosy. Nie próbowała go jednak odepchnąć, ale przyciągnęła do siebie, oddając pocałunek gorąco, mocno, wydając z siebie ciche, wibrujące dźwięki, które doprowadzały go do szaleństwa.

Natychmiast zmniejszył gwałtowność pocałunku. Przestał więzić jej twarz w uścisku dłoni i zaczął gładzić ją po twarzy. Ich języki nadal wykonywały swój taniec, teraz nabrzmiały seksualnością, nie gniewem. Beck przesunął się tak, że Sayre oparła się plecami o drzwi.

Przywarł do niej, przyciskając swoje podbrzusze do jej bioder i pragnąc nade wszystko, aby dzielące ich ubrania nagle zniknęły. Zaczerpnął powietrza.

- Wiedziałem, że tego chcesz - wymruczał z ustami tuż przy jej wargach.

Sayre zaprzeczyła gwałtownie, potrząsając głową, oddychała szybko, ale jednocześnie odchyliła głowę, pozwalając jego wargom ześlizgnąć się po szyi.

Jej skóra była pokryta warstewką słonego potu. Rozpiął bluzkę i zaczął całować jej piersi, krągłe w nisko wyciętym staniku. Gdy pocałował przez jedwab jej pobudzony sutek, jęknęła:

- Nie, nie.

Jednak nie przestał, a Sayre nie próbowała go powstrzymać. Całując ją w usta, chwycił dłońmi biodra i przyciągnął ją do siebie.

- O Boże - jęknęła i odwróciła się twarzą do drzwi.

Niepowstrzymywany, podniósł jej ramiona nad głowę, opierając je o drewniane drzwi. Pieścił jej szyję wargami, gdy tymczasem dłonie ześlizgnęły się po wnętrzu ramion w dół i do przodu.

Chwycił piersi, ścisnął, pogładził, a potem zjechał na brzuch, biodra, uda, aż do kolan. W drodze powrotnej jedną rękę wsunął pod spódnicę. Materiał zbierał się wokół jego nadgarstka, gdy dłoń wędrowała wyżej i wyżej po najdłuższym, najgładszym udzie, jakie mężczyzna mógłby sobie wymarzyć.

Jej stringi były uszyte z mikroskopijnego kawałka jedwabiu. Zaczął ją pieścić przez materiał, a potem wsunął rękę pod spód, gdzie przywitał go gąszcz delikatnych włosów i miękkie ciało. Palcami odnalazł jej źródło, gotowe na jego przyjęcie. Podniecony, wdzięczny i zaskoczony, wyszeptał jej imię.

Naparł lekko dłonią na jej gorący punkt. Sayre zareagowała, drgnąwszy z miękkim westchnięciem. Odruchowo poruszyła biodrami w przód i w tył i gdy to zrobiła, Beck jęknął z niewyobrażalnej rozkoszy. Stał tak, wpasowany pomiędzy jej pośladki, a Sayre poruszała się w szalonym rytmie. Gdy osiągnęła orgazm, naparł na nią jeszcze mocniej, przyciskając do drzwi. Oparła czoło o chłodne drewno, oddychając szybko, wreszcie nawet najmniejsze drzenie rozkoszy zniknęło, a wraz z nimi napięcie. Uspokoila się.

Beck wyciągnął dłoń spod sukienki i wygładził ją. Oparł dłonie na talii Sayre, gładząc lekko od czasu do czasu, jakby dając do zrozumienia, że potrafi być cierpliwy.

Minęła dobra minuta, zanim wreszcie odwróciła się do niego. Włosy, skręcone od wilgoci, okalały twarz, tworząc idealną ramę dla oczu w kolorze najsilniejszej whisky, jaką mógłby się upić mężczyzna, i ust, których nie miał dosyć. Nad górną wargą perlily się krople poru.

Uśmiechając się, otarł tę wilgoć kciukiem,

- No, musiałaś się naprawdę wysilić - powiedział.

- Jeżeli jeszcze raz mnie dotkniesz, zabiję cię. Cofnął się zdumiony.

- Słucham?

- Chyba wyraziłam się jasno.

Zrozumiał teraz, że ogień w jej oczach nie był wyrazem podniecenia, lecz gniewu, niemal pierwotnego w swej intensywności. Gdyby zignorował ostrzeżenie i dotknął jej, mogłaby mu skoczyć do gardła.

- Mówię poważnie - ostrzegła. - Nie dotykaj mnie.

Rozgniewany jej tonem, rzucił:

- Minutę temu nie miałaś nic przeciwko mojemu dotykowi. Chcesz, żebym przypomniał ci szczegóły?

- Wyjdź stąd.

Machnięciem ręki kazał jej się odsunąć od drzwi, z trudem powstrzymując się od fizycznego z nią kontaktu. Otworzył brutalnie drzwi, zrobił krok i znowu na nią spojrzał.

- Na kogo jesteś zła, Sayre? Na mnie czy na siebie?

- Wynoś się.

- Wiedziałaś, że to się stanie.

- Idź.

- Od pierwszego spotkania oboje wiedzieliśmy, że to nieuniknione.

Potrząsnęła wściekle głową.

- Chciałaś, żeby to się stało i podobało ci się.

- Nieprawda!

- Nie?

Wyciągnął rękę i przesunął kciukiem po jej dolnej wardze. Pokazał jej kropelkę krwi, startą z miejsca, w którym ją przygryzła. Pochyliwszy się blisko niej, zostawił ją z jednym wyszeptanym do ucha słowem.

Leżąc na wznak w szpitalnym łóżku, z zamkniętymi oczami, Huff usłyszał, że ktoś wchodzi na oddział intensywnej terapii.



- Kto to?
- Twój utalentowany lekarz.
- Dużo czasu potrzebowałeś, żeby pojawić się tutaj - warknął Huff.
- Nie jesteś moim jedynym pacjentem - odparł Tom Caroe.
- W ogóle nie jestem twoim pacjentem. - Huff opuścił nagie stopy po jednej stronie łóżka i usiadł prosto. Przeklinając, wyciągnął rurkę z nozdrzy. - Nie cierpię być przywiązany do tego gówna.
- Ciesz się, że cię nie zaintubowaliśmy - roześmiał się doktor.
- Nie ma mowy, żebym na to pozwolił. Masz dla mnie coś do jedzenia?

Tom Caroe sięgnął do kieszeni powyciąganych spodni i wyciągnął zawiniętą w papier kanapkę.

- Masło orzechowe i dżem winogronowy, własnej roboty.
- Co? Powiedziałaś, że przyniesiesz mi obiad.
- Huff, ludzie, którzy dostają ataku serca o drugiej po południu, zazwyczaj nie mogą liczyć na pulpety z ziemniakami i sosem mięsny, zwłaszcza o wpół do jedenastej w nocy.

Huff wyrwał mu kanapkę, odwinął ją i pochłonął trzema kęsami.

- Przynieś mi colę - rzucił z pełnymi ustami.
- Nie. Kofeina.
- Jedna z pielęgniarek, ta naprawdę brzydka, zabrała mi papierosy.
- Nawet Huff Hoyle nie może palić na oddziale intensywnej terapii.
- Władowałem w ten szpital kupę forsy, a teraz nie mogę sobie nawet zapalić?
- Wszędzie dookoła są butle z tlenem - odparł doktor, wskazując na pokój.
- Pójdę na dół.
- Musiałbym cię odłączyć od maszyn kontrolnych, a wtedy wszyscy przybiegliby tu w te pędy, wioząc na wózku zieloną skrzynkę. - Caroe zerknął na Huffa sprytnie. - A do tego nie możemy dopuścić, prawda?

Huff obdarzył go złym spojrzeniem.

- Bawi cię to, prawda?

- To był twój pomysł, Huff. Jeśli musisz się teraz obywać bez jedzenia i papierosów, miej pretensje do siebie. Jak długo zamierzasz to ciągnąć? Pielęgniarki już zaczynają zachodzić w głowę, dlaczego pacjent po zawale ma w sobie tyle energii? Nie mogę mydlić im oczu w nieskończoność.

- Kiedy mogłoby mi się poprawić? Cudowne ozdrowienie?

- Za dzień lub dwa. Jutro możemy przeprowadzić kilka badań...

Huff popukał go w klatkę piersiową.

- Lepiej, żeby nie było to nic inwazyjnego ani bolesnego.

- Mógłbym powiedzieć twojej rodzinie, że atak spowodował martwicę na minimalnym obszarze, na razie to nic poważnego, jedynie ostrzeżenie, ale musisz zmienić dietę, rzucić palenie, uprawiać sporty i tak dalej.

- Jeżeli wspomnisz coś o diecie, Selma zacznie mnie karmić jakimiś świństwami.

- To cena, którą musisz zapłacić za udawanie zawału.

- Jakie jest inne wyjście?

- Mogę się upokorzyć i przyznać, że to nie atak serca, ale bardzo ostry przypadek niestrawności i zgagi, który cię przestraszył i zmylił nas wszystkich.

Huff milczał przez chwilę.

- Łatwo byłoby uwierzyć, że taki konował jak ty mógł postawić mylną diagnozę, ale zostaliśmy przy łagodnym ataku serca. Zostanę w szpitalu jeszcze jeden dzień, tak dla picu.

- To najgorszy z twoich wszystkich kawałów. Dlaczego to robisz?

- Co cię to obchodzi? Płacę ci za to.

- Gotówką, pamiętasz?

- Czy kiedykolwiek zapomniałem?

Caroe zaśmiał się nerwowo. Huff znowu przypomniał mu, gdzie jest jego miejsce.

- Nie próbuję się wtrącać w twoje sprawy. Po prostu się zastanawiałem.

- Mam powody ku temu, żeby wyglądać na schorowanego, a co do moich spraw, to masz rację, że się nie wtrącasz, bo to nie twój cholerny interes.

Tom Caroe był najbardziej pozbawionym skrupułów człowiekiem, jakiego Huff znał, a to nie było bez znaczenia. Huff zdobył swoją pozycję i respekt, rozdając hojne łapówki i nie udzielając zbyt wielu informacji. Nie zamierzał teraz dyskutować z Tomem Caroe o przyczynach, dla których wymyślił tę zagmatwaną szaradę.

- Jeżeli nie masz dla mnie nic więcej do jedzenia, możesz się wynosić - rzekł. - I postaraj się nie zabić żadnego ze swoich pacjentów przed skończeniem nocnej zmiany.

- Do zobaczenia rano.

- Pamiętaj, nic inwazyjnego. Żadnych rurek w tyłku ani sond dożylnych. Tylko prześwietlenie i tym podobne rzeczy.

Podchodząc do drzwi, Caroe dotknął nosa.

- Nie zapomnij o tlenie - powiedział.

Huff nasunął rurkę pod nos i położył się, wspierając głowę na poduszce. Roześmiał się niskim, chrapliwym głosem, a potem zaraz rozkaszał na użytek pielęgniarki, która mogła być w pobliżu.

Podstęp udał mu się wyśmienicie. Nie mógłby tego dokonać bez pomocy Toma Caroe, ale kosztowało go to tylko jeden telefon.

Od kiedy dowiedział się o śmierci Danny'ego, dręczyło go kilka spraw. Krążyły nad jego głową niczym sępy i jak do tej pory, mimo usilnych starań, nie potrafił się ich pozbyć. Od czasu do czasu któraś przestawała mu dokuczać, usuwała się w podświadomość, za to wypływała inna, aby go dręczyć.

Przede wszystkim stracił syna. Tragiczne. Smutne. Potworne. Niemniej, Danny odszedł z tego świata i nic nie można już było z tym zrobić. Tęsknił za synem, ale nie chciał bez sensu zadręczać się czymś, czego nie mógł zmienić.

Kolejna rzecz to Chris. Leżało mu na wątrobie nieudane małżeństwo syna. Co robił Chris, gdy jego żona gziła się w Meksyku z basenowymi i podwiązywała sobie jajowody? Obracał Lilę Robson i jej podobne dziwki. Huffa nic nie obchodziło małżeństwo Chrisa. Od początku nie dawał mu zbyt wielkiej szansy przetrwania. Mimo to chciał przed rozpadem związku doczekać się wnuka. Kołyska na strychu wciąż była pusta i to go nieustannie irytowało.

Jednak to powrót Sayre go zaalarmował. Zorientował się wtedy, jak bardzo stracił kontrolę nad życiem swoich bliskich. Kiedyś to on rozstrzygał o wszystkim. Nikt nie robił nic bez jego pozwolenia. W każdej sytuacji to on decydował, jaką należy podjąć decyzję. Rządził silną i bezwzględną ręką. Gdzieś po drodze jednak pozwolił sprawom wymknąć się spod kontroli, jeśli zaś chodziło o Sayre, zupełnie stracił jakikolwiek wpływ na nią.

Najwyższy czas przywrócić stary porządek rzeczy.

Zanim jednak miało się to stać, musiał przyciągnąć jej uwagę, i to na dłużej niż chwilę. Stąd ten udawany atak serca. Tak jak przewidywał, zatrzymało ją to w mieście. Leżąc teraz na uśpionym oddziale szpitalnym, roześmiał się znowu, myśląc o planach, jakie miał wobec panny Sayre Lynch Hoyle. Na szczęście, jak na razie, wszystko szło zgodnie z jego założeniami.

Kiedy Beck dotarł do domu, Frito przywitał go podskokami, po czym rzucił wilgotną piłkę tenisową u jego stóp.

- Przykro mi, stary, ale nie jestem dziś w nastroju do zabawy.

Rzeczywiście, nie potrzebował tej nocy psa, ale worka treningowego, na którym mógłby się wyżywać przez kilka godzin, jak Rocky. Może wtedy, i tylko wtedy, zdołałaby się pozbyć choć odrobiny frustracji.

Frito jednak nalegał i wreszcie Beck się zreflektował, że to niesprawiedliwe, aby zły humor odbijać na psie.

- W porządku, ale tylko parę razy.

Po pięćdziesiątym rzucie poczuł, że jest wyczerpany.

- Poddaję się, Frito. Poza tym już dawno minął czas kolacji.

Na wzmiankę o jedzeniu Frito wbiegł po schodkach na ganek, wyprzedzając pana. Otworzył uchylone drzwi nosem i wbiegł do środka. Gdy Beck dotarł do kuchni, pies siedział już przed lodówką i zamiatał ogonem podłogę, wywiesiwszy jęzor w oczekiwaniu. Ale Beck podszedł do spiżarki i otworzył pojemnik z suchą karmą. Frito zaskamlał. W niedziele i środy zazwyczaj dostawał jajecznicę. Spojrzał na Becka, jakby chciał powiedzieć: „Zapomniałeś, jaki dzisiaj dzień?”.

- Nie dzisiaj. Musisz się zadowolić chrupkami. Wynagrodzę ci to jutro. - Wrzucił sporą porcję suchej karmy do wielkiej miski, stojącej na podłodze.

Frito podszedł do niej powoli, powąchał niechętnie, a potem spojrzał na Becka błagalnie i zapiszczał cicho.

- Skończyły się jajka, rozumiesz? Masz tu kosztowne, odżywcze, wzbogacane witaminami jedzenie, której pozazdrościłyby ci wszystkie głodne psy w Chinach. Jedz i nie narzekaj.

Frito doszedł wreszcie do wniosku, że niczego lepszego nie wyprosi, zanurzył więc pysk w misce i zaczął chrupać. Gdy jednak Beck otworzył lodówkę, żeby wyciągnąć dla siebie piwo, Frito zajrzał do niej i na widok jajek równiutko ułożonych na tacce na drzwiach spojrział na pana z wyrzutem.

- Jesteś zbyt mądry i nie wychodzi ci to na zdrowie.

Beck miał podobny problem. Czasem jego inteligencja zupełnie mu nie popłacała. Z gniewnej reakcji Sayre na wzmiankę o Clarku Dalym wywnioskował, że jeszcze nie pogodziła się z rozstaniem z byłym chłopakiem. A przynajmniej nie do końca. Była to bardzo niewygodna myśl, a jednocześnie nieco zaskakująca. Daly stoczył się na samo dno, był alkoholikiem, przynosił ogromne rozczarowanie wszystkim, którzy znali go za czasów jego świetności. Dlaczego kobieta sukcesu, taka jak Sayre, wciąż jeszcze żywiła do niego jakieś uczucia? Ta myśl doprowadzała go do szaleństwa... jak niemal wszystko, co dotyczyło Sayre. Frito opróżnił miskę z wodą głośnym mlaśnięciem.

- Skończyłeś? Idź załatwić swoje sprawy, zanim zamknę drzwi na noc.

Frito wypadł na dwór.

Parterowy dom miał dwa pokoje. Do większego z nich, który Beck urządził jako sypialnię, przylegała łazienka. Drugi to pokój gościnny ale ponieważ Beck nieczęsto przyjmował u siebie ludzi spoza miasta, zaglądał tam jedynie od czasu do czasu, głównie po to, by wyciągnąć coś z szafy, w której przechowywał rzadko używane przedmioty i ubrania na inny sezon.

Nie była to luksusowa rezydencja, po prostu wygodne miejsce zamieszkania. Beck lubił przyjazne pęknięcia w drewnianych belkach podłogowych, rozmieszczenie pokoi sprawiające wrażenie otwartej przestrzeni oraz duże okna. Nie miał smykałki do ogrodnictwa, więc zatrudniał specjalistów, by dbali o trawnik i nie pozwolili, by zamienił się w mokradło. Dwa razy w tygodniu przychodziła sprzątaczką, odkurzała, robiła pranie i wypełniała półki kuchenne

niezbędnymi artykułami, zamrażarkę zaś zapiekankami domowej roboty.

Beck prowadził typowe kawalerskie życie.

Rozebrał się i wszedł pod prysznic. Oparł dłonie o kafelki nad kranem, pochylił głowę i wsadził ją pod ostry strumień wody.

- Nie powinienem jej dotykać.

Kiedy Sayre chwyciła go za szyję i pocałowała buntowniczo, powinien pozwolić jej na to drobne zwycięstwo i odejść. Tylko że nie mógł. Nie potrafił jej zostawić. To, co zdarzyło się potem...

Nie myśl o tym, co zdarzyło się potem.

Ale nie potrafił się powstrzymać od rozpamiętywania, co między nimi zaszło. Na długo po tym, jak skończyła się ciepła woda, stał zlewany zimnymi strugami z prysznica, przeżywając tę scenę raz po raz, nie omijając nawet najmniejszego erotycznego szczegółu. Gdy wreszcie wyszedł z łazienki, Frito leżał już na swoim posłaniu u stóp łóżka.

- Załatwiłeś, co trzeba?

W odpowiedzi pies ziewnął i ułożył głowę na przednich łapach.

- Biorę to za odpowiedź twierdzącą.

Beck zaryglował drzwi i wskoczył do łóżka. Był zmęczony, ale nie śpiący. W ciemności kłopoty zwały się na niego niczym banda szyderych klaunów.

Chris i śledztwo w sprawie śmierci Danny'ego.

Huff i to, jak jego atak serca odbije się na interesach Hoyle Enterprises.

Charles Nielson i to, co trzeba było zrobić, żeby załatwić jego sprawę.

Sayre. Sayre i jeszcze raz Sayre.

Spotkał ją zaledwie wczoraj, a już spowodowała w jego życiu więcej zawirowań niż jakakolwiek inna kobieta. Była dla niego niebezpieczna z rozlicznych powodów. Zaangażowanie się w związek z nią zagroziłoby wszystkiemu, co budował od lat, naraziło na szwank całą pracę i czas,

jaki zainwestował w Hoyle'ów. Sayre nie mogłaby jednak tego zmienić bez jego przyzwolenia, a nawet współpracy. Aby mogła podkopać wypracowaną przez niego pozycję, zrujnować przyszłość, musiałby sam najpierw dać jej ku temu możliwość, a potem świadomie pomóc. Dlatego rozwiązanie było proste: trzymać się od Sayre z daleka. Jego pragnienie było jednak o niebo silniejsze niż wola wytrwania w postanowieniu. Teraz, gdy odczuł jej temperament, jak mógłby o niej zapomnieć?

Zasypiał z myślą: Nigdy nie powinienem jej dotykać. Z tym samym spostrzeżeniem obudził się godzinę później, na dźwięk telefonu komórkowego. Wspomniawszy na niedawny atak serca Huffa, obrócił się na drugi bok i chwycił komórkę leżącą na szafce nocnej.

- Słucham?

- Pan Merchant?

- Tak. Kto mówi?

- Fred Decluette.

Był to jeden z brygadzystów w odlewni. Beck usiadł gwałtownie na łóżku. Musiało stać się coś złego.

Po raz drugi w ciągu niespełna dwudziestu czterech godzin Beck przybył pośpiesznie do szpitala miejskiego i wbiegł na izbę przyjęć. Czekał tam już na niego Fred Decluette, pracownik Hoyle Enterprises od trzydziestu kilku lat. Był zbudowany niczym hydrant i odznaczał się podobną wytrzymałością. Dziś wieczór wyglądał jednak na zdenerwowanego i schorowanego. W palcach z przerażającą siłą miętosił czapkę. Jego ubranie od stóp do głów ubrudzone było krwią.

- Dziękuję, że pan przyjechał, panie Merchant. Za nic w świecie nie fatygowałbym pana w środku nocy, ale nie wiedziałem, do kogo jeszcze mógłbym zadzwonić. Pomyślałem, że powinien dowiedzieć się o tym ktoś z dyrekcji, a nie mogłem złapać pod telefonem awaryjnym pana Hoyle'a, to znaczy pana Chrisa. Z kolei pan Huff leży w szpitalu...



- Wszystko w porządku, Fred. Cieszę się, że dałeś mi znać. Co się stało Billy'emu Paulikowi?

Bardzo z nim źle? - Beck miał nadzieję, że rozmiar obrażeń pracownika nie był współmierny do ilości krwi na ubraniu Decluette'a.

- Bardzo źle, panie Merchant. Billy chyba straci ramię.

Beck odetchnął głęboko i powoli wypuścił powietrze.

- Jak to się stało?

- Pracował przy przenośniku. Zastępował kolegę, który jest na urlopie. Próbował wyregulować ześlizgujący się z przewodnic pasek klinowy.

- W czasie gdy maszyna pracowała?

Decluette zaszurał niepewnie stopami.

- No tak, proszę pana. Zazwyczaj nie wyłączamy taśmy, chyba że zdarza się coś naprawdę poważnego. Dlatego przenośnik nadal pracował. Rękaw Billy'ego zaplątał się w mechanizm, a on nie zdołał dosięgnąć wyłącznika. Cholerna maszyna wciągnęła mu całą rękę do środka. Jeden z robotników podbiegł do wyłącznika i zatrzymał taśmę, ale wtedy już... - Brygadzysta z trudem przełknął ślinę. - Nie czekaliśmy nawet na karetkę. Zgarnęliśmy Billy'ego i sami go tu przywieźliśmy. - Wskazał ręką na trzech innych mężczyzn, siedzących w poczekalni. Wyglądali na równie wstrząśniętych, jak kierownik zmiany. Ich ubrania również były zabrudzone krwią. - Ramię Billy'ego ledwo się trzymało. Moe musiał je przytrzymywać, inaczej chyba by całkiem odpadło.

„Bardzo źle” było wielkim eufemizmem. Zdarzyła się prawdziwa katastrofa.

- Był przytomny?

- Na początku, kiedyśmy go odciągali od maszyny, krzyczał straszliwie. Nigdy tego nie zapomnę. To był nieludzki wrzask. Potem chyba wpadł w szok, bo ucichł.

- Rozmawiałeś z lekarzem?

- Nie, proszę pana. Zabrali Billy'ego na oddział i od tamtej chwili nie widzieliśmy żywej duszy, z wyjątkiem tej pielęgniarki w recepcji.

- Billy ma rodzinę, prawda?

- Zadzwoń do Alicii. Jeszcze tu nie dotarta.

- Zrobiłeś dla Billy'ego wszystko, co w twojej mocy - powiedział Beck, kładąc dłoń na ramieniu Freda. - Zajmę się resztą.

- Jeżeli panu to nie przeszkadza, panie Merchant, chcielibyśmy zostać. Załatwiłem już dla nas zastępstwo do końca zmiany. Chcielibyśmy się dowiedzieć, czy Billy zdoła z tego wyjść. Stracił bardzo dużo krwi.

Beck nie chciał nawet myśleć o tym, że Paulik miałby się nie wykaraskać.

- Billy na pewno doceni wasz gest.

Fred miał się już odwrócić, gdy nagle o czymś sobie przypomniał:

- Jak się czuje pan Hoyle? - spytał.

- Jego życiu nic na razie nie grozi. Myślę, że wydobrzeje.

Beck zostawił czwórkę robotników na przyciszonej rozmowie i wystukał numer telefonu Chrisa.

Po sześciu dzwonek komórka przełączyła się na pocztę głosową. Beck zostawił wiadomość:

„Zdaje się, że mieliśmy trzymać telefony pod ręką. Zadzwoń do mnie. O ile wiem, z Huffem wszystko w porządku, ale mamy inny nagły wypadek”.

Pielęgniarka siedząca w recepcji nie chciała zdradzić mu żadnych szczegółów. Zirytowany jej kręceniem, rzucił:

- Mogłaby mi pani przynajmniej powiedzieć, czy żyje.

- Nie jest pan członkiem rodziny ani choćby krewnym, prawda?

- Nie, ale to ja zapłacę cholerny rachunek za leczenie tego człowieka, a to, jak sądzę, daje mi prawo do informacji, czy Billy z tego wyjdzie.

- Nie obchodzi mnie pana brak kultury.

- Ale zapewne obchodzi panią pani praca, a jeśli tak, lepiej niech mi pani udzieli jakiejś informacji, i to szybko.

Kobieta zeszywniała.

- Pacjent zostanie przetransportowany helikopterem do szpitala urazowego w Nowym Orleanie - powiedziała, ledwo poruszając wargami. - To wszystko, co mi wiadomo.

Beck odwrócił się, słysząc za plecami nagłe zamieszanie. Do poczekalni weszła kobieta, popychając przed sobą piątkę dzieci. Wszyscy byli bosi, w piżamach, z twarzami pobladłymi ze strachu. Jedno z dzieci, zaledwie kilkuletnie, trzymało pod pachą jednookiego misia. Kobieta była na skraju hysterii.

- Fred! - zawołała, gdy brygadzysta podniósł się na jej przywitanie. Widząc krew na jego ubraniu, krzyknęła głośno i opadła na kolana. - Powiedz, że on żyje. Błagam cię, powiedz mi, że wciąż żyje.

Mężczyźni pospieszyli kobiecie z pomocą. Podnieśli ją z podłogi i posadzili na krześle.

- Billy żyje - zapewnił Fred - ale jest ciężko ranny, Alicia.

Dzieci były niezwykle przygnębione, prawdopodobnie udzielił im się histeryczny nastrój matki.

- Chcę go zobaczyć - rzuciła gorączkowo. - Mogę go zobaczyć?

- Jeszcze nie teraz. Zajmują się nim i nie pozwalają tam nikomu wejść.

Decluette próbował wyjaśnić Alicii, co się stało, i jednocześnie jakoś ją uspokoić. Jego głos z trudem przedzierał się przez jej głośne zawodzenie. Beck spojrział na pielęgniarkę, która przyglądała się tej scenie z obojętnością.

- Nie mogłaby jej pani dać czegoś na uspokojenie? - spytał.

- Nie bez zgody lekarza.

- To może pójdzie pani o nią poprosić - wycedził. Pielęgniarka, pokorniejac ruszyła się zza

biurka.

- Prawe ramię?! - wrzasnęła nagle żona Billy'ego. - Przecież on jest praworęczny. O Boże, co my teraz zrobimy!

Beck podszedł do nich. Widząc go, Alicia natychmiast przestała płakać, jakby ktoś pstryknął przełącznik. Mężczyźni się rozstąpili, pozwalając Beckowi podejść bliżej.

- Pani Paulik, nazywam się Beck Merchant. To, co przytrafiło się Billy'emu, jest prawdziwą tragedią, ale chciałbym panią zapewnić, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby pomóc w tej trudnej sytuacji pani i pani rodzinie. Powiedziano mi, że Billy zostanie przetransportowany helikopterem do szpitala urazowego w Nowym Orleanie, gdzie otrzyma najlepszą specjalistyczną opiekę medyczną. Jestem przekonany, że już w tej chwili zbiera się tam ekipa chirurgów, ortopedów i tak dalej. Mam nadzieję, że uda się ocalić jego ramię. Ci lekarze potrafią czynić cuda, nawet w tak poważnych przypadkach jak Billy'ego.

Alicia wpatrywała się w jego twarz obojętnie, bez słowa. Beck pomyślał, że może również jest w szoku. Spojrzał na piątkę dzieci. Mała dziewczynka z misiem ssała kciuk, wpatrując się w Becka sponad małej piątki. Pozostała czwórka przyglądała się mu ponuro. Najstarszy chłopiec miał tyle lat, ile Beck, gdy umarł jego ojciec. Stał nieco na uboczu, patrząc nieufnie, niemal wrogo. Beck rozpoznał w tym spojrzeniu podejrzliwość w stosunku do każdego, kto obiecywał, że wszystko będzie w porządku, gdy najwyraźniej było wręcz przeciwnie.

Spojrzał znowu na matkę chłopca. Wyschnięte łyzy pozostawiły słone ślady na jej pulchnych policzkach.

- Zorganizuję dla pani transport do Nowego Orleanu i mieszkanie w pobliżu szpitala, by mogła pani przebywać blisko męża. Jeżeli potrzebuje pani dodatkowej opieki nad dziećmi, zapewnimy ją. Najlepiej będzie, jeżeli jak najszybciej wypełni pani formularz ubezpieczeniowy o zwrot pieniędzy. Może też pani poprosić, żeby zrobił to za panią ktoś z działu zatrudnienia. Do tego

czasu nie chciałbym, aby musiała pani płacić ze swojego własnego budżetu. - Z kieszeni spodni wyciągnął portfel. - Oto dwieście dolarów na pokrycie wszystkich bieżących wydatków oraz wizytówka. Zapisałem na jej odwrocie numer mojego telefonu komórkowego. Proszę dzwonić, kiedy tylko uzna pani za stosowne. Jestem tu, żeby pani pomóc.

Alicia wzięła od niego dwa studolarowe banknoty oraz wizytówkę, przedarła je na pół i rzuciła na podłogę.

- Alicia!

Zaskoczony Fred rzucił się naprzód. Beck uniósł rękę, powstrzymując go.

- Myślisz, że nie wiem, o co ci chodzi? - wyszczała żona Paulika. - Odwalasz za Hoyle'ów brudną robotę, prawda? Tak, słyszałam o tobie. Gdyby ci kazali, wylizałbyś im tyłki. Przyszedłeś tu, żeby zamachać mi przed oczami pieniędzmi i naopowiadać różnych głupot o tym, jak to ułatwisz życie Billy'emu. Tymczasem chcesz się tylko upewnić, że Hoyle'owie nie zostaną pozwani i opisani w gazetach. Nieprawdaż, panie Merchant? Ale ja mam was w dupie. Nie zamierzam wypełniać żadnego formularza ani przyjmować waszej cholernej, śmierdzącej jałmużny. Nie możesz kupić mojego sumienia, a już na pewno nie moje milczenie. Zapamiętaj to sobie, panie Złotousty Dupowłazie z pięknym uśmiechem. Zapisz to sobie w głowie krwią mojego Billy'ego. Zamierzam opowiedzieć wszem i wobec, głośno i wyraźnie o tym, co się dzieje w waszej śmierdzącej fabryce. Hoyle'owie i ty dostaniecie za swoje. Poczekajcie tylko. - I z tymi słowami plunęła mu w twarz.

- Dzwoniłeś do mnie?

- Chris, gdzie jesteś, do cholery?

- W restauracji.

- Zaraz tam będę. Zamów kawę.

Kiedy zadzwonił Chris, Beck właśnie wyjeżdżał ze szpitala. Kierował się w stronę domu, ale

teraz zawrócił i kilka minut później pojawił się w barze.

- Szykuję ci świeżo parzoną kawę, Beck - zawołała kelnerka, gdy wszedł do środka. - Daj mi dwie minuty.

- Jesteś aniołem.

- Jasne, jasne. Wszyscy tak mówią.

Beck usiadł przy stoliku, przy którym czekał Chris, oparł łokcie o blat i ze znużeniem potarł twarz dłońmi.

- Czy ten dzień nigdy się nie skończy? - rzucił.

- Właśnie dzwoniłem na oddział intensywnej terapii. Huff śpi jak niemowlę, jego serce pracuje jak szwajcarski zegarek. O co chodzi z tym nagłym wypadkiem?

- Dlaczego wyłączyłeś telefon?

- Nie wyłączyłem, tylko przełączyłem na tryb wibrujący. Problem w tym, że nie miałem komórki przy sobie. - Chris uśmiechnął się leniwie. - Gdy dżentelmen odwiedza damę w łóżku, zdejmuje nie tylko buty, ale całe ubranie. Matka cię tego nie nauczyła?

- Billy'emu Paulikowi oderwało ramię.

Uśmiech Chrisa zrzędł. Obaj mężczyźni patrzyli na siebie w milczeniu, gdy kelnerka nalewała świeżą kawę Chrisowi i napełniła filiżankę Becka.

- Chcesz coś zjeść, Beck? - spytała.

- Nie, dziękuję.

Wyczuwając poważny nastrój, kelnerka uznała, że dalsze zagadywanie będzie nie na miejscu i zostawiła ich w spokoju.

- Wypadek przy pracy, jak rozumiem? - upewnił się Chris.

Beck skinął ponuro głową.

- Jezu. Do tego wszystkiego jeszcze i to.

- Dlatego czuję się, jakby ten dzień trwał w nieskończoność. - Beck opowiedział Chrisowi, co się wydarzyło, i zapoznał go z najnowszymi wiadomościami. - Helikopter odleciał pięć minut przed twoim telefonem. Nie chcieli zabrać jego żony. Szwagier wiezie ją właśnie do Nowego Orleanu samochodem, - Nie wspomniał o incydencie z pluciem. Co by zyskał, sprawiając, że Chris będzie negatywnie nastawiony do pani Paulik? Nie chciał tego, bo rozumiał powodujący kobietą strach i gniew.

Mimo zdenerwowania, zdawała sobie sprawę z nieodwracalności tego wydarzenia. Jej mąż może nie przeżyć wypadku, jeżeli zaś uda mu się wymknąć śmierci, nigdy już nie będzie taki jak przedtem. Przyszłość finansowa całej rodziny była zagrożona. Dzisiejsza noc na zawsze zmieniła ich życie. Nie dziwota, że Alicia Paulik czuła głęboką pogardę do frazesów, gotówki i tego, kto jej to zaoferował.

Z największą godnością, na jaką było go wtedy stać, pozbierał się, otarł twarz chusteczką i odsunął się od pani Paulik oraz jej dzieci. Fred Decluette był przerażony jej zachowaniem.

- Nie musisz mnie za nią przeproszać - powiedział Beck, gdy tamten, jękając się, zaczął usprawiedliwiać kobietę. - Jest przerażona i zdenerwowana.

- Chciałem tylko powiedzieć, że nie wszyscy podzielają jej opinię, panie Merchant. Nie chciałbym, by pan Hoyle myślał, że nie jesteśmy wdzięczni za jego hojność w takich wypadkach.

Beck zapewnił zdenerwowanego brygadzystę, że zapomni o incydencie. Dlatego teraz nie wspomniał o niczym Chrisowi.

- Billy przejdzie operację, ale lekarz z pogotowia powiedział mi, że ramię było tak zmasakrowane, iż ponowne jego przyszycie i przywrócenie choć części sprawności wymagałoby boskiej interwencji. Orzekł, że byłoby lepiej dla Billy'ego, gdyby wcale nie próbowali - przerwał, żeby napić się kawy. Spojrzał na wchodzącego właśnie do baru gościa. To był Klaps Watkins. Miał w sobie tę samą wojowniczą arogancję, co zeszłej nocy. - Mieszka tutaj, czy co? - spytał.

Przyglądał się Klapsowi, który zatrzymał się tuż przy drzwiach i rozejrzał dookoła. Widząc Becka i Chrisa, cofnął się nieznacznie, jakby zaskoczył go ich widok.

- No, no. Klaps Watkins - powiedział Chris leniwie. - Dawno cię nie widziałem. Jak było w więzieniu?

Klaps obdarzył każdego z nich spojrzeniem i rzucił w stronę Chrisa:

- Wszystko jest lepsze od pracy w waszej odlewni.

- Skoro tak, to chyba dobrze, że mój brat cię nie zatrudnił.

- Skoro już mowa o twoim bracie... - Uśmiech na twarzy Watkinsa przyprawił Becka o gęsią skórkę. - Założę się, że Danny już nieźle dojrzał. - Podnosząc głowę, Klaps zaczął węszyć. - Tak, wyraźnie czuję smród jego trupa.

Chris uczynił gest, jakby chciał wstać od stolika i zaatakować Watkinsa, ale Beck położył mu dłoń na ramieniu.

- Powiedział to, żeby cię sprowokować. Zostaw go.

- Dobra rada, panie Merchant - wycedził Watkins. Utkwiwszy wzrok w Becku, uśmiechnął się lubieżnie. - Zajrzałeś już między nogi jego siostry? Rzeczywiście jest taka świetna w te klocki, na jaką wygląda?

Jakimś nadludzkim wysiłkiem woli Beck zdołał pozostać na miejscu. Zza lady wychynęła kelnerka i podeszła do Klapsa.

- Nie będę tolerowała w tym lokalu takiej brudnej gadaniny. Jeśli chcesz coś zjeść i wypić, zajmij miejsce przy stole. - Wręczyła mu kartę dań.

Klaps odepchnął jej rękę.

- Nie chcę niczego do jedzenia ani do picia.

- Wobec tego po co tu przyszedłeś?

- Nie twoja sprawa, ale i tak ci powiem. Miałem się tu spotkać ze znajomym, w interesach.



Kelnerka nie wydawała się onieśmielona. Oparła ręce na biodrach i zmierzyła wzrokiem Watkinsa, jego brudne niebieskie dzinsy, poszarpany podkoszulek odsłaniający ramiona, na których widniał szereg tatuaży, większość z nich dość niecenzuralnych, niektóre wręcz obsceniczne. Prawie wszystkie wyglądały na dzieło amatora.

- Nie zauważyłam, żebyś był ubrany jak na oficjalne spotkanie biznesowe - powiedziała. - A my nie wynajmujemy tego lokalu jako darmowe pomieszczenie biurowe. Zamawiasz coś albo wychodzisz.

- Dobry pomysł - skomentował kwaśno Chris. Klaps spojrzał na nich ze złością.

- Banda pedałów - rzucił. - Nie wiem nawet, który z was jest dziwką.

Z tymi słowy odwrócił się i wyszedł z baru. Obserwowali przez okno, jak gramoli się na motocykl i wyjeżdża na pełnym gazie z parkingu.

- Mówiłem ci, Beck, że Klaps oznacza kłopoty - burknął Chris.

- Nie trzeba będzie na nie długo czekać.

- Może już nie musimy czekać. Słyszałeś, co powiedział o fabryce. Widziałeś, jak zareagował, kiedy wspomniałem o Dannym? Stracił nieco pewności siebie, tylko odrobinę i na ułamek sekundy. Myślę, że powinniśmy o tym porozmawiać z Rudym.

- W porządku. Jutro. Teraz mamy jednak poważniejszy problem. Myślisz, że powinniśmy odczekać ze dwa dni, zanim powiemy Huffowi?

- O Watkinsie?

- O Billym Pauliku - powiedział Beck niecierpliwie. - Dziś w nocy w waszej odlewni człowiek został poważnie okaleczony. Na całe życie. Pracował dla Hoyle Enterprises od siedemnastego roku życia. Co teraz zrobi?

- Nie wiem. Dlaczego się na mnie złościysz? To nie ja wsadziłem mu ramię do tej maszyny. Skoro pracował dla nas od tylu lat, powinien doskonale zdawać sobie sprawę z niebezpieczeństw i

bardziej uważać na to, co robi.

- Billy próbował dokonać jakiejś drobnej naprawy podczas pracy podajnika.

- Wziął na siebie ryzyko, chociaż nie miał kwalifikacji do wykonania reperacji.

- Dlatego że musiał to zrobić. Myślał przede wszystkim o produkcji, nie o bezpieczeństwie, bo tak kazano mu rozumować. Tę maszynę należało wyłączyć, zanim ktokolwiek się do niej dotknął.

- Powiedz to George'owi Robsonowi. To on jest kierownikiem działu BHP i ustala kryteria, według których decyduje się, czy dana maszyna powinna zostać wyłączona.

- George robi tylko to, co każecie mu ty i Huff.

Chris oparł się o ściankę działową i popatrzył uważnie na Becka.

- Po czyjej stronie stoisz?

Beck oparł się łokciami o stół i mocno potarł kciukami piekące oczy.

- Nie widziałeś jego krwi - odparł cicho. Po pewnym czasie opuścił dłonie. - Fred Decluette powiedział, że Billy pracował na tej maszynie w zastępstwie operatora, który pojechał na urlop. Dodał także, że Paulik nie powinien podejmować się naprawy tej przeklętej maszyny.

- Widzisz? To nie nasza wina - odparł beztróska Chris.

- Tak, jasne - westchnął Beck, zastanawiając się, jak do diabła Chris może się uśmiechać w takiej sytuacji.

- Wydatki na leczenie zostaną pokryte z ubezpieczenia. Właśnie po to pakujemy tam kupę forsy.

Beck pokiwał głową. Postanowił nie wspominać o groźbach Alicii. Zachowa tę informację na inną okazję. Poza tym, pani Paulik być może przemyśli całą sytuację i zdając sobie sprawę z kosztów leczenia Billy'ego, zmieni zdanie i wybierze łatwiejszą z dwóch dostępnych opcji, wypełniając formularz ubezpieczenia i w ten sposób na zawsze tracąc prawo do pozwania Hoyle Enterprises.

- Posłuchaj, Beck. Wiem, że czujesz się fatalnie z powodu tego zdarzenia. Ja również, ale co jeszcze możemy zrobić?

- Wysłać bukiet kwiatów do pokoju szpitalnego?

- Oczywiście.

Beck roześmiał się niewesoło, bo Chris nie dostrzegł jego sarkazmu.

- Dopilnuję tego - powiedział.

- Myślisz, że zdołasz utrzymać media z dala od tej sprawy?

- Zrobię, co w mojej mocy - odparł Beck wymijająco, pamiętając wciąż o pełnych pasji groźbach pani Paulik.

- Zazwyczaj to wystarcza. - Chris dopił kawę. - Mam dosyć na dzisiaj. Przesłuchanie przez szeryfa i zawał Huffa były wystarczającym przeżyciem, a jeszcze Lila była dziś w wyjątkowo namiętym nastroju.

- Jakim sposobem udało się wam uspić czujność George'a?

- Powiedziała mu, że idzie odwiedzić chorą przyjaciółkę.

- A on w to uwierzył?

- Lila okręciła sobie jego fiutka wokół palca. Poza tym George nie jest najbystrzejszy ze znanych mi ludzi.

- No tak, jest w końcu tylko kierownikiem działu BHP - mruknął cicho Beck, gdy wraz z Chrisem wstawali od stołu, ruszając do wyjścia.

Zanim dotarli na parking, Chris zapytał:

- Myślisz, że się wylize?

- Nigdy się nie wylize, Chris. Utrata kończyny...

- Nie Paulik. Huff.

- Och. - Sayre powiedziała, że ściągając ją do „łóża śmierci”, ojciec znów prowadził jedną ze

swoich brudnych gierek. Typowe dla Huffa. - Tak - rzucił z przekonaniem. - Uważam, że się wyliże.

Chris w zamyśleniu podrzucał kluczyki do swojego samochodu.

- Wiesz, co mi dzisiaj powiedział? Pewnie miał przyływ uczuć, bo sądził, że otarł się o śmierć.

Trochę się rozkleił, ale wydawał się mówić szczerze. Powiedział, że nie wie, co by zrobił bez swoich dwóch synów. Przypomniałem mu, że Danny nie żyje, ale Huff miał na myśli ciebie.

Powiedział: „Beck jest dla mnie niczym rodzony syn”.

- Miło mi.

- A nie powinno. Bycie synem Huffa Hoyle'a ma kilka ujemnych stron.

- Na przykład?

- Na przykład to na ciebie może paść obowiązek opowiedzenia mu o wypadku Billy'ego Paulika.

- Czy zastałam Jessicę DeBlance? - spytała Sayre przyciszonym tonem, którego zazwyczaj używa się w bibliotekach. Siwowłosa kobieta zza biurka uśmiechnęła się do niej ciepło.

- Jessica jest w pracy, ale wyskoczyła na drugą stronę, do piekarni, żeby kupić nam świeże babeczki.

- Czyli wróci tu jeszcze?

- Powinna być za jakieś pięć minut.

Sayre przeniosła się do czytelnicy, której okna wyglądały na małe, urokliwe podwórko. W płytkiej kałuży kąpało się stado wróbli. Krzewy hortensji uginały się pod ciężarem błękitnych i różowych pąków, wielkich niczym urodzinowe balony. Ceglany płot oplatały gałęzie drzewa figowego i bluszcz. Panował tu przyjemny, zachęcający do przebywania w tym miejscu spokój. Od chwili, gdy zeszłej nocy, w hotelu, Sayre kazała Beckowi Merchantowi wynosić się z pokoju, nie zaznała ani chwili odpoczynku.

„Kłamiesz”, wyszeptał.

Oskarżenie zabolowało, tym bardziej że miał rację. Sayre zaprzeczyła, że wiedziała, iż między nimi dwojgiem coś się święci. Powiedziała też, że wcale tego nie chciała. Ale Beck zniweczył wszystkie jej starania krótkim: „Kłamiesz”. To jedno słowo rozbrzmiewało echem w jej myślach teraz, tak samo jak zeszłej nocy, nawet podczas niespokojnego snu, w jaki zapadła. Obudziła się, nadal głęboko upokorzona i wściekła na Becka, chociaż chyba bardziej na siebie. On to przewidział.

„Kłamiesz” odnosiło się też jeszcze do czegoś, o czym Beck nie miał i nie mógł mieć pojęcia.

Sayre utrzymywała, że zostaje w Destiny ze względu na pamięć swojej matki, aby zobaczyć, jak dalece, jeżeli w ogóle, Chris był wplątany w śmierć Danny'ego. Tymczasem prawdziwym powodem było przede wszystkim jej nieczyste sumienie. Odtrąciła Danny'ego za ledwie na kilka

dni przed jego śmiercią. Poczucie winy z tego powodu było tak wszechobecne w jej duszy, jak wilgotne powietrze znad Zatoki w jej otoczeniu. Nie mogła od niego uciec. To właśnie uczucie przywiodło ją dziś rano do biblioteki.

- Sayre?

Podniosła wzrok i zobaczyła Jessicę DeBlance, stojącą obok jej krzesła,

- Mam chyba zły zwyczaj podkradania się do ciebie - rzekła przepraszająco narzeczona Danny'ego.

- Za każdym razem to moja wina. Ostatnio trapi mnie wiele rzeczy.

- Jestem zaskoczona twoim widokiem. Myślałam, że wyjechałaś już wczoraj,

- Zmiana planów. Próbowałam dziś rano zadzwonić do ciebie do domu, a potem na komórkę. Nie mogłam cię złapać i wtedy przypomniałam sobie, że poznaliście się z Dannym w bibliotece publicznej. Pomyślałam, że może nadal tu pracujesz i postanowiłam wpaść.

- Słyszałam o zawale pana Hoyle'a. Czy to dlatego zostałaś?

- Między innymi... - Sayre spojrzała na siedzących w pomieszczeniu czytelników. - Czy możemy porozmawiać w jakimś bardziej prywatnym miejscu?

Jessica zaprowadziła ją do malutkiego pokoiku wypełnionego książkami. Niektóre były jeszcze zapakowane, inne piętrzyły się w nierównych stosach, zajmujących każdy wolny fragment powierzchni magazynu.

- Dary - wyjaśniła, usuwając stertę książek z krzesła i gestem zapraszając Sayre do zajęcia miejsca. - Dla większości ludzi inwentaryzacja i katalogowanie to prawdziwe utrapienie, więc zgłosiłam się do tej pracy na ochotnika. Nawet w wieku komputerów nadal Kocham zapach starych książek.

- Ja też.

Uśmiechnęły się do siebie. Jessica usiadła na obitym tkaniną stołeczku.

- Masz ochotę na babeczkę i filiżankę kawy?

- Nie, dziękuję.

- Wszyscy w piekarni mówili dziś o panu Hoyle'u. Czy jego stan jest poważny?

- Wszystko wskazuje na to, że się wyliże. Wczoraj zdarzyło się coś, o czym chciałam z tobą porozmawiać. Nie wiem, czy to ważne, ale między innymi z tego powodu opóźniłam swój powrót do domu.

- Co się stało?

- Szeryf Harper i detektyw Scott przesłuchiwali Chrisa w związku ze śmiercią Danny'ego. - Sayre streściła zaskoczonej Jessice to, o czym opowiedział jej Beck. - To tylko pudełko zapalek. Jak zauważył Beck, obrońca potrafi przedstawić tysiąc i jeden sposobów, w jaki mogło się ono znaleźć w domku rybackim bez udziału Chrisa. To żaden dowód.

- Ale wystarczył, żeby policja zaczęła zadawać sobie pytanie, czy owego popołudnia Chris spotkał się z Dannym.

- Też się nad tym zastanawiam, Jessico. Słyszałaś ostatnio o jakimś sporze pomiędzy Dannym i Chrisem?

- Zawsze żyli w niezgodzie, czyż nie? Ich charaktery i zainteresowania nie mogły się bardziej różnić. Danny wiedział, że Chris jest faworytem waszego ojca, ale nie przeszkadzało mu to zbyt. Chris jest lustrzanym odbiciem Huffa, Danny nie. Wiedział o tym, akceptował to i chyba nawet podobała mu się ta sytuacja. Nie chciał być taki sam, jak oni.

- Czy zabiegał o względy Huffa?

- Nie. Myślę, że nie było to dla niego aż tak istotne. Nie zazdrościł Chrisowi, jeżeli do tego zmierzasz.

- A czy Chris był zazdrosny o Danny'ego?

Jessica roześmiała się, wyraźnie zaskoczona.

- Dlaczego miałby być?

- Nie wiem. Strzelam na ślepo. - Sayre wstała i podeszła do okna, z którego widać było to samo śliczne podwórko. Wróble już odleciała pszczoły brzęczały pracowicie, unosząc się nad amarantowymi kwiatami róż. Po splekanych płytkach chodnikowych wędrowała tłusta czarna gąsienica. - Nie wiem, czego szukam, Jessico. Pomyślałam, że Danny wspominał o jakiejś kłótni lub konflikcie między nim a Chrisem.

- Chris spotyka się z zamężną kobietą. Danny tego nie pochwalał, ale z tego, co mi opowiadał, cudzołóstwo nie było dla jego brata niczym nowym. Pod względem moralnym obaj zawsze byli na przeciwległych biegunach. Coś mi mówi, że... - Jessica zamilkła.

Sayre odwróciła się od okna i spojrzała na nią.

- Coś ci mówi, że co?

- To po prostu przeczucie. Nie mogę mieć pewności.

Sayre usiadła na krześle i pochyliła się w kierunku dziewczyny.

- Znałaś Danny'ego lepiej niż ktokolwiek inny. Myślę, że dużo lepiej niż jego własna rodzina, a nawet on sam. Ufam twoim przeczuciom.

- Ten problem, który dręczył Danny'ego...

- Sądzisz, że miał jakiś związek z Chrisem?

- Nie bezpośrednio. Nie byli sobie aż tak bliscy.

- Mieszkali w tym samym domu.

- To prawda, mieli ten sam adres zamieszkania, ale rzadko spędzali razem czas. Gdy zaś do tego przychodziło, zazwyczaj towarzyszyli im wtedy Huff i Beck Merchant. Widywali się oczywiście w pracy, ale zajmowali się czym innym i komunikowali się bezpośrednio z Huffem, a nie ze sobą. Nie przebywali w tych samych kręgach towarzyskich, zwłaszcza od czasu, gdy Danny zaangażował się w sprawy duchowe. - Jessica przerwała. - Wydaje mi się, że z tym właśnie



wiązał się problem Danny'ego. Zmagał się z jakimś konfliktem moralnym.

- Jakim?

- Sama chciałabym wiedzieć, zwłaszcza jeżeli przez to umarł. Bolała mnie jego rozterka i prosiłam niejednokrotnie, żeby porozmawiał o tym, co go dręczy, ze mną, z pastorem lub z kimś, komu ufał. Danny odmówił. Powiedział tylko, że nie może stać się chrześcijaninem, jakim powinien być lub jakim powinien się stać zdaniem innych.

- Miał wyrzuty sumienia?

Jessica pokiwała głową.

- Powiedziałam mu, że nie ma takiego grzechu lub zaniedbania, którego Bóg by nam nie wybaczył. Danny obrócił to w żart. Powiedział, że najwyraźniej Bóg nie spotkał jeszcze Hoyle'ów.

- Uważasz zatem, że Danny nigdy nie uporał się ze swoim problemem?

Sayre miała płonną nadzieję, że po tym, jak odmówiła rozmowy z bratem, brat znalazł jakąś życzliwą duszę, kogoś, kto go wysłuchał i pocieszył. Jessica jednak pokręciła powoli głową.

- Nie sądzę, że to zrobił i boli mnie myśl, że umarł, nie zaznawszy spokoju w sercu.

- Może w końcu odnalazł spokój - rzekła Sayre, znów na przekór wszystkiemu pragnąc, aby jej słowa stały się prawdą.

Jessica spojrzała na nią i obdarzyła ją łagodnym uśmiechem.

- Dziękuję, że to powiedziałaś, ale nie sądzę, by Danny odzyskał spokój. Im więcej rozmawialiśmy o małżeństwie i przyszłości, tym bardziej uginał kark pod ciężarem swojej tajemnicy. To tylko podejrzenia, ale...

- Proszę, powiedz mi.

- Nieustannie martwił się warunkami pracy w odlewni. Nie był dumny z reputacji fabryki, z łamania przepisów OSHA i tym podobne, ale mimo to zatrudniał tam nowych ludzi. Wiedział, że

ich praca niesie z sobą ogromne niebezpieczeństwo, zwłaszcza przy tak minimalnym przeszkoleniu, jakie przeszli. Może nie potrafił z tym już dłużej żyć.

Do drzwi zapukała kobieta z recepcji. Przeprosiła za przerwanie rozmowy i powiadomiła Jessicę, że przybyła grupa przedszkolna na wysłuchanie kolejnej bajki.

- Dwadzieścioro aniołków dopytuje się o ciocię Jessicę - rzekła. - Nie wiem, jak długo zdołamy ich jeszcze utrzymać w ryzach.

Kiedy wychodziły z magazynu, Sayre poprosiła Jessicę o przysługę.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby odkryć, co przydarzyło się Danny'emu. Czego potrzebujesz?

- Informacji. Czy znasz kogoś, kto pracuje w sądzie?

Nastroje w hali fabrycznej były pogrzebowe, przytłaczające, mroczne i depresyjne, jak samo pomieszczenie. Beck zauważył to od razu, gdy zszedł na dół i ruszył w stronę feralnego podajnika, który zeszłej nocy stał się przyczyną tragicznego wypadku. Wszyscy pracowali, ale bez widocznego entuzjazmu i w całkowitej ciszy. Nikt nie patrzył mu w oczy, ale Beck czuł ich zagniewane spojrzenia za swoimi plecami.

Przy podajniku stał George Robson i Fred Decluette. Obaj byli pogrążeni w rozmowie.

Wyglądali na zdziwionych obecnością Becka.

- Dzień dobry, panie Merchant - powiedział Fred.

- Fred, George, jak się macie!

- Potworne. - George potrząsnął smutno swoją łysiejącą głową, po czym otarł z niej pot chusteczką. - Potworne.

Beck spojrział na brudną podłogę. Wczoraj w miejscu, gdzie teraz stał, musiała być kałuża krwi.

Dziś rano, zanim pojawiła się poranna zmiana, ktoś postarał się o uprzątnięcie wszystkiego.

- Zajęliśmy się tym bałaganem - powiedział Fred, jakby czytając w myślach Becka. - Inaczej źle

by to wpłynęło na załogę. Nie trzeba dodatkowo przypominać wszystkim, co się zdarzyło.

- Może to by się akurat przydało - burknął George. - Byliby bardziej uważni, nie tak nieostrożni.

Beck nie chciał uderzyć tego niewrażliwego idioty, przesunął się więc bliżej do maszyny.

- Wy tłumacz mi, co się stało - poprosił Freda.

- Fred wszystko mi już opowiedział - wtrącił George.

- Muszę to zobaczyć na własne oczy, George. Huff będzie chciał znać szczegóły.

Fred wskazał wadliwy pas klinowy i zaczął tłumaczyć, co poszło źle, gdy Paulik próbował go naprawić. Beck zauważył, że przez cały ten czas George trzymał się w bezpiecznej odległości od maszynerii.

- Wezwaliśmy już inżyniera. Ma przyjechać jutro i naprawić podajnik - dorzucił Fred.

- Mówiłem, żeby to zrobił z samego rana - powiedział George,

Beck spojrzał w górę, na żelazne rury, przesuwane nad ich głowami na chybottliwym podajniku.

- Czy to bezpieczne, by ten sprzęt nadal pracował? - spytał brygadziście.

- Moim zdaniem tak - odparł czym prędzej George. Fred wyglądał na mniej przekonanego, ale po chwili kiwnął głową.

- Pan Robson tak uważa, a przecież powinien się na tym znać.

Beck zawahał się, a potem rzekł:

- No dobrze. Upewnijcie się tylko, że wszyscy wiedzą o tym, co się stało, i ostrzeżcie ich...

- Robotnicy wiedzą już o wszystkim, panie Merchant. Takie wieści rozchodzą się nader szybko.

Oczywiście. Beck skinął lekko głową George'owi Robsonowi, odwrócił się i ruszył z powrotem.

Koszula przywarła mu do pleców. Czuł strugi potu lejące się po piersi. Za ledwie po pięciu

minutach w hali był mokry, a jego płuca z trudem radziły sobie z wydalaniem gorącego

powietrza, którym oddychał. Pracujący tu mężczyźni wytrzymywali takie warunki przez osiem

godzin, a nawet dłużej, jeśli pracowali na podwójną zmianę, żeby trochę dorobić w nadgodzinach. Przechodząc obok maszyny z namalowanym na niej białym krzyżem, zwolnił, zastanawiając się, czy George'owi Robsonowi przyszło kiedyś do głowy, by zapytać, co oznacza. Może nawet go nie zauważył. Za to Sayre, owszem.

Beck zwolnił jeszcze bardziej, aż wreszcie się zatrzymał.

Wpatrywał się zamyślony w krzyż, rozważając tragedię, jaką symbolizował. Wreszcie odwrócił się gwałtownie na pięcie i ruszył spieszenie z powrotem, w stronę Freda Decluette'a i kierownika działu BHP.

- Chryste, gazety będą miały używanie. - Huff poruszał ustami, jakby trzymał między wargami papierosa. - Zupełnie jak ostatnim razem, gdy ktoś tam miał wypadek przy pracy.

- Beck powinien poczekać kilka dni, zanim ci powiedział - rzucił Chris z drugiego końca pokoju szpitalnego.

- Powinien z tym od razu do mnie przyjść - warknął Huff. - Jeszcze wczorajszej nocy, zamiast czekać do dzisiejszego poranka. To moja fabryka, firmowana moim nazwiskiem. Wolałbyś, żebym przeczytał o tym w gazecie albo usłyszał w popołudniowych wiadomościach?

Powiniennem się dowiedzieć i Beck na szczęście to rozumie.

Chris zauważył, że gdy Huff wygłaszał tyradę na temat wypadku Paulika, Beck milczał. Choć to jemu przypadło w udziale przekazanie złych wiadomości, Huff nie zamierzał zabijać posłańca.

Wręcz przeciwnie, zdawało się, że Beck zyskał jeszcze aprobatę i zaufanie, co nieco zirytowało Chrisa.

- Rachunki za leczenie Paulika będą ogromne - ciągnął Huff. - Przez to wszystko pójdzie w górę stawka ubezpieczeniowa dla wszystkich pracowników.

- Pani Paulik może nie będzie żądała odszkodowania - rzekł Beck. - Oświadczyła mi, że nie zamierza.

Huff wyrzucił z siebie stek przekleństw. Wiedział, co oznaczała dla Hoyle Enterprises decyzja Alicji Paulik o niewypełnieniu formularza ubezpieczeniowego. Chris też zdawał sobie z tego sprawę.

- Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym wczoraj wieczorem? - spytał zaskoczony.

- Nie pytałeś.

- Nie musiałem pytać. Denerwuje mnie twoje nagłe przeoczenie.

- Obaj byliśmy wyczerpani, Chris. To był okropny dzień. Nie czułem się na siłach deliberować jeszcze i o tym.

- Uważasz, że zamierza nas pozwać, Beck? - przerwał ich kłótnię Huff.

- Tak twierdziła wczoraj, ale może dziś zmieniła zdanie. Przynajmniej taką mam nadzieję,

- Jeżeli pójdzie do sądu, jak myślisz, ile to nas będzie kosztować?

- Jest zbyt wcześnie na prognozy. Nasi księgowi nie mogą oszacować kosztów leczenia Billy'ego, dopóki nie skonsultują się z lekarzami i szpitalem, a przecież jeszcze nie wiemy, jak się zakończy ta historia. Billy'ego czeka długa rekonwalescencja. Będzie potrzebował również rehabilitacji i sztucznej ręki.

- Przecież nie musimy mu kupować protezy od Rolls-Royce'a, prawda? - spytał Chris. - Może coś bardziej na poziomie Forda? - Jego udawana bez troska nie wywołała zamierzonego efektu.

Wyglądało na to, że wszyscy stracili chwilowo poczucie humoru.

- Poza samymi kosztami leczenia pani Paulik może zażądać rekompensaty za to, czego nie da się wycenić - ból sprawiony rodzinie, cierpienie jej męża. Z powodu okaleczenia Billy straci możliwość zarabiania. Obawiam się, że pani Paulik planuje uderzyć w nas ze wszystkich możliwych stron i odszkodowanie, jakiego zażąda, będzie opiewało na astronomiczną sumę.

- Ile może kosztować wyciszenie tej sprawy? - zapytał Huff.

- To również będzie drogie. Pani Paulik przysięgła rozgłosić tę sprawę na cały świat.

- Jezu, masz dzisiaj same dobre wiadomości - zauważył Chris.

- Huff pytał - odciął się Beck.

- Nie musiałeś opowiadać mu o wszystkim od razu.

- Właśnie, że musiał - warknął Huff. - Nie mogę rozwiązać problemu, jeśli znam tylko połowę szczegółów.

Chris zauważył, że policzki Huffa spurpurowiały. Zaniepokojony, że ojcu mogło skoczyć ciśnienie, spojrzał na monitory stojące u wezłowania łóżka.

- Myślę, że wszyscy reagujemy zbyt przesadnie - rzekł, próbując uspokoić nieco Huffa. -

Obawiamy się czegoś, co prawdopodobnie nigdy nie nastąpi. Uspokójmy się i pomyślmy, zanim kompletnie stracimy rozsądek, dobrze?

Beck skinął głową obcesowo, a Huff wymruczał coś pod nosem. Chris potraktował to jako sygnał do kontynuacji wywodu.

- Jak to zauważył Beck, pani Paulik może zmienić zdanie. Na pogotowiu trochę jej odpaliło, nic dziwnego, w takiej traumatycznej sytuacji. Pewnie odgrywała scenkę, którą zobaczyła wcześniej w *Oстрым dyżurze*. Założę się, że dziś jest inaczej. W bezlitosnym świetle dnia rzeczywistość wygląda znacznie mniej kolorowo. Może z większą chęcią przystanie na ugodę. Po drugie, Billy Paulik zawsze był wzorowym pracownikiem. Nigdy nie sprawiał kłopotu. Kiedy dojdzie do siebie, zapewne sam przyzna, że postąpił niewłaściwie i to był jego błąd, nie nasz. Będzie zbyt zażenowany, żeby ciągać nas po sądach za wypadek, który nastąpił nie z naszej winy.

Huff zastanowił się przez chwilę nad argumentami Chrisa, po czym zwrócił się do Becka:

- Widziałeś jego żonę. Co o niej sądzisz? Przemawiała przez nią histeria?

- Mam nadzieję, że Chris ma rację, ale płacicie mi za to, żebym rozważał najgorsze scenariusze.

Wczoraj w nocy pani Paulik wyraziła się nader jasno o swoich planach wobec przedsiębiorstwa.

- Zamierza nam urwać jaja?

- Myślę, że powinniśmy się przygotować na taką ewentualność, a przynajmniej na bardzo nieprzychylną krytykę ze strony społeczeństwa.
- W takim razie spróbujmy zażegnać konflikt - rzucił Chris, wciąż usiłując załagodzić sytuację. - Powstrzymajmy ją, zanim na dobre się rozkręci, zademonstrujmy naszą dobrą wolę. Zaoferujmy ich dzieciakom sponsorowaną wyprawę do „Toys 'R' Us”. Wyślijmy nowiutkiego, lśniącego suva do ich garażu. A może opłacimy za nich czynsz za rok z góry? Ta rudera, w której mieszkają, nie może zbyt wiele kosztować.
- To nasza rudera - powiedział Huff. - Jest jednym z wynajmowanych przez nas mieszkań.
- Tym lepiej. Możemy ją odmalować, przeprowadzić remont, zainstalować grill w ogródku. Po tym wszystkim założę się, że pani Paulik zastanowi się dwa razy, zanim pozwie nas do sądu. Zwłaszcza że może przegrać. Beck, jestem pewien, że potrafisz ją o tym przekonać. Bo inaczej musielibyśmy wyrzucić ją ze świeżo odnowionego domu, odebrać samochód i wszystkie inne prezenty.
- Co o tym myślisz? - Huff spojrzał na Becka.
- Przypuszczam, że nie zaszkodzi spróbować. Polecę komuś z biura, żeby przygotował pakiet dobrej woli, zaczynając od suva.
- Ja zaś, żeby wytrącić jej z rąk argument o niebezpiecznych warunkach pracy, nakazę wyłączenie podajnika do czasu jego naprawy - dodał Chris.
- Już został wyłączony.
- Od kiedy? - Chris spojrzał na Becka.
- Od godziny.
- Na czyje polecenie?
- Moje.

Chris poczuł przyływ złości. Był kierownikiem produkcji, ale najwyraźniej Beck mało sobie

robił z jego pozycji.

- Przepraszam, jeżeli przekroczyłem swoje kompetencje, Chris, ale dziś rano odwiedziłem halę fabryczną, żeby ocenić sytuację.

- Od tego jest George Robson.

- Był tam, napuszczony jak zwykle i równie nieużyteczny. Każdy idiota potrafiłby zrozumieć, że podajnik powinno się wyłączyć. Pomyśl, jak reszta pracowników odebrałaby brak takiej reakcji.

Zupełnie jakby to, co zdarzyło się Billy'emu Paulikowi, nie miało dla nas żadnego znaczenia.

George'owi brakło odwagi albo był za głupi, żeby podjąć decyzję, dlatego sam się tym zająłem.

Chris skinął sztywno głową.

- Jestem pewien, że działałeś w moim imieniu.

- Tylko dlatego, że ty musiałeś być tutaj, przy Huffie. Upewniłem się, że George i wszyscy pozostali zrozumieli, że podejmuję decyzję w porozumieniu z tobą. - Beck spojrzął na zegarek. -

Nie pokazywałem się tam zbyt długo. Morale sięgnęło dna. Powinniśmy teraz pojawiać się w fabryce jak najczęściej. Za twoim pozwoleniem wystosuję kurendę, w której kierownictwo wyrazi swój szczery żal z powodu tego, co stało się z Billym.

- Dorzuc też coś o szczególnej opiece, jaką otoczyliśmy jego rodzinę - dodał Huff.

- Oczywiście - uśmiechnął się ponuro Beck. - Nie mogło się to zdarzyć w gorszym momencie.

Tak szybko po śmierci Danny'ego. Mam nadzieję, że złe wiadomości nie pogorszą twojego stanu.

Jak się czujesz?

- Jeszcze tylko dzień i będę mógł wrócić do domu. To tylko środki ostrożności, moim zdaniem, zupełnie niepotrzebne. Doktor Caroe mówi, że jestem zdrowy jak rydz. Te jego cholerne badania! Kłuli mnie, szarpali, przypinali do różnych maszyn, upuścili mi kwartę krwi, musiałem nasikać do kubeczka tyle razy, że straciłem rachubę, a wszystko po to, by się dowiedzieć, że moje serce jest prawie w nienaruszonym stanie.



- Wyglądasz na zawiedzionego, Huff - roześmiał się Chris.

- Wręcz przeciwnie. Chcę żyć wiecznie - odparł stary i spojrział na Becka. - Wiem, jak trudno ci było przyjść tu i zdać raport ze wszystkiego, ale przekazywanie mi złych wieści należy do twoich obowiązków. Nie wiń się za to.

Zamyślony Beck pokiwał głową. Widząc to, Huff zapytał:

- Jeszcze jakiś problem?

- Gdybym stracił ramię - zaczął Beck powoli - a co za tym idzie, środki do życia, nie jestem pewien, czy dałbym się ugłaskać kilkoma cackami i nową warstwą farby w domu. Nadal uważam, że powinniśmy się przygotować na najgorsze.

Gdy Beck opuścił szpital, Chris przysiadł na łóżku ojca.

- Znasz Becka. Wiesz, jakim jest pesymistą. Nie pozwól, żeby jego złe proroctwa zanadto cię zdenerwowały.

- Beck traktuje swoją pracę poważnie. Pilnuje naszych interesów. - Huff dźgnął Chrisa palcem w nogę. - I twojego dziedzictwa, synu. Nie zapominaj o tym.

- Dobrze już, dobrze. Facet jest prawdziwą perłą. Tylko spokojnie, żeby nie skoczyło ci ciśnienie.

- Nigdy przedtem nie byłeś tak drażliwy, jeśli chodziło o Becka. Co jest grane?

- Od kiedy to Beck ma upoważnienia do zatrzymywania wadliwej maszyny?

- Wolałbyś, żeby najpierw oderwała komuś rękę?

- Jasne, że nie.

- Zatem Beck postąpił słusznie, prawda?

- Nie powiedziałem, że nie miał racji. Sam przecież zasugerowałem podobne rozwiązanie. Po prostu... Och, do diabła, możemy o tym nie rozmawiać? To chyba stres. Ostatnio wszyscy mamy wiele kłopotów.

- Skoro już mowa o kłopotach, to czy są jakieś nowe wieści z biura szeryfa?

- Ani słowa.

- Tak myślałem. - Huff machnął niedbale ręką. - Rudy powinien wysłać detektywa Scotta, by zapędzał krowy do zagród, albo coś w tym stylu, zamiast pozwalać mu przyczepiać się do tak nieistotnych szczegółów, jak pudełko zapalek. Jakieś wiadomości z Meksyku?

- Od Mary Beth? Nie miałem czasu, żeby choćby o niej pomyśleć.

- Ale nie zabrakło ci go, żeby wyobrazać tę głupią dziewczuchę, z którą ożenił się George, i to nie dalej, jak ostatniej nocy.

Chris nie czuł się zażenowany tym, że ojciec wiedział o wszystkim. Już raczej zaskoczony i rozbawiony.

- Twoja sieć informatorów jest niesamowita, Huff. Jak ty to robisz? Nawet leżąc tu, na OIOM-ie. Huff roześmiał się cicho.

- Powiem ci coś lepszego. Wiedziałaś o tym, że twoja siostra pojechała wczoraj z Beckiem do baru rybnego? Potem Beck odwiózł ją do hotelu, dopilnował, żeby się zameldowała, odprowadził do drzwi i wszedł do środka.

Chris przypomniał sobie morderczy wyraz twarzy Becka, gdy Klaps Watkins uczynił wulgarną uwagę na temat Sayre. Tylko że Beck był mężczyzną ze starej szkoły i traktował wszystkie kobiety jak damy, dopóki mu nie udowodnią, że nimi nie są. Dlatego Chris wyśmiał insynuacje Huffa kpiarskim prychnięciem:

- Chyba nie sugerujesz, że między nimi coś jest. Sayre znenawidziła Becka od pierwszego wejrzenia, ponieważ jest jednym z nas.

- Więc dlaczego nie wróciła do San Francisco?

- Ponieważ myślała, że umrzesz.

- Hmm, może. - Huff założył ręce za głowę. - Mimo wszystko, byłoby to interesujące, nie sądzisz?

- Co?

- Gdyby Beck i Sayre się ze sobą związali.

- Na twoim miejscu nie nastawiałbym się na to. Beck lubi słodkie, łagodne kobiety o małych wymaganiach. Sayre kompletnie nie pasuje do tego rysopisu.

- Oczywiście, że się na nic nie nastawiam - odparł Huff - ale zacząłem rozważać ten scenariusz jako drugi wariant rozwiązania mojego problemu.

- Którego konkretnie?

- Doczekania się trzeciej generacji Hoyle'ów, zanim zabije mnie jakiś rozległy atak serca. Jeśli chcesz zostać ojcem mojego wnuka, lepiej zakręć się wokół rozwodu z Mary Beth. Jeśli jest bezpłodna, nie ma sensu się z nią dłużej szamotać. Wybrałeś już sobie następną kobietę? Lilę?

- Lilę? Bynajmniej!

- Lepiej więc nie trać na nią swojego i mojego czasu. To tylko taka mała sugestia. - Huff nacisnął guzik obniżający łóżko, ułożył się wygodnie i zamknął oczy.

Chris odebrał to jako sygnał, by zostawić ojca w spokoju. Opuścił szpital, unosząc ze sobą wszystko, co powiedział mu Huff. Wiedział z doświadczenia, że z ust jego ojca nigdy nie padają żadne przypadkowe i trywialne słowa.

Dom stał na uboczu, z dala od głównej drogi. Do schodów prowadzących do wejścia wiodła wąska ścieżka wysypana pokruszonymi muszlami ostryg. Szpiczasty dach budynku ocieniał ganek. Ciemnozielone drzwi wejściowe umieszczono dokładnie pośrodku fasady, okolone po obu stronach dwoma dużymi oknami o ciemnozielonych okiennicach. Ściany pomalowano na biało. Sayre skręciła na ścieżkę i zaparkowała tuż przed schodami, ozdobionymi rabatkami kaladium i pelargonii, przywędniętych w bezlitosnym upale. Beck siedział na zamontowanej na ganku huśtawce z drzewa tekowego, trzymając w jednej ręce butelkę z piwem, a drugą głaszcząc gęste futro Frita.

Gdy Sayre otworzyła drzwi samochodu, pies zawarczał. Kiedy jednak wysiadła, musiał ją rozpoznać, ponieważ zbiegł czym prędzej po schodkach, aby ją przywitać. Sayre została uwięziona pomiędzy samochodem a czterdziestoma pięcioma kilogramami nieposkromionego entuzjazmu.

Beck gwizdnął ostro i Frito posłuchał, choć nie do końca. Trzymał się blisko nóg Sayre, przez co potknęła się kilka razy, zanim dotarła na ganek.

Merchant nie wstał, nie powiedział ani słowa, po prostu siedział, wyglądając niezwykle imponująco jak na człowieka odzianego wyłącznie w oliwkowe szorty. Z jego twarzy nie można było niczego wyczytać. Sayre nie wiedziała, czy był zaskoczony, rozgniewany, czy kompletnie obojętny wobec faktu, że pojawiła się na jego terenie prywatnym, przerywając mu relaks.

Pokonując ostatni schodek, zawahała się. Frito wykorzystał okazję, aby wepchnąć łeb pod jej dłoń, szturchając ją, dopóki go nie pogłaskała. Przez cały ten czas Sayre patrzyła Beckowi prosto w oczy, ani razu nie spuszczając wzroku.

- Sądzę, że wiesz, jak trudno było mi stanąć z tobą twarzą w twarz - powiedziała wreszcie.

Beck pociągnął łyk z butelki, jednak nadal nie wymówił ani słowa.

- Nie chciałam tu przyjeżdżać, ale sądzę, że powinniśmy o czymś porozmawiać.

- Chcesz rozmawiać?

- Tak.

- Rozmawiać?

- Tak.

- Czyli nie przyszłaś, żeby kontynuować to, co przerwałaś zeszłej nocy?

Jej policzki zapłonęły rumieńcem wstydu i gniewu.

- Nie zamierzasz zachować się w tej sprawie jak dżentelmen, prawda?

- Żądasz galanterii po tym, jak groziłaś mi śmiercią, jeżeli jeszcze raz cię dotknę? Faktycznie, chyba nie prosisz o zbyt wiele.

- Pewnie masz prawo do takiej reakcji.

- Jeszcze jak.

Sayre zdawała sobie sprawę, że Beck nie oszczędzi sobie uwag pod jej adresem i uzbroiła się w cierpliwość. Chciała uciec do samochodu i odjechać stąd czym prędzej, ale została i z rumieńcem wstydu na twarzy zniosła jego spojrzenie. W końcu Beck roześmiał się gorzko i przesunął się, robiąc jej miejsce na huśtawce.

- Siadaj. Chcesz piwa?

- Nie, dziękuję. - Przysiadła obok niego. Spojrzał na czerwony kabriolet, którym przyjechała.

- Niezła zabawka.

- To jedyny samochód, jaki wypożyczalnia mogła mi udostępnić bez rezerwacji.

- Przyprawdzili go dla ciebie z Nowego Orleanu?

- Dziś rano.

Przyjrzał się jej płóciennym spodniom i obcisłemu podkoszulkowi.

- Kolejne nowe ciuchy?

- Nie przywiozłam ze sobą zbyt wielu rzeczy z San Francisco. Potrzebuję czegoś na zmianę.
- Zatem wciąż zamierzasz tu zostać.
- Uważasz, że to, co się zdarzyło zeszłej nocy, powinno mnie odstraszyć? Czy to właśnie chciałeś osiągnąć? Odesłać mnie do domu? Dlatego to zrobiłeś?

Zielone oczy spojrzały prosto na nią i Sayre poczuła lekkie łaskotanie w podbrzuszu.

- A dlaczego ty to zrobiłaś?

Przebywanie tak blisko Becka wywoływało u Sayre chaos myśli nawet wtedy, gdy był kompletnie ubrany. Jego częściowa nagość zupełnie wytrącała ją z równowagi. Drażniło ją, że chociaż Beck był rozebrany, to ona czuła się obnażona. Odwróciła wzrok, spoglądając w stronę cyprysów, porastających Bayou Bosquet.

- To była pierwsza rezydencja Hoyle'ów - powiedziała - Wiedziałeś o tym?
- Słyszałem co nieco.
- Huff mieszkał tutaj, gdy budował obecny dom.
- Zanim poślubił twoją matkę.
- Tak. Nie chciał, żeby stary budynek podupadł, dlatego kazał staremu Mitchellowi zajmować się również i tym miejscem. Czasami Mitchell, gdy przychodził tutaj, zabierał mnie ze sobą. On pracował na dworze, a ja bawiłam się w pustych pokojach. To pierwszy dom, który urządziłam, oczywiście tylko w wyobraźni.
- Wątpię, żeby wystrój mojego pomysłu dorównywał twoim standardom.
- Nie bądź taki pewien - roześmiała się. - Zdaje się, że wyobrażałam sobie wielki kryształowy żyrandol zwisający z sufitu w salonie na frędzelkowatym sznurze, orientalne dywany i ściany wybite jedwabnymi draperiami. Chciałam, żeby wszystko przypominało skrzyżowanie namiotu sułtana z francuskim pałacem.
- Albo burdel.

- Wtedy nie wiedziałam, co to takiego, ale rzeczywiście, wyobrażałam sobie coś w tym stylu. -

Uśmiechnęła się do niego, zanim znów odwróciła wzrok w kierunku rzędu cyprysów rosnących nad brzegiem kanału wodnego. - Pewnego razu przy płynęliśmy tu ze starym Mitchellem od strony zalewiska. Stał w pirodze, odpychając się od dna długim palem. Kazał mi siedzieć bez ruchu, żebyśmy nie przewrócili łódki i nie trafili do pysków aligatorów, bo jak powiedział, na dnie czają się gadziny tak wielkie, że mogłyby mnie połknąć w całości i nawet by im się nie odbiło. Siedziałam cicho i nieruchomo, jak mysz pod miotłą, modląc się o przetrwanie. To dopiero była przygoda. - Sayre uśmiechnęła się do swoich wspomnień. - Nie wiedziałam aż do dzisiaj, że tu mieszkasz.

- Czy ten fakt kładzie się cieniem na twoich cudownych wspomnieniach tego miejsca? Podobnie jak to, że usiadłem na huśtawce, którą zrobił dla ciebie stary Mitchell?

- Na moje wspomnienia ze szczęśliwego dzieciństwa padł czarny cień na długo, zanim spotkałam ciebie.

- Huff zaproponował, bym tu zamieszkała, jednocześnie ze złożeniem mi oferty pracy. Miało to być tymczasowe rozwiązanie, do czasu, aż znajdę swoje własne cztery kąty. Ale pewnego dnia zapytał mnie, dlaczego miałbym płacić czynsz, skoro mogę mieszkać tu za darmo. Zadałem sobie to samo pytanie, doszedłem do oczywistych wniosków i zostałem.

- Rzeczywiście posiadli cię do reszty, prawda?

To zabolalo. Beck dokończył piwo i z głośnym stuknięciem odstawił pustą butelkę na stoliku.

- Po co przyjechałaś?

- Słyszałam o wypadku w fabryce zeszłej nocy. Całe miasteczko rozmawia tylko o tym.

- Co takiego mówią?

- Że było bardzo źle i że to głównie Hoyle Enterprises ponosi za to odpowiedzialność.

- Tego się spodziewałem.

- Czy to prawda?

- Nie można było ocalić ręki tego człowieka. Amputowali ją dziś po południu. Według mnie to dość poważna sprawa. - Nie ustosunkował się do pytania, w jakim stopniu firma była odpowiedzialna za ten wypadek, i wątpił, aby Sayre nie zauważyła tego uniku.

- Słyszałam, że wkrótce po wypadku pojechałeś do szpitala.

- Masz dobre źródła informacji.

- Wiem również, że żona tego mężczyzny odrzuciła twoją ofertę pomocy.

- Przestań krążyć wokół tematu, Sayre. Słyszałaś o tym, że plunęła mi w twarz. Czy dlatego tu jesteś? Przyjechałaś, żeby napawać się tym faktem?

- Nie.

- A może po to, aby przypomnieć mi o niebezpiecznych warunkach pracy w fabryce?

- O tym akurat powinieneś sam wiedzieć najlepiej, prawda?

- Podajnik, który zranił Billy'ego Paulika, został wyłączony.

- Na twoje polecenie. O tym także słyszałam.

Beck wzruszył obojętnie ramionami.

- Dlaczego nie zrobił tego George Robson?

- Ponieważ...

- Ponieważ jest tylko kukiełką, która nie robi niczego bez zgody Huffa.

- Który był w tym czasie w szpitalu, dochodząc do siebie po zawale. A może już o tym zapomniałaś?

- Jak zareagowali Huff i Chris na wieść o tym, co zrobiłeś?

- Zgodzili się z moją decyzją.

- Nie broń ich, Beck. Nie sądzisz, że umieszczenie George'a Robsona na stanowisku kierownika działu do spraw BHP to granda? Huff nie chce tam nikogo, kto by posiadał choć odrobinę



sumienia lub zdrowego rozsądku. George Robson to tylko przykrywka, która ma zamydlić oczy OSHA. Czy jego dział ma w ogóle jakichś pracowników?

- Owszem.

- Sekretarkę i to wszystko. Żadnego wykwalifikowanego personelu, nikogo, kto dokonywałby rutynowych przeglądów. George na pewno nie robi tego sam. Czy został mu przyznany jakiś budżet? Nie. Władza? Zero.

- Wprowadził w życie ustalone przez Huffa zasady.

Sayre słyszała już o tym wcześniej. Wedle tych zasad, wadliwie funkcjonująca maszyna mogła zostać wyłączona i nie mogła zostać ponownie uruchomiona, czy to przypadkowo, czy też specjalnie, zanim inspektor posiadający klucz uzna ją za bezpieczną.

- Tylko po to, aby uniknąć wysokiej grzywny - odparła. - Czy to prawo jest wprowadzane w życie?

Beck odpowiedział jej długim spojrzeniem.

- Tak myślałam. Tak zwany kierownik do spraw BHP zabiera tylko miejsce w Hoyle Enterprises.

To wszystko.

- Powinnaś się zmówić z Charlesem Nielsonem.

- Kim?

- Nieważne. - Popchnął huśtawkę bosą stopą. - Zatem przyszłaś, żeby porozmawiać o wypadku?

- Nie. Chciałam zapytać o coś, co dręczy mnie od jakiegoś czasu.

- Na brzuchu.

- Słucham?

- Kiedyś zapytałaś mnie, jak śpiam w nocy, i nigdy nie zdołałem ci odpowiedzieć. Zazwyczaj śpię na brzuchu. A tak przy okazji, jeżeli będziesz miała kiedyś ochotę się o tym przekonać, moje zaproszenie jest aktualne.

Sayre zerwała się z huśtawki jak oparzona. Już przy poręczy schodów odwróciła się i spojrzała na niego.

- Uważam, że Chris mógł zamordować Danny'ego. Może zażartujesz również z tego.

Beck wstał i dwoma długimi krokami pokonał dzielącą ich odległość.

- To by cię ucieszyło, prawda? Mogłabyś wtedy uzasadnić swoją nienawiść do brata i ojca, zemścić się na nich.

- Nie chodzi mi o zemstę.

- Nie?

- Nie.

- Więc o co ci chodzi?

- O sprawiedliwość - odpowiedziała gniewnie. - Ponieważ jesteś prawnikiem, myślałam...

miałam nadzieję, że ty również tego pragniesz. Chociaż, z drugiej strony, mieszkasz przecież za darmo w ich domu.

Beck wydał z siebie gniewny pomruk.

- To akurat ma się nijak do całej sprawy. Tak czy owak, nie powinienem o tym rozmawiać.

Jestem ich prawnikiem.

- Nie jesteś obrońcą.

- Chris nie potrzebuje obrońcy.

- Jesteś pewien?

Ich spojrzenia skrzyżowały się na długą, długą chwilę. Beck pierwszy odwrócił wzrok.

Przeciągnął dłonią po włosach i zaprosił ją z powrotem na huśtawkę.

- W porządku, Sayre. Porozmawiajmy. Nie obiecuję, że udzielę ci jakichś informacji, ale jestem gotów cię wysłuchać.

Chciała odpowiedzi na pytanie, które nie dawało jej spokoju, ale była związana obietnicą

poczynioną Jessice DeBlance i etyką zawodową Becka. Przez chwilę w milczeniu zbierała myśli.

- Czy ostatnimi czasy Chris i Danny kłócili się o coś? - spytała wreszcie.

- O „coś”? Widać, że nie było cię tutaj bardzo długo. Danny i Chris spierali się o wszystko, poczynawszy od stawek godzinowych, jakie płacimy nowym pracownikom, przez drużyny futbolowe Uniwersytetu Stanowego Luizjany do przewagi coca-coli nad pepsi.

- Nie chodzi mi o nieistotne utarczki słowne, lecz o spór o coś znacznie poważniejszego.

- Religia Danny'ego - odparł bez wahania. - Spierali się o to w klubie, na dzień przed śmiercią Danny'ego. Huff poprosił Chrisa, by porozmawiał z bratem, spróbował go „zawrócić z drogi”. Chris okazał ogromne lekceważenie wobec Boga i Danny się obraził. To żadna tajemnica. Kilka osób obecnych w klubie słyszało ich kłótnię i opowiedziało o niej detektywowi Scottowi.

- Czy któryś z tych świadków słyszał, o czym dokładnie mówili?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Czy Chris powiedział ci, o co poszło? Cofam pytanie - potrząsnęła głową. - Wiem, że i tak nie mógłbyś mi tego powtórzyć.

- Nie mógłbym, ale jeśli już przy tym jesteśmy, to owszem, Chris przyznał się, co powiedział.

Kłócili się o nowo odnalezioną wiarę Danny'ego i uczynił kilka uwag, które bardzo zdenerwowały jego brata. Nie zdradził mi więcej szczegółów.

Frito przyczłapał i trącił ją wielkim łbem. Wyciągnęła rękę i pogładziła go po grzbiecie.

- Jestem zazdrosny - powiedział Beck.

- Rzeczywiście, chyba mnie lubi.

- Nie jestem zazdrosny o ciebie, tylko o Frita - powiedział wyraźnie poruszony, patrząc jej prosto w oczy. - Jak to jest, że w jednej chwili jestem na ciebie cholernie wściekły, a w drugiej chcę być...

- Nie rób tego.

- Czego?
  - Nie mów tego, co chciałeś powiedzieć. Nie flirtuj ze mną. Nie odciągniesz mnie w ten sposób od tematu. Szczerze powiedziawszy, jestem rozczarowana tym, że uważasz mnie za aż tak frywolną osobę.
  - Frywolną? Chyba tak frywolną, jak pociąg po wypadku.
  - To również nie jest pochwała.
  - Nie mogę wygrać, co? Kiedy próbuję cię komplementować, oskarżasz mnie o flirtowanie i rozpraszenie twojej uwagi. Skończmy z tym słownym pojedynkiem. Dlaczego nie powiesz prosto z mostu, o czym myślisz?
  - Ponieważ ci nie ufam.
- Beck uniósł jedną brew.
- Faktycznie, trudno wyrazić się jaśniej.
  - Mógłbyś wykorzystać to, co ci powiem, do własnych celów.
  - A jaki dokładnie jest mój cel? Powiedz mi.
  - Wybronięcie Chrisa z morderstwa. Znowu - rzuciła szorstko.
- Wytrzymał jej spojrzenie przez dłuższą chwilę, zanim odparł:
- Prokurator nie zdołał udowodnić, że Chris zabił Gene'a Iversona.
  - Natomiast obronie nie udało się udowodnić, że faktycznie tak nie było. Wiem od kogoś bliskiego Danny'emu...
  - Kogo?
  - Tego nie mogę zdradzić. Ta osoba powiedziała mi, że Danny zmagał się z jakimś poważnym dylematem moralnym, wyrzutami sumienia.
  - Danny był wzorem cnót. Składał ofiary, chodził do kościoła, gdy tylko mógł. Od kiedy przyłączył się do kongregacji, nie wypił nawet jednego piwa. Z jakiego powodu miałby mieć

nieczyste sumienie?

- Zdaniem tej osoby, Danny zamartwiał się czymś znacznie poważniejszym niż picie piwa. Może chodziło o sprawy związane z odlewnią, o coś nielegalnego. Cokolwiek to było, pożerało go żywcem. Myślę, że chciał zrzucić z siebie ten ciężar, oczyścić się, uwolnić. Chris bał się, że Danny rzeczywiście to zrobi, więc go zabił.

Beck wpatrywał się w Sayre przez chwilę, potem wstał i podszedł do balustrady. Oparł się o poręcz i spojrzał przed siebie. Sayre widziała to samo, co on - bladą poświatę nad wierzchołkami drzew, rozpościerającą się nad fabryką, którą oświetlały lampy, zapalające się automatycznie po zmierzchu. Nad horyzontem wisiał wszechobecny dym, nieruchomy przy bezwietrznej pogodzie. Wydawał się żywą istotą, symbolem dominacji tej rodziny i nieustającą groźbą dla każdego, kto śmiałby kwestionować prawa Hoyle'ów o panowanie nad ich królestwem.

- Naprawdę się na nich zawzięłaś.

- Uważasz, że oskarżanie własnego brata o morderstwo sprawia mi przyjemność?

Wyprostował się, odwrócił do niej, opierając się biodrami o balustradę i krzyżując ręce na piersi.

- Zaczynam tak podejrzewać.

- Mylisz się. Nie chcę nawet myśleć o tym, że Chris byłby zdolny do takiego czynu, ale, niestety, muszę. Zabijanie to nasza rodzinna specjalność.

- O czym ty mówisz?

- Huff zabił człowieka i uszło mu to na sucho.

- Aha. Najpierw Chris, a teraz Huff. - Beck potrząsnął głową z niedowierzaniem. - Nigdy się nie zatrzymujesz, prawda? Bardzo cię proszę, nie wciągaj mnie w tę swoją prywatną wendetę. -

Podszedł do drzwi, otworzył je i gestem kazał psu wejść do środka. Obita siatką zewnętrzną część drzwi zamknęła się za nimi z trzaskiem, Sayre zawahała się tylko przez ułamek sekundy, po czym ruszyła za Beckiem. Wiedziona odgłosami szczekania misek i garnków, odnalazła go w

kuchni, w chwili gdy stawiał patelnię na palniku. Frito tańczył podekscytowany wokół jego nóg.

- Sonnie Hallser - powiedziała Sayre. - Tak się nazywał. Był brygadzystą w fabryce w połowie lat siedemdziesiątych. Agitował za związkami zawodowymi. Wreszcie posprzeczali się z Huffem o warunki pracy w odlewni i...

- Posłuchaj - przerwał jej, podchodząc bliżej. - Wiem o tej sprawie. Nie musisz przybliżać mi szczegółów. Sam o nich czytałem. Huff zaoferował mi... cholera!

Pusta patelnia na gazie zaczęła dymić. Zdjął ją z ognia, postawił na kamiennym blacie i wyciągnął z lodówki dwa jajka. Wbił je na patelnię, szybko podsmażył i wymieszał z chrupkami w misce Frita. Pies rzucił się na kolację, gdy tylko Beck postawił miskę na podłodze.

- Huff zaoferował mi doskonałą pozycję - ciągnął. - Marzenie każdego prawnika. Poza ambitną pracą był jeszcze dom, pokrycie wydatków na samochód, premie, doskonała pensja. Uważasz mnie za dziwkę dlatego, że zaakceptowałem tę posadę? W porządku, myśl sobie, co chcesz, ale jak każda dobra dziwka, zapracowałem sobie na to wszystko. Nie dostaję pieniędzy za nic. Poza tym, jak każda mądra prostytutka, sprawdziłem swojego klienta, zanim wziąłem jego pieniądze. I to bardzo dokładnie. Uważasz, że byłem naiwny albo głupi? Otóż nie. Odrobiłem pracę domową. Jeden z negatywnych artykułów o procesie Chrisa traktował również o innych pracownikach firmy, którzy zginęli w wypadkach związanych z pracą. Sonnie Hallser był jednym z nich. Przeprowadziłem gruntowne badania i dowiedziałem się wszystkiego, czego mogłem, o tym fatalnym wypadku. To prawda, że okoliczności towarzyszące mu były dość niejasne, ale...

- Huff tego dopilnował. Jest sprytny.

- Co ty o tym wiesz?

- Bo byłem świadkiem całej tej historii! Miałam tylko pięć lat, ale wywarło to na mnie okropne wrażenie. Moja matka zamykała się w swoim pokoju, płacząc, a Huff chodził nieustannie zdenerwowany. Pojawili się u nas Rudy Harper i inni ludzie, radząc o czymś z ojcem w środku

nocy, zamknięci w świetlicy. Atmosfera w domu była tak napięta i gęsta, że można ją było krajać nożem. Mimo że byłam dzieckiem, czułam to wszystko i byłam przerażona. Spytałam Selmę, co się dzieje. Powiedziała mi, że niektórzy myślą, iż Huff zabił człowieka i upozorował morderstwo na wypadek przy pracy. Powiedziała mi też, że to obrzydliwe kłamstwo i mam nie słuchać ludzkiej gadaniny. Ale ja słuchałam. Myślałam o tym długo, zastanawiałam się, czy to rzeczywiście nieprawda. Wiele razy widziałam Huffa wściekłego tak, że mógłby kogoś zabić. Długo po tym, jak wszystko wokół sprawy ucichło i życie wróciło do normy, ja wciąż o tym myślałam. Całe lata później przeprowadziłam swoje własne śledztwo.

- Zatem wiesz dobrze, że nie było żadnych podstaw do oskarżenia.

- Może nie z prawnego punktu widzenia, ale jestem przekonana, że Huff zrobił dokładnie to, o co go podejrzewano. Maszyna w fabryce z białym krzyżem, ta, którą widziałam wczoraj. Tam właśnie zginął Sonnie Hallser, prawda?

- Tak powiadają.

- To istny potwór, zdolny zmiażdżyć człowieka. Huff wepchnął tam Hallsera i patrzył, jak tamten umiera.

Wsparłszy ręce na biodrach, Beck pochylił się lekko do przodu i odetchnął kilka razy głęboko.

Gdy się wyprostował, powiedział:

- Policja przeprowadziła wtedy drobiazgowo śledztwo, Sayre.

- Policja została przekupiona.

- Nigdy nie wniesiono oskarżenia o przestępstwo kryminalne.

- Co nie znaczy, że nie zostało popełnione.

- Huff został oczyszczony z wszelkich podejrzeń.

- Sprawę zatuszowano.

- Ponieważ nikt nie potrafił udowodnić, że popełniono przestępstwo! - krzyknął Beck. - Czy się

to komuś podoba, czy nie, tak działa system prawny.

Oddychał ciężko, jego oczy lśniły, rozognione gniewem. Wreszcie skomlenie Frita przedarło się przez ścianę jego agresji. Porzucił wojowniczą postawę i podszedł do tylnych drzwi, żeby wypuścić psa.

- Nie odchodź daleko. Pamiętaj o skunksie - powiedział. - Jesteś pewna, że nie chcesz nic do picia? - spytał, wracając do kuchni.

Sayre pokręciła lekko głową. Wściekłość Becka osłabła. Teraz wydawał się po prostu poruszony i Sayre musiała przyznać, że przydawało mu to urody. Próbowwała na niego nie patrzeć, ale pokonała ją jej własna słabość. Obserwowała więc, jak wyciąga puszkę coli z lodówki i otwiera, z typową męską niedbałością rzucając oderwany kluczyk na stół. Napił się i odstawił puszkę na blat.

- Na czym skończyliśmy?

Sayre oderwała wzrok od jego torsu.

- Na niczym. To strata czasu. Mój błąd. Nigdy nie powinnam tutaj przychodzić.

Zdołała dotrzeć do drzwi kuchennych, gdy Beck podskoczył i położył dłoń na jej ramieniu.

- A tak naprawdę, dlaczego przyszłaś, Sayre?

Nie powinna się odwracać, gdy stał tak blisko. To był bardzo zły pomysł i Sayre dobrze o tym wiedziała. Ale zrobiła to, spoglądając prosto w dołek przy podstawie jego szyi.

- Tak naprawdę? Żeby się dowiedzieć, co trapiło Danny'ego.

- Nie wiem i żałuję, bowiem jeśli bym wiedział, może dowiedziałbym się również, co się z nim stało. Czy to jedyny powód twojej wizyty?

- Tak.

- Nic innego?

- Nie.



- Nie wierzę ci.

Sayre podniosła głowę i spojrzała na Becka.

- Myślę, że przyjechałaś tu, bo chciałaś się ze mną zobaczyć - ciągnął. - I cieszę się, że to zrobiłaś, bo ja też chciałem cię zobaczyć. Nie jestem aż taki straszny, za jakiego mnie uważasz.

- Owszem, jesteś, Beck. Tragedia polega na tym, że nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy. Może na samym początku nie byłeś taki. Nie wiem. Teraz jednak jesteś tak samo skorumpowany, jak mój ojciec i brat. W takim stopniu, że równie dobrze mógłbyś się urodzić złym człowiekiem.

Uwiedli cię trzy lata temu, i to tak kompletnie, że nie potrafisz już odróżnić tego, co dobre, od tego, co celowe. Pani Paulik o tym wie i ja także. Oddałeś im swoją duszę.

- No dobrze, założmy, że masz rację, jestem oportunistą, zepsutym do szpiku kości. Jeśli tak, dlaczego w ogóle pozwoliłaś mi się do ciebie zbliżyć? - mówiąc to, przysunął się do niej. - Musi być we mnie coś, co sprawia, że mnie lubisz.

Sayre próbowała się odsunąć, ale Beck jej nie pozwolił.

- Porozmawiajmy o wczorajszej nocy.

- Nie, Beck.

- Dlaczego nie? Jesteśmy dorośli.

Roześmiała się ponuro.

- Czy tak właśnie zachowują się dorośli?

- Czasami, jeżeli mają szczęście... Chociaż tobie poszczęściło się bardziej niż mnie - dodał ciszej.

Sayre zamknęła oczy, żeby nie widzieć jego uśmiechu.

- I co takiego straszego się stało, Sayre? - zapytał miękko. - Poddałaś się instynktowi. Czy to takie okropne?

- Dla mnie? Tak.

- Musisz sobie wybaczyć to, że okazałaś się człowiekiem. Przez cały dzień targały tobą silne

emocje, a ty ani razu nie podniosłaś głosu, nie zapłakałaś ani się nie roześmiałaś. Twoje uczucia nie znalazły żadnego ujścia. Utrzymywałaś kontrolę, tę swoją chłodną, surową postawę, dusząc wewnątrz wszystkie emocje, aż osiągnęły stan wrzenia. Seks był wentylem bezpieczeństwa.

Otworzyła oczy.

- To, co zdarzyło się zeszłej nocy, było spowodowane gniewem i nie miało nic wspólnego z seksem.

Beck skrzywił się lekko i spojrzał na nią z wyrzutem.

- Byłem tam przecież, Sayre, pamiętasz? To, co się zdarzyło, to jak najbardziej seks.

- Byłam wściekła. Chciałeś mnie obrazić i upokorzyć.

- Chyba sama w to nie wierzysz.

- Owszem, wierzę.

Beck potrząsnął głową.

- Gdybyś rzeczywiście tak sądziła, nie byłoby cię tutaj.

Miał rację. Jeżeli to nie był seks, to jego bardzo dobra imitacja. Wszystkie sensacje, jakich doświadczała za każdym razem, gdy widziała Becka, miały zabarwienie seksualne. Świadomość jego obecności, nasycona seksem. Uderzenie hormonów do głowy. Nagła potrzeba, aby go objąć, znaleźć się w jego ramionach, nabrzmiała seksem. Pragnienie czysto seksualne, aby doprowadził ją do stanu wrzenia, do kulminacji, która paraliżowała wszelkie myśli. Byłoby cudownie poddać się pragnieniu, wykorzystać tego atrakcyjnego mężczyznę, zatracić się w fizycznych odczuciach.

Ale ten mężczyzna był Beckiem Merchantem, najlepszym przyjacielem Chrisa i klakierem Huffa.

- Nie mogę tego zrobić, Beck - wyszeptała.

- Ja też nie. Z wielu powodów to bardzo zła rzecz. Położył dłonie na jej talii i przyciągnął do

siebie. - Mimo to chcę cię mieć w swoich ramionach, dotknąć każdego fragmentu twojego ciała.

A potem ją pocałował. Jego usta były ciepłe, język zwinny i Sayre poddała się zupełnie. Jęknęła

nawet cicho na znak protestu, gdy Beck się odsunął. Dotknął kostką palca wskazującego ranę na jej dolnej wardze.

- Nie za mocno?

- Nie.

Uśmiechnął się.

- A może za słabo?

Dotknął wrażliwego miejsca koniuszkiem języka, pocałował je delikatnie, a potem pocałował ją mocno, zachłannie. Jego dłoń przesunęła się z talii ku jej piersi. Gdy palce chwyciły delikatnie sutek, poczuła uderzenie pragnienia, niczym atak potwornego głodu. To było cudowne. Pożądanie, pragnienie, jakkolwiek to nazwać, było cudowne, kuszące i przerażające zarazem, ponieważ wiedziała, że jeśli nie przerwie tego teraz, popełni kolejny błąd, jeszcze gorszy w skutkach niż ten poprzedniej nocy.

- Nie mogę tego z tobą zrobić - powiedziała bez tchu.

Zanim Beck miał szansę zareagować, odepchnęła go i pobiegła w stronę wyjścia. Zatrzymała się jednak jak wryta, gdy weszła do dużego pokoju.

Na kanapie siedział Chris, ze skrzyżowanymi nogami i rękami, uśmiechając się bezczelnie.

- Powinienem chrząknąć, ale nie chciałem wam przeszkadzać. - Przyjrzał się Sayre z ironią, a potem przeniósł wzrok na Becka. - Weź zimny prysznic. Chyba potrzebuję mojego prawnika.

Gdy przybyli na miejsce, Rudy Harper spacerował w tę i w tę po chodniku przed posterunkiem. Palił, ale Beck odniósł wrażenie, że przerwa na papierosa posłużyła szeryfowi jako pretekst do wyjścia z biura i spotkania się z nimi, zanim wejdą do środka. Pierwsze zdanie wypowiedziane przez Rudego potwierdziło jego przypuszczenia:

- Chciałem tylko, żebyście wiedzieli. Nie miałem z tym nic wspólnego.

- Z czym? - spytał Beck.

- Scott działał na własną rękę. Nie wiedziałem o niczym aż do tej pory. Chris, lepiej uważaj.

Chris przysunął twarz na odległość centymetra od twarzy szeryfa.

- A ty, dupku, skoro nie potrafisz załatwić tej sprawy, od razu zacznij się rozglądać za nową robotą.

Nie była to czcza pogrożka i Rudy dobrze o tym wiedział. Jeżeli nie zdoła ochronić Hoyle'ów, nie będzie miał nikogo, kto pomógłby mu się wybronić z ewentualnego śledztwa dotyczącego jego korupcji. Zaciągnął się dymem i zgasił niedopałek.

- Lepiej wejdźmy do środka.

Wayne Scott, jak zwykle odpicowany, czekał na nich w biurze Rudego. Przywitał ich poważnym skinieniem głowy i podziękował za przybycie w tak krótkim czasie.

- Najlepiej będzie, jeśli wyjaśnimy to jak najszybciej.

- Co dokładnie wymaga wyjaśnienia? - zapytał Chris.

- Pozwól mi się tym zająć - powstrzymał go Beck. Usiedli na tych samych krzesłach, co przy poprzednim spotkaniu. Rudy siedział naprzeciwko nich, detektyw Scott zaś stanął prawie na baczność tuż za nim. Szeryf Harper odchrząknął.

- Ta sprawa, emm... obawiam się, wymaga komentarza. - Wyciągnął w stronę Becka kartkę papieru, zadrukowaną pismem komputerowym.

- Poprosiłem o udostępnienie billingu pańskich rozmów telefonicznych, panie Hoyle - powiedział Scott. - Oto zapis rozmów, jakie przeprowadził pan ze swojego telefonu komórkowego w dniu śmierci pańskiego brata. Podkreśliłem rozmowy, o które nam chodzi.

Beck dostrzegł szereg cyfr zaznaczonych żółtym markerem.

- Czy ta rozmowa odbyła się przed południem? - spytał, dostrzegłszy odnotowany czas.

- Tak, proszę pana. O siódmej rano w niedzielę pan Hoyle zadzwonił na telefon komórkowy ofiary.

Nie umknęło uwagi Becka, że Danny stał się „ofiara”.

- No i proszę, przyłapał mnie pan na gorącym uczynku, detektywie. Zadzwoniłem do mojego brata. Niech mnie pan lepiej zakuje w kajdanki, zanim ucieknę i wmieszam się w niczego nieświadomy tłum.

Beck rzucił Chrisowi ostrzegawcze spojrzenie, potem z pokerową miną zwrócił się do Scotta:

- Podobnie jak mój klient, nie widzę w tym nic dziwnego.

- Problem w tym, że pan Hoyle powiedział nam wcześniej, iż w niedzielę spał do późna, mniej więcej do jedenastej. Nie wspominał, że obudził się około siódmej i rozmawiał przez telefon z bratem, co zresztą samo w sobie wydaje się dość dziwne. Czy na krótko przed owym telefonem Danny Hoyle nie spał przypadkiem w pokoju obok?

- Ustaliliśmy, że Danny wrócił do domu w sobotę tuż przed północą - odezwał się Rudy Harper. - Spędził noc u siebie w pokoju, ponieważ w niedzielę rano Selma ścieliła jego łóżko. Wypił z nią filiżankę kawy w kuchni pomiędzy szóstą trzydzieści a siódmą, a potem udał się na poranną modlitwę mężczyzn, która odbywa się w kościele w każdą niedzielę. Po jakichś czterech minutach od opuszczenia domu zadzwoniłeś do niego na komórkę - zwrócił się bezpośrednio do Chrisa.

Zanim ten miał szansę otworzyć usta, odezwał się Beck:

- Ktoś inny mógł użyć telefonu Chrisa. Selma. Huff. Ja. Wszyscy mieliśmy do niego dostęp.

- Gdzie pan trzyma swoją komórkę, panie Hoyle?

Chris spojrział na Becka, sygnalizując, że chce odpowiedzieć na pytanie.

- Sugeruję, żebyś nie mówił ani słowa, dopóki tego nie przedyskutujemy - przestrzegł go Beck.

- To nie ma znaczenia. To jakaś parodia. - Chris zignorował ostrzeżenie swojego adwokata. -

Nikt inny nie korzystał z mojego telefonu w niedzielę rano. Był na szafce nocnej w moim pokoju,

razem z portfelem i wszystkim, co wyjąłem z kieszeni spodni poprzedniego wieczoru. To ja

dzwoniłem rano do Danny'ego. Nie będę zaprzeczał. Macie przecież dowód - powiedział,

machając ręką w stronę listy. - Nie wspominałem o tym, ponieważ zupełnie wyleciało mi z głowy

jako zupełnie nieważna drobnostka. Obudziłem się, żeby skorzystać z toalety. Jeżeli twierdzicie,

że było to około siódmej, to zapewne macie rację. Nie sprawdziłem godziny, zupełnie mnie to nie

interesowało. Wracałem właśnie do łóżka, kiedy usłyszałem odgłos zapalającego silnika.

Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem, że Danny odjeżdża swoim samochodem. Przypomniałem

sobie wtedy, że Huff chciał, aby Danny pojawił się na kolacji w domu. Nawet gdyby w taberna-

kulum tego świątobliwego przybytku miał się pojawić święty Piotr, Huffa nic to nie obchodziło.

Powtarzam jego własne słowa. Miałem kaca i szczerze powiedziawszy, nie dbałem o to, gdzie

mój brat będzie się stołował tego wieczoru. Wiedziałem jednak, że jeżeli Danny nie pojawi się na

kolacji dlatego, że zapomniałem mu o tym powiedzieć, wszyscy będziemy musieli znosić przy

stole zły humor Huffa. To właśnie mi się przypomniało, więc zadzwoniłem do niego. Gdybym

poszedł spać, mógłbym o tym zapomnieć. Ostrzegłem go i powiedziałem, że jeśli nie chce

wkurzyć Huffa, powinien być z nami przy kolacji. Danny obiecał, że to zrobi. Poprosiłem go

jeszcze, żeby rzucił na tacę piąta za wszystkie grzechy, jakie popełniłem poprzedniego dnia.

Roześmiał się i odrzekł, że piątek prawdopodobnie nie wystarczy, by przebłagać za moje

występki. Potem kazał mi wracać do łóżka, obiecał, że się na pewno pojawi wieczorem i

skończył rozmowę. - Uśmiechnął się uprzejmie, choć z pogardą. - A teraz, detektywie Scott, jeżeli sądzi pan, że na tej podstawie można oskarżyć mnie o morderstwo, to jest pan jeszcze bardziej żalosny, niż myślałem.

Obraza spłynęła po nienagannym mundurze Scotta niczym woda po kacze.

- Ma pan rację, sam w sobie byłby to raczej niesolidny dowód. Jest jednak jeszcze kwestia czasu.

- Czasu? - Beck spojrział na Rudego, który opierał szczękę o zaciśniętą pięść. Wyglądał żałośnie i nie patrzył im w oczy.

- Tak, panie Merchant - odparł Scott. - Czy mogę zadać panu pytanie?

- Może pan, co nie znaczy, że udzielę na nie odpowiedzi.

- O której godzinie dołączył pan do pana Hoyle'a, który oglądał baseball?

Pytanie Scotta wydawało się dość niewinne.

- Gra rozpoczęła się o trzeciej. Kiedy przyszedłem do biblioteki, byli w drugiej rundzie, musiało więc być dwadzieścia po trzeciej.

- Pan Hoyle był w domu?

- W bibliotece.

- I spędził pan z nim resztę popołudnia?

- Do chwili przybycia szeryfa Harpera i pana. O co dokładnie chodzi, detektywie?

- Chodzi o dwie godziny pomiędzy dwunastą trzydzieści a drugą dwadzieścia, kiedy to nikt nie może dostarczyć panu Hoyle'owi alibi.

Chris skreślił do Sonica. Zważywszy na powagę sytuacji, Beckowi wydawało się to niepoważne.

Co noc latem krążyły tu samochody pełne nastolatków. Dzieciaki trąbiły na siebie, chłopcy wykrzykiwali różnorakie aluzje w kierunku dziewcząt, te zaś odpowiadały im „pocałuj się” lub podobnymi wyrażeniami. Niektórzy gromadzili się wokół metalowych stolików piknikowych, przytwierdzonych do betonowych obciążników. Zjadali frytki posypane chilli i wywoływali

awantury dla rozrywki.

- Co my tu robimy? - spytał Beck, przekrzykując Beach Boysów, wrzeszczących z głośników na zewnątrz klubu.

- Mam ochotę na coś do picia. - Chris zaparkował samochód na wolnym miejscu i złożył zamówienie do mikrofonu. Potem spojrzał na Becka.

- Lepiej, żebyś miał dobre wytłumaczenie, Chris.

- Detektyw Scott zaczyna mnie wkurzać.

- Powiedziałeś, że Selma może poświadczyć, iż byłeś w domu przez cały dzień.

- Nie wiedziałem, że powie im o swojej popołudniowej drzemce.

- Co pozostawia cię bez alibi na całe dwie godziny. Wychodziłeś w tym czasie z domu? Tym razem lepiej nie kłam.

- A jeśli wychodziłem, to co?

- Jeśli wychodziłeś, to miałeś możliwość zamordować Danny'ego, ponieważ, jak ustalił coroner, umarł dokładnie w tym czasie, w którym nikt nie może zaświadczyć, że z tobą przebywał.

Kelnerka przyniosła zamówione soki z kruszonym lodem. Chris zapłacił, wręczając suty napiwek. Pociągnął nieco przez rurkę i burknął, że jedyną wadą napoju jest brak solidnej porcji tequili.

- Chris, kiedy wreszcie obudzisz się i zrozumiesz, że jesteś w poważnych tarapatach? - spytał Beck, zdenerwowany niefrasobliwością przyjaciela. - Co miał oznaczać ten idiotyzm z telefonem? Nie mogłeś wymyślić lepszej historyjki niż tę o zaproszeniu Danny'ego na niedzielną kolację? Od razu widać, że to jakaś bzdura. To jasne jak słońce i dla mnie, i dla policji. Kiedy Huff dołączył do nas tamtego popołudnia i zapytał, czy któryś z nas kontaktował się z Dannym, nie wspomniałeś ani słowem o waszej porannej rozmowie telefonicznej.

- Zapomniałem o niej.



- Zapomniałeś? - parsknął Beck. - A to dobre! Już rozmawialiśmy o tym, jak doskonałą linię obrony stanowi takie tłumaczenie.

- W porządku, Beck. Chcesz usłyszeć coś lepszego? A co by było, gdybym powiedział Rudemu i detektywowi Scottowi, że zadzwoniłem do Danny'ego z prośbą, aby spotkał się ze mną w domku rybackim? Właśnie tak - dodał, widząc zdumienie Becka. - Dlatego z nim rozmawiałem. W niedzielę po południu nie wspominałem o niczym Huffowi, ponieważ nie wypełniłem powierzonej mi misji, a nie byłem w nastroju do wysłuchiwania jego kolejnej tyrady. Jakby to wyglądało, gdybym przyznał się do tego naszym szacownym przedstawicielom prawa? Wolałbyś, żebym to zrobił?

Beck wypuścił głośno powietrze z płuc.

- Nie. To zdecydowanie byłoby niepożądane. - Odstawiając niechciany napój na specjalną półeczkę, wpatrzył się przez szybę w charakterystyczną linię maski. Lubił pikapy, natomiast Chris uwielbiał szybkie, luksusowe, sportowe wozy. - Od tej pory - zwrócił twarz ku przyjacielowi, żeby zaakcentować swoje słowa - masz z nikim nie rozmawiać. I tak powiedziałeś już za dużo.

- Scott mnie prowokuje.

- Wie o tym. Drażni cię, a potem wykorzystuje twoje lekceważenie, aby uzyskać od ciebie to, co chce. Musisz się nauczyć trzymać gębę na kłódkę.

- Mówisz tak, jakbyś uważał, że jestem winny, Beck - odparł Chris, spoglądając mu prosto w oczy. - Nie zabiłem mojego brata. Nie byłem w domku rybackim.

- Więc dlaczego, na wszystkie świętości, poprosiłeś go, żeby się tam z tobą spotkał?

- Poprzedniego dnia bardzo się posprzeczailiśmy. Nie udało mi się przemówić mu do rozsądku. Kiedy tamtego ranka zobaczyłem, jak wychodzi do kościoła, pomyślałem, że, do cholery, nie udało mi się zrobić wyłomu w jego przekonaniach! Pomyślałem, że może z dala od ludzi i cy-

wilizacji, w ciszy i spokoju, będziemy umieli dogadać się z lepszymi skutkami i bez nerwów.

Dodatkowo uznałem, że w razie czego moje szczerze chęci do porozmawiania z Dannym udobruchają Huffa. Ojciec szczerze się martwił wpływem, jaki wywierały na mojego brata te religijne nonsensy, i chciał to ukrócić.

- Czy Danny zgodził się z tobą spotkać?

- Nie. To właśnie mnie zastanowiło. Powiedział, że prędzej umrze... - Chris przerwał, zdając sobie nagle sprawę ze znaczenia tych słów. Przyłożył dłoń do czoła i westchnął: - Chryste.

- Rozumiem, o co chodzi. Mów dalej.

- Kiedy Rudy oznajmił nam, że Danny został znaleziony martwy w domku rybackim, oniemiałem. Nie dosyć, że mój brat umarł, co samo w sobie było wystarczającym szokiem, to w dodatku zginął w miejscu, w którym chciałem się z nim spotkać.

- Nie poszedłeś tam?

Chris stanowczo potrząsnął głową.

- Powiedziałem Danny'emu, że będę tam na niego czekał. Miałem nadzieję, że zmieni zdanie i spotka się ze mną. Ale on odpowiedział: „Nie fatyguj się, Chris. Nie przyjdę”. Tego popołudnia było cholernie gorąco, miałem kaca i nie chciało mi się nic robić. Przyjąłem więc jego słowa za pewnik i zdecydowałem, że olewam sprawę i nigdzie nie idę. Najwyraźniej jednak Danny wziął sobie do serca moje słowa i poszedł do domku, oczekując, że tam będę.

- Nie sędzę, byś przekonał sąd o swojej niewinności tłumaczeniem, że Danny zastrzelił się, ponieważ nie zastał cię na miejscu.

- Czy to miał być sarkazm?

- Owszem. Niemniej, jest dobrą ilustracją tego, jak wiele nieścistości tkwi w twojej opowieści.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Myślisz, że dlaczego trzymałem to w tajemnicy?

- Nawet przede mną?

- Zwłaszcza przed tobą.

- Dlaczego?

- Ponieważ wiedziałem, jak cię wkurza, że nie powiedziałem ci od razu.

Beck oparł głowę na oparciu fotela i zaczerpnął powietrza. Kłócenie się z Chrisem o fakty dokonane było pozbawione sensu. Musiał skoncentrować się na naprawieniu wyrządzonych szkód.

- Powiedz mi, co twoim zdaniem przytrafiło się Danny'emu, gdy znalazł się w domku rybackim.

- Już to zrobiłem, ale ty tego nie kupiłeś.

- Chodzi o tę historię, że ktoś próbował cię zrobić?

- Tak właśnie myślę. Rozmawiałeś z Rudym na temat Klapsa Watkina?

- Dziś po południu, najwyraźniej zanim jeszcze Scott zdobył listę telefonów, opowiedziałem Rudemu o naszym spotkaniu z Watkinsem. Dodałem, że niedawno Danny odrzucił jego podanie o pracę i wspomniałem o komentarzach Klapsa w stosunku do nas i do Sayre.

- Jak zareagował?

- Powiedział, że to marne podstawy, ale nie zignoruje niczego, co ma związek z Klapssem Watkinsem. Obiecał, że będzie miał na niego oko.

Chris zmarszczył brwi.

- Nie wysilił się zbyt, ale przypuszczam, że lepsze to niż nic.

- Jakim cudem Watkins albo ktokolwiek inny mógłby cię zrobić, Chris? Kto mógł wiedzieć o waszej rozmowie z Dannym i o planowanym spotkaniu?

- Nikt, ale ktoś, kto śledził Danny'ego, wyczekując odpowiedniego momentu, by go zabić, mógł wypatrzeć, że mój brat jest sam w naszym domku rybackim.

- I ów ktoś użyłby strzelby, która była własnością waszej rodziny?

- Jeżeli chciałby rzucić podejrzenie na jednego z jej członków - odparł gniewnie Chris. - Mógł

jakoś unieruchomić Danny'ego, a potem ściągnąć broń znad drzwi i strzelić mu w usta. W każdym znanym mi domku rybackim jest jakaś śmiercionośna broń, jeśli nie strzelba, to siekiera, sznur, szczapa drewna na opał, żyłka wędkarska i tak dalej. Mógł go zaciągnąć nad wodę i utopić.

Beck pomyślał, że historyjka Chrisa jako żywo przypomina piosenki Buddy Holly'ego o Peggy Sue.

- Kiedy ostatnio byliśmy tam razem, nie załadowałem strzelby, zanim odwiesiłem ją na ścianę. Zabójca musiałby najpierw znaleźć pudełko z nabojami, a tylko stali bywalcy domku wiedzieli, gdzie się znajdują. Policja zebrała zewsząd odciski palców. Nie znaleziono śladów nikogo, poza moimi i waszymi.

- To proste. Morderca miał rękawiczki.

To przypomniało Beckowi o kolejnej nieprzyjemnej sprawie.

- Chris, co miałeś na sobie tamtego dnia?

Zanim opuścili biuro szeryfa, Scott poprosił Chrisa o przyniesienie ubrania i butów, które miał na sobie niedzielne popołudnia. Chris odrzekł, że nie pamięta, w co był ubrany, a zresztą, cokolwiek miał na sobie tamtego dnia, Selma prawdopodobnie dawno już to uprała lub odniosła do pralni chemicznej.

- Tak jak powiedziałem Scottowi, nie pamiętam. Spodnie i koszulkę golfową? Nie wiem.

- Kiedy pojawiłem się w waszym domu, miałeś na sobie pasiastą koszulę z kołnierzykiem i czarne dockersy.

Chris uniósł brwi ze zdziwieniem.

- Od kiedy to zwracasz uwagę na to, co noszę? Zakochałeś się we mnie czy co? - Roześmiał się. -

Nie, to niemożliwe, zwłaszcza po tym, jak używałeś języka do badania migdałków Sayre.

Beck nie dał się sprowokować do zmiany tematu.

- Pamiętam, co na sobie miałeś, ponieważ kiedy wszedłem do domu, ociekałem potem. Koszulę na plecach miałem kompletnie moką, i to zaledwie po krótkiej przejażdżce. Różnica między nami była uderzająca. Wyglądałeś jak spod igły. Założę się, że chwilę wcześniej byłeś pod prysznicem, prawda?

- A co to za różnica?

- Taka, że jeśli wezwą Selmę na świadka, będzie musiała zeznać pod przysięgą, czy widziała twoje rzeczy w koszu na brudną bieliznę pomiędzy sobotnim wieczorem, kiedy to pojechałeś do Breaux Bridge, a niedzielnym popołudniem. Opowie wtedy wszystkim, że około trzeciej po południu brałeś prysznic. Zaraz po tym, jak twój brat został śmiertelnie postrzelony w głowę. - Spojrzał twardo na Chrisa. - Wychodziłeś z domu w niedzielę?

Chris wpatrywał się w Becka, a potem spuścił wzrok z westchnieniem. Uniósł ręce w geście poddania.

- Przyznaję się do winy.

Beck poczuł na piersi stutonowy ciężar, lecz mimo to zadał sobie wiele trudu, aby zachowywać się i mówić spokojnie.

- Gdzie byłeś i dlaczego musiałeś wziąć prysznic i zmienić ubranie, zanim przyszedłem do was z wizytą?

- Pamiętasz ten inkryminujący dowód rzeczowy na sukience Moniki Lewinsky? - Chris rozłożył szeroko ręce i uśmiechnął się konfidencjonalnie. - Przyłapany bez prezerwatywy, uwierzysz? W moim wieku! Musiałem z niej wyjść, zanim doszedłem.

- Z kogo?

- Z Lili. Wiedziałem, że George gra w golfa z Huffem, więc wpadłem do niej po porcję popołudniowej rozkoszy.

- Do diaska, dlaczego mi o tym nie powiedziałeś? Dlaczego nie przyznałeś się podczas

pierwszego przesłuchania, z kim byłeś? Lila jest twoim alibi.

- Szeryf na pewno ucieszy się z tego powodu.

Upłynęło kilka minut, zanim Beck skojarzył fakty.

- O cholera - jęknął.

- No właśnie. Lila jest córką jego siostry. Nie zabiłem swojego brata, ponieważ w tym czasie odwiedzałem siostrzenicę Rudego. Wolałem mu tego nie mówić, chociaż w chwili obecnej nie pałam do niego nadmierną miłością.

- Jeżeli będziesz zmuszony do dostarczenia alibi, czy Lila zechce zeznawać na twoją korzyść?

- Wolałbym jej w to nie mieszać - skrzywił się Chris. - Nie dosyć, że jest siostrzenicą Rudego, to wcale nie jestem pewien, czy naraziłaby na szwank swoje małżeństwo z George'em, przyznając się do romansu. Nieustannie się z niego naigrawa, ale George rozpuścił ją jak dziadowski bicz. Kupuje wszystko, czego ona tylko zapragnie. Jest w niej kompletnie zadurzony i jak długo od czasu do czasu Lila mu daje, oboje są zadowoleni. Najprawdopodobniej skłamałaby, pragnąc ochronić piernaty, na których spoczywa.

- Byłeś z nią przez całe dwie godziny?

- Szczerze mówiąc, nie patrzyłem na zegarek, ale to by się mniej więcej zgadzało.

- Czy ktoś widział cię w ich domu?

- Oboje zadajemy sobie wiele trudu, aby się tak nie stało.

- W porządku. Będziemy trzymać Lilę w odwodzie. Użyjemy jej zeznań tylko w ostateczności.

- To nie będzie konieczne - powiedział Chris. - Nie mają na mnie nic oprócz kilku poszlak.

Ponieważ już raz stanąłem przed sądem oskarżony o morderstwo, wiem z doświadczenia, że to nie wystarczy.

- Tym razem jest inaczej, Chris. Tym razem mają ciało.

- No tak, ciało. Staram się o tym nie myśleć. Cieszę się, że Rudy potrafił zidentyfikować

Danny'ego bez potrzeby angażowania nas w tę sprawę. Widziałeś, jak wyglądał w środku domek rybacki. Nieźle nabrudzone, prawda?

- Dlatego właśnie chcieli przyjrzeć się twojemu ubraniu. Zabójca zostałby spryskany...

- Beck, wystarczy, dobrze?

- Powstrzymaj mdłości, Chris. Jeżeli dojdzie do procesu, pokażą na nim fotografie z miejsca przestępstwa.

- Nie dojdzie do procesu, a jeśli nawet, to nie będzie mój proces.

Zamilkli na chwilę. Chris dokończył pić i nagle ni stąd, ni zowąd zapytał:

- Przeleciałeś już Sayre?

- Słucham?

- Popatrzcie tylko na twarz tego faceta. Zaskoczenie, niewinność i święte oburzenie. Skąd w ogóle przyszedł mi do głowy taki pomysł - zaśmiał się Chris. - No więc? Udało ci się?

- Powinieneś się martwić ważniejszymi rzeczami - odparł sucho Beck.

- Nie tylko ja poczułem, że coś się święci. Huff też to zauważył.

- Nie ma żadnego „coś”.

- Hm, w takim razie to iskrzenie między wami w twojej kuchni było zapewne spowodowane szwankującą instalacją elektryczną.

Beck spojrzał ze złością na przyjaciela.

- Jeżeli nie została z twojego powodu, to co ją tutaj jeszcze trzyma? - upierał się Chris. - Sayre nienawidzi Destiny i jej mieszkańców, a zwłaszcza tych, którzy noszą nazwisko Hoyle.

Beck nie wspomniał, że Sayre podejrzewała Chrisa o zamordowanie ich młodszego brata.

Zapewne jej brat przejąłby się tym równie głęboko, jak on sam. Beck martwił się również tym, co Sayre będzie próbowała zrobić, żeby dowieść swojej racji. Nie należała do osób, które łatwo się zniechęcają i chociaż znał ją zaledwie od kilku dni, zdążył się już zorientować, że gdy raz wbije

sobie coś do głowy, nie ustąpi, dopóki wszystko nie pójdzie zgodnie z jej planem.

- Zdecydowanie chodzi jej o twojego małego - orzekł Chris.

- Dzięki.

- Nie byłbym jednakże prawdziwym przyjacielem, gdybym cię nie ostrzegł. Sayre jest...

- Opuść sobie, dobrze?

Chris uśmiechnął się kpiąco.

- Wyjąłeś mi to z ust, stary.



Było gorąco.

To jedno z pewnością można było powiedzieć o lecie w delcie Missisipi. Rok 1945 nie należał pod tym względem do wyjątków. Panował tu taki upał, że nawet koniki polne umierały na udar słoneczny. Pomidory dojrzewały i pękały, zanim ktokolwiek zdołał je zerwać z krzaka. Pewnego razu, kiedy Huff i jego tata byli bardzo głodni, zebrali kilka przejrzałych owoców, które spadły na ziemię, oczyścili je z kurzu i mrówek, i zjedli na kolację.

Huff miał wtedy osiem lat. Wszyscy ludzie dookoła rozprawiali o zwycięstwie nad Niemcami. Pokonanie cholernych Japońców miało być tylko kwestią czasu. W niemal każdym mijanym mieście odbywały się parady. Ludzie powiewali flagami, nie konfederacyjnymi, ale flagami USA. Huff nie rozumiał, skąd to całe zamieszanie. Wojna nie dotknęła w żaden sposób ani jego, ani taty. Ojciec nie poszedł do wojska. Huff nie wiedział dlaczego, ponieważ większość mężczyzn w tym wieku nosiło taki czy inny mundur. Pociągi wyładowane były żołnierzami i marynarzami i pewnego razu zdarzyło się, że obaj jechali w tym samym przedziale, co jacyś mundurowi. Huff nie lubił podróżować z żołnierzami. Tata najwyraźniej też nie - zazwyczaj zabierał go stamtąd i szukał innego wagonu. Tym razem jednak powiedział, że wszystko jest w porządku, bo ci mężczyźni walczyli za ojczyznę.

Huff nie rozumiał, dlaczego wojsko nie chciało taty, skoro przyjmowało nawet czarnych. Doszedł do wniosku, że to przez niego. Co by się z nim stało, gdyby tata pojechał zabijać nazistów i Japońców? Przez cały czas podróżowali, nigdzie się nie zatrzymywali na dłużej, to może w wojsku nie znali nawet nazwiska taty. A może armia była taka sama, jak wszyscy - po prostu nie chciała jego ojca, uznała go za nic niewartego głupka, a nie za ubogiego, niewykształconego człowieka.

Tata żył w czasach Wielkiego Kryzysu. Huff nie wiedział dokładnie, co to znaczy, ale zdawał

sobie sprawę, że było wtedy bardzo źle. Tata próbował mu to kiedyś wytłumaczyć i z tego, co mówił, Huff zrozumiał, że Kryzys był jak wojna, ponieważ ogarnął cały kraj, tylko że tym razem wrogiem była bieda. Jego tata i cała rodzina przegrali. Ale oni i tak zawsze byli biedni. To dlatego tata skończył zaledwie trzy lata szkoły. Potem musiał pracować na plantacji bawełny razem ze swoim ojcem, a czasem nawet i mamą. „Jej ręce krwawiły i zawsze miała przy piersi dzieciaka albo dwoje”, opowiadał ze spuszczonego wzrokiem.

Latem 1945 roku rodzice taty już dawno nie żyli, podobnie jak mama Huffa. Kiedy Huff zapytał, co ich zabiło, tata odpowiedział: „Pewnie bieda”.

O pracę było jeszcze trudniej niż zazwyczaj, ponieważ wielu powracających z wojny żołnierzy szukało dla siebie zajęcia, a nie było wystarczająco wielu posesji. To cud, że pan J. D. Humphrey zatrudnił tatę Huffa do pracy na złomowisku. Była to brudna i ciężka robota, ale ojciec przyjął ją z wdzięcznością i starał się, jak mógł. Gdy ktoś przychodził do zakładu pana J. D. Humphreya w poszukiwaniu części zamiennej do jakiegoś starego modelu samochodu, tata przeszukiwał tony złomu, dopóki nie znalazł tego, czego potrzebował klient. Pod koniec każdego dnia był ubrudzony kurzem i smarem, krwawił z kilku głębokich rozcięć zrobionych przez rdzewiejącą blachę, a mięśnie bolały go od wyciągania silników z upartych podwozi. Był jednak tak szczęśliwy ze stałego etatu, że nigdy nie narzekał,

Huff spędzał z nim czas na złomowisku. Był mały jak na swój wiek i zbyt wstydlivy, żeby rozmawiać z kimkolwiek oprócz taty. Pozwalano mu wykonywać różne drobne roboty, jak na przykład przynosić potrzebne narzędzia z szopy albo układać bieżnikowane opony. Pan J. D. Humphrey dał mu nawet kiedyś używaną dętkę, łataną już tyle razy, że do niczego się nie nadawała. Huff bawił się nią na zakurzonej placu, podczas gdy tata pracował od świtu do nocy co dzień, z wyjątkiem niedziel. Powiedział mu, że jeśli tak dalej pójdzie, na jesieni Huff będzie mógł rozpocząć naukę, wprawdzie z lekkim opóźnieniem, ale na pewno szybko nadrobi

zaległości. Huff nie mógł się doczekać, kiedy pójdzie do szkoły, tak jak inni chłopcy. Wiele razy obserwował ich z daleka, kiedy śmiali się i szaleli na dziedzińcu, podając sobie piłkę albo uganiając się za dziewczynami, które piszczały, chichotały i nosiły wstążki we włosach.

Tego lata mieszkali z tatą w opuszczonej chałupie. Jej poprzedni mieszkańcy zostawili po sobie kupę śmieci, ale też bawełniane materace i kilka rozchwierutanych mebli. Huff i tata wyrzucili stamtąd wszystkie niepotrzebne rzeczy i wprowadzili się.

Noc, która na zawsze zmieniła życie Huffa, była jak zwykle gorąca, ale bardziej duszna niż inne. Pot nie parował, lecz ściekał po skórze, pozostawiając na niej brudne smugi, i kapał na zakurzoną ziemię, tworząc w niej małe kraterki, niczym pierwsze krople deszczu. Powietrze było tak ciężkie i gęste, że z trudem się oddychało. W drodze powrotnej ze złomowiska tata zauważył, że było wyjątkowo gorąco i duszno i przepowiedział nadchodzącą burzę.

Właśnie usiedli do kolacji złożonej z zimnego boczku, chleba i dzikich śliwek, które zebrali po drodze, gdy usłyszeli nadjeżdżający samochód.

Nikt nigdy ich nie odwiedzał, więc kim był gość?

Serce Huffa ścisnęło się ze strachu. Z wysiłkiem przełknął kęs chleba. To pewnie właściciel szopy, który będzie się chciał dowiedzieć, co do cholery obaj robią w jego domu, śpią na jego materacach i jedzą przy jego trójnogim stole. Wyrzuci ich stąd i stracą dach nad głową. A co będzie, jeżeli nie znajdą innego domu przed wtorkowym Świętem Pracy, zanim rozpocznie się szkoła? Huff żył myślą o tym dniu. Tata zaznaczył go w kalendarzu ze zdjęciem nagiej kobiety, który pan J. D. Humphrey miał w swoim biurze. Tego dnia Huff będzie mógł dołączyć do reszty dzieci na szkolnym dziedzińcu i do ich zabaw.

Z duszą na ramieniu podreptał za tatą do okna bez szyby i zobaczył błyszczący czarno-biały samochód z czerwonym kogutem na dachu. W środku, wraz z policjantem siedział pan J. D. Humphrey. Nie uśmiechał się jednak jak wtedy, gdy wręczał Huffowi zużytą dętkę. Kiedy

wysiedli z samochodu i ruszyli w kierunku szopy, Huff zauważył, że oficer trzyma w ręku białą pałkę policyjną, którą uderzał lekko w dłoń.

Tata powiedział Huffowi, że ma zostać w domu, sam zaś wyszedł na przywitanie.

- Dobry wieczór, panie Humphrey.

- Nie chcę żadnych kłopotów.

- Słucham, proszę pana?

- Oddaj mi to.

- Co mam oddać, panie Humphrey?

- Nie strugaj przede mną wariata, chłopcze - warknął policjant. - J. D. wie, że to ty wzięłeś.

- Niczego nie wzięłem.

- Pamiętasz to pudełko po cygarach, w którym trzymam całą gotówkę?

- Tak, proszę pana.

- Gdzieś zniknęło. Kto inny mógłby je zabrać?

- Nie wiem, proszę pana, ale to nie ja.

- Ty głupi biały śmieciu, myślisz, że w to uwierzę?

Huff wyjrzał przez okno. Twarz pana Humphreya zrobiła się naprawdę czerwona. Policjant się uśmiechał, ale wcale nie wyglądał przyjaźnie. Podał pałkę panu Humphrey'owi ze słowami:

- Może to przemówi mu do rozsądku.

- Panie Humphrey, ja... - To wszystko, co tata Huffa miał szansę powiedzieć, zanim pan

Humphrey uderzył go pałką w ramię. Musiało strasznie zboleć, bo tata opadł na jedno kolano. -

Przysięgam, nie ukradłbym... - Ale pan Humphrey uderzył go jeszcze raz, tym razem w głowę.

Zabrzmiało to trochę tak, jak siekiera rozłupująca kawał drewna na opał. Tata Huffa upadł na ziemię i legł nieruchomo, nie wydając z siebie najmniejszego dźwięku. Huff stał przyrośnięty do podłogi, tuż przy oknie, oddychając ciężko z niedowierzania i przerażenia.

- Jezu, J. D., aleś mu dołożył - roześmiał się policjant, pochylając się nad tatą.

- To go oduczysz okradania mnie.

- Niczego go nie oduczysz. - Oficer wyprostował się i wyciągnął chusteczkę, którą otarł zakrwawione palce. - Nie żyje.

- Żartujesz sobie?

- Zimny trup.

Pan Humphrey podrzucił pałkę kilka razy, jakby oceniając jej ciężar.

- Czy to ma w środku jakiś pręt żelazny?

- W sam raz na czarnuchów. - Policjant popchnął lekko tatę Huffa czubkiem buta. - Jak on się nazywał?

Pan Humphrey odpowiedział, ale przekręcił imię taty.

- To tylko biały śmieć. Przybłęda. Człowiek próbuje postąpić po chrześcijańsku, wyciągnąć pomocną dłoń, a ta gadzina tylko ją gryzie.

- Święta prawda. - Policjant potrząsnął głową ze smutkiem. - Trudno. Przyślę tu jutro przedsiębiorcę pogrzebowego. Pewnie hrabstwo będzie musiało zapłacić za pogrzeb.

- Słyszałem, że szkoła medyczna zawsze szuka zbędnych ciał.

- Dobry pomysł.

- Myślę, że schował pieniądze w tej ruderze.

Obaj weszli do szopy i zobaczyli Huffa, przycupniętego przy oknie pod ścianą wyłożoną dla izolacji starymi egzemplarzami gazet z Biloxi.

- O, do diabła. Zapomniałem o chłopaku.

Policjant zsunął czapkę na tył głowy, oparł ręce na biodrach i spojrzał surowo na Huffa.

- Ależ mizerota - powiedział.

- Zawsze ciągnął się za ojcem. Osobiście uważam, że jest trochę opóźniony.

- Jak ma na imię?

- Nie wiem - odparł pan J. D. Humphrey. - Jego ojczulek zawsze wołał na niego Huff.

- Huff? Huff?!

W końcu zdał sobie sprawę, że dźwięk jego imienia nic pochodzi ze wspomnień tamtego gorącego wieczoru, latem 1945 roku. Ogarnęło go niewysłowione poczucie straty, jak zwykle, gdy budził się z tego wciąż powracającego snu. Zawsze cieszył się z jego nadejścia, ponieważ był niczym odwiedziny taty, tyle że nigdy nie kończył się dobrze. Gdy się budził, ojciec zawsze był martwy, a on zostawał sam.

Otworzył oczy. Obok łóżka szpitalnego stali Chris i Beck.

- Witaj wśród żywych - uśmiechnął się Chris. - Błądziłeś w krainie marzeń.

Zawstydzony głębokością snu i rozczuleniem, jaki zazwyczaj mu przynosił, Huff usiadł i opuścił nogi po jednej stronie łóżka.

- Trochę się zdrzemnąłem.

- Zdrzemnąłem? - roześmiał się Chris. - Spałeś jak zabity. Zważyłem, czy uda nam się cię dobudzić. Poza tym mówiłeś przez sen. Coś o przekręcaniu nazwiska. O co chodziło?

- Ni diabła nie pamiętam - burknął.

- Przyszliśmy, żeby ci pomóc zebrać się do domu - powiedział Beck - ale najwyraźniej przybyliśmy za późno, żeby się na coś przydać.

Huff wstał i ubrał się jeszcze przed wschodem słońca.

Nie należał do osób, które wylegają się w łóżku, a pobyt w szpitalu nie zmienił jego nawyków.

- Jestem gotowy do wyjścia.

- Nie możemy się doczekać. - Do pokoju wparował doktor Caroe, furkocząc połami fartucha lekarskiego. - Pielęgniarki mają już dosyć twojej udawanej niedyspozycji

- W takim razie wypisz mnie stąd. I tak już spóźniłem się do pracy.

- Nawet o tym nie myśl, Huff. Jedziesz do domu - ofuknął go doktor.

- Jestem potrzebny w odlewni.

- Zanim wrócisz do pracy, musisz jeszcze trochę odpocząć.

- Bzdury. Przez ostatnie dwa dni nie robiłem nic innego, tylko wylegiwałem się w łóżku.

Koniec końców osiągnęli kompromis. Huff zgodził się odpoczywać po powrocie do domu, a następnego dnia, jeżeli będzie się czuł wystarczająco dobrze, uda się do pracy na kilka godzin, stopniowo wracając do zwykłego planu zajęć. Oczywiście kłótnia Huffa i doktora Caroe była częścią przedstawienia odegranego przed Beckiem i Chrisem. Caroe odegrał rolę troskliwego lekarza niczym sam Al Pacino. Wcześniej oświadczył, że nie pozwoli Huffowi wrócić do pracy, póki ten zapłaci za to, że pomógł mu tak przekonywająco odegrać atak serca.

Wypełnianie formularzy niezbędnych do wypisania ze szpitala niemal wyczerpało cierpliwość Huffa, podobnie zresztą jak przymus opuszczenia placówki na wózku inwalidzkim. Zanim Beck i Chris dowieźli go na miejsce, zdążył już wpaść w zły humor.

- Zachowuje się gorzej, niż ustawa przewiduje - powiedział Chris do Selmy. - Uważaj na niego.

Nie zważając na przestrogi, gospodyni zaczęła krzątać się wokół Huffa. Usadziła go w bibliotece ze szklanką mrożonej herbaty i nogami owiniętymi kocem, który odrzucił, rycząc z wściekłości:

- Nie jestem pieprzonym inwalidą, poza tym na zewnątrz jest ponad trzydzieści stopni! Jeżeli chcesz tu jeszcze pracować jutro rano, nie próbuj mnie więcej sadzać w fotelu z kocykiem!

- Nie jestem głucha, więc nie musi pan krzyczeć. Poza tym niech pan nie przeklina. - Z

charakterystyczną pewnością siebie Selma podniosła pled z podłogi i złożyła go równo na pół. -

Co ma pan ochotę zjeść na lunch?

- Smażonego kurczaka.

- Zrobię panu grillowaną rybę i warzywa na parze - oświadczyła, wychodząc z pokoju i głośno zamykając za sobą drzwi.

- Selma jest jedyną osobą, której uchodzi na sucho takie zachowanie - mruknął Chris. Bawił się lotkami, ale wyraźnie bez zainteresowania.

Beck siedział na kanapie, z jedną nogą opartą o kolano drugiej i ramionami rozciągniętymi na oparciu. Huff przyłożył zapalną do drugiego z kolei papierosa, którego zapalił od chwili wyjścia ze szpitala.

- Kiepsko ci idzie - rzucił.

- Co takiego? - spytał Beck.

- Udawanie, że niczym się nie martwisz. - Huff zgasił zapalną. - Porzuć tę grę i powiedz mi, co się dzieje.

- Przecież doktor Caroe mówił ci, że nie powinieneś palić - rzucił Chris.

- Pieprzę go. Poza tym, nie zmieniaj tematu. Chcę wiedzieć, co się stało. Który z was mi powie?

Chris usiadł na wolnej sofie.

- Wayne Scott znowu się naprzykrza.

- O co chodzi tym razem?

- Nadal wypuszcza czujki - rzekł Beck. - Wszystkie w kierunku Chrisa.

Huff się zaciągnął, myśląc przy tym, gdzie podzieli się ludzie tacy, jak ten upierdliwy detektyw, kiedy z zimną krwią zamordowano jego ojca. Nikt nie zadał ani jednego pytania, w jaki sposób jego czaszka mogła pęknąć do tego stopnia, że aż wyciekł mózg. Huff nie był nawet pewien, czy tatę pochowano, czy też oddano jego ciało akademii medycznej, aby tam znęcali się nad nim nieudolni studenci.

Tamtą noc spędził w więzieniu, ponieważ nikt nie wiedział, co z nim zrobić. Podczas drogi powrotnej do miasta pan J. D. Humphrey powiedział policjantowi, że jego żona go zabije, jeżeli przyprowadzi Huffa do domu.

- Pewnie ma wszy. Jeżeli znajdzie u naszych dzieciaków gnidy, nigdy mi tego nie daruje.



Tamtej nocy, gdy leżał na pryczy w celi, płacząc, usłyszał rozmowę dwóch opiekujących się nim policjantów. Wynikało z niej, że to żona pana J. D. Humphreya była odpowiedzialna za zniknięcie pudelka z gotówką, którego nie znaleziono po przeszukaniu szopy zamieszkiwanej przez Huffa i jego tatę.

- W sklepie z tekstyliami była wielka wyprzedaż, a ona akurat nie miała pieniędzy, więc wpadła na złomowisko i zaopatrzyła się w gotówkę, nie zadając sobie trudu, aby poinformować o tym J. D.

- A to ci dopiero historia. - Obaj policjanci uśmieali się z nieporozumienia.

Następnego poranka Huff dostał na śniadanie ciastko i kanapkę z kiełbasą. Potem policjant kazał mu siedzieć na miejscu i czekać, nie naprzykrzając się jego kolegom po fachu. Huff posłuchał.

Wreszcie na posterunku pojawił się chudy okularnik w garniturze w paski. Powiedział Huffowi, że zabiera go do sierocińca. Gdy odjeżdżali z więzienia, spytał:

- Nie będziesz mi sprawiał żadnych kłopotów, prawda, chłopcze?

Nie miał pojęcia o piekle, jakie zgotował placówce, nad którą sprawował pieczę. Miał jeszcze żałować dnia, w którym zabrał małego z więzienia.

Przez kolejne pięć lat Huff żył, a raczej egzystował, w sierocińcu prowadzonym przez ludzi, którzy głosili miłość Jezusa Chrystusa, a jednocześnie potrafili rzemiennym pasem zbić na kwaśne jabłko podopiecznego, który spojrzał na nich krzywo, tak jak to często czynił Huff.

Gdy miał trzynaście lat, uciekł z tego więzienia. Odchodził, żałując tylko jednego - że ten skurwysyn w garniturze w paski nie wiedział, że to Huff go zabił. Powinien był go obudzić i pozwolić mu włożyć okulary, zanim udusił go poduszką.

Nie popełnił tego samego błędu z panem J. D. Humphreyem. Upewnił się, że morderca jego taty go widział i usłyszał nazwisko, które Huff wyszeptał mu do ucha, nim udusił go w jego własnym łóżku, podczas gdy żona pana Humphreya chrapała spokojnie tuż obok.

Policjant oszczędził mu kłopotu planowania kolejnego zabójstwa. Huff rozpytał się o niego w mieście i dowiedział się, że oficer próbował rozdzielić dwóch Murzynów, którzy kłócili się o psa do polowań. Jeden z nich miał nóż, który wylądował zanurzony po rękojeść w brzuchu policjanta. Podobno umierał, wrzeszcząc.

Od chwili, gdy zginął jego ojciec, Huff miał bardzo niską opinię o ludziach z odznakami policyjnymi. Jego pogarda znalazła swoje ujście w tej chwili:

- Co znowu wymodził ten gnojek, Scott?

Beck opowiedział mu o wczorajszym przesłuchaniu. Chris przerywał mu od czasu do czasu ironicznymi w tonie protestami lub zgryźliwymi żarcikami na temat detektywa.

- Chris, twoje wyjaśnienie rozmowy telefonicznej z Dannym powinno usadzić Scotta - powiedział Huff, gdy już Beck zakończył swe wyjaśnienia - zwłaszcza że to ja poprosiłem cię o wybicie bratu z głowy jego dewocji. Widzę jednak, że Scott jest zawzięty i ambitny, co trochę mnie martwi. Wygląda na to, że nie zamierza się poddać i odrzucić tych nonsensów.

- Obawiam się, że masz rację - zgodził się Beck.

- Nie rozumiem, co się dzieje z Rudym - poskarżył się Chris. - Za każdym razem, gdy musiałem się spowiadać, oddawał całą władzę w ręce Scotta. Musiałem tam siedzieć i wysłuchiwać różnych idiotyzmów ze strony tego kmiota, a Rudy nie powiedział ani słowa. Może czeka na podwyżkę? Jeśli tak, dajmy mu kilka banknotów i skończmy tę sprawę albo sami przystąpmy do działania i zabawmy się w detektywów.

- Detektywów? - Huff przeniósł wzrok z Chrisa na Becka. - O czym on mówi?

- Chris uważa, że ktoś zabił Danny'ego i celowo skierował podejrzenie na niego.

- Ktoś mnie wrabia, Huff.

Huff podniósł oparcie swojego fotela do nieco wygodniejszej pozycji.

- Wrabia cię, tak? Co sądzisz o tej teorii, Beck?

- To prawdopodobne. Przez te wszystkie lata narobiłeś sobie wielu potężnych wrogów.

Przypuszczam, że jeśli ktoś chciałby uderzyć naprawdę mocno, zaatakowałby jedno z twoich dzieci. A oskarżenie o to drugiego dziecka przyniosłoby temu komuś podwójną satysfakcję.

- Jakież pomysły co do tego, kim jest ten człowiek?

- Klaps Watkins - rzekł Chris.

Huff patrzył na niego przez kilka minut, a potem z jego piersi wydobył się grzmiący śmiech.

- Klaps Watkins? Nie ma na tyle rozumu, żeby zabić robaka i uniknąć za to odpowiedzialności.

- Posłuchaj mnie, Huff. Klaps jest przestępcą.

- Jasne. Wszyscy Watkinsowie to degeneraci, ale nie wiedziałem, że są mordercami.

- To awanturnicy, agresywni z urodzenia. Po trzech latach w Angoli Klaps mógł nauczyć się, jak zabijać ludzi. - Chris pochylił się do przodu, siedząc na samym brzegu kanapy. - Gdy tylko

wyszedł z więzienia, zapewne wściekły na cały świat, zgłosił się do pracy w naszej odlewni.

Danny odrzucił jego podanie. Podobnie jak wszyscy inni, Klaps zdawał sobie sprawę, że zatrudniamy wielu przestępców na warunkowym, ponieważ pracują za małe pieniądze. Nadziany forszą Danny reprezentował wszystko, czego nienawidził Klaps i co winił za wszystkie swoje niepowodzenia. I oto Danny nie przyjmuje go do pracy. W połączeniu z incydentem, w którym braliśmy udział wszyscy trzy lata temu, wydaje mi się, że stanowi to wystarczająco dobry motyw do morderstwa z zemsty.

- Watkins mógł obserwować Danny'ego, czekając na odpowiednią chwilę, aby zadać cios - przejął opowieść Beck. - W niedzielne popołudnie poszedł za Danny'm do domku rybackiego.

Taka jest nasza hipoteza.

- Klaps jest wystarczająco głupi, żeby zapomnieć o przyniesieniu przynęty, gdy ustawiał wszystko tak, aby wyglądało na to, że Danny wybrał się na ryby - dodał Chris. - Nie wiedział również o awersji Danny'ego do łowienia.

Huff wstał z fotela i okrążył pokój, sycąc się widokiem swojej własności i piekącym smakiem tytoniu na języku.

- Wszystko to brzmi pięknie, przyznaję, ale to tylko spekulacje. Nie masz niczego na poparcie swojej teorii.

- Mam Klapsa - odparł Chris. - Zrobił się strasznie zadowolony z siebie, inaczej w ogóle nie podszedłby do Sayre w barze, nie sądzisz? Nigdy przedtem nie próbował jej podrywać.

Kolejnego wieczoru zaś obraził całą naszą rodzinę. Beck jest świadkiem.

Huff rzucił spojrzenie na Becka, który pokiwał twierdząco głową.

- To prawda. Inni też to słyszeli.

- Co na to Rudy?

- Wspomniałem mu o tym raz.

- Nie wydawał się chętny do skorzystania ze wskazówki - powiedział Chris, wyraźnie wkurzony pozorną obojętnością szeryfa. - Nie sądzisz, że powinien przesłuchać Watkinsa?

- Co najmniej. - Huff podszedł do stolika i strząsnął popiół z papierosa do popielniczki. - Rudego zostaw mnie.

Zanim ktokolwiek zdołał powiedzieć coś więcej, Selma zapukała lekko do drzwi i natychmiast weszła.

- Przesyłka, panie Hoyle.

Huff gestem nakazał Beckowi odebrać kopertę FedExu.

- Cokolwiek to jest, mógłbyś się tym zająć? - poprosił.

- Oczywiście.

Beck wziął kopertę od Selmy i otworzył ją. W środku była pojedyncza kartka papieru. Huff obserwował Becka, który szybko przebiegł ją wzrokiem, a potem przeczytał wiadomość ponownie, tym razem uważniej. Gdy skończył, przeklął pod nosem. Huff zauważył

zaniepokojone spojrzenie, jakie rzucił Chrisowi.

- Złe wieści? - spytał. - Dalej, mów o co chodzi.

Beck się zawahał, co jeszcze bardziej zirytowało Huffa.

- Do diabła! - wrzasnął. - Kto tutaj rządzi, ja czy nie ja?

- Przepraszam, Huff - odparł cicho Beck. - Oczywiście, że ty.

- Skoro tak, przestań się ze mną bawić w kotka i myszkę i powiedz, o co chodzi.

- To list od Charlesa Nielsona. Słyszał o wypadku Billy'ego Paulika.

Huff włożył papierosa do ust i zaczął balansować na piętach.

- I?

- I zanosi się na niezłą zabawę - westchnął Beck.

Chris nie był zadowolony, gdy wrócił do swojego biura po burzliwym lunchu z Huffem, na

którym stary narzekał na wszystko, poczynawszy od Charlesa Nielsona, a skończywszy na Selmie, i

zastał przed drzwiami George'a Robsona.

- Znajdziesz dla mnie chwilę czasu, Chris?

Nie potrafił wymyślić żadnej rozsądnej wymówki, więc gestem zaprosił go do środka.

Pod względem fizycznym George nie był imponującym człowiekiem. Jego osobowość również

nie przyciągała doń przyjaciół. Jego bojaźliwe próby zadowolenia innych wywoływały u ludzi

irytację. George był przerośniętym durniem, który próbował się dostosować do każdej sytuacji, i

mógł nawet wmówić sobie, że się mu to udało, nie zdając sobie sprawy, że nie ma na to

najmniejszych szans. To właśnie jego zdolność do oszukiwania samego siebie uczyniła z niego

idealnego kandydata na stanowisko, jakie zajmował.

Chrisowi wydało się zabawne, że George jest tak radośnie nieświadomy tego, iż mężczyzna,

który właśnie zaprasza go do zajęcia miejsca na krześle i oferuje coś do picia, robi z niego

rogacza.

- Nie, dziękuję - odparł George.

- No i?

- Chodzi o podajnik. Dziś rano przyjechał człowiek, żeby wymienić pasek klinowy.

- W takim razie w czym jest problem?

- Powiedział... to znaczy ten inżynier powiedział, że powinniśmy wyłączyć podajnik do chwili, gdy przejdzie remont kapitalny.

Chris odchylił się na krześle i zmarszczył brwi.

- Huffowi nie spodoba się ten pomysł.

- Tak sędzę.

- W takim razie, co ty byś polecił?

Chris spojrzał na niego łagodnie. George oblizał wargi.

- Cóż... bezpieczeństwo jest moją największą troską.

- Oczywiście.

- Ta maszyna kosztowała człowieka utratę ręki.

Bawiąc się tym, jak George wije się pod jego nieustępliwym spojrzeniem, Chris nie odezwał się ani słowem.

- Jednak... jednak moim zdaniem - zająknął się George - remont kapitalny nie będzie konieczny.

Myślę, że podajnik jest gotowy do pracy.

Chris uśmiechnął się do niego.

- Polegam na twoim doświadczeniu w kwestii BHP, George, podobnie zresztą, jak Huff. Wiesz o tym, prawda? Jeśli twierdzisz, że taśma została naprawiona i jest bezpieczna w użyciu, to z pełnym zaufaniem możemy ją włączyć. Coś jeszcze?

- Nie, to wszystko. - Wstał i ruszył do wyjścia. Już w drzwiach zatrzymał się i odwrócił. -

Właściwie to mam jeszcze jedną sprawę. Chodzi o Lilę.

Chris, który zaczął przeglądać wiadomości pozostawione na biurku, przerwał i spojrzał na George'a. O co, do diabła, mu chodzi? Czy ta głupia suka przyznała się do romansu? Wydała się przypadkiem, czy co?

- Lile? - spytał uprzejmie. George przełknął głośno ślinę.

- Niedawno moja żona wspomniała, że powinniśmy zaprosić cię kiedyś na obiad. Huffa oczywiście również. Czy zechciałbyś przyjść?

Chris się odprężył.

- No, nie wiem. Czy Lila dobrze gotuje?

George parsknął nerwowym śmiechem i poklepał się po brzuchu.

- Chyba widać - znów oblizał wargi. - Chociaż wczoraj musiałem poradzić sobie samemu. Lili nie było.

- Naprawdę? - Chris wrócił do przeglądania różowych karteczek z wiadomościami.

- Poszła odwiedzić chorą przyjaciółkę.

- Mam nadzieję, że to nic poważnego.

- Nie sądzę, ale Lila wróciła do domu bardzo późno.

Chris ponownie spojrzał na George'a.

- Mając taką żonę, jak Lila, też bym się martwił o jej bezpieczeństwo i dobre samopoczucie, George. Nie każ nam czekać zbyt długo na ten proszony obiad, dobrze?

George pokiwał głową, zawahał się, jakby niepewny, czy powinien już zakończyć spotkanie, a potem odwrócił się i pospiesznie wyszedł z biura.

- Jezu drogi - wymruczał Chris. Nie dziwota, że Lila pieprzyła się, jakby nie było jutra.

- Mój mąż zmarł w zeszłym roku - oznajmiając to, pani Loretta Foster przeżegnała się. - Niech Bóg ma w opiece jego duszę.

- Przykro mi. Czy był na coś chory?

- Zdrowy jak ryba, przez całe życie. Pewnego dnia po prostu padł trupem dokładnie tutaj, gdy nalewał sobie kawy. Zator w płucach. Lekarz powiedział, że nie żył już, zanim dotknął podłogi.

- Nagła śmierć zawsze jest ogromnym szokiem. Spalone trwałą siwe włosy poruszyły się jak wiązka siana, gdy pani Foster pokiwała głową.

- Dobrze tylko dla tego, kto odchodzi. Bez bólu i bez problemu - powiedziała, pstrykając palcami,

- Gorzej z tymi, którzy zostają. W każdym razie, teraz jesteśmy tylko we dwoje, ja i mój chłopczyk - machnęła w stronę syna, który siedział przed ogromnym, zajmującym niemal całą ścianę małego salonu telewizorem, oglądając kreskówki. Wydawał się pochłonięty starymi odcinkami Rocky'ego i Łosia Superktosia.

Pani Foster postawiła przed synem tackę z paczką chipsów i szklanką soku pomarańczowego, nakazując, aby był ostrożny i nie rozlał napoju na dywan. Chłopak nie zwrócił na nią uwagi, podobnie jak wydawał się kompletnie nieświadomy obecności Sayre, która usiadła z jego matką przy stole kuchennym, sącząc słodką mrożoną herbatę.

„Dziecko” pani Foster miało czterdzieści parę lat.

- Pewnie pani zauważyła, że nie wszystko z nim w porządku - wyszeptała cicho, tak że Sayre z ledwością usłyszała ją poprzez rysunkowe hałasy dobiegające z głośników telewizora. - Taki się urodził. Nie zrobiłam niczego głupiego, kiedy byłam w ciąży. Po prostu taki los.

- Dziękuję, że zgodziła się pani na poświęcenie mi czasu dzisiejszego popołudnia. - Sayre nie wiedziała, co innego mogłaby powiedzieć.

Chichot pani Foster zatrzęsł jej obfitym biustem.

- Zazwyczaj nigdzie się nie wybieramy. Poza niedzielami, kiedy chodzimy na mszę, każdy dzień przypomina następny. Mój chłopczyk jest zawsze zadowolony, kiedy przyszykuję mu kolację przed wpół do szóstej. To wszystko, czym zajmuję się popołudniami, więc cieszę się z towarzystwa i obecności kogoś, z kim mogę porozmawiać. Ale nie ukrywam, że jestem ciekawa,



dlaczego się pani tu pojawiła.

Nazwisko Loretty Foster znalazło się na liście, którą Sayre otrzymała w sądzie od znajomej Jessiki DeBlance.

- Znam pewną kobietę, która pracuje w biurze podatkowym naszego okręgu - powiedziała, gdy Sayre poprosiła ją o przysługę. - Nie jesteśmy wprawdzie buskimi przyjaciółkami, ale sądzę, że zgodzi się nam pomóc. Czego potrzebujesz?

Sayre powiedziała o liście przysięgłych, którzy zasiadali w sądzie podczas procesu Chrisa.

Jessica zadzwoniła do swojej znajomej z sądu, która zgodziła się sprawdzić, czy taka informacja jest dostępna, ale powiedziała, że zajmie jej to kilka godzin. Sayre spotkała się z nią o wyznaczonym czasie i otrzymała wydrukowaną listę.

- To było łatwiejsze, niż przypuszczałam - opowiadała znajoma Jessiki. - Sąd prowadzi zapisy przysięgłych, którzy zgłosili się na wezwanie, bo jest tak, że jeśli ktoś zostanie ponownie powołany w określonym odstępie czasu, może poprosić o zwolnienie z obowiązku. Kiedy udziela się go jednemu z przysięgłych, numer sprawy zostaje wpisany na listę wszystkich procesów, do których ów człowiek został powołany. W ten sposób wiadomo, jaki jest status przysięgłego.

Poprzedniej nocy, gdy Sayre odwiedziła Becka Merchanta, przywiozła ze sobą tę listę, niczym asa w rękawie. Nie miała jednak możliwości, aby go wyciągnąć. Tego poranka wróciła do sądu okręgowego i dzięki dostępowi do archiwów podatkowych dowiedziała się, że dziesięcioro z dwunastki przysięgłych nadal mieszka w okolicy.

Pierwsi dwaj, do których zadzwoniła, powiedzieli jej od razu, że nie chcą rozmawiać o tamtym procesie i natychmiast odłożyli słuchawkę. Trzeci przysięgły, jak dowiedziała się od jego żony, był akurat w pracy, w Hoyle Enterprises. Gdy Sayre wyjaśniła przyczynę swojego telefonu, początkowo przyjazna kobieta zrobiła się nieufna, a gdy Sayre nalegała - otwarcie wroga.

Oświadczyła, że jej mąż będzie zbyt zajęty, aby się z nią spotkać w najbliższej przyszłości.

Dopiero czwarta osoba, pani Foster, zgodziła się z nią zobaczyć.

- Chciałam z panią porozmawiać o procesie Chrisa. Zasiadała pani wtedy na ławie przysięgłych, prawda? - powiedziała Sayre, mieszając w szklance mrożoną herbatę, mętną od nadmiernej ilości syropu.

- To prawda - odparła Loretta, uśmiechając się nerwowo. - Pierwszy i jedyny raz, kiedy mnie wezwano, chociaż mieszkam w naszym okręgu przez całe życie. Dlaczego to panią interesuje? Sayre pomyślała, że wytłumaczenie tego pani Foster będzie trudnym zadaniem.

- Zawiodłam mojego brata, nie pojawiając się na jego procesie. Przykro mi, że nie wróciłam do Destiny, aby go wesprzeć moralnie. Miałam nadzieję, że rozmowa z ludźmi, którzy brali udział w tej sprawie, pomoże mi lepiej zrozumieć, co się zdarzyło.

Pani Foster nie kupiła tej bajeczki, przynajmniej nie całkowicie.

- Co dokładnie ma pani na myśli? - spytała. - Nic się nie zdarzyło. Nie mogliśmy podjąć jednomyślnej decyzji, to wszystko. Podzieliliśmy się dokładnie na pół.

- A pani za czym głosowała, pani Foster?

Kobieta wstała od stołu i podeszła do kuchenki. Podniosła przykrywkę z garnka i zamieszała łyżką jego zawartość,

- Nie rozumiem, jakie to ma teraz znaczenie. Pani brat został zwolniony z odpowiedzialności karnej.

- Uważa pani, że był niewinny?

Pani Foster przykryła garnek, nieco zbyt głośno, i odwróciła się do Sayre.

- A jeżeli tak uważam?

- Jeżeli tak, winna jestem pani wdzięczność. - Sayre uśmiechnęła się z nadzieją, że wypadła przekonywająco. - Jestem pewna, że mój brat i ojciec należycie pani podziękowali.

Pani Foster usiadła na krześle przy stole, naprzeciwko Sayre. Przyjrzała jej się uważnie, popijając

herbatę ze swojej szklanki.

- Po procesie przyszli, żeby uścisnąć nam dłonie.

Sayre spojrzała w kierunku salonu. Był schludny, ale po meblach widać już było ślady zużycia.

Robione na szydełku narzutki na oparcia foteli przykrywały miejsca, w których tapicerka kompletnie się już wytarła. Tapety wyblakły, a dywan, o który tak martwiła się pani Foster, był upstrzony niezliczonymi plamami z soku. Odbiornik telewizyjny był zdecydowanie najnowszym, najnowocześniejszym i najdroższym sprzętem w całym pokoju. Nie pasował do reszty wystroju, zwłaszcza do krzyża zawieszzonego nad obszarpaną kanapą i ceramicznej pantery z zielonymi paciorkami oczu, stojącej na stoliku do kawy.

Sayre wyposażała już pokoje rekreacyjne i domowe biblioteki w podobny zestaw kina domowego i wiedziała, ile kosztuje. Jego cena zdecydowanie przekraczała budżet wdowy.

Od chwili przybycia Sayre do domu, syn pani Foster ani razu nie oderwał wzroku od wielkiego ekranu. Siedział przed nim, ze skrzyżowanymi nogami, niczym Indianin, pogryzając chipsy i popijając sok pomarańczowy, wyraźnie wciągnięty w to, co działo się na filmie. I szczęśliwy.

Sayre przyniosła spojrzenie na Loretę Foster. Na początku kobieta spoglądała na nią wyzywająco, ale gdy Sayre nie odwróciła wzroku, zaczęła się denerwować, aż wreszcie wyraźnie się zawstydziła.

- Przepraszam - powiedziała - ale muszę przygotować kolację dla mojego syna. Potrafi wpaść w szal, jeżeli nie zdąży przed Kołem fortuny. Lubi jeść, oglądając ten program. Proszę nie pytać dlaczego, zwłaszcza że nigdy nie nauczył się dobrze czytać. Jak już mówiłam, ma trochę pomieszane w głowie - dodała na poły wyzywająco i błagalnie. - Zawsze taki był. Jest całkowicie uzależniony ode mnie. Ma tylko mnie na tym świecie i muszę się upewnić, że ktoś się nim należycie zaopiekuje, kiedy na mnie przyjdzie czas, rozumie pani?

Rudy Harper zapukał cicho i wsadził głowę do biblioteki Huffa.

- Selma powiedziała, że mogę cię tutaj znaleźć.
- Oczekiwałem twojej wizyty. Zrób sobie drinka.
- Pozwolę sobie skorzystać z propozycji.

Szeryf nalał do szklanki burbona z wodą, po czym usiadł na sofie, kładąc kapelusz na kolanie.

Huff wznosił swoją szklankę. Obaj upili łyk alkoholu.

- Dobrze wyglądasz - zauważył Rudy. - Jak się czujesz?

- Jak dwudziestolatek.

- Zapomniałem już, jak to jest.

- Ja za to pamiętam, jakby to było wczoraj - odparł Huff. - Pracowałem wtedy u starego Lyncha w odlewni. Miałem za zadanie ładować piece. Kręgosłup mi od tego pękał, ale i tak kiedy tylko mogłem, robiłem na dwie zmiany. Miałem swoje plany co do tego miejsca.

W sierocińcu kładziono ogromny nacisk na naukę i była to jedyna rzecz, za którą Huff mógł być wdzięczny. Po kilkumiesięcznym pobycie w zakładzie nie tylko dogonił, ale wyprzedził swoich rówieśników. Przerwy spędzał w klasie, powtarzając lekcje, których właśnie się nauczył. Nie interesowała go gra w piłkę ani ganiecie za dziewczynami, chociaż kiedyś, gdy był jeszcze niewinnym idealistą, wydawało mu się to takie wspaniałe. Teraz jednak miał przed sobą inny cel, więc uczył się jak najwięcej i najszybciej jak potrafił.

Czytał cztery godziny dziennie, nocami, przy słabym świetle żarówki w łazience, siedząc na twardej posadzce, spływając potem w lecie i trzęsąc się z zimna w zimie. Jedzenie serwowane w sierocińcu było pozbawione smaku, ale Huff za każdym razem wylizywał talerz do czysta. Dzięki regularnym posiłkom zaczął rosnać.

Gdy w wieku trzynastu lat uciekł z sierocińca, wyprzedzał swoich rówieśników zarówno pod

względem wzrostu, jak i wiedzy. Resztę wykształcenia, w tym prawdopodobnie najważniejsze lekcje w jego życiu, zdobył z doświadczenia. Utrzymywał się sam, dzięki własnemu rozumowi i sprytowi. Potrafił zapewnić sobie dach nad głową i pożywienie, podczas gdy inni nastoletni chłopcy stresowali się trądzikiem.

Wsiadł do pociągu, w nieznanym kierunku. Tak się złożyło, że transport zatrzymał się w Destiny, w celu rozładunku kilku wagonów wypełnionych złomem, zakupionym przez odlewnię Lyncha. Huff nie wiedział nawet, w jakim znalazł się stanie, ale gdy przeczytał nazwę miasta na tablicy przybitej do wieży wodnej, uznał to za omen. Natychmiast zdecydował, że tutaj właśnie się osiedli.

Nie miał żadnego doświadczenia w metalurgii, lecz odlewnia Lyncha była jedyną fabryką w mieście i jedynym miejscem, gdzie były wolne posady. Huff uczył się szybko i wkrótce zwrócił na siebie uwagę Lyncha.

- W wieku dwudziestu pięciu lat zostałem jego prawą ręką - powiedział Rudemu. - Przez kolejne kilka lat próbowałem wbić mu do głowy co nieco wiedzy o interesach.

Dzentelmen, który ostatecznie został teściem Huffa, nie należał do wizjonerów. Robił, jak to sam mawiał, „cholernie dobre pieniądze” na swoim przedsiębiorstwie i to go satysfakcjonowało.

Niewielkie ambicje pana Lyncha były powodem nieustannej frustracji Huffa, który dostrzegał rozwój rynku i wiedział, że przechodzi im przed nosem szansa zaopatrywania go w materiał, na który wzrasta popyt. To właśnie było przedmiotem wiecznych sporów między nimi. Rozwój i zwiększenie produkcji nie leżały w planach pana Lyncha. Był zadowolony z obecnego stanu rzeczy. Huff miał w sobie mnóstwo energii i dalekosiężne plany. W sprawach finansowych jego teść wykazywał bardzo konserwatywne podejście, tymczasem Huff wyznawał jedną z głównych zasad ekonomii, głoszącą, iż aby zarobić pieniądze, trzeba je najpierw wydać. Żaden z nich nie miał wątpliwości co do jednego - że to stary Lynch trzymał kasę. Huff poza pensją nie miał ani

grosza, w związku z tym ostatecznie liczyła się wyłącznie opinia jego przyszłego teścia.

Dopiero nieszczęście dało Huffowi szansę do działania. Gdy wylew sparaliżował Lyncha, przejął kontrolę nad produkcją. Wszyscy śmiałkowie, którzy odważyli się zaprotestować, zostali zwolnieni w trybie natychmiastowym. Pan Lynch, choć niezdolny się wysławić przez ostatnie trzy lata życia, zdążył jeszcze zobaczyć, jak jego przedsiębiorstwo rozrasta się czterokrotnie i przynosi tyleż więcej pieniędzy rocznego zysku, jedyna zaś dziedziczka Lynchów, jego córka Laurel, poślubia mężczyznę, który spowodował ten niezwykły postęp.

- Miałem trzydzieści lat, kiedy umarł pan Lynch - powiedział Huff do Rudego. - Dwa lata później wprowadziłem swoje nazwisko do nazwy przedsiębiorstwa.

- Zawsze miałeś zdrowe ego, Huff.

- Do diabła, przecież zapracowałem na to. Miałem pełne prawo.

Rudy wpatrzył się w swoją szklanekę.

- Zaprosiłeś mnie tutaj, żeby pogadać o starych czasach? - spytał.

- Nie. Jesteś tu, żeby mi wytłumaczyć, co się, do diabła, dzieje. Ten twój nowy detektyw prześladowuje Chrisa, a ty na to pozwalasz. Dlaczego? Za mało ci płacę?

- Nie o to chodzi, Huff.

- Więc o co?

- Umieram. - Rudy wychylił pozostałą whisky i zaczął obracać pustą szklanekę w dłoni.

Huff był zbyt zaskoczony, żeby coś powiedzieć. Wreszcie Rudy spojrzał na niego nieufnie. - Rak prostaty - powiedział.

- Niech cię diabli, Rudy. - Huff wypuścił powietrze z płuc z głośnym sykiem i machnął ręką, jakby lekceważąc problem. - Przez chwilę dałem się nabrać. Przestraszyłeś mnie nie na żarty. W dzisiejszych czasach to jeszcze nie wyrok śmierci. Mogą cię rozkroić, wyjąć...

- Obawiam się, że nie, Huff. Nie wykryto go we właściwym czasie i zdążył się rozprzestrzenić na

gruczoły limfatyczne. Teraz jest już właściwie wszędzie.

- Chemioterapia? Naświetlania?

- Nie chcę przez to przechodzić. W najlepszym przypadku zyskałbym jedynie kilka dodatkowych miesięcy i przez resztę czasu, jaki mi został, czułbym się jak kupa gówna.

- Cholera, Rudy, strasznie mi przykro.

- Och, cóż, w końcu każdego coś dopada, jak nie jedno, to drugie - rzekł filozoficznie szeryf, odstawiając pustą szklankę na stoliku do kawy. - Prawda jest taka, Huff, że jestem już zmęczony.

Kompletnie wyczerpany. Nie zamierzam walczyć z Wayne'em Scottem. To uczciwy facet, próbuje wykonywać robotę, za którą mu płacą. Ja jestem starym draniem, tak jak ty - gestem powstrzymał protesty Huffa. - Nie próbuj udawać, Huff. Nasz układ - nieważne, jak będziemy go przedstawiać - jest paskudny. Postąpiłem nieuczciwie więcej razy, niż chce mi się liczyć. Nie mogę zmienić przeszłości, ale teraz Chris znów wpakował się w kłopoty, a ja nie mam ani siły, ani czasu, żeby wyciągać go z tego bagna.

Niezła przemowa, zwłaszcza z ust milczka, jakim był Rudy Harper, A znaczenie jego słów było jednoznaczne.

- Kiedy zamierzasz odejść z pracy? - spytał Huff.

- Mniej więcej za miesiąc.

- Tak szybko?

- Chciałbym spędzić trochę czasu z rodziną, zanim zaczniesz się najgorsze.

- To zrozumiałe, Rudy, ale twoja rezygnacja przychodzi w najmniej odpowiednim momencie.

- Nic na to nie poradzę. Ta sprawa z Chrisem może się ciągnąć miesiącami.

- „Ta sprawa z Chrisem” - powtórzył gniewnie Huff. - Chris nie jest chłopaczkiem z chóru kościelnego! Do diabła, gdyby nim był, nie miałbym z niego żadnego użytku. To prawda, że ma na sumieniu więcej, niż powinien, i sam pierwszy by to przyznał. - Huff pochylił się ku swojemu

rozmówcy. - Ale nie zabił własnego brata.

Rudy Harper milczał długo, zanim odpowiedział:

- Ja też tak myślę.

- Chris uważa, że ktoś go wrabia.

- Beck wspominał mi o tym. Czy mówił poważnie o Klapsie Watkinsie?

- Jeszcze jak. - Huff podzielił się z szeryfem wnioskami z wcześniejszej dyskusji z Beckiem i najstarszym synem. - Nie mam pojęcia, czy ten kretyń Watkins potrafiłby zaplanować i wprowadzić w czyn gotowanie zupy gumbo, nie mówiąc o próbach wrobienia kogoś w morderstwo, ale zgodzisz się, że jest to rzecz warta przemyślenia. - Spojrzenie Huffa mówiło szeryfowi, że nie może zaoponować. - Watkins jest kryminalistą z trzyletnią odsiadką na karku - ciągnął, żeby rozwiać wszelkie wątpliwości. - Szczerze wątpię, że cały ten czas spędził na rehabilitacji. Założę się, Rudy, jeśli dobrze się przyjrzyysz, zobaczysz, że łamie przepisy na prawo i lewo, a jednym z przestępstw, które ostatnio popełnił, mogło być zabójstwo Danny'ego, z zemsty albo ze zwykłej podłości.

Huff zawsze osiągał swój cel bez potrzeby bezpośredniego wydania polecenia. Szeryf Harper zrozumiał przekaz jasno i wyraźnie. Pokiwał głową z ociąganiem.

- Przesłucham go - rzekł krótko.

- Dobry początek. Może wystarczy, żeby wydobyć z niego całą historię. Chłopcy powiedzieli mi, że jest bardzo pewny siebie. Jeśli przyciśniesz go wystarczająco mocno, może sam się poprowadzi na krzesło.

- Zaraz każę przygotować nakaz zatrzymania. - Rudy zaczął podnosić się z kanapy, ale Huff powstrzymał go gestem.

- Mam jeszcze jedną robotę dla ciebie. W Nowym Orleanie - powiedział, zapalając papierosa.

- Huff...



- Nie, nie. To powinno być stosunkowo proste. Możesz nawet oddelegować do sprawy kogoś zaufanego. Masz przecież kontakty w mieście, prawda? - Huff wyjaśnił szeryfowi, o co mu chodzi. Rudy wysłuchał uważnie. - Wynagrodzę ci twój trud. Dobrze wiesz, że sowicie płacę za dobrą informację. To dla mnie ważne. Dla mnie warte krocie.

- W porządku, wypuszczę kilka czujek i zobaczę, co z tego wyniknie, ale nie mogę niczego obiecać.

- Nielson, przez „ie”. Każda informacja się przyda.

Rudy pokiwał głową i wstał.

- Dbaj o siebie, Huff. Słuchaj się Selmy. Nie powinieneś lekceważyć kłopotów z sercem. Poza tym, lepiej będzie, jeśli wyrzucisz w cholerę te gwoździe do trumny.

- Jeśli ty pozbędziesz się swoich.

Rudy spróbował się uśmiechnąć, ale nie bardzo mu wyszło. Podszedł do drzwi krokiem człowieka nagle postarzałego o sto lat. Wyglądał mizernie, niedołężnie, jak pokonany przez życie. Huffowi nie podobało się to, co zobaczył. Zawołał:

- Wciąż jesteś ze mną, Rudy?

- O co ci chodzi?

- Czy mam ci to przeliterować?

Wyblakłe oczy szeryfa rozblęły gniewem.

- Po czterdziestu kilku latach masz jeszcze czelność mnie o to pytać?

Huff niewiele sobie robił z oburzenia Rudego. W tej chwili nie obchodziło go, czy szeryf poczuł się urażony.

- Czy muszę się obawiać, że leżąc na łożu śmierci, poczynisz jakieś oczyszczające sumienie wyznania?

- Po tym wszystkim spowiedź nic mi nie pomoże, Huff. Będę się smażył w piekle. Ty też.

- Powinam już wracać do miasta - rzekła Lila, sięgając po kapelusz.

- Nie ma pośpiechu - powstrzymał ją Chris. - George musi najpierw załatwić tę sprawę z podajnikiem. Zajmie mu to dobrych kilka godzin. Poza tym - dodał, podnosząc butelkę białego wina - zostały nam jeszcze przynajmniej dwie porcje i jedna z nich jest podpisana twoim imieniem - wyjął kapelusz z jej dłoni i podał napełniony kieliszek.

Piknik wydawał się dobrym pomysłem. Wydawał się. Tyle że Lila od chwili pojawienia się tylko narzekała; na upał, na owady, na wszystko.

Przyjechali tutaj osobno. Było to jedno z ich zwykłych miejsc schadzek; porośnięta trawą polanka nad wodą, odizolowana od reszty świata szpalerem starych drzew. W weekendy przyjeżdżało tu na piknik wiele rodzin, ale w środku tygodnia nie było tu nikogo.

Chris zadzwonił do Lili zaraz po tym, jak jej mąż opuścił jego biuro. Wyzначył spotkanie za godzinę. Spóźniła się kilka minut. Wysiadła ze swojego kabrioletu, w skąpej sukience, odsłaniającej niemal całe ciało, i w słomkowym kapeluszu z szerokim rondem. Kiedy zobaczyła, że Chris zaplanował dla nich piknik, skrzywiła się.

- Co to jest?

- A jak ci się wydaje?

- Dlaczego nie wsiądziemy do twojego wozu, gdzie jest klimatyzacja?

Chris również nie miał specjalnej ochoty na piknik, ale wiedział, że jeśli zostaną w samochodzie, będą się kochać, po czym Lila wróci do domu. On zaś potrzebował więcej czasu, żeby uwieść ją gładkimi słowami. Wydawało mu się, że trafi do niej romantyzm posiłku na świeżym powietrzu. Ujął jej dłoń i pociągnął kobietę w stronę koca. Delikatnie zdjął jej kapelusz i pogładził szyję i dekolt.

- Zacząłem się czuć nieco klaustrofobicznie, Lila. To przez tę sprawę z Dannym. W pomieszczeniach czuję się, jakby waliły się na mnie ściany. Kiedy tam jestem, potrafię myśleć

wyłącznie o śmierci i o tym, w jak okropny sposób zginął mój brat. - Wsunął palce w jej włosy. - Chciałbym położyć się obok ciebie, zamiast szamotać się w samochodzie - wyszeptał. - Pomóż mi zapomnieć. Proszę.

Jego słowa podziałały na Lilę i natychmiast zabrała się do pocieszania go. Po bardzo rozgrzewającej grze wstępnej usiadła na nim okrakiem, nadziewając się na jego męskość z takim impetem, że powietrze uszło z płuc Chrisa z głośnym westchnieniem. Przez kilka następnych minut Lila zachowywała się tak, jakby miała zamiar oczyścić umysł Chrisa ze wszystkich myśli, poza dotyczącymi ich śliskiego od potu spółkowania. Skoncentrowała się na przywróceniu jego dawnej równowagi emocjonalnej i podeszła do sprawy śmiertelnie poważnie. Po wszystkim zaczęła jednak narzekać. Nie lubiła przebywać na świeżym powietrzu.

- Nigdy nie ma w pobliżu łazienki, kiedy człowiek musi z niej skorzystać - powiedziała. - Na przykład teraz.

- Idź w krzaki.

- I co, mam dostać wysypki w miejscu intymnym? Dziękuję, nie.

Dwa kieliszki wina nieco poprawiły jej humor, podobnie jak przepyszna sałatka z kurczaka i chrupiące herbatniki serowe przygotowane przez Selmę. Jednak po zabiciu kolejnej naprzykrzającej się muchy, sięgnęła po kapelusz i oznajmiła, że czas na nią.

Teraz Chris odsunął czas jej odjazdu kolejną lampką wina.

- Dalej, pij - przytknął kieliszek do jej ust i przechylił go pod tak ostrym kątem, że strużki płynu pociekły po brodzie. Obserwował, jak spływają po szyi i dekolcie, znikając pod sukienką.

Mrugnął do niej, a potem odsunął materiał i zlizął wino z piersi,

- Doskonały rocznik - mruknął.

Wzdychając z rozkoszy, Lila ułożyła się na kocu i odsunęła nieco stanik, żeby ułatwić działanie Chrisowi. Zanim jego usta odnalazły właściwy cel, zaczęła się o niego ocierać.

- O Boże, to mnie doprowadza do szaleństwa - jęknęła.

Chris poruszył szybko językiem.

- Co? To?

- Boże, tak.

Ścisnął jej brodawki między palcami, podczas gdy jego usta powędrowały w dół. Zanim skończył, zdążył się nieco przestraszyć, że Lila wyrwie mu wszystkie włosy. Odwdzięczyła się, biorąc go do ust, schłodziwszy go uprzednio odrobiną pinot grigio. Tuż przed szczytowaniem przeturlał się, położył się na niej i wszedł w nią gwałtownie. Odpowiedziała z równą pasją i oboje przeżyli silny orgazm, jednak gdy tylko uniesienie minęło, Lila odepchnęła go ramieniem.

- Zejdź ze mnie. Jest gorąco, a ty jesteś ciężki.

Z rozmazanym makijażem, potarganymi włosami i skotłowaną sukienką, która więcej odsłaniała, niż zakrywała, stanowiła żywy obraz rozpusty. Biedny George nie miał najmniejszych szans, żeby ją zadowolić. Uśmiechając się do niej i leniwie wodząc palcem po wnętrzu jej uda, powiedział:

- Jesteś najseksowniejszą kobietą, jaką znam, Lila, ale czasem przechodzisz samą siebie. Tak jak teraz, albo zeszłej niedzieli.

- Zeszłej niedzieli? - Spojrzała na zegarek, przeklęła pod nosem i usiadła prosto.

- Nie pamiętasz? Kiedy cię odwiedziłem.

- Boże, ależ ja muszę wyglądać. - Pospiesznie wygładziła sukienkę i zaczęła rozprostowywać skotłowany koc w poszukiwaniu majtek. - Jeśli George będzie w domu, gdy wrócę...

- Nie masz się o co martwić - uspokoił ją, usiłując powściągnąć niecierpliwość. - Jest zajęty.

Będzie w odlewni jeszcze przez kilka godzin.

- Może niespodziewanie wrócić. - Lila znalazła wreszcie swoją bieliznę. Wstała i włożyła ją, a potem schyliła się po kapelusz. - Ostatnio zachowuje się dość dziwnie. Obserwuje mnie. Chyba

coś podejrzewa.

- To tylko twoja wyobraźnia.

- Na początku też tak myślałam, ale tamtej nocy, kiedy wróciliśmy do domu po stypie, zapytał mnie, gdzie zniknęłam.

Chris połaskotał ją pod brodą.

- Ale przecież mu nie powiedziałaś.

Lili nie wydało się to zabawne.

- Od tamtej pory stałam się dla niego kochana i czuła. Próbowалаm uspić jego czujność, ale nie sądzę, by dał się przekonać. Dużo o tobie mówi i przygląda mi się, gdy sądzi, że tego nie widzę.

W świetle niedawnej rozmowy z George'em, Chris zaczął się zastanawiać, czy Lila nie ma przypadkiem racji. Jeżeli jednak Robson podejrzewał ich o romans, to co z tego? Nie obchodziło go, czy mąż Lili o tym wie. W tej chwili interesowała go jej współpraca, jeżeli będzie potrzebna.

Poszedł za Lilą, wspinającą się na niski pagórek, za którym zostawiła samochód. Rzuciła kapelusz na tylne siedzenie i otworzyła drzwi od strony pasażera.

- Zaczekaj - odwrócił ją i przyciągnął do siebie. - Nie pożegnasz się ze mną?

- Chris, nie mam czasu.

- Jesteś pewna? - wymruczał, skubiąc ją w ucho. Odepchnęła go, na żarty.

- Powinam czekać w domu na powrót mojego kochającego męża po ciężkim dniu pracy. Musisz sobie znaleźć inną dziewczynę do zaspokajania potrzeb. - Ścisnęła go szybko, zachęcająco.

- Nie chcę innej dziewczyny. - Wsunął nogę pomiędzy jej uda i zaczął się ocierać o jej krocze. - Chcę kobiety. Ciebie, Lila. A ty chcesz mnie, ponieważ wiem, jak uczynić cię szczęśliwą.

Nie było to najbardziej stylowe pieprzenie, a już na pewno niezbyt wygodne, ale Chris doprowadził Lilę do kolejnego orgazmu, a dla niej liczyło się tylko to. Kiedy wreszcie ją puścił, oddychała ciężko, a jej oczy błyszczały z podniecenia.

Teraz nadszedł najlepszy moment, żeby ją zapytać, pomyślał.

- Pomożesz mi, Lila, kiedy będę cię potrzebował, prawda?

- Spróbuję. - Usiłowała wygładzić sukienkę, ale cienki materiał przywierał do jej spoconej skóry,

- Czasem trudno mi się od razu wyrwać z domu.

- Nie miałem na myśli wyłącznie seksu, tylko sytuację, kiedy rzeczywiście będę cię potrzebował.

Odsunęła się i spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Potrzebował mnie do czego?

Chris przesunął dłońmi po jej ramionach, czule, delikatnie.

- Na przykład, gdy twój wujek, Rudy, zapyta cię, czy byłem u ciebie w niedzielę po południu.

Powiesz mu wtedy, że to prawda, czyż nie?

Natychmiast wytrzeźwiała, jakby ktoś chlusnął jej w twarz kubłem zimnej wody. Przestała być rozmarzona i nasycona. Nigdy nie widział jej tak czujnej.

- Dlaczego wujek Rudy miałby mnie zapytać o coś takiego? O Chryste, George się dowiedział.

- Nie, nie. To nie ma nic wspólnego z George'em. - Delikatnie masował jej ramiona. - Chodzi o mnie. O nas. Próbuję uzyskać rozwód, Lila. Kiedy mi się uda, chciałbym porozmawiać z tobą o przyszłości. O naszej wspólnej przyszłości. Wiem, że jest może zbyt wcześnie, żeby żądać od ciebie poważnej deklaracji, zwłaszcza że wisi mi nad głową ta sprawa ze śmiercią Danny'ego, jednak wszystko się wkrótce wyjaśni. Jak szybko, będzie to zależało od tego, co powiesz Rudemu na temat ostatniej niedzieli.

W ten sposób uzależnił ich wspólną przyszłość od jej decyzji. Dyskretnie obarczył ją odpowiedzialnością za to, co może się zdarzyć, a jednocześnie zasugerował możliwość małżeństwa. Aby przypieczętować umowę, pochylił się i pocałował ją w czoło.

- Mogę na ciebie liczyć, prawda?

- Oczywiście, Chris.

- Wiedziałem o tym. - Pocałował ją delikatnie w usta, wypuścił z objęć i pomógł wsiąść do samochodu. Lila zapaliła silnik, a potem uśmiechnęła się do niego.

- Możesz liczyć na to, że zadbam o Lilę.

Chris poczuł, jakby wymierzyła mu policzek.

- Co?

- Wyraźnie uważasz mnie za głupią gęś. Jesteś świetnym kochankiem, Chris, ale to jedyna rzecz, dla której cię znoszę. George nie jest nikim specjalnym, ale mnie uwielbia. W moim domu jestem księżniczką. W twoim znajdę się pod władzą Huffa i stanę się nic nieznaczącą, zdradzaną żoną. Jeżeli zaś chodzi o ten bałagan ze śmiercią twojego brata, to twój problem, kochanie. Radź sobie sam.

Telefon Becka zadzwonił, gdy wchodził po schodach na ganek domu Hoyle'ów. Odebrał, wysłuchał informacji, przeklął pod nosem, a potem zapytał:

- Kiedy?
- Około godziny temu - odparł Rudy Harper.
- Czy potrafił to wyjaśnić?
- Nie. Na tym polega problem.
- W porządku, Rudy. Dziękuję, że dałeś mi znać. Zadzwonię do ciebie.

Beck przerwał połączenie i wszedł do środka. Obszerny korytarz był ocieniony i wyciszony, jak gdyby dom odbywał właśnie drzemkę. W bibliotece nie było nikogo. Beck znalazł Huffa w najbardziej nieprawdopodobnym miejscu: w oranżerii Laurel Lynch Hoyle.

- Co ty tu robisz?
- Mieszkam tutaj.
- Przepraszam. Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało. Jestem trochę roztrzęsiony.
- Właśnie widzę. Idź, nalej sobie drinka.
- Dzięki, ale lepiej będzie, jeśli się powstrzymam.
- Musisz zachować klarowny umysł?
- Coś w tym stylu.
- Siadaj. Nakręcasz się bardziej niż którykolwiek z moich znajomych.

Beck opadł na jeden z ratanowych foteli, które stały w oranżerii. Zachodnia strona nieba, na którą wyglądały wysokie okna, nabrała lawendowego koloru, jak kilka storczyków w doniczkach, które kwitły obficie. Zapadał zmierzch. Soczysta zieleń paproci przywodziła na myśl chłód, tak upragniony po upalnym dniu. Oranżeria wydawała się oazą zapraszającą gości, by się odprężyli, wyciszili. Jednak dziś potrzeba było czegoś więcej niż tylko atmosfery tropików, żeby go



uspokoić.

Huff ułożył się na szezlongu z kilkoma poduszkami pod plecami. Trzymał w dłoni szklaneczkę z burbonem, ale nie palił, spełniając tym życzenie zmarłej żony, aby nie przynosić papierosów do tego pomieszczenia.

- Dobrze się czujesz? - spytał Beck.

- Zdaje się, że lepiej niż ty. Gdybyśmy mieli się założyć, który z nas ma teraz wyższe ciśnienie, postawiłbym pieniądze na ciebie,

- Czy to takie oczywiste?

- Powiedz mi, co się dzieje.

Beck westchnął głośno i oparł się wygodniej o poduszki na krześle.

- Obrywa się nam ze wszystkich stron, Huff.

- Po kolei.

- Po pierwsze, mamy kłopoty z Paulikiem. Rozmawiałem przez telefon z dogłdającym go lekarzem. Prognozy na wyleczenie są dobre. Fizycznie Billy radzi sobie doskonale, tak jak się można było spodziewać.

- Ale?

- Ale wpadł w głęboką depresję.

- To oznacza konieczność zatrudnienia psychologa burknął niezadowolony Huff.

- Nie dostaliby na to pieniędzy, nawet gdyby wypełnili formularz, czego nie zrobili. Myślę, że powinniśmy im zaoferować opłacenie sesji u psychiatry.

Huff skrzywił się z odrazą.

- Ci lekarze nieźle nakręcają sobie koniunkturę. To przekręt.

- W niektórych przypadkach zapewne tak. Zważywszy jednak, że Billy przechodzi ciężki okres pod względem emocjonalnym i umysłowym, wydaje się dość logicznym posunięciem. Poza tym

przysporzyłyby to nam popularności, której desperacko potrzebujemy.

- W porządku, ale tylko kilka spotkań - zdecydował Huff. - Nic na dłuższą metę.

- Powiedzmy, pięć sesji.

- Powiedzmy, trzy. Co jeszcze?

- Pani Paulik. Nowy SUV, który wysłaliśmy do niej wczoraj, stał na moim miejscu parkingowym, gdy przyjechałem do pracy dziś rano. Wysłałem robotników do jej domu, żeby wykonali część niezbędnych napraw, i tak dalej. Pani Paulik nie wpuściła ich za próg. Odesłała ich z kwitkiem, a potem zadzwoniła do mnie i oświadczyła, że mogę sobie włożyć moje łapówki wiadomo gdzie. Wyprowadza się z twojego domu, „twojego śmierdzącego domu”, jak się wyraziła. I dodała, że jeśli myślimy, iż kilka kolorowych paciorków kupi jej milczenie, powinniśmy się jeszcze raz zastanowić.

Huff pociągnął łyk burbona.

- To jeszcze nie wszystko, prawda?

- Nie - odpowiedział Beck z ociąganiem. - Zamierza nas pozwać.

- Cholera jasna! Tak powiedziała?

- Obiecała nam to.

Mieszając bursztynowy płyn w szklaneczce, Huff zamyślił się na kilka chwil.

- Założę się, że tego nie zrobi, Beck - rzekł wreszcie. - Swoimi groźbami próbuje zwrócić na siebie uwagę. W porządku, osłódźmy zatem nieco jej niedolę.

- Jeszcze więcej podarków? Myślę, że to tylko bardziej umocni w przekonaniu, że próbujemy ją przekupić w zamian za milczenie. Poza tym jest jeszcze coś. - Beck przerwał i westchnął ciężko.

- Pani Paulik zamierza porozmawiać z prokuraturą. Zamierza oskarżyć nas o przestępstwo kryminalne.

Huff dopił drinka i odstawił szklanekę. Jego gwałtowne ruchy świadczyły o targającym nim

gniewie.

- Nie ma na to szans - ciągnął Beck. - Musiałaby udowodnić, że wiedzieliśmy, iż ten wypadek musi nastąpić, a tego nie dokona nawet najbystrzejszy oskarżyciel. Z drugiej strony, znam kilka firm, które odpowiadały na zarzuty o umyślne nieprzestrzeżenie przepisów bezpieczeństwa i w związku z tym celowe narażanie życia swoich pracowników. Ich wieloletni klienci nagle zwiłali interesy, a pracownicy zwłaszcza ze szczebla kierowniczego, rezygnowali z pracy ze strachu przed pójściem na dno wraz z tonącym okrętem. Takie procesy trwają latami. Ogromne konglomeraty z miliardowym budżetem i falangą prawników zaangażowanych w sprawę mają szansę przetrwać. Prywatnym przedsiębiorstwom, jak naszemu, zazwyczaj się to nie udaje.

Huff prychnął drwiąco.

- Potrzeba więcej niż jednej niezadowolonej, pyskatej baby, żeby zamknąć Hoyle Enterprises.

- W normalnym przypadku zgodziłbym się z tobą, ale Alicia Paulik nie działa sama. Zatrudniła Charlesa Nielsona jako swojego prawnika. Dziś otrzymałem od niego faks. Nie będę cię nabierał, Huff. To prawdziwy koszmar.

- Gdzie jest ten faks?

Beck otworzył teczkę, którą przyniósł ze sobą, i wyciągnął kartkę papieru. Wstał i wręczył ją Huffowi ze słowami:

- Chyba jednak się czegoś napiję.

Poszedł do biblioteki, nalał sobie burbona i wody, porozmawiał z Selmą, która przyszła zapytać, czy Beck zostanie na kolację, a potem wrócił do oranżerii. Huff nie wylegiwał się już na szezlongu, lecz spacerował wielkimi krokami wzdłuż okna. Faks leżał zmięty na ziemi.

- Zawracanie głowy. Nasi pracownicy nie będą strajkować - powiedział wreszcie.

- Mogą.

- Nie zrobią tego.

- Jeżeli zjednoczą się wokół sprawy...
- Zjednoczą, diabła tam! - wrzasnął. - Za bardzo się boją o swoje...
- Nic nie jest już tak, jak czterdzieści lat temu, Huff! - krzyknął Beck. - Nie możesz prowadzić interesów tak, jak wtedy, gdy przejąłeś fabrykę. Nie możesz być autonomiczny.
- Powiedz mi do cholery dlaczego nie?
- Ponieważ Destiny nie jest feudalnym miasteczkiem odizolowanym od reszty świata. Rząd...
- Rząd nie ma żadnego cholernego prawa mówić mi, jak mam prowadzić interesy!

Beck zaśmiał się krótko.

- Prawo federalne powiada, że może. AOS i OSHA obserwują nas i zapisują nazwiska. Teraz może się do nich dołączyć Sąd Najwyższy. Na samą myśl o tym Nielson pewnie dostał wzdęcia.
- Potarł kark, po czym upił nieco whisky. - Poprosił związki zawodowe, żeby wysłały tu...
- Swoich oprychów.
- Przyjadą na początku przyszłego tygodnia. Zorganizują pikietę i będą namawiali naszych pracowników do przyłączenia się tak długo, aż... cóż, czytałeś faks. Jest tam lista wstępnych żądań i obietnica dalszych.

Huff machnął ręką niecierpliwie.

- Nasi robotnicy nie posłuchają żadnych agitatorów z zewnątrz, zwłaszcza jeśli przybędą z Północy.
- A jeśli będą to miejscowe chłopaki? Cajun. Biali i czarni. Nielson jest zbyt sprytny na to, żeby przysyłać tu ludzi, którzy z miejsca wzbudzą nieufność. Pojawią się chłopcy z Południa, którzy rozmawiają naszym językiem.
- Nieważne, skąd przybędą. Tak długo, jak my nie pozwolimy im się wtrącać w nasze sprawy, robotnicy zrobią to samo.
- Możliwe. Miejmy nadzieję. Problem w tym, że wypadek Billy'ego wywarł na wszystkich

ogromne wrażenie, Huff. Nie byłeś w fabryce od dnia, w którym się to zdarzyło. Atmosfera jest fatalna, panuje ogólne niezadowolenie. Ludzie narzekają, mówią, że nic takiego by się nie zdarzyło, gdybyśmy przeprowadzali rutynowe przeglądy techniczne maszyn i przestrzegali przepisów BHP

- Paulik nie powinien w ogóle pracować przy tym podajniku. Nie był to tego szkolony.

- Na twoim miejscu nie używałbym tego argumentu, Huff, ponieważ to jeden z ich zarzutów.

Słyszałem skargi, że nowi pracownicy wysyłani są na halę bez właściwego przyuczenia i że w naszej fabryce w ogóle nie można liczyć na porządne przeszkolenie. Na miejscu George'a Robsona byłbym bardzo ostrożny. Chociaż wszyscy wiedzą, że jest tylko kukiełką.

Wyrzucając z siebie stek przekleństw, Huff odwrócił się do okna i spojrzał na swoją posiadłość.

Beck dał mu trochę czasu na przetrwanie tego, o czym właśnie rozmawiali. Wreszcie stary podszedł do pianina i uderzył kilka klawiszy.

- Umiesz na tym grać, Beck? - spytał.

- Nie. Moja mama przeszła okres fascynacji Pete'em Fountainem i zapisała mnie na lekcje klarnetu. Poszedłem trzy razy, a potem odmówiłem dalszej nauki.

- Laurel umiała grać na pianinie. - Huff uśmiechnął się do klawiatury, jakby widząc przebiegające po niej dłonie żony. - Bach, Mozart, Dixieland jazz. Potrafiła usiąść, spojrzeć na nuty i zagrać jak wirtuoz.

- Musiała mieć do tego talent.

- Jeszcze jak.

- Sayre powiedziała mi, że nie odziedziczyła go po matce.

- Sayre - sapnął Huff. - Wiesz, co dzisiaj robiła?

Beck pokręcił głową. Nie chciał rozmawiać o Sayre. Nie chciał nawet o niej myśleć.

- Powiedzmy, że była zajęta - rzucił Huff.

Beck nie bardzo wiedział, jakiej reakcji oczekuje po nim Huff i czy w ogóle jakiejś się spodziewa. Najwyraźniej nie, ponieważ wrócił na szeslong i podjął przerwana dyskusję:

- Oto, co myślę, Beck. Uważam, że ten cały Nielson to krzykacz, nic więcej. Dlaczego ostrzegł nas przed przybyciem swoich ludzi? Dlaczego nas nie zaskoczył?

- Masz na myśli niespodziewany atak?

- Taką właśnie obrałbym taktykę. - Huff wymierzył w Becka palcem, jakby trafił w dziesiątkę. -

Dlaczego dał nam czas na przygotowanie się? Oznajmia nam, że zamierza rozpocząć z nami walkę. Oznacza to, moim zdaniem, że albo jest kiepskim strategiem, albo też nie jest w polowie tak sprytny, za jakiego się uważa.

- Albo?

- Albo to, że próbuje wywołać zamieszanie po to, by zyskać rozgłos, ale tak naprawdę nie chce zrealizować wszystkich swoich gróźb. Nie sądzę, żeby Nielson chciał walki. Myślę, że się nas boi.

Beck zastanawiał się nad tym przez chwilę.

- Nie wygląda mi na kogoś, kto boi się stawić czoło. Po tym, jak otrzymałem faks, zadzwoniłem kilka razy do jego biura w Nowym Orleanie. Powiedziano mi, że wyjechał. Zostawiłem wiadomość i prośbę, żeby oddzwonił. Do tej pory tego nie uczynił.

- Widzisz? - Huff uśmiechnął się szeroko. - To właśnie miałem na myśli. Unika nas, a to mi pachnie tchórzem. Blefuje.

- Chcesz, żebym nadal próbował się z nim skontaktować?

- Daj mu się we znaki. Zobaczmy, jak mu się spodoba, że co rusz dostaje szturchańce w bok. Zacznij mu się naprzykrzać.

- To dobry pomysł, Huff.

- Nie odpuszczaj, dopóki nie zgodzi się na spotkanie twarzą w twarz. To jedyny sposób, by go

rozszyfrować. Te faksy i listy FedExu to jakieś gówno. Jestem już zmęczony tym przerzucaniem się groźbami.

- Zajmę się tym jutro z samego rana.

- A tymczasem chciałbym, żebyś porozmawiał z naszymi najbardziej lojalnymi ludźmi, na przykład z Fredem Decluette'em. Z tymi, na których możemy liczyć. Trzeba się dowiedzieć, kim są podżegacze wśród naszych robotników.

- Rozmawiałem z Fredem dziś po południu. Wraz z kilkoma innymi kolegami będą mieć oczy i uszy otwarte i doniosą nam, kim są ci wichrzyciele.

Huff puścił do niego oko.

- Powinienem wiedzieć, że od razu się tym zajmiesz.

- Jeszcze jeden drink?

Beck wstał i ujął szklankę Huffa. W bibliotece nalał kolejną porcję burbona sobie i jemu, po czym wrócił do oranżerii.

- A teraz porozmawiajmy o czymś innym - odezwał się Huff, odbierając drinka z jego rąk.

Beck spojrzał na niego ponuro.

- Obawiam się, że jest coś jeszcze. Przed kilkoma chwilami zadzwonił do mnie Rudy Harper i...

- To może poczekać. Porozmawiajmy o Sayre.

- O co chodzi?

- Może byś się z nią ożenił?

Beck zatrzymał się tuż nad ratanowym siedziskiem i spojrzał na Huffa, który jak gdyby nigdy nic sącył drinka, Roześmiał się, widząc zaskoczenie na twarzy towarzysza. Beck otrząsnął się szybko i usiadł na krześle.

- To chyba te leki zaburzają twoje myślenie. Co przepisał ci doktor Caroe i czy powinieneś to łączyć z alkoholem?

- Nie jestem ani naćpany, ani pijany. Posłuchaj mnie.

Beck udał, że się rozluźnia. Oparł się o poduszkę.

- Lepiej, żeby to była dobra historia. Zamieniam się w słuch, Huff.

- Nie bądź takim mądrałą. Mówię poważnie.

- Masz urojenia.

- Podoba ci się?

W odpowiedzi Beck jedynie spojrzął się na Huffa beznamiętnie.

- Tak myślałem - powiedział Huff, śmiejąc się serdecznie. - Widziałem was oboje przy rozlewisku, po stypie. Nawet z tej odległości wyczułem żar między wami.

- Żar? Masz rację. Sayre bardzo żarliwie tłumaczyła mi, jak podłą jestem kreaturą, -

Wyśmiewając matrymonialne mrzonki Huffa, Beck zastanawiał się jednocześnie, czy stary rozmawiał z Chrisem i czy ten opowiedział mu o scenie w kuchni domu Becka, jaką przerwał swoim przybyciem. Ciekawe, jak długo Chris u niego był? Jak wiele usłyszał z ich rozmowy? -

Skąd ci się wziął ten szalony pomysł? - spytał z całą nonszalancją, na jaką było go stać.

- Praktycznie biorąc, jesteś członkiem naszej rodziny. Poślubienie Sayre nada temu oficjalny ton.

- W twoim planie jest pewien szkopuł, Huff. Nawet gdybym nie marzył o niczym innym, jak tylko o ożenku z Sayre, a przypominam, że to nieprawda, pamiętaj, że ona gardzi rodziną.

- Mógłbyś ją do nas przekonać.

Beck uśmiechnął się krzywo.

- Sayre nie wygląda mi na tak spolegliwą osobę. Właściwie można powiedzieć, że jest równie elastyczna, jak nasze stalowe rury.

- Nie czujesz się wystarczająco silnym mężczyzną, żeby sobie z nią poradzić?

- Nie - roześmiał się Beck. - Poza tym, nie chciałbym kobiety, z którą muszę sobie „radzić”. -

Zbyt późno zdał sobie sprawę, że sam poprowadził się prosto w pułapkę. Huff uniósł brwi.



- W takim razie idealnie do siebie pasujecie, prawda? Chemia, żar i tak dalej. Sayre to narowista klaczka, a ty przecież nie chcesz podnóżka do swoich stóp.

Beck dopił drinka i odstawił pustą szklankę na filigranowy stolik.

- To się nie stanie. Zapomnijmy, że w ogóle o tym wspomniałeś.

- Jeżeli martwisz się o ewentualny nepotyzm, o tym zapomnij. Ja ożeniłem się z córką mojego szefa i zobacz, jak dobrze się wszystko ułożyło.

- To co innego.

- Pewnie, że tak. Masz do zaoferowania znacznie więcej niż ja w tamtym czasie. Nie miałem grosza przy duszy. Byłem nikim. Prostakiem, który nie miał nawet własnego ubrania na grzbiecie.

Ty możesz zaoferować Sayre bardzo wiele.

- Nie pozwoliła mi nawet zapłacić za hamburgera w barze.

- A co z jadłodajnią nad rozlewiskiem? Czy wtedy też nie pozwoliła ci zapłacić?

Beck poczuł, jak uszy płoną mu ze wstydu. Ile jeszcze wie ten podstępny stary łotr? Z wysiłkiem zachował obojętny wyraz twarzy.

- Jak na taka chudzinę, potrafi wtrząchnąć niezłą porcję. Nakarmienie jej kosztowało mnie wtedy piętnaście dolarów, włączając w to napiwek.

Huff zaśmiał się, ale nie pozwolił, by żart Becka sprowadził go z głównego toru.

- Przez całe życie pracowałem z myślą o jednej, jedynej rzeczy - zaczął z powagą. - Pomyślisz pewnie: o pieniądzach. Otóż nie. Lubię mieć forszę, ale tylko dlatego, że daje władzę, ja zaś wolę to od wszelkich dóbr materialnych. Szacunek? Diabła tam! Nie obchodzi mnie to, co myślą o mnie inni. Czy mnie kochają, czy nienawidzą, to nie mój problem. - Wyciągnął palec wskazujący. - Harowałem tylko po to, żeby moje imię mnie przeżyło. To wszystko. Czy to cię dziwi? - Machnął ręką, jakby odganiając szkodnika. - Możesz sobie zatrzymać swoje pieniądze i te wszystkie, jak im tam, tabliczki pamiątkowe i ordery za dobroczynną działalność i politykę

społeczną. Nic mnie to nie obchodzi, o nie, drogi panie! Za cały mój trud i poświęcenie chcę jedynie, aby wszyscy pamiętali nazwisko Huffa Hoyle'a i powtarzali je przez długi czas, na długo po tym, jak mnie pogrzebią. To zaś oznacza wnuki, Beck. Jak dotąd nie dorobiłem się żadnego i zamierzam to naprawić.

- Musisz więc porozmawiać z Chrisem - powiedział poważnie Beck.

Huff zmarszczył się gniewnie i sięgnął do kieszeni koszuli po paczkę papierosów. Potem jednak przypomniał sobie, że palenie w tym pokoju było zabronione.

- W najbliższym przewidywalnym czasie Chris nie zostanie ojcem. - Opowiedział Beckowi o owarietomii Mary Beth.

- Nie wiedziałem o tym. Chris mi nie powiedział.

- Tak, niestety, mają się rzeczy. Chris musi najpierw uzyskać rozwód, uczciwie lub nie. Jednak nawet jeżeli Mary Beth podpisze papiery jutro rano, obawiam się, że mój syn nie ma żadnej kandydatki czekającej w kolejce na żonę. Ty natomiast - powiedział, wpatrując się intensywnie w Becka - jeśli przystąpisz do działania, możesz dać mi wnuka w ciągu dziesięciu miesięcy.

Beck potrząsnął głową z niedowierzaniem.

- Ta rozmowa staje się z minuty na minutę coraz dziwniejsza. Najpierw chcesz, żebym ożenił się z kobietą, która mnie nie znosi, a teraz planujesz jeszcze, żebym został ojcem jej dziecka? Już ja jestem bardziej niż zaskoczony, a potrafisz sobie wyobrazić reakcję Sayre? Albo zabije nas śmiechem, albo krzykiem. Tak czy owak, nawet gdybyś chciał z nią o tym porozmawiać, musiałbyś zabrać się do tego zaopatrzone w krzesło z rzemieniami, bat i uzdę. Możemy już zostawić ten temat? To wykluczone.

- Oczywiście, zdaję sobie sprawę z pewnych trudności - powiedział niezrażony Huff - ale jestem pewien, że potrafię sobie z nimi poradzić.

- Nie ze wszystkimi, Huff

- Na przykład, z czym nie?

- Na przykład, z konfliktem interesów. Jestem prawnikiem Chrisa.

Huff zmarszczył brew.

- I co to ma wspólnego z tą sprawą?

- A to, że Sayre uważa, iż detektyw Scott wpadł na jakiś ślad.

Obserwował, jak twarz Huffa stopniowo przekształca się w maskę wściekłości.

- Sayre sądzi, że Chris zabił Danny'ego? Jak może?! Dlaczego?! Z powodu Iversona?

- Zapewne jest to jedna z przyczyn.

- I?

Beck spojrzał na swoje dłonie, złożone jak do modlitwy.

- Wspomniała też coś o Sonniem Hallserze. - Huff nie reagował tak długo, że w końcu Beck podniósł głowę i spojrzał na niego. - Powiedziała, że zabijanie macie we krwi.

Twarc Huffa zrobiła się tak czerwona, że Beck się przestraszył, by to nie był ponowny zawał.

- Przynieść ci wody?

Huff zignorował ofertę.

- Sprawa Hallsera zdarzyła się wieki temu.

- Najwyraźniej niewystarczająco dawno. Sayre zachowała żywe wspomnienia tamtych chwil.

- Czy pamięta również, że nigdy mnie o nic nie oskarżono?

- Tak, ale się zastanawia, czy przypadkiem... - potrząsnął głową, nie mogąc zakończyć zdania. -

Nie mogę tego powtórzyć.

- Zastanawia się, czy przypadkiem nie wyszedłem z fabryki dopiero po tym, jak Hallser wpadł do piaskarni i został wciągnięty przez maszynę? Że może sam go tam wepchnąłem i zostawiłem, by wykrwawił się na śmierć?

Beck spojrzał na niego bez słowa. Tak właśnie brzmiały oskarżenia. Nigdy nieudowodnione,

nigdy nieprzedstawione w sądzie, jedynie pobieżnie sprawdzone przez przedstawicieli prawa.

- Sayre zawsze miała o mnie jak najgorsze mniemanie - powiedział Huff, - Tymczasem ja chciałem tylko zapewnić wszystko co najlepsze całej mojej rodzinie. - Wstał z szezlonga i znów zaczął przechadzać się po oranżerii, - Jeszcze jako wychudzony mały dzieciak z ubłoconymi nogami przyrzekłem sobie, że nie pozwolę nikomu traktować mnie jak śmiecia, nigdy nie będę chował głowy w piasek ani płaszczył się przed ludźmi. Nigdy do tego nie dopuściłem i, do cholery, nie dopuszczę. Jeśli komuś nie podobają się moje metody, to jego problem. Dotyczy to również panny Sayre Lynch Hoyle.

- Nie chciałem cię zdenerwować, Huff, ale sam zapytałeś.

Huff machnął ręką.

- Daj spokój. Niech Sayre myśli sobie, co chce. Nie wiem, dlaczego nagle przyszło jej do głowy, by wyciągać na światło dzienne stare wydarzenia, które miały miejsce, kiedy była jeszcze siusiumajtką. Pewnie wyzbyła się wszystkich powodów, aby mnie nienawidzić i teraz musi wykrobywać coś z samego dna. Kto wie, co nią kieruje? Ale przecież nie musi mnie lubić, żeby poślubić ciebie. - Zatrzymał się nagle i zachichotał, patrząc na Becka bystro. - Zwiodłeś mnie, co? Pomyślałeś: Wyprowadzę starego z równowagi, żeby zaczął myśleć o czymś innym. Co tak naprawdę cię martwi? Czy to, że Sayre miała już dwóch mężów?

- Nie mam prawa jej oceniać.

- Była młoda - powiedział Huff, chociaż Beck nie pytał o komentarz. - Impulsywna, krnąbrna i nierozważna. Dokonała złych wyborów.

- Chyba nie do końca tak było, prawda, Huff? Czy ci narzeczeni nie byli przypadkiem wybrani przez ciebie?

Huff zmrużył oczy.

- Powiedziała ci o tym?

- Nie. Chris mi powiedział.

Huff poruszył ustami, jakby trzymał w nich papierosa. Robił to zawsze wtedy, gdy nie palił.

- Nad tą dziewczyną nie można było zapanować. Jej życiem rządził chaos, a ona tylko pogarszała sprawę. Jako jedyny rodzic uznałem, że moim obowiązkiem jest coś z tym zrobić, aby uniknąć totalnej katastrofy. Przyznaję, że postawienie ultimatum w sprawie zamążpójścia było dość drastycznym krokiem, ale sytuacja wymagała ode mnie, abym był twardy. Powiadam ci, Beck, możesz sobie teraz pomyśleć: Biedna Sayre, ale radzę ci, nie popełniaj tego błędu. Zmieniła życie tych mężczyzn w pasmo udręk. O tak, sami się o to prosili. Chcieli jej, drugi mąż tak samo jak pierwszy, chociaż zdawał sobie sprawę, że pierwsze małżeństwo rozpadło się, zanim jeszcze wysechł atrament na certyfikacie. Uznali jednak, że jest warta piekła, jakie im urządziła. Była piękną, narowistą klaczką. Dziką i... sam wiesz.

O tak, Beck dobrze wiedział. Sayre taka właśnie była. Jego dłonie to poczuły, usta posmakowały.

Lepiej jednak o tym nie myśleć.

- Skoro pierwsze małżeństwo skończyło się rozwodem, dlaczego nalegałeś na drugie?

- Jeszcze nie zrobiłem porządku z fochami Sayre.

- Wciąż była zakochana w Clarku Dalym?

Huff nachmurzył się jeszcze bardziej.

- O tym także wiesz?

- Niewiele.

- Miałem rację, przerywając ten romans, nie sądzisz? Zobacz, co się zrobiło z tego chłopaka.

Uważasz, że Sayre byłaby z nim teraz szczęśliwa? Jest miejscowym pijakiem, żyje z dnia na dzień. To przegrany człowiek. Powiedz mi, że się myliłem, zapobiegając temu związkowi.

Beck powstrzymał się od komentarza. Najwyraźniej był to delikatny temat, zarówno dla Sayre, jak i dla Huffa. Stary spojrzał na niego badawczo.

- Założę się, że przeszło ci przez głowę to pytanie.

- Jakie?

- Jaka jest w łóżku.

- Na litość boską, Huff! - Beck zerwał się na równe nogi. - Nie zamierzam tego dłużej wysłuchiwać.

Odwrócił się w kierunku drzwi i niemal zderzył się z Chrisem, który właśnie wchodził do oranżerii,

- Nie zamierzasz dłużej wysłuchiwać czego? - spytał.

- Próbuję namówić Becka do ożenku z Sayre - wyjaśnił Huff.

Chris spojrzał na Becka z rozbawieniem w ciemnych oczach. Śmiał się w duchu na myśl o romantycznym interludium, którego był świadkiem.

- Mam zacząć odświeżać mój smoking?

- Powiedziałem Huffowi, że się łudzi. Najwyraźniej ty również żyjesz w świecie bajek.

Ton Becka spowodował, że Chris cofnął się o krok.

- Co cię tak zdenerwowało?

- Co, do cholery, robiłeś w domku rybackim?

- Co takiego? - spytał Huff.

- To właśnie była sprawa, z którą zadzwonił do mnie Rudy - wyjaśnił Beck. - Próbował nas ostrzec. Wygląda na to, że Wayne Scott wrócił niedawno do biura szeryfa, z trudem ukrywając podniecenie, ponieważ przyłapał Chrisa w domku rybackim.

- I co z tego, do cholery? Idę sobie nalać drinka. - Chris odwrócił się, ale Beck wyciągnął rękę i złapał go za ramię. Chris strząsnął jego dłoń ze złością, lecz pozostał na miejscu.

- Co tam robiłeś? - spytał Beck.

- To moja posiadłość.

- To miejsce przestępstwa. Czy wiesz, w jakim świetle cię to stawia?

- Nie. W jakim?

- Złym. Jakbyś był winny.

Obaj patrzyli na siebie przez chwilę z gniewem. Chris wycofał się pierwszy:

- Ani Scott, ani ty nie powinniście się tym tak podniecać. Dziś po południu wziąłem Lilę na piknik, niesłusznie zakładając, że ucieszy ją ten romantyczny gest. Chciałem ją nieco zmiękczyć i urobić, na wypadek, gdybym potrzebował jej jako mojego alibi na niedzielne popołudnie.

Myślałem, że jeśli odegram wrażliwego mężczyznę w potrzebie, odezwie się w niej instynkt opiekuńczy.

- Jak poszło?

- Wygląda na to, że Lila nie ma żadnych instynktów opiekuńczych, ale wciąż nad nią pracuję.

Beck nie był zadowolony z tej wymijającej odpowiedzi, nie pociągnął jednak dalej dyskusji na ten temat.

- Nadal nie wyjaśniłeś, dlaczego poszedłeś do domku rybackiego.

- Mijałem go, wracając do miasta. Zobaczyłem znajomy zakręt i zadziałał impuls. Nie byłem tam od kiedy... to się zdarzyło. Chciałem zobaczyć domek na własne oczy, Wszedłem i się rozejrzałem. Wszystko już uprzątnięto, ale nadal można dostrzec plamy krwi. Byłem tam tylko kilka minut. Kiedy wyszedłem, na zewnątrz czekał Scott, opierając się o samochód policyjny, z głupim uśmiechem na twarzy.

- Co powiedział?

- Coś przemądrzałego na temat przestępców zawsze powracających na miejsce zbrodni.

Odrzekłem mu, żeby się pieprzył. Wtedy zapytał mnie, co tam robiłem i czy zabrałem coś ze środka.

- I co mu odpowiedziałeś?

- Nic. Powtarzasz mi przecież, że nie powinienem odpowiadać na żadne pytania bez twojej obecności.

- Co się potem zdarzyło?

- Wsiadłem do samochodu i zostawiłem go tam.

- Chris, czy zabrałeś coś z domku rybackiego? - spytał Beck.

Chris wyglądał tak, jakby za chwilę miał powiedzieć przyjacielowi, żeby poszedł do diabła.

Zamiast tego rzucił jedynie suche „nie” i dodał:

- Jedyną rzeczą, jakiej dotykałem, była klamka. Musiałem jakoś wejść do środka.

Beck nie był pewien, czy powinien wierzyć Chrisowi, ale nie zadał żadnego więcej pytania.

Pomogłoby mu, gdyby Chris był z nim zupełnie szczery, ale nie musiał być. Prawnicy nie zawsze chcą wiedzieć, czy ich klient jest winny, czy też nie.

- Mam nadzieję, że nic wielkiego się nie stało - powiedział z większą pewnością w głosie, niż czuł. - Po prostu lepiej by było, gdybyś skonsultował się ze mną, zanim tam poszedłeś.

- Jesteś moim prawnikiem, a nie przedszkolanką.

Z tymi słowami Chris wyszedł z pokoju. Powrócił kilka minut później, z wysoką szklanką w rękę.

Usiadł na stołeczku i rozejrzał się wokół, jakby nigdy przedtem tu nie zaglądał.

- Dlaczego tu siedzimy?

- Cały dzień spędziłem w bibliotece i potrzebowałem zmiany otoczenia - odparł Huff. - Tutaj właśnie zastał mnie Beck, kiedy przyjechał, by omówić ze mną kilka spraw.

- Na przykład jakich... poza przyszłym małżeństwem z Sayre? Co, moim zdaniem, jest śmieszne.

- Moim też - odparł Beck. - Na tym zakończmy wszelkie dyskusje na ten temat. - Spojrzał twardo na Huffa i zwrócił się do Chrisa. - Przyjechałem, żeby zasygnalizować Huffowi kilka ważnych problemów. - Wyliczył tematy, niczym listę albo urzędowe streszczenie.

- To dość poważne sprawy - orzekł Chris. - Nie mogłeś poczekać z rozmową, aż ja się pojawię?



Wyłączenie mnie z dyskusji wchodzi ci ostatnio w krew.

- Nie zrobiłem tego specjalnie, Chris. Huff po prostu zapytał mnie i...

- ... Beck udzielił mi odpowiedzi - przerwał Huff. - O szczegółach możesz dowiedzieć się później. Teraz jest coś, co chciałbym z wami przedyskutować. To poważna sprawa i dotyczy Sayre.

- Powiedziałem ci już, że ten temat jest zamknięty.

- Nie o tym mowa, Beck. Chodzi o coś innego.

Chris upił łyk whisky.

- Nie mogę się doczekać. Co też wymyśliła tym razem moja droga siostrzyczka?

Był sobotni wieczór i Klaps Watkins nie wiedział, co ze sobą zrobić.

Od dziesiątej rano pił w knajpie zaszytej tak głęboko na bagnach, że jeśli nie wiedziało się o jej istnieniu, nie sposób było ją odnaleźć. Anonimowość tego miejsca była zamierzona. Pojawiająca się tu klientela rzadko posługiwała się prawdziwymi nazwiskami i reagowała dość wrogo na wścibskie pytania.

Klaps sporo czasu spędził na grze w bilard i stracił dużo pieniędzy na zakładach. Potem kobieta z kolczykiem w nosie, której brakowało przedniego zęba, odrzuciła ofertę, że postawi jej drinka.

Spojrzała na jego uszy i roześmiała się w głos:

- Nie jestem aż tak spragniona.

Po takiej odmowie Klaps wyszedł z hurkotem z knajpy. Nie musiał tolerować takiego traktowania.

Nigdy nie upijał się na wesoło. Alkohol zawsze robił z niego gbura. Im bardziej był pijany tym bardziej stawał się opryskliwy. Dzisiejszego wieczoru niezłe szumiało mu w głowie.

Wkurzył się jeszcze bardziej, kiedy wrócił do mieszkania kumpla, u którego się zatrzymał.

- Szukali cię, człowieku. - Facet (w tamtej chwili Klaps nie mógł sobie przypomnieć jego imienia) zablokował drzwi kościstym ciałem, rozmawiając z Watkinssem przez pordzewiałą moskitierę, która wywoływała dość przykre skojarzenia nieczęstych odwiedzin przyjaciół z czasów więzienia,

- Kto?

- Dwaj policjanci. Około czwartej po południu. Moja stara spanikowała.

Nie dziwota. Produkowała metę w łazience.

- Powiedzieli czego chcą?

- Nie, ale kiedy wsiadali do samochodu, jeden z nich wspomniał coś o Hoyle'u. W każdym razie

moja stara mówi, że nie możesz tu dłużej zostać. Przepraszam cię, stary, ale kurde... - wzruszył ramionami - sam wiesz, jak jest.

Diabli! Tak oto Klaps został bez dachu nad głową, a na dodatek był poszukiwany przez policję. Nie dadzą mu odetchnąć, co? Takie już jego pieskie życie.

Z przemocą zetknął się jeszcze jako dziecko, gdy ojciec bijał go regularnie, a liczne rodzeństwo nieustannie przedrzeźniało z powodu uszu. Ich drwiny były bezduszne. Klaps nauczył się bronić przed nimi z równym okrucieństwem. Należał do gatunku porywczych awanturników, których jedyną odpowiedzią na najmniejszą sprzeczkę było użycie broni, nawet jeśli były nią tylko własne pięści lub zęby.

Tendencje do przemocy wrzały w nim teraz, gdy pędził drogą na swoim motocyklu. Wszystko, co posiadał, leżało spakowane w koc za siedzeniem. Usiłował myśleć jasno i spokojnie, ale jego mózg naszprycowany był tanim alkoholem, co utrudniało rozsądne rozumowanie. Kiepsko, zwłaszcza że musiał podjąć kilka poważnych decyzji.

Po pierwsze, u kogo się ma zaszyć? U rodzinki? Miał krewnych w całej Luizjanie, ale nie lubił żadnego z nich. Wujek przypominał mu zmarłego ojczulka, a Klaps szczerze nienawidził skurwiela. Większość krewnych miała stado wyjących bachorów, które działały mu na nerwy. Kilka tygodni temu jeden z kuzynów zgodził się go przenocować na sofie w dużym pokoju, ale zaledwie po jednym dniu oskarżył Klapsa o nieczyste myśli o jego żonie. Klaps wyśmiał go i powiedział, że jego stara jest potwornie brzydka i tylko ślepiec mógłby mieć o niej jakieś nieczyste myśli. W rzeczywistości żona kuzyna wcale nie była aż tak brzydka, on zaś nie poprzestał na nieczystych myślach, lecz wprowadził je w czyn, zwłaszcza że ta dziwka właściwie błagała go o to i przynaglała, żeby skończył, zanim jej stary wróci ze sklepu z sześciopakiem budweisera i słoikiem majonezu, po który go posłała. Tak czy owak, oskarżenie zakończyło sprawę. Klaps się wyprowadził i zaczął nawiedzać kumpli.

Wielu z nich mieszkało w sąsiedztwie, ale teraz został wykopany z miejsca, ponieważ poszukiwali go przedstawiciele prawa. Takie wieści szybko się rozchodziły. Będzie traktowany jak zaraza. Żaden z jego kumpli nie przyjmie go pod dach.

Dlaczego ci dwaj oficerowie go poszukiwali? Ba. Nie chciał myśleć o najgorszym, ale nie był głupi. Policjanci wspomnieli coś o Hoyle'u i Klaps mógł się założyć o własne klejnoty, że odnosili się do niedawno zmarłego. Później pomyślał, że musiało go nawiedzić jakieś pod... podpro... pod-jakieś tam przecucie. Jak się nazywa te myśli, które rodzą się gdzieś głęboko w mózgu, bez udziału świadomości?

Nie myślał o żadnym konkretnym miejscu przeznaczenia, jednak w pewnej chwili zorientował się, że zmierza malowniczą wiejską ścieżką prosto do posiadłości Hoyle'ów. Tak, oto ich dom, pośród dębów, tak idealny, że wydawał się nieprawdziwy, niczym z filmu. Słońce chowało się za dachem, złocąc kontury budynku. Był tak wielki, że mógłby zmieścić w sobie cały blok więzienny. Trzeba przyznać, że był zdecydowanie ładniejszy i czystszy niż fabryka. Przejechał obok posiadłości, wzdłuż białego płotu sztachetowego, który wyglądał dość niewinnie, ale Klaps nie chciał się naciąć, w razie gdyby płot był podłączony do prądu. Skurwysyny. Myślą sobie, że są panami całej tej ziemi. Na pewno żyją jak panowie, nieprawdaż?

Nagle zauważył Chrisa Hoyle'a, zbiegającego ze schodów frontowych i wsiadającego do swojego srebrnego porsche. Klaps przyspieszył, żeby nie przyłapano go na węszeniu w okolicach domu.

Na szczęście Chris wyjechał na ścieżkę i skręcił w przeciwnym kierunku. Klaps zawrócił i podążył za jego wozem w bezpiecznej odległości. Hoyle nie zajechał zbyt daleko. Skręcił z drogi w otwartą bramę. Na końcu prowadzącej od niej alejki stał dom, dużo mniejszy od posiadłości Hoyle'ów, ale i tak wyglądający o niebo lepiej niż budynki, w których kiedykolwiek mieszkał.

Wyszedł zeń Beck Merchant, zaufany pomagier rodziny i wsiadł do samochodu. Klaps przyspieszył, żeby go nie zauważyli. Uśmiechnął się, czując na twarzy uderzenie gorącego

wiatru. Jakikolwiek plany na sobotnią noc mieli ci dwaj, niebawem miały się zmienić.

Tej nocy Beck nie miał ochoty nigdzie wychodzić z Chrisem.

Całą sobotę spędził w domu. Wymył pikapa, wykąpał Frita i porządnie go wyczesał. Były to proste czynności, mógł je wykonywać, zastanawiając się jednocześnie nad dręczącymi go problemami. Kiedy po południu zadzwonił Chris i zaproponował nocną rozrywkę, Beck odmówił. Chris jednak nalegał:

- Nie wychodziliśmy nigdzie od czasu śmierci Danny'ego. Ostatnio ciągle na siebie wsiadamy z powodu tych idiotyzmów, w które chcą mnie wpakować. Wybierzmy się gdzieś i zapomnijmy o kłopotach, chociaż na kilka godzin.

- A dokąd się wybieramy? - spytał teraz Beck, bo Chris oddalał się od miasta.

- Myślałem o Razorbacku.

- Nie mam ochoty tam jechać. Zbyt głośno, zbyt dużo alkoholu i zdecydowanie zbyt dużo ludzi.

Chris rzucił mu szybkie spojrzenie.

- Starzejesz się, Beck

- Po prostu dziś nie jestem w nastroju na tego typu rozrywki.

- Myślisz o mojej siostrze?

Próbował go drażnić, ale Beck odparł z całą powagą:

- Tak, właśnie o niej myślałem. Co ona planuje?

- Nie mam pojęcia.

Chris to samo powiedział wczoraj, gdy Huff opowiedział im, że Sayre odwiedza przysięgłych, którzy zasiadali w ławie na procesie Chrisa.

- Rozmawia z każdym, kto tylko wyrazi chęć - podsumował stary.

Gdy Beck zapytał, dlaczego Sayre to robi, zarówno Huff, jak i Chris przyznali, że nie wiedzą.

Wzruszyli ramionami, jakby zdumiewało ich zachowanie Sayre i jakby nie mieli pojęcia, co nią

powodowało, jednak wyraźne zmartwienie tym faktem przeczyło ich zadeklarowanej niewiedzy.

Huffowi nie podobało się, że Sayre rozmawiała z tymi ludźmi. Podobnie Chrisowi. Wszystko to bardzo niepokoiło Becka.

- Co to jest? - Chris przerwał jego rozmyślenia.

- Co? - Beck odwrócił się, żeby sprawdzić, co przyciągnęło uwagę Chrisa. Tuż za nimi jechał motocykl, przyspieszając z rykiem silnika.

- Czy to przypadkiem nie ten sam, który przejeżdżał obok mojego domu, kiedy wychodziłem? - spytał retorycznie Beck. - O cholera, to...

- Nasz przyjaciel, Klaps Watkins - dokończył Chris. - Myślałem, że Rudy zajął się tą sprawą.

- Najwyraźniej jeszcze go nie znalazł. - Beck sięgnął po komórkę przyczepioną do paska, żeby zadzwonić do szeryfa.

- Możesz od niego odskoczyć, ale trzymaj go w zasięgu wzroku. Podam Rudemu nasze położenie. Może uda nam się zająć Watkinsa aż do przybycia szeryfa.

Gdy tylko skończył mówić te słowa, motocykl uderzył w tylny zderzak porsche. Chris zaklął siarczyście. Przyspieszył, a potem wrzasnął.

- Trzymaj się!

W tej samej chwili nadepnął na hamulec. Beck nie miał czasu, żeby się zorientować w sytuacji.

Poczuł, jak pas bezpieczeństwa wbija mu się boleśnie w pierś.

Zapobiegając katastrofie, w której Chris i Beck prawdopodobnie zostaliby przyduszeni przez przelatujący nad wozem motocykl, Watkinsowi udało się skrócić przednie koło maszyny pod ostrym kątem w lewo. Oderwał przy tym tylny zderzak wozu. Potem motocykl przewrócił się i zaczął ześlizgiwać na pobocze, więżąc pod sobą lewą nogę Klapsa.

Watkinsowi udało się wreszcie wyswobodzić. Dźwignął się na nogi i zaczął biec w kierunku Chrisa i Becka, na przemian utykał i podskakiwał na jednej nodze, wygrażając pięścią i

wykrzykując przekleństwa.

Gdy Chris zatrzymał gwałtownie samochód, telefon wypadł Beckowi z ręki. Teraz, odpiąwszy pasy, zaczął szukać komórki na ziemi.

- Zadzwoń do Rudego. Ja się zajmę Watkinsem.

Zanim Beck miał szansę zaprotestować, Chris wyskoczył z wozu i od razu przystąpił do ataku.

- Chyba bardzo chcesz ze mną porozmawiać. Klaps.

- Wiesz, czego naprawdę chcę.

- Jak się domyślam, upuścić nieco więcej krwi Hoyle'ów.

Klaps rzucił spojrzenie Beckowi, który właśnie znalazł komórkę na podłodze.

- Rzuć to, Merchant! - zawołał.

- Nie, dopóki się nie cofniesz i nie uspokoisz.

Nagle niepewny i zdenerwowany, Klaps oblizał usta i znów spojrzał na Chrisa.

- Krew mojego brata ci nie wystarcza? - spytał ten.

- Czy to dlatego poszukuje mnie szeryf?

- Chyba że zabiłeś jeszcze kogoś.

Klaps uczynił krok ku Chrisowi.

- Ty cholerny... - to wszystko, co zdołał powiedzieć, zanim Chris zgiął się wpół i uderzył bykiem

Watkinsa w brzuch, przewracając go do tyłu. Klaps zareagował zgodnie z odruchem kogoś

nawykłego do bójek. Beck szybko wybrał numer 911 i rzucił telefon na siedzenie, wiedząc, że

centrala automatycznie wyśledzi jego położenie.

Otworzył drzwi od strony pasażera, ale nie zauważył, że samochód zatrzymał się na krawędzi

drogi. Nie spodziewał się rowu wykopanego na poboczu. Trafił nogą w pustkę i ześlizgnął się z

nasypu prosto do wody. Zanim się pozbierał, wstał i wdrapał z powrotem na drogę, Chris i Klaps

stali naprzeciwko siebie na białym pasie wyznaczającym środek szosy, znieruchomiali w scenie,

która aż trzeszczała od napięcia.

Chris przyciskał do boku jedno ramię. Spomiędzy palców sączyła się krew. Klaps spoglądał na nóż w swojej dłoni, mrugając nań bezmyślnie. Z ostrza kapała krew, opadając na rozgrzany asfalt. Podniósłszy głowę, spojrzał na Chrisa z wyrazem absolutnego niedowierzania na twarzy, po czym odwrócił się na pięcie i pobiegł w kierunku motocykla. Chris ruszył za nim chwiejnym krokiem.

- Zostaw go. - Beck chwycił Chrisa za koszulę i przytrzymał na miejscu. - I tak go dopadną.

Pod Chrisem ugięły się kolana i opadł na ziemię. Klaps podniósł motocykl, wskoczył na niego i odjechał, gdy tylko zdołał uruchomić silnik. W ciemnościach ryk motoru zabrzmiał ogłuszająco.

Beck pomógł się podnieść przyjacielowi i poprowadził go do samochodu.

- Uważaj, gdzie stawiasz stopy. Stoimy na brzegu nasypu. Dobrze się czujesz?

Chris pokiwał głową.

- Tak, dobrze - wymruczał. Spojrzał na swoje ramię. - Ten kutas mnie zranił.

- Zadzwoń na pomoc. - Beck usadowił Chrisa i sięgnął po telefon. - Cholera! Wciąż oczekuję na połączenie!

- Wszystko w porządku, Beck. To tylko powierzchowna rana.

Beck spojrzał na ramię, które pokazał mu Chris. Od bicepsa aż do nadgarstka ciągnęło się długie cięcie. Nie wydawało się zbyt głębokie, ale wokół panowały ciemności, a w pobliżu nie było żadnych lamp, przy których mogliby lepiej się temu przyjrzeć. Rana mogła być poważniejsza, niż się im zdawało.

- Nie wiesz, do czego Klaps używał tego noża.

- Zawieź mnie do doktora Caroe. Da mi jakiś antybiotyk.

Chris nie chciał słyszeć o zabraniu go na pogotowie. Beck przestał nalegać i zadzwonił do Rudego Harpera. Szeryfa nie było w biurze, ale dyżurny zapisał całą informację.



- Powiedz Rudemu, że jesteśmy w drodze do domu doktora Caroe.

Zanim Beck skończył rozmawiać z policjantem, już niemal dojechali do schludnego domku z cegieł, w którym mieszkał lekarz rodziny Hoyle'ów. Doktor otworzył im, ubrany w piżamę. Powiedział, że właśnie usadowił się przed telewizorem, mając w planach wieczór z HBO. Jak wszystkie jego ubrania, piżama również była dla niego o kilka numerów za duża, co sprawiało, że wyglądał jak gnom. Poprowadził ich mrocznym, wąskim korytarzem do pokoju na tyłach domu. Pomieszczenie to zostało przekształcone na gabinet.

- To jeszcze z czasów, gdy ojciec był lekarzem - wyjaśnił Beckowi. - Ponad pięćdziesiąt lat pracy. Kiedy przeniósłem praktykę na Lafayette Street i odnowiłem dom, postanowiłem zatrzymać gabinet, na wszelki wypadek.

Zgodził się z Chrisem, że rana, choć szpetna, nie była na tyle głęboka, aby wymagała szwów. Oczyszczył ją płynem antyseptycznym, tak szczypiącym, że Chrisowi stanęły łzy w oczach, a następnie opatrzył gazą i bandażem,

- Teraz dam ci zastrzyk z antybiotyku. Ściągaj spodnie.

Po iniekcji, zapinając spodnie, Chris spytał:

- Czy wszyscy zgadzamy się co do tego, że Huff nie powinien się o tym dowiedzieć?

- Dlaczego nie? - zapytał Caroe, wrzucając strzykawkę do wiszącego na ścianie pojemnika na odpadki biologiczne.

- Wiadomość o tym, że jego jedyny pozostały przy życiu syn otrzymał pchnięcie nożem, niezbyt dobrze wpłynie na jego serce.

Caroe spojrzał na Chrisa z wyrazem niezrozumienia na twarzy, a potem rzucił:

- Ach, tak, oczywiście. Dobre myślenie. To zbyt szybko po jego zawale.

- I tak się o wszystkim dowie od Rudego - powiedział Beck. - Jeśli mu nie powiemy, wścieknie się i jego ciśnienie i tak pójdzie w górę.

- Zapewne masz rację - zgodził się Chris. - W takim razie wstrzymajmy się z tym przynajmniej do jutra. Powiem mu o wszystkim przy śniadaniu. Może do tego czasu Watkins znajdzie się już w więzieniu i Huff nie zdenerwuje się aż tak bardzo.

Szeryf Harper pojawił się w domu doktora, gdy Beck i Chris już wychodzili.

- Wysłaliśmy wozom patrolowym namiary na motocykl Watkinsa - powiedział, wysiadając z samochodu i podchodząc do nich. - Oficerowie sprawdzają wszystkie drogi w pobliżu miejsca zdarzenia. Jak twoje ramię, Chris?

- Zagoi się. Po prostu znajdź Klapsa, i to szybko.

- Problem w tym, że Watkins ma znajomych i krewnych rozsianych po całej okolicy. Wiele kryjówek na bagnach. Ci ludzie nie wsypują się wzajemnie. Kiedy człowiek zaczyna zadawać pytania, zamykają się w sobie i nie można z nich wycisnąć żadnej informacji.

- Wiesz, gdzie mieszkał od chwili wyjścia z więzienia? - spytał Chris.

- Podobno miał się zatrzymać u kuzyna ze strony ojca. Tak przynajmniej twierdzi jego kurator, ale dzisiaj rozmawialiśmy z wujkiem Watkinsa, który utrzymuje, że Klaps zniknął całe tygodnie temu. Powiedział, że miał zatrzymać się u przyjaciół. - Szeryf opowiedział im o odwiedzinach policji w kilku miejscach tego popołudnia. - Wszyscy, z którymi rozmawialiśmy, zgrywali głupków, ale ktoś musiał skłamać. Dziś w nocy znów zaczniemy odwiedziny.

- Zachowajcie ostrożność - rzekł Chris. - Klaps wie, że go szukacie.

- Ktoś mu o tym powiedział?

- Kiedy Chris wspomniał o Dannym, Klaps od razu zapytał, czy to dlatego go szukasz - powiedział Beck.

- Miej w pogotowiu nakaz rewizji - zasugerował Chris. - Możesz znaleźć coś, co połączy go ze śmiercią Danny'ego.

Rudy nie podzielał tej optymistycznej opinii.

- Nie liczylibym na to, że uda się przyłapać Klapsa na posiadaniu dowodów rzeczowych. Nie jest Einsteinem, ale głupi również nie jest.

- Prawdopodobnie masz rację - burknął ponuro Chris. - Ale wiem z całą pewnością, że zabił mojego brata.

Rudy obiecał informować ich na bieżąco, po czym wrócił do wozu i odjechał. Chris poprosił doktora Caroe o przysłanie mu rachunku, na co ten odparł, że w tym względzie Chris może na niego liczyć.

- Nie jest to wieczór, jakiego się spodziewałem - zauważył Chris, gdy siedzieli już w samochodzie z wygiętym zderzakiem i rozbitym tylnym światłem. Beck prowadził.

- Wiedziałem, że powinienem zostać w domu.

- Dziękuję za troskę - odparł Chris urażonym tonem. - Boję się myśleć, co by było, gdybym znalazł się tam sam. Oczywiście guzdrales się na tyle długo, że miał czas wypruć ze mnie flaki.

Wszystko się rozegrało, zanim pojawiłeś się na drodze.

- Spadłem z nasypu, prosto do rowu - mruknął Beck z rozgoryczeniem.

- Co?

- Słyszałeś.

- To dlatego tak śmierzisz? Podgniłą wodą?

- Wpadłem po kolana.

Chris roześmiał się, przyciskając ramię do piersi, niczym noworodek.

- Zaczyna boleć. Dlaczego nie poprosiłem doktora o jakieś środki przeciwbólowe?

- Wygląda na to, że Klaps jest w jakiś sposób zamieszany w śmierć Danny'ego.

- Nie sądzę, żeby był zamieszany. Uważam, że zabił mojego brata z zemsty.

- W takim razie... nieważne.

- W takim razie co?

Beck wzruszył ramionami,

- Jeśli zabił Danny'ego, powinien nas przecież unikać, a zwłaszcza ciebie, prawda? To dziwne, że za nami jechał.

Chris potrząsnął głową.

- Rozumujesz jak racjonalna, inteligentna osoba, Beck. Watkins to kretyń. Nie może się doczekać, by nam powiedzieć, że zabił Danny'ego. Drwi sobie z nas. Nie potrafi się oprzeć poczuciu triumfu. Zanim poszedł do więzienia, spotkania z nim mogłem policzyć na palcach jednej ręki, Teraz nagle pojawia się wszędzie, gdzie my. Sądysz, że to zbieg okoliczności?

- Pewnie masz rację. Mógł cię zabić, Chris.

- Przeszła mi przez głowę ta sama myśl, ale dopiero jak było już po wszystkim. Kiedy zdałem sobie sprawę z tego, co mogło się stać, ugięły się pode mną nogi.

Beck skręcił w drogę dojazdową do posiadłości Hoyle'ów.

- O, do diabła - jęknął Chris. - Nie doczekamy nawet śniadania.

Wszystkie światła w domu były zapalone, a Huff z papierosem w ustach czekał na nich na werandzie.

Nieźle się wpakował.

Klaps Watkins trzymał się bocznych dróg. Niektóre z nich były zaledwie polnymi ścieżkami, prowadzącymi przez bagniste tereny. Większość kończyła się małymi, zarośniętymi stawami pełnymi ślimaków lub ślepych zaułkami gdzieś w gęstym lesie. Musiał wycofywać się na szosę, na której mogła już czyhać na niego zgraja umundurowanych kundli, które poszły za jego zapachem. A skoro już o tym mowa, wcale by się nie zdziwił, gdyby Hoyle'om wpadło do głowy poszczuć na niego zgraję gończych psów.

Klaps nigdy nie przodował w nauce, ale był bardzo dobrze wytrenowany w walce. Wiedział, jak postępować wobec brutalnej siły. Trzeba było odpowiedzieć atakiem, a jeśli człowiek chciał

zwyciężyć, musiał grać nieczysto.

Gdy Chris Hoyle natarł na niego, przez chwilę był zaskoczony, ale natychmiast odezwał się w nim instynkt samozachowawczy. Czerpiąc z doświadczenia, zapomniawszy o swoim wiszącym na włosku zwolnieniu warunkowym i trzech latach ciężkiego więzienia, jakie odsłużył przed wyjściem na wolność, wyciągnął nóż z cholewy.

Teraz przeklinał się za to, że nie zachował trzeźwego, chłodnego umysłu, że wypił za dużo i pozwolił temu aroganckiemu, bogatemu bękartowi tak się podpuścić. Nadal nie mógł sobie przypomnieć wszystkich szczegółów walki. Nie pamiętał zadawania ciosu nożem, ale musiał nim machnąć, ponieważ Hoyle'owi się oberwało.

Przysięgam na Boga, opowiadał później każdemu, kto skłonny był go wysłuchać. Chciałem go tylko postraszyć nożem. Nie chciałem go użyć.

Sayre zadzwoniła do biura Becka w poniedziałek o piątej po południu.

- Beck Merchant.
- Sayre Lynch. Masz wolne dziś wieczorem?
- Zapraszasz mnie na randkę?
- Chciałabym, żebyś z kimś porozmawiał.
- Z kim?
- Z Calvinem McGrawem.
- Moim poprzednikiem? W jakim celu?
- Spotkamy się w moim motelu o szóstej.

Sekundę później Beck usłyszał w słuchawce dźwięk przerwane połączenia.

Zapukał do drzwi jej pokoju punktualnie o szóstej. Natychmiast otworzyła, z torbą na ramieniu i kluczem w ręku.

- Nie zaprosisz mnie do środka?

Zamknęła za sobą drzwi.

- Ja poprowadzę.

Wypożyczony kabriolet miał złożoną budę. Wiatr igrał z włosami Sayre, rozwiewając je i szarpiąc, ale zdawała się tego nie zauważać. Wyjechali z miasta. Klimatyzacja pracowała pełną mocą, ale nie wpływało to w żaden sposób na temperaturę wewnątrz samochodu. Przez cały dzień stał zaparkowany na słońcu i tapicerka była niczym elektryczna poduszka, podgrzewająca uda i plecy Becka.

- Słyszałam, że w sobotę przeżyliście z Chrisem pełny wrażeń wieczór.
- Próbowaliśmy tego nie rozgłaszać, ale wieści i tak się rozeszły.
- Jak z jego ramieniem?

- Lepiej, niż na to wyglądało.

- Nie mieści mi się w głowie, że Chris mógł wdać się z kimś w walkę na środku drogi publicznej.

Co on sobie myślał?

- Że Watkins zabił Danny'ego.

Gwałtownie odwróciła głowę w jego kierunku.

- Klaps Watkins? Czy aby na pewno mówimy o tej samej osobie?

- Tak, o twoim niedoszłym admirałce. Danny umarł wkrótce po tym, jak Watkins złożył podanie o przyjęcie do pracy w odlewni. - Opowiedział jej w skrócie, dlaczego uważają Klapsa za głównego podejrzanego.

- Sądzisz, że to wiarygodne? - spytała, kiedy skończył.

- Wiarygodne? Tak.

- Prawdopodobne?

- Nie wiem, Sayre. - Poruszył się w fotelu, odczuwając niewygodę rozgrzanej tapicerki i niedogodność pytania. - Biuro szeryfa uznało, że wystarczająco prawdopodobne, aby doprowadzić Watkinsa na komendę w celu przesłuchania.

- Jeśli ustawisz w rzędzie wszystkich ludzi, którzy mieli coś za złe Hoyle'om, będzie się on ciągnął całymi kilometrami. Ja sama znam dobrą setkę osób, które mają niewątpliwy powód, żeby ich nienawidzić. Co z wieloletnimi pracownikami, którzy nagle zostali zwolnieni? To zupełnie tak, jakby ktoś wyciągnął nazwisko Watkinsa z kapelusza.

- Normalnie bym się z tobą zgodził, gdyby nie zdarzenia sobotniej nocy. Widziałem, jak przejeżdżał obok mojego domu. W tamtej chwili nie skojarzyłem, że to Watkins, po prostu zauważyłem faceta na motocyklu. Ale to był on. Najwyraźniej śledził Chrisa, a potem specjalnie próbował zepchnąć nas z drogi. W tej chwili będzie odpowiadał za napaść z bronią w rękę, niezależnie od tego, czy miał coś wspólnego ze śmiercią Danny'ego, czy nie. Ma długą i barwną

kariere kryminalną. Na wspomnienie o Danym robi się wyraźnie nerwowo. Jest niebezpiecznym człowiekiem i nie sądzę, by miał jakiegokolwiek obiekcje przed popełnieniem morderstwa.

Sayre nie wydawała się przekonana.

- Jest wygodnym kandydatem na kozła ofiarnego, właśnie ze względu na swoją przeszłość, nie sądzisz?

- Zaatakował Chrisa nożem.

- Widziałeś tę walkę na własne oczy?

- Większość. To znaczy od momentu, gdy dostałem się z rowu.

Opowiedział jej o swoim niefortunnym wypadku, ale Sayre zdawała się nie zauważać humoru sytuacyjnego. Ściągnęła usta w zamyśleniu.

- Gdybyś miał zeznawać przed sądem, czy mógłbyś zaświadczyć pod przysięgą, że Watkins specjalnie zaatakował Chrisa nożem?

- Czy to nie oczywiste? Chris miał rozcięte ramię.

Sayre zatrzymała się na poboczu, pod magnolią, której cień chronił ich przed słońcem. Zostawiła silnik na jałowym biegu i spojrzała na Becka.

- Pewnego razu, gdzieś na początku liceum, gdy byliśmy nastolatkami, stroiłam się w łazience.

W domu były jeszcze trzy inne, ale mimo to Chris nieustannie pukał do drzwi i naprzykrzał mi się. Bez powodu, po prostu dlatego, że był znudzony. Wreszcie otworzyłam i powiedziałam, żeby poszedł do diabła i zostawił mnie w spokoju. Chris przepchnął się obok mnie i wszedł do środka.

Zaczęliśmy się szarpać. Nagle wrzasnął okropnie i krzyżąc, płacząc, wybiegł z łazienki, w poszukiwaniu Huffa. Powiedział, że zaatakowałam go lokówką. Na dowód miał na ramieniu brzydkie poparzenie. - Sayre przerwała, aby zaznaczyć, że doszła do kulminacyjnego punktu historii. - Kiedy otworzyłam Chrisowi drzwi, nie miałam w ręku lokówki. Owszem, była włączona, ale leżała na stoliku.



- Sugerujesz, że specjalnie się oparzył?

- Tak. Warto było znieść trochę bólu, żeby wpakować mnie w kłopoty.

- Chcesz powiedzieć, że Chris mógł sam nadziać się na nóż Klapsa Watkina?

Spojrzała na niego długo, a potem wrzuciła bieg i ruszyła w dalszą drogę.

- Wasze spotkanie z Watkinsem było dziś tematem plotek.

- Gdzie zasłyszałaś owe plotki?

- W salonie kosmetycznym.

Sponad zsuniętych na nos okularów przeciwsłonecznych spojrzał na jej potargane wiatrem włosy.

- Zrobiłam sobie pedikiur - mruknęła niechętnie.

Dało to mu sposobność do pochylenia się i spojrzenia w dół, na zgrabną prawą łydkę, kończącą się stopą wciśniętą w pedał gazu. Od kiedy wyjechali z miasta, samochód mknął z równą prędkością stu pięciu kilometrów na godzinę.

- Hm, ładne, ale co to za kolor. Ani czerwony, ani różowy. Jak to nazywasz?

- Beż Marilyn.

- Marilyn, jak Monroe?

- Tak przypuszczam. Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Zresztą, kolor moich paznokci u stóp nie ma tu najmniejszego znaczenia, Beck. Liczy się to, że salon piękności jest skarbnicą miejscowych nowinek. Kosmetyczki mogą nie wiedzieć, gdzie znajduje się Irak, ale z pewnością się orientują, kto z kim sypia, kto w zeszłą sobotę został zaatakowany nożem i tak dalej.

- Czy właśnie w ten sposób udało ci się odnaleźć przysięgłych z procesu Chrisa?

Spojrzała na niego wyniośle, ale nie dała się zbić z tropu.

- Otóż nie - odparła chłodno. - Tę akurat informację uzyskałam z sądu. Zastanawiałam się, czy Huff o tym wie - dodała po krótkiej przerwie.

- Owszem, wie. Sądziłaś, że utrzymasz spotkania z tymi ludźmi w tajemnicy? Nie jesteś nikim, Sayre. Możesz nosić pospolite ciuchy z lokalnego sklepu odzieżowego, ale dla tubylców nadal będziesz wyglądała jak „miastowa”. To, że pojawiłaś się tutaj po dziesięciu latach nieobecności, jest wielkim wydarzeniem, a twoje mieszanie się w sprawy Huffa jest jeszcze bardziej ekscytujące. Ludzie czują przed tobą respekt, ale nikt nie chce wystąpić przeciwko Huffowi Hoyle'owi.

- Kiedy zaczęłam do nich dzwonić, wiedziałam, że prędzej czy później Huff i Chris się o tym dowiedzą. I ty - dodała, spoglądając na niego. - Ale nic mnie to nie obchodzi.

- Co spodziewałaś się uzyskać w tej gierce?

- Zamierzałam znaleźć człowieka z sumieniem. Kogoś kto przyzna się do przyjęcia łapówki lub potwierdzi, że inni ją wzięli.

Opowiedziała mu o wdowie Foster, która wychowywała opóźnionego w rozwoju czterdziestoletniego syna. Opisała spotkanie z człowiekiem, który na pytanie o tamtą sprawę zaczął płakać.

- Kiedy próbowałam przycisnąć go bardziej, żeby uzyskać więcej informacji, jego żona poprosiła, bym wyszła. Później dowiedziałam się, że miesiąc po zakończeniu procesu Chrisa ten człowiek został ocalony od bankructwa. Cóż za zbieg okoliczności.

Zjechała z autostrady i przejechała przez imponujące żelazne wrota. Ze ścian po obu stronach skrzydeł bramy spływały sztuczne wodospady, omywające sztuczny kamień z napisem „Rezydencja Lakeside”, wykonanym z kutego żelaza.

Nad sztucznym jeziorem mieściło się osiedle emerytów. Zbiornik wodny otoczony był szmaragdowym, osiemnastodołkowym polem golfowym. W zagajniku dębowym mieścił się klub wypoczynkowy, z basenem, nowocześnie wyposażoną siłownią, restauracją, barem i centrum rozrywki. Beck wiedział o tym, ponieważ wszystkie te udogodnienia wypisano białymi literami

na dyskretnej umieszczonej zielonej tablicy informacyjnej. Działki rezydentów były niewielkie, ale zbudowane na nich domy wyglądały bardzo elegancko. Po całym idealnie zaplanowanym, nieskazitelnym kompleksie można się było poruszać wyłożonymi białym kamieniem ścieżkami. Sayre zaparkowała w pobliżu klubu, na miejscu przeznaczonym dla gości. Nie uczyniła jednak nic, aby wysiąść z samochodu.

- Nienawidzę takich osiedli. Są takie sterylne. Wszyscy są tacy sami, każdy kolejny dzień przypomina poprzedni. Czy oni się nie nudzą?

- Przynajmniej nie muszą się martwić o strajk pracowników.

Sayre spojrzała na niego,

- Więc ta plotka również była prawdziwa.

- Niestety.

- Opowiedz mi o tym.

- Jest pewien facet, nazywa się Nielson.

- Wspominano to nazwisko w salonie. Ty też wymieniłeś je przy ostatnim spotkaniu. Kim on jest?

- Jest problemem dla firm takich, jak Hoyle Enterprises,

- Najwyraźniej żona Billy'ego Paulika skontaktowała się z nim.

- Z tego właśnie powodu Nielson wytoczył ciężką artylerię - powiedział Beck. - Zatrudnił związkowców, żeby urządzili pikietę i namówili naszych robotników do strajku.

- To dobrze,

- Zrobi się bardzo źle, Sayre.

- Już jest bardzo źle.

- Komuś stanie się przez to krzywda. Nie, nie mów tego - dodał szybko, widząc, że otwiera usta.

- Zdaję sobie sprawę, że nie ma nic gorszego, niż to, co stało się z Billym, ale to był tragiczny

wypadek. Strajk oznacza wojnę,

- Mam nadzieję, że to wy przegracie.

Beck roześmiał się z żalem.

- Twoje życzenie może się spełnić. - Oparł głowę na zagłówek i spojrzał w górę, na gałęzie drzewa, pod którym zaparkowali, - To najbardziej nieodpowiedni moment. Danny umarł zaledwie tydzień temu, najprawdopodobniej zamordowany z zimną krwią. Rudy Harper ma cholerne problemy z odnalezieniem drania, który ma chętkę na posmakowanie krwi Hoyle'ów, a w tym samym czasie detektyw z tego samego wydziału stawia wszystkie swoje pieniądze, że to Chris jest winny zbrodni. A teraz jeszcze ty pojawiaasz się i znikasz w swoim czerwonym kabriolecie, przypominając ludziom, że to nie pierwszy raz Chris jest zamieszany w czyjąś śmierć. Posyłasz ciśnienie krwi Huffa do stratostery, pomagasz przeciwnej stronie w sporze o pracę i jeszcze to.

- Co, to?

Nie podnosząc głowy, spojrzał na nią z ukosa.

- Cholernie ciężko trzymać mi się od ciebie z daleka. - Spojrzał na jej prawą nogę, wyglądającą spod sukienki podciągniętej wysoko ponad kolano. - Nie wiem, co jest gorsze: trzymać się z daleka i móc o tobie jedynie marzyć, czy też być blisko, widzieć cię i nie móc poddać się impulsowi.

Oderwał wzrok od jej uda i przeniósł na twarz, która wydawała mu się nieco bezpieczniejszym terytorium. Buntownicze spojrzenie pozbawiło go złudzeń.

- Pani Foster została przekupiona zestawem kina domowego, który „sprawia radość” jej niepełnosprawnemu synowi - powiedziała sztywno. - Mężczyzna, z którym rozmawiałam, sprzedał duszę, aby wyciągnąć się z długu.

Siadając prosto, Beck westchnął.

- Wiesz to na pewno? Możesz to udowodnić?

- Nie.

- Czy jesteś przekonana, że ci dwoje należeli do grupy, która głosowała za uniewinnieniem Chrisa?

- Nie.

Popatrzył na nią z wyrzutem.

- Na potrzeby rozmowy uznajmy, że wdowa z opóźnionym w rozwoju synem i człowiek, który otarł się o bankructwo, przyjęli łapówkę w zamian za oddanie głosu na uniewinnienie Chrisa.

Poczułaś się lepiej, przypominając im o ich postępkach?

Spojrzała w bok i mruknęła cicho.

- Nie.

- Czy to, że zmusiłaś ich do spojrzenia sobie samym w oczy, posłużyło czemuś dobremu, budującemu?

- Nie - ucięła. - Wiem, do czego zmierzasz.

- Więc po co zawracałaś głowę tym ludziom? Skoro chcesz walczyć z Huffem i Chrisem, dlaczego nie skonfrontujesz się bezpośrednio z nimi?

- Dlaczego ty tego nie robisz? - odgryzła się. - A może nie chcesz usłyszeć prawdy o procesie Chrisa? Pewnie wolałbyś nie wiedzieć, że Huff przekupił sędziów przysięgłych, by jego synkowi upiekło się morderstwo. Nie mam racji?

- Jeśli Huff zapłacił sędziom, to może po to, żeby Chris nie odpowiedział za przestępstwo, którego nie popełnił - odrzekł podniesionym głosem. - Ta twoja wendeta...

- To nie żadna wendeta.

- Zatem o co ci chodzi?

- O uczciwość. Oni nie mają jej za grosz. Miałam nadzieję, że może... - przerwała.

- Co?

Zaczerpnęła powietrza i burknęła:

- Że może ty jej masz choć odrobinę. Dlatego właśnie przywiozłam cię tutaj. - Kiwnęła głową w stronę rzędu domków stojących nad jeziorkiem. - Calvin McGraw mieszka w trzeciej willi z brzegu. Dziś rano zgodził się na rozmowę ze mną. Właściwie dopóki tu nie przybyłam, dziwiłam się, że nie miał nic przeciwko spotkaniu. Poruszył mnie jego wygląd. Od kiedy widziałam go po raz ostatni, bardzo się postarzał.

- Wiek odbija się niekorzystnie na aparycji.

- Myślę, że postarzał się najbardziej przez ostatnie trzy lata, od kiedy przekupił ławę przysięgłych, żeby Chrisa uwolniono od podejrzeń. Zżera go poczucie winy.

- Przyznał to?

- Owszem, Beck, zrobił to. Była to jego ostatnia wielka sprawa dla Hoyle Enterprises. Zatrudnił się wkrótce po tym, jak Huff przejął schedę po moim dziadku. Robił dla Huffa i przedsiębiorstwa dokładnie to, co ty teraz. Ostatnim zleceniem, jakie wykonał, zanim Huff wymienił go na kogoś młodszego i...

- Jeszcze bardziej pozbawionego skrupułów?

- Chciałam powiedzieć, bystrzejszego.

Zmarszczył brwi sceptycznie, ale gestem poprosił, by mówiła dalej.

- Po wyselekcjonowaniu ławników McGraw zajął się szukaniem ich czułych miejsc.

- Na przykład opóźnionego w rozwoju syna.

- Właśnie. - Spojrzała na kort tenisowy, gdzie dwie pary rozgrywały właśnie mecz, bez zbytniego entuzjazmu. - Bardzo to sprytne z twojej strony zapytać, czy poczułam się lepiej po rozmowie z tymi ludźmi. Pomimo najszczerzych zamiarów czuję się okropnie, zwłaszcza po wizycie u pani Foster. Nie winię jej, że skorzystała z okazji, by nieco polepszyć standard życia, nawet czymś tak

bezsensownym jak telewizor. W jej sytuacji zrobiłabym to samo. Pani Foster nie działała z pobudek egoistycznych. Zrobiła to dla syna, którego kocha. - Spojrzała na Becka, a jej smutny uśmiech zmienił się w grymas obrzydzenia. - Calvin McGraw natomiast wykonywał za Huffa całą brudną robotę z najbardziej egoistycznych pobudek pod słońcem. Nie było w tym ani krzty szlachetności. Opuścił firmę Huffa ustawiony finansowo na całe życie. Mógł sobie pozwolić na zamieszkanie na takim osiedlu, jak to. Tyle że przeszłość nie daje mu spokoju. Ucieszył się, że może zrzucić ciężar z serca. W porannej rozmowie ze mną przyznał się do wszystkiego.

Beck spoglądał na nią przez chwilę, a potem sięgnął do klamki.

- Dobrze, wysłuchajmy tego, co ma do powiedzenia pan McGraw.

Powędrowali ścieżką wzdłuż brzegu jeziora. Okna na pierwszym piętrze domu McGrawa udekorowane były żelaznymi kratami, wykutymi na wzór balkonów w Dzielnicy Francuskiej.

Zdaniem Sayre, niezbyt udanie.

Nacisnęła dzwonek i spojrzała w judasza. Drzwi otworzyła ta sama pielęgniarka, która przywitała ją tutaj dziś rano. Miała na sobie sztywny biały uniform i kwaśną minę. Rano rozpływała się w uśmiechach. Sayre nie mogła pojąć tej nagłej zmiany nastroju.

- Witam znowu.

- Dziś rano nie powiedziała mi pani, kim jest - odparła oskarżycielsko.

- Przedstawiłam się z imienia i nazwiska.

W odpowiedzi pielęgniarka burknęła coś z dezaprobatą. Świadoma tego, że Beck obserwuje rozgrywającą się scenkę, Sayre zebrała się w sobie.

- Jak wspominałam przy pożegnaniu, chciałam przyprowadzić kogoś, kto życzyłby sobie porozmawiać z panem McGrawem. Czy możemy się z nim zobaczyć?

- Tak, proszę pani - odpowiedziała sztywno pielęgniarka i cofnęła się, wpuszczając ich do domu.

- Pan McGraw siedzi na werandzie, tak jak dzisiejszego poranka.

- Dziękuję. Czy oczekuje naszej wizyty?

- Tak sędzę.

Sayre podziękowała pielęgniarce pomimo jej nieuprzejmości i gestem nakazała Beckowi iść za sobą. Przeszli przez przeładowany meblami korytarz i sprawiające podobne wrażenie pokoje.

Oszklona weranda znajdowała się na tyłach domu, skąd widać było pole golfowe.

Calvin McGraw siedział w tym samym fotelu, co podczas poprzedniej wizyty Sayre. Spoglądał na drzwi. Sayre uśmiechnęła się i wymówiła jego imię. Spojrzał na nią, jakby jej nie poznawał.

Poczuła lekką niepewność.

- Przeprowadziłam ze sobą Becka Merchanta. Czy to odpowiednia chwila na rozmowę?

- Obawiam się, że nie, Sayre. - Z wiklinowego fotela z wysokim oparciem, które całkowicie skrywało siedzącego przed wzrokiem gości, podniósł się Chris. Odwrócił się i spojrzał jej prosto w oczy. - Beck powiedział mi, że się tu wybieracie i dzięki temu przypomniałem sobie, że ostatnio nieco zaniedbałem Calvina. Staram się go odwiedzać raz na jakiś czas. Sprawdzam, jak się czuje. Niestety, ostatnio nie radzi sobie najlepiej. Jego umysł raz działa, raz nie. Sama rozumiesz, tak to już jest, kiedy się ma alzheimera.

Podszedł do starego człowieka i czule poklepał go po plecach. McGraw nawet nie mrugnął, po prostu wpatrywał się obojętnie w przestrzeń przed sobą.

- Czasami nie pamięta nawet swoich własnych dzieci. Kiedy indziej twierdzi, że ma dziecko z siedemdziesięcioośmioletnią wdową z sąsiedztwa. W zeszłym tygodniu złapali go na tałaniu się nago w jeziorze. Aż dziw, że nie utonął. Następnego dnia obudził się w pełni władz umysłowych. Pokonał swoją pielęgniarkę w szachy, i to pięć razy. - ścisnął ramię starego prawnika, - Pomyśleć tylko, że kiedyś był tak elokwentny w sądzie. Umysł to stalowa pułapka. - Potrząsnął głową ze smutkiem. - Teraz biedny Calvin przez kilka dni z rzędu nie mówi ani słowa, a potem nagle papie jak najęty. Oczywiście, kompletnie bez sensu.



Sayre oddychała coraz gwałtowniej i goręcej. Krew uderzyła jej do głowy. Czuła, że za chwilę zemdleje, ale jednocześnie była na granicy wybuchu. Mogła zignorować Chrisa. Po nim spodziewała się zdrady, ale nie po Becku. Jego nielojalność odczuła jak śmiertelną ranę.

Zastawił na nią pułapkę i miał jeszcze czelność sprzedawać jej te słodkie gadki o pragnieniu i snach na jawie. Chciała wydrapać mu oczy za to, że zaufała mu choć tę odrobinę, za to, że pozwolił jej myśleć, iż nie jest może tak odrażający, jak mężczyźni, którym służył.

- Ty skurwysynu - rzuciła w kierunku Becka. Był to mierny epitet w porównaniu z tym, co myślała o nim w rzeczywistości.

Przecisnęła się obok niego, opuściła pozbawiony gustu pseudodom i pobięła z powrotem do samochodu. Zanim dotarła na parking, zdążyła się zadyszeć, częściowo z upału, lecz głównie z wściekłości i upokorzenia. Gdy włożyła kluczyk do stacyjki, zauważyła, że dłoń krwawi.

Zaciskała pięść tak mocno, że zębki kluczyka przebiły skórę do krwi.

Clark Daly wyjechał do pracy dziesięć po dziesiątej. Pół godziny wcześniej, niż musiał, bo przecież fabryka była oddalona ledwie o pięć minut drogi od domu, a jego zmiana zaczynała się dopiero o jedenastej. Ale atmosfera w domu była tak wroga, że wołał czym prędzej znaleźć się w odlewni.

Luce roztrząsała sprawę z Sayre. Kiedy za niego wychodziła, wiedziała, że kiedyś chodził z córką Hoyle'a i chociaż miało to miejsce za czasów licealnych, ich związek był bardzo poważny. Miejscowe plotkary dopilnowały, żeby poznała każdy pikantny szczegół tej historii. Poruszyła ten temat, kiedy jeszcze byli z Clarkiem na etapie randek. Nie szczędził jej wtedy szczegółów. Wołał, żeby Luce usłyszała wszystko od niego niż od mieszkańców miasteczka, którzy cieszyli się niepowodzeniami innych i uwielbiali ubarwiać opowieści. Zdołała wydusić z niego wyznanie, że kochał Sayre. Dał jednak narzeczonej jasno do zrozumienia, że tamten romans należy do przeszłości i przypomniał jej, że ona też niezupełnie jest dziewicą. Na tym skończyło się roztrząsanie sprawy. Po ślubie mieli zresztą znacznie poważniejsze powody do kłótni.

Wiedza o jego byłym związku z Sayre to jedno, a obecność Sayre w mieście, jej pojawienie się w ich domu i świecenie w oczy kosztowną elegancją to zupełnie inna sprawa. Luce ani trochę nie była zachwycona zaraz po tym, jak Sayre opuściła ich podwórko, oświadczyła mu to bez ogródek:

- Nie podoba mi się to, Clark. - Powiedziała cicho, co oznaczało, że mówi poważnie. Kiedy na niego krzyczała, wiedział, że kłótnia wywołana została złością, że nie chodzi tak naprawdę o nic ważnego i niedługo wszystko wróci do normy. Tym razem było zupełnie inaczej. Gdy przemawiała niskim głosem, wiedział, że powinien przysiąc i wysłuchać tego, co ma do powiedzenia.

- Muszę wytrzymać twoje picie i chroniczną depresję, ale nie zamierzam znosić zdradzania

mnie z Sayre Hoyle Lynch czy jak ona się tam nazywa.

- Nie zamierzam cię zdradzać z Sayre. Jesteśmy starymi przyjaciółmi.

- Byliście kochankami.

- Byliśmy. Jako para dzieciaków. Poza tym, sądzisz, że chciałyby mnie teraz?

To była najgorsza z możliwych rzeczy, jaką mógł powiedzieć. Luce odebrała to jako swoistą deklarację, że jeśli Sayre wyrazi taką chęć, Clark do niej wróci. Mogło to również znaczyć, że był wystarczająco dobry dla kogoś takiego, jak Luce, ale nie dla Sayre Hoyle.

Kiedy tamtego poranka Luce wychodziła do pracy, płakała. Po południu, gdy wróciła, łyż już obeschły, ale atmosfera w domu zdecydowanie ochłodła, zwłaszcza w sypialni. Od dnia wizyty Sayre minął już tydzień, ale w stosunkach intymnych między Clarkiem i Luce niewiele się poprawiło.

Najgorsze było to, że bardzo kochał Luce. Nie miała oglady i elegancji Sayre, ale była na swój sposób piękna. Kochała dzieci i, gdy jej pierwszy mąż od niej odszedł, potrafiła sama je utrzymać. Co ważniejsze, kochała także Clarka, a to zakrawało na cud. Nie dał jej do tego zbyt wielu powodów.

Zatopiony w myślach, nie zauważył jadącego za nim samochodu, dopóki tamten omalże nie zetknął się z tylnym zderzakiem jego wozu. Zjechał na prawą stronę, ustępując kierowcy, ten jednak trzymał się jego ogona i zamrugał światłami.

- Co do diabła?! - Clark instynktownie spojrział w lusterko, szukając koguta policyjnego. Sądził, że to wóz patrolowy, ale nic nie wskazywało na to, że to samochód szeryfa.

Poczuł ukłucie strachu i odruchowo sięgnął pod siedzenie, gdzie trzymał łom. Kiedy szedł w tango, najczęściej pił w miejscach pełnych ludzi o nie najlepszej reputacji i od czasu do czasu miał z nimi problemy. W jadącym za nim samochodzie dostrzegał tylko kierowcę, ale mógł to być podstęp. Nieznajomy znów zamrugał światłami. Clark zjechał na krawężnik i zatrzymał się.

Samochód za nim zrobił to samo i zgasił światła. Clark zacisnął dłoń na łomie. Zobaczył, jak ktoś wysiada z drugiego pojazdu, okrąża jego wóz i podchodzi od strony pasażera. Nieznajomy zapukał w okno.

- Clark, to ja.

Rozpoznał twarz ocienioną daszkiem czapeczki baseballowej i puścił łom. Pochylił się i otworzył drzwi. Do samochodu wsiadła Sayre i szybko zamknęła drzwi, żeby zgasić światło wewnątrz kabiny. Ubrana była w niebieskie dzinsy i ciemny podkoszulek, włosy schowała pod czapkę.

- Co ty robisz, do cholery? - spytał.

- Przyznaję, że to trochę teatralne, ale musiałam z tobą porozmawiać bez świadków.

- Mam telefon i jak sądzę, opłaciłem za niego rachunek.

- Mogłaby go odebrać Luce, która, jeśli się nie mylę, nie była zbyt zadowolona z widoku twojej dawnej dziewczyny na waszym podwórku.

- Nie, nie była.

- Wcale nie mam do niej o to pretensji. Na jej miejscu czułabym się tak samo. Przysięgam, Clark, że nie chcę skomplikować ci życia. Nie zrobiłabym niczego, co mogłoby rozbić wasze małżeństwo. Nie chcę wchodzić między ciebie, a twoją żonę. Jeśli mi nie wierzysz, to sobie pójdę.

Przyglądał się przez chwilę twarzy Sayre. Wciąż była piękna, ale w jej oczach nie było nawet cienia dawnych uczuć do niego. Zawsze będą czuli do siebie sympatię z powodu gorzko-słodkich wspomnień lat licealnych, Ale ich szansa na wspólne życie dawno minęła, czy raczej zniweczył ją Huff. Teraz nic między nimi nie było i Clark wiedział, że Sayre jest szczerą, gdy mówi, że nie zamierza wracać do minionych uczuć.

- Wierzę ci, Sayre.

- To dobrze.

- Zatem o co chodzi?

Słuchał jej przez całe pięć minut z rosnącym zdumieniem. Skończyła swoje wyjaśnienia pytaniem:

- Zrobisz to?

- Prosisz mnie o szpiegowanie ludzi, z którymi pracuję.

- Ponieważ oni obserwują ciebie, Clark. - Przesunęła się na siedzeniu tak, żeby usiąść twarzą do niego. - Czy sądzisz, że Huff i Chris tak po prostu pozwolą na ten strajk? - spytała, pochylając się lekko do przodu. - Beck Merchant uważa, że szykuje się krwawa walka. Określił to jako wojnę.

- Słyszałem plotki o Charlesie Nielsonie - odpowiedział Clark. - Podobno ma przysłać ludzi ze związków, żeby z nami porozmawiali. Zaplanowano już kilka tajnych spotkań.

- Zatem pracownicy fabryki już o tym rozmawiają?

- To niemal jedyny temat konwersacji - przyznał.

- Możesz być pewien, że Huff ma wśród was szpiegów, którzy donoszą mu, co zostało powiedziane i przez kogo.

- Wszyscy wiedzą, że Fred Decluette jest człowiekiem Huffa. Wstrząsnął nim wypadek Billy'ego. Byłem tam i wszystko widziałem. Nikt nie starał się bardziej niż Fred, żeby dowieźć Billy'ego do szpitala, zanim się wykrwawi. Kiedy jednak przyjdzie co do czego, trzeba pamiętać, że Fred ma sześcioro dzieci do wykarmienia i zapewnienia im edukacji. Będzie bronił przede wszystkim swoich interesów, nawet jeśli oznacza to całowanie dupy Huffowi. Inni postępują podobnie, ponieważ powszechnie wiadomo, że Huff nagradza tych, którzy wydają swoich prozwiązkowych kolegów.

- Czy znasz nazwiska tych pozostałych?

- Wiem o niektórych, ale nie o wszystkich. Fred jest najoczywistszym kandydatem, inni nie działają aż tak otwarcie.

- Mógłbyś wyrównać wasze szanse, Clark. Wywęszyć, kim są konfiderenci Huffa, i podać im fałszywe informacje. Jednocześnie spróbuj organizować ludzi, których jesteś pewien, żeby sprzeciwili się Huffowi w ostatecznej rozgrywce. Masz szansę wziąć udział w czymś dobrym, co zmieni wasz świat.

Sayre mówiła z takim przekonaniem, że zrobiło mu się żal, że jest aż tak naiwna.

- Sayre, tutaj nic się nie zmieni, dopóki Huff się na to nie zgodzi.

- Niedługo to może się zmienić.

- Ten atak serca...

- Nie był zbyt poważny. Huff prawdopodobnie przeżyje nas wszystkich. Ja mówiłam o rządzie

federalnym. Strajk, nie strajk, kilka agencji siedzi mu na karku. Jeżeli Huff nie wprowadzi w

fabryce kilku bardzo poważnych modernizacji, musi się liczyć z zamknięciem odlewni. Ale to

wcale nie będzie oznaczało zwycięstwa, prawda, Clark? Bez jego fabryki, co się stanie z

Destiny? Pomyśl, co się stanie z tymi wszystkimi rodzinami, które przez tyle pokoleń

utrzymywały się z pracy w odlewni. - Przerwała dla zaczerpnięcia oddechu. - Trzeba wprowadzić

zmiany i to szybko. Inaczej wszyscy przegramy - dodała żarliwie. - Mógłbyś sprawić, że

wypadek Billy'ego Paulika będzie miał jakiś sens. Wiem, że proszę cię o coś, co nie będzie łatwe,

Clark. Będziesz musiał nieźle się uwijać i być bezwzględny żeby zaskarbić sobie zaufanie i

szacunek kolegów.

Clark potarł szczękę, czując pod palcami szczecinę. Zawstydził się, że po raz kolejny przyłapała

go nieogolonego, lecz jednocześnie uświadomiło mu to, jak nisko upadł.

- To trudne zadanie.

- Zdaję sobie sprawę, o co cię proszę.

- Nie jestem tego pewien.

- Byłam w hali fabrycznej, Clark,

- Słyszałem o tym.

- Wiedziałałam już wcześniej, że jest źle, ale, szczerze mówiąc, nie zdawałam sobie sprawy, że jest aż tak tragicznie. Warunki pracy są średniowieczne. Jak możecie to znosić?

- Nie mamy wielkiego wyboru.

- Teraz macie. Muszą zostać wprowadzone zmiany, i to drastyczne. To imperatyw.

- Zgadza się z tobą, ale nie jestem odpowiednim człowiekiem do przeprowadzenia tej akcji, Sayre.

- Jesteś urodzonym przywódcą.

- Może byłem, dawno temu. Czy wyglądam dla ciebie na kogoś, kto mógłby poprowadzić ludzi?

- Nie - warknęła. - Wyglądasz jak cholerny tchórz. Tak - dodała, widząc jego zaskoczenie. -

Tamtego dnia powiedziałeś mi, że potrzebujesz celu w życiu, żeby wrócić na właściwy tor, że chciałeś to zrobić dla swojego syna. Dzisiaj daję ci tę możliwość, a ty się wycofujesz. Dlaczego?

Czego się boisz?

- Przegranej, Sayre. Przegranej. I dopóki nie przestaniesz dorabiać się w szybkim tempie, jeździć kosztownymi wozami, dopóki nie upadniesz tak nisko, że codzienne wstawanie z łóżka stanie się dla ciebie wysiłkiem, który wymagać będzie całej twojej siły woli, nie zrozumiesz, co to jest być przegrany. Nie wiesz jak to jest, chodzić ulicami i patrzeć, jak ludzie, którzy kiedyś wiwatowali na twoją cześć na trybunach, teraz potrząsają głowami i szepczą coś do siebie o zmarnowanym życiu - przerwał, żeby się pozbierać, zrozumiał bowiem, że jest zły na siebie, nie na Sayre. -

Masz cholerną rację, boję się. Boję się nawet mieć nadzieję.

Jego słowa wprowadziły ją w przygnębienie.

- Mylisz się, Clark - odezwała się bardzo cicho. - Wiem doskonale, jak to jest, gdy wstawanie z łóżka wymaga nieludzkiego aktu woli - odetchnęła głęboko i wzdrygnęła się, jakby przeszedł ją dreszcz. - Ty jednak wciąż jeszcze stoisz na rozstaju dróg. Możesz nie zrobić nic, powiedzieć

„nie" i nadal żyć tak jak teraz, przygnębiony sobą i życiem, topiąc rozczarowania w whisky, mówiąc „ja nieszczęsny!" i doprowadzając do rozpaczycy swoją żonę, dopóki nie umrzesz jako beużyteczny, samotny alkoholik. Możesz jednak zachować się jak człowiek, którym byłeś za młodu. - Chwyciła jego dłoń i ścisnęła mocno. - Nie namawiam cię do zemsty na Huffie. Nic nie zwróci tego, co odebrał ci mój ojciec. Poza tym, nie jest tego wart. Nie pragnę też, żebyś zrobił to dla mnie. - Ścisnęła jego rękę jeszcze mocniej. - Chcę, żebyś zrobił to dla siebie. Jak brzmi twoja odpowiedź?

W drodze powrotnej do The Lodge, Sayre ogarnął umiarkowany optymizm. Istniała szansa, że Clark pokaże, na co go stać. Nazwanie go tchórzem było brutalne, ale potrzebował takiego kopniaka w tyłek. Liczyła na to, że pod warstwami przygnębienia w duszy Clarka drzemie jeszcze duma. Urażona ambicja była dobrą motywacją do działania.

Nie była pewna, czy jej taktyka poskutkowała. Clark nie przyrzekł, że zrobi to, o co go prosiła.

Nie zobowiązał się do niczego. Jednak niezależnie od tego, czy będzie mógł wpłynąć na przyszłość Hoyle Enterprises, czy też nie, miała nadzieję, że Clark zmieni swoje życie na lepsze. Gdy przyjdzie czas, chciała wrócić do San Francisco z poczuciem, że jej wysiłki nie poszły na marne i zrobiła coś dobrego.

Stała przy drzwiach swojego pokoju w motelu i włożyła klucz do zamka.

- Długo balujesz.

Podskoczyła ze strachu. Odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z Chrisem. Zupełnie jakby zmaterializował się w powietrzu.

- Czego chcesz, Chris?

- Mogę wejść?

- Po co?

- Chcę porozmawiać z własną siostrą.



- O czym? - Jego rozbrajający uśmiech nie zrobił na niej najmniejszego wrażenia.

- Zaproś mnie, a się dowiesz. - Pokazał jej butelkę, którą trzymał w dłoni. - Przyniosłem wino.

Nie przyszedł tutaj z butelką z dobroci serca, ani też po to, by uciąć sobie pogawędkę z siostrą.

Chris miał ukryty motyw we wszystkim, co robił. Jeszcze nie wiedziała, co chciał osiągnąć tym razem. Nie znosiła przebywać w jego pobliżu, ale pomimo swojej awersji była ciekawa.

Odwróciła się do drzwi, otworzyła je i weszła, zapalając światła. Chris podążył za nią i rozejrzał się po nieciekawym pokoju.

- Nie zagłębiałem do tego hotelu od czasów licealnych, kiedy przywoziłem tu dziewczyny. Wtedy nie zwracałem specjalnej uwagi na wystrój wnętrza. Niezbyt zachęcający, prawda?

- Nie.

- Dlaczego więc nie zatrzymasz się w domu? Przez dziesięć lat wierna Selma utrzymywała twój pokój w nieskazitelnej czystości.

Zdjęła czapkę baseballową i potrząsnęła głową, rozpuszczając włosy.

- To już nie jest mój dom, Chris.

Westchnął nad jej uporem.

- Masz przynajmniej jakieś kieliszki?

Przyniosła dwa jednorazowe plastikowe kubki z małej łazienki. Chris spojrział na nie z pogardą, otwierając wino korkociągiem, który przyniósł ze sobą.

- To dobre chardonnay, z Napy.

- Byłam w tamtej winnicy. Rzeczywiście, doskonale.

Nalał wina i stuknął swoim o kubek Sayre.

- Na zdrowie!

- Za co pijemy? Za podstęp z Calvinem McGrawem?

- Ach, no tak. Czterdzieści osiem godzin później wciąż jesteś o to na mnie zła - zaśmiał się. -

Naprawdę nie mogę cię winić. Powinnaś zobaczyć wyraz swojej twarzy.

- Jestem pewna, że mieliście z Beckiem niezły ubaw.

Chris spoczął na niewygodnym fotelu i gestem wskazał na łóżko.

- Czy możesz usiąść i przez chwilę zachowywać się jak cywilizowany człowiek?

Zawahała się, ale podeszła do łóżka i przycupnęła na jego brzegu.

- Czekałem na ciebie ponad godzinę. Gdzie byłaś? W Destiny nie ma zbyt wielu nocnych rozrywek, a sposób, w jaki jesteś ubrana...

- Czego chcesz, Chris?

- Nie mogę po prostu pragnąć rozmowy? - westchnął. - Nie pozwolisz mi być miłym facetem?

- Nie jesteś miłym facetem. Nigdy nie byłeś.

- Wiesz, na czym polega twój problem, Sayre? Nie potrafisz sobie odpuścić. Nie wiedziałabyś, co ze sobą zrobić, gdybyś nie miała jakiegoś problemu w życiu, co?

- Przyszedłeś z winem, żeby mi to powiedzieć?

Uśmiechnął się do niej promiennie i ciągnął dalej:

- Zawsze jesteś niezadowolona, jeśli nie masz na co narzekać. Myślałem, że kiedyś wyrośniesz z tej chronicznej frustracji, ale nie. Teraz masz mi za złe coś, co zrobiłem, kiedy byliśmy dziećmi.

Bracia tacy są, Sayre. Dręczenie i drażnienie sióstr należy niejako do ich obowiązków.

- Danny tego nie robił.

- I dlatego byłaś na niego wściekła. Jego pasywność wywoływała w tobie złość. Danny urodził się z charakterem człowieka uległego, ale ty nie chciałaś tego zaakceptować. Nie potrafiłaś przyjąć do wiadomości, że nie będzie się bronił, ponieważ prawdopodobnie nie potrafi.

Nie zaproponowała, ponieważ mówił prawdę.

- Wciąż jesteś wściekła na Huffa z powodu Clarka Daly'ego.

Sayre spojrzała w kubek z winem, mając nadzieję, iż Chris nie dostrzeże jej zaniepokojenia na

wzmiankę o Clarku. Ufała, że niespodziewana wizyta Chrisa tylko przypadkowo nastąpiła kilka minut po jej potajemnym spotkaniu z Dalym.

- Nie powinnaś mieć za złe Huffowi, że przerwał wasz romans - ciągnął Chris. - Raczej powinnaś podziękować. Ale to już przeszłość. - Sięgnął po butelkę i nalał sobie kolejną porcję wina. -

Teraz wymyśliłaś sobie powód do skarg z okazji śmierci Danny'ego i o tym właśnie chciałem z tobą porozmawiać. Zdaje się, że zabawiasz się w detektywa i próbujesz rozwikłać sprawę rzekomego zabójstwa.

- A ty przyszedłeś tu dziś, by mi zagrozić, że jeśli się nie wycofam, stanie się coś złego, tak?

- Nic z tych rzeczy - odparł spokojnie. - Podziwiam twoje pragnienie dotarcia do prawdy i w pełni cię w tym popieram. Mam jedynie problem z kierunkiem, jaki przyjęłaś. Postawię sprawę jasno. Myślę, że w ten sposób zaoszczędzę ci wiele czasu i kłopotu. Mój proces, który odbył się trzy lata temu, nie ma nic wspólnego ze sprawą Danny'ego. Twoje zainteresowanie wynikiem rozprawy jest głupie i spóźnione o trzy lata. Mogłaś wrócić do domu, kiedy wszystko rozgrywało się na bieżąco. Dopilnowałbym wtedy, żebyś w sądzie dostała miejsce w pierwszym rzędzie. Ale teraz jest już po wszystkim - zakończył, akcentując ostatni wyraz.

- Zabiłeś go, prawda? Tak jak Huff zabił Sonniego Hallsera.

- Nie i nie.

- Czy ktoś jeszcze oprócz mnie wie o tym, że widziałeś, jak Huff to robi?

Spojrzał na nią uważnie.

- O czym ty mówisz?

- Tamtej nocy wymknąłeś się z domu, Chris. Przyłapałam cię wtedy, pamiętasz? Zagroziłeś mi, że mnie zabijesz, jeśli powiem matce. Powiedziałaś, że chciałeś zaskoczyć Huffa w odlewni i zostać z nim do czasu powrotu do domu. Pamiętam, że zazdrościłam ci twojej odwagi. Poszedłeś tam sam, w ciemności. Nawet bardziej zazdrościłam ci tego, że Huff ucieszy się z twojego

widoku. Wiedziałam, że uzna twój pomysł za doskonały i na pewno nie zmyje ci za to głowy. Co zobaczyłeś tamtej nocy, Chris? - spytała, obniżając głos.

- Ile miałaś wtedy lat?

- Pięć.

- No właśnie. Jakim cudem mogłaś więc zapamiętać coś takiego? Często wymykałem się w nocy z domu i szedłem do fabryki, żeby wrócić po pracy z Huffem. Pomieszały ci się wydarzenia.

To nie była prawda. Niektóre wspomnienia z dzieciństwa zapamiętała zbyt wyraźne, żeby je z czymkolwiek pomylić, a pamięć dni, które nastąpiły po odnalezieniu okaleczonego ciała Sonniego Hallsera, była nader żywa. Nie zapomniała o tamtych zdarzeniach również dlatego, że był to jedyny moment w ich życiu, kiedy Chris zachowywał się tak, jakby się czegoś bał.

- Uważam, że Huff zabił tego człowieka - powiedziała. - Ty zaś kilkanaście lat później z takiego samego powodu pozbyłeś się Gene'a Iversona. Postanowiłeś jednak nie popełniać błędu Huffa i ukryłeś ciało tak, że nigdy nie zostało odnalezione.

- Nikt nie wie, co się stało z Iversonem. Może Huff tak go przestraszył, że uciekł, gdzie pieprz rośnie.

- Porzucając całe mienie?

- Może porwali go obcy. - Chris pstryknął palcami. - Już wiem. Pułkownik Musztarda zdzielił go ołowianą rurą po głowie, kiedy Iverson poszedł do biblioteki.

- To nie zabawa w zgadywanki - rzuciła gniewnie. - Jak możesz sobie żartować z czyjejś śmierci?

- To przypomina mi o kolejnej sprawie. Nie wiemy nawet, czy Iverson nie żyje, a tym bardziej, czy został zamordowany. Moim zdaniem żyje sobie gdzieś, ma się doskonale i zaśmiewa się do rozpuku z kłopotów, w jakie wpędził mnie i całą rodzinę. Wiem za to z absolutną pewnością, że go nie zabiłem.

Oświadczenie Chrisa nie zrobiło na Sayre wrażenia.

- Ani ty, ani Huff nie wierzyliście, że sąd cię uniewinni, wzięliście więc sprawę w swoje ręce.

Calvin McGraw przyznał, że przekupił w waszym imieniu ławę przysięgłych.

- Calvin McGraw cierpi na demencję! - krzyknął Chris. - Przyzna się nawet do tego, że wysadził w powietrze most Golden Gate, jeśli go o to zapytasz. Nie panuje nad sobą. Na miłość boską, Sayre, bądź rozsądna. Dlaczego chcesz wierzyć choremu na alzheimera, a nie własnemu bratu.

Sayre wstała z łóżka i stanęła przed komodą. Odstawiła nietknięte wino na laminowane biurko i spojrzała w lustro, ledwie rozpoznając swoje odbicie. Czy to ta znana dekoratorka wnętrz dla bogaczy z Bay City? Haute couture zastąpiły dzinsy i podkoszulek. Przestała prostować włosy i pozwoliła im poskręcać się w chaotyczne sprężynki pod wpływem wilgoci i upału.

Kim była ta osoba, spoglądająca na nią z lustra i co robiła w tym żalonym pokoju, ubrana w ten sposób, zabawiając się w konspiracyjne gierki z powodów, które najwyraźniej były ważne tylko dla niej? Co ją obchodziło, że Clark Daly zabijał się powoli z przepicia i rozpacz? Dlaczego miałyby się przejmować strajkiem robotników i przyszłością Hoyle Enterprises, skoro przez całe dziesięciolecia ludzie pracujący dla jej ojca tolerowali tragiczne w skutkach, czasem śmiertelne wypadki przy pracy oraz godne pożałowania warunki w fabryce?

Jeżeli Chris popełnił morderstwo i uszło mu to na sucho, powinna go zostawić w diabły. Nikogo poza nią nie obchodziło, że Chris i Huff zagrali wszystkim na nosie, kupując wyrok sądu. Po co w ogóle się tym zajęła?

Jeżeli chodzi o Danny'ego, jego telefony do niej mogły dotyczyć czegoś ważnego lub zupełnie nieistotnego. Statystycznie rzecz biorąc, samobójcy rzadko zwierzali się innym ze swoich planów. Gdyby odebrała telefon, mogła co najwyżej opóźnić nieuniknione, to wszystko. Była egoistką, myśląc, że potrafiłaby go odwieść od odebrania sobie życia, skoro nie udało się to nawet jego narzeczonej.

Chwyciła w lustrze odbicie Chrisa. Obserwował ją, jakby wiedział, że zastanawia się nad sensem

swojego postępowania i nad sobą samą. Zebrała wszystkie siły i odwróciła do brata.

- Zadałeś mi bezpośrednie pytanie i oto moja odpowiedź, Chris. Dlaczego wolę zaufać niewiarygodnemu źródłu, a nie tobie? Ponieważ Huff rozpuścił cię jak dziadowski bicz, co widać, słysząc i czując. Jesteś totalnym egoistą i robisz tylko to, co przynosi ci jakiś zysk. Kiedy ktoś cię przyłapie na złym uczynku, liczysz na to, że twój czar albo wpływy Huffa zaoszczędzą ci kłopotów. Jesteś pochłonięty sobą, hedonistyczny i amoralny. Kłamiesz, często tylko dla przyjemności, by przekonać się, że ujdzie ci to na sucho. Nikt nigdy w życiu niczego ci nie odmówił, może poza rozwodem, chociaż jestem pewna, że przy pomocy Huffa uzyskasz go w końcu, uczciwie lub nie. Czy uważam, że zabiłeś Iversona? - spytała retorycznie. - Tak. I to ci się upiekło. Jeżeli jednak zabiłeś Danny'ego, zapłacisz za to, Chris. Przysięgam ci, że sama tego dopilnuję.

Chris odstawił kubek z winem na stolik.

- Sayre, usiądź. Proszę.

To słowo w jego ustach było tak niezwykle, że Sayre wróciła w pobliże łóżka i przysiadła na jego brzegu, niechętnie. Chris sięgnął po jej dłoń i przytrzymał, gdy chciała je cofnąć.

- Pomyśl o tym, jak umarł Danny - rzekł cicho. - Żeby go zabić, musiałbym zdjąć znad drzwi starą strzelbę, załadować obie komory, wepchnąć mu lufę do ust i pociągnąć za spust. Pomimo wszystkich moich wad, jakie przed chwilą wymieniłaś, naprawdę sądzisz, że potrafiłbym zabić własnego brata? Nie zrobiłem tego - dodał, nie czekając na odpowiedź. - Nie zabiłem Danny'ego. Robisz z siebie idiotkę samym tym podejrzeniem.

- Co to dla ciebie za różnica?

- Żadna. Po prostu nie chcę, żebyś poczuła się zażenowana.

Powód jego nonszalanckiego wytłumaczenia był tak przejrzysty, że od razu zrozumiała, o co chodzi.

- Nie, myślisz o czymś innym, prawda Chris? Odciągam od ciebie jego uwagę, prawda?

- O czym ty mówisz?

- O Huffie. Sprawiam wam kłopoty i chociaż wyprowadzam go z równowagi, jego uwaga koncentruje się na mnie, a ty nie możesz tego ścierpieć.

Oczy Chrisa stały się pustymi okiennicami, odbijającymi jej wizerunek w hebanowej głębi.

Wargi, przed chwilą rozciągnięte w gładkim uśmiechu, teraz zacisnęły się w wąską kreskę.

Ledwo się poruszyły, kiedy powiedział:

- Wracaj do San Francisco, gdzie twoje miejsce, Sayre.

- Tak, wiem, że tego właśnie byś chciał.

- Nie dla mnie, dla ciebie.

Sayre roześmiała się, kładąc rękę na piersi.

- Mam uwierzyć, że zależy ci na moim dobrym samopoczuciu?

- Owszem. Sama powiedziałaś, że ostatnimi czasy Huff sporo o tobie myśli. Chcesz wiedzieć dlaczego? Chcesz usłyszeć, co planuje dla swojej córeczki? - uśmiechnął się szyderczo.

Biuro Charlesa Nielsona mieściło się w budynku banku na Canal Street, w centrum Nowego Orleanu. Dzielił dwudzieste piętro z dwoma dentystami, firmą pośredników inwestycyjnych, psychologiem i niezidentyfikowanym przedsiębiorstwem z inicjałami w nazwie. Biuro Nielsona znajdowało się na samym końcu wyłożonego dywanem korytarza, po lewej. Na drzwiach, wypisane skromną czarną czcionką, widniało jego nazwisko.

Mała poczekalnia była wyposażona w proste, przydatne w tego typu pokoju meble - dwa obite tapicerką fotele i maty stolik od kompletu ze stojącą na nim lampą. Przy biurku w recepcji siedziała ładna kobieta w średnim wieku. Rozmawiała właśnie z Sayre, gdy do biura wszedł Beck. Trudno powiedzieć, które z nich było bardziej zdumione - Sayre czy Beck.

Spoglądając ponad ramieniem Sayre, recepcjonistka przywitała Merchanta serdecznym: „Dzień dobry”.

- Witam - powiedział.

- Zaraz się panem zajmę. Tymczasem proszę spocząć.

Beck nie skorzystał z zaproszenia. Pozostał na miejscu, ciekawy, co miała do powiedzenia Sayre, która na jego widok zeszywniała, jakby kij połknęła.

- Najwyraźniej nastąpiło jakieś małe niedopatrzenie. Czasami pan Nielson umawia się z kimś na spotkania, a potem zapomina mi o tym powiedzieć, żebym mogła zanotować to w kalendarzu.

- Nie zapomniał... - Sayre przerwała i chrząknęła. - Nie zapomniał pani powiedzieć o tym spotkaniu, ponieważ nie byłam umówiona.

- Ach tak. W jakim celu chciałaby się pani z nim zobaczyć? Z przyjemnością przekażę mu wiadomość.

- Nazywam się Sayre Lynch. Kiedyś Hoyle.

Uśmiech recepcjonistki zbladł.



- Hoyle od Hoyle Enterprises? Z tych Hoyle'ów?

- Tak.

- Rozumiem.

- Nie sędzę. Nie przysłałam tutaj jako reprezentantka mojej rodziny.

Recepcjonistka złożyła ręce i położyła je na biurku, jakby szykowała się do wysłuchania wyjaśnień Sayre.

- Jestem pewna, że pan Nielson przyjmie tę wiadomość z zainteresowaniem.

- W rozmowie z nim proszę podkreślić, że chciałam zaoferować mu swą pomoc.

- Tak, rozumiem. Pan Nielson... - Nagle zadzwonił telefon. Recepcjonistka uniosła palec wskazujący, prosząc Sayre o chwilę cierpliwości, i odebrała. - Biuro Charlesa Nielsona. Nie, przykro mi, nie ma go w pracy. Czy mogę przekazać mu jakąś wiadomość? - Sięgnęła po notatnik i zaczęła coś zapisywać.

Sayre zwróciła się w stronę Becka.

- Śledziłeś mnie?

- Nie pochlebiaj sobie. W przeciwieństwie do ciebie, ja byłem umówiony.

Gdy tylko recepcjonistka odłożyła słuchawkę, ominął Sayre i podszedł do biurka.

- Pani jest zapewne Brendą - powiedział z uroczym uśmiechem, głosem słodkim jak miód.

- Tak.

- Rozmawialiśmy kilkakrotnie przez telefon. Nazywam się Beck Merchant.

- O mój Boże - rzuciła nerwowo sekretarka. - Nie dotarła do pana moja wiadomość?

- Wiadomość?

- Pan Nielson musiał wyjechać w pilnej sprawie. Zostawiłam panu wiadomość na poczcie głosowej, że nie będzie mógł spotkać się z panem dziś po południu.

Beck wyciągnął komórkę z kieszeni na piersi marynarki i sprawdził wyświetlacz.

- Faktycznie. Najwidoczniej nie zdążyłem jej odebrać.
- Miałam nadzieję, że dostanie ją pan przed wyruszeniem w podróż.
- Wolałbym, żeby pani szef był na tyle uprzejmy, aby spotkać się ze mną, zanim wyjechał z miasta w takim pośpiechu. Kiedy zamierza wrócić?
- Nie poinformował mnie o tym.
- Czy można się z nim skontaktować telefonicznie?
- Mogę panu podać numer hotelu. Jest w Cincinnati.
- Rozumiem, że otrzymanie numeru komórki...
- Jest wykluczone - ucięła. - Inaczej stracę posadę.
- Nie chciałbym być za to odpowiedzialny.
- Gdy pan Nielson zadzwoni, aby wysłuchać wiadomości, czy mam przesunąć pana spotkanie z nim na inny termin?
- Tak, proszę. Jeśli nie odbiorę telefonu, proszę zostawić mi wiadomość z dokładną datą i godziną. Dostosuję swoje zajęcia do tego spotkania. Gdyby była pani na tyle uprzejma, proszę zadzwonić też do mojego biura i na telefon domowy. Nie chciałbym, aby dzisiejsza sytuacja się powtórzyła.
- Oczywiście, panie Merchant.
- Dziękuję.
- Przykro mi, że facygował się pan na próżno. Pani również - powiedziała, spoglądając na Sayre.
- Ja również chciałabym się umówić z panem Nielsonem w najbliższym odpowiadającym mu terminie.
- Poinformuję go o tym, pani Hoyle.
- Lynch.
- Oczywiście. Przepraszam.

Sayre podała recepcjonistce swój numer telefonu komórkowego i do centrali motelu, po czym odwróciła się, by wyjść.

Beck stał już w otwartych drzwiach, przytrzymując je.

- Do zobaczenia, Brendo - rzucił przez ramię, wychodząc.

- Do widzenia, panie Merchant.

Sayre i Beck wyszli na korytarz razem i stanęli, czekając na tragicznie powolną windę. Zjechali do lobby, na dole Beck ruszył prosto do wyjścia, Sayre zaś skierowała się w stronę toalety damskiej.

Wszystko odbyło się w kompletnej ciszy.

Gdy pięć minut później Sayre wyszła z wieżowca, Beck stał na ocienionym chodniku i rozmawiał przez telefon. Nie ucieszyła się na jego widok. Dała mu wystarczająco dużo czasu na zniknięcie.

Była piąta po południu i ulicami centrum miasta wędrowały tłumy spieszących się do domu ludzi. Wszędzie były korki i spaliny, zatrzymywane przy ziemi przez wilgotne powietrze sprawiały, że ciężko było oddychać. Beck wyglądał na wykończonego. Włożył palec do drugiego ucha, żeby zredukować nieco hałas i skoncentrować się na rozmowie. Zdjął marynarkę i przerzucił ją przez ramię, rozluźnił krawat i podwinął rękawy koszuli. Wyglądała zupełnie tak, jak przy ich pierwszym spotkaniu, na cmentarzu.

- Widząc ją, rozłączył się i przedarł się przez tłum w jej kierunku.

- Nielson jeszcze nie dotarł do hotelu - powiedział. - Nie fatyguj się z dzwonieniem do niego.

- Spróbuję później.

- Kiedy zobaczyłem cię dzisiaj w jego biurze, myślałem, że padnę trupem. Dlaczego przyszłaś?

- Tak jak powiedziałam jego asystentce, chciałam zaoferować mu swoje wsparcie. Jaki był cel twojej wizyty?

- Chciałem się z nim spotkać osobiście - odparł gładko. - Pokazać mu, że ani ja, ani Hoyle'owie nie mamy rogów ani kopyt. Miałem nadzieję, że znajdziemy pokojowe rozwiązanie naszych problemów i unikniemy strajku. Chciałem wytłumaczyć mu, jak bardzo niepożądany byłby protest, zwłaszcza że robotnicy w fabryce otrzymują tygodniówki, nie wypłatę miesięczną.

- Jesteś aniołem - odparła ironicznie. - Ile?

- Ile czego?

- Ile pieniędzy przyniosłeś ze sobą, żeby go przekupić?

Zapaliło się zielone światło. Niewiele się namyślając, Sayre przeszła na drugą stronę. Gdy znalazła się na chodniku, Beck chwycił ją za ramię i zatrzymał w miejscu.

- Wystarczająco dużo, żeby zapłacić za obiad.

- Chcesz mnie zaprosić na obiad?

- Zazwyczaj sama regulujesz swoje rachunki, ale tym razem to ja chciałbym zapłacić. Chyba że zjesz za dużo, a wtedy będę musiał cię poprosić, żebyś dorzuciła parę groszy.

Uśmiechał się i spoglądał wyzywająco, lecz wzbudził w niej jedynie odrazę. Zamiast odczuwać zadowolenie z jego zainteresowania, zaczęła się zastanawiać, jak może być tak nieszczerzy. Ku swojemu własnemu zdziwieniu poczuła, że bardzo się zawiodła na Becku.

- Chris powiedział mi o planach Huffa wobec nas.

Przestał się uśmiechać.

- Nie chciałabym, żebyś tracił swój czar, próbując mnie uwieść. Nie masz najmniejszych szans.

A teraz przepraszam bardzo, ale mam jeszcze coś do załatwienia.

Ominęła go i ruszyła chodnikiem. Beck jednak nie zniechęcił się i podążył za nią.

- Zaproszenie cię na obiad nie ma nic wspólnego ze swatami Huffa.

- Zejdź mi z drogi, Beck - powiedziała, gdy zastąpił jej drogę. - Spóźnię się.

- Na co?

- Z wizytą. Idę odwiedzić Billy'ego Paulika.

Zaskoczyła go jej odpowiedź. Zatrzymał się na chwilę, dzięki czemu Sayre mogła oddalić się od niego o kilka kroków.

- Zaczekaj, Sayre. Podwiozę cię.

- Sama pojedę. Poza tym, nie sędzę, abys był tam mile widziany.

- Tak się składa, że mam mu coś do przekazania - poklepał teczkę. - Gdzie jest twój samochód?

Moja półciężarówka jest bliżej - rzekł, gdy Sayre odpowiedziała na jego pytanie.

Zaparkował pikapa w garażu wieżowca, znacznie bliżej niż ona. Sayre zaś bardzo chciała zdążyć do szpitala, zanim skończy się czas wyznaczony na odwiedziny. Klinika była dość blisko, lecz z powodu korków i niedostatecznej liczby miejsc parkingowych dostanie się na oddział intensywnej terapii, gdzie Billy Paulik dochodził do siebie po operacji, zajęło im pół godziny.

Przez cały ten czas nie zamienili ani słowa.

Na korytarzu stała Alicia Paulik. Rozmawiała z młodzieńcem w białym kitlu. Spostrzegła, jak Sayre i Beck wychodzą z windy i popatrzyła na mężczyznę z nieskrywaną wrogością.

- Co ty tutaj robisz?

- Przyszliśmy dowiedzieć się o stan Billy'ego - odparł spokojnie. - To Sayre Lynch.

Pani Paulik zmierzyła Sayre od stóp do głów.

- Lynch, co? Jesteś córką Huffa Hoyle'a. Szczerze mówiąc, nie dziwię ci się, że zmieniłaś nazwisko.

- Jak się miewa pani mąż?

Alicia Paulik wskazała kciukiem na młodego człowieka w fartuchu.

- To jego psychiatra. Sami zapytajcie, co z nim.

Lekarz przedstawił się i wymienił z Sayre i Beckiem uścisk dłoni.

- Oczywiście nie mogę ujawnić tego, z czego zwierza się Billy podczas naszych sesji. Wystarczy,

jeśli powiem, iż cierpi na ostrą depresję. Próbuje dojść do siebie pod względem fizycznym, a jednocześnie musi mentalnie i emocjonalnie przyzwycząć się do myśli o życiu bez jednej ręki. Niepokoi się również o utrzymanie rodziny.

- Powiedziałam mu, że wszystko będzie w porządku - wtrąciła się pani Paulik. - Nawet lepiej, ponieważ zamierzam pozwać waszą cholerną firmę o każdy cent, który będę mogła z was wydusić - skierowała swoje słowa do Becka i Sayre, nie robiąc różnicy między nimi dwojgiem.

- Wszystkie reakcje Billy'ego są typowe dla pacjentów po poważnych wypadkach - ciągnął niepewnie młody lekarz. - Pogodzenie się ze skutkami tego wypadku zabierze mu sporo czasu.

- Proszę kontynuować spotkania z Billym tak długo, jak to będzie konieczne - odparł Beck.

Psycholog spojrzał niepewnie na żonę Paulika.

- Powiedziano mi, że mam ograniczyć liczbę sesji do trzech.

- Pan Hoyle zmienił zdanie, więc spotkania będą mogły być kontynuowane. Oto mój telefon, jeśli będzie miał pan jakieś pytania. - Beck wręczył wizytówkę lekarzowi, który skinął głową i odszedł, tłumacząc się koniecznością wizyty u innego pacjenta.

Beck zwrócił się do pani Paulik:

- Czy mogę się zobaczyć z Billym?

- Po co?

Beck wyciągnął przed siebie brązową kopertę, którą Sayre widziała w samochodzie, gdy wyjmował ją z teczki.

- Kartki z życzeniami powrotu do zdrowia od jego współpracowników. Obiecuję, że nie zabawię długo.

Alicia Paulik wyrwała mu kopertę z ręki.

- Sama mu to zaniosę. Zapewne widok twój lub kogokolwiek z rodziny Hoyle'ów bardzo by go zdenerwował.

- Jak sobie pani życzy, pani Paulik.

Beck powiedział, że ściągnie windę, po czym odwrócił się i szybko odszedł korytarzem, zostawiając Sayre sam na sam z panią Paulik.

- Jak sobie radzą wasze dzieci?

- Boją się. Pani by się nie bała?

- Bałabym się - odparła Sayre, nie zwracając uwagi na ton kobiety. - Pamiętam, że kiedy moja matka odeszła z tego świata, byłam nie tylko smutna, ale również przestraszona, że ja również umrę. Traumatyczne przeżycia sprawiają, że czujemy się słabi i bezbronni. Dotyczy to zwłaszcza dzieci.

Pani Paulik zastanowiła się przez chwilę nad słowami Sayre, po czym wymruczała:

- Przykro mi z powodu pani brata Danny'ego.

- Dziękuję.

- To był dobry człowiek

- To prawda.

- Wróciła pani do Destiny na stałe?

- Nie. Niebawem zamierzam wrócić do San Francisco.

- Im prędzej, tym lepiej. Na pani miejscu wyjechałabym, zanim zaczną się tu prawdziwe kłopoty.

Nie chciałabym być Hoyle'em, kiedy Nielson dobierze się im do skóry.

Zanim Sayre mogła odpowiedzieć, Beck zawołał z końca korytarza:

- Winda przyjechała.

Sayre dotknęła lekko ramienia pani Paulik.

- Wiem, że mi pani nie ufa, to rozumię. Ale jest mi naprawdę bardzo przykro z powodu tego, co się wydarzyło.

Odwróciła się i dołączyła do Becka, stojącego przy drzwiach windy.

- Musiałem przepuścić jedną - powiedział. - Ludzie zaczęli narzekać na to, że ich zatrzymuję.

- Przepraszam, że cię zatrzymuję. Chciałam tylko... - Urwała, słysząc piskliwy okrzyk, od którego dostała gęsiej skórki. Obejrzała się za siebie. Alicia Paulik stała tam, gdzie Sayre ją zostawiła. U jej stóp leżał stos rozsypanych pocztówek. Treść kartki, którą trzymała w dłoni, była najwyraźniej tak szokująca, że upuściła pozostałe listy.

Sayre spojrzała na Becka z przerażeniem.

- Co było w tej kopercie?

W tej samej chwili na piętrze zatrzymała się winda. Beck gestem ponaglił ją do wejścia do środka.

- Nie chcę również tej przepuścić.

Sayre jednak już oddalała się od windy, w kierunku Alicii Paulik, która przytulała tajemniczą kartkę do piersi, kwiląc głośno.



Czekał na nią w swoim pikapie, przed głównym wejściem do szpitala. Pochylając się nad siedzeniem, otworzył drzwi od strony pasażera. Nie wspomniał ani słowem o Alicji Paulik, nie zapytał też, co się zdarzyło po tym, jak wsiadł do windy.

- Mówiłem poważnie o obiedzie - powiedział. - Nie jadłem lunchu. Dasz się zaprosić czy nie?

Nie była to najwykwintniejsza propozycja na świecie, ale przystała na nią. Była głodna, chociaż z łatwością mogła coś przekąsić w barze szybkiej obsługi lub w restauracji dla zmotoryzowanych.

Jej ciekawość jednak nie dałaby się zaspokoić w tak prosty sposób. Odpowiedzi na pytania związane z tym, co zdarzyło się w szpitalu, mógł udzielić wyłącznie Beck. Ale wydobyć z niego wszystkich zeznań zajmie trochę czasu.

Nie mówili wiele, gdy Merchant prowadził samochód przez korki w stronę Canal Street i dalej, do Dzielnicy Francuskiej. Zaparkował w garażu publicznym, stamtąd ruszyli pieszo wzdłuż Royal Street. Gdy minęli kilka przecznic i niezliczone jadalnie, skąd dochodziły zapachy, od których ciekła ślinka, Sayre spytała:

- Mamy jakiś konkretny cel?

- Znam dobrą restaurację.

Słońce stało już nisko i budynki rzucały długie cienie. Nie dawały jednak upragnionego chłodu na tej wąskiej ulicy, przez cały dzień prażonej słońcem. Żar promieniował z nierównej cementowej nawierzchni i pokrytych gipsem ścian starodawnych budynków.

Beck zostawił marynarkę w samochodzie. Wciąż miał na szyi krawat, luźno zawiązany pod rozpiętym kołnierzykiem. Sayre, ubrana w czarną sukienkę, którą miała na sobie w dniu pogrzebu Danny'ego, marzyła o tym, żeby jej buty miały obcasy bardziej przydatne do pieszych wędrówek.

Nie rozmawiali wiele. Na jednym z rogów zabawili kilka chwil, słuchając występu jakiegoś

saksofonisty, po czym ruszyli w dalszą drogę. Podszedł do nich klaun w kędzierzawej różowej peruce i pantalonach w wielkie grochy. Oboje odmówili, gdy nalegał, że pomaluje im twarze. Dalej otoczyła ich grupka naćpanych chłopców. Jeden z nich był nawet na tyle odważny, żeby rzucić w kierunku Sayre kilka sprośności. Ale na widok miny Becka zawadiackość i lubieżny uśmiech narkomana zniknęły. Chłopak pospiesznie oddalił się w kierunku grupki kolegów. Sklepy i galerie na Royal Street były w większości ekskluzywne. Można w nich było kupić antyki z Europy, klejnoty rodowe, obrazy i rzeźby, które zaspokoiliłyby apetyt najbardziej wymagających kolekcjonerów. Jeden ze sklepów sprzedawał pamiątki, lecz wystawione tam towary były niewiele lepsze od tandety dostępnej w budkach z podkoszulkami na Bourbon Street. Przeszli obok tego sklepu, gdy nagle Beck się zatrzymał, cofnął i zniknął wewnątrz.

- Zaraz wrócę - rzucił przez ramię.

Sayre podeszła do wystawy i zaczęła przyglądać się okolicznościowym maskom ozdobionym fałszywymi klejnotami, cekinami, koronkami i pysznymi piórami. Niektóre z nich były dzikie i groźne, inne niezwykle piękne.

Beck wyszedł ze sklepu, niosąc w dłoni sznur białych perełek nawlekanych na przemian z mniejszymi koralikami w kolorze metalicznej zieleni, złota i purpury.

- Twoja sukienka jest wspaniała, ale przypomina mi o pogrzebie. Pomyślałem, że to może pomóc. - Włożył perły na szyję Sayre, po czym podniósł jej włosy i poprawił tak, aby podkreślały linię dekoltu. - Proszę. Znacznie lepiej.

- Zazwyczaj mężczyzna nie ofiaruje kobiecie paciorków, zanim ta na nie zasłuży.

Beck dotknął koniuszkami palców spoczywające na jej piersi korale, a potem powoli opuścił dłoń.

- Dzień się jeszcze nie skończył - powiedział. Patrzyli na siebie bez słowa, dopóki nie rozdzieliła ich rozbawiona grupka ludzi, mijająca ich na wąskim chodniku. Beck pierwszy ruszył w dalszą

drogę.

Sayre nigdy nie znalazłaby miejsca, do którego ją zaprowadził. Nie udałoby się to nikomu, kto chociaż raz tam nie zawitał. Boczna uliczka, przy której mieściła się restauracja, była po prostu alejką z kanałem ściekowym przechodzącym przez sam jej środek. Nigdzie nie było znaku sygnalizującego, że gdzieś tutaj znajduje się lokal publiczny. Beck zatrzymał się przed porośniętą bluszczem żelazną bramą i wsunął dłoń pomiędzy liście, naciskając dzwonek. Z ukrytego głośnika dobiegło ich pytające:

- Qui?

- Beck Merchant.

Brama ustąpiła z głośnym szczęknięciem. Beck wprowadził Sayre do środka i pieczołowicie zamknął za sobą bramę. Minęli wąski korytarz, otwierający się na podwórze, otoczone ścianami ceglanych budynków, porośniętymi mchem. Na środku rósł zielony dąb z zawieszonymi na jego gałęziach paprociami o rozmiarach volkswagenów. Spod gargantuicznych filodendronów i słoniowych uszu wyglądały kwitnące rośliny. Po ścianie przylegającego do podwórza budynku wspinał się pokręcony pień wisterii, porośnięty gęsto listowiem, sięgając dachu.

Beck pokierował Sayre na górę. Zauroczona, podążyła za nim krętymi schodami, które wiodły ku balkonowi z żelazną balustradą zdobioną w przeróżne figury geometryczne. Wiatraki na suficie pracowały pełną parą, powodując migotanie płomieni w przymocowanych do ścian lampach sztormowych. Wzdłuż balustrady, w poustawianych równo doniczkach z chińskiej porcelany rosły krzewy hibiskusa. Jaskrawe kwiaty były niemal tak soczystego koloru, jak parasolki i niemal równie duże.

Przywitał ich wytworny mężczyzna w smokingu. Chwycił dłonie Becka i ścisnął je pomiędzy swoimi. Przemówił po francusku, bardzo szybko, ale Sayre zrozumiała wystarczająco dużo, aby się dowiedzieć, że ów człowiek niezmiernie się cieszy z wizyty Becka. Beck przedstawił Sayre.

Mężczyzna zaczął rozplýwać się nad jej urodą do tego stopnia, że poczuła się zażenowana.

Ucałował ją w oba policzki.

- Zdaję sobie sprawę, że pojawienie się bez rezerwacji jest z mojej strony arogancją - powiedział Beck.

Maitre d' gestem uciszył jego próby usprawiedliwienia się i zapewnił, że dla niego zawsze znajdzie się tutaj stolik. Merchant zapytał, czy przed obiadem mogliby napić się z Sayre czegoś na balkonie.

- Szampana, jeśli to możliwe.

- Certainement. Gwarantuję państwu prywatność - odparł, strzygąc brwiami w kierunku Sayre. -

Proszę się nie spieszyć. Miłej zabawy. - Pstryknął palcami i w otwartych na oścież oszklonych drzwiach pojawił się kelner, który odebrał zamówienie na szampana.

Beck pokierował Sayre do stolika barowego na końcu balkonu. Pomógł jej usiąść na filigranowym krześle, sam usadowił się naprzeciwko niej.

- Może powinienem zapytać cię o zdanie, zanim zdecydowałem, że zostaniemy na zewnątrz.

- Właściwie to dobry wybór.

- Nie jest ci za gorąco?

- Lubię żar.

- Tak, pamiętam.

Coś w sposobie, w jaki wypowiedział te słowa, i w tym, jak na nią przy tym spoglądał, sprawiło, że serce zabiło jej mocniej w piersi. Zmieniając temat, skomentowała jego doskonałą znajomość francuskiego.

- Musiałem zdać język obcy, aby otrzymać dyplom na uniwersytecie.

Nie nauczył się tak dobrze francuskiego na sali wykładowej, ale jego lakoniczna odpowiedź świadczyła o tym, że dwujęzyczność nie była dla niego niczym niezwykłym.

Kelner zniknął i pojawił się niemal natychmiast, niosąc tacę z dwoma wąskimi kieliszkami.

Inny kelner umieścił kubełek z lodem obok ich stolika, nalał szampana do kieliszków, odstawił butelkę do kubełka i rozplątał się w cieniach zalegających na balkonie. Beck uniósł swój kieliszek i lekko stuknął nim o szampankę Sayre.

- Za co wypijemy? - spytała.

- Za twój wyjazd.

- Doprawdy?

- Zabieraj się stąd, Sayre. Wracaj do swojego życia w San Francisco, zanim stanie ci się krzywda.

- Za późno.

- Miałaś złamane serce z powodu romansu w liceum. To nic w porównaniu z tym, co może ci się przytrafić teraz.

- Mało o tym wiesz, Beck.

- W takim razie uświadom mnie.

Potrząsnęła głową.

- To, co się zdarzyło, to sprawa Huffa i moja. Wyjechałam i przysięgam, że nigdy tu nie wrócę.

- A jednak wróciłaś.

- Tak, wróciłam.

- Dlaczego?

Zastanawiała się przez chwilę, nim odpowiedziała:

- Danny do mnie zadzwonił.

- Kiedy? - spytał z widocznym zaskoczeniem.

- W piątek, dwa dni przed śmiercią. - Opowiedziała Beckowi o telefonach, których nie chciała odebrać. - Przez resztę życia nie wybaczę sobie, że z nim nie porozmawiałam.

- Przypuszczam, że nie zostawił wiadomości?

- Nie, ale nie sądzę, by dzwonił do mnie z czystej tęsknoty. Myślę, że miał po temu poważny powód i nie mogę wrócić do normalnego życia, dopóki się nie dowiem, co nim powodowało.

- To mogło być cokolwiek, Sayre - odparł miękko.

- Owszem. Uwierz mi, moje sumienie już próbowało mnie przekonać, że to nie było nic istotnego, zwykły telefon w stylu „co u ciebie słychać”. Wiedząc jednak to, co wiem o warunkach pracy w fabryce, tajemniczym zniknięciu Iversona i niedawnej kłótni Danny'ego z Chrisem, powinnam raczej założyć, iż chodziło o coś ważnego. - Popatrzyła na niego i westchnęła. - Beck, moja rodzina jest zdeprawowana i śmiertelnie niebezpieczna. Nie można pozwolić, aby bezkarnie niszczyła życie i dorobek ludzi. Ktoś musi ich powstrzymać. Byłam wściekła, kiedy kilka dni temu wyciągnąłeś mnie z samolotu, ale teraz muszę ci za to podziękować. Nie mogłabym żyć w zgodzie z własnym sumieniem, gdybym wróciła do domu bez satysfakcjonujących odpowiedzi na kilka trudnych pytań.

- Co z twoją pracą? - Użył ostatniego argumentu, jaki miał w zanadru. - Czy nie ucierpi podczas twojej nieobecności?

- Mogę stracić kilku potencjalnych klientów, którym bardzo się spieszy, ale większość zgodzi się odłożyć wykonanie projektów do czasu mojego powrotu. Tak czy owak, nie mogę zacząć prowadzić normalnego życia w San Francisco, wiedząc, że nawet nie spróbowałam wyprostować wszystkich tych okropności tutaj. - Przyjrzała się w zamyśleniu bąbelkom szampana w swoim kieliszku. - Chris chce, żebym zniknęła. Zastanawiam się dlaczego. Jego pragnienie pozbycia się mnie wzbudza moją podejrzliwość, przez co nie mogę wyjechać. - Spojrzała na Becka. - Zostaję. Zdawał się zaakceptować fakt, że nie potrafił przemówić jej do rozsądku. Westchnął z rezygnacją i wskazał palcem kryształowy kieliszek.

- Dopij to. Nie ma sensu, żebyś marnowała najlepsze francuskie specjały.

Upiła łyk i spytała:

- Czy szampan jest częścią twojej strategii uwodzenia, Beck?

Uniósł brwi pytająco.

- Wolalabyś, żebym od razu przeszedł do rzeczy? Nasz gospodarz znajdzie nam dyskretny pokoik - dodał ciszej. - A ja bardzo chętnie się tobą zajmę.

- Żebyś mógł potem czym prędzej pobiec do Huffa i pochwalić się, że wypełniłeś misję?

- Sayre, chyba nie sądzisz, że mogłem odebrać jego sugestie inaczej niż jako czysty absurd, prawda?

Uśmiechnęła się z żalem.

- Chris rozkoszował się opowiadaniem mi o tym, jak to Huff znowu próbuje mną manipulować.

To był *coup de grâce* [z fr. ostateczny cios] w jego kampanii przeciwko mojemu pobytowi w Destiny.

Przy stoliku pojawił się kelner z przekąskami.

- Czy możemy zapomnieć o tym wszystkim przynajmniej na tyle długo, żeby z przyjemnością spożyć obiad? - spytał Beck.

Gdy skinęła głową na zgodę, gestem zaprosił ją, by spróbowała przyniesione jedzenie. Ugryzła kawałek pasztecika, który dosłownie rozplynał się w ustach.

- Co jest w środku? - spytał Beck.

- Nie wiem, ale jest znakomite.

Spróbował również i mruknął z aprobatą:

- Gruyère. Szpinak.

- Beck, w szpitalu...

- Mielona cebula - kontynuował analizę nadzienia.

- Pierwsza kartka, którą Alicia Paulik wyciągnęła z koperty, była od ciebie. Widziałeś jej reakcję.

Włożył resztkę pasztecika do ust i otrzepał dłonie.

- Przepyszne. Chyba poczęstuję się następnym - powiedział. Sięgnął w kierunku talerza, ale Sayre chwyciła jego dłoń i zmusiła go, by spojrział na nią.

- Czek, który im wysłałeś, opiewał na niezwykle szczodłą sumę.

- To dość relatywne pojęcie, nie sądzisz? Zdefiniuj szczodrość. Huff zasugerował, że powinniśmy nieco osłodzić ich żywot.

- Huff nie miał nic wspólnego z tym podarunkiem. Czek nie został wystawiony przez firmę, lecz przez ciebie, z prywatnego rachunku.

Beck wyciągnął szampana z kubałka i ponownie napełnił oba kieliszki.

- Pani Paulik była wstrząśnięta twoją hojnością - ciągnęła Sayre - ale jednocześnie wywołałeś w niej wewnętrzny konflikt. Była na ciebie zła, bo swoim gestem sprawiłeś, że poczuła wyrzuty sumienia za ten incydent z pluciem. Bardzo żałuje tego, co zrobiła, i chciała cię przeprosić.

- Nie musi mnie za nic przeproszać.

- Jest ci winna wdzięczność.

- Tego również nie potrzebuję.

- W takim razie, dlaczego to zrobiłeś?

- Lepiej zacznij się zastanawiać nad tym, co chcesz zjeść. Polecam ostrygi Bienville.

- Do diabła, Beck, odpowiedz na moje pytanie!

- W porządku - odparł szorstko. - Może próbuję w ten sposób kupić sobie czyste sumienie. Czy teraz będziesz miała o mnie lepsze czy gorsze mniemanie?

Przywołał kelnera i powiedział do niego coś bardzo cicho po francusku. Mężczyzna zniknął wewnątrz restauracji i wkrótce powrócił, niosąc dwa skórzane foldery zawierające odręcznie napisane menu. Sayre odłożyła swoją kartę dań na stół.

- Jeśli chodzi o poniedziałek wieczorem, dlaczego powiedziałeś Chrisowi o Calvinie McGraw? Sądziłeś, że będzie zabawnie zobaczyć moją reakcję?



Beck odłożył menu i spojrzał jej prosto w oczy.

- Nie, Sayre. Pomyślałem jednak, że interesujące będzie przyjrzeć się zachowaniu Chrisa.

- Chrisa?

Położył obie dłonie na stoliku i pochylił się do przodu, zmniejszając dystans między nimi.

- Chris i Huff niepokoją się twoimi próbami wyciągnięcia informacji od byłych ławników.

Zastanawiam się dlaczego. Powinni pokręcić głowami ze zdumieniem i uśmieć się z twoich niedorzecznych pomysłów. Dlaczego nie zaczekają, żebyś zrobiła z siebie idiotkę? Dlaczego nie pozwolą ci rozegrać tej partii, aż poddasz się i wrócisz do San Francisco? Tego właśnie normalnie bym się spodziewał.

- Chyba że mają coś do ukrycia.

- Chyba że mają coś do ukrycia. - Beck spojrzał na menu i zaczął bawić się frędzelkiem jedwabnego sznura, który rozdzielał strony wewnątrz skórzanej okładki. - Pozwoliłem, żebyś najadła się wstydu, ponieważ chciałem zobaczyć, co zrobi Chris, jeśli Calvin McGraw będzie miał akurat lepszy dzień i udzieli nam sensownej i jasnej informacji o tym, co wydarzyło się podczas procesu, tak jak to zrobił przy tobie tamtego poranka.

- Zatem uwierzyłeś mi, tak?

Beck podniósł głowę i popatrzył na nią długo, zanim zapytał:

- Jak ty to robisz?

- Co?

- Zakładasz tani naszyjnik odpustowy do eleganckiej sukienki i wciąż wyglądasz tak cholernie cudownie. Kiedy spojrzałem na ciebie przed chwilą... pomimo tych wszystkich idiotyzmów, o których rozmawiamy, pomyślałem, Jezu, ona jest taka piękna.

Na poły podświadomie dotknęła sznura sztucznych pereł spoczywających na piersi.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Czy uwierzyłeś w to, co powiedziałam ci o Calvinie

McGraw?

Westchnął i usiadł prosto.

- Jeśli w to uwierzę, znajdę się o krok od uznania, że Chris zabił Gene'a Iversona i pozbył się ciała tak, żeby nikt nigdy nie mógł go znaleźć.

- Nie popełnił błędu Huffa - powiedziała cicho Sayre.

- Jakiego błędu?

- Chris był świadkiem zamordowania Sonniego Hallsera.

Oczy Becka wpatrzyły się w nią czujnie.

- Co takiego?

- Chris odwiedził mnie wczoraj w nocy, kiedy wróciłam do hotelu. Rozmawialiśmy o czymś więcej niż tylko o planach Huffa wobec ciebie i mnie. - Streściła Beckowi konwersacje ze starszym bratem, ze szczególnym uwzględnieniem rozmowy o śmierci Hallsera. - Próbował mi wmówić, że byłam zbyt młoda, by cokolwiek pamiętać, i pomieszały mi się wspomnienia, ale to nieprawda, Beck. Wiem, że mam rację. Tamtej nocy Chris wymknął się z domu i poszedł do fabryki, żeby zrobić niespodziankę Huffowi. Nie wiem, czy widział, jak Huff wypychał tamtego człowieka do maszyny, czy też obserwował, jak ojciec pozwalał Hallserowi umrzeć w męczarniach, nie ratując go po wypadku. Tak czy owak, na pewno wywarło to na nim ogromne wrażenie. Takie wydarzenie może spowodować, że człowiek wyrzeka się wszelkiej agresji albo, wręcz przeciwnie, zaczyna się zastanawiać, jak to wykorzystać. Myślę, że w przypadku Chrisa mamy do czynienia z tym drugim. Gdy Huff nie poniósł żadnych konsekwencji za to, co zrobił, jego syn zdał sobie sprawę z korzyści wynikających z brutalności.

Chris był klientem Becka, dlatego ten w najmniejszy sposób nie zareagował na to, co właśnie powiedziała. Sayre rozumiała powody jego milczenia i, na przekór sobie, ceniła go za to.

Przyglądała się kropelce potu, która ściekła powoli z jego skroni i rozpląnęła się w siateczce

delikatnych zmarszczek w rogu oka.

- Powiedz mi, Beck. Ile jestem warta?

- Słucham?

- Huff zamierzał na pewno hojnie cię wynagrodzić za to, że się ze mną ożenisz i zostaniesz ojcem jego wnuka. Na jaką sumę się zgodziliście? A może pozostawiłeś wysokość zapłaty do jego decyzji? Dostałeś już zaliczkę?

- Jak myślisz, z czego płacę za ten obiad? - zażartował.

Wstał, podszedł do Sayre i pomógł jej wstać.

- Mimo to bardzo cię proszę, ogranicz swój wybór potraw do lewej strony menu.

Wszystkie potrawy z trzydaniowego posiłku były znakomite, ale żadna z nich nie dorównywała czekoladowemu sufletowi nasączonemu chantilly, którym podzielili się na deser. W restauracji było co najwyżej tuzin stolików, wszystkie nakryte białymi adamaszkowymi obrusami i zastawione srebrnymi sztucami, kryształami i starą porcelaną. Ściany nad boazerią pokrywała różowa mora, w tym samym odcieniu co zasłony okienne, opadające ciężko na błyszczącą drewnianą podłogę. Pomieszczenie było dyskretnie oświetlone stojącymi na stolikach świeczkami i kryształowym żyrandolem zwisającym z gipsowego medalionu na środku sufitu.

- Moje gratulacje dla szefa kuchni, podobnie jak dla dekoratora wnętrz - powiedziała Sayre, kiedy wyszli na zewnątrz, aby wypić kawę.

- Dopilnuję, żeby się o tym dowiedzieli.

- Jak znalazłeś to miejsce?

- Nie ja, tylko moja mama. Przyprowdziła mnie tutaj, żeby uczcić mój dyplom prawnika.

- Pochodzi z Nowego Orleanu?

- Rodowita mieszkanka.

- To ona nauczyła cię francuskiego?

- Gdy jeszcze nosiłem pieluchy - uśmiechnął się. Kelner nalał im kawy i zostawił samych. Beck dodał do płynu porcję grand marnier, a potem podał filiżankę Sayre. - Nie jest to wprawdzie bar w Destiny, ale robią, co w ich mocy.

Uśmiechnęła się i z filiżanką w dłoni podeszła do poręczy balkonu. Nie wiadomo skąd dobiegały dźwięki muzyki, snujące się nad dachami domów. Podwórko poniżej tonęło w głębokim cieniu.

Fontanna na środku bulgotała letargicznie. Rzeźbionemu aniołkowi brakowało kawałka dłoni, a jego stopy porośnięte były mchem. Z pęknięcia w podeście wychylał się zadziorny kwiatek. Nikt nie przeszkadzał mu rosnąć tam, gdzie chciał, podobnie jak pnączom i krzewom.

Sayre podobały się te niedoskonałości. To właśnie intymność popadających w ruinę budynków przydawała Dzielnicy Francuskiej uroku i tajemniczości.

- Wczoraj w nocy Chris wyznał mi, że nie zabił Danny'ego - powiedziała w cichą przestrzeń podwórca. - Jego słowa zabrzmiały dość szczerze.

Beck stanął tuż za nią.

- Może gonimy za własnymi ogonami? A jeśli Danny'emu udało się popełnić idealne samobójstwo?

Sayre dopiła kawę, odstawiła filiżankę i spodeczek na srebrną tacę stojącą na stoliku, po czym wróciła do balustrady.

- Co jest dla ciebie święte, Beck?

- Dlaczego pytasz?

- Chcę ci o czymś powiedzieć, ale musisz przysiąc na to, co najświętsze, że nikomu o tym nie powiesz, ponieważ informując cię o tym, nadużywam czyjś zaufania.

- W takim razie nic mi nie mów.

- Myślę, że powinieneś się dowiedzieć.

- W porządku. Wynajmij mnie. Pięć dolarów zaliczki. Będę wtedy z racji zawodu zobowiązany

do zachowania twojej tajemnicy.

- Myślałam o tym - przyznała Sayre. - Nie mógłbyś jednak zostać moim prawnikiem. Konflikt interesów.

- Zatem to, co chcesz mi powiedzieć, ma związek z Chrisem?

- Właściwie z Dannym.

Spojrzała na niego uważnie, przyglądając się światłocieniem igrającym na jego twarzy w świetle lamp gazowych.

Tego dnia, gdy się poznali, nazwała go pachółkiem swojego ojca. Od tamtej pory nie zrobił zbyt wiele, aby zasłużyć sobie na inne miano. Przyznał się do wystawienia jej na spotkaniu z McGrawem po to, aby zobaczyć reakcję Chrisa na zeznania staruszka, ale czy to prawda?

Clark ostrzegł ją, aby miała się na baczności przed Merchantem. Zaledwie kilka godzin temu zastanawiała się, jak może być tak nieszczerzy. Wątpiła nawet w motywy leżące u podłoża jego szczodrego prezentu dla Paulików. Czyżby popisywał się przed nią? Jednak Beck nie wiedział przecież, że Sayre będzie w szpitalu w chwili, gdy Alicia Paulik otworzy kopertę. Nie mógł również zaplanować, że to właśnie kartka od niego będzie pierwszą, którą przeczyta.

Zdecydowała się zaryzykować i zaufać Beckowi.

- Zamierzam powiedzieć ci coś, o czym nie wie nikt inny.

- Pamiętaj, że jestem prawnikiem Chrisa, Sayre. Zastanów się dwa razy, zanim mi zaufasz.

Świadoma ryzyka, które podejmowała, rzekła:

- Danny był zaręczony i zamierzał się ożenić.

Beck był kompletnie zaskoczony.

- Zaręczony? Z kim?

- Nie mogę zdradzić jej nazwiska.

- Jak... skąd o tym...

- Spotkałam ją przypadkiem na cmentarzu. Przyszła na grób Danny'ego i sama się przedstawiła.

Beck rozluźnił się nieco.

- Jakaś kobieta podchodzi do ciebie, siostry Danny'ego, którą nietrudno rozpoznać, przedstawia się jako narzeczona tragicznie zmarłego, a ty jej wierzysz na słowo? Może to jakaś łowczyni pieniędzy, która...

- Nie jestem aż tak naiwna, Beck. Znam się nieco na ludziach. Ona nie jest łowczynią posagu.

Kochała Danny'ego całym sercem, a on odwzajemniał to uczucie. Pokazała mi swój pierścionek zaręczynowy z diamentem.

- Mógł pochodzić na przykład od ostatniego faceta, którego szantażowała.

- Gdyby była szantażystką, pragnącą wymusić pieniądze od rodziny, już dawno skontaktowałyby się z Huffem, prawda? Tymczasem ani on, ani Chris nie wiedzieli nic o zaręczynach nawet za życia Danny'ego. Teraz ona tym bardziej nie chce, żeby się dowiedzieli.

- Dlaczego?

- Ponieważ natychmiast dojdą do tego samego niesłusznego wniosku, co ty. Uznają, że czegoś od nich chce.

Miał na tyle przyzwoitości, żeby zrobić przeproszającą minę.

- Powiedziała, że uczynią z ich pięknej miłości coś potwornego i wynaturzonego.

- Może właśnie z tego chciał ci się zwierzyć Danny, kiedy do ciebie zadzwonił.

- Moje sumienie z radością rzuciłoby się na to wyjaśnienie. Zresztą, może tak było. Jestem przekonana, że byli bardzo zakochani i oddani sobie duszą i ciałem. Danny zamierzał ją poślubić, planował wspólną przyszłość, dlatego z całą pewnością nie odebrał sobie życia.

- Może chciał zerwać...

- Nie. Spytałam ją o to na tyle delikatnie, na ile potrafiłam. Zaprzeczyła stanowczo. Nie było o tym mowy. Z drugiej strony powiedziała mi, że przechodził... - zawahała się przed użyciem

słowa „duchowy”, w obawie, że będzie to oczywista wskazówka, iż narzeczona jej brata należy do tej samej grupy kościelnej, co on. - Przechodził kryzys, którego natury nie chciał wyjawiać nawet jej.

- Chodzi o sumienie?

- Tak. Nazwała to konfliktem wewnętrznym, problemem emocjonalnym, który Danny musiał rozwiązać, zanim miał całkowicie poświęcić jej swój czas.

- To mogło być cokolwiek, Sayre. Dług hazardowy, zły nawyk, który zawsze trzymał w sekrecie. Ciężarna dziewczyna w innym mieście.

- Albo wiedza o czymś, co nie dawało mu żyć.

- Najwyraźniej już to sobie przemyślałaś i wiesz zapewne, co to było.

- Najpierw pomyślałam, że chodziło o nielegalne praktyki w fabryce. Teraz uważam, że Danny wiedział, co się stało z Gene'em Iversonem.

Beck podszedł powoli do stolika i postawił filiżankę obok filiżanki Sayre. Kelner ruszył w ich kierunku, ale Beck potrząsnął głową i mężczyzna zniknął w ocienionym wnętrzu. Beck zbliżył się do poręczy, oparł na niej dłonie i pochylił się do przodu, opierając ciężar ciała na ramionach. Jego koszula napięła się na plecach, podkreślając muskulaturę ciała.

- Danny stał się bardzo religijny - powiedziała Sayre - Spowiedź jest częścią obrządku kościelnego. Sądzę, że jeśli wiedział o Iversonie coś, co bardzo ciążyło mu na sumieniu, osiągnął wreszcie punkt, w którym uznał, że nie zdoła żyć normalnie, jeśli nie zrzuci tego ciężaru z serca.

- Co jest dostatecznym powodem do popełnienia samobójstwa - mruknął Beck, zwracając ku Sayre głowę.

- Nie, to doskonały powód do popełnienia morderstwa. Zwłaszcza jeśli spowiedź publiczna mogła zagrozić zabójcy

Spoglądając przed siebie, Beck przeklął w ciemność.

- W tej chwili włożyłaś w moje ręce brakujący element oskarżenia Wayne'a Scotta przeciwko Chrisowi.

- Motyw.

Spojrzał w dół, na dziedziniec i pogrążył się w milczeniu. Wreszcie odepchnął się od barierki i odwrócił.

- Powinniśmy już iść.

- Droga powrotna do Destiny jest długa.

- Właśnie zrobiła się jeszcze dłuższa.

Wszechobecny maitre d' podziękował im wylewnie, znów całując Sayre w oba policzki i niemal błagając Becka, aby wkrótce przyprowadził ją tu znowu. Zaczęli ostrożnie schodzić krętymi schodami w dół.

Już na dziedzińcu, w połowie drogi, Beck zatrzymał się nagle. Sayre odwróciła się i spojrzała na niego, zdziwiona. Nie uśmiechnął się ani nie wytłumaczył, dlaczego przystanął. Nie musiał.

Zaczął się cofać, wciągając ją w cień rzucany przez przytuloną do ściany wisterię. Pozwoliła mu na to.

Jej krew wydawała się zaprawiona słodką ociężałością, tak jak wypita przed chwilą kawa likierem pomarańczowym. Czowała się senna z zadowolenia, lecz jednocześnie pełna życia, jak nigdy przedtem. Powieki ciążyły jej, lecz koniuszki nerwów drgały z podniecenia i oczekiwania.

Beck przyciągnął ją do siebie, tak że widziała żyły na jego szyi, przebiegające tuż pod wilgotną skórą. Chciała poczuć jego puls pod wargami, lecz powstrzymała się przed przytknięciem ust do jego ciała. Wsunął dłoń w jej włosy, z tyłu, u nasady czaszki i przysunął jej twarz do swojej.

Dzieliły ich tylko centymetry. Jego oddech był miękki i ciepły, niczym poranna mgła unosząca się nad rozlewiskiem.

- Jeżeli cię dotknę, pomyślisz, że to z polecenia Huffa.



- Nic mnie to nie obchodzi. Chcę, żebyś to zrobił - wyszeptała tuż przy jego wargach, wspinając się na palce. Pocałował ją. Sięgnęła po niego całym swoim ciałem, przywierając mocno, gdy otoczył ją ramionami. Jego pocałunek był mocny i zaborczy. Oparł dłonie na jej biodrach i twardo, zachłannie przyciągnął je do swoich bioder. Pochylając głowę, powędrował ustami wzdłuż sznura odpustowych koralików aż do piersi, które pocałował przez tkaninę sukienki. Potem znowu przyciągnął Sayre do siebie i chwytając delikatnie jej głowę jedną dłonią, wtulił jej twarz w dołek u nasady szyi.

- Nie ma na tym świecie wystarczająco wielu pieniędzy, za które chciałbym się związać z kobietą, której nie pragnę. Musisz o tym wiedzieć, Sayre. Problem w tym... - przysunął się do niej prowokująco blisko. - Problem w tym, że pragnę ciebie.

Mógł ją mieć. W tej chwili chłonęła go wszystkimi zmysłami. Upijała się jego bliskością, pragnąc go z tą samą szaloną, ślepą, niemożliwą pasją, z jaką Beck chciał jej.

- Przekłęta ironia - powiedział schrypniętym głosem. - Zielone światło dane mi przez Huffa powstrzymuje mnie przed zrobieniem czegoś więcej. - Powoli zaczął odsuwać ją od siebie, aż wreszcie przestali się dotykać. - Chcę być w tobie, ale niech mnie diabli, jeśli pozwolę, byś wątpiła w moje intencje.

Głowę Huffa spowijał obłok dymu z papierosa, którego trzymał w kąciku ust. Stojąc na piersie, w szerokim rozkroku, z dłońmi na biodrach wpatrywał się z niezadowoleniem w pikietujących ludzi.

Około czterdziestu mężczyzn wyposażonych w podburzające transparenty maszerowało powoli, w milczeniu, tworząc krąg przy zjeździe z autostrady, tuż przed główną bramą wjazdową do Hoyle Enterprises.

- Jak długo już tu są?

W grupie ludzi asystujących Huffowi był Chris, kilku brygadzystów i kierowników. Wszyscy zostali wywołani z domów, niektórzy wyrwani z łóżek i postawieni w stan pogotowia w związku z najnowszymi wydarzeniami. Fredowi Decluette'owi przypadła niefortunna rola powiadomienia wszystkich, że pojawiły się pikiety, więc teraz poczuł się w obowiązku odpowiedzieć na pytanie Huffa.

- Zaczęli się zbierać około dziesiątej i rozpoczęli marsz, zanim przyszła druga zmiana.

- Sprowadź tutaj Rudego. Niech ich aresztuje za bezprawne naruszenie własności prywatnej.

- Nie może tego zrobić, Huff - odezwał się Chris. - Dopóki pozostają po tamtej stronie płotu, znajdują się na gruncie publicznym. Na nieszczęście przez tę bramę przechodzą wszyscy robotnicy meldujący się na kolejne zmiany. Nie można uniknąć tego, że ich zobaczą.

- Poza tym, uzyskali pozwolenie na przeprowadzenie pikiety - dodał George Robson. - Zabezpieczyli się ze wszystkich stron.

- Czy ktoś ma dla mnie jakieś dobre wiadomości? - warknął Huff.

- Dobrą wiadomością jest to, że ich pozwolenie jest ważne jedynie wtedy, gdy demonstracja pozostaje pokojowa - rzekł Chris. - Myślę, że musimy dopilnować, aby taką nie była.

W grupce obserwatorów rozległy się śmiechy. Huff spojrział na Freda Decluette'a.

- Twoi chłopcy są gotowi? - spytał. Fred skinął głową, lecz Huff wyczuł wahanie w jego postawie, - O co chodzi, Fred? Powiedz. Czy muszę z ciebie wyciągać każdą rzecz?

- Możemy się spotkać z oporem ze strony naszych własnych ludzi. - Fred spojrzał wkoło niepewnie. - Poszły plotki, że niektórzy robotnicy mogą się przyłączyć do pikiety.

Huff rzucił papierosa pod nogi i zmiażdżył butem.

- Zaraz się tym zajmę.

Całą grupą weszli na teren przedsiębiorstwa i pięć minut później zgromadzili się wszyscy w gabinecie Huffa, pod ścianą okien wychodzących na halę fabryczną. Wszyscy pracowali jak zwykle, ale niezbyt energicznie. Można było wyczuć wszechobecne napięcie.

- Czy głośniki są włączone? - spytał Huff. Chris przełączył kilka dźwigni na konsoli węzła radiowego.

- Teraz już tak.

Huff wziął mikrofon i dmuchnął weń, testując jego sprawność:

- Słuchajcie mnie - zaczął.

Jego głos zadudnił w hali, docierając nawet do najgłębszych zakamarków. Usłyszeli go wszyscy robotnicy. Niektórzy przerwali pracę i stali z opuszczonymi głowami. Inni spojrzeli w górę, lecz z ich twarzy ukrytych pod okularami ochronnymi trudno było cokolwiek odczytać.

- Wszyscy wiecie, co się dzieje na zewnątrz. Do tej chwili zdążyliście już zapoznać się z nazwiskiem człowieka, który przysłał tu tych pajaców, żeby uprzykrzali nam życie. Pewnie teraz pytacie siebie samych: „Kim jest Charles Nielson?”, Odpowiem wam. Nielson jest wichrzycielem, który niczego nie osiągnie w walce z Hoyle Enterprises. Ci demonstranci tracą tylko czas i robią z siebie głupców, ale to ich problem. Jeśli będziemy się trzymać razem i zignorujemy ich, w końcu się poddadzą i z powrotem schowają się w dziurę, z której wypelzli. Znamy takich, jak oni, prawda? Mieliśmy już tutaj różnych agitatorów. Pojawiają się w mieście

ni stąd, ni zowąd, pchają nos w nie swoje sprawy i próbują nas uczyć, jak prowadzić interesy. Ja osobiście, a sędzę, że mówię to w imieniu was wszystkich, nienawidzę ludzi, którzy uważają, że lepiej wiedzą, co jest dla mnie dobre, a co nie. Mówię tutaj o rządzie federalnym i o związkach zawodowych. Ci ludzie nie potrafią dojść do porozumienia nawet między sobą. Dlaczego więc mielibyśmy pozwolić im decydować, jak mamy prowadzić nasze życie tutaj, w Destiny? Otóż powiadam wam, że nie pozwolimy - przerwał na zaczerpnięcie oddechu. - To, co stało się z Billym Paulikiem, było tragiczne - ciągnął już łagodniejszym głosem. - Bez dyskusji. Człowiek ucierpiał w wypadku i przez długi czas będzie się męczył z jego następstwami. Moglibyśmy ofiarować mu wszystkie pieniądze świata, ale wciąż nie zrekompensuje mu to straty, prawda? Zrobimy dla niego i jego rodziny wszystko, co w naszej mocy, ale koniec końców przyszłość Billy'ego zależy wyłącznie od samego Billy'ego, ponieważ nikt nie potrafi cofnąć czasu i odwrócić tego, co się stało. Prawda jest taka, że wykonujemy tu niebezpieczną robotę. Wypadki się zdarzają. Ludzie zostają ranni, a nawet giną, ale chciałbym, żeby jeden z drugim biurokrata z Waszyngtonu pokazał mi, jak wytapiać metal i odlać żelazną rurę, unikając przy tym ryzyka. To niemożliwe. Poza tym mogę się założyć, że kiedy ten sam biurokrata spuszcza swoje odchody w ubikacji, jest cholernie zadowolony, że jego kibelek jest podłączony do rury i nic go nie obchodzi, że ktoś został ranny podczas jej odlewania.

Przerwał, aby sprawdzić efekt swojej przemowy. Nikt w hali się nie poruszył. Robotnicy wyglądali jak kamienne rzeźby. Huff wyobraził sobie ludzi zgromadzonych w Centrali, siedzących przy stołach, pochylonych nad kanapkami z szynką, pączkami, herbatnikami i termosami z kawą, słuchających go.

Udało mu się przyciągnąć ich uwagę. W tej chwili ważyła się nie tylko jego przyszłość, ale i wszystkich pracowników fabryki i Huff musiał im to dać wyraźnie do zrozumienia.

- Te przygłupy po drugiej stronie ogrodzenia będą was zachęcały do strajku. Ja osobiście też

chciałbym nie pracować. Wolałbym paradować sobie w kółku przed innymi przedsiębiorstwami i namawiać ludzi do przerwania roboty. Pal licha etykę zawodową i czeki, które nie zostaną wydane w dniu wypłaty. Jeśli kazałbym ciężko pracującym ludziom porzucić ich zajęcie, oczekiwałbym, że nazwą mnie cholernym idiotą. Wszyscy mamy rachunki do zapłacenia, jedzenie do kupienia, rodziny na utrzymaniu, nieprawdaż?

Kilku stojących na dole mężczyzn pokiwało niepewnie głowami. Inni rozejrzeli się nieufnie, sprawdzając, co robią ich koledzy.

- Wiem, że warunki pracy w Hoyle Enterprises są dalekie od ideału. Przez te wszystkie lata mieliśmy tu kilka niefortunnych wypadków. Razem z George'em Robsonem prowadzimy dochodzenie dotyczące ostatniego. Chcemy zrozumieć, dlaczego i jak się to stało. - Zobaczył, że George jest wyraźnie zaskoczony tym kłamstwem. Miał nadzieję, że nikt inny tego nie spostrzeżł. - Dostrzegamy potrzebę dłuższych i bardziej szczegółowych szkoleń, zanim nowi pracownicy będą mogli podjąć pracę w hali. Poza tym, przyszedł już czas na podwyżki, natomiast narzekanie napęla mnie odrazą. Pamiętam czasy, gdy ludzie daliby sobie rękę uciąć za możliwość pracy. Zanim zostałem szefem tego przedsiębiorstwa, byłem jednym z was. Nie zapominajcie, że sam pracowałem i pociłem się tam, gdzie teraz stoicie, i wiem wszystko o upale, pyłe i niebezpieczeństwach. - Huff podwinął rękawy i wyciągnął nagie ramiona, pokazując je zgromadzonym. - Te blizny przypominają mi co dzień, jak niebezpieczna jest praca w odlewni. - Poprawił koszulę i zmienił nieco ton. - Jestem również rozsądny i gotów was wysłuchać. Przygotujecie listę rzeczy, które chcielibyście zobaczyć w fabryce, a my przyjrzymy się im tutaj z kierownictwem. Ale - przerwał, żeby podkreślić znaczenie następnych słów - jeśli którykolwiek z was zgadza się z tą bandą awanturników na zewnątrz, proszę bardzo, dołączcie się do nich. Słyszycie mnie? Idźcie! Szybko! Jeśli ta robota wam nie odpowiada, wiecie, gdzie są drzwi. Pamiętajcie jednak, że jeśli dołączycie do ich grupy, nigdy już nie zatrudnię ani was, ani

członków waszej rodziny i będziecie mieli we mnie wroga na całe życie - przerwał, pozwalając tym słowom zapaść w ich umysłach. - Pomyślcie o tym. No dobrze, zmarnowaliśmy już wystarczająco dużo czasu produkcyjnego, Wracajcie do pracy.

Wyłączył mikrofon i odwrócił się w stronę swoich towarzyszy.

- To powinno rozwiązać sprawę bojkotu - powiedział Chris. - Nie zdziwię się, jeśli na tym zakończy się u nas sprawa związków zawodowych. Nie będą mieli teraz wystarczająco dużo odwagi, żeby namawiać ludzi do założenia jednego z nich w fabryce.

Huff nie podzielał optymizmu Chrisa.

- Co o tym sądzisz, Fred? - spytał.

Widać było, że brygadzysta poczuł się niepewnie, znalazłszy się w centrum uwagi. Przesząpił z nogi na nogę.

- Em... jestem pewien, że twoja przemowa wywarła wrażenie, Huff, ale to jest zmiana Billy'ego.

Ci ludzie widzieli, jak się wykrwawiał, i słyszeli jego wrzaski. Wypadek wciąż jest dość świeżym wspomnieniem. Wiem, że robisz bardzo dużo dla rodziny Paulika. Chociażby dzisiaj słyshałem o wizycie Becka w szpitalu. Alicia powiedziała...

- Beck pojechał go odwiedzić? - spytał Chris.

- Tak zrozumiałem z tego, co mówiła Alicia - odparł Fred, rzucając mu niepewne spojrzenie. -

Zadzwoniła kilka godzin temu, powiedziała, że Beck przyszedł do szpitala i wręczył im czek na sporą sumkę.

Huff spojrział na Chrisa, który wzruszeniem ramion dał do zrozumienia, że nic o tym nie wiedział.

- Co chciałeś powiedzieć, zanim Chris ci przerwał? - spytał Huff.

- Chodziło o to, że robotnicy ze zmiany Billy'ego nie zapomną tak szybko, co mu się przytrafiło.

Ich wspomnienia wprawdzie nieco zbladły, ale dziś na dole znalazły się rzeczy przypominające o

wypadku.

- Jak na przykład?

- Jak żółta wstążka przywiązana do szafki Billy'ego, jego imię namalowane na podajniku. Ktoś próbuje przypominać ludziom o wypadku, wywołując gniew i niezadowolenie.

- Kto?

- Jeszcze nie wiem. Gdy tylko podchodzę do grupy robotników, rozmowy zazwyczaj się urywają.

- Znajdź mi natychmiast człowieka, który jest za to odpowiedzialny.

- Staram się.

Huff wycelował w niego palcem.

- Nie chcę, żebyś się starał, tylko żebyś to zrobił. Bądź czujny. Miej oczy i uszy otwarte albo znajdę kogoś innego, kto poda mi nazwiska, których potrzebuję.

Fred głośno przełknął ślinę.

- Tak, proszę pana. Co mam zrobić z pikietą?

Huff zapalił kolejnego papierosa. Zanim odpowiedział, zaciągnął się kilka razy.

- Najlepiej, żebyś poszedł na dół ze strzelbą. To szybko załatwiłoby sprawę.

- Pójdę ją załadować - wtrącił Chris lakonicznie. Huff roześmiał się i potrząsnął głową.

- Nie. Nie będziemy dzisiaj robić nic. Może sami się rozejdą. Zmęczą się, zgłodnieją, pogryzą ich komary, a plecy rozbolą od noszenia transparentów. Może nie będziemy musieli ruszyć palcem, żeby się stąd wynieśli, Dajmy im dzień czy dwa i zobaczymy, jak się wszystko ułoży, jak zareagują nasi pracownicy. Niemniej, Fred, miej swoich ludzi na podorędziu, gotowych do skopania paru tyłków.

- Wystarczy jedno słowo, panie Hoyle. Są chętni i gotowi.

- Dobrze. Ale pamiętaj, że jeśli dojdzie do rozróby, ma to wyglądać tak, jakby oni zaczęli.

Rozlali pierwszą krew, a nasi się tylko bronili. Taka będzie nasza wersja.

- Zrozumiałem.

Fred wyszedł.

- Nie spodziewam się dzisiaj niczego niezwykłego - powiedział Huff do reszty zgromadzonych. - Jutro będziemy pracować jakby nigdy nic. Nie dajcie się sprowokować niczym, co ci podżegacze będą wykrzykiwać w waszym kierunku lub co wypiszą na transparentach. Niezależnie od tego, jak bardzo was to ubodzie, zignorujcie skurwysynów, Tymczasem może Beckowi uda się dokonać jakiegoś postępu w sprawie Nielsona i ten odwoła swoje hieny, zanim stanie się coś naprawdę złego. W porządku? - Wszyscy potaknęli - A teraz wracajcie do domu.

- Huff? - George zamarudził w biurze Huffa.

- O co chodzi, George?

- To, co powiedziałeś o dochodzeniu w sprawie wypadku Paulika...

- Powiedziałem tylko to, co chcieli usłyszeć, George. Nie martw się o to.

- Tak sobie myślałem - zaproponował Robson, patrząc niepewnie to na Chrisa, to na Huffa - że może powinniśmy wyłączyć ten podajnik, dopóki nie przejdzie remontu kapitalnego. Wtedy nikt nie będzie mógł wytykać nam zaniedbania.

- Myślałem, że już to ustaliliśmy? - rzekł Huff, zwracając się do Chrisa.

- Owszem.

- To prawda - przytaknął George - ale z drugiej strony...

- Przestań się tyle nad tym zastanawiać - uciął Huff. - Chris jest kierownikiem działu eksploatacji i on podjął decyzję co do tego podajnika.

- Na podstawie twojej rekomendacji, George, pamiętasz?

George pokiwał głową, wyraźnie niezadowolony.

- Tak. W porządku.

- Idź do domu i spróbuj ocalić resztę nocy - powiedział Huff.



- Tak jest. Do zobaczenia jutro. - George zwrócił się w kierunku wyjścia.

- Przekaż nasze pozdrowienia swojej ślicznej żonie.

George zatrzymał się w połowie drogi, spojrzał uważnie na Chrisa, po czym wypadł z biura. Huff spojrzał z ukosa na Chrisa.

- Igrasz z ogniem, mówiąc takie rzeczy.

- Wątpię, by George wyzwał mnie kiedyś na pojedynek - zaśmiał się Chris. - Jeżeli martwi go zdrada małżeńska, nie powinien żenić się z dziwką.

Do pokoju wszedł Beck.

- Spotkałem na korytarzu George'a. Powiedział, że ominęła mnie wielka przemowa.

Gdy tylko dowiedzieli się o pikiecie przed fabryką, Chris zadzwonił do Becka. Złapał go w połowie drogi powrotnej z Nowego Orleanu do Destiny. Beck powiedział, że przyjedzie, jak najszybciej będzie mógł. Huff spojrzał na zegarek, Beck pojawił się w fabryce w rekordowym czasie. Postawił teraz swoją teczkę na podłodze i bez tchu opadł na sofę.

- Wyjeżdżam z miasta na kilka godzin i od razu rozpętuje się piekło.

Huff gestem nakazał Chrisowi podejść do barku, gdzie trzymał alkohole.

- Nalej nam whisky, synu.

- Musiałem przejechać przez środek tłumu naszych gości - rzekł Beck.

- Właśnie o to im chodzi, jak sądzę - odezwał się Huff zza biurka, rozpierając się w skórzanym fotelu z wysokim oparciem. - Wybrali to miejsce specjalnie.

- Wiemy na pewno, że zostali wysłani przez Nielsona?

- Wcale tego nie ukrywają - powiedział Chris, podając Beckowi jedną z trzech wysokich szklanek z alkoholem. - Wyszedłem na zewnątrz, porozmawiać z facetem, który najwyraźniej jest przywódcą. To mięśniak, pewnie na sterydach, ale wystarczająco mądry, żeby nie powiedzieć nic poza tym, że mają pozwolenie, które zresztą mi pokazał i że wszelkie pytania powinienem

kierować do pana Nielsona.

- Tymczasem pan Nielson gdzieś się ulotnił. - Beck opowiedział im o swojej bezproduktywnej wizycie. - Jego biuro nie wygląda zbyt imponująco. Skromnie wyposażone, tylko jedna sekretarka, bardzo uprzejma i pomocna. Wyglądała na kogoś, kto upiecze ci szarlotkę lub przyszyje oderwany guzik, jeżeli tylko ją poprosisz. Nie była jednak naiwniaczką ani też kopalnią informacji. Niezbyt chętnie rozmawiała ze mną na temat mojego spotkania z jej szefem twarzą w twarz. Dobrze ją wyszkolił.

Huff parsknął śmiechem.

- Ten tchórz wiedział, że przyjedziesz, więc się schował. Może pojechał do Cincinnati, a może przyczał się w barze po drugiej stronie ulicy, czekając, aż sobie pójdziesz.

- Mało prawdopodobne. Dzwoniłem do jego hotelu kilka razy. Na początku powiedziano mi, że jeszcze się nie pojawił, potem się okazało, że prosił, by nie przełączano do niego żadnych rozmów. Tak czy owak, czuję, że ktoś tu próbuje mnie robić w balona.

- Nie chciał się z tobą spotkać tego samego dnia, którego wynajęci przez niego demonstranci pojawili się przed naszą fabryką - powiedział Chris.

- Pewnie masz rację - odparł Beck. - Jest jeszcze coś. Nawet nie doszedłem do najlepszej części opowiadania. Zgadnijcie, kogo spotkałem w biurze Nielsona, ubraną wystrzałowio i, pomimo wysokich obcasów, gotową do skopania tyłka wszystkim wrogom, poczynając ode mnie?

- Chyba żartujesz - krzyknął Chris. - Sayre?

- Strzał w dziesiątkę.

- Co ona tam robiła? - spytał Huff.

- To samo co ja. Chciała się zobaczyć z Nielsonem. Oczywiście w zupełnie innej sprawie.

Przysłała tam, aby zaoferować współpracę i pomoc.

- W jakim sensie konkretnie? - spytał Chris.

- Nie doszliśmy do omawiania takich szczegółów.

- Pojechała z tobą do Billy'ego Paulika?

Zaskoczony Beck spojrział najpierw na Huffa, a potem znowu na Chrisa.

- Skąd o tym wiesz?

- Alicia Paulik dzwoniła do Freda Decluette'a.

- Ja osobiście nie zamierzałem się z nim spotkać, Sayre natomiast tak - odparł. - Pojechałem tam i użyłem pocztówki listów od kolegów Billy'ego jako mojej karty wstępu. Pomyślałem, że dostarczenie ich osobiście pomoże nam zarobić kilka punktów u pani Paulik. Poza tym, chciałem się przekonać, co zamierza Sayre.

- I? - spytał Huff.

- Moim zdaniem nic wielkiego. Z tego, co widziałem, miała to być zwyczajna wizyta grzecznościowa.

- W rozmowie z Fredem pani Paulik wspomniała coś o „czeku na sporą sumkę”. Ile mnie to kosztowało?

- Nic, Huff. Wypisałem czek bez uprzedniej konsultacji z tobą. Nie musisz mi zwracać ani grosza, jeżeli nie chcesz.

- Do diabła, przecież ja sam zasugerowałem, żeby osłodzić im nieco żywot i proszę, tak jak przypuszczałem, ta baba już się łamie. Zatrzymała czek, prawda?

- Tak sądzę,

- Proszę bardzo - podsumował Huff, wznosząc szklanekę w toaście.

- Zanim wypijesz za sukces, powinieneś wiedzieć, że kazałem psychiatrze kontynuować spotkania z Billym tak długo, jak będzie to konieczne - powiedział Beck.

- Zamierzasz nas puścić z torbami? - jęknął Chris.

- Przyznaję, że była to śmiała decyzja, podyktowana potrzebą chwili. Nie miałem czasu na

konsultację z żadnym z was. Myślę jednak, że zarobiłem dzięki temu kolejne punkty u pani Paulik.

Huff puścił do niego oko.

- Nie byłbyś dla mnie wart ani grosza, gdybyś nie mógł podejmować części decyzji samodzielnie.

Ufam twoim opiniom, inaczej nie pracowałbyś dla mnie w ogóle.

- Tak, ale w ten sposób wyrzucamy tylko pieniądze - skrzywił się Chris. - Co z tego, że dopilnujemy, żeby Billy Paulik poczuł się jak najlepiej może. Co my będziemy z tego mieli?

- Nie sądzę, żeby Beck kierował się w tym przypadku ewentualnym przyszłym zyskiem wynikającym z produktywności Billy'ego.

- To prawda, Huff. Uznałem to za gest dobrej woli, dzięki któremu może unikniemy kosztującego miliony procesu. Cokolwiek, co może się do tego przyczynić, jest dobrą inwestycją.

- Zgadzam się. - Huff wychylił jednym łykiem swojego drinka, rozkoszując się pieczeniem, jakie wywołał burbon w gardle i falą gorąca, rozlewającą się po żołądku. - W jakim nastroju była Sayre, gdy się rozstawaliście?

Beck wzruszył ramionami, ale Huff zauważył, że nie jest w połowie tak obojętny, jak chciałby być.

- Zjedliśmy razem obiad, kupiłem jej świecidełka, wypiliśmy razem szampana.

- I jak poszło? - Huff klasnął dłońmi z zadowoleniem. Beck uniósł brew w grymasie niezadowolenia.

- Poszłoby znacznie lepiej, gdyby Chris nie poinformował jej uprzednio o twoich planach matrymonialnych wobec jej i mnie.

- Powiedziałaś jej o tym? - spytał Huff Chrisa. - A co to za różnica?

- Naprawdę musisz pytać?

- Sayre mogła napić się szampana na koszt Becka, ale nie wylądował przez to w jej łóżku,

prawda? Co więcej, nie zaprosi go tam, dopóki Beck będzie dla nas pracował.

- Skąd wiesz, może była szansa, a teraz... cholera. Znasz swoją siostrę. Teraz się zaprze.

- Wzbraniałaby się przed tym tak czy owak, Huff - wtrącił Beck. - Jest zbyt inteligentna i nieustępliwa, by dało się ją przejednać jedną butelką szampana. Niemniej, miałem nadzieję, że wino i dobry obiad w ekskluzywnej francuskiej restauracji rozwiążą jej nieco język.

- Na jaki temat?

- Nielsona. Nie podoba mi się pomysł współpracy ich obojga. Nielson na pewno wykorzysta fakt, że ma sprzymierzeńca w jednym z Hoyle'ów. Użyje tego choćby jako przynęty dla prasy. -

Otoczył palcami niewidzialny nagłówek. - „Córka Huffa Hoyle'a przechodzi na stronę opozycji. Kompletna historia wraz ze zdjęciami na stronie trzeciej”.

Huff beknął. Smak podeszłej z żołądka whisky nie był miły.

- Rozumiem, o co ci chodzi.

- Poza tym - ciągnął Beck niechętnie - Sayre uznała, że McGraw będzie pętlą na waszą szyję, tymczasem okazało się, że to przetarty sznurek. Niestety, nie zachwiało to jej przekonaniem.

Uważa, że Chris zabił Gene'a Iversona i wykręcił się od wyroku za morderstwo, przekupując ławę przysięgłych. Postawiła sobie za cel dopilnować, by sprawiedliwości stało się zadość. Mimo

potknięcia z McGrawem, nie zamierza sobie odpuścić. - Spojrzał po kolei na Chrisa i na Huffa. -

Nie byłem wtedy waszym prawnikiem, Huff, ale teraz jestem. Nie chciałbym zostać zaskoczony informacją, którą może odkryć Sayre. Czy jest coś, o czym powinienem wiedzieć, jeśli chodzi o sprawę Iversona?

Huff wiedział, jak utrzymać pokerową twarz. Praktykował to, od kiedy skończył osiem lat.

Spojrzał Beckowi prosto w oczy i powiedział:

- Gdyby prokurator mógł wnieść ugruntowane oskarżenie przeciwko Chrisowi, już dawno mielibyśmy kolejny proces. Sayre nie odkryje niczego nowego.

- Czy Rudy miał dla was jakieś nowiny, podczas mojej nieobecności?
- Nie, poza tym, że Klaps Watkins jest wciąż na wolności - odparł Chris. - Jak do tej pory nie ma po nim śladu.
- Sprawdzili już miejsca, w których przebywał?
- Z nakazami. W jednej z ostatnich kryjówek odkryli domową fabrykę narkotyków. Aresztowali zamieszkującą tam parę, ale oboje twierdzą, że nie mają pojęcia o miejscu pobytu Klapsa, od kiedy wykopali go z domu. Rudy powiedział, że rozebrali miejsce na części, ale nie znaleźli niczego, co należało do Watkinsa.
- Chcę wierzyć, że nie będą go długo szukali - rzekł Beck, - A kiedy już go zapakują do ciupy, mam nadzieję, że przyzna się do zabicia Danny'ego, bo wszystko, co teraz się tu dzieje - powiedział, kiwając głową w kierunku hali fabrycznej - będzie obserwowane przez lupę. Zwłaszcza przez OSHA.
- Skurwiele - mruknął Huff, zapalając nowego papierosa.
- Mieliśmy kilka argumentów przetargowych w rozgrywce z nimi, ale straciliśmy je po wypadku Billy'ego - powiedział Beck.
- Nie moglibyśmy pokrzyżować im planów? - spytał Chris.
- Liczyłem na to. Kilka razy próbowałem skontaktować się z regionalnym reprezentantem. Nie odpowiada na moje telefony, co prowadzi według mnie do wniosku, iż planuje niespodziewaną inspekcję.
- Myślałem, że opłaciliśmy kogoś z ich biura, żeby uprzedzał nas o niezapowiedzianych wizytach.
- Wczoraj dowiedziałem się, że ta osoba jest na urlopie macierzyńskim.
- Po prostu świetnie! - skomentował Chris.
- To rzeczywiście nie najlepszy moment dla nas - ciągnął Beck. - Musimy teraz odmalować przed

wszystkimi kryształowy wizerunek naszego przedsiębiorstwa. Nie możemy im dać do ręki więcej pocisków grubego kalibru, niż już to zrobił wypadek Paulika. Mogą zamknąć fabrykę do czasu przeprowadzenia drobiazgowej inspekcji i nie omieszkają tego zrobić.

Chris odetchnął głęboko.

- I z tym optymistycznym akcentem, pozwolicie, że pójde się upić.

- Chris...

- Żartuję - powiedział. - Chryste, ucieszę się, jeśli jeszcze ktoś poza mną zacznie się wreszcie uśmiechać. Nie możemy chociaż raz spojrzeć na jaśniejszą stronę życia? Żona Paulika wycofuje się z pierwotnych postanowień. Pikiety? Jutro po wschodzie słońca, kiedy zrobi się tu goręcej niż w piekle, złamię szranki i uciekną, gdzie pieprz rośnie. OSHA? Padniemy na kolana, prosząc o wybaczenie, obiecamy poprawę, zapłacimy wszystkie ich cholerne grzywny i wrócimy do normalnego trybu pracy. Co do Mary Beth, przy odrobinie szczęścia, wkrótce wkurzy swojego kochanka, który utopi ją po płytkiej stronie basenu. Znalezienie żony numer dwa nie powinno przysporzyć mi kłopotu. Wyprodukuję wystarczająco dużo nasienia, żeby zasiedlić potomkami Chiny, a uwierz mi, mam się czym pochwalić. W niedługim czasie dziadek Huff doczeka się upragnionego wnuka. I wreszcie ostatnia, choć równie istotna rzecz. Nie zabiłem swojego brata. Widzicie? Czym tu się martwić?

- W porządku - zaśmiał się Huff. - Powiedziałeś swoje. Dalej, jazda stąd. Ja idę za tobą - uśmiechając się, obserwował wyjście Chrisa. Kiedy jednak spojrzął na Becka, jego dobre samopoczucie nagle się ulotniło.

Beck wpatrywał się w otwarte drzwi, przez które przed chwilą wyszedł Chris. Wyglądał na zaniepokojonego, co bardzo, ale to bardzo zmartwiło Huffa.

Sayre nie mogła zasnąć.

Po pełnej przygod wycieczce do Nowego Orleanu i długim powrocie do domu myślała, że

zapadnie w sen zaraz po przyłożeniu głowy do poduszki. Tymczasem, ku swemu zdenerwowaniu, kręciła się w łóżku już od kilku godzin.

Klimatyzacja pracowała zbyt głośno i zmieniała pokój w istną lodówkę. Po jej wyłączeniu w pokoju robiło się duszno i zapachy poprzednich mieszkańców pokoju, którymi przesiąknięte były dywany, zasłony i narzuty na łóżko stawały się wszechobecne. Dyskomfort był jednak tylko częściowo odpowiedzialny za jej bezsenność. Nieustannie odgrywała w głowie rozmowę z Beckiem. Czy popełniła błąd, powierzając mu tajemnicę zaręczyn Danny'ego? Dlaczego pozwoliła mu zbliżyć się do siebie tak bardzo, wiedząc o egoistycznych planach matrymonialnych ojca wobec niej i Becka? Dlaczego pragnęła jego bliskości?

Zapadła w drzemkę dobrze po północy. Dlatego właśnie jęknęła z niechęcią, gdy obudziła się tuż przed świtaniem. Leżała na brzuchu, z twarzą na wpół zanurzoną w nierównej poduszce.

Otworzyła jedno oko, leżąc nieruchomo i modląc się o powtórne nadejście snu, zanim zupełnie się obudzi.

Klimatyzacja była wyłączona i w pokoju zrobiło się gorąco. Zrzuciła więc prześcieradła z nóg, myśląc, że obudziła ją duchota i jeśli ochłodzi się nieco, znów zapadnie w sen. Ściągnięcie przykrycia nie pomogło.

Może to początek migreny po szampanie? Była odwodniona po alkoholu, który wypiała do obiadu. Potrzeba jej dużej szklanki wody. A skoro już o wodzie mowa, poczuła, że ciśnie jej nieco na pęcherz.

Przeklinając pod nosem, przekręciła się na wznak i usiadła na brzegu łóżka. Automatycznie sięgnęła w kierunku lampki nocnej stojącej przy łóżku, potem jednak zdecydowała się nie zapalać światła. Jeśli załatwi swoje potrzeby w ciemności, szybciej będzie mogła zapaść ponownie w sen.

Skulona, zsunęła się z łóżka i po omacku obeszła je, kierując się w stronę łazienki. Znała już na



pamięć rozkład mebli w pokoju, mogła więc bez problemu dotrzeć do toalety... a raczej mogłaby, gdyby nie potknęła się o parę ciężkich buciorów zagrażających jej drogę.

Oprzytomniała natychmiast.

Buty znajdowały się na czyichś nogach.

Jej okrzyk stłumiła brudna dłoń przytknięta do twarzy. Druga ręka chwyciła ją za włosy i pchnęła twarzą w dół na łóżko. Intruz rzucił się na nią, przyduszając do pościeli, ale Sayre nie przestała walczyć.

- Jeśli będziesz dalej się tak szamotać, wyrwę ci włosy, przysięgam na Boga! Może i są śliczniutkie, ale oskalpuję cię i zachowam je sobie na pamiątkę. - Napastnik szarpnął ją za włosy tak mocno, że poczuła, jak do oczu napływają jej łzy.

Przestała się wrywać i zastygła nieruchomo.

- Tak lepiej. - Intruz otarł się o jej pośladki. - No i proszę. Czy nie jest wygodniej? Może chciałabyś wypróbować ze mną kilku sztuczek, których nauczyłem się w więzieniu?

Wydała z siebie okrzyk strachu i wściekłości, zduszony jego dłonią. Roześmiał się, słysząc te stłumione dźwięki.

- Wyluzuj się, Ruda. Twój tyłeczek jest niesłychanie kuszący, ale nie mam czasu na miłosne igraszki. Przyszedłem porozmawiać, ale przysięgam, że jeśli będę musiał, zrobię ci krzywdę. Rozumiemy się?

Wduszona w pościel, z dłonią na twarzy, Sayre nie mogła oddychać. Nie wierzyła, że wkradł się do jej pokoju wyłącznie w celach konwersacji, lecz mimo to kiwnęła głową na zgodę, aby uniknąć uduszenia.

- W porządku. Zabiorę rękę z twoich ust. Jeśli krzykniesz, będzie to ostatni dźwięk, jaki z siebie wydasz.

Powoli cofnął dłoń. Sayre powstrzymała odruch oblizania warg, bo już sama myśl o brudnym łąpsku na swoich ustach napełniała ją odrazą. Napastnik zsunął się z niej, ściskając przy tym mocno jej pośladki. Uwolniona, odwróciła się na plecy i usiadła, ocierając usta wierzchem dłoni. Nagle w pokoju zapłonęło światło. Sayre zamruwała od nagłej jasności. Chwilę potem zobaczyła

Klaska Watkinsa, z ręką wciąż na wyłączniku lampy nocnej, która świeciła jasno przez otwór na szczycie klosza prosto na jego twarz, nadając jej upiorny wygląd. Cień jego głowy na ścianie wyglądał jak potwór z dziecięcych koszmarów.

Prezencja Watkinsa nie poprawiła się od czasu, gdy zaczął ukrywać się przed policją. Jeśli już, to wyglądał jeszcze gorzej niż zazwyczaj. Zęby wydawały się dłuższe i bardziej pożółkłe, a kozia bródka bardziej wyleniała. Twarz wychudła do tego stopnia, że widać było na niej wszystkie kości, groteskowo wyraźnie. Cienka szyja wyglądała jak u sępa, a ogromne uszy jak dwa przydatki doczepione do jego głowy dla uzyskania komicznego efektu.

- Cześć, Ruda.

Sayre czuła, jak serce łomocze jej w piersi, w ustach miała ogromną suchość, starała się jednak nie okazywać strachu. Spojrzała na drzwi.

- Nawet o tym nie myśl - rzucił, roześmiewszy się paskudnie. - Na pewno bym cię dorwał, zanim dobiegłabyś do drzwi, a wtedy musiałbym złamać moją obietnicę, że nic ci nie zrobię. -

Szczerząc zęby w uśmiechu, wyciągnął nóż z cholewy buta i postukał tępą stroną ostrza o wnętrze swojej dłoni.

- Jak się tutaj dostałeś?

- Jestem przestępcą, pamiętasz? Włamałem się w ciągu sekundy, bezszelestnie. Głupio z twojej strony, że nie używasz łańcucha na drzwiach. Samotna kobieta... powinnaś wiedzieć najlepiej.

Sayre nie chciała myśleć o tym, jak długo Watkins był w pokoju, zanim się obudziła. Poczowała dreszcz obrzydzenia na myśl, że siedział w fotelu przy jej łóżku, obserwując, jak śpi, wsłuchując się w jej oddech. Może to jego zapach ją obudził? Nie mył się przynajmniej od kilku dni i jego smród przyprawiał Sayre o mdłości.

- Prawdziwe? - Podniósł do światła diamentowe kolczyki, które odłożyła przed snem na szafkę nocną. Zaczął się przyglądać, obracając je, oceniając ich wartość.

- Tak. Weź sobie, jeśli chcesz,
- Dzięki. Chyba tak zrobię. - Włożył biżuterię do kieszeni w brudnych dzinsach. - Nie mogę jednak wyjść, dopóki sobie trochę nie pogawędzimy.
- O czym chcesz ze mną rozmawiać?
- Wiesz, że jestem poszukiwany przez policję?
- Zaatakowałeś mojego brata nożem.
- Gówno prawda. Chciałem go tylko nastraszyć. To on sprawił, że go zraniłem. Zrobił to naumyślnie.

Chociaż sama przedstawiła podobną teorię Beckowi, spytała teraz:

- Po co Chris miałby to robić?
- Ponieważ chciał, żebym wyszedł na zabójcę.
- Chris uważa, że zamordowałeś naszego brata. Czy to prawda?

Zamiast odpowiedzieć, Watkins otworzył szufladę w szafce nocnej, wyciągnął stamtąd Biblię i rzucił na łóżko, tuż obok Sayre.

- Księga Rodzaju, rozdział czwarty - powiedział.
- A więc znasz Biblię? - odparła chłodno, nie wykonując najmniejszego ruchu.
- W Angoli co tydzień brałem udział w nabożeństwach. Pomagałem rozdawać śpiewniki i w ogóle. Dobrze to wyglądało w moich papierach.
- Zapewne doskonale równoważyło sodomie.
- Nazywasz mnie pedałem? - Jego oczy zalśniły złowrogo. - Już ja cię nauczę, że się mylisz.

Sarkazm Sayre okazał się fatalną pomyłką. Dała mu powód do udowodnienia jej czegoś. Kiedy rzucił się na nią, próbowała się skulić w najdalszym kącie łóżka, ale znów chwycił ją za włosy i przyciągnął do siebie. Przyłożył czubek noża do jej policzka i zaśmiał się, gdy znieruchomiała.

- Tak myślałem, że to przyciągnie twoją uwagę. Nie chcesz, żebym pokancerował tę śliczną

buźkę, prawda? - Brutalnie rozłożył jej nogi i stanął między udami, wypychając biodra w kierunku jej twarzy. - Wyszczekana jesteś, nie powiem, ale znam doskonały sposób, żeby zamknąć ci usta.

- Musiałbyś mnie zabić

- To też może być zabawne.

W tym momencie szczęknęła włączająca się klimatyzacja. Klaps zareagował na hałas, gwałtownie odwracając głowę w kierunku, skąd dochodził. Poczul wyraźną ulgę, gdy zrozumiał, co to było, niemniej stracił czupurność. Puścił włosy Sayre i nerwowo odsunął się od niej.

- Bardzo bym chciał w pełni wykorzystać sytuację, ale i tak już spędziłem tu za dużo czasu - powiedział. Podniósł Biblię i potrząsnął nią w kierunku Sayre. - Powiedz szeryfowi Harperowi, żeby przeczytał opowieść o Kainie i Ablu. I radzę ci dobrze, żebyś była bardzo przekonująca, bo jeśli szukają mnie za zabójstwo Hoyle'a, to wkrótce dostarczę im rzeczywistego powodu - przeciągnął ostrze po jej sutku. - A zawsze miałem pociąg do rudzielców.

Sayre siedziała w biurze szeryfa, razem z Rudym i detektywem Scottem, gdy do środka wszedł Beck. Wyglądał fatalnie, podobnie jak ona.

Przejeżdżając obok fabryki, Sayre zauważyła demonstrację. Nie było to dla niej zaskoczeniem, ponieważ dzień wcześniej rozmawiała z Clarkiem Dalym. Zadzwonił do niej wkrótce po jej powrocie z Nowego Orleanu. Powiedział, że jest w Centrali, ma przerwę na kawę. Korzystał z komórki kolegi. W jego głosie dało się słyszeć podekscytowanie postępami, jakie zdołał poczynić.

- Zidentyfikowałem kilku kapusiów Huffa i ostrzegłem ludzi, żeby uważali, co przy nich mówią, ponieważ o wszystkim usłyszy Huff. - Clark i kilku zaufanych kolegów robili również wszystko, co w ich mocy, aby reszta załogi nie zapomniała o Billym Pauliku. - Nielson uruchomił sprawę z demonstracją. Huff wygłosił wielką przemowę, ale nie udało mu się nas zastraszyć. Wszystko

wygląda coraz lepiej, Sayre. Poinformuję cię o postępach, jak tylko będę mógł.

Głos Clarka był przesycony optymizmem i pewnością siebie. Sayre pomyślała, że dokonała dobrego wyboru, prosząc go o zaangażowanie się w coś ważnego. Nie odezwał się do niej od tamtej chwili, ale najwyraźniej niezadowolenie wśród załogi wzrosło w ciągu tej nocy, pomimo wysiłków Huffa. Dziś rano do pikiety dołączyli niektórzy z robotników.

Wyjaśniało to mizerny wygląd Becka. Wszedł do biura szeryfa Harpera i rzucił ponuro:

- Dzień dobry.

Odpowiedzieli mu chórem, chociaż bez specjalnego przekonania. Beck zajął wolne miejsce obok Sayre, naprzeciwko biurka Rudego. Wayne Scott pozostał nadal stał.

- Jak się mają sprawy w fabryce? - spytał szeryf.

- Jest gorąco.

- Dzisiaj podobno ma dojść do trzydziestu ośmiu stopni Celsjusza - zauważył Scott.

Sayre pomyślała, że Beck miał na myśli raczej coś innego niż temperatura powietrza.

- Dziś rano pojawili się kolejni demonstranci. - Beck zignorował Scotta i zwrócił się do Rudego.

- W sam czas, żeby przywitać poranną zmianę, która pojawiła się w pracy o siódmej. Niektórzy robotnicy wzięli ulotki, inni nawet dołączyli do pikiety, co naprawdę rozgniewało ludzi lojalnych wobec Hoyle'ów. Atmosfera jest gorąca i nie wiem, jak długo uda się nam utrzymać ich w ryzach. Cały czas próbuję skontaktować się z Nielsonem, porozmawiać, rozwiązać tę rzecz pokojowo, ale nie odpowiada na moje telefony. Odzywał się do ciebie? - zwrócił się nagle do Sayre.

Pierwszy raz od powrotu z Nowego Orleanu spojrzeli sobie w oczy. Sayre odczuła to niemal jak fizyczny wstrząs.

- Nie - odparła. Spoglądał jej w oczy, jakby szukając potwierdzenia, że kłamie, potem zwrócił się do Rudego:

- Nie mogę tu długo siedzieć. Dlaczego chciałeś mnie widzieć?

Rudy wskazał na Sayre.

- Sayre miała dziś w nocy gościa i pomyślała, że powinieneś usłyszeć, co miał jej do powiedzenia.

- Gościa?

- Dziś rano do mojego pokoju hotelowego włamał się Klaps Watkins.

Beck wpatrywał się w Sayre z zaskoczeniem, a potem spojrzał na Rudego, jak gdyby szukając potwierdzenia jej słów.

- Dyżurny odebrał telefon około piątej nad ranem. Od razu wysłaliśmy człowieka, ale zanim dotarł do hotelu, Watkins zdążył się zmyć.

Beck spojrzał na Sayre, zlustrował ją od stóp do głów, a potem spojrzał jej w oczy.

- Nic ci się nie stało? Czy on...

Sayre spuściła głowę, trzęsąc się, gdy odpowiadała na niedopowiedziane pytanie Becka:

- Groził, że mnie skrzywdzi, ale tego nie zrobił, poza tym - dotknęła policzka w miejscu, gdzie skaleczył ją nóż Klapsa, gdy przestraszył się klimatyzacji. - Podskoczył na niespodziewany dźwięk. Nie sądzę, że chciał mnie zranić.

- Wraz z Wayne'em zapoznaliśmy się z oświadczeniem Sayre, które złożyła oddelegowanemu na miejsce funkcjonariuszowi. Nie słyszeliśmy jednak całej opowieści. Sayre uznała, że powinieneś przy tym być.

Beck skinął głową, zatopiony w myślach.

- Co zrobił Watkins? Włamał się do pokoju? Sforsował drzwi?

- Otworzył zamek wytrychem. Nie założyłam łańcucha na drzwi, co było głupie. Obudziłam się i zobaczyłam go.

- Jezu.

- Nie spodziewam się, że zdradził pani miejsce swojej kryjówki - wtrącił Scott.

- Nie. Bynajmniej.

- Czy zauważyła pani, w którą stronę odjechał po wyjściu z motelu?

- Nie, ale musiał się oddalić pieszo. Nie słyszałam warkotu motocykla.

- Skąd wiedział, gdzie się pani zatrzymała?

- Zapewne nie było trudno mnie zlokalizować. W mieście są dwa hotele. Drogą eliminacji.

Zauważyła, że bezsensowne pytania Scotta zaczynają irytować Becka.

- Może odpuścisz sobie te głupie pytania i pozwolisz Sayre opowiedzieć, co się wydarzyło - rzucił.

- Doskonały pomysł - poparł go Rudy, zanim detektyw miał szansę odpowiedzieć na upokarzającą uwagę Becka, - Sayre, zacznij od początku. Nie będziemy ci przerywać. Czego chciał od ciebie Klaps?

- Chciał, żebym przekazała ci wiadomość. - Pomięła seksualne wycieczki słowne Watkinsa, jako niemające żadnego znaczenia dla informacji, którą Klaps przeznaczył dla uszu szeryfa.

Zgodnie z obietnicą Rudego, nikt jej nie przerywał. - To wszystko. Niemal słowo w słowo.

Po krótkim milczeniu Scott zapytał:

- Czy próbowała pani ucieczki?

- Bałam się, że jeśli spróbuję ruszyć w stronę drzwi, wbije mi nóż w plecy. Jest chudy, ale przegrałabym z nim każdą szarpaninę.

- Nie krzyczała pani?

- Na początku nie mogłam, ponieważ trzymał rękę na moich ustach. Kiedy mnie puścił, nie krzyczałam, ponieważ nie chciałam go sprowokować do użycia noża. Poza tym, jak miałoby mi to pomóc?

Nikt nie potrafił jej odpowiedzieć.



Rudy pocierał zapadnięte oczy. Jego skóra nabrała szarego odcienia. Wydawał się też od ostatniego spotkania stracić na wadze, chociaż minęło zaledwie kilka dni. Sayre zastanawiała się, czy szeryf jest chory, czy też był po prostu znękanym sprawcą.

Beck poluźnił krawat i rozpiął guzik pod kołnierzykiem. Wyglądał jak człowiek, który przegrywa walkę ze swoimi demonami. Jedyne detektyw Scott wyglądał na podbudowanego takim obrotem spraw. Poprawił kaburę z pistoletem i rzucił:

- Ruszajmy. Trzeba go aresztować.

- Mam nadzieję, że mówisz o Klapsie Watkinsie - powiedział Beck. - Nie przypuszczam, że myślisz o aresztowaniu Chrisa.

- A jakże! - odparł ochoczo Scott.

- Nie tak szybko, Wayne - ostudził jego zapał szeryf. - Może powinniśmy znowu porozmawiać z Chrisem? - zwrócił się do Becka.

- Na podstawie takiej opowieści?

Sayre spojrzała na niego z konsternacją.

- Oskarżasz mnie o kłamstwo?

- Nie, Watkins rzeczywiście jest na tyle głupi, by wyciąć podobny numer. Dopóki jednak nie znajdzie się w areszcie, jedynie twoje słowa potwierdzają to, co powiedział.

Tylko ogromnym wysiłkiem woli powstrzymała się od tego, aby go nie uderzyć.

- Idź do diabła.

- Sayre - skarcił ją stanowczo szeryf. Spojrzała na niego.

- Przekazałam wam całą moją rozmowę z Watkinsiem, słowo w słowo. To właśnie powiedział:

Księga Rodzaju, rozdział czwarty.

- Wierzę ci i prawdopodobnie Beck również - odparł szeryf. - Pamiętaj jednak, że reprezentuje Chrisa.

Sayre spojrziała Beckowi prosto w oczy.

- Nigdy o tym nie zapominam.

- Pamiętaj również, że Watkins niedawno wyszedł z więzienia - ciągnął Rudy. - Jest zdolny powiedzieć cokolwiek, co pozwoli mu zostać na wolności. Tą opowieścią o Biblii może nam próbować zamydlić oczy, sprawić, że uznamy Chrisa za zabójcę własnego brata, a tym samym uwolnimy Klapsa od presji podejrzeń, przynajmniej na tyle długo, by zdążył prysnąć do Meksyku.

- Uważam, że właśnie to chciał osiągnąć - zgodził się z szeryfem Beck. - Zaczyna się bać. Jest zdesperowany i czuje, że grunt pali mu się pod nogami. Chce zrzucić winę na kogoś innego, a wszyscy dobrze wiemy, jakie uczucia żywi wobec Hoyle'ów.

- Nie sądzisz, że i mnie mogło to przyjść do głowy? - rzuciła gniewnie Sayre. - Nie jestem głupia.

- Nikt cię o to nie oskarża, Sayre - powiedział Beck.

- Rzeczywiście, nie. Tylko o kłamstwa.

- Uspokój się. Nie próbuję udowodnić nikomu, że się mylisz lub kłamiesz. Po prostu próbuję znaleźć w tym jakiś sens. Załóżmy, że Watkins mówił prawdę i wie niejako z pierwszej ręki, że Chris zabił Danny'ego, Jeśli tak, dlaczego nie skontaktował się wcześniej z policją, żeby przekazać te informacje? Dlaczego ryzykował wejście w konflikt z prawem, włamując się do twojego pokoju hotelowego i grożąc ci nożem? Dlaczego tak ryzykował, żeby powiedzieć ci coś takiego?

- Ponieważ wiedział, że nie zostawię tej sprawy.

- Nikt w tym biurze nie zamierza zostawić tej sprawy nierozwiązanej, pani Lynch - uciął dyskusję Scott. - Musimy działać, szeryfie. Wiemy już o zamieszczeniu Chrisa w to morderstwo.

- Na podstawie znalezionej na miejscu zbrodni pudełka zapalek? - spytał drwiąco Beck.

- Ustaliliśmy również, że Chris mógł popełnić ten czyn w ciągu dwóch godzin, co do których nie

ma alibi.

- Chyba że wam je przedstawi.

- Nie ma go - powtórzył Scott.

- Nieprawda. Chris po prostu go nie przedstawił - poprawił go Beck. - A to nie znaczy, że go nie ma.

- Poza tym, jaki miał motyw, Wayne? - spytał Rudy detektywa, który umilkł, rozważając znaczenie ostatnich słów Becka. - Nie udało ci się ustalić przyczyny, dla której Chris miałby nastawać na życie Danny'ego.

Sayre ledwo się powstrzymała, aby odpowiedzieć szeryfowi za Scotta. Chciała przedstawić im motyw Chrisa, choćby po to, by usunąć grunt spod nóg Becka Merchanta. Nie mogła jednak powiedzieć ani słowa, by nie zawieść zaufania Jessiki DeBlance. Jeżeli kiedykolwiek ta sprawa dotrze do punktu, w którym decyzja sądu będzie zależała od jej zeznań, nie zawaha się. Ale póki mogła tego uniknąć, nie zamierzała w to mieszać Jessiki.

- Nadal uważam, że mamy wystarczająco dużo, by przesłuchać go po raz kolejny - upierał się Scott.

Szeryf westchnął ciężko.

- Przykro mi to mówić, Beck, ale Wayne ma rację. Normalnie przesłuchalibyśmy każdego podejrzanego, żeby zobaczyć, co ma do powiedzenia wobec takich oskarżeń. Nie możemy robić wyjątku dla Chrisa ze względu na to, że jest tym, kim jest.

Beck milczał przez chwilę,

- Odlewnia jest teraz niczym beczka z prochem - rzekł wreszcie. - Kto wie, jaki zamęt wywołacie, zgarniając Chrisa do wozu patrolowego. Nie rozumiem, czemu miałoby to posłużyć. Jestem przekonany, że wywoła to panikę.

- Wobec tego czynię cię odpowiedzialnym za dostarczenie go tutaj - zdecydował Rudy.

- Gdy się o tym dowie, na pewno z ochotą zechce skomentować ostatnie oskarżenia.
- Pamiętaj, że musi się u nas stawić dzisiaj, bez względu na okoliczności - powiedział szeryf.
- Przywiozę go po lunchu.
- W takim razie zgoda.

Wayne Scott nie wyglądał na zbyt uszczęśliwionego takim obrotem spraw, ale nie miał wyboru.

Musiał zaakceptować te ustalenia.

- Boi się pani? - spytał. Sayre spojrzała na niego.
- Czy się boję?
- Watkins groził pani śmiercią.
- Mógł mnie zabić, ale nie zrobił tego.
- Na wszelki wypadek wyślę wóz patrolowy przed motel - wtrącił szeryf.
- Nie, Rudy. Proszę, nie.
- Kiedy Huff się o tym dowie, założę się, że...
- Jestem pewna, że mu powiesz - przerwała. - Nie chcę jednak żadnych policjantów przed moimi drzwiami. Nie zgadzam się na to, więc się nie fatyguj.
- W takim razie... bądź ostrożna - odparł załośnie.
- Będę. - Wstała. - To wszystko?
- Na razie.

Skinęła głową na pożegnanie Rudemu i detektywowi, ignorując Becka. Wyszła z posterunku i była już prawie przy swoim czerwonym kabriolecie, gdy usłyszała, jak woła ją po imieniu. Nie zatrzymała się. Dobiegł do niej, kiedy otwierała drzwiczki. Gdy położył jej rękę na ramieniu, odepchnęła go gwałtownie. Zanim jednak miała szansę coś powiedzieć, odezwał się:

- Wiem, że jesteś wściekła.
- Wściekła to za mało powiedziane.

- Rozumiem też dlaczego, ale posłuchaj mnie, Sayre. Przyjmij pomoc Rudego.

Roześmiała się gorzko.

- Wierzysz w moją historię? Przestałeś już sądzić, że moje spotkanie z Watkinsem to wyłącznie konfabulacja?

- Oczywiście, że ci wierzę.

- Ach, czyli po prostu bawi cię robienie ze mnie idiotki i dyskredytowanie wobec innych ludzi.

Zdaje się, że od jakiegoś czasu to twoja ulubiona rozrywka.

- Jestem prawnikiem Chrisa.

- Nie mogłeś wyrazić się jaśniej.

Otworzyła drzwiczki i wsiadła, ale Beck powstrzymał ją przed zamknięciem wozu. Pochylił się nisko i rzekł z gniewem:

- Chris zawierzył mi sprawy jako swojemu przedstawicielowi. Nie mogę nadużywać jego zaufania, podobnie jak ty nie możesz tego zrobić narzeczonej Danny'ego. Miałaś dziś doskonałą okazję do przedstawienia im motywu morderstwa, Sayre, ale nie zrobiłaś tego. Nie zrobiłaś, ponieważ dałaś słowo tamtej kobiecie, że nikomu nic nie powiesz. Dlaczego owe reguły mają się stosować wyłącznie do ciebie?

Prawdę mówiąc, miał rację. Gdyby nie próbował chronić swojego klienta, naruszyłby etykę zawodową. To jednak, że postąpił słusznie, nie zmieniło faktu, że była na niego wściekła jak diabli.

- Puść te drzwi.

- Gdzie jedziesz?

- Gdzie mi się spodoba. - Szarpnęła za drzwi, ale bezskutecznie.

- Posłuchaj mnie, Sayre. Zapomnij, że jesteś na mnie zła i skoncentruj się na Watkinsie. Weź sobie do serca jego groźby. Nie jest zbyt inteligentny, ale to czyni go tylko bardziej

niebezpiecznym. Dziś rano może nie zamierzał cię skrzywdzić, ale teraz, gdy dostarczyłaś wiadomość Rudemu, spełniłaś swoją rolę. Może wróci. Watkins nienawidzi Hoyle'ów, a ty należysz do rodziny, Sayre, czy tego chcesz, czy nie. Poza tym... - obrzucił ją wzrokiem - zwracasz na siebie uwagę.

- Doskonale. A zatem będę dobrze widoczna wśród demonstrantów.

Po raz drugi tego dnia Beck zaparkował na wolnym miejscu przed biurem szeryfa, tuż obok porsche Chrisa. Zgodzili się tu spotkać po lunchu, który Chris miał zjeść z Huffem w domu.

Wysiadając, Beck zostawił otwarte okna w swoim wozie, chociaż nie mogło to zapobiec nagrzeniu się wnętrza i temu, że za chwilę w środku robi się parno. Upał był dzisiaj bezlitosny. Nawet klimatyzowane wnętrza posterunku wydawały się zawilgocone i duszne.

- Hoyle jest w ostatnim pokoju po prawej - poinformował go dyżurny, Pat czy jak mu tam było.

- Dzięki.

Beck zapukał, a potem wszedł do pokoju z trudem mieszczącego stół i dwa plastikowe krzesła.

Na jednym z nich siedział Chris.

- Cześć - rzucił.

- Cześć. Widziałeś się z Rudym?

- Nie. Tylko z tym neandertalczykiem w recepcji. Kazał mi tutaj przyjść, powiedział, że Rudy i Scott nie wrócili jeszcze z lunchu i poprosił, żebym się rozgościł.

Beck od razu wyczuł zmianę w zachowaniu się przyjaciela. Zniknął gdzieś jego sarkazm, nieodłączna część charakteru. Usiadł naprzeciwko Chrisa.

- Powiesz mi, co się stało?

Ten uśmiechnął się ponuro.

- Jeśli ci powiem, będę cię musiał zabić.

Serce Becka zatrzepotało gwałtownie. Chris wyczuł to, bo jego uśmiech zrobił się szerszy.

- Nie, nie zamierzam się przyznać, a przynajmniej nie do zabicia własnego brata.

- W takim razie o co chodzi?

Chris pochylił się, oparł łokcie na stole i potarł czoło palcami obu dłoni.

- Boję się. Oto moje wielkie wyznanie, Beck. Ten pokój bardzo mi przypomina celę więzienną, a to mnie przeraża.

Beck rozluźnił się nieco.

- Tak właśnie powinno być. Pokoje do przesłuchań specjalnie projektuje się w taki sposób, Chris.

Żeby wstrząsnąć człowiekiem, sprawić, by zaczął wątpić we własną niewinność. Kiedy pracowałem jeszcze w biurze prokuratora okręgowego, dużo czasu spędzałem w takich miejscach, z prawdziwymi gnojkami. Gwałcicielami, rabusiami, zabójcami, złodziejami.

Nieważne, o co byli oskarżeni, sadzało się ich w pokoju przesłuchań i zostawiało na wystarczająco długo, żeby zaczęli wołać mamę.

Chris uśmiechnął się, ale nie na długo.

- Zaczynam się martwić, że się na mnie uparli.

- Mają tylko przypuszczenia i poszlaki. Nic poważnego. Wątpię, żeby prokuratura zdecydowała się zaprezentować to wszystko przed sądem, zwłaszcza w tym okręgu.

- Tak, ale poszlak jest coraz więcej. Jak to się fachowo nazywa?

- Preponderancja?

- Właśnie tak. Preponderancja dowodów czasem wystarczy. Klaps Watkins i jego biblijna opowiastka - skrzywił się pogardliwie. - Prawdopodobnie jedyna, którą zna. Do diabła, nawet zapamiętali ateści, tacy jak ja, słyszeli o Kainie i Ablu. Danny został zamordowany. Był moim bratem. Nagle wszystko się zgadza. To ja ląduję jako jego zabójca. - Wstał i zaczął krążyć dookoła małego stolika. - Dlaczego moja własna siostra daje się nabrać na zwariowane teksty szalonego kryminalisty i dzieli się nimi z tym nadętym detektywem, który kupuje wszystko,

czego mógłby użyć przeciwko mnie?

Beck nie powiedział Chrisowi o sekretnych zaręczynach, o których wiedział jedynie on i Sayre, ani o telefonach Danny'ego do siostry. Obie sprawy mogły być ogromnie ważne, ale zatrzymał je dla siebie, w razie gdyby okazały się nieistotne.

- Sayre nie podskakiwała z radości, kiedy ją ostatnio widziałem, Chris - rzekł w zamyśleniu. -

Cholera wie, co ta kanalia powiedziała i zrobiła, a o czym od niej nie usłyszeliśmy.

- Wiem, musiała być przerażona, ale dlaczego nie zgłosiła kradzieży kolczyków i nie poprzestała na tym? Dlaczego dała wiarę gadkom Watkinsa?

- Nie wiem, dlaczego Sayre robi różne rzeczy. - Beck zmarszczył brwi.

Chris zatrzymał się i spojrzał na niego.

- A więc to prawda?

- Słyszałeś?

- Ktoś zadzwonił do domu, gdy jedliśmy lunch, i powiedział o wszystkim Huffowi. Stary strasznie się wkurzył. Naprawdę dołączyła do demonstrantów?

- Owszem. Stoi na czele.

Chris ponownie usiadł na krześle i spojrzał wyczekująco na Becka.

- Pojawiała się około wpół do dwunastej z burgerami z Dairy Queen i torbami chłodzącymi pełnymi napojów - zaczął opowieść Beck. - Gdy tylko dopilnowała, żeby wszyscy się posilili, chwyciła transparent i zaczęła maszerować wraz z nimi. Była tam wciąż, gdy wyjeżdżałem przez bramę, żeby tu przybyć.

Chris zwiesił głowę i potrząsnął nią z niedowierzaniem,

- Nigdy nie myślałem, że dożyję dnia, w którym ktoś z Hoyle'ów stanie przeciwko własnej rodzinie. A z drugiej strony niektórzy sądzą, że zastrzeliłem własnego brata, wkładając mu do ust dubeltówkę. - Ponownie pomasaował czoło. - Kto mógłby pomyśleć, że byłbym w stanie to



zrobić?

- O to właśnie chodzi. Muszą jeszcze znaleźć motyw. Chyba że coś ukrywasz.

- Na przykład co? - Przyjaciel uniósł gwałtownie głowę.

- Chris, czy powiedziałeś mi wszystko o waszej kłótni z Dannym?

- Chyba ze sto razy.

- Czy Danny miał przed nami jakieś sekrety?

- Sekrety?

- Pomyślałem, że może podzielił się z tobą czymś, o czym nie wiedział nikt inny.

- Nie. Nic.

Beck spojrzał Chrisowi w oczy, szukając najmniejszego znaku, który zdradziłby przyjaciela, ale napotkał jedynie spokojne, szczere spojrzenie.

- Tak tylko pomyślałem. Nieważne. Co z Lilą?

- Odwiedziłem ją wczoraj, kiedy George'a nie było w domu. Nie chciała nawet otworzyć drzwi.

- Wrogi świadek. Fantastycznie - Beck wstał i podszedł do okna, opatrzonego stalowymi prętami.

Spojrzał na niebo, tak rozpalone, że cały błękit z niego wyparował. Tylko dym unoszący się z kominów odlewni był bielszy.

- Nie będę cię oszukiwał, Chris. Musimy opracować solidną linię obrony.

- Nie zabiłem swojego brata.

Beck odwrócił się w kierunku Chrisa.

- Potrzebujemy czegoś więcej niż tylko twojego zaprzeczenia.

Chris spoglądał na niego przez długą chwilę, zanim powiedział cicho:

- Beck, to jedna z najtrudniejszych rzeczy, jaką kiedykolwiek musiałem zrobić. Zwalniam cię.

- Zwalniasz mnie? - roześmiał się Beck.

- Nie ma to nic wspólnego z poziomem twoich umiejętności czy profesjonalizmu. Pod tym

względem nie mam żadnych zastrzeżeń. Wyprowadziłeś Hoyle Enterprises z tarapatów, które mogły nas sporo kosztować, i to nie tylko finansowo. Huff i ja potrzebujemy cię teraz, żebyś rozprawił się z agencjami federalnymi i, dzięki Nielsonowi, również z naszymi pracownikami - uśmiechnął się krzywo, - Ja zaś potrzebuję adwokata.

Beck wrócił do stołu i usiadł.

- Właściwie muszę przyznać, że odczuwam ulgę.

- Nie jesteś zły?

- Chris, prawo karne to nie moja działka. Sam chciałem zaproponować, żebyś wynajął specjalistę. Zamierzałem nalegać, ale bałem się, byś nie pomyślał, że chcę umyć ręce od sprawy. Poza tym, nie byłem pewien, jak zareaguje Huff.

- Nie spodoba mu się ten pomysł. Jest specjalistą od trzymania wszystkich spraw w rodzinie. Ale chyba pomożesz mi, by mu wytłumaczyć, że to dobra decyzja.

- Porozmawiam z nim. Kogo chcesz wynająć?

Chris wymienił nazwisko, którego Beck nie kojarzył.

- Jest z Baton Rouge. Podobno świetny.

- Zatem powodzenia.

- Na pewno nie jesteś na mnie zły?

- Daję słowo, że nie. Gdzie ten spec? Potrzebujesz go dzisiaj, teraz.

- O to chodzi. Będzie wolny dopiero od poniedziałku. Co zrobimy z dzisiejszym przesłuchaniem?

- Zapytam Rudego, czy nie zgodziłby się przesunąć tej rozmowy do chwili, gdy pojawi się twój adwokat.

- Jak sądzisz, wsadzą mnie do ciupy na weekend?

- Jeżeli spróbują tylko o tym wspomnieć, podniosę wielką wrzawę. Poza tym, to wszystko jakieś bzdury. Myślę, że Rudy chciał cię przesłuchać jedynie dlatego, by uspokoić swojego zastępcę.

Nie wierzy w tę historię z Biblią bardziej niż ty.

Uścisnęli sobie dłonie, ale gdy Beck próbował cofnąć swoją, Chris przytrzymał ją mocniej.

- Nie chcę płacić za coś, czego nie zrobiłem, Beck. A nie zabiłem Danny'ego.

Beck odwzajemnił uścisk.

- Wierzę ci - powiedział.

Tego wieczoru, gdy Sayre wróciła do hotelu, otworzyła drzwi do swojego pokoju nowym kluczem. Zamek w drzwiach, który otworzył wytrychem Klaps Watkins, wymieniono na nowy. Stała w progu i zlustrowała wnętrze. Najłżejszy ślad zapachu Watkina został wyeliminowany. Nie ufając motelowej sprzątacze, sama włożyła gumowe rękawiczki i zanim wyszła do odlewni, porządnie wysprzątała pokój. Zażądała również od kierownika nowego krzesła i pościeli. Zadowolona z tego, że zniknęły wszystkie wspomnienia po wczorajszym gościu, zamknęła za sobą drzwi, tym razem pamiętając, by założyć również łańcuch. Zmęczona, podeszła do szafy i spojrzała na siebie w lustrze. Jej skóra była spalona słońcem, ale jednocześnie tak mokra od potu, że kleiły się do niej ubrania. Sayre ściągnęła adidas i przyjrzała się bolesnym, zaognionym odciskom, które psuły jej pedikiur w kolorze beż Marilyn.

Była zbyt zmęczona, by zjeść zapiekankę z serem, którą kupiła po drodze w barze, ale jednocześnie umierała z głodu. Po pierwszym kęsie dosłownie pożarła resztę. Wzięła bardzo długi prysznic, drugi tego dnia. Rano wyszorowała się porządnie, próbując usunąć z siebie najmniejszy ślad wspomnień po dotyku Watkina. Teraz pozwoliła wodzie, by powoli zmywała znużenie i ból mięśni. Zbyt zmęczona, aby zawracać sobie głowę suszarką, wytarła włosy ręcznikiem. Jej jedynym ukłonem w stronę kosmetycznych nakazów było nałożenie kremu nawilżającego na spalony słońcem nos. Strupek z rany na policzku odpadł po myciu, za dzień czy dwa nie będzie śladu po skaleczeniu.

Włożyła majtki i krótką koszulę nocną. Tę, w której spała zeszłej nocy, wyrzuciła do śmieci. Nie chciałyby jej nawet dotknąć, niezależnie od tego, ile razy by ją uprała.

Powiedziała sobie, że powinna zapomnieć o wydarzeniach ostatniej nocy. Nie stało się nic strasznego. I tak już pozwoliła temu imbecylowi na zbyt wiele. Ale przed położeniem się spać zdecydowała, że zostawi zapalone światło w łazience, żeby nie obudzić się w środku nocy w

absolutnych ciemnościach i nie przeżywać ponownie potwornych chwil, gdy odkryła w swoim pokoju obecność Watkinsa. Jej rozmyślania przerwało pukanie do drzwi.

- Sayre? Otwórz.

Beck. Zapukał lekko, żeby jej nie przestraszyć, ale przemówił twardym głosem.

- Czego chcesz, Beck?

- Chcę, żebyś otworzyła drzwi.

Odsunęła zasuwę i uchyliła drzwi na tyle, na ile pozwalał łańcuch. Spojrzała na niego przez szczelinę,

- Nie jestem ubrana.

- Wpuść mnie.

- Po co?

Widziała napięcie na jego twarzy. Nie raczył nawet odpowiedzieć, po prostu patrzył na nią.

Ustąpiła głównie dlatego, że nie chciała, aby wszyscy mieszkańcy hotelu stali się świadkami ich rozmowy. Musiały się zacząć rozgrywki ligowe kręglarzy, ponieważ parking przed The Lodge zapełniły samochody i pokój obok Sayre był zajęty.

Zdjęła łańcuch i Beck wszedł do środka, zamykając za sobą drzwi. Natychmiast spojrzał na rąbek jej koszuli nocnej, nagie nogi i stopy. Objęła się ramionami w talii i ten obronny gest sprawił, że spojrzał w bok.

- W świetle tego, co zdarzyło się dziś rano... włóż coś na siebie, jeśli poczujesz się dzięki temu lepiej.

- Nie zostaniesz tu długo. Czego chcesz?

- Clark Daly jest w szpitalu.

- Co takiego?

- Na ostrym dyżurze.

Dłoń Sayre powędrowała do gardła.

- Kolejny wypadek przy pracy?

- Nie powiedziałbym. Został pobity.

- Pobity?

- Na kwaśne jabłko. Jest w poważnym stanie, niedługo się okaże, czy w krytycznym. Ma widoczne obrażenia, obluzowane zęby, rozplataną wargę, podbite oczy, rozcięte powieki, rany na głowie. Możliwe, że doznał złamania kości czaszki, ma połamane żebra. Podejrzewają wewnętrzne krwawienia, ale dopiero prześwietlenie potwierdzi to lub wyeliminuje.

Sayre zasłoniła dłonią usta i powoli wypuszczając powietrze z płuc, usiadła na brzegu łóżka.

- K... kto?

- Nie znamy nazwisk sprawców, ale zostałaś uznana za jedną z odpowiedzialnych za to osób - wpatrzył się w nią świdrującym wzrokiem.

Sayre poczuła mdłości.

- Co się stało?

- Dziś w nocy zostałem w fabryce. Chciałem być na miejscu w razie ewentualnych kłopotów.

Wkrótce po rozpoczęciu porannej zmiany zorientował się, że coś nie gra.

- Kiedy pracujesz tam wystarczająco długo, zaczynasz odbierać wibracje i czujesz, gdy coś jest nie tak- powiedział. - Poszedłem na dół i zacząłem się dopytywać, co się stało. Nikt nie chciał ze mną rozmawiać, zwłaszcza w obliczu ostatnich wydarzeń.

- Jesteś najlepszym kumplem Huffa.

Zacisnął szczęki z gniewu, ale nie skomentował jej uwagi.

- Wreszcie udało mi się wyciągnąć od jednego z robotników, że Clark Daly nie zgłosił się do pracy. Jeden z kolegów zadzwonił do jego żony, która oszalała ze strachu. Powiedziała, że miał mnóstwo czasu, by dotrzeć do fabryki, Zaniepokoiło to jego przyjaciół, którzy natychmiast

chcieli udać się na poszukiwania. Kazałem im zostać w pracy i wraz z kilkoma wybranymi poszedłem rozejrzeć się za Clarkiem. Dostrzegliśmy jego samochód na poboczu, nie dalej niż dwie przecznice od domu. Clark leżał na brzuchu w rowie, nieprzytomny. Źle z nim.

Sayre wstała i powlokła się w stronę komody.

- Idę tam. - Wyciągnęła z szuflady džinsy, jednak Beck wyrwał je jej z ręki i rzucił na bok.

- Pani Daly to się nie spodoba, Sayre.

- Nie obchodzi mnie...

- Słuchaj! - krzyknął, chwytając ją za ramiona. - Kiedy Luce Daly pojawiła się w szpitalu, rzuciła się na mnie z pazurami. Dała mi wyraźnie do zrozumienia, że jestem persona non grata i wrzeszczała, że mam się trzymać z daleka od jej męża. Spodziewałbym się takiej reakcji, gdyby przytrafił mu się wypadek przy pracy. Mogłaby wtedy zareagować jak Alicia Paulik. Ale tym razem to ja byłem przecież jednym z tych, którzy odnaleźli Clarka i przywieźli go na pogotowie. Wkrótce jednak wyszło na jaw, że Daly nie był ofiarą przypadkowej napaści. Nic z tych rzeczy. Zbito go na kwaśne jabłko, ponieważ zatrudniłaś go do wyłuskania szpiegów Huffa spośród załogi i do zachęcania ludzi do strajku. - Oddychał ciężko, nie dbając o ton czy siłę głosu.

Ledwie powstrzymywał gniew. Rozluźnił uścisk, jak gdyby nagle sobie uświadomił, że zbyt mocno trzyma ramiona Sayre. Puścił ją, odwrócił się, przeczesał włosy dłonią, a potem znów na nią spojrzał. - Powiedz mi, że pani Daly się myli. Powiedz mi, że to nieprawda.

Sayre uniosła brodę wyzywająco.

- Sam nazwałeś to wojną.

- To nie jest twoja wojna. Dlaczego bierzesz w niej udział?

- Dlatego, że ktoś musi. Dlatego, że sposób, w jaki pracuje cała odlewnia, jest z gruntu zły. Ktoś musi się tym zająć.

- Naprawdę uważasz, że twoje uczestnictwo w tym wszystkim cokolwiek pomoże? Czy sądzisz,

że twój udział w demonstracji przyniesie jakąkolwiek korzyść?

- Owszem, tak uważam.

- W takim razie mylisz się, i to bardzo.

- W ten sposób deklaruję się wobec pracowników.

- Nie potrafisz nawet z nimi rozmawiać! - krzyknął. - Przekonałaś się o tym kilka dni temu, podczas odwiedzin w odlewni. Noszenie transparentu nie postawi cię na równi z ludźmi, którzy żyją przez miesiąc z tego, co ty wydajesz na buty. Może i masz dobre serce, Sayre, ale myślisz jak idiotka. Nie zdobyłaś jeszcze zaufania robotników ani ich rodzin. Jeszcze nie. Dopóki tego nie zrobisz, będziesz uznawana za wichrzycielkę. Przez ciebie Clark Daly dzisiaj nieomal przejechał się na tamten świat i masz cholerne szczęście, że to nie ty wylądowałaś w rowie! Zabolaty ją oskarżycielskie słowa Becka, tym bardziej że miał rację. Odwróciła się od niego, zgarbiona pod ciężarem winy.

- Ostatnią rzeczą, której chciałam, było przysporzenie Clarkowi dodatkowych kłopotów - powiedziała.

- W takim razie powinnaś się trzymać od niego z daleka. I to właśnie przyszedłem ci przekazać. Uniosła głowę i spojrzała na jego odbicie w lustrze.

- Od kogo?

- Od Luce Daly. To mądra kobieta, rozszyfrowała cię. Przewidziała, że zechcesz natychmiast pojechać do szpitala, znaleźć się u wezglowia Clarka. Cóż, przykro mi, ale jego żona nie życzy sobie, żebyś się do niego zbliżała. Opowiedziała mi o twoich wizytach w ich domu i wysłała mnie z wiadomością, żebyś zabierała się tam, skąd przybyłaś i zostawiła jej męża w spokoju.

- Rozumuje jak zazdrosna żona. Nie mam ochoty na żadne romanse z Clarkiem. Próbowałam mu tylko pomóc.

- Rzeczywiście, bardzo mu pomogłaś. Jego żona powiedziała mi, że jesteś chorobą, której



nabawił się dawno temu i z której nigdy się nie wyleczył.

Z perspektywy Luce Daly Sayre rzeczywiście mogła się jawić jako przypadłość dręcząca Clarka od lat. Nie była to miła analogia. Sayre, zraniona, chciała się bronić, ale powstrzymała ją przed tym дума.

- Czy wiesz, kto to zrobił? - zmieniła temat.

- Domyślam się.

- Mimo to nie każesz ich aresztować, prawda? Ponieważ są ludźmi Huffa, a ty jesteś ich prowodyrem - zaatakowała.

- Mam dla ciebie radę, Sayre, którą oczywiście zapewne zignorujesz. Trzymaj się z dala od demonstrantów. Kiedy rozejdzie się wiadomość o Clarku, wybuchnie gniew. W którymś momencie skończy się to zamieszkami, a tobie może się oberwać przy okazji. - Spojrzał w kierunku drzwi. - Przynajmniej zaczęłaś używać łańcucha.

- Po wczorajszej nocy nigdy już o tym nie zapomnę.

Podszedł do niej powoli.

- Czy on cię skrzywdził, Sayre?

- Powiedziała już...

- Wiem, co mówiłaś. Wiem również, że zatrzymałaś część wiedzy dla siebie. Dotykał cię?

Potrząsnęła głową, ale ku swemu własnemu rozgoryczeniu, poczuła łyzy pod powiekami.

- Tylko trochę.

- Co to znaczy?

- Powiedział... obiecał mi kilka wulgarnych rzeczy, ale nie wprowadził ich w czyn.

Beck chciał ją przytulić, ale Sayre powstrzymała go, wyciągając rękę i potrząsając głową.

- Wszystko w porządku. Powinieneś już iść.

- Dobrze - odparł z lekkim skinieniem głowy. - Przyszedłem wyłącznie po to, by opowiedzieć ci

o Dalym i przekazać życzenie jego żony, żebyś trzymała się od niego z daleka. Pozostawiam cię jednak z pytaniem, Sayre. Dlaczego się w to wszystko angażujesz?

- Powiedziałaś ci już wczoraj.

- Bo sumienie nie daje ci spokoju, ponieważ nie odebrałaś telefonów Danny'ego. Z powodu niejasności w sprawie Iversona. Aby poprawić warunki pracy w odlewni. Wiem, co powiedziałaś.

- To o co ci chodzi?

- Czy są to prawdziwe motywy? Nie sądzę. Jest tylko jedna przyczyna, która powoduje tobą we wszystkim, co robisz. - Otworzył drzwi i wyszedł na korytarz. Spojrzał na nią przez ramię. -

Huff.

- Sayre! Przyjechałaś tu sama? Mój Boże, dziewczyno, co ty wyprawiasz, jeździsz sama o tej porze?!

- Mam nadzieję, że nie przeszkodziłam.

- A jeżeli ten śmieć, Watkins, cię śledzi? - Selma pośpiesznie wprowadziła Sayre do środka.

- Pewnie jest już gdzieś w Teksasie, w drodze do Meksyku. Czy Chris jest w domu?

- Wyszedł po kolacji i jeszcze nie wrócił. Mogę do niego zadzwonić.

- Właściwie to przyszedłam porozmawiać z Huffem. Nie śpi jeszcze?

- Jest już w swoim pokoju, ale nie sądzę, żeby już się położył.

- Jak on się czuje? Odzyskał siły?

- Nie widzę żadnej różnicy między jego stanem przed zawałem i po nim. Pilnuję, żeby łykał lekarstwa na nadciśnienie. Zważywszy na to, co się dzieje od dnia śmierci Danny'ego, dziwię się, że jeszcze nie strzeliła mu żadna tętnica.

Sayre poklepała ją po ręku.

- Zawsze dobrze się nami opiekowałaś i jestem ci za to dozgonnie wdzięczna. Wracaj do swojego

pokoju. Sama wyjdę, kiedy skończę rozmowę.

Kapcie gospodyni zastukały cicho o drewnianą klepkę gdy Selma poczłapała przez wielki hol w kierunku swojego mieszkania po drugiej stronie kuchni.

Wziąwszy sobie do serca słowa, które rzucił jej na odchodne Beck, Sayre ubrała się szybko i przyjechała tutaj. Teraz jednak zastanawiała się, czy jej spontaniczna decyzja była słuszna.

Żałowała, że nie poprosiła Selmy o wywołanie Huffa z sypialni. Ten dom przestał być jej domem. Wspinając się po schodach, w środku nocy czuła się jak intruz.

Panowała tu niepokojąca cisza. Klatka schodowa była tak ciemna, że z tej wysokości ledwie widziała podest na górze. Nie była tu od wieków. Ostatnim razem, gdy nimi schodziła, dźwigała walizkę, odchodząc na zawsze - a przynajmniej myślała, że odchodzi na zawsze. Bała się, co przyniesie przyszłość, ale nie wahała się stanąć z tym twarzą w twarz.

Teraz, gdy postawiła stopę na górnym podeście, ogarnęły ją podobne uczucia. Następny krok był już łatwiejszy. Zatrzymała się na chwilę, aby spojrzeć na portret matki, i poczuła znajome uczucie nostalgii. Czy brakowało jej tej kobiety, która uśmiechała się do niej z obrazu, czy też tęskniła za ideą matki, kogoś, kto ukoi smutki i ból, zawsze doradzi i nigdy nie przestanie bezwarunkowo kochać?

Korytarz na piętrze był oświetlony dwiema lampkami nocnymi, podłączonymi do gniazdek w listwie przypodłogowej. Chodnik, jeden ze skarbów Laurel, jej duma i dziedzictwo po prababce ze strony matki, tłumił odgłosy kroków. Drzwi do pokoju Danny'ego były zamknięte. Sayre zwolniła, ale przeszła obok, nie otwierając ich. Czuła, że wejście do środka będzie profanacją równą podeptaniu jego grobu. Wspomnienia tragedii były wciąż zbyt świeże. Drzwi do pokoju Chrisa były uchylone. Z opowieści Selmy wynikało, że wprowadził się do swojego starego pokoju po tym, jak Mary Beth przejęła ich rezydencję w Meksyku.

- Wyposażyliśmy sypialnię inaczej niż wtedy, gdy mieszkał tutaj jako kawaler - powiedziała.

Sayre zerknęła do środka przez szparę i, niemal wbrew sobie, przyznała, że pokój został urządzony ze smakiem, Meble dobrej jakości, lecz bezpretensjonalne, wszystko w neutralnych kolorach. Wnętrze było przestronne i wyposażone po męsku, sama podobnie zaprojektowałaby wystrój mieszkania kawalera.

Przez szparę pod drzwiami prowadzącymi do sypialni Huffa sączyło się światło. Zapukała dwa razy, szybko, nim w jej umyśle pojawiły się wątpliwości. Drzwi otworzyły się natychmiast. Ojciec i córka wpatrywali się w siebie w powstałej między nimi próżni.

Huff wyciągnął z ust dymiącego papierosa i spojrzał na nią zdziwiony:

- Spodziewałem się Chrisa lub Becka - powiedział.

- Chciałam z tobą porozmawiać.

- Z twojego tonu mógłbym raczej wnioskować, że chcesz mi rozszarpać gardło. - Huff zmarszczył brwi.

- Poszczułeś na Clarka Daly'ego swoje psy.

Włożył do ust papierosa i odwrócił się.

- Wejdz. Równie dobrze możemy to załatwić teraz - powiedział.

Sayre weszła za nim do pokoju, który również został przemeblowany. Kiedy jeszcze mieszkała w tym domu, główna sypialnia pozostawała urządzona tak jak za życia matki. W którymś jednak momencie pełne falbanek dekoracje Laurel zastąpiono bardziej gustownymi zasłonami i narzutami na łóżko.

Huff wskazał na mały podręczny barek.

- Nalej sobie drinka.

- Nie chcę pić. Chcę odpowiedzi. Czy kazałeś pobić Clarka?

- Nie wiedziałem, że to będzie Clark.

- Mimo to spuściłeś swoje psy ze smyczy.

Huff usiadł w wygodnym fotelu i zaciągnął się głęboko papierosem, którego czubek rozżarzył się na czerwono.

- Mam kilku lojalnych wobec mnie ludzi. Powiedziałem im, żeby zapobiegli jakimkolwiek rozmowom o strajku. Nie tłumaczyłem im, w jaki sposób mają to zrobić. - Wycelował w nią papierosem. - Nie pozwolę, żeby ktoś brał moje pieniądze i jednocześnie protestował przeciwko mojemu zarządzaniu. Jeżeli chcą dołączyć do tego Nielsona i jego podżegaczy, proszę bardzo, lecz nie kosztem mojego czasu i nie za moje pieniądze. - Podniósł głos.

- O mały włos go nie zabili.

- Ale żyje i powiedziano mi, że się wyliże. - Zgasił niedopałek. - Szczerze mówiąc, nie sądziłem, że Clark Daly ma w sobie wystarczająco dużo odwagi, by wystąpić w konkursie ortograficznym, a co dopiero zachęcać do strajku.

- Może by i nie miał... gdybym go nie zachęciła.

Huff drgnął, zaskoczony. Po kilku chwilach milczenia zaczął się śmiać do rozpuku.

- A niech mnie! Powinienem się domyślić. Daly nie ma jaj, żeby samemu podjąć się takiego zadania. Stacza się od lat. Tacy jak on nie mają odwagi.

- To właśnie myślałeś, Huff, ale się myliłeś. Clark był urodzonym przywódcą. Złamałeś go, pozbawiłeś stypendium i szansy na wyższe wykształcenie. Odebrałeś mu nadzieję oraz pewność siebie.

- Jezu Chryste, powiedz mi coś nowego, jeszcze ci się nie znudziło? Ten chłopak sam sprowadził na siebie wszystkie nieszczęścia.

- Clark dawno przestał być już chłopcem, Huff, to mężczyzna i znowu udowodnił, że jest urodzonym liderem.

- Jasne. Może poprowadzić cię prosto do każdego baru w naszej parafii.

- Ludzie go słuchają, Huff. Beck powiedział, że jego przyjaciele byli gotowi tej nocy porzucić

pracę i udać się na poszukiwania. Wygląda na to, że zaskarbił sobie ich szacunek i zaufanie.

Huff zerwał się gniewnie z krzesła.

- Do czego zainspirował cię Clark Daly, poza nieposłuszeństwem wobec mnie?

- Miałam osiemnaście lat. Nie potrzebowaliśmy twojego pozwolenia, żeby się pobrać.

Huff podszedł do barku i nalał whisky z karafki do szklanki, a następnie wychylił ją jednym łykiem.

- Całe szczęście, że dowiedziałem się o waszej ucieczce i powstrzymałem was.

- O tak, rzeczywiście, jesteś prawdziwym bohaterem, Huff. Ściagałeś nas niczym kryminalistów i zagroziłeś, że wyrzucisz z pracy ojca Clarka, jeśli się pobierzemy. Sterroryzowałeś jego rodziców, mnie i Clarka. Bardzo odważny postępek.

- Wołałabyś, żebym go zastrzelił? - ryknął z wściekłością. - Miałem do tego pełne prawo!

- Prawo? Jakie prawo?!

- Chłopak mi się przeciwstawił. Zasłużył sobie...

- Nie zasłużył na los, jaki mu zgotowałeś, Huff! Skrzywdził cię jedynie tym, że mnie pokochał.

- Nie był dla ciebie odpowiednią partią.

- Tylko twoim egoistycznym i egocentrycznym zdaniem.

- Nadawał się na chłopaka w liceum, ale jeśli chodzi o małżeństwo, potrzebowałaś kogoś z rodziny takiej jak nasza.

Sayre roześmiała się gorzko.

- Huff, na całym świecie nie ma takiej rodziny jak nasza.

- Nie baw się ze mną w słówka, Sayre. Doskonale wiesz, o czym mówię - odparł gniewnie. -

Powinnaś wyjść za kogoś bogatego. Kogoś z forszą, nie syna robotników.

- Nonsens. To żalosna wymówka, którą wymyśliłeś, żeby rozdzielić mnie i Clarka. Dzisiaj brzmi równie idiotycznie. Nie potrafiłeś ścierpieć myśli lub planów, które nie były twoje. - Zaczerpnęła

głęboko powietrza, a kiedy znów przemówiła, jej głos był niski i szorstki z emocji. - Musiałeś nas zniszczyć.

Spojrzał na nią gniewnie i nalał kolejną porcję burbona. Ze szklanką w ręce usiadł w fotelu i zapalił papierosa. Oddychał z trudem. Nawet z tej odległości Sayre czuła alkohol w jego oddechu.

- Możesz sobie na mnie wrzeszczeć do woli, dziewczyno. Nawymyślaj mi, ile wlezie, piekl się i tup nogami, nigdy nie usłyszysz ode mnie ani tłumaczenia się, ani przeprosin. Kiedy jeszcze byłem takim małym dzieciakiem - wyciągnął rękę, żeby zademonstrować swój wzrost w tamtych czasach - przysiągłem, że zapoczątkuję linię Hoyle'ów, których nazwisko będzie się liczyło. Nikt nie zdoła zignorować lub zapomnieć nazwiska Hoyle. - Machnął w jej kierunku papierosem. - Nie zamierzałem dopuścić, żeby jednym z członków rodziny stał się bękart Daly'ego.

Zadrżała, oddychając spazmatycznie.

- Dlatego kazałeś je ze mnie wyrwać.

- Zrobiłem to, co uczyniłby każdy ojciec...

- ... bez serca.

- ... który widział, jak jego córka niszczy...

- Kazałeś wyrwać ze mnie moje dziecko! - Trzema susami Sayre pokonała dzielącą ich odległość i uderzyła go z całej siły w twarz.

Huff zerwał się z fotela. Szklanka z whisky wypadła mu z ręki i potoczyła się po dywanie. Rzucił papierosa na ziemię i zacisnął pięści, unosząc je w groźnym geście.

- Dalej, Huff, oddaj mi! Tamtej nocy, gdy wyciągałeś mnie z biblioteki, krzyczącą i płaczącą, błagającą cię, abys tego nie robił, także uderzyłeś mnie w twarz. Czy wiesz, że podłoga wciąż nosi wgłębienia po moich piętach, którymi się zapierałam, próbując cię wtedy powstrzymać? Idź, obejrzyj ślady. To świadectwo tego, jak bardzo jesteś zdeprawowany. Kiedy nie mogłeś mnie

wciągnąć siłą do samochodu, ogłuszyłeś mnie. Obudziłam się w gabinecie na tyłach domu doktora Caroe, z nogami przywiązanymi do strzemion fotela, a ramionami przypiętymi do stołu. - Wyciągnęła ręce, jakby nadal czuła więzy, które ją wtedy krępowały. Zdała sobie sprawę, że jej twarz jest mokra od łez. Zlizała słoność z kącików ust. - Ten pozbawiony skrupułów skurwysyn wyrwał ze mnie moje dziecko. Ile mu zapłaciłeś za to, żeby zniszczył to niewinne, słodkie życie, co, Huff? Ile cię kosztowało, byś udowodnił swoją dominację nade mną? - Szlochała teraz przy każdym słowie, ale ciągnęła dalej: - Włożył je do plastikowej torby i wyrzucił do śmieci. -

Przyłożyła dłoń do piersi i krzyknęła z całych sił. - Moje dziecko!

Po tym wybuchu w pokoju zrobiło się cicho jak w grobie. Słyszać było jedynie tykanie zegara stojącego na szafce nocnej. Sayre otarła łzy i odgarnęła włosy do tyłu.

- Ostatnio ktoś zauważył, że jesteś motywacją wszystkich moich działań. To prawda. Nienawiść do ciebie pomogła mi przetrwać depresję i dwa niechciane małżeństwa. Do dzisiejszego dnia, do tej chwili służyła mi doskonale, ale... - zaśmiała się lekko - ale najśmieszniejsze jest to, że sam wykopałeś dla siebie dół, Huff. Ty i te twoje pieprzone ambicje dynastyczne. Chcesz mnie wydać za Becka? Zabawne. Śmieszne i daremne, bo widzisz, kiedy twój niezdarny przyjaciel, doktor Caroe, zabił moje dziecko, jednocześnie odebrał mi szansę na posiadanie kolejnego.

Huff cofnął się o krok.

- Co takiego?

- Tak, Huff, dobrze słyszałeś. Nie utrwalę twojej cholernej linii Hoyle'ów i możesz sam sobie za to podziękować. - Z tymi słowy Sayre odwróciła się i wybiegła z pokoju, ale stanęła jak wryta na widok Becka na korytarzu.



Sayre poczuła, że robi jej się słabo, ale bez słowa minęła Becka i zniknęła w cieniu spowijającym górny podest klatki schodowej. Po chwili rozległ się łoskot drzwi wejściowych. Beck nie poszedł za nią. Nie chciałaby tego. Był splamiony swoim powiązaniem z Huffem i teraz rozumiał powody jej niechęci do siebie. Zapukał do pokoju Huffa.

- To ja - powiedział.

Hoyle siedział w fotelu, chociaż Beck odniósł wrażenie, że opadł nań, nawet o tym nie wiedząc. Balansował na brzegu siedzenia, wpatrując się w podłogę, nieświadom tego, że leżący tuż obok jego stóp papieros wypala dziurę w dywanie, Beck podniósł niedopałek i zgasił go w popielniczce stojącej na stoliku obok fotela. Dopiero wtedy Huff zareagował na jego obecność.

- Beck. Jak długo tu jesteś?

- Wystarczająco długo.

- Słyszałeś, co powiedziała mi Sayre?

Beck pokiwał głową.

- Wszystko w porządku? Masz takie wypieki.

- Jeszcze żyję. Jeszcze. - Huff zmarszczył brwi, spoglądając na rozlany alkohol. - Przydałby mi się drink.

Beck nalał mu trochę wody i powiedział:

- Zaczynaj od tego.

Huff skrzywił się z niechęcią, ale wychylił szklanekę. Odchylając się w fotelu wypuścił powietrze z płuc.

- Co za cholerny dzień - warknął. - Zaczął się od pikiety przed odlewnią, a teraz się dowiedziałem, że Sayre jest bezpłodna. Zaiste doskonały akcent końcowy.

- Tylko to cię obchodzi?

- Słucham?

Beck usiadł na kanapie naprzeciwko Huffa.

- To, o czym rozmawialiście, Huff... przecież jeśli twoja jedyna córka...

Huff spojrział na niego, jakby chciał przerwać to jąkanie i usłyszeć sedno wypowiedzi. Skoro jednak sam nie zrozumiał, o co chodzi, Beck też mu tego nie uświadomi.

- Nie wiem, co chciałem powiedzieć. W końcu to prywatna sprawa między tobą i Sayre - dokończył Beck.

- Tak. Była nią od tamtej nocy, gdy się to zdarzyło.

- „Zdarzyło”? Sayre nie straciła dziecka przez czysty zbieg okoliczności, Huff. Wymusiłeś na niej aborcję.

- Była jeszcze gówniarą - krzyknął Huff, gestykulując niecierpliwie. - Nie zamierzałem pozwolić, by zniszczyła sobie życie, zanim na dobre je zacznie, zwłaszcza obciążając się dzieciakiem Clarka Daly'ego. Wiesz, dlaczego zaszła w ciążę, prawda?

- Żeby zapewnić sobie małżeństwo z Dalym - odparł Beck, chociaż pytanie Huffa nie wymagało odpowiedzi.

- Otóż to. Powstrzymałem ich przed ucieczką. Rodzice Clarka poddali się dość szybko, gdy zagroziłem jego ojcu utratą pracy. Wysłali syna na wakacje do kuzynów w Tennessee.

Pomyślałem, że odległość dzieląca Clarka i Sayre zakończy ich romans, ale Sayre znowu mi się przeciwstawiła. Pewnego weekendu wymknęła się z domu i spotkała potajemnie z Clarkiem.

Potem, miesiąc później, przychodzi do mnie, zadowolona, i oznajmia, że jest w ciąży i nie mogę ich teraz powstrzymać przed pobraniem się.

- Tyle że ty to zrobiłeś.

- Jeszcze jak. Nie ma dziecka, nie ma małżeństwa - pstryknął głośno palcami. - Rozwiązałem oba problemy za jednym zamachem.

Beck nie potrafił znaleźć słów w odpowiedzi na to przerażające oświadczenie.

- Co z Dalym? - zapytał. - Wiedział o dziecku?

- Nie wiem. Nigdy nie pytałem o to Sayre, a nawet gdybym to zrobił, i tak by nie odpowiedziała.

Nie odzywała się do mnie całymi miesiącami. Myślałem, że wreszcie się z tego otrząśnie, zapomni z czasem.

Beck przypomniał sobie wyraz twarzy Sayre, gdy opuściła pokój Huffa. Wyglądała tak, jakby to wszystko zdarzyło się zaledwie kilka dni temu.

- Nie sądzę, żeby kiedykolwiek o tym zapomniała, Huff - powiedział cicho.

- Na to wygląda, prawda? Teraz demonstruje przed odlewnią, wiesz? Nosi oskarżające mnie transparenty. To ona stała za sprawą Clarka Daly'ego. Sama się do tego przed chwilą przyznała.

Jeśli ten chłopak się z tego nie wygrzebie, Sayre zrobi wielką drakę i założę się, że to mnie oberwie się najgorzej.

- Wylize się. Jadąc tutaj, dzwoniłem do szpitala. Nie ma złamania czaszki, jedynie kilka pękniętych żeber, Jeszcze trwają badania, żeby wykluczyć krwawienia wewnętrzne, ale jak do tej pory żadnych nie wykryto, a to dobry znak.

Huff potarł wierzch głowy i roześmiał się z rozgoryczeniem.

- Chłopcy chyba trochę przesadzili.

- To był idiotyczny ruch, Huff.

Huff przestał się śmiać i spojrzał na Becka ostro, ze złością, co rzadko mu się zdarzało.

- Nie unos się, Huff - powiedział spokojnie Beck. - Płacisz mi za moje opinie. Jeśli nie podoba ci się moja szczerść, znajdź sobie innego prawnika. Ja ci mówię, że przelanie pierwszej krwi było głupim pomysłem. Sam zresztą powiedziałeś to samo wczoraj w nocy.

- Nie wiedziałem, że wszystko tak szybko wymknie się spod kontroli. Miałem stać z założonymi rękami i nie reagować?

- Zaatakowanie jednego z własnych pracowników było złym posunięciem. Osiągnąłeś tylko tyle, że wręczyłeś opozycji kolejny argument i dostarczyłeś więcej amunicji, której użyją w walce przeciwko nam.

Huff dźwignął się z fotela i podszedł do barku.

- Wszyscy dzisiaj mają do mnie pretensje - wymruczał.

- Zdaję sobie sprawę, że to nie najlepszy moment - odparł Beck. - Właśnie odbyłeś potworną kłótnię z Sayre i ostatnią rzeczą, jaką chciałbyś usłyszeć jest to, że źle radzisz sobie z sytuacją w fabryce, ale to prawda, Huff. Już wcześniej próbowałem ci wytłumaczyć, że nie możesz rozwiązywać problemu związków zawodowych tak, jak to robiłeś w przeszłości. Z Nielsonem nie pójdzie ci tak łatwo, jak z Iversonem. Nie wycofa się - zawiesił głos strategicznie, po czym dodał: - A tobie nie uda się go pozbyć.

Właściwie odczytując znaczenie jego słów, Huff odwrócił się powoli z pustą szklanką w jednej ręce i kilkoma kostkami lodu w drugiej. Zdawał się nie zauważać, że rozpuszczający się lód cieknie mu między palcami. Beck wytrzymał jego świdrujące spojrzenie.

- Nie zamierzam cię pytać, Huff, bo nie chcę wiedzieć, ale byłbym głupcem, gdym wierzył, że ty i Chris nie mieliście absolutnie nic wspólnego ze zniknięciem Gene'a Iversona. Chris na pewno odegrał w tamtej sprawie jakąś rolę. Na logikę, jeśli w oskarżeniu przeciwko niemu nie tkwiłoby ziarno prawdy, nie martwiłbyś się tak o wynik procesu i nie kazałbyś McGrawowi przekupić ławników. Pomimo tej pięknej scenki, jaką odegraliśmy z Chrisem na potrzeby Sayre, wszyscy wiemy, że zrobił to i został sownie wynagrodzony. Cokolwiek stało się z Iversonem, wyszliście z tego obronną ręką. Historia lubi się powtarzać.

- Co masz na myśli?

- Sonniego Hallsera.

- To nie ma nic do rzeczy.

- Czyżby, Huff? Dopiero niedawno dowiedziałem się, że tamtej nocy, której zginął Hallser, Chris odwiedził fabrykę.

Huff przeklął pod nosem i wrzucił topiący się lód do szklanki. Następnie odwrócił się, żeby nalać sobie drinka.

- Miał nikomu o tym nie mówić. Przysiągł mi to.

Beck nie chciał wyjaśniać Huffowi, że dowiedział się tego od Sayre, nie od Chrisa.

- Co zobaczył twój syn tamtej nocy?

- Kłótnię między mną i Sonniem.

- I?

- I nic - odparł Huff, podnosząc głos. - To wszystko, co zobaczył. Kłótnię dwóch mężczyzn.

- Ostrą kłótnię.

- Jedyne rodzaje, jakie znam. Obaj wypuściliśmy z siebie trochę pary. Potem wróciłem do domu z Chrisem, a nieco później Sonnie miał śmiertelny wypadek.

- Tragiczny zbieg okoliczności.

- Owszem. Dlaczego przywołujesz te wspomnienia?

- Żeby zilustrować to, o czym mówiłem. - Beck stał i okrążył pokój, stając wreszcie twarzą w twarz z Huffem. - Masz reputację człowieka rozwiązującego problemy w przedsiębiorstwie przy użyciu brutalnej siły, ocierającej się o przemoc. Taka taktyka jest w dzisiejszych czasach przestarzała, niczym stosowanie pijawek w leczeniu pacjentów.

Huff upił nieco whisky.

- W porządku, może rzeczywiście przekraczałem pewne granice i nagiąłem zasady, ale nigdy nie zawahałem się, aby zrobić to, co konieczne, dla ochrony mojej rodziny, mnie i mojego przedsiębiorstwa. Żeby wspiąć się na szczyt, trzeba być twardym jak skała. Chris to rozumie, ale nie sądzę, aby Danny albo Sayre kiedykolwiek to pojęli. Przejąłem w schedzie poślednią

odlewnię i przekształciłem ją w świetnie prosperujące przedsiębiorstwo - zacisnął pięść. -

Sądysz, że to by się stało, gdybym zachowywał się jak mięczak ulegający kaprysom związków zawodowych i spełniał wszystkie żądania moich pracowników? Diabła tam! Kiedy było trzeba, zakładałem podkute buty i kopałem tyłki. Zamierzam tak postępować do chwili, gdy złożą mnie w ziemi. Nikt nie zdoła zamknąć mojej fabryki! Ani Charles Nielson, ani nawet agencje federalne. A związki zawodowe pojawią się tutaj po moim trupie! - wykrzyczał ostatnie trzy słowa, dźgając przy tym powietrze palcem wskazującym. - Jeśli to możliwe, spróbujmy uniknąć trupów - odparł spokojnie Beck.

Huff rozluźnił się i nawet roześmiał.

- Też bym tak wolał, zwłaszcza jeśli mowa o mnie.

- Usiądź, zanim puszczą ci nerwy. I proszę, nie rób więcej takich rzeczy - dodał Beck, gdy Huff wrócił na swój fotel i jego twarz przestała być purpurowa. - Przynajmniej dopóki nie spróbuję wynegocjować pokojowego rozwiązania tego zamieszania. Paulikowie mogą przemyśleć sprawę procesu, jeśli zaoferujemy im pokaźną kwotę za ugodę.

- Jak pokaźną?

- Wystarczająco, żeby ich spacyfikować, lecz nie tak dużą, byś musiał się przerzucić na tańszy burbon. Poza tym gorąco cię namawiam do wyłączenia podajnika, przy którym miał wypadek Billy.

- Został naprawiony i pracuje prawidłowo.

- Owszem, został naprawiony, ale nie przeszedł przeglądu kapitalnego, jak powinien - upierał się Beck. - To tak, jakbyś się prosił o kolejną katastrofę. Naprawdę sądzisz, że możemy sobie pozwolić na jeszcze jeden wypadek?

- George dał tej maszynie zielone światło, podobnie jak Chris. To ich działka, Beck. Ty zajmij się trzymaniem nas z daleka od sądów.

Beck ustąpił niechętnie.

- Lepiej już pójde, zanim Selma wpadnie tu i wyrzuci mnie za to, że nie pozwalam ci spać o tej porze - powiedział.

- Wracasz do domu?

- Nie. Zamierzam spędzić tę noc na sofie w moim biurze. Jeden z nas powinien być na miejscu w razie prawdziwych kłopotów.

- Gdzie jest Chris?

- Chris nie musi mi się już więcej spowiadać. Przestałem być jego prawnikiem.

- Przekonałeś Rudego, żeby nie zamykał go w pudle przez weekend?

- Huff, to było moje ostatnie oficjalne zadanie w jego sprawie.

- Tak słyszałem. Ale nie mogę powiedzieć, żebym się cieszył.

- Biorąc pod uwagę to, co dzieje się w fabryce, tak będzie lepiej, Huff. I tak mam pełne ręce roboty.

- Ten nowy prawnik jest dobry?

- Wykonałem dzisiaj kilka telefonów, rozpytałem się o niego. Podobno jest lichwiarzem, ambitnym, aroganckim i odpychającym egomaniakiem, czyli ma wszystkie pożądane cechy.

Huff uśmiechnął się niewyraźnie.

- Miejmy nadzieję, że Chris nie będzie go potrzebował. Ten detektyw, Scott, próbuje wykopać studnię na pustyni. Historie biblijne - prychnął. - Opowiedziane akurat przez Klapsa Watkina.

- Przestraszył ją. - Beck nie zorientował się, że wypowiedział na głos swoją myśl, dopóki nie zobaczył, że Huff przygląda się mu dziwnie. - Sayre.

- Ach, rozumiem. Chodzi ci o tę wizytę w jej pokoju hotelowym. Dobrze jej tak za to, że zatrzymała się w tej dziurze.

- Przeraziła się bardziej, niż to okazała. Nie sądzę, żeby powiedziała nam wszystko, co usłyszała

od niego.

Ale umysł Huffa błędził już innymi ścieżkami, na których nie było miejsca na martwienie się o bezpieczeństwo Sayre.

- Ponieważ okazało się, że jest bezpłodna, zwalniam cię z obowiązku uwiedzenia jej, mój chłopcze - powiedział z lekkim chichotem. - Cała odpowiedzialność za zapewnienie mi wnuka znów będzie spoczywać na Chrisie. Teraz jest moim jedynym sposobem na osiągnięcie nieśmiertelności.

- Puk, puk.

Beck otworzył jedno oko i zobaczył Chrisa, uśmiechającego się do niego szeroko. Mimo bólu zeszywniałych mięśni, usiadł.

- Która godzina? - spytał.

- Dochodzi siódma. Spędziłeś tutaj całą noc?

- Prawie całą. - Beck opuścił nogi na podłogę i wstał, krzywiąc się boleśnie.

- Wyglądasz, jakby ktoś cię przejechał walcem - powiedział Chris. - Masz kłopoty z kręgosłupem?

- Spałem na kanapie o jedną trzecią krótszej ode mnie. Kręgosłup boli mnie, jakby przebiegło się po nim stado bizonów. Natomiast ty - przyjrzał się Chrisowi spode łba - jesteś świeży jak pączek róży.

- Huff kazał mi tu przyjechać wcześniej rano. Przypomniałem mu, że dziś jest sobota i oznajmiłem, co sobie myślę na temat pracy w weekendy, ale pozostał niewzruszony. Chciał, żebyśmy byli tutaj przed zmianą wachty. Więc jestem, na kacu, lecz wykąpany i ogolony, a to dużo więcej, niż można powiedzieć o tobie.

- Daj mi pięć minut. - Beck wyciągnął z szuflady zestaw przyborów toaletowych, a z szafy ubranie na zmianę. - Przywiozłem to z domu kilka dni temu, na wypadek, gdybym musiał zostać



na nocny dyżur.

Wyszli z biura razem i powędrowali w kierunku męskiej toalety, gdzie przewidująco kazali zainstalować prysznic.

- Gdzie byłeś wczoraj w nocy? - spytał Beck.

- W klubie w Breaux Bridge. To bardzo happeningowe miejsce. Powinieneś się kiedyś tam ze mną wybrać.

- Wyraźnie nie masz żadnych zmartwień, skoro rozbijasz się po nocnych lokalach.

- O co miałbym się martwić?

- Na początek o strajk. Jeżeli to ci nie wystarczy, może pomyślisz o tym, że jesteś głównym podejrzanym w śledztwie o morderstwo?

- Huff powiedział, że wynegocjujesz pokojowe zażegnanie strajku, a co do tej drugiej sprawy, wczoraj po południu rozmawiałem z moim nowym prawnikiem. Gadaliśmy przez telefon ponad godzinę. Opowiedziałem mu wszystko, od chwili, gdy znaleziono ciało Danny'ego. Powiedział, że nie mam się czym martwić. Nie mają na mnie nic, co by łączyło mnie z morderstwem, z wyjątkiem żalostnej paczki zapalek, którą równie dobrze mógł tam przywlec jakiś szop.

- Tak właśnie podejrzewałem.

Chris spojrzał na Becka ostro.

- Pesymista z ciebie i dziwak. Przystajesz być zabawny. W każdym razie ten adwokat przerobi Wayne'a Scotta na kaszkę. Jakież nowe wieści o Klapsie?

- O niczym nie wiem.

- Ten prawnik powiedział, że opowiadka o Kainie i Ablu to desperacki gest zdesperowanego uciekiniera przed prawem.

- Zgadzam się.

Razem weszli do łazienki. Chris podszedł do urynału, a Beck stanął przy umywalce i przyjrzał się

swojemu odbiciu w lustrze. Oczy miał zaczerwienione z powodu niewyspania, policzki porastała szczecina, a włosy po jednej stronie były zmierzwione i sterczały ku górze. Ale przynajmniej jego twarz wyglądała normalnie, czego nie można było powiedzieć o twarzy Clarka Daly'ego. Zapytał Chrisa, czy wie o ostatnim incydencie.

- Kiedy wczoraj w nocy wróciłem do domu, Huff jeszcze nie spał. Opowiedział mi o wszystkim.

Sięgnąwszy do kabiny, Beck odkręcił kurki pod prysznicem i zaczął się rozbierać.

- Pobili go dość poważnie.

Chris spuścił wodę.

- Moim zdaniem dostał dokładnie to, na co zasłużył. Ile to razy obcięto mu pensję za spóźnianie się do pracy, niepojawienie się w ogóle lub przychodzenie w stanie wskazującym na spożycie?

Dziesiątki, jeśli dobrze pamiętam. Zawsze jednak dostawał kolejną szansę i jak nam teraz podziękował za to, że dotąd nie wyrzuciliśmy go z pracy? Zachęcając do strajku! Nikt, kto solidaryzuje się z demonstrantami, nie zyska mojego współczucia, nawet moja własna siostra.

Beck wynurzył się spod prysznicza, wystawił głowę za róg kabiny i popatrzył na Chrisa, który mył ręce nad umywalką.

- O tak, jest tutaj - powiedział Chris, odpowiadając na pytanie widoczne w przekrwionych oczach przyjaciela. - Rozdaje kawę i gorące bułeczki. Widzieliśmy ją z Huffem, wjeżdżając do fabryki.

- Cholera.

- Idę zdobyć trochę kawy - zawołał Chris, wychodząc z toalety.

Beck skończył się myć. Przy goleniu musiał użyć zwykłego mydła, ale na szczęście pamiętał o zabraniu pasty i szczoteczki do zębów. Ubrał się szybko i wszedł do biura punktualnie o siódmej.

Wyjrzał z nadzieją przez szereg okien nad halą fabryczną. Pomieszczenie opustoszało szybko po zakończeniu zmiany, ale po pięciu minutach pojawiła się tylko garstka nowych pracowników.

- Psiakrew - mruknął pod nosem, wiedząc, że to złowróźbny znak. Odwrócił się i ruszył w stronę

drzwi, gdy nagle na progu stanął Chris, trzymając w ręku przeraźliwie trzeszczącą krótkofalówkę.

- Zdaje się, że mamy kłopoty - rzucił.

- Domyślam się.

- Fred Decluette powiedział, że niektórzy robotnicy z poprzedniej zmiany dołączyli po pracy do pikiety - wyjaśnił Chris, gdy biegli w kierunku biura Huffa. - Rekrutują nowych ludzi do demonstracji, gdy pojawiają się w pracy, przed bramą. Clark Daly stał się ich hasłem propagandowym.

Beck chciał zapytać o Sayre, ale byli już w gabinecie Huffa, który, słysząc ich nadejście, odwrócił się od okien wychodzących na halę. Na jego twarzy malował się wyraz wściekłości.

- Gdzie, do diabła, wszyscy się podziali?

Chris w krótkich zdaniach opisał co się dzieje.

- Idźcie tam - powiedział Huff. - Macie opanować sytuację i to już! Ja zadzwonię do Rudego i dołączę do was.

- Nie, ty zostajesz - sprzeciwił się Chris. - W zeszłym tygodniu miałeś zawał. Nie powinieneś się narażać na taki stres.

- Pieprzę to. To moja fabryka, moja własność! - wrzasnął Huff. - Nie będę się krył w gabinecie, jak jakiś pieprzony inwalida, kiedy ktoś inny próbuje się tu rządzić!

- Poradzę sobie z tym, Huff.

- Zgadzam się z Chrisem - wtrącił Beck. - Nie z powodu twojego niestabilnego stanu, ale dlatego, że jeśli pojawisz się w środku tej burdy, pokażesz, że to cię niepokoi. Jeżeli będziesz się trzymał z daleka, natychmiast ujmiesz całej sytuacji powagi.

Huff ustąpił, choć nadal z zadzierzystą miną.

- Cholera, masz rację, Beck. W porządku, zostanę tutaj i będę kontrolował wszystko ze swojego

gabinetu. Wy obaj idźcie i informujcie mnie o wszystkim.

Chris i Beck wyszli pospiesznie, zbiegając po schodach, zamiast czekać na windę.

- Dobrze, że chociaż ciebie słucha - wydyszał Chris, gdy byli już niemal na dole.

Beck spojrzał przez ramię,

- Musiałem coś powiedzieć, żeby zatrzymać go w fabryce.

Metalowe drzwi wejściowe były już rozpalone. Beck naparł na nie całym ciężarem ciała.

Wschodzące słońce oślepiło go reflektorowym blaskiem. Jego oczy przyzwyczyły się do

jasności w samą porę, aby zobaczyć lecącą w jego kierunku butelkę po piwie.

Sayre stała na dachu swojego wypożyczonego samochodu. Widziała stąd drzwi prowadzące do fabryki, z których wynurzył się przed chwilą Beck z Chrisem tuż za plecami. Najwyraźniej inni również dostrzegli ich pojawienie się, ponieważ natychmiast ktoś rzucił w nich butelką po piwie.

Beck dostrzegł pocisk i odbił go ramieniem. Razem z Chrisem zanurkowali za wielki kosz na odpadki, przy którym stał Fred Decluette, przemawiając przez megafon:

- Macie natychmiast oczyścić teren. Wszyscy pracownicy Hoyle Enterprises, którzy nie zgłoszą się do pracy do godziny siódmej trzydzieści, nie otrzymają dniówki.

Jego przemowa spotkała się z gwizdami ze strony agitatorów przysłanych przez Nielsona oraz robotników, którzy dołączyli do ogrodzonej łańcuchem pikiety. Większość pracowników fabryki, którzy kończyli lub zaczynali zmianę, kręciła się pomiędzy przeciwnymi obozami, zastanawiając się, do którego z nich dołączyć.

Jeden z opłaconych przez Nielsona prowodyrów również przemawiał przez megafon, namawiając robotników do powstrzymania się od pracy w odlewni, dopóki nie zostaną spełnione ich żądania, a ich miejsce pracy nie zacznie spełniać standardów opracowanych przez OSHA.

- Czy środki bezpieczeństwa to zbyt wiele?

- Nie! - ryknął chór jego zwolenników.

- Hoyle Enterprises dokonało napraw... - Dalsze słowa Freda utonęły w protestach i wrzasku.

Jeden z mężczyzn chwycił przenośny mikrofon i krzyknął:

- Zapytaj Billy'ego Paulika o twoje żałosne naprawy - poparły go kolejne okrzyki niezadowolenia i stek wyzwisk. Kiedy tłum ucichł, Chris przejął megafon od Freda.

- Posłuchajcie mnie. Zamierzamy zrekompensować wypadek rodzinie Paulika.

- Pieniądze za krew! - odkrzyknięto. Rozległy się śmiechy.

- Chcemy rozwiązać problem... - kontynuował niezrażony Chris. - Pragniemy wysłuchać...

- Tak jak rozwiążaliście problem z Clarkiem Dalym? - wrzasnął któryś z demonstrantów. -

Dziękujemy ale nie!

- Nie mamy nic wspólnego z wczorajszym wypadkiem Daly'ego - mówił Chris do megafonu.

- Jesteś cholernym kłamcą, Hoyle, tak, jak twój ojciec.

Sayre obserwowała, jak agitator z mikrofonem odwraca się i otwiera drzwi od samochodu, wyciągając rękę, aby pomóc komuś wysiąść. Luce Daly.

- O mój Boże - jęknęła Sayre.

Do tej pory zamieszki były jedynie groźbą, przemoc ograniczała się do butelki rzuconej w kierunku Becka i Chrisa. Obecność żony Clarka i to, co miała do powiedzenia, mogło wywołać prawdziwą agresję i doprowadzić do rozlewu krwi. Sayre zeskoczyła z dachu samochodu i zaczęła przeciskać się przez tłum w kierunku Luce Daly z nadzieją wyperswadowania jej udziału w tej demonstracji. Ku swojemu przerażeniu zobaczyła, że żona Daly'ego chwyta podany jej mikrofon. Był to tani system nagłośnienia, prawdopodobnie część dziecięcej zabawki lub zestawu karaoke, niemniej jej głos dobiegał wyraźnie z trzeszczących głośników.

- Jestem tutaj w imieniu mojego męża, który dziś rano nie mógł powiedzieć ani słowa, bo jego twarz i usta pełne są szwów. Przygotował jednak listę osób, i chciał, abym je publicznie wymieniła.

Zaczęła odczytywać nazwiska. Przy drugim, tłum zareagował gniewnie. Stojący obok Sayre mężczyzna przyłożył dłonie do ust i krzyknął głośno:

- Uuuuuuu!

- Kim są ci ludzie? - spytała Sayre, przekrzykując hałas.

- Psy Huffa Hoyle'a - odkrzyknął nieznajomy.

Clark spisał nazwiska napastników. Należeli do nich prawdopodobnie mężczyźni, którzy kryli się teraz za kontenerem na śmieci, wraz z Chrisem, Beckiem i Fredem. Jeden z nich wyrwał

Chrisowi megafon i wrzasnął:

- Ta suka kłamie!

Sayre ponownie ruszyła przez tłum w kierunku Luce, która powtórnie odczytywała listę.

Wcześniej niezdecydowani robotnicy zaczęli teraz dołączać do demonstrantów. Tłum protestujących zaczął rosnać, przekształcać się żyjącą własnym życiem masę, która utrudniała Sayre dalszą wędrówkę. Grupki wściekłych protestantów napierały na nią ze wszystkich stron.

Nagle usłyszała, że ktoś krzyczy:

- Ty też dostaniesz za swoje, Merchant!

Wspinając się na palce, zobaczyła Becka, zbliżającego się do ogrodzenia z łańcucha, które stanowiło linię demarkacyjną pomiędzy dwoma wrogimi obozami. Zmierzał w kierunku Luce, która celowo monotonnym głosem kontynuowała czytanie na głos.

Kiedy Beck dotarł do pierwszej linii demonstrantów, zatrzymał się i spojrzał prosto w oczy mężczyznom, którzy uformowali żywą barykadę. Krzyki nagle zastąpiła pełna napięcia cisza, która dzwoniła w uszach. Beck nie cofnął się ani na krok. Stopniowo tłum zaczął się przed nim rozstępować. Niektórzy odsuwali się na bok mniej chętnie niż inni, ale jednak utworzyli przejście dla Becka. W ten sposób przedostał się przez zbiegowisko ku Luce Daly. Gdy się zbliżył, kobieta opuściła mikrofon i spojrzała na niego z nieskrywaną wrogością.

- Rozumiem pani oburzenie - Beck mówił cicho, ale jego słowa niosły się daleko w ciężkim, wilgotnym powietrzu ponad milczącym tłumem. - Jeżeli Clark zidentyfikował mężczyzn, którzy zaatakowali go wczoraj w nocy, poniosą odpowiedzialność za swój czyn i zostaną postawieni przed sądem.

- Dlaczego miałabym ci wierzyć? - spytała.

- Daję pani moje słowo honoru.

- Twoje słowo honoru jest gównem! - krzyknął ktoś z tłumu.

Zachęceni, ludzie zaczęli wrzeszczeć:

- Jesteś dziwką Huffa Hoyle'a!

- Tak jest! Huff mówi, żebyś się schylił, a ty pytasz, jak nisko!

Do pierwszych śmiazków dołączyli inni, aż wyzwiska zlały się w hałas. Przekaz jednak był wyraźny; ludzie pogardzali Beckiem bardziej niż reprezentowanym przez niego wrogiem.

Merchant zwrócił się w kierunku tłumu, pragnąc odpowiedzieć, ale zanim otworzył usta, ktoś trafił go w twarz kamieniem. Potem jakiś mężczyzna stojący za plecami Becka skoczył na niego i wykręcił mu ręce do tyłu. Inny uderzył Merchanta w brzuch. Sayre wiedziała, że pomoc może nadejść tylko z jednego źródła. Spojrzała w kierunku kontenera na śmieci i zobaczyła, że Chris i towarzyszący mu mężczyźni wychynęli zza swojej osłony.

- Chris! - krzyknęła, mimo, że brat nie mógł jej usłyszeć.

Zaczęła wykrzykiwać jego imię raz po raz, machając rękoma nad głową. Zobaczyła, że Fred Decluette rusza w kierunku tłumu, gotowy przyjść na ratunek Beckowi. Powstrzymał go jednak Chris, chwyciwszy Freda za ramię. Potrząsnął głową i coś powiedział. Fred spojrzał z obawą w stronę, gdzie gniewny tłum otoczył Becka, potem jednak niechętnie się wycofał, zajmując miejsce u boku Chrisa.

Przeklinając w duchu brata, Sayre rzuciła się przed siebie, odpychając stojących jej na drodze ludzi. Wokół mężczyzn, którzy obalili Becka na ziemię, utworzył się krąg kibiców. Napastnicy na przemian kopali leżącego.

- Zostawcie go! - Sayre chwyciła jednego z nich za koszulę i szarpnęła do tyłu. Mężczyzna odwrócił się, zaciskając pięści. Zamarł, widząc, kto go odciągnął. Sayre precyzyjnie przeszła przez tłum, stając obok dwóch demonstrantów, pochylonych nad Beckiem.

- Przestańcie! - krzyknęła, gdy jeden z nich zamachnął się, aby wymierzyć leżącemu mocnego kopniaka. Napastnik zawahał się i spojrzał na nią. Wykorzystując moment oszołomienia, Sayre



odepchnęła go na bok i uklękła obok Becka. Jego twarz pokryta była krwią i potem, ale nie stracił przytomności. Sayre spojrzała na Luce Daly.

- Odwołaj ich! W ten sposób niczego nie osiągniesz.

- Ale będę miała satysfakcję.

Sayre zerwała się na równe nogi, stając twarzą w twarz z żoną Clarka.

- A Clark? Czy dzięki temu poczuje się lepiej? Wczoraj w nocy to Beck zawiózł go do szpitala - dodała, widząc cień niepewności w oczach Luce.

- Nadal jest jednym z nich.

- Ja nie jestem.

- Jasne - rzuciła Luce pogardliwie.

- Tylko z urodzenia, Luce. Nie mogę nic na to poradzić. Nie jestem jedną z nich i nie sądzę, byś naprawdę uważała, że jestem. Wiem dlaczego mnie nie lubisz - ciągnęła, gdy jej rozmówczyni nie wykazała chęci do dyskusji. - Rozumiem cię, ale przysięgam, że nie jestem twoją rywalką.

Clark jest twoim mężem. Kocha cię, a ty kochasz jego. Uczynić atak na niego czymś znaczącym,

Luce. Czymś więcej, niż tylko zemstą za to, co stało się wczoraj w nocy, i za to, co zdarzyło się dawno temu, zanim jeszcze Clark cię poznał. - Spojrzały sobie prosto w oczy i Sayre wyczuła, że Luce stopniowo się uspokaja.

- Jeśli chodzi o tych, którzy pobili Clarka, to mogę wierzyć słowu Merchanta, że zostaną ukarani? - spytała wreszcie.

- Nie musisz wierzyć jemu. Masz na to moje słowo.

Luce wpatrywała się w nią długo, a potem odwróciła się do mężczyzny z mikrofonem i skinęła szorstko głową. Agitator kazał odsunąć się ludziom otaczającym Becka. Sayre przyklękła i wsunęła dłonie pod jego ramiona.

- Będziesz w stanie wstać?

- Tak, ale powoli.

Beck nie pozwolił zabrać się do szpitala.

- Ostatnio byłem na pogotowiu więcej razy, niż potrafię zliczyć - skrzywił się boleśnie, odpowiadając na jej sugestię.

- Na pewno masz połamane żebra.

- Nie. Wiem, jak to jest. Kiedyś złamałem dwa. Futbol. Nie jest tak źle. Po prostu zabierz mnie do domu.

Trzymał się za bok, zaciskając zęby, gdy Sayre skręciła z szosy na drogę wiodącą do jego domu.

- Wychodząc, zamknij za sobą bramę - poprosił. - Media.

Sayre nie pomyślała o zainteresowaniu prasy wydarzeniami tego poranka, ale naturalnie znajdują się one w wiadomościach. Dziennikarze będą na pewno szukać kogoś z Hoyle Enterprises, żeby przeprowadzić z nim wywiad. Bez wątpienia Nielsona też.

Nie zatrzymała się przed domem, lecz podjechała od tyłu.

- Co robisz?

- Tutaj nikt nie zobaczy mojego samochodu.

- Sayre, nie musisz mnie odprowadzać do domu.

- Nie, ale być może będę musiała cię tam wnieść - mruknęła pod nosem, wysiadając i podchodząc do drzwi od strony pasażera. Pomogła Beckowi wysiąść i razem pokuśtykali w kierunku schodów przed tylnym wyjściem.

- Czy zanim wyjdiesz, mogłabyś nakarmić Frita? - poprosił Beck.

- Oczywiście.

Pies przywitał ich tak żywiołowo, że Sayre musiała go przywołać do porządku.

- Spokój! - zawołała surowo, pamiętając, jakiego tonu używał Beck w barze. Pies posłuchał, chociaż widać było, że jest zawiedziony.

- Przykro mi, kolego. Pobawimy się później - powiedział Beck.

- Wyjaśnię mu wszystko, jak tylko skończę się zajmować tobą - rzekła Sayre, prowadząc go do sypialni.

- Nie musisz tego robić.

- Owszem, muszę. To moja wina.

- Przecież nie rzuciłaś we mnie kamieniem. - Spojrzał na nią z ukosa. - A może jednak?

- Nie, ale stałam po stronie osobnika, który to zrobił, Ostrzegałeś mnie, że demonstracja koniec końców przekształci się w krwawe zamieszki i że ktoś na tym ucierpi. Nie posłuchałam cię,

- Zauważyłem, że masz ten brzydki nawyk.

- Beck, te twoje żebra, które nie są połamane...

- Tak?

- Mogę zmienić ten stan.

Jęknął z bólu.

- Błagam cię, nie rozśmieszaj mnie.

Gdy znaleźli się w sypialni, oparła go o wezłowie łóżka i szybko odsunęła kołdrę. Następnie pomogła mu usiąść na brzegu materaca.

- Będiesz mógł wytrzymać w tej pozycji, dopóki nie zdezynfekuję rany na policzku?

Wyraźnie cierpiał. Był spocony, wargi mu zbielewały.

- Apteczka jest w łazience - szepnął.

Sayre przeszukała kilka szuflad i szafek, zanim znalazła bandażę, watę, wodę utlenioną i fiolkę ibuprofenu. Gdy wróciła do pokoju, zastała Frita u stóp Becka, piszczącego żałościwie. Beck głaskał go po głowie.

- Martwi się o mnie - powiedział.

- Jest mądrzejszy od ciebie. Czy poza kamieniem coś jeszcze uderzyło cię w głowę?

- Nie.
- Czy straciłeś przytomność? Nie kręci ci się w głowie? Co jadłeś na śniadanie?
- Nie jadłem śniadania.
- W porządku. W takim razie na kolację.
- Sayre, nie mam wstrząśnienia mózgu.

- Skąd wiesz?

- Ponieważ w przeszłości przeszedłem przez dwa.

- Futbol?

- Baseball. Oberwałem w głowę.

- Dlatego jest taka twarda?

- Posłuchaj, nie mam zawrotów głowy, nie jest mi niedobrze, nie straciłem ani na chwilę przytomności... - przerwał, wciągając z sykiem powietrze, gdy przyłożyła mu watę nasączoną wodą utlenioną do rany na policzku.

- Możesz potrzebować szwów.

- Nie.

Otarła krew i zobaczyła, że rozcięcie jest długie, lecz niezbyt głębokie.

- Mimo wszystko zalecałabym założenie szwów.

- Przeżyję. Muszę tylko trochę poleżeć. - Rozpiął koszulę, ale kiedy zaczął ją zdejmować, gwałtownie nabrał powietrza.

- Pomogę ci.

Delikatnie zsunęła koszulę z jego ramion. Powoli pomogła mu uwolnić ręce z rękawów, a potem cofnęła się, żeby ocenić rozmiary uszkodzeń. Cały tors Becka pokryty był siniakami w miejscach licznych kopnięć. Jego plecy wyglądały równie źle.

- Och, Beck - wyszeptała. - Naprawdę powinni cię prześwietlić.

- Z powodu tego? - Jęcząc z bólu, położył się i oparł głowę na poduszce. - To nic takiego.

- Proszę, pozwól mi wezwać ambulans. Za piętnaście minut możesz być w szpitalu.

- Za to za piętnaście sekund mogę już spać, jeśli się zamkniesz i wyniesiesz z pokoju. Przedtem jednak poproszę o kilka tych pigułek.

Sayre otworzyła butelkę i wytrząsnęła na dłoń trzy tabletki. Poprosił o czwartą i Sayre mu podała. Podtrzymała go, żeby przełknął lekarstwo i popił wodą, którą przyniosła z łazienki.

Potem Beck opadł na poduszkę i zamknął oczy.

- Zanim wyjdiesz, czy mogłabyś zdjąć słuchawkę z widełek?

- Oczywiście.

- Nasyp też suchej karmy dla Frita i upewnij się, że ma wodę. Gdybyś jeszcze mogła go wypuścić za potrzebą...

- O nic się nie martw.

- Brama...

- Pamiętam.

Zasłoniła okna, aby przyciemnić pokój, i włączyła wiatrak pod sufitem. Potem usiadła, obserwując Becka, aż rytmiczne wznoszenie się i opadanie jego piersi wskazało, że zasnął.

Ruszyła w kierunku drzwi, pokazując psu, że powinien za nią pójść. Frito jednak ułożył się na podłodze, z głową na przednich łapach i spojrzał na nią smętnym wzrokiem.

Cicho wycofała się z pokoju.

Wczesnym popołudniem Beck obudził się z niespokojnego snu. Spojrzał na Sayre, zdziwiony jej obecnością.

- Ty tutaj?

- Jęczałeś. Chyba kończy się działanie ibuprofenu.

Spojrzał na zegarek stojący na szafce nocnej.

- Dlaczego wciąż tu jesteś?

- Weź jeszcze trzy tabletki. - Wepchnęła mu lekarstwo do ust i przytknęła do nich szklanę z wodą.

- Jacyś dziennikarze? - spytał po przełknięciu ibuprofenu.

- Około pierwszej pojawił się tu samochód dziennika telewizyjnego. Wysiedli z niego dwaj mężczyźni, popatrzyli przez chwilę na dom, po czym wrócili do wozu i odjechali.

Beck zamknął oczy i pokiwał głową.

- W wiadomościach południowych była wzmianka o zamieszkach. Więcej szczegółów mają podać w dzienniku wieczornym. Biuro Nielsona wydało oświadczenie. Przykro mu z powodu użytej przemocy. Twierdzi, że zaatakowali cię nie jego ludzie, lecz pracownicy Hoyle'a.

- Mówi prawdę. Rozpoznałem ich.

- Twoja komórka dzwoniła kilkakrotnie. Nie odebrałam wiadomości, ale sprawdziłam, kto dzwonił. Miałeś dwa telefony od Nielsona.

- Zadzwoń do niego, dowiedz się, czego chce. Oczywiście, jeśli nie sprawi ci to kłopotu.

- Skądże. Wiedziałam, że Huff będzie się o ciebie martwił, więc zadzwoniłam do niego.

Powiedziałam mu, że wszystko z tobą w porządku, odpoczywasz w domu i jeśli ktokolwiek, włączywszy jego samego, spróbuje zbliżyć się do podjazdu, zastrzelę go.

Uśmiechnął się do niej.

- Wierzę, że byłoby cię na to stać. Chris się odzywał?

- Powiem ci coś o Chrisie. Nie jest twoim przyjacielem, Beck.

Otworzył oczy. Sayre potrząsnęła powoli głową.

- Naprawdę - dodała łagodnie.

Przyglądał się jej przez długą chwilę, zanim zamknął oczy i zapadł w sen.

Kwadrans po szóstej Sayre zadzwoniła jeszcze raz do Huffa.

- Mówi Sayre - rzuciła w odpowiedzi na jego gniewne „Halo”. - Wiem z wieczornych wiadomości, co się stało.

Oddychał ciężko. Sayre wyobrażała sobie, że ściska słuchawkę tak mocno, aż zbielały mu kostki.

Zapewne gniewnie zaciągał się dymem z papierosa, a w jego oczach płonęła furia.

- Zadzwoiłaś, żeby się napawać moim nieszczęściem?

- Zadzwoiłam ze względu na Becka. Kiedy się obudzi, będzie chciał wiedzieć, jak zareagowałeś.

Na początku nie mogła uwierzyć w to, co oznajmił prezydent dziennika. Gdyby nie nagranie wideo, zaprezentowane jako dowód, uznałaby to za kaczkę dziennikarską. Po południu w fabryce Huffa pojawili się przedstawiciele OSHA i zamknęli całe przedsiębiorstwo, zarówno produkcję, jak i dystrybucję gotowych towarów.

- Tragiczne to czasy, gdy banda biurokratów, którzy całe życie bawią się długopisami i nigdy nie skalali się porządną pracą, odbiera firmę uczciwemu przedsiębiorcy - zaczął zrzędzić Huff. -

Przyłożyłaś do tego ręki?

- Nie, Huff. Ty to zrobiłeś. Sam sprowadziłeś na siebie ten los. Ostrzegano cię wiele razy.

Gdybyś podporządkował się zaleceniom...

- Chciałaś powiedzieć: gdybym podwinął pod siebie ogon.

Kłótnia z Huffem była pozbawiona sensu. Nigdy nie przyzna się do winy. Działalność Hoyle Enterprises zostanie zawieszona do chwili drobiazgowej inspekcji w fabryce. Agencja żądała pełnego podporządkowania się zaleceniom inspektorów oraz zapłacenia grzywien za wszelkie wykroczenia. Oczekiwano, że będzie ich wiele.

- Co zamierzasz zrobić? - spytała.

- Nie zamierzam się poddać tym skurwysynom. Jeżeli myślą, że pozwolę im przeprojektować moją fabrykę wedle ich woli, lepiej niech się zastanowią jeszcze raz.

„Przeprojektowanie”, wedle słów rzecznika OSHA, miałyby obejmować między innymi obowiązkowe zainstalowanie wyłączników bezpieczeństwa przy każdej maszynie, zamontowanie barierek i poręczy, wprowadzenie odpowiednich zabezpieczeń przed upadkiem z wysokości oraz zainstalowanie odpowiedniego systemu wentylacyjnego, żeby polepszyć warunki pracy.

- Co mam powiedzieć Beckowi, kiedy wstanie?

Huff przekazał jej wiadomość, a potem rozpoczął kolejną diatribę przeciw agencji federalnej:

- Ci jankesi z Waszyngtonu nie wiedzą, z kim zaczęli.

- Myślę, że doskonale zdają sobie z tego sprawę, Huff. Właśnie dlatego nie będą mieli dla ciebie litości.

- Cieszysz się z tego, prawda? Wreszcie masz swoją upragnioną zemstę.

- Nie chciałam się na tobie mścić, Huff.

- Niosłaś transparent przeciwko własnemu ojcu. Jeżeli to nie jest zemsta, to jak to nazwiesz?

- Przede wszystkim nie nazwałabym cię ojcem. - Rozłączyła się, zanim odpowiedział.

- Halo?

Chris uśmiechnął się do słuchawki.

- Przynajmniej zmusiłem cię do rozmowy ze mną - powiedział do Lili Robson.

- Cześć, Chris - odparła chłodno, jak wtedy, gdy odjeżdżała z ich idyllicznego pikniku.

- Tęskniłaś za mną? - Wahała się z odpowiedzią zbyt długo, żeby powiedzieć nie. - Tak myślałem. Wyczerpały ci się baterie w wibratorze? Może wpadniesz do mnie i razem je sprawdzimy, co?

- Nie chcę cię widzieć, dopóki nie załatwisz sprawy ze śmiercią twojego brata, zrozumiałeś? Nie mieszaj mnie do tego. Mówię poważnie, Chris. Jeżeli powiesz mojemu wujkowi, że tamtego popołudnia byłeś ze mną...

- George zostanie zwolniony z pracy.



Usłyszał, jak gwałtownie nabiera powietrza w płuca i głośno przełyka ślinę.

- Słucham?

- Inspektorzy z OSHA szukają odpowiedzialnych. Dyrektor do spraw BHP jest zazwyczaj pierwszą osobą, która przychodzi w takim przypadku do głowy, nie sądzisz? Gdyby George dobrze wykonywał swoją robotę, wiedziałby, że ten podajnik wymagał naprawy. Zamknąłby go i nie pozwolił uruchomić do czasu naprawy i przeglądu wykonanego przez wykwalifikowanego technika. Billy Paulik nie straciłby wtedy ramienia, my nie mielibyśmy ludzi Nielsona pikietujących przed fabryką, a odlewnia nadal pracowałaby pełną parą.

- Nie możesz obwiniać George'a! - krzyknęła. - Nigdy nie chciałeś, żeby wyłączył tę maszynę. Mój mąż robi tylko to, czego chcecie ty i Huff.

- W takim razie sugerujesz, że jest zbędny. Nie będziemy za nim tęsknić, gdy zostanie zwolniony.

- Chris, proszę.

Słyszając drżenie w jej głosie, uśmiechnął się i pogratulował sobie w duchu pomysłu, żeby zastosować tę taktykę.

- Zwolnienie George'a jest ostatecznością, Lila. Przede wszystkim pomyślałbym o wsparciu go, gdy inspektorzy się do niego dobiorą. Chcę, żeby został na swoim stanowisku, a ty możesz mu to zagwarantować.

- Jak?

- W poniedziałek rano udasz się do biura szeryfa i powiesz swojemu wujkowi Rudemu, że w niedzielę po południu, gdy zginął Danny, ja byłem z tobą. Będzie to podwójnie dobry uczynek, Lila. Po pierwsze, spełnisz swój obowiązek jako uczciwej obywatelki, mówiąc prawdę przedstawicielowi prawa i uwalniając niewinnego człowieka od dalszych prześladowań. Po drugie, ocalisz męża przed utratą pracy. Widzisz, myślałem sobie o tym nowym adwokacie,

którego wynająłem, i o tym, jak drogo będzie kosztować uniknięcie oskarżenia mnie o zbrodnię. Spytałem sam siebie, dlaczego muszę marnować czas i pieniądze, kiedy mogę szybko zakończyć całe to zamieszanie. Powinienem tylko przedstawić alibi - przerwał na chwilę. - Nie spytam, czy to zrobisz, bo wiem, że tak się stanie. A tak przy okazji: dopóki się tobą nie znudzę, masz być gotowa na każde moje zawołanie, wyglądać ślicznie i marzyć tylko o tym, by pójść ze mną do łóżka. Zrozumiałaś? - spytał, naśladowując jej wcześniejszy ton. - To ja zakończę ten romans, nie ty, Lila.

George obserwował, jak Lila wyłącza słuchawkę bezprzewodowego telefonu, rzuca ją na blat kuchenny i siada, zakrywając dłonią usta. Była wyraźnie zdenerwowana.

- Lila?

Odwróciła się, spoglądając na niego szeroko otwartymi ze strachu oczami. Przyłożyła rękę do piersi.

- Nie słyszałam, jak wchodziłeś. Myślałam, że jeszcze przez kilka godzin będziesz w fabryce.

Jakieś nowiny?

- To ty mi powiedz.

- Słucham?

Skinął głową w kierunku telefonu.

- Rozmawiałaś z Chrisem, prawda?

Lila otworzyła usta, jak gdyby chciała coś powiedzieć, ale zamknęła je bez słowa, po czym opuściła głowę i zaczęła płakać.

- Och, George, zrobiłam coś strasznego.

George przemierzył pomieszczenie tak szybko, jak pozwalały mu na to jego krótkie nogi i wziął ją w ramiona,

- No, no, kochanie, tylko nie płacz. Opowiedz mi o wszystkim.

I Lila zrobiła to, o co prosił, zaczynając od pierwszego spotkania z Chrisem.

- Było to w kabinie prysznicowej w damskiej łazience w klubie sportowym. Zapewne część mojego podniecenia wynikała z niebezpieczeństwa, że ktoś nas przyłapie. Po prostu chyba straciłam głowę, wiesz?

George potrafił to zrozumieć. Sam tracił głowę zawsze, gdy patrzył na żonę.

Lila nie zataiła niczego. Niektóre szczegóły były dla niego tak bolesne, że wywoływały jęk rozpacz. Zachęcał jednak żonę do kontynuowania opowieści o znajomości z Chrisem, aż do ostatniej rozmowy telefonicznej, którą częściowo podsłuchał.

- Jeśli nie spełnię jego żądania, stracisz pracę. Słyszałam, że niektórym dyrektorom i kierownikom grożą procesy kryminalne. Tobie też, George, zwłaszcza jeśli Hoyle'owie zrzucą całą winę na ciebie. Mogą cię wsadzić do więzienia. - Z jej oczu zaczęły znowu tryskać łzy. - Przepraszam, George. To wszystko moja wina. Tak mi przykro. Czy potrafisz po tym wszystkim nadal mnie kochać?

Kochać ją? George uwielbiał Lilę. Była jego słońcem i księżycem, powietrzem, którym oddychał.

- Nie winię cię za nic, kochanie - powtarzał raz po raz, tuląc ją do siebie, całując jej usta, wilgotne od łez oczy i mokre policzki.

Nie pozwoli, żeby Lila poszła w poniedziałek do biura szeryfa. Nie chciał, żeby wszyscy w mieście się dowiedzieli, że Chris Hoyle pieprzył jego żonę. George nie zniósłby takiego upokorzenia, zwłaszcza że i tak większość ludzi spoglądała na niego z drwiną.

Nie winił Lili za niewierność. Musiała z nim żyć, a dla tak pełnej życia, pięknej młodej kobiety ich małżeństwo nie mogło być fascynujące. Chris dostarczył jej dreszczyku emocji, którego nie mógł ofiarować George.

O nie, to nie Lilę, ale Chrisa obwiniał o wszystko. I to Chris musiał zostać ukarany.

Sayre obudził dźwięk lecącej z kranu wody, dochodzący z łazienki Becka. Przysnęła na sofie w dużym pokoju. Położyła się tam, by trochę odpocząć, ale najwyraźniej zmorzył ją sen. Wiedząc, że Beck już się obudził, wstała i po omacku ruszyła przez ciemny pokój w kierunku kuchni.

Gdy pojawiła się w jego sypialni, niosąc tackę z jedzeniem, Beck właśnie wychodził z łazienki, z ręcznikiem owiniętym wokół bioder i mokrymi włosami.

- Brałeś prysznic? - spytała zaskoczona.

- Obudziłem się w kałuży własnego potu.

Spojrzała na wiatrak pod sufitem, który wciąż pracował pełną parą.

- Powinnam ustawić termostat na nieco niższą temperaturę - powiedziała.

- To nie to. Miałem sen.

Postawiła tackę na otomanie naprzeciwko dwuosobowej kanapy, ustawionej na skos w rogu pokoju.

- Co ci się stało? - spytała, a gdy Beck nie odpowiedział, spojrzała na niego przez ramię.

- Nie pamiętam.

- Trzymasz się całkiem prosto. Jak się czujesz?

- Gorący prysznic trochę mi pomógł. Dlaczego światło jest zgaszone?

- Po wschodzie słońca opuściłam żaluzje i przerzuciłam się na świece. W ten sposób dla kogoś z zewnątrz dom będzie wyglądał na opustoszały.

- Dobry pomysł, - Beck zgasił światło w łazience. Sayre zapaliła świeczkę stojącą na tacce. -

Przygotowałam ci kolację. Jest zupa pomidorowa, ser i krakersy

- Nie powinnaś dla mnie gotować, ale jestem zbyt głodny, żeby cię za to skarcić.

Beck usiadł na kanapie, skromnie wsuwając ręcznik pomiędzy uda. Postawił tackę na kolanach.

Sayre przycupnęła na podnóżku. Beck chwycił łyżkę i zanurzył ją w zupie, potem jednak nagle

przypomniał sobie o dobrych manierach.

- Jadłaś już coś? - zapytał.

- Jakiś czas temu.

Upił nieco zupy i zagryzł żółtym serem.

- Jak się miewa Frito?

- Posilił się jajecznicą z boczkiem i teraz zażywa odpoczynku.

- Boczek? Dziękuję bardzo. Teraz już nigdy nie wystarczy mu zwykła jajecznica.

- Zasłużył sobie na szczególne traktowanie. Pilnował cię przez całe popołudnie.

Beck przestał jeść i spojrzał na nią.

- Najwyraźniej ty również.

Nagle pokój zrobił się zbyt ciemny i cichy, a Beck zbyt nagi. Sayre wstała szybko i pomimo jego protestów ściągnęła wilgotną pościel z łóżka, i wymieniła ją na nową. Zanim skończyła, Beck popijał już posiłek szklanką mleka. Odniosła tackę do kuchni i wróciła stamtąd z kilkoma czekoladkami.

- Pomyślałam, że może będziesz miał ochotę na coś słodkiego.

- Dzięki. - Odwinął czekoladkę ze sreberka i wrzucił do ust. - Co miałaś na myśli, mówiąc mi, że Chris nie jest moim przyjacielem? A może to tylko moja wyobraźnia?

Usiadła przy nim na kanapie.

- Nie. Powiedziałam to rzeczywiście. Kiedy cię bito, stał z boku i nie zrobił nic, żeby ci pomóc.

- Nie mógł zrobić zbyt wiele, Sayre.

- Bzdura - rzuciła gniewnie. - Nawet jeśli sam nie chciał się angażować w bójkę, nie powinien powstrzymywać Freda Decluette'a, który chciał przyjść ci z pomocą. Widziałam, jak zatrzymał go na miejscu.

- Sam zgłosiłem się na ochotnika do rozmowy z Luce Daly. Chris mi to odradzał. Powiedział, że

powiniennem poczekać na posiłki, które przybędą z Rudym. Zapewne pomyślał, że dostałem to, o co prosiłem. Próbowałem zrobić z siebie bohatera.

Wyjaśnienia Becka nie zmieniły jej opinii. Być może tkwiło w nich ziarno prawdy, ale widziała wyraz twarzy Chrisa i nie było to zaniepokojone oblicze kogoś, kto patrzy, jak tłum znęca się nad jego przyjacielem.

- Gdyby to on był na twoim miejscu, czy cokolwiek powstrzymałoby cię, by mu pomóc? - spytała.

- Nie wiem.

- Wiesz doskonale. Trzy lata temu w Razorbacku dołączyłeś do niego i Danny'ego podczas bójki.

- Co z perspektywy czasu było nieodpowiedzialne. Poza tym, nie walczyliśmy z tłumem, tylko z Klapsem Watkinssem.

Na wspomnienie tego nazwiska Sayre poczuła gęsią skórę na przedramionach. Potarła je dłońmi.

- Przepraszam - powiedział Beck. - Nie powiniennem ci o nim przypominać.

- Nie szkodzi.

- Pewnie go nie złapali, gdy spałem?

- Nic o tym nie wiem. - Zauważyła, jak gładko zmienił temat, żeby nie rozmawiać więcej o Chrisie. Przystała na to. - Policja ma obecnie pełne ręce roboty z zamieszkami przed fabryką.

- Skontaktowałaś się z Nielsonem?

- Rozmawiałam z jego recepcjonistką. Podziękowała mi za telefon. Słyszeli, co ci się przytrafiło dziś rano. Powiedziała, że bardzo im przykro z tego powodu i że to nie w stylu Nielsena. Pytała, jak sobie radzisz.

- Może ten facet uzali się nade mną i wreszcie się ze mną spotka.

- Może, ale...

- Aha. Jest jakieś „ale”.

Sayre wzięła czekoladkę.

- Nielson to kwestia dyskusyjna, Beck.

Niepewna, jak odbierze wiadomości, przekazała mu je najdelikatniej, jak potrafiła:

- Dziś rano OSHA zamknęła Hoyle Enterprises - opowiedziała mu to, co usłyszała w wiadomościach i później od Huffa. - Rzecznik prasowy agencji zasugerował, że poza karami, prawdopodobnie rzędu milionów dolarów, Departament Sprawiedliwości chce przeprowadzić swoje własne śledztwo. Firma może zostać postawiona w stan oskarżenia.

- Muszę tam jechać. - Beck próbował się podnieść, ale Sayre położyła dłoń na jego ramieniu i przytrzymała go na kanapie.

- Huff nie chce, żebyś się tam pojawiał.

- Nie chce?

- Zadzwoiłam do niego po dzienniku. Był tak wkurzony, że z trudnością można go było zrozumieć. Podkreślił jednak jedną, a właściwie dwie rzeczy. Powiedział, że masz zostać w domu, dopóki wszystko się nie uspokoi.

- Dlaczego?

Spuściła wzrok, spoglądając na sreberko od czekoladki, które zwijała w kulkę.

- Powiedział, że możesz teraz bardziej zaszkodzić niż, pomóc. Że wiesz za dużo i... cytuję, byłoby najlepiej, gdybyś pozostał niedysponowany z powodu niedawnych obrażeń i dlatego niezdolny odpowiedzieć na pytania zadawane ci przez tych wścibskich skurwysynów.

Beck zamilkł na długą chwilę, zastanawiając się nad tym, co usłyszał.

- Huff ma rację, Sayre - powiedział wreszcie. - Miałbym do wyboru albo obciążyć mojego pracodawcę, albo wykręcić się od odpowiedzi przed federalnymi, zarazem obarczając winą siebie.

Nie odpowiedziała, chociaż rozczarowało ją wyznanie Becka.

- Co to za druga sprawa, o której Huff mówił z naciskiem?

- Huff powiedział, że powinnam się wstydzić za pikietowanie przeciwko własnej rodzinie. Był przekonany, że cieszę się z zamknięcia fabryki.

- A cieszysz się? - Beck poczęstował się kolejną czekoladką.

- Nie. To dobrze, że Huff został zmuszony do wprowadzenia ulepszeń. To było konieczne, nieważne, czy naciskał go rząd, Nielson i związki zawodowe, czy ja. Obecna sytuacja musi się zmienić. - Uśmiechnęła się smutno. - Szkoda tylko, że nie udało się tego osiągnąć bez ofiar.

Jestem odpowiedzialna za atak na Clarka i, pośrednio, również na ciebie. Nie chciałam słuchać twoich ostrzeżeń i obaj przez to ucierpieliście.

- Nie jestem pewien, czy poważne zmiany mogą zostać wprowadzone bez uprzedniego konfliktu, Sayre. Postęp zazwyczaj ma swoją cenę. Niekoniecznie chodzi o uszkodzenia fizyczne, ale zawsze jest to jakiś rodzaj konfliktu.

- Ale ty ucierpiałeś. Nadal cię boli?

Na jego piersi, tuż pod sercem widniał siniak wielkości dłoni, widoczny nawet w panującym półmroku. Sayre wyciągnęła dłoń i dotknęła stłuczenia koniuszkami palców.

Chciała jedynie sprawdzić stan obrażenia, ale poczuła, że nie chce stracić kontaktu z ciepłą skórą Becka, w tym miejscu gładką, chociaż reszta klatki piersiowej i brzuch Becka były pokryte jasnobrązowymi włosami.

Palce Sayre, ledwie dotykając ciała, powędrowały do podobnego sińca na żebrach, po prawej stronie. Poniżej dostrzegła kolejny, na biodrze, częściowo zasłonięty przez ręcznik owinięty wokół talii. Dotknęła go lekko, a potem powróciła do pierwszego stłuczenia, na lewej piersi.

Przesunęła po nim dłonią, przyglądając się swoim palcom. Potem, pod wpływem impulsu pochyliła się i zastąpiła dłoń wargami. Pocałowała siniec kilka razy, delikatnie, niemal



niewyczuwalnie. Przekrzywiła głowę i musnęła ustami drugi siniak, a później, przesuwając lekko policzkiem po jego skórze, zjechała w dół i ucałowała siniak na biodrze. Raz. Następnie, odsuwając ręcznik, dotknęła go ustami po raz drugi, lżej niż muśnięcie powietrza.

Beck zamruczał. Chwycił jej głowę w dłonie i przyciągnął do siebie. Przyjrzał się jej twarzy, badając każdy szczegół. Zanurzył palce we włosy, unosząc je, a potem pozwalając opaść na miejsce. Wymówił jej imię chrapliwym szeptem.

Jedno uderzenie serca później Sayre poczuła jego wargi na swoich ustach. Ostrożnie, żeby nie urazić rozciętego policzka Becka, objęła dłońmi jego twarz i poddała się pocałunkowi.

Namiętność była tak wybuchowa i tak dobrze dobrana, że niemal zmuszała do rywalizacji.

Zatopili się oboje w pocałunku, a im dłużej smakowali siebie, tym bardziej się pragnęli. Beck podniósł Sayre i posadził okrakiem na kolanach. Przysunął ją, tak że poczuła między nogami jego męskość. Był twardy, zadziwiająco gotowy. Sayre oderwała się od pocałunku i spojrzała na niego zaskoczona.

- Mój sen - powiedział bez tchu. - Kochałem się z tobą. Teraz nie śnię.

- To może boleć.

- Już boli - mówiąc to, przyciągnął ją do siebie i pocałował jeszcze mocniej i głębiej, choć wydawało się to prawie niemożliwe. Rozłączyli się jedynie po to, by Beck ściągnął jej bluzkę przez głowę. Sięgając za plecy, rozpiął stanik i zdjął go, a potem przytulił głowę do jej piersi, żeby odzyskać oddech. Sayre otoczyła jego głowę ramionami i przytuliła policzek do włosów, wciąż wilgotnych po kąpieli. Odurzył ją zapach skóry i mydła, którego użył, oraz posmak czekolady w oddechu. Poruszyła biodrami, ocierając się o niego.

- O Boże, tak, jeszcze - jęknął. Posłuchała go.

Kiedy poczuła jego język na sutku, pomyślała, że roztopi się z rozkoszy. Zachęcony jej mimowolnymi westchnięciami, pocałował jej pierś delikatnie, a potem wessał koniuszek do ust,

przyciskając brodawkę językiem do podniebienia. Rozpiął jej spodnie i wsunął dłonie, uciskając jej pośladki, nacierając, eksplorując. Całe ciało Sayre przeszywały dreszcze, skupiające się w jej intymnym miejscu i sprawiające, że pragnęła, aby ją tam dotknął.

- Beck, pozwól mi... - Zsunęła się z jego kolan i zaczęła się rozbierać. Gdy została tylko w figach, zawahała się, ogarnięta nagłą i niespodziewaną wstydlivością. Spojrzał na nią błagalnie.

- Nie dręcz mnie - powiedział.

Sayre ściągnęła majtki i odwinęła ręcznik z bioder Becka. Jego męskość była wzwiedziona i piękna. Ogarnęło ją pragnienie, by poczuć go głęboko w swoim ciele.

Przesunął dłonią po kępce rudych włosów na jej łonie, a potem chwycił ją za talię i przyciągnął do siebie. Klękając nad nim na kanapie, rozsunęła uda. Beck przytulił twarz do ulegle miękkiego brzucha i pocałował go, schodząc niżej i niżej, aż rozpułnęła się na jego wargach i języku, drząc z pożądania i pragnąc, aby znalazł się w niej. Powiedziała mu to. Z powodu obrażeń, jakich doznał, zbliżenie nie było gwałtowne... i tym lepiej. Sayre dosiadała go powoli, centymetr po centymetrze, smakując każdą chwilę, która przynosiła nowe, cudowne, fascynujące odczucia. Jeśli Beck był niecierpliwy, nie okazał tego, chyba jemu również spodobał się jej pełen samozadowolenia brak pośpiechu.

Gdy już się wydawało, że nie mogą być bardziej połączeni, chwycił jej biodra w kołyskę swych dłoni i przytrzymał, poruszając się w górę i sprawiając, że krzyknęła cicho z nagłej rozkoszy. Ich ruchy były delikatne i powolne, lecz tak intensywne, że wstrzymywali oddech, gwałtownie łapiąc powietrze tylko wtedy, kiedy przypominali sobie, że muszą oddychać. Palce Becka wbijały się w jej biodra, przytrzymując ją blisko, ale jej ręce też nie pozostawały bezczynne. Dotykała jego ramion i barków, głaskała głowę, kark i pierś. Wyginając się do tyłu, sięgnęła za siebie i pogładziła go po udach, pieszcząc ich wewnętrzną część. Beck jęknął z niewysłowionej rozkoszy.

Kiedy doszedł, otoczył ją ramionami i przytulił rozpalony policzek do piersi. Wargi dotknęły jej pobudzonego sutka. Nie zrozumiała słów, które wyszeptał, jednak wypowiedział je tak seksownym tonem, że wyzwolił jej orgazm.

Nieco później leżeli w łóżku, twarzą w twarz.

- Co powiedziałaś? - spytała Sayre.

- Kiedy?

W odpowiedzi uniosła brwi i spojrzała na niego znacząco.

- Ach. Ciąg brzydkich słów, jak sądzę.

- Bardzo erotyczne - mruknęła, trącając jego męskość kolanem.

- W takim razie następnym razem powiem je głośniej. Poczuł, jak jego sutki twardnieją pod dotykiem jej palców. Ku jego rozkoszy, otoczyła jeden z nich wargami i zaczęła delikatnie drażnić koniuszkiem języka. Odsuwając się na kilka milimetrów, wymruczała:

- Wiedziałaś, że od początku tego chciałam, prawda?

Odzyskanie głosu zajęło mu dłuższą chwilę.

- Tak przypuszczałem - odparł wreszcie.

- Wiedziałaś od pierwszego spotkania?

- Od naszej rozmowy przy pianinie.

Spojrzała na niego.

- Wtedy, przy pianinie, myślałam, że jesteś najbardziej aroganckim skurwysynem, jakiego miałam nieszczęście poznać. - Przesunęła palcem w dół po jego brodzie. - A przy okazji, jednym z najatrakcyjniejszych.

- Ja zaś zastanawiałem się, jak się powstrzymać, żeby nie dotknąć cię po to, by sprawdzić, że naprawdę istniejesz. Wydałaś mi się najbardziej seksowną kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem.

A przy okazji, najbardziej przemądrzałą.

Zaśmiała się lekko.

- Tak bardzo chciałam cię nienawidzić - powiedziała. Nagle spoważniała. - Chciałabym cię nienawidzić teraz.

- Chcesz tego z powodu brudnej roboty, jaką wykonuję dla Huffa.

- Tak.

- Podziwiam twoją prawość.

- Czyżby, Beck?

- Tak. Czy moglibyśmy jednak porzucić na chwilę twoją prawość i mój jej brak? - wyszeptał. -

Przynajmniej do rana.

- Chcesz, żebym została?

Przytulił ją mocniej.

- Tylko spróbuj odejść.

Pocałowali się długo i bez pośpiechu. Jego ręce powędrowały od jej piersi w kierunku miękkiej, wilgotnej tajemnicy jej płci, a potem znów w górę, ku piersi i nabrzmiałej brodawce. Od pierwszego spotkania z Sayre setki razy wyobrażał sobie, jak leżą obok siebie, nadzy. Rzeczywistość jednak przechodziła jego najśmielsze wyobrażenia. Teraz, kiedy w końcu byli razem, Beck nie mógł się nasycić jej dotykiem. Kiedy przestali się całować, objął wzrokiem jej ciało.

- Jesteś piękna, Sayre.

- Dziękuję.

- Bez skazy.

Ten komentarz sprawił, że senny uśmiech stopniowo zniknął z jej twarzy. Poczł, jak Sayre wycofuje się w głąb siebie, jeszcze zanim usiadła i przyciągnęła kolana do piersi, opierając na nich brodę.

- Mam skazę, Beck. Lepiej by było dla ciebie, gdybyś nigdy mnie nie poznał.

- To nieprawda.

- To prawda, Beck. Pozostawiam za sobą zniszczenie My, Hoyle'owie, jesteśmy z tego znani. To nasza specjalność. Łamiemy ludziom serca i życia, nieodwracalnie.

Położył dłoń na jej plecach. Skóra Sayre była niewiarygodnie gładka i blada w porównaniu z jego ciałem. Jej biodra odcinały się łagodnym łukiem od wąskiej talii. Nad pośladkami widniały dwa symetryczne płytkie dołeczki. Ta kobieca cecha sprawiła, że jego serce wypełniło dziwne pragnienie, jakiego nie czuł nigdy przedtem. Wiele razy odczuwał fizyczne pożądanie, nigdy jednak nie doświadczył pragnienia, aby całkowicie posiadać ciało kobiety, poznać jego pełnię.

- Co zniszczyłaś, Sayre?

- Poślubiłam dwóch mężczyzn, których nie kochałam. Wydawałam ich pieniądze, dzieliłam z nimi łóżko, lecz ledwo pamiętam, jak wyglądali. - Spojrzała na niego, sprawdzając reakcję, ale twarz Becka pozostała spokojna.

Chciał, żeby opowiedziała mu o tamtych czasach. Pragnął poznać wszystkie brudne szczegóły jej tamtego życia.

- Zniszczyłam ich. - Patrzyła przed siebie. Mówiła z wyraźnym trudem. - Celowo i dla własnych egoistycznych celów. Nie miałam nic przeciwko nim, ale wykorzystałam ich bezlitośnie.

Chciałam ukarać Huffa za to, że odebrał mi Clarka i moje dziecko. Nie obchodziło mnie dłużej moje życie, ważne było tylko to, żeby go zranić. Kiedy kazał mi wyjść za mąż, zrobiłam to wyłącznie, by zrujnować moje małżeństwo tak, żeby Huff na tym ucierpiał. Ci dwaj mężczyźni padli ofiarą niesławnych Hoyle'ów i naszego talentu do niszczenia życia.

- Nie mam ani krzty współczucia do twoich tak zwanych małżonków. Ożenili się z tobą, wiedząc, że ich nie kochasz. Dopraszali się o to, abyś ich wykorzystała. W zamian za swoje poświęcenie mogli z tobą sypiać. Ile miałaś wtedy lat?

- Za pierwszym razem dziewiętnaście. Poślubiając drugiego z nich, skończyłam dwadzieścia

jeden.

- A oni? W jakim byli wieku?

- Starsi. O wiele starsi. Bardziej w wieku Huffa niż moim.

Dwaj napaleni znajomkowie Huffa potrafili wyczuć czekające ich przyjemności. Chwycili się szansy na poślubienie Sayre, nawet ze świadomością, że najprawdopodobniej ich związek z nią nie potrwa długo.

- Mogli spędzać każdą noc z piękną, młodą kobietą. Chyba że nie...

- Tak. Chciałabym móc ci powiedzieć, że tego z nimi nie robiłam - rzekła tak cicho, że ledwie ją usłyszał. - Ale dostęp do mojego ciała był częścią kontraktu.

- W takim razie wykorzystywano cię, prawda?

Oparła czoło na kolanach.

- Niezbyt piękna przeszłość, co?

Nie zważając na przeszywający ból w klatce piersiowej, usiadł i otoczył ją ramieniem. Potem pociągnął ją w dół, układając na poduszce obok siebie. Odgarnął włosy z twarzy i zmusił, żeby na niego spojrzała.

- Czy ktokolwiek mógłby cię winić za to, co zrobiłaś po tym, co ci się przytrafiło?

- Wczoraj w nocy podsłuchałeś moją rozmowę z Huffem. Słyszałeś wszystko?

- Wystarczająco dużo, by zrozumieć, dlaczego tak nienawidzisz ojca.

Sayre wtuliła twarz w jego szyję.

- To, co się stało, było bardzo dobrze strzeżoną tajemnicą. Nawet moi bracia nic o tym nie wiedzieli. Ani Selma. Nikt. Nie mogłam o tym z nikim porozmawiać, podzielić się swoim bólem.

- Clark?

- Nigdy się nie dowiedział, że byłam w ciąży. Popełniłam błąd, mówiąc o tym Huffowi, zanim porozmawiałam z nim. A po aborcji co mogłam zyskać, mówiąc mu o tym? Dziecka już nie było.

Gdyby się dowiedział, poczułby się jedynie tak samo okropnie, jak ja.

- Kochałaś go za bardzo, żeby mu powiedzieć.

- Coś w tym stylu. Nadal jest mi bardzo drogi. Zawsze będę wspominała nasz związek bardzo czule. Moja pierwsza miłość. Cierpię jednak... - przerwała na dłuższą chwilę, zanim podjęła wątek. - Cierpię jednak z powodu dziecka. Była to jedyna niewinna istota w moim życiu, w świecie rodziny Hoyle'ów. Czysta, nietknięta. A Huff ją zniszczył.

Chwytnąjąc ją lekko za brodę, Beck przekręcił jej głowę, scałując łzy, które potoczyły się po skroni w stronę linii włosów.

- Nie zniosę twojej litości - powiedziała chropawym głosem.

- W porządku. Zatem ty ulituj się nade mną.

Chwytnąjąc jej dłoń i zamknął wokół swojego penisa. Całując ją, prowadził jej rękę, aż Sayre zmieniła pozycję. Wycalaowała jego sińce na klatce piersiowej, brzuchu i niżej.

- To była jedna z twoich fantazji, prawda, Beck? - spytała. - Tamtego dnia, w odlewni, kiedy powiedziałeś, że nie chcesz, aby kogoś rozproszyły moje włosy i...

- ... żeby zaczął sobie wyobrażać, jak łaskoczą jego brzuch. Wydało się.

- Wydało się już wcześniej - wyszeptała, a potem pochyliła się nad nim. Jej usta były na przemian nieśmiałe, prowokujące i odważne. Wilgotne. I gorące. Bardzo.

Wyszeptał jej imię, przyciągnął ją do siebie i pocałował, smakując siebie samego, ich oboje.

Rozsunął jej uda i wsunął się między nie.

- Boli? - spytała.

- Jak cholera.

- Może wolałbyś...

- Nie. Wiem, czego chcę.

Nie dyskutowała z nim dłużej.

- Tak - jęknęła. - Tak.

Poddała się zupełnie. Zgięła ramiona w łokciach, układając dłonie przy skroniach. Beck splótł palce z jej palcami, chwytając ją mocno. Gdy zaczął się w niej poruszać, patrzyli się sobie w oczy

- Jeśli nie chcesz litości, Sayre, powiedz mi, co chciałabyś usłyszeć, a ja ci to powiem.

- Nie musisz nic mówić, tylko...

- Tylko co?

- Wejź we mnie głęboko.

- Jestem głęboko. Tak głęboko, że się zgubiłem. Co jeszcze?

- Proszę... - Wygięła szyję i zagryzła dolną wargę. Beck poczuł, że jej ciało zwiera się wokół niego niczym pięść.

Obserwował, jak fala zbliżającego się orgazmu rozlewa się rumieńcem na jej piersiach, jak twardnieją brodawki, Nasłuchując jej gwałtownego oddechu, wyczuł, że jest już blisko. Wtedy przysunął się bliżej i zaczął poruszać biodrami, wykonując małe, rytmiczne koliste ruchy.

- Proszę co, Sayre?

- O Boże!

- Co?

- Przytul mnie - zawołała bezradnie. I Beck zrobił to, o co prosiła. Okrył ją swoim ciałem, pozwalając, by poczuła jego ciężar. Wtulili się w siebie tak mocno, że ich ciała zaczęły pulsować razem, a ich serca bić unisono.

Później Sayre zasnęła wtulona w jego szyję, z dłonią spoczywającą ufnie na piersi, rozgrzewając skórę swoim oddechem. Beck oparł brodę o jej głowę i wpatrzył się w sufit. Chciał wykochać z niej cały ten ból - Huffa, aborcję, Clarka Daly'ego, wszystko. Chciał wyrwać to z jej pamięci, żeby wreszcie zaznała spokoju i zadowolenia, może nawet radości. Chciał dać jej choć jedną



oślepiającą chwilę życia bez śladu gniewu i żalu. I przez te kilka chwil miłosnego zapamiętania myślał, że może mu się to udało. Teraz jednak, kiedy tak leżał, obserwując wirujące łopaty wiatraka pod sufitem, zadawał sobie pytanie, czy aby na pewno to on był osobą obdarzającą.

Huff siedział właśnie na ganku frontowym, pijąc poranną kawę, kiedy przed dom zajechał Rudy Harper w służbowym wozie. Wysiadł, niosąc pod pachą jakieś zawiniątko. Zbliżył się niepewnym krokiem.

- Wcześniej zaczęłaś, jak na niedzielny poranek - zauważył Huff.

Wspięcie się po schodach zdawało się pozbawić Rudego wszystkich sił. Jego twarz ukryta pod rondem służbowego kapelusza zrobiła się szara. Szeryf wszedł na ganek i zdjął nakrycie głowy.

- Udręczeni nie mogą zaznać spokoju, Huff.

- Zawołaj Selmę, żeby przyniosła ci trochę kawy.

- Nie, dziękuję. Nie mogę zostać aż tak długo. Przyszedłem z nowinami.

- Mam nadzieję, że z dobrymi. Byłaby to jakaś miła odmiana.

- Nie wiesz, jak mi przykro z powodu tego, co się dzieje w fabryce.

- Chciałeś powiedzieć, co nie dzieje się w fabryce przez tych rządowych skurwysynów.

Huff nie był w najlepszym nastroju. Spał niespokojnie, budząc się często, owinięty prześcieradłem wilgotnym od potu. Trzymał fason przed wszystkimi, mimo że wczoraj sytuacja tylko się pogorszyła. Gdyby pokazał, że inwazja OSHA podłamała jego pewność siebie albo że zaczął mieć wątpliwości, następstwa byłyby tragiczne w skutkach i zagroziłyby przyszłości Hoyle Enterprises. Będzie udawał niezrażonego wydarzeniami i pełnego optymizmu. Owa gra sporo go jednak kosztowała. W głębi duszy czuł strach i niepewność, jakich nie doznawał od dnia, w którym na jego oczach zginął tata od uderzenia w głowę. Od tamtej chwili strach stał się wrogiem Huffa, który przez dziesiątki lat utwierdzał wszystkich w przekonaniu, że owo uczucie było mu obce.

Patrząc jednak, jak Rudy Harper z wysiłkiem sadowi się na fotelu bujanym, Huff zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie oszukiwał się, wierząc, że jego strach jest niewykrywalny. Czy

był tak oczywisty, jak wyniszczenie Rudego spowodowane rakiem? Czy w głębi duszy ludzie postrzegali go jako niedołęznego starca, stojącego nad grobem?

Do niedawna jedno jego słowo, jedno znaczące spojrzenie potrafiło usadzić najbardziej wojowniczego człowieka. Bez umiejętności wywoływania w ludziach strachu przestanie być Huffem Hoyle'em. Bez władzy, którą dawała mu zdolność do onieśmielania, stanie się zwykłym starym człowiekiem, słabym i odartym z godności.

Spojrzał na horyzont, gdzie zazwyczaj unosił się dym z kominów odlewni. Zawsze lubił przyglądać się kłębowi wyziewów hutniczych. Były niczym jego pieczęć na niebie, górująca nad całym miastem. Dziś jednak nie było dymu i Huff pomyślał, czy i on zniknie równie szybko i całkowicie, jak dym. Ta refleksja przyprawiła go niemal o atak paniki.

- Jakie masz dla mnie wieści, Rudy? - spytał płaczącym tonem.

Szeryf skrzywił się, jakby coś go zabolalo. Niewątpliwie tak właśnie było.

- Dobrze i niedobrze.

- Nie trzymaj mnie w niepewności. Co masz w torbie?

- Dowód. Nie mogę ci go pokazać, nie ryzykując kontaminacji, ale prawie na pewno wskazuje nam na zabójcę Danny'ego.

- Czyli na kogo zatem?

- Klapsa Watkinsa.

- To są wiadomości! - ryknął Huff, klaszcząc w ręce. - To wspaniałe! Wiedziałem, że ten szczur błotny to zrobił. - Wskazał w kierunku torby. - Co znaleźliście?

- Jeden z jego kolegów motocyklistów zgłosił się do mnie dziś przed wschodem słońca. Pozwolił Klapsowi zatrzymać się u siebie na weekend, sam w tym czasie pojechał na wyścig motocyklowy do Arkansas. Kiedy wrócił do domu wczoraj w nocy, Watkinsa już nie było. Zostawił jednak jeden ze swoich butów. Kiedy facet zobaczył, że jest na nim pełno krwi, zadzwonił do mnie.

- To krew Danny'ego?

- Jeszcze nie wiem na pewno, ale tak zgaduję. Zamierzam wysłać ten but do laboratorium kryminalnego w Orleanie, żeby przeprowadzili testy. Motocyklista zgodził się przechować Watkina, bo myślał, że poszukujemy go wyłącznie po to, by go przesłuchać. Potem jednak znalazł to - podniósł torbę. - Nie chciał brać udziału w ukrywaniu mordercy. Obiecał pełną współpracę. Przeszukaliśmy jego dom wzdłuż i wszerz, ale to wszystko, co znaleźliśmy z rzeczy Watkina. Wygląda na to, że gdy się pakował, zgubił ten but. A teraz złe wieści. Wciąż jeszcze nie udało nam się odnaleźć Klapsa. Kiedy zda sobie sprawę ze zguby, zrozumie, że to koniec i że nie ma nic do stracenia. Może próbować zabić kolejnego Hoyle'a.

- Mógł zabić Chrisa wtedy, na drodze.

- Nie. Chciał go najpierw nastraszyć. Typowe dla Watkinsów. Jeden z jego przyszywanych braci, o ile pamiętam, prześladował swoją byłą dziewczynę całymi miesiącami, grożąc jej śmiercią, zanim naprawdę odważył się cokolwiek zrobić. Poza tym, Klaps nie posunąłby się do żadnych drastycznych czynów w obecności Becka. Co zaś do jego wizyty w pokoju Sayre... cóż, powiedzmy, że naprawdę się cieszę, iż znaleźliśmy ten dowód po, a nie przed jego odwiedzinami, inaczej naprawdę mógłby ją skrzywdzić. W każdym razie, Watkins dostanie czapę za Danny'ego. Pewnie wpadnie na to, że nie mogą mu wstrzyknąć trucizny dwa razy, więc równie dobrze może zabić znowu. W związku z tym, czy chcesz, żebym przysłał tutaj policjanta?

- Sam o siebie zadbam.

- Obawiałem się, że to powiesz.

- Chciałbym, żeby ten gnojek przyszedł. Wtedy bym się z nim rozprawił.

- Tego też się obawiałem i właśnie z tego powodu wolałbym zainstalować tu jednego z moich ludzi. Dla ochrony twojej i Watkina. Uważaj Huff. Nie mamy do czynienia z krnąbrnym chłopczykiem. Klaps był złym i agresywnym człowiekiem jeszcze przed Angolą, a stamtąd

wyszedł jeszcze gorszy, choć niezbyt mądry. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego nie zniszczył ubrania, które miał na sobie w niedzielę.

- Nie pamiętam, żeby którykolwiek ze znanych mi Watkinsów grzeszył inteligencją.

- Prawdopodobnie właśnie głupota go zdemaskowała. Pewnie gdybyśmy mu dali wystarczająco długi sznur, sam by się na nim powiesił. Naprawdę mi przykro z powodu twojego przedsięwzięcia, Huff - dodał.

Sposób, w jaki szeryf niespodziewanie przeszedł z jednego tematu w drugi, sprawił, że Huff zaczął się zastanawiać, w którym momencie Rudy przestał mówić o Klapsie Watkinsie, a zaczął o nim. Czyżby nawet ten schorowany starzec stracił do niego zaufanie?

- Wróćmy do pracy, nim zdążysz się zorientować - powiedział. - Nic mnie nie powstrzyma, Rudy. Powinieneś o tym wiedzieć.

Szeryf Harper wpatrzył się w trawnik.

- Cieszę się, że mamy ten dowód przeciwko Klapsowi - odezwał się po długiej chwili milczenia.

- Jeżeli krew na bucie okaże się krwią Danny'ego, sprawa zostanie zamknięta. Powiem ci, Huff, zacząłem się już martwić, że może Chris... no...

Spoglądali na siebie przez jakiś czas. Wreszcie szeryf rzekł cicho:

- Jest jeszcze to - z kieszeni na piersi wyciągnął kopertę i położył ją na małym stoliku między fotelami.

- Co to?

- Informacja, którą miałem dla ciebie zdobyć. O Charlesie Nielsonie.

- Czego się dowiedziałeś?

- Wszystko jest tam napisane.

- Coś dobrego? Ile za to chcesz?

Rudy nie odwzajemnił uśmiechu Huffa.

- Nic, Huff. To na mój koszt.

- Pierwszy raz.

- Właściwie ostatni. - Harper podniósł się, wspierając się o podłokietniki fotela. - Dobrze się trzymaliśmy. Przez całe lata dbaliśmy o to, żeby wszystko układało się po twojej myśli. Teraz przyszedł kres. Umywam ręce. Nie mieszaj mnie więcej do swoich spraw. Nigdy cię nie wydam, ale nie pomogę ci z tym - wskazał na kopertę. - Cokolwiek zrobisz, pamiętaj, że od tej chwili działasz sam.

Nie wyglądał na kogoś, kto ma wystarczająco dużo sił, aby wsiąść z powrotem do samochodu, nie mówiąc już o wykonaniu swoich powinności jako szeryfa czy spełnianiu dodatkowych poleceń Huffa. Przynajmniej jednak przyznał się do swojej słabości i miał na tyle rozsądku, by postawić sprawę jasno. Ludzie nękani dolegliwościami fizycznymi lub problemami natury moralnej byli dla Huffa bezużyteczni.

- Dbaj o siebie, Rudy.

- Trochę już na to za późno - odparł szeryf i wskazał brodą na dom. - Lepiej ostrzeż Chrisa, że Watkins wciąż jest na wolności i może być bardziej zdesperowany niż przedtem. Przekaż to samo Sayre. Niech się mają na baczności.

- Jasne.

Rudy włożył kapelusz i pokuśtykał w dół schodami. Odjeżdżając, nie obejrzał się za siebie ani nie pomachał.

Huff chwycił kopertę pozostawioną przez szeryfa i wszedł do domu, wołając głośno Selmę. Gospodyni wynurzyła się z kuchni, wycierając dłonie o fartuch.

- Chce pan jeszcze kawy?

- Sam sobie wezmę. - Rozkleił kopertę. - Idź na górę i obudź Chrisa. Powiedz mu, że muszę z nim porozmawiać.

- Panicza nie ma.

Huff przerwał wykonywaną czynność, nagle zdając sobie sprawę, że nie zauważył samochodu Chrisa przed domem.

- Gdzie pojechał tak wcześnie rano?

- Nie spał w domu, panie Hoyle. Wczoraj zadzwonił późno w nocy, powiedział, że bym pana nie budziła, ale prosił, by przekazać, że zamierza spędzić noc w obozie wędkarskim. Zapomniałam panu o tym powiedzieć...

Huff zostawił Selmę, przepaszającą go za to, że nie poinformowała go o wszystkim wcześniej, i szybko podszedł do najbliższego telefonu w bibliotece. Wykręcił numer komórkowy Chrisa. Po czterech sygnałach w słuchawce odezwało się nagranie poczty głosowej.

- Dalej, odbierz telefon.

Jego palce zrobiły się nagle niezgrabne. Mięśnie klatki piersiowej zacisnęły się wokół serca, które się rozszalało, zupełnie jakby rzeczywiście niedawno przechodził zawał serca. Jeszcze raz wystukał tę samą sekwencję cyfr, z takim samym skutkiem. Nie tracąc więcej czasu, rzucił słuchawkę na widełki i pognął do szafy z bronią.

Nie wiadomo kiedy, w środku nocy, wiekowy klimatyzator wyłączył się i odmówił dalszej pracy.

Chris leżał na twardym, wąskim łóżku, pośród skotłowanych prześcieradeł, wilgotnych i wypłowiałych, zalatujących stęchlizną. Tej nocy było niemal tak samo upalnie, jak dwa tygodnie temu, w niedzielę, kiedy w tym właśnie pokoju zastrzelono Danny'ego.

Czy to dopiero dwa tygodnie? Zdawało mu się, że minęło już co najmniej dziesięć lat.

Stara drewniana podłoga wchłonęła krew Danny'ego niczym gąbka. Chris wątpił, by odbarwienia kiedykolwiek zniknęły, niezależnie od tego, ile razy się ją umyje.

Przyszedł tutaj, aby uciec od stresu wczorajszego dnia. Wynikła z tego tylko jedna dobra rzecz: załatwił tę sprawę z Lilą. Zostanie oczyszczony z zarzutów zabicia Danny'ego, gdy tylko żona

George'a porozmawia z Rudym, a zrobi to, jeżeli chce, aby jej mąż zachował posadę.

Fabrykę jednak zamknięto, przez to Huff zrzędził jak wariat. Chris nie mógł znieść napadów złości ojca i nachalnych reporterów, którzy dzwonili do niego co chwila, żądając komentarzy. Odizolował się więc w domku rybackim - ostatnim miejscu, w którym ktokolwiek będzie go szukał.

Miejsce gwarantowało mu prywatność, ale straciło wiele ze swego uroku. Kiedyś zwykł spędzać tu miłe wieczory z kolegami, pijąc, wędkując, rozgrywając maratony pokerowe, które trwały przez cały weekend. Wszystkim podobała się prostota i sielskość obozu.

Lata mijały, domek się postarzał, Chris zaś dorósł i spoważniał. Chata zaczęła chylić się ku ruinie. Może już czas, żeby ją sprzedać? Z tymi krwawymi plamami na podłodze nie będą się tu dobrze czuć ani on, ani Huff. Może zamiast tego kupią łódź albo domek plażowy. Na przykład w Biloxi, chociaż z drugiej strony Huff nienawidził Missisipi z przyczyn znanych tylko jemu.

Miał...

Poczuł odór Watkinsa, zanim deski podłogi na ganku zatrzeszczały pod jego ciężarem. Kilka sekund później intruz stanął w drzwiach, otwierając je z hukiem. Chris usiadł sztywno.

- Nie ruszaj się, Hoyle. Nie chciałbym cię zabijać od razu. Zanim rozpruję cię od gardła do jaj, mam ci parę rzeczy do powiedzenia.

W jednej dłoni Klaps Watkins dzierżył nóż. W drugiej trzymał kilka ubrań, którymi rzucił w Chrisa. Wylądowały na jego kolanach. Chris chwycił jedno z nich i gorączkowo odrzucił daleko od siebie.

- Tak, tak - roześmiał się Watkins. - To właśnie wypłynęło z głowy twojego młodszego braciszka. Rozbryzgnęła się jak dynia, która spadła z plandeki ciężarówki.

Chris spojrzał na niego gniewnie.

- O co chodzi, Hoyle? Jesteś zbyt nadęty, żeby poznać krwawe szczegóły? Trudno, bo i tak



zamierzam ci je opowiedzieć. - Watkins oparł nogę o brzeg łóżka, jakby byli starymi przyjaciółmi, którzy właśnie zamierzają uciąć sobie swobodną pogawędkę.

- Mały Danny powiedział mi, że masz się z nim tu spotkać. Ostrzegał mnie, że możesz się tu pojawić w każdej chwili, więc powinienem zabrać to, co chcę i zmyć się, nim nadjedziesz i wezwiesz gliny. Boki zrywać, co nie? Myślał, że przyszedłem, żeby was obrabować. - Rozejrzał się z pogardą. - Tak jakbym chciał. To miejsce sprawia, że moja cela więzienna wydaje mi się prawdziwym pałacem. Chris przesunął się nieco bliżej do brzegu łóżka.

- Nic z tego - ostrzegł Klaps. - Siedź tu i słuchaj, a jeśli spróbujesz chociażby mrugnąć, wyłupię ci oko czubkiem noża, żebyś więcej tego nie robił. Rozumiesz? - przerwał na chwilę, aby się upewnić, że groźba dotarła do Chrisa i że ten go posłucha. - Na czym to stanąłem? A, tak.

Braciszek Danny. Kiedy zdjąłem strzelbę z półki, zaczął się modlić. Muszę ci powiedzieć, że kiedy wetknąłem mu lufę do ust i wreszcie się zamknął, poczułem prawdziwą ulgę. - Umilkł na sekundę i pochylając się lekko do przodu, dodał teatralnym szeptem: - Bum! - Roześmiał się znowu. - Krwawa robota, ale wszystko poszło niemal zbyt łatwo. Nawet ze mną nie walczył. To znaczy, próbował się buntować, ale nie było to nic, czego nie potrafiłbym stłumić lekką groźbą.

- Tylko idiota zachowałby te ubrania. Dlaczego się ich nie pozbyłeś?

- Chciałem, żebyś zobaczył, jak wygląda krew i mózg Hoyle'ów. No i proszę, co za niespodzianka! Są takie same jak u innych ludzi.

- Dlaczego włamałeś się do pokoju Sayre?

- Tak też myślałem, że to was zainteresuje - mrugnął i cmoknął ustami. - Ja ze swej strony bardzo bym chciał, żeby Sayre zainteresowała się pewną częścią mojego ciała, jeśli wiesz, co chcę powiedzieć.

- Bardzo sprytny pomysł z tą powiastką biblijną.

- Też tak sędzę. Sam na to wpadłem. - Nachmurzył się nagle. - Mówisz to tylko, żeby odciągnąć

moją uwagę od tego, co zamierzam zrobić. Nic z tego, kolego. Nie uda ci się. -Łypnął okiem na Chrisa i pochylił się w jego kierunku. - Dziś zabiję swojego drugiego Hoyle'a. Ale ze mnie szczęściarz.

Gdy Sayre weszła do kuchni, Beck stał w kuchennych drzwiach wejściowych i przyglądał się Fritowi, który próbował złapać wiewiórkę. Miał na sobie tylko luźne szorty. Na plecach wciąż widać było sińce. Podchodząc do niego, otoczyła ramionami jego talię i pocałowała paskudne stłuczenie na ramieniu.

- Dzień dobry - powiedziała.

- Dobry, a robi się coraz lepszy. - Odwrócił się i przyciągnął ją do siebie, delikatnie całując w usta. Gdy skończyli, spojrzał na jej strój i uśmiechnął się.

Sayre musiała włożyć jedną z jego starych koszulek, praną już tyle razy, że niemal nie można było odczytać logo Uniwersytetu Stanowego Luizjany.

- Do twarzy ci - powiedział.

- Tak sądzisz?

- Hm - potarł wierzchem dłoni materiał na jej piersiach, Sayre sięgnęła do jego rozporka i zaczęła rozpinąć guziki. Stykając się czołami, zaśmiali się nad absurdalnością swego pożądania, którego nie stłumiła nawet cała noc miłości.

Frito jednak nie był zadowolony. Do obojga dotarło skrobanie do drzwi z moskitierą i żalosne piszczenie. Beck spojrzał na nią i unióśł brew.

- Co o tym sądzisz?

- Myślę, że nie potrafiłabym żyć z nieczystym sumieniem.

- Cholera, ja też nie. - Wypuścił ją z objęć i otworzył drzwi psu, który wpadł do kuchni, chwycił jedną ze swoich piłek tenisowych i ruszył w ich stronę.

Piłka wylądowała z miękkim plaśnięciem na gołej stopie Sayre. Skrzywiła się, ale poklepała psa

po łbie i podziękowała za podarunek. Beck nalał sobie i jej kawy i przysiadł na stole kuchennym.

Sayre przysunęła sobie krzesło, usiadła naprzeciwko Becka i zaczęła leniwie drapać Frita za uszami.

- Zakochał się w tobie bez pamięci - orzekł Beck.

- Powiedział ci to?

- Nie musiał. Spójrz na jego pysk. Ma bzika na twoim punkcie.

Rzeczywiście, pies spoglądał na nią z uwielbieniem Sayre upiła nieco kawy.

- Znienawidzę siebie za to wszystko - powiedziała, wolno odstawiając filiżankę na stół.

- Za ostatnią noc?

- Nie. Nie żałuję ostatniej nocy.

- Ja z kolei żałuję, że nie trwała dłużej. I tego, że straciłem z niej godzinę na sen.

- Niecałą.

- To i tak za długo.

- Nawet podczas snu byłeś...

- Tak, byłem - przerwał chrapliwie. - A ty byłaś taka... miękka i pachnąca.

Wymienili długie, intymne spojrzenie. Potem Beck zapytał, za co Sayre będzie siebie później nienawidzić.

- Za zadanie typowego pytania „po”.

- Pytania w stylu „co dalej”?

- Rozumiem, że słyszałeś już takie pytanie wcześniej.

- Owszem, ale nigdy nie zaszczyciłem go odpowiedzią.

- To mój pierwszy raz.

Beck zawahał się, a potem wstał i znów podszedł do drzwi kuchennych. Frito chwycił piłeczkę i poczłapał w jego kierunku, z nadzieją, że jego pan się z nim pobawi. Beck jednak stał bez ruchu,

zapatrzony w przestrzeń za moskitierą.

- Jeśli musisz się tak długo zastanawiać, to wystarczy za odpowiedź. - Sayre odgarnęła włosy i wstała.

Beck odwrócił się szybko.

- Sayre.

- Nie musisz mi nic tłumaczyć, Beck, a już na pewno składać obietnic. Nie jestem głupią dziewczynką z głową w chmurach. Zeszłej nocy zareagowaliśmy akurat w taki sposób na sytuację pełną emocji i na wzajemne przyciąganie fizyczne. Zrobiliśmy to, czego pragnęliśmy, i w ciemnościach wydało się to wspaniałe. Teraz jednak nastał dzień i...

- Jak możesz wątpić choćby przez chwilę, że pragnę cię bardziej niż kogokolwiek na świecie? - Jego słowa były tak nabrzmiałe gniewem, że zbita z tropu Sayre powstrzymała się od dalszego wywodu. - Zaprañałem cię od pierwszej chwili, gdy cię ujrzałem. Od tego czasu moje pragnienie narastało przy każdym kolejnym spotkaniu. Tak też było ostatniej nocy, tak jest teraz, dzisiaj, w tej chwili. Będę cię pragnął jutro i każdego kolejnego dnia. Jednak...

- Jednak gdy przyjdzie do wybrania między Huffem a mną, wybierzesz jego.

- To nie jest takie proste.

- Nie?

- Nie.

- Ja myślę, że jest.

- Są rzeczy, o których nie masz pojęcia, a ja nie mogę ci o nich powiedzieć. Muszę skończyć to, co zacząłem.

- Czy kiedykolwiek przestaniesz chronić Huffa i Chrisa? Jak daleko się dla nich posuniesz, Beck? Oberwałeś za nich wczoraj. Napluto ci w twarz z ich powodu. Ludzie tobą gardzą, nie ufają ci i piętnują cię, a ty znosisz to wszystko dla nich. Czy cię to nie nuży?

Wpatrzył się w nią przenikliwym wzrokiem.

- Nie masz pojęcia, jak bardzo.

- Więc zostaw ich!

- Nie mogę.

- Co cię powstrzymuje?

- Zobowiązanie. Moje życie jest nierozzerwalnie związane z Huffem i Chrisem. Nie chcę tego, zwłaszcza po nocy, którą właśnie spędziłem z tobą, ale nic na to nie poradzę. Taka jest prawda. -

Zacisnął szczęki, jego usta zmieniły się w cieką kreskę determinacji, a zielone oczy, jeszcze kilka minut temu zamglone z pożądania, teraz stały się zimne i czujne.

- Najwyraźniej - wyszeptała. - Niechaj Bóg cię ma w swojej opiece.

Nagle rozległ się dzwonek jego telefonu. Wytrzymał, spoglądając na nią do drugiego dzwonka, a potem zaklął pod nosem i odebrał.

W miarę słuchania, wyraz jego twarzy zmieniał się jak w kalejdoskopie.

- Kiedy? Gdzie? - Wyraźnie poruszony tym, co właśnie usłyszał, przesunął dłonią po twarzy. - O

Boże, czy to poważne? Nie żyje?

Gdy wreszcie dotarli do domku rybackiego, Beck spędził sporo czasu, żeby znaleźć wolne miejsce do parkowania pomiędzy wozami policyjnymi, karetkami i innymi samochodami. Na podwórku przed chatką i na brzegu Bayou Bosquet kłębili się policjanci, sanitariusze i reporterzy z lokalnych gazet, rozmawiając z ożywieniem. Jeden z fotografów cofnął się, aby zrobić zdjęcie domkowi i nadepnął przypadkiem na wypchanego aligatora leżącego na dziedzińcu. Podskoczył ze strachu, ku uciesze swoich towarzyszy. W domku nastroje były bardziej ponure. Okręgowy lekarz sądowy nadzorował tam wyprowadzanie ciała Klapsa Watkinsa.

Beck i Sayre stali na zewnątrz, kiedy pchano w kierunku ambulansu wózek z czarnym workiem. Gdy zamknęły się tylne drzwi karetki, oboje dołączyli do grupki stłoczonej wokół schodów prowadzących na ganek. Na podeście siedział Chris w towarzystwie Rudego Harpera, Wayne'a Scotta i Huffa. Był odziany jedynie w spodnie, a jego tors i nagie stopy zbroczone były krwią. W dłoni trzymał papierosa, którego zdążył wypalić do połowy. Spojrzał na Sayre i przywitał Becka słabym uśmiechem.

- Dzięki za szybkie przybycie.
- Dobrze się czujesz?
- Trochę się trzęsę. - Uniósł dłoń trzymającą papierosa. Drżała.
- Co się stało?

Beck zadał pytanie całej grupie, ale pierwszy zareagował detektyw Scott.

- Wedle pana Hoyle'a, Watkins wtargnął do domku rybackiego, rzucił w niego ubranie, które miał na sobie, gdy zabijał Danny'ego, a potem zagroził śmiercią również panu Hoyle'owi.
- Tamtej nocy na szosie nie bałem się go, pewnie dlatego, że ze mną byłeś - powiedział Chris do Becka. - Wydawał mi się wtedy zwykłym dupkiem. Ale dziś rano zachowywał się, sam nie wiem... jak psychopata. Naprawdę chciał mnie zabić i gdyby nie łut szczęścia, dopiąłby swego.

Huff ścisnął ramię syna pokrzepiająco. Beck zadał sobie pytanie, czy tylko on widzi pistolet zatknięty za pas starego.

- Watkins zachował rzeczy, które miał na sobie, gdy zabił Danny'ego? - spytała Sayre. - Przyniósł je tutaj?

Szeryf Harper wskazał na brązową papierową torbę na dowody rzeczowe, która, wedle wiedzy Becka, pozwalała lepiej przechować wszelkie ślady DNA.

- Dziś rano dostaliśmy również but należący do Watkinsa - opowiedział wszystkim o sprawie. - Ostrzegłem Huffa, że jeśli Klaps zorientuje się, iż pozostawił po sobie obciążający dowód rzeczowy, stanie się jeszcze niebezpieczniejszy. Prosiłem, żeby na siebie uważał. Nie udało się nam ostrzec na czas Chrisa.

- Miałem wyłączoną komórkę - wyjaśnił Chris. - Byłem już zmęczony dziennikarzami nieustannie dzwoniącymi do mnie z prośbą o komentarz w sprawie zamknięcia fabryki. Kiedy tu przyjechałem wieczorem, wyłączyłem telefon. Nie wiedziałem, że muszę się mieć na baczności przed Watkinssem.

- Skąd wiedział, gdzie cię szukać? - spytał Beck,

- Najwyraźniej nas obserwował. Pojawił się w pobliżu twojego domu. Dopadł nas na drodze. Włamał się do pokoju hotelowego Sayre. Jeśli obserwował to miejsce, z łatwością zauważył mój samochód. - Chris skinął w kierunku porsche. - Może przyniósł ze sobą te ciuchy, żeby nas przestraszyć. Są upačkane... - Spojrzał na Huffa i nie dokończył. - Kto wie, co nim kierowało? Nie myślał jak normalny człowiek. Dziś rano zachowywał się jak maniak.

- Jak się obroniłeś?

- Klasycznie. Kiedy zaczął się wymądrzać, oparł nogę na łóżku, odsłaniając w ten sposób krocz. Kopnąłem go w jaja najsilniej, jak mogłem. Nie trafiłem zbyt celnie, bo jedynie go osłabiłem. Przewrócił się, ale nie wypuścił noża. Kiedy próbowałem mu go zabrać, zamachnął się na mnie,

nie trafił, więc spróbował znowu, ale tym razem udało mi się chwycić go za nadgarstek.

Zaczęliśmy walczyć. Watkins przegrał i upadł na ostrze. Musiał sobie przeciąć jakąś tętnicę w brzuchu, bo krew dosłownie zaczęła się z niego wylewać strumieniem. Próbowałem zatamować krwawienie, ale umarł po kilku minutach.

Beck spojrzał na Scotta.

- To była zdecydowanie samoobrona.

- Oczywiście, tak to wygląda. - Detektyw wyciągnął dłoń do Chrisa. - Jestem panu winien przeprosiny, panie Hoyle, za wszelkie niedogodności i wstyd, jakich stałem się przyczyną. Najbardziej jednak żałuję, że zacząłem pana podejrzewać.

Chris uściskał rękę Scotta.

- Wykonywałaś swoją pracę. My, Hoyle'owie, potrzebujemy ludzi takich jak ty, żeby chronili nasze miasto, prawda, Huff?

- Tak jest.

Rumieniąc się na tę pochwałę, detektyw sięgnął po torbę z dowodem rzeczowym.

- Zabiorę to do biura i zarejestruję - powiedział do Rudego. - Jeśli chcesz, mogę zawieźć ją jutro do Nowego Orleanu.

- Dzięki. Jak tylko wrócę na komendę, napiszę oświadczenie, które Chris podpisze.

Detektyw dotknął palcami brzegu kapelusza i spojrzał na Sayre.

- Do widzenia pani. - Z tymi słowami odszedł, unosząc torbę z dowodem rzeczowym.

Chris zaciągnął się głęboko papierosem i zgasił niedopałek na schodku.

- Będę rad, kiedy to wszystko wreszcie się skończy. Być podejrzanym o morderstwo to żadna przyjemność. Nie mówiąc o tym, że odciąga mnie to od spraw przedsiębiorstwa, a tam dzieje się bardzo źle. - Spojrzał ze złością na Sayre, ale nie skomentował jej uczestnictwa w wydarzeniach, które doprowadziły do zamknięcia fabryki.



Karetka z ciałem Watkinsa zdążyła już odjechać, pozostali zaczęli się powoli zbierać. Rudy

Harper został najdłużej.

- Wygląda gorzej niż Klaps - zauważył Chris, śledząc jego wyjazd.

- Ma raka.

Wszyscy spojrzeli na Huffa, poruszeni tym, co powiedział.

- Jest bardzo źle? - spytał Chris.

- Powiedzmy tylko, że to dobrze, iż Wayne Scott zaczął grać w naszej drużynie.

- Nie podpisał jeszcze listu intencyjnego - mruknął Chris.

- Skrucha potrafi zmiękczyć serce niejednego człowieka. Chyba czas na to, abyś wysłał mu list z podziękowaniem i małym prezencikiem w kopercie.

Chris odwzajemnił konspiracyjny uśmiech Huffa.

- Zrobię to jutro z samego rana.

- Idę nad wodę - rzuciła sztywno Sayre. - Beck, zawołaj mnie, kiedy będziesz gotowy do odjazdu.

Chris przyglądał się odchodzącej siostrze z rozbawieniem.

- Chyba obraziliśmy Sayre. A może po prostu jest wkurzona, że tak się co do mnie pomyliła?

Beck nie odpowiedział, Huff zdawał się nie słuchać. Przyglądał się fasadzie rozklekotanego domku.

- Powinienem sprzedać ten teren.

- Myślałem dokładnie to samo dziś rano, zanim pojawił się Klaps - rzeki Chris. - Nikt z nas nie będzie miał serca przychodzić tu po tym wszystkim.

- Zajmiesz się sprzedażą, Beck? - spytał Huff. - Nie chcę mieć więcej do czynienia z tym miejscem.

- Załatwię to. - Beck wskazał na pistolet starego. - Co zamierzałeś z tym zrobić?

- Nie mogłem się dodzwonić do Chrisa i ostrzec go przed Watkinsem. Chyba trochę spanikowałem, ale jak się okazuje, słusznie. Kiedy tu przyjechałem i zobaczyłem wozy policyjne stłoczone wokół kabiny, przeżyłem kilka chwil istnego piekła. Myślałem, że przybyłem za późno. - Znow zacisnął dłoń na ramieniu Chrisa. - Kiedy pomyślę, co mogło się stać...
- Daj spokój, Huff - złajał go łagodnie Chris. - Tylko się nam tu nie rozklejaj.
- I odłóż ten pistolet, nim zrobisz komuś krzywdę albo odstrzelisz sobie męskość.
- Zrobię to, Beck - zaśmiał się Huff. Pokazał ręką przestrzeń za chatą rybacką. - Musiałem zaparkować na drodze, kawałek stąd. Teraz jadę do fabryki. Musimy zastanowić się wspólnie, jak przerobić inspektorów z OSHA.
- Przerobić? - spytał Beck. Huff puścił do niego oczko.
- Może staną się bardziej spolegliwi, jeśli rzucimy im kogoś na pożarcie. Kogoś do odstawki.
- Ubiegłem cię, Huff - rzekł Chris. Opowiedział im o umowie, jaką zawarł z Lilą. - Teraz już nie muszę oczyszczać swojego imienia z jej pomocą, co nie znaczy, że nie możemy wykorzystać George'a jako kozła ofiarnego.
- Doskonale, w takim razie mamy to z głowy - orzekł Huff. - Idziecie ze mną?
- Chris spojrział na swoją pokrwawioną pierś i skrzywił się z odrazą.
- Przyjadę, jak tylko się umyję.
- A ja zostanę z Chrisem, dopóki stąd nie odjedzie - oświadczył Beck.
- Huff pożegnał ich skinieniem dłoni i zniknął za chatką rybacką. Chris wszedł do środka na kilka minut, żeby zabrać koszulę i buty.
- Wczoraj w nocy włożyłem ubranie do szafy - powiedział Beckowi. - Całe szczęście, bo wewnątrz wygląda jak rzeźnia, a cuchnie jak targ mięsny.

Beck podążył za Chrisem do początku pomostu, gdzie zainstalowano kurek i wąż gumowy, używany zazwyczaj do opłukiwania ryb podczas czyszczenia. Była tam również porcelanowa

miska i kilka kostek mydła.

Stojąca na brzegu Sayre odwróciła się na głuchy dźwięk ich kroków.

- Jeśli nie chcesz zobaczyć, jak wygląda prawdziwy mężczyzna, lepiej zamknij oczy, bo zamierzam się rozebrać - rzucił w jej kierunku Chris.

- Jesteś w zastanawiająco radosnym nastroju jak na kogoś, kto właśnie zadźgał człowieka nożem.

- Wolałabyś raczej, żeby on zadźgał mnie? Nie, nie odpowiadaj. Mogłabyś zranić moje uczucia.

- Jak możesz być tak zblazowany, Chris? Czy nic cię nie wzrusza?

Zastanowił się przez moment nad odpowiedzią, po czym wzruszył obojętnie ramionami.

- No, niewiele.

Sayre spojrzała na niego z odrazą.

- Jesteś kanalią, Chris. Zawsze byłeś.

- Nie. Jestem ukochanym pierworodnym synem Huffa. Oto kim jestem, byłem i będę. Zawsze cię to bolało, prawda?

- Zapewne sycisz tą myślą swoje kolosalne ego, ale bardzo się mylisz.

Widząc, że kłótnia rodzeństwa prowadzi donikąd, Beck postanowił dyplomatycznie się wtrącić.

- Weź mojego pikapa - powiedział do Sayre. - Ja pojedę z Chrisem do fabryki, na spotkanie z Huffem. Złapię cię później. Gdzie będziesz?

Gdy spojrzała na niego, zrozumiał, że choć telefon Chrisa przerwał ich rozmowę na temat przyszłości ich związku, dla Sayre nie było nic więcej do dodania. W jej oczach zobaczył rozczarowanie, może zawód, na pewno zaś pogardę.

- W San Francisco. - Minęła go i odeszła. Patrzył, jak wsiada do jego samochodu, wykręca na trzy razy i odjeżdża bez jednego spojrzenia w jego stronę. To, że musiał stać tutaj i obserwować, jak Sayre znika w ciemnościach, było najtrudniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek przyszło mu zrobić. Chciał za nią biec, ale nawet gdyby się zatrzymała, a z pewnością by tego nie zrobiła, co

mógłby powiedzieć poza słowami, jakie już padły?

- To było bardzo, hem, przejmujące - powiedział Chris, wypychając językiem policzek. - Jeżeli potrzebujesz kilku minut, żeby się pozbierać...

- Zamknij się, Chris.

Prychając śmiechem, Chris ściągnął spodnie. Jego bokserki były przesiąknięte krwią. Odkręcił kran i dokładnie umył się cały, nie omijając włosów. Skończywszy, zgarnął dłońmi nadmiar wody z ciała i potrząsnął głową. Następnie ubrał się, nie wkładając jednak bielizny. Razem powędrowali do samochodu Chrisa i ruszyli w kierunku fabryki. Byli niemal na miejscu, kiedy Chris spostrzegł, że Beck przygląda się uważnie rozcięciu na jego policzku.

- Mogło być gorzej - powiedział. - Pomyśl o Clarku Dalym.

- Pomyślałem - mruknął ponuro Beck. Wjeżdżając do fabryki, teraz cichej i opuszczonej przez wszystkich z wyjątkiem strażników, doznali niemal surrealistycznego przeżycia. Wszystkie biura administracji były puste, nawet gabinet Huffa.

- Musiał się gdzieś zatrzymać po drodze - powiedział Chris. - Poczekajmy tu na niego. Muszę się napić. Chcesz drinka?

- Jest dziesiąta rano.

- Tak, ale to był bardzo szczególny poranek.

Chris podszedł do barku, Beck zaś przysunął się do okna i spojrzał na halę poniżej. Inspekcja OSHA rozpocznie się w poniedziałek. Teraz nie było tam nikogo. Pomieszczenie było ciemne, brudne i wciąż panował w nim upał, chociaż zgaszono wszystkie piece.

Co robiła teraz Sayre? Czy była w hotelu i pakowała walizkę przed powrotem do Kalifornii? Czy jeszcze kiedykolwiek ją zobaczy?

Chris usiadł z drinkiem na kanapie. Zapadając się w miękkie poduszki, uniósł twarz ku sufitowi i zamknął oczy.

- Pioruńskie dwa tygodnie - powiedział.

- Właśnie. To dziwne, że wszystko zaczęło się i skończyło w niedzielę, w obozie rybackim.

Historia zatacza krąg.

- Może to było w planach Watkinsa.

- Nie sądzę, by sobie zaplanował, że skończy życie z nożem w brzuchu.

- Nie, ale chciał nim mnie rozpruć. Czy Sayre spędziła u ciebie noc? - spytał Chris po chwili milczenia.

- Tak.

- Przynajmniej nie potrzebowaliście zabezpieczeń.

Beck odwrócił się i spojrzał na niego ostro.

- Huff powiedział mi, że Sayre miała jakieś kobiece problemy, w efekcie których stała się bezpłodna. Nie musisz już więc się z nią żenić i produkować potomstwo.

- I tak by mnie nie chciała. - Beck przemierzył pokój i oparł się o biurko Huffa, zbyt zdenerwowany, by usiąść.

- Szkoda, że się wam nie ułożyło. Prawnik w rodzinie to duża wygoda. Z drugiej strony, cieszę się, że Huffowi nie powiódł się jego plan. Chcesz usłyszeć małe wyznanie, Beck? - Chris dokończył whisky jednym haustem i odstawił pustą szklankę na stolik. - Ostatnio zrobiłem się o ciebie zazdrosny. Naprawdę - dodał, wyczuwając zaskoczenie Becka. - Czasem Huff nie słucha nikogo, poza tobą. Obdarzył cię władzą, jakiej nie powierzył nikomu spoza rodziny. Jeżeli do tego jeszcze zostałbyś ojcem jego pierwszego wnuka, narodzonego z mojej siostry, chyba by mi się to nie podobało.

Chris nadal uśmiechał się ujmująco, ale Beck usłyszał w głowie echo słów Sayre: „Powiem ci coś o Chrisie. Nie jest twoim przyjacielem”.

- Nikt nie mógłby odebrać ci uczuć Huffa, Chris. Poza tym, nigdy bym tego nie chciał.

- Cieszę się, że to mówisz. Naprawdę się cieszę. - Chris z westchnieniem rozparł się na kanapie i założył ręce za głowę. - Wiesz, co to oznacza, prawda? Koniec końców, to ja muszę zająć się zapewnieniem Huffowi dziedzica. To moje dziecko zapewni ciągłość dynastii. Właściwie nie chciałbym, żeby było inaczej. Tak właśnie powinno być. Sayre wyrzekła się rodziny. Byłoby niesprawiedliwe, gdyby zaraz po nagłym powrocie zaszła w ciążę i urodziła Huffowi upragnionego wnuka. Danny z kolei nie potrafił przestać się modlić na wystarczająco długi czas, żeby zrobić dzieciaka tej sikorce, z którą zamierzał się ożenić. To pozostawił mnie. Huff będzie mnie naciskał, żebym...

- Co? - Beck poczuł, że staje mu serce. Nie mógł oddychać. - Co powiedziałaś?

Chris spojrział na niego obojętnie,

- O czym?

- O Danny'm. O kobiecie, którą chciał poślubić.

Wyraz twarzy Chrisa pozostał beznamiętny przez kilka sekund, zanim pojawił się na niej uśmiezek.

- Niech to diabli - roześmiał się. - Tyle razy niemal się wygadałem, ale zawsze jakoś mi się udawało.

- Wiedziałaś o zaręczynach Danny'ego?

Chris spojrział na Becka szyderczo.

- Danny powinien zdawać sobie sprawę, że Huff się o tym dowie, nieważne, jak bardzo będzie próbował ukrywać swoje schadzki z nią.

- Huff też wiedział?

- Najwyraźniej ty również. Kiedy Danny ci powiedział?

- Nie zrobił tego. To Sayre.

- Skąd o tym wiedziała?

- Spotkała narzeczoną Danny'ego przy jego grobie.
  - Przyszła mu zaśpiewać?
  - Zaśpiewać?
  - To właśnie robi. Śpiewa w tym ich świątobliwym kościele. To ona przekonała Danny'ego, żeby wstąpił do kongregacji. Nawrócił się. Wypowiadał. Ochrzczył. Wszystkie te bzdety. Pozwoliliśmy z Huffem bawić mu się przez jakiś czas. Myśleliśmy, że to tylko zauroczenie i wkrótce przeminie. Kiedy jednak uświadomiliśmy sobie, jak poważne są jego zamiary, wiesz, pierścionek zaręczynowy i takie tam, przyszpililiśmy go. Powiedzieliśmy, że cieszymy się z jego skłonności do romansu, a nawet małżeństwa, ale nie zgadzamy się z jego wyborem kandydatki na żonę. Huff kazał mu zerwać zaręczyny i nigdy więcej się z nią nie spotkać, nie wracać też do tego kościoła.
  - Narzeczona Danny'ego nie wiedziała, że Huff wie o jej związku z twoim bratem.
  - Pewnie Danny nie chciał jej o tym mówić. Liczył na to, że zaaprobowujemy ich związek. Beck, mój brat przeszedł pranie mózgu. Zaczął się za nas modlić. Uwierzysz w to? Padł na kolana przed fotelem Huffa i zaczął na głos prosić Boga o nasze zbawienie. Przez dobre dziesięć minut nadawał, jak to powinniśmy zmyć z siebie grzechy i nieprawość. Myślałem, że Huff dostanie zawału.
- Serce Becka rozpoczęło szaloną galopadę.
- Danny chciał powiedzieć księdzu, co stało się z Iversonem, prawda? - spytał.
  - Słucham?
  - To była przeszkoda, przyczyna psychicznej udręki Danny'ego. Nie mógł poślubić kobiety, którą kochał, dopóki nie oczyścił swojego sumienia i nie wypowiadał się ze swego grzechu przeciwko Gene'owi Iversonowi. Tyle tylko, że nie mógł tego zrobić bez wskazania palcem na ciebie i Huffa. Danny wiedział, że Huff zabił Iversona i...
  - Huff nie zrobił niczego takiego - Chris wstał i nalał sobie kolejną whisky. - Jak tak dalej

pójdzie, zdążę się upić przed lunchem, chociaż, jakie to ma znaczenie - wskazał na rząd okien. -

Dziś i tak nie pracujemy.

Usiadł i spojrzał na Becka, który wpatrywał się w niego bez słowa. Chris uśmiechnął się lekko.

- Nie możesz się doczekać, żeby to usłyszeć, prawda? W porządku, powiem ci. To był wy-pa-dek

- ostatnie słowo wymówił, podkreślając sylaby.

- Ty?

Chris wzruszył ramionami.

- Tamtej nocy wyszedłem z zebrania za Iversonem. Stałem się z nim na parkingu pracowniczym.

Wziąłem ze sobą młotek, żeby bardziej go postraszyć. Miał trzymać gębę na kłódkę i nie robić problemów ze związkami zawodowymi. Idiota natarł na mnie jak byk, zmuszając do obrony.

Chciałem się tylko bronić. Nie pamiętam, żebym uderzył go tak mocno, ale następną rzeczą, jaką zobaczyłem, był zakrwawiony młotek w mojej dłoni i dziura w jego głowie, wielkości

półdolarówki. Cholera!, pomyślałem. Cholera jasna! Spanikowałem. Pobiegnę z powrotem do fabryki i sprowadziłem Huffa. Bałem się, że tymczasem ktoś natknie się na Iversona, ale akurat zaczęła się nowa zmiana, więc nikogo nie było na parkingu. Huff spokojnie ocenił sytuację.

Uwierzył mi, że to była samoobrona. Powiedział, że nie potrzebujemy dochodzenia w tej sprawie. Najprostszym rozwiązaniem będzie ukryć ciało. Iverson powinien zniknąć. Bardzo mądra decyzja. Gdyby prokurator okręgowy zobaczył dziurę w jego czaszce, mógłby się upierać przy oskarżeniu. W każdym razie Huff powiedział mi, gdzie mam pochować ciało i jak to zrobić.

Kazał Danny'emu, by mi pomógł, a przez ten czas razem z Rudym Harperem usunęli wszystkie ślady z parkingu i zadbali o samochód Iversona. Wiesz, teraz przyszło mi do głowy, że nigdy nie spytałem, co z nim zrobili. Hmm.

- Gdzie go pochowałeś?

- Jesteś moim prawnikiem, Beck - roześmiał się Chris. - Nie możesz wyjawiać tego, co ci powiem.



Ale jednak nie czuję się na tyle komfortowo, aby zwierzyć się z niektórych rzeczy. - Spojrzał na Becka z mieszaniną rozbawienia i rozdrażnienia. - Przestań tak na mnie patrzeć. Wcale nie chciałem go zabić, ale tak się złożyło i nic już nie mogło tego zmienić. Ja musiałem żyć dalej. Oczywiście, był jeszcze ten proces; bolesna rzecz, ale dobrze się skończyła.

- Nigdy się nie obawiałeś, że poniesiesz odpowiedzialność, prawda, Chris? To po tym, jak przekonałeś się, że Huffowi udało się wywinąć od kary za zabicie Hallsera.

- Hallsera? - Chris zmarszczył brwi, usiłując przypomnieć sobie, o kim mowa. - Byłem wtedy jeszcze dzieckiem. Ledwo to pamiętam.

- Kłamiesz, Chris. Byłeś tam, widziałeś, co się stało i wywarło to na tobie ogromne wrażenie. Chris odchylił się i oparł ramiona o oparcie kanapy, jakby zachęcając Becka do dalszej przemowy. Merchant wstał i zaczął chodzić po pokoju.

- W tamtych czasach robotnicy pracowali na dwóch dziesięciogodzinnych zmianach, z czterogodzinną przerwą między nimi na przeglądy techniczne i tak dalej. Huff chciał to zmienić. Przejść na trzy ośmiogodzinne zmiany, eliminując czas na inspekcje i naprawy. To było przedmiotem sporu między nim a Hallserem.

- Hallser był przedstawicielem robotników - powiedział Chris. - Był typem działacza. Wszyscy go lubili, nawet Huff. Problem z panem Hallserem polegał na tym, że zbyt poważnie potraktował swoją rolę. Myślę sobie, że przez cały ten czas mógł nawet być agentem związków zawodowych, wysłanym na przeszeptanie.

- Huff podjął decyzję na temat nowych zmian i nikt nie potrafił go od tego odwieść - ciągnął Beck. - W hali nie było wtedy nikogo poza Hallserem, który pracował przy piaskarce. Huff zaczął się z nimi spierać. Wreszcie wepchnął Hallsera do maszyny, włączył ją, a ty wszystko widziałeś. Hallsera prawie przecięło na pół. Widziałeś to, prawda, Chris?

- Jak mogłem to widzieć, skoro mnie przy tym nie było?

- Huff powiedział mi, że byłeś.

Chris wydawał się zaskoczony tym oświadczeniem.

- Naprawdę? Cóż, nawet jeśli byłem, niczego nie widziałem. - Przekręcił głowę na bok i popatrzył uważnie na Becka. - Dlaczego w ogóle o tym rozmawiamy i czemu jesteś tym tak zdenerwowany?

- Każdy prawnik chciałby, żeby jego klient okazał się niewinny.

- Wątpię w to. Gdyby wszyscy ludzie byli niewinni, nie miałbyś pracy. Właściwie to czuję ulgę, że wreszcie się dowiedziałeś o Iversonie. Nie powinniśmy mieć przed sobą tajemnic, inaczej jak moglibyśmy sobie zaufać?

- Nie zaufałeś mi w sprawie zaręczyn Danny'ego.

- To prawda. Że też musiałem się wygadać.

- Wasz problem nie polegał wyłącznie na pobożności tej młodej kobiety. Chodziło o to, że Danny chciał się wypowiedzieć.

Chris przeklął pod nosem.

- Zamierzał wypaplać Jezusowi i całemu światu o tym, co stało się z Iversonem.

- Zdajesz sobie sprawę, co to oznacza w twojej sprawie?

- Sprawie? Jakiej sprawie? Nie ma już żadnej sprawy, Beck. Pamiętasz uniozone przeprosiny Wayne'a Scotta za to, że mnie podejrzewał? Gdybym miał na palcu pierścień, niechybnie by go ucałował.

- Miałeś doskonały motyw, żeby zabić brata.

Chris potrząsnął głową i roześmiał się cicho.

- Uważasz, że to ja zabiłem Danny'ego? - spytał.

- Zrobiłeś to?

- Mam alibi, pamiętasz? Słodka Lila.

- Zrobiłeś to?! - huknął Beck.

- Nie, Beck. Nie zrobiłem.

Chris uśmiechał się, gdy zadzwonił jego telefon. Odebrał go i po chwili skrzywił się niemiłosiernie.

- O co chodzi, George? - Przez chwilę słuchał swojego rozmówcy, - Teraz? Ile czasu nam to zajmie? Dobrze - odparł niechętnie. - Zaraz zejść - z tymi słowami zakończył rozmowę. - George denerwuje się perspektywą poniedziałkowej inspekcji. Chce, żebym spojrział na pasek klinowy podajnika podczas pracy i ocenił, czy jutro nie będzie budził zastrzeżeń. Trzęsie tyłkiem, ponieważ to on podpisał wykonanie naprawy. Boi się, że każą mu pakować manatki, i ma rację. Dopóki jednak go nie zwolnimy, pewnie powinienem poudawać, że się przejmuję. Mam jedyny klucz do tej maszyny, zatem jako jedyny mogę ją włączyć. Wiedziałem, że te idiotyczne zasady Huffa to tylko dodatkowy kłopot.

- Mówiliśmy o twoim motywie morderstwa - powiedział Beck

- Nie. To ty mówiłeś. Klaps Watkins jest winowajcą, teraz już martwym. Odpuść sobie, Beck. - Z tymi słowami Chris wyszedł.

Siedząc w samochodzie zaparkowanym przed Dairy Queen, jedząc lody z posypką z M&M-ów, Huff wyciągnął zza pasa pistolet. Roześmiał się na jego widok z autoironią, po czym ostrożnie odłożył broń na siedzenie pasażera.

Zapewne innym wydał się śmieszny, z pistoletem za pasem, ale bez skrupułów strzeliłby Watkinsowi między oczy. Ten gnój musiał umrzeć, to było z góry przesądzone. Teraz leży w kostnicy i cały ten bałagan się skończył.

Huff pomyślał, że może powinien odwiedzić grób Danny'ego. Nie był na cmentarzu od dnia pogrzebu. Tak, pójdzie tam dzisiaj, zanieś świeże kwiaty. Niedługo pewnie przyjdzie mu wziąć udział w pogrzebie Rudego, uznał ze smutkiem. Będzie mu go brakowało...

Nagle przypomniał sobie o kopercie, którą szeryf przyniósł mu dziś rano. Wsadził ją do kieszeni spodni, gdy Selma poinformowała go, że Chris nocuje w domku rybackim. Chcąc jak najszybciej ostrzec syna, a potem przeczekując cały rozgardiasz, jaki nastąpił, nie pomyślał o kopercie aż do tej pory. Teraz jednak miał z głowy Klapsa Watkinsa, a Chris nie musiał się dłużej borykać z podejrzeniami o zabójstwo brata. Huff mógł się zająć sprawami Hoyle Enterprises z niepodzielną uwagą i świeżą energią. Bo chociaż kłopoty z Charlesem Nielsonem chwilowo ustąpiły miejsca inspekcji OSHA, nadal był on jedną z głównych przyczyn zamknięcia fabryki i, na Boga, zapłaci za to!

Wyciągnął kopertę z kieszeni. Wewnątrz znalazł pojedynczą kartkę papieru, złożoną jak oficjalny list. Tego poranka, gdy spytał Rudego, co ten odkrył na temat Nielsona, szeryf odparł: „Wszystko jest w kopercie”. Jeżeli były to wszystkie informacje, jakie zdołali zgromadzić Rudy i jego kontakt w Nowym Orleanie, nie wyglądało to zbyt imponująco. Ku rozczarowaniu Huffa, na kartce widniało jedynie kilka linijek napisanych na maszynie.

- Cholera!

Rudy był już stary i schorowany. Najwyraźniej przestał się przykładać do pracy. Huff miał nadzieję, że znajdzie w liście więcej pożytecznych informacji, jakieś wady lub złe nawyki Nielsona, coś, co pomogłoby przeprowadzić atak. Może był hazardzistą, oszustem podatkowym, narkomanem? Może lubił pornografię dziecięcą albo był wielokrotnie karany za prowadzenie po pijaku? Huff chciał się dowiedzieć o mrocznych wydarzeniach w życiu tego człowieka.

O czymś, co rozgłoszone lub odpowiednio wykorzystane mogło zniszczyć wiarygodność Nielsona.

Włożył okulary do czytania, których używał tylko wtedy, gdy był sam, i przebiegi wzrokiem po informacji, jaką zdobył szeryf Harper.

Kilka sekund później przejeżdżająca obok furgonetka została niemal zepchnięta na pobocze drogi przez wóz Huffa Hoyle'a, który nagle wypadł z parkingu przed Dairy Queen. Porzucony na podłodze samochodu kubek z resztkami lodów miotał się na zakrętach, pozostawiając lepkie białe smugi na matach podłogowych. Gdy Huff dotarł do fabryki, lody zdążyły się już całkowicie przekształcić w mleczny płyn. Ale Huff nawet nie spojrzał na bałagan. Nie zapomniał jednak zabrać ze sobą pistoletu.

Sayre zasuwiała właśnie swoją torbę podróżną, gdy ktoś zapukał do drzwi pokoju hotelowego. Odsunęła zasłonkę na małej szybie i wyjrzała.

- Rudy? - Zaniepokojona, otworzyła drzwi. - Co się znowu stało?

- Nie chciałem cię przestraszyć, Sayre. Nic się nie stało, przynajmniej nic o tym nie wiem. -

Szeryf zdjął kapelusz. - Mogę wejść?

Sayre zaprosiła go do środka i pokazała na torbę.

- Ledwo zdążyłeś. Zarezerwowałam lot z Nowego Orleanu dziś po południu.

- Wracasz do San Francisco?

- Tam właśnie mieszkam.

- Myślałem, że może ty i Beck...

- Nie.

Dziś rano ostatecznie nakreśliła niewidoczną granicę. Ona stała po jednej stronie, Huff i Chris po drugiej. Zastanawiała się, pakując swoje rzeczy, czy wyrzucić sznur odpustowych koralików, które kupił jej Beck, czy też zabrać ze sobą. W końcu owinęła je w podkoszulek i włożyła do torby. Jedno wspomnienie. Mogła sobie na to pozwolić.

- Nie zobaczę się już z Beckiem przed wyjazdem.

- Ha. No cóż. - Szeryf rozejrzał się po pokoju, jakby nie wiedział, co ma teraz powiedzieć. Kiedy znów na nią spojrzał, Sayre dostrzegła w jego oczach ból.

- Rozmawiałaś dziś rano z Huffem? - spytał. Zamiast wyjaśnić, po co tu przyszedł, zadawał coraz bardziej kłopotliwe pytania.

- Tylko w obozie rybackim.

Znów zdawał się odpłynąć gdzieś myślami. Minęło kilka chwil.

- Nie mam zbyt dużo czasu, Rudy. - Powiedziała wreszcie Sayre. - O czym chciałeś ze mną porozmawiać? Czy to coś, co dotyczy Danny'ego lub Watkinsa?

- Nie. Ta sprawa jest właściwie zakończona.

- Dlatego właśnie mogę wracać do domu. Przysięgam sobie, że pozostanę w Destiny, dopóki się nie dowiem, co się stało z moim młodszym bratem. Teraz mogę wrócić do normalnego życia.

Szeryf skinął głową z nieobecny wyrazem twarzy, jak gdyby nie usłyszał jej słów.

Odchrząknął.

- Sayre, biorę pełną odpowiedzialność za wszystkie swoje czyny i nie zamierzam nimi obarczać nikogo innego. Nigdy nie wystawiłbym do wiatru Huffa i chcę, żebyś to wiedziała.

Sayre skinęła głową, chociaż nie miała pojęcia, do czego Harper zmierza.

- Zawieraliśmy układy w wielu sprawach i nie jestem z tego dumny. Na początku nagięcie kilku

zasad wydawało się czymś dość niewinnym, a potem, sam nie wiem, chyba po prostu wpadłem w to zbyt głęboko. Jak w sieć. Nie mogłem znaleźć drogi powrotnej. - Uniósł ręce w geście bezradności, jakby prosił ją o zrozumienie i wybaczenie. - Co się stało, to się nie odstanie. Nie mogę cofnąć się w czasie i naprawić zła, jakie wyrządziłem. Przyszłość jest jednak inna. Mówię ci to, ponieważ chcę, żeby ktoś wiedział, jak się sprawy mają, na wypadek gdyby... gdyby stało się coś złego, a mnie już tu nie będzie jako świadka prawdy.

- Prawdy o czym?

- Beck Merchant jest Charlesem Nielsonem.

Pokój zawirował jej przed oczami.

- Co takiego?

- Mam swoich ludzi w Nowym Orleanie, prywatnych detektywów. Sprawdzali Nielsona dla Huffa. Okazuje się, że ten gość nie istnieje. To postać wymyślona przez Becka.

Sayre opadła na oparcie pobliskiego fotela.

- Nie wiem, po co wykombinował sobie taki skomplikowany układ i chyba nie chcę wiedzieć - ciągnął Rudy. - Niemniej, moim ostatnim oficjalnym obowiązkiem wobec Huffa było dostarczenie mu tej informacji dziś rano.

- O mój Boże!

- W obozie rybackim Huff nie pokazał po sobie, że już wie. Ale w każdej chwili mógł otworzyć kopertę, którą mu zostawiłem, i przeczytać zawartą w niej wiadomość. Kiedy to zrobi, nie wiem, jak zareaguje.

- Jasne, że nie wiesz, ty stary tchórzliwy draniu!

Sayre zerwała się na równe nogi. Odepchnęła go na bok i pobiegła do drzwi. Opony jej wypożyczonego kabrioletu zadymiły na gorącym asfalcie, gdy wypadła na autostradę. Trzymała wciśnięty klakson, na wypadek gdyby inny kierowca odważył się zajechać jej drogę. Pędziła w

kierunku swojego starego domu, myśląc, że tam najprawdopodobniej udał się Chris po opuszczeniu obozu. Nie próbowała się nawet zastanawiać nad konsekwencjami usłyszonej przed chwilą informacji i nad przyczynami tego sprytnie ukutego oszustwa. W tej chwili chciała przede wszystkim ostrzec Becka, zanim Huff dowie się o wszystkim.

Docisnęła pedał przyspieszenia. Zbyt szybko skręciła w boczną drogę i prawie obróciło ją w miejscu, gdy koła zabuksowały na żwirze. Niemal rozjechała stadko myszołowów, które pożywiały się padliną oposa na drodze. Zagryzła zęby, przecinając tory kolejowe z prędkością stu dziesięciu kilometrów na godzinę. Wydawało się jej, że jedzie zbyt długo. Kiedy wreszcie znalazła się przed domem, jęknęła, nie widząc żadnego samochodu na parkingu przed wejściem. Zatrzymała wóz tak gwałtownie, że poczuła smród przypalonych opon. Wybiegła z samochodu, nie fatygując się wyłączeniem silnika ani zamknięciem drzwi. Pędząc po schodach na ganek, potknęła się i upadła, boleśnie obcierając dłonie. Zataczając się, pokonała ostatnie kilka stopni i wbiegła na ocieniony ganek. Opatrzony moskitierą drzwi były odblokowane, a wewnętrzna para otwarta na oścież. Wpadła przez nie i natknęła się na Selmę, która właśnie schodziła z góry, niosąc pod pachą koszyk pełen prania.

- Widziałaś Becka? Gdzie jest Huff? - zawołała Sayre.

- Huffa ostatnio widziałam, gdy wybierał się do obozu rybackiego. A Becka nie widziałam w ogóle. Co się stało?

- Sądzisz, że są w fabryce?

- Ja...

- Zadzwoń do Becka, na komórkę - krzyknęła Sayre przez ramię, ruszając biegiem ku wyjściu. -

Powiedz mu, że Huff wie wszystko o Charlesie Nielsonie. Zrozumiałaś, Selma? Huff wie wszystko o Charlesie Nielsonie.

- Zrozumiałam, ale...



- Powiedz mu, Selmo!

Kilka sekund później Sayre pędziła już jak szalona w stronę uśpionych kominów fabryki.

Beck zignorował dzwonek telefonu. Schodził właśnie na halę fabryczną. Pozbieranie wszystkich

kawałków układanki do kupy zajęło mu zaledwie kilka chwil. Nagle wszystko stało się

przeraźliwie jasne. Szczere zapewnienia Chrisa, że nie zabił brata były najprawdziwszą prawdą.

To nie on załadował strzelbę, włożył lufę w usta Danny'ego i pociągnął za spust. Nie oznaczało

to jednak, że był niewinny.

Kiedy dotarł do podajnika, zobaczył Chrisa, który pochylał się nad pracującą maszyną,

przyglądając się pracy pasa klinowego. Tuż za jego plecami stał George Robson. Żaden z nich

nie miał okularów ochronnych ani kasku. Niczego się nie nauczyli! Chris oczywiście wierzył, że

jest niezwyciężony - i miał ku temu powody.

- Chris! - Beck musiał krzyknąć, żeby go usłyszeli. George podskoczył, jak gdyby ktoś go

postrzelił. Szybko odwrócił się, spoglądając na Becka. Jego obwisłe policzki pobladyły z

przerażenia. Wyglądał, jakby zobaczył ducha.

Chris wyprostował się i otrzepał ręce. Spoglądał na Becka, ale mówił do George'a:

- Zawsze możemy zwalić winę na kiepską naprawę, George. Tak czy owak, niewiele możemy z

tym dzisiaj zrobić. Idź do domu.

George łapał powietrze jak ryba wyjęta z wody. Pocił się obficie i wykręcał tłuste palce. Bez

słowa odwrócił się i uciekł. Beck patrzył, jak wspina się po metalowych schodach i znika za

drzwiami,

- Biedny George. - Chris nacisnął wyłącznik maszyny. Hałas ucichł. - Jest bardziej

zdenerwowany niż kiedykolwiek przedtem. Chyba wie, co go czeka.

- Kazałeś Klapsowi zabić Danny'ego - rzucił Beck bez żadnych wstępów. - Gdy ty zapewniałeś

sobie alibi, spędzając czas z Lilą, Watkins pojechał do obozu rybackiego, gdzie, jak mu

powiedziałeś, miał pojawić się Danny, i tam zabił go dla ciebie. Nie kłamałeś, mówiąc, iż sam tego nie zrobiłeś. Ktoś inny pociągnął za spust.

Huff zajął najpierw do biura Becka. Zawsze sumienny Beck. Zawsze pracujący po godzinach. Zawsze mający na względzie dobro Hoyle Enterprises.

Pieprzony Beck. Oszust. Kłamca.

Biuro Merchanta było puste, Chrisa też. Słyszac hałas pracujacej maszyny, Huff wyjrzał przez rząd okien z galerii na halę. Tam zobaczył Becka i Chrisa, pogrązonych w rozmowie. Jego syn i Judasz. Huff nie pomyślał o ironii wynikającej zuzycia tej biblijnej metafory. Pragnął tylko jednego: unicestwić człowieka, który zrobił wszystko, aby go zniszczyć.

Dzierząc w dłoni pistolet, wybiegł z biura i ruszył w kierunku tylnych schodów prowadzących do hali fabrycznej. Gdy był już na dole, przywołał się nieco do porządku. Nie powinien tracić głowy.

Jak powiedział Merchantowi tydzień temu, Nielson jest kiepskim strategiem. Najlepszym rodzajem ofensywy jest niespodziewany atak.

Chris roześmiał się cicho.

- Klaps był bardzo wkurzony na Danny'ego za to, że go nie zatrudnił. Uświadomił mi to pewnej nocy, na parkingu przed Razorbackiem.

- Wtedy powiedziałeś mu, że masz dla niego robotę.

Chris spojrział na niego beznamiętnie.

- Kazaleś Klapsowi upozorować samobójstwo. Może nawet przekonaloby to wszystkich, gdyby Watkins nie zapomniał zdjąć Danny'emu butów. Ta jedna pomyłka sprawiła, że detektyw Scott zaczął podejrzewać morderstwo. Nie sądziłeś, że możesz stać się głównym podejrzanym, dlatego próbowałeś przekonać wszystkich do pomysłu, iż to Klaps Watkins był winowajcą i próbuje cię zrobić w morderstwo. Nie rozumiem tylko, dlaczego Watkins nie prysnął z miasta zaraz po

wykonaniu zlecenia. Po co tu siedział? Dlaczego próbował spotkać się z tobą za wszelką cenę, wtedy na drodze i wcześniej, w barze... - Popatrzył na Chrisa pytająco, ale napotkał jedynie nieustępliwe spojrzenie dwojga zimnych oczu. - Chwileczkę - rzucił. - Coś sobie przypomniałem. Wtedy w barze Watkins był zaskoczony, że nas zobaczył. Tyle tylko, że chodziło o mnie, prawda? Powiedział, że przyszedł omówić z kimś interesy... ach, rozumiem. Zapłata. Miał się z tobą spotkać w barze, żeby odebrać pieniądze. Było to tej samej nocy, kiedy Billy miał wypadek. Właśnie wróciłem ze szpitala. Nasze nieplanowane spotkanie w barze przeszkodziło w sfinalizowaniu transakcji z Watkinsem. Nie dziwota, że był taki wściekły wtedy, na drodze. Nadal mu nie zapłaciłeś i Klaps się wściekał. Podejrzenia zaczęły się skupiać na nim, zamiast na tobie. W desperackim odruchu poszedł do Sayre i sprawił, że Scott skoncentrował się na motywie bratobójstwa. Doprowadził do tego, że zaaranżowałeś wreszcie spotkanie z Watkinsem dziś rano, w obozie rybackim.

- Założę się, że skończyłeś studia prawnicze z wyróżnieniem, Beck - uśmiechnął się Chris. - Jesteś bardzo sprytny, muszę przyznać. Zmartwię cię jednak, ponieważ pod przysięgą zeznam jedynie to, że Klaps Watkins wpadł do chaty, wymachując nożem i grożąc, że za chwilę z ogromną radością zabije swojego drugiego Hoyle'a.

- Nie wątpię, że tak to się właśnie odbyło, Chris. Po prostu pojawił się wcześniej, niż się spodziewałeś. Chciał cię zaskoczyć, ponieważ ci nie ufał i słusznie. Nawet Watkins był na tyle mądry, by zdawać sobie sprawę, że nie wręczysz mu pieniędzy za zlecenie i pozwolisz tak po prostu odejść. W chwili, gdy zgodził się na zabicie Danny'ego, podpisał na siebie wyrok śmierci.

- Proszę, Beck. Nie rozczulajmy się nad Klapssem. Od samego początku chciał mnie wystawić do wiatru. Jak sądzisz, dlaczego zostawił zapalki w domku?

Beck zastanawiał się przez chwilę, co powinien zrobić. Mógł teraz wyjść, zwyczajnie odwrócić się i odejść. Pojechać do Sayre i spędzić resztę życia, kochając ją. Do diabła z Chrisem i Huffem,

ich oszustwami i korupcją, z ich śmierdzącą, śmiertelnie niebezpieczną fabryką. Był już tak cholernie zmęczony całą tą walką i grą pozorów. Chciał zrzucić z siebie jarzmo odpowiedzialności, zapomnieć, że kiedykolwiek znał Hoyle'ów. Niech ich piekło pochłonie. Tego właśnie pragnął Beck.

Mógł też zostać i zrobić to, do czego się zobowiązał.

Pierwsza opcja była bardzo przyjemna, druga przesadzona.

- To nie Watkins podrzucił pudełko zapalek w chacie, Chris. - Spojrzał mu prosto w oczy. - Ja to zrobiłem.

Oczy George'a Robsona piekły od łez niegodnych mężczyzny. Dygotał ze zdenerwowania i strachu. Kiedy opuścił fabrykę, upał zaatakował go gwałtownie, wywołując zawroty głowy. Wstrząśnięty do głębi, oparł się o ścianę budynku i zwymiotował. Spazmy targały nim, słońce paliło jego spocony kark. Gdy zdał sobie sprawę, jak blisko był popełnienia grzechu śmiertelnego i jak bardzo rozczarował się swoim niepowodzeniem, ogarnęła go kolejna fala mdłości. W końcu żołądek opróżnił się całkowicie i suche spazmy ustały. Otarł usta wilgotną chusteczką, którą wyjął z tylnej kieszeni spodni. Osuszył spocone dłonie i otarł kark.

Chciał zabić Chrisa. Wszystko miał zaplanowane. Chciał upozorować wypadek. Obluzował pasek klinowy tak, że powinien się zerwać zaraz po uruchomieniu maszyny. Gdyby pas wystrzelił na bok, zabiłby każdego, kto w tym czasie dokonywałby inspekcji pracującej maszyny. Ale pasek wytrzymał.

Teraz, patrząc z perspektywy czasu, George dziękował Bogu, że nic się nie stało. Dziękował mu nawet za swoją niezręczność. Gdyby udało mu się zabić Chrisa, wcześniej czy później wszystko by się wydało i skazaliby go na śmierć, a wtedy i tak straciłby Lilę. Teraz przynajmniej miał jeszcze szansę, by ją uszczęśliwić. Poświęci jej więcej czasu. Jeżeli za miesiąc albo za rok porzuci go dla Chrisa lub kogoś równie czarującego, to trudno. Przynajmniej do tego czasu

będzie należała do niego. O tak. Dziękował Bogu za oddalenie od niego potwornej katastrofy.

- Panie Robson?

Odepchnął się od ściany i zamrugał, widząc Sayre Hoyle, wyraźnie bez tchu i wstrząśniętą.

- Widział pan Becka Merchanta?

- Em, tak. Jest... jest tam.

- W biurze?

- W hali fabrycznej, z Chrisem.

Nie podziękowała mu nawet za informację, tylko otworzyła drzwi i zniknęła w środku.

George ruszył do samochodu. Chciał jak najszybciej wrócić do domu, gdzie czekała na niego

Lila.

- To ja podrzuciłem te zapalki do domku - powtórzył Beck.

Chris spojrział na niego, jakby wciąż czekał na puentę. Gdy ta nie nadeszła, wyraz jego twarzy zmienił się, rysy stwardniały niczym cement.

- Proszę, proszę. To dopiero niespodzianka. Dlaczego to zrobiłeś, Beck?

- Ponieważ wiedziałem, że to ty zabiłeś Danny'ego.

- Nie zrobiłem tego.

- Przestań się czepiać szczegółów. Gdyby nie ty, Danny nadal by żył. Bałem się, że ujdzie ci to na sucho, chyba że dam jakąś wskazówkę szeryfowi. W chwili, gdy detektyw Scott zapytał, jakim cudem Danny pociągnął za spust, byłem przekonany na dziewięćdziesiąt dziewięć procent, że to ty go zabiłeś. Kolejne pół procenta dodałeś, sugerując próbę wrobienia cię w morderstwo, i rzuciłeś nazwisko Watkinsa. Jedyłą dręczącą mnie kwestią był motyw. Nie wyglądało na to, byś nienawidził Danny'ego. Najwyżej nic cię nie obchodził. Nie było między wami żadnego współzawodnictwa o uczucia Huffa. Wiadomo było, kto jest jego ukochanym synem i kto przejmie kontrolę nad odlewnią po jego śmierci. Jakie więc zagrożenie mógł stanowić dla ciebie

Danny? Dlaczego musiał umrzeć? Nie znałem odpowiedzi na to pytanie aż do chwili, gdy dowiedziałem się o jego zaręczynach. Narzeczona Danny'ego powiedziała Sayre, że twój młodszy brat zmagał się z jakimś poważnym problemem natury moralnej. Wtedy zrozumiałem. Twoim motywem była sprawa Iversona. Danny wiedział, gdzie znajduje się ciało, i zamierzał wyjawić tę informację.

Chris zaczerpnął powietrza w płuca i odetchnął powoli.

- To był ten jeden raz w życiu Danny'ego, kiedy nie chciał ustąpić. Nalegał na spowiedź publiczną. Nie mogliśmy do tego dopuścić z Huffem. Stary powiedział mi, żebym się tym zajął.

- I zająłeś się.

Chris rozłożył ramiona, jakby nie było nic więcej do dodania.

- Gdyby odkopano ciało Iversona, wywołałoby to wiele niewygodnych pytań. Poza tym, oskarżono by mnie dodatkowo o utrudnianie pracy sądowi. Paskudna sprawa.

- Tym razem się nie wywiniesz.

- Chyba jednak tak, Beck - Chris się uśmiechnął uroczo.

- Jeszcze nie.

- Chcesz mnie dopaść? Dlaczego? Z powodu Iversona?

Beck się roześmiał.

- Och, Chris, na tym właśnie polega cały dowcip. Wy, Hoyle'owie, jesteście tak cholernie arogancy, że aż naiwni. Nigdy nie przyszło ci do głowy, żeby się zastanowić, dlaczego pojawiłem się tutaj tej nocy, gdy twój proces zakończył się zawieszeniem? Wzięliście mnie do siebie, ofiarowaliście ciepłą posadkę w firmie, przyjęliście jak członka rodziny. A ja znalazłem się dokładnie tam, gdzie chciałem, wygodnie umieszczony na łonie rodzinnym, zaufany sprzymierzeniec i powiernik.

Oczy Chrisa zmieniły się w dwie szparki.

- Kim jesteś? - spytał cicho.

- Wiesz, kim jestem. Znasz mnie z college'u. - Beck uśmiechnął się przelotnie. - To również nie był przypadek. Poszedłem na Uniwersytet Stanowy Luizjany, ponieważ ty się tam uczyłeś.

Zapisałem się do bractwa, ponieważ ty do niego należałeś. Wszedłem w twoje życie, zwróciłem na siebie twoją uwagę, żebym w odpowiednim momencie, kiedy przyjdzie mi dołączyć do Hoyle Enterprises, był już waszym długoletnim faworytem. Podziałało, i to lepiej, niż się spodziewałem. Zaakceptowałaś mnie bez mrugnięcia okiem, podobnie jak Huff. Od razu zyskałem wiarygodność.

- Jesteś związkowcem, prawda?

- Nie.

- Prokuratorem okręgowym? Agentem FBI?

- Nic tak wielkiego.

- Więc kim, do cholery...

- Jestem Beckiem Merchantem. Merchant to nazwisko mojego przybranego ojca. Zaadoptował mnie, kiedy poślubił moją owdowiałą matkę. Przyjąłem jego nazwisko, ponieważ już jako dziesięcio- czy dwunastolatek zacząłem planować wasz upadek i wiedziałem, że moje prawdziwe nazwisko mnie wyda.

- Nie mogę się doczekać - rzucił kwaśno Chris. - Jak się naprawdę nazywasz?

- Hallser.

Chris szarpnął się lekko, a potem pokiwał głową, jakby uznawał spryt Becka.

- To wiele wyjaśnia.

- Sonnie Hallser był moim ojcem.

- W takim razie powinieneś mścić się na Huffie, a nie na mnie.

- Chodzi o coś więcej, niż o zemstę, Chris. Chcę zniszczyć was i wszystko, co reprezentujecie.

Chris potrząsnął głową.

- To się nigdy nie stanie - powiedział tonem, w którym pobrzmiewała litość.

- Wasz upadek już się zaczął. Hoyle Enterprises zamknięto.

- Jesteś w zмовie z Charlesem Nielsonem?

- Ja jestem Charlesem Nielsonem, a może raczej nie ma żadnego Charlesa Nielsona. To tylko imię, nagłówek, podmiot kilku artykułów w prasie, które sam napisałem i rozesłałem. To kombinacja imienia i nazwiska mojego taty, z inicjałem jego drugiego imienia, C.

- Sprytny chłopczyk.

- Czekałem przez całe lata na ten dzień, Chris. Życie mojego ojca zostało mu odebrane całe dziesięciolecie za wcześnie, a dlaczego? Ponieważ stanął na drodze Huffowi. Huff go usunął.

Wylimitował. Wszyscy to wiedzieli, ale uszło mu płazem. Ty zrobiłeś to samo z Iversonem, ale wiesz co, Chris? - spytał, przyciszając głos do złowieszczonego szeptu. - Tym razem to koniec.

- I co zamierzasz zrobić, Beck? Doniesiesz na mnie? Jesteś naszym prawnikiem. Nie możesz ujawnić informacji o swoich klientach, inaczej usuną cię z palestry.

- Sprytnie, Chris, ale problem w tym, że nic mnie to nie obchodzi. Nie chciałem być prawnikiem. Studiowałem prawo tylko po to, żeby się do was zbliżyć i uzyskać dostęp do wszystkich waszych brudnych sekretów. Będą o mnie źle mówić, nazwą mnie zdrajcą i obdarzą jeszcze gorszymi epitetami, ale mnie to nie wzrusza. Reprezentując ciebie i Huffa, przyzwyczailem się, że ludzie uważają mnie za najgorszy rodzaj gówna. Nie oczekuję niczego nowego.

- Zabezpieczyłeś się ze wszystkich stron, co?

- Tak.

- I co teraz? Powinienem zemdleć czy jak?

Beck znał Chrisa wystarczająco dobrze, by się zorientować, że jego nonszalancja jest udawana.

Pocił się zbyt obficie.



- Huff odpokutuje za to, co zrobił mojemu ojcu. Ty uczyłeś się od niego i trzeba przyznać, że wyszkolił cię znakomicie, ponieważ uczeń przerósł mistrza w swojej deprawacji. Zabiłeś własnego brata i za to zostaniesz ukarany, Chris.

Spojrzenie Chrisa powędrowało za plecy Becka.

- Najwyższy czas, żebyś się do nas przyłączył, Huff.

Beck odwrócił się powoli, żeby spojrzeć w oczy człowiekowi, który, niemal od kiedy pamiętał, był jego wrogiem. Przez te wszystkie lata, gdy postanowienie Becka słabło, wystarczyło, by sobie przypominał, że nigdy nie było mu dane pożegnać się z ojcem. Ani matka, ani on nie mogli go nawet zobaczyć w trumnie. Byłby to zbyt makabryczny widok, powiedział jej dyrektor zakładu pogrzebowego. Z powodu chciwości Huffa matka Becka owdowiała, on został osierocony, a jego tata pocięty na kawałki. Beck spoglądał teraz na swojego wroga, a wrogość buzowała w nim, śmiertelna i gorąca niczym lawa w wulkanie.

- Ucieliśmy sobie z Beckiem bardzo interesującą pogawędkę - powiedział Chris.

- Słyszałem.

Najwyraźniej rzeczywiście tak było. Twarz Huffa była zaczerwieniona, oczy płonęły jak dwa węgle. W ręku przyciśniętym sztywno do boku, trzymał pistolet. Jego głos brzmiał niczym zgrzyt stali o ośkę.

- Słyszałem - powtórzył, unosząc ramię z pistoletem wymierzając go prosto przed siebie.

Beck podniósł obie dłonie w geście obronnym.

- Huff, nie!

Ale stary pociągnął już za spust.

W przestrzennej hali strzał zabrzmiał niczym salwa armatnia. Dźwięk odbijał się od ścian echem przez kilka dobrych sekund, a potem Beck usłyszał inny odgłos okropny łomot. Pracujący podajnik. Huff opuścił broń która wypadła mu z ręki, lądując na betonowej podłodze. Odepchnął

Becka i wydając przeraźliwy jęk, przebiegł obok niego. Beck odwrócił się w samą porę, aby zobaczyć jak Chris osuwa się na ziemię obok maszyny, z kawałkiem metalu w szyi. Z rany lała się krew.

Huff opadł ciężko na kolana przy synu i przycisnął dłonie do jego szyi. Chris wpatrywał się w ojca z bezgranicznym zdumieniem. Jego twarz bieląca z każdą sekundą. Beck ściągnął przez głowę koszulę, zwinął w kłębek, odepchnął oszalałe dłonie Huffa od rany i próbował nadaremnie zatamować fontannę krwi. Tuż za nim pojawiła się Sayre.

- O mój Boże!

- Zadzwoń po pogotowie - rzucił Beck. Poczul, że odpina telefon komórkowy z jego paska.

Huff chwycił głowę Chrisa w swoje dłonie i potrząsał nią gwałtownie.

- Dlaczego to zrobiłeś?! Kazałeś zamordować Danny'ego? Dlaczego, synu? Dlaczego?!

- Strzeliłeś do mnie? - Z gardła Chrisa wydobył się okropny gulgoczący głos. Z jego ust wystrzeliła krew, opryskując twarz ojca. - Powiedziałeś, że trzeba powstrzymać Danny'ego, Huff. Powiedziałeś... żebym się tym zajął.

Huff odrzucił głowę do tyłu i zawył jak śmiertelnie ranne zwierzę. Przyciągnął Chrisa do siebie i przytulił jego głowę do piersi, trzymając mocno w ramionach, jakby chciał go ochronić przed całym światem.

- Danny był twoim bratem. Twoim bratem - płakał oddychając spazmatycznie i kiwając się w przód i w tył. Bezwładne ramiona Chrisa uderzały o chropowatą podłogę. - Jak mogłeś zrobić coś takiego, synu? Jak mogłeś?

Chris wciągnął powietrze z mokrym świstem.

- Powiedziałeś, żebym się tym zajął - powiedział niemal niedosłyszalnie. W jego słowach pobrzmiwało niezrozumienie i zaskoczenie dezaprobatą Huffa.

Stary pochylił głowę i pocałował Chrisa w skroń. Na jego twarzy krew mieszała się ze łzami.

- Kochałem cię najbardziej z moich dzieci. Wiedziałeś o tym. Ale Danny też był moim synem - wymamrotał z bólem. - Ciało z mojego ciała, krew z krwi, a ty go zabiłeś. Dlaczego, Chris?

Dlaczego?!

Beck spojrział na Sayre, która zdążyła już zadzwonić po pogotowie i stała teraz, przyglądając się bezradnie rozgrywającej się przed nią scenie. Gdy ich oczy się spotkały, Beck zobaczył odbicie swoich myśli w jej źrenicach.

Chris zrobił jedynie to, czego nauczył się od własnego ojca.

Huff nie przestawał lamentować, gdy krew odpływała z ciała Chrisa, tworząc wokół nich kałużę.

Huff tulił ukochanego syna do piersi i kołysał go niczym niemowlę. Głaskał go po włosach, całował policzki. Raz po raz powtarzał, że jego kochał najbardziej i po tysiącokroć zadawał to samo pytanie:

- Dlaczego, synu? Jak mogłeś zabić swojego własnego brata?!

Wreszcie nadjechał ambulans. Kiedy sanitariusze próbowali rozdzielić ojca i syna, Huff zaczął z nimi walczyć jak szaleniec. Cały umazany krwią Chrisa i swoim potem, krzyczał do ochrypnięcia, że nikt nie odbierze mu jego pierworodnego... który nie mógł już niczego usłyszeć.

# Epilog

- Wyglądasz na wyczerpanego.

- Muszę przyznać, że tak właśnie jest - odparł Beck, wchodząc po schodach na ganek, gdzie czekała na niego Sayre z Fritem. - To było potworne sześć godzin.

Tyle czasu zajęło, by w szpitalu okręgowym oznajmiono Huffowi, że Chris zmarł w drodze do szpitala, oraz odstawiono Huffa do aresztu. Został zatrzymany za nieumyślne spowodowanie śmierci, ponieważ strzelił w kierunku Chrisa, doprowadzając do wypadku.

Huff nie był w stanie podjąć jakiegokolwiek decyzji, więc Beck wystąpił jako jego przedstawiciel, natychmiast kontaktując się z adwokatem, którego niedawno wynajął Chris. Prawnik zgodził się reprezentować Huffa i przybył do Destiny tak szybko, jak pozwolił mu na to jego podrasowany lexus.

Zastępca prokuratora z biura okręgowego przyjechał na wezwanie Wayne'a Scotta, aby przesłuchać Sayre i Becka. Musieli opowiedzieć swoją historię kilkakrotnie. Beck zdołał udzielić wielu informacji. Nie ominął niczego, wyjaśniając ze szczegółami, jak podsłuchana przez Huffa rozmowa z Chrisem doprowadziła do śmierci tego ostatniego.

- Nie wątpię, że Huff chciał zastrzelić mnie za to, że go oszukałem - powiedział prokuratorowi. - Wiedziałem, że aby ich pokonać, muszę nauczyć się myśleć i działać jak oni, stać się jednym z nich.

Sayre słuchała z rosnącą konsternacją. Z miłości do ojca i poczucia obowiązku wobec niego, Beck został niestety adwokatem Hoyle'ów.

- Kiedy Huff usłyszał, jak Chris przyznaje się do planowania morderstwa Danny'ego, chyba stracił rozum. Wystrzelił z wściekłości i chybił. Kiedy jednak Chris cofał się w niedowierzaniu, zamachał rękoma i przypadkowo włączył podajnik. Zepsuty pasek klinowy zerwał się, a kawałki metalu rozprysnęły się wokoło niczym szable. Jeden z nich zranił Chrisa.

Ostatecznie Sayre została zwolniona z dalszych przesłuchań, ale Beck jeszcze kilkakrotnie musiał powtarzać swoją historię. Przypomniano mu też, że naruszył w ten sposób zasadę poufności między prawnikiem a klientem i uświadomiono, co będzie to oznaczało dla jego kariery. Beck zeznawał mimo to.

Po wyłączeniu z przesłuchań, Sayre nie wiedziała, co ze sobą zrobić. Nie chciała wracać do domu, który dawno przestał być jej domem, ani do ponurego motelu, instynktownie pojechała do Becka i tam czekała na niego.

Po powrocie Beck usiadł na huśtawce i podrapał uradowanego Frita za uszami.

- Wszyscy powinniśmy mieć takie życie jak on. Każdy dzień jest nowym dniem. Cokolwiek zdarzyło się wczoraj, zostaje zapomniane. Frito nie martwi się o to, co będzie jutro.

- Co będzie jutro?

- Huff zostanie postawiony w stan oskarżenia, prawdopodobnie będziemy musieli zeznawać jako świadkowie oskarżenia w jego sprawie.

- Tyle się domyślałam.

- Chyba że przyzna się do winy.

- Sądzisz, że to zrobi?

- Nie zdziwiłoby mnie to. Powiedział policji, gdzie mogą znaleźć szczątki Iversona. Rudy Harper przyznał się do udziału w sprawie. Też będzie musiał odpowiedzieć przed sądem za swoje czyny.

Jeśli pożyje wystarczająco długo. - Beck pochylił się do przodu i oparł łokcie o kolana, zmęczonym gestem pocierając palcami oczy. - Huff jest kompletnie załamany Sayre. Zanim wyszedłem z komendy, zajrzałem do celi, żeby sprawdzić, co z nim.

- Jak zareagował na twój widok?

- W ogóle mnie nie zauważył. Leżał na pryczy w pozycji embrionalnej, płacząc jak dziecko. Huff Hoyle zredukowany do czegoś takiego - mruknął cicho, ze smutkiem. - Myślę, że wybaczyłby

Chrisowi wszystko, z wyjątkiem zabicia własnego brata. Gdyby Chris zastrzelił prezydenta, Huff kryłby go i chronił do ostatniego tchu, ale zabić własnego brata? Huff nie mógł na to pozwolić.

Nie mieściło mu się to w głowie. Naruszało to jego definicję rodziny.

- Zastanawiam się, skąd mu się to wzięło. Wychowywał się bez najbliższych. Nigdy nie wspominał o swoich rodzicach, poza tym, że oboje umarli, kiedy był jeszcze mały.

Beck zamyślił się na kilka chwil.

- Niedawno, pewnego wieczoru, siedzieliśmy z Huffem we dwóch. Chrisa akurat nie było w domu. Wypiliśmy wtedy sporo burbona i Huff zaczął mamrotać coś po pijaku. Mówił wtedy coś o dniu, kiedy umarł jego tata. Nie nazywał go ojcem, tylko tatusiem. Powiedział: „Te skurwysyny przekręciły jego nazwisko”.

- Kto?

- Nie wdawał się w szczegóły. To wszystko, co powiedział. Mogła to być nic nieznacząca wypowiedź. Albo bardzo istotna.

Sayre spojrzała na trawnik opodal domu i westchnęła.

- Kiedy pomyślę, ile go kosztowało pociągnięcie za spust... próbował zniszczyć to, co kochał najbardziej.

- Chris był również jego ostatnią nadzieją na posiadanie wnuka, który przekazałby następnym pokoleniom jego nazwisko. Zniszczył szansę na przedłużenie swojej linii genealogicznej, ale nie żałuj go, Sayre. To on wychował Chrisa na takiego, a nie innego człowieka.

- Poza tym, zabił moje dziecko. Zapewne nie uważał go za jednego z Hoyle'ów.

Beck chwycił jej dłoń i lekko uściśnął,

- Jesteś głodny? - spytała.

Weszli do środka. W drodze tutaj Sayre kupiła smażonego kurczaka. Razem zaczęli wykladać jedzenie na talerze i układać sztuczce, niemal potykając się o Frita, który dreptał im po piętach,

jakby bał się, że znów zostawią go samego.

- Rozmawiałam z Luce Daly - powiedziała Sayre. - Clark jutro wyjdzie ze szpitala. Jego koledzy z pracy poprosili, aby reprezentował ich przed komisją OSHA. Nie będzie mógł zrobić zbyt wiele, dopóki w pełni nie dojdzie do siebie, ale takie wotum zaufania powinno przyspieszyć jego rekonwalescencję. To i świadomość, że ludzie, którzy go pobili, są w więzieniu. Luce prosiła, aby podziękować ci za dotrzymanie słowa.

- Przynajmniej tyle mogłem zrobić.

- Dzwoniłam również do Jessiki DeBlance. Opowiedziałam jej, co się dziś wydarzyło. Udało mi się wyprzedzić wiadomości dziennika zaledwie o pół godziny. Podziękowała, że mogła dowiedzieć się wszystkiego wcześniej, z moich ust. To bardzo miła kobieta, Beck. Kiedy przyznałam się, że nie odbierałam telefonów od Danny'ego przed jego śmiercią, powiedziała, bym się tym nie zadręczała. Danny by nie chciał, żebym się za to obwiniła. Powiedziała również, że modliła się za nas wszystkich, za Chrisa również. Cieszę się, że Danny mógł doświadczyć tak wspaniale wybaczącej miłości, choćby tylko przez krótką chwilę,

- Ja też.

- Spodobałaby ci się Jessica.

- Ale ja mógłbym się nie spodobać jej - odparł Beck. - Dla większości ludzi jestem wciąż wrogiem.

- Możesz powiedzieć im, że to ty byłeś Charlesem Nielsonem.

- Nie. Nielson musi zniknąć w niebycie, z którego wychynął. Zainteresowanie społeczeństwa jest bardzo krótkotrwałe. Za kilka miesięcy nikt nie będzie o nim pamiętał.

- Co z ludźmi, którzy pikietowali przed fabryką? Co z Paulikami?

- Nielson poleci im innego prawnika. Lepszego.

- Co zamierzasz robić?

- Chodzi ci o moją przyszłość? Wszystko zależy od ciebie, Sayre. Hoyle Enterprises należy teraz do ciebie, a ja jestem twoim pracownikiem. Jakie masz wobec mnie plany?

- Czy możesz przekazać mi pełnomocnictwo?

- Biorąc pod uwagę stan, w jakim znajduje się Huff, nie powinno być z tym problemu.

- Kiedy już będę mogła podejmować wszystkie decyzje dotyczące przedsiębiorstwa, chcę wystawić Hoyle Enterprises na sprzedaż. Nie chcę tej fabryki, ale nie mogę tak po prostu jej zamknąć i pozostawić całe miasto bez struktury ekonomicznej. Gdy tylko wszystkie wymagania OSHA zostaną spełnione, sprzedaj odlewnię jakiejś odpowiedzialnej kompanii, nieskazitelnej pod względem przestrzegania przepisów BHP i uznającej związek zawodowy. Inaczej naci ze sprzedaży.

- Rozumiem i zgadzam się. Mam kilku doskonałych kandydatów, firmy, które już wcześniej kontaktowały się ze mną. Zawsze odpowiadałem im, że Huff nigdy nie sprzeda fabryki. Będą zadowoleni ze zmiany sytuacji.

- Tak długo, jak fabryka będzie zamknięta dla potrzeb inspekcji OSHA chcę, aby wszyscy pracownicy otrzymywali pełne wynagrodzenie.

- W porządku - odparł. - Zostanę, dopóki wszystkiego nie załatwię.

- A potem?

- Może zajmę się doradztwem. Mógłbym zajmować się kontaktami między kierownictwem a związkami zawodowymi podczas dużych operacji, takich jak sprzedaż Hoyle. Mam doskonałe doświadczenie.

Oboje sądzili, że są głodni, ale kiedy zaczęli jeść, odkryli, że nie mają apetytu. Sayre skubnęła posmarowanego masłem krakersa.

- Powiedziałeś mi, że twoja matka żyje. To prawda?

- Tak.



- Chciałabym ją poznać.
  - Już poznałaś. W biurze Charlesa Nielsona.
  - Brenda? - krzyknęła zdziwiona Sayre.
  - Kiedy wszedłem do biura i zobaczyłem cię tam, kompletnie mnie zatkało, za to mamie nie drgnęła nawet powieka.
  - Rzeczywiście. Nigdy bym nie zgadła.
  - Uważa, że jesteś śliczna, szykowna, mądra... hmm, co jeszcze... Nie pamiętam wszystkich określeń, ale zyskałaś w jej oczach ogromne uznanie. Pamiętasz, kiedy wyszłaś z budynku, a ja czekałem na zewnątrz, niby próbując wytropić Nielsona w Dayton?
  - W Cincinnati.
  - Tak naprawdę rozmawiałem z nią. Właśnie zmywała mi głowę za to, że byłem dla ciebie taki niegrzeczny.
  - Musiała odchodzić od zmysłów po tym, jak cię pobili. Nie dziwię się, że zadzwoniła tutaj, by porozmawiać z tobą w imieniu pana Nielsona.
  - Rozmawiałem z nią przed chwilą, jadąc do domu. Opowiedziałem jej, co się wczoraj zdarzyło. Od ponad dwudziestu lat pracowaliśmy nad doprowadzaniem Hoyle'ów do upadku. Mama cieszy się, że wreszcie wszystko się skończyło, a przede wszystkim, że przeżyłem. Zawsze obawiała się, iż Chris albo Huff odkryją, kim jestem, i że zniknę tak jak Gene Iverson lub zginę przypadkiem, jak mój ojciec.
  - Co z panem Merchantem?
  - Umarł kilka lat temu. Był dobrym człowiekiem, wdowcem bez dzieci. Szalał za moją matką i wychował mnie jak własnego syna. Poszczyliło mi się, że miałem dwóch dobrych ojców.
- Sayre wstała i zaczęła sprzątać ze stołu.
- To prawda. Ja nie miałam nawet jednego. - Odstawiła część jedzenia na szafce i wróciła po

resztę.

Beck chwycił ją w tali i przyciągnął do siebie, tak że stanęła między jego rozsuniętymi nogami.

- Kiedy skończę tu ze wszystkim i złożę rezygnację, będę szukał nowego miejsca na założenie firmy konsultingowej.

- Masz już jakiś pomysł gdzie?

- Miałem nadzieję, że coś mi podpowiesz. - Spojrzał znacząco w jej oczy.

- Znam pewne cudowne miasto - odparła. - Wspaniałe parki, dobre jedzenie. Pogoda trochę w kratkę, ale jestem pewna, że Fritowi nie będzie przeszkadzała odrobina mgły, prawda?

- Myślę, że bardzo mu się spodoba. Mnie by się na pewno spodobało, tak długo, jak będę mógł wracać tu od czasu do czasu na miskę czy dwie zupy gumbo.

- Zdradzę ci pewien sekret. Każę ją sobie przysyłać zamrożoną.

- Nie!

- Tak - przeciągnęła palcami po jego czuprynie, ale jej tkliwy uśmiech powoli znikł z twarzy. -

Znamy się zaledwie od dwóch tygodni, Beck. Dość burzliwych, dodam.

- Mało powiedziane.

- Wiem. Nie sądzisz, że to zbyt wcześnie na snucie wspólnych planów na przyszłość?

- Możliwe - odparł. - Szczerze mówiąc, może powinniśmy dać sobie trochę więcej czasu, zobaczyć, jak się nam będzie układało, zanim ostatecznie się zdeklarujemy.

- Też tak myślę.

- Ile czasu potrzebujesz?

Sayre spojrzała na zegarek.

- Pół godziny?

Beck roześmiał się w odpowiedzi.

- Ja nie potrzebuję aż tyle. - Otoczył ramionami jej kibić, wtulił twarz w jej piersi i westchnął

głęboko. - Zniszczenie Hoyle'ów było moją siłą napędową jedynym celem w życiu.

Zapomniałem o całym bożym świecie. Od kiedy umarł mój ojciec, nie podjąłem żadnej decyzji, która nie wiązałaby się z doprowadzeniem do tego dnia. Teraz, kiedy wszystko się dokonało...

jestem po prostu zmęczony tym wszystkim, Sayre,

- Ja też nie mam już siły na gniew. Nie odczuwam nawet satysfakcji z powodu upadku Huffa. To dobrze, że wreszcie będzie musiał odpowiedzieć za swoje zbrodnie, ale w gruncie rzeczy żal mi go. Nie widzę powodu do radości.

- Masz rację. Nie ma w tym nic radosnego. Może tylko spokój.

- Może.

Położył dłoń na brzuchu Sayre i pomasaował go lekko.

- Ze wszystkich złych uczynków Huffa, najgorsze było to, co zrobił tobie.

Przykryła jego dłoń swoją.

- Jestem Hoyle, Beck. Nie zawsze mówimy prawdę i potrafimy okrutnie manipulować ludźmi.

Uniósł głowę i spojrzał na nią.

- Okłamałam Huffa. To była podłość, przyznaję, ale byłam tak wściekła na niego, że chciałam mu naprawdę dopiec - ściszyła głos niemal do szeptu. - Doktor Caroe nie uszkodził mnie ostatecznie.

Oczy Becka powędrowały ku jej brzuchowi i z powrotem w górę.

- Możesz mieć dzieci?

- Nie ma żadnych fizycznych przeciwwskazań. Pomyślałam sobie nawet, że może... może powiem to Huffowi.

Beck powoli dźwignął się na nogi i przyciągnął ją do siebie.

- To właśnie odróżnia cię od nich, Sayre. Ani Huff, ani Chris nie znali litości. Tobie nie jest ona obca. Dostrzegłem to i pokochałem cię za to.

- Nie, Beck - odparła, opierając policzek o jego pierś. - To jest coś, co ja zobaczyłam w tobie.